

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Giovanni BOCCACCIO

Dekameron

Dzień szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty i dziesiąty

Przełożył z włoskiego
EDWARD BOYE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000



DZIEŃ SZÓSTY

Księżyc pośrodku niebios utracił już swój blask i nowe światło rozjaśniło wszystkie zakątki ziemi naszej, kiedy wstała z łoża królowa i całą kompanię zwołać kazała. Powolnym krokiem zszedłszy z wzgórza przechadzali się po rosie, tocząc różne rozprawy o tym i owym, bardziej lub mniej chwalać dotychczasowe opowieści i śmiejąc się raz jeszcze z różnych przypadków, jakie w nich przytoczono. Aż gdy wreszcie słońce podniosło się wyżej i dopiekać poczęło, wszyscy zgodnie orzekli, że czas powracać; za czym zwróciwszy się ku domowi stanęli tam niebawem. Stoły były już zastawione, wszędzie rozłożono wonne zioła i piękne kwiaty. Na rozkaz królowej zasiedli tedy do posiłku, a gdy go w weselu spożyli, zanim jęli się czego innego, odśpiewali kilka ładnych, pełnych uroku piosenek. Następnie ten i ów poszedł się zdrzemnąć, a niektórzy zasiedli do szachów lub innych gier. Dioneo wraz z Laurettą poczęli śpiewać o Troilusie¹ i Chryzejdzie. Tak przyszła pora, gdy zwykli zbierać się znów razem, więc na wezwanie królowej, jak codziennie, rozłożyli się dokoła źródła. I miała już królowa dać znak do rozpoczęcia pierwszej opowieści, gdy zaszło coś, co dotąd nigdy jeszcze się nie przytrafiło. Usłyszeli wszyscy zgiełk wielki, jaki w kuchni czyniły służki z pachółkami. Zawezwała tedy królowa marszałka, zapytując, co to za wrzawa i jaka jej przyczyna. Odparł, że kłótnia wybuchła między Liciską a Tindarem, ale powodu jej on sam nie zna, bo właśnie co dopiero nadszedł, aby ich uciszyć, gdy został do królowej wezwany. Poleciała tedy Eliza, aby natychmiast przysłano tu Liciskę i Tindara, a gdy ci zjawili się, zapytała ich o powód kłótni.

Gdy Tindar chciał na pytanie odpowiedzieć. Liciska, niewiasta już niemłoda i co się zowie pewna siebie, kłótnią rozgrzana, natarła na niego ze złością:

– Patrzcie, co za gbur! Mężczyzna, co waży się odzywać pierwszy tam, gdzie ja jestem! Daj mi mówić!

I zwracając się do królowej rzekła:

– Pani, ten chłystek chce mnie uczyć, jaką była żona Sicofanta! Ni mniej ni więcej! Jak gdybym nie przestawała z nią nigdy, chce wmówić we mnie, że pierwszej nocy, którą Sicofante z nią spędził, jego junak Maczuga musiał siłą i przy krwi rozlewie wdzierać się do twierdzy w Czarnym Borze. A ja powiadam, że to łgarstwo, bo wszedł tam pokojowym trybem i ku wielkiemu zadowoleniu załogi. Ten zasię kiep wierzy naprawdę, iż młode dziewczki są tak głupie, że tracą czas i czekają na zezwolenie ojca lub braci, którzy w sześciu przypadkach na siedem zwlekają trzy albo i cztery lata dłużej, niżby należało, aby je za mąż wydać. Dobrze by wyszły na tym, miły bracie, gdyby tak długo się ociągały! Bóg mi świadkiem – a wiem, co mówię, ilekroć się tak klnę – pomiędzy sąsiadkami mymi nie znam ani jednej, co by dziewczicą za mąż poszła. A także jeśli idzie o zamężne niewiasty, wiem dobrze, ile i jakich figłów płatają mężom swoim. Ten cymbał zaś chciałby mi dać poznać, czym są kobiety, jakbym się wczoraj narodziła.

Słuchając Liciski niewiasty zaśmiewały się do rozpuku, tak że można im było wyciągnąć wszystkie zęby. Królowa sześciokroć milczeć jej kazała, ale na nic to się zdało. Nie zatrzymała się wcześniej, aż powiedziała wszystko, co zamierzyła. A gdy wreszcie dobiegła końca, królowa ze śmiechem zwróciła się do Dionea:

– Dioneo, to spór dla ciebie stworzony! Dlatego, gdy skończymy nasze opowieści, musisz w tej mierze dać wyrok ostateczny. Na co Dioneo odparł niezwłocznie:

– Pani, wyrok już wydany, bez dalszego przesłuchania drugiej strony. Ogłaszam, że Liciska ma słuszość, i mniemam, że jest tak, jak powiada, a Tindar jest bałwanem.

Usłyszawszy to Liciska wybuchła śmiechem i obróciła się do Tindara:

– Nie mówiłam ci? Idź z Bogiem! Myślisz, że wiesz więcej ode mnie, ty, coś jeszcze oczu nie przetań? Bogu chwała, nie żyłam ja na darmo, o nie!

I gdyby królowa niecierpliwym spojrzeniem nie zmusiła jej do milczenia, zabraniając mówić dalej i zgiełk czynić, jeśli nie chce kijem oberwać, nie lza im byłoby dnia tego zająć się niczym innym, jak tylko jej uwagę poświęcić.

Gdy słuchając rozkazu oboje odeszli, przykazała królowa Filomenie, by opowiadać zaczęła.

Filomena wesołym głosem mówić jęła:

Opowieść pierwsza



ZRĘCZNA ODPOWIEDŹ

Pewien szlachcic obiecuje pani Oretcie, że gdy jego opowieści słuchać będzie, droga szybko jej minie, tak jakby na koniu jechała. Ponieważ jednak opowieść szlachcicowi nieskładnie idzie, dama prosi go, aby dalszą drogę piechotą odbywać mogła.

– Jak gwiazdy są ozdobą nieba w pogodne noce, kwiaty na wiosnę ozdobą zielonych łąk, a liściem odziane drzewa wzgórz ozdobą, tak, miłe moje panie, dowcipne powiedzenia są chwalebnych obyczajów i pięknych rozmów okrasą. A ponieważ zwięzłość jest ich cechą, przeto tym bardziej przystoją one niewiastom niż mężczyznom, im mniej białogłowom wskazana jest gadatliwość. Przyznać trzeba, że czy to z powodu niedostatków kobiecego umysłu, czy dla szczególnej niechęci, z jaką do czasów naszych odnoszą się niebiosy, niewiele dziś tylko niewiast pozostało, a może i żadna taka się nie znajdzie, która by umiała we właściwej porze dowcipnie się odezwać albo jeśli dowcip usłyszy, zrozumieć go jak należy. Wstyd to niemały dla nas wszystkich. Ale ponieważ Pampinea dość już o tej materii powiedziała, nie myślę dłużej tym się bawić. Aby wam jednak pokazać, jak piękne są słowa takie, we właściwym czasie rzucone, pragnę wam opowiedzieć, jak pewna zacnie urodzona pani w grzeczny sposób zmusiła do milczenia rycerza.

«Przed niedawnym czasem żyła w mieście naszym szlachetna dama, słynąca z przytomności umysłu i wielkiej swady. Wszyscyście ją znali bądź osobiście, bądź ze słuchu. Ponieważ chlubne jej przymioty przykładem być mogą, powiem wam tedy, że o pani Oretcie², żonie pana Geri Spina, chcę mówić. Dama ta, gdy raz, podobnie nam, na wsi przebywała, wybrała się z wielu panami i paniami, będącymi u niej w gościnie, na przechadzkę w okolicę. Ponieważ dosyć daleko było do celu podróży, ku któremu towarzystwo zdążyło piechotą, odezwał się więc jeden szlachcic do pani Oretty:

– Pani, jeżeli zechcesz, to postaram się większą część tej długiej drogi, którą jeszcze mamy przed sobą, tak ci skrócić pewną ciekawą opowieścią, iż zapomnisz o zmęczeniu i będzie ci się zdawało, że drogę tę na koniu przebywasz.

– Nie tylko pragnę tego – odparła dama – ale proszę was bardzo o to, niezmiernie grzecznością waszą będąc zaszczycona.

Rycerz, który może też nie lepiej władał szablą niż językiem, rozpoczął natychmiast historię, która w samej rzeczy bardzo piękną była, aliści w jego opowiadaniu nienajpiękniej wypa-

dła. To samo słowo cztery lub sześć razy powtarzał, do już opowiedzianych rzeczy powracał wykrzyknikiem: „Nie, nie tak było!”, wątek przerywał, wreszcie nazwiska na opak wymieniał albo z sobą mieszał, nie mówiąc już o tym, że jego sposób wygłaszania ani charakterowi osób, ani przytaczanym wypadkom nie odpowiadał. Madonna Oretta, słuchając go, gorącym potem się oblewała i już ledwo dychać mogła, jak gdyby zasłabła albo i ostatnie oddać miała tchnienie. Wreszcie, nie będąc w stanie już wytrzymać dłużej i widząc, że rycerz zaplątał się i nie może się z tego wydobyć, zawołała żartobliwie:

– Panie, koń wasz okrutnie trzęsie, proszę tedy, abyście pozwolili mi zejść z niego.

Szlachcic, obdarzony, na szczęście, większą pojętnością umysłu niżli zdolnością opowiadania, uszczypek zrozumiał i obrócił rzecz całą w żart i śmiech; po czym z chlubną zrzecznością przerwał zaczęta a źle opowiedzianą historię, do innych przechodząc opowieści.»

Opowieść druga



PIEKARZ

Piekarz Cisti zręczną swoją odpowiedzią pana Geri Spina bacznym czyni na niestosowność jego żądania.

Wszyscy mężczyźni i kobiety chwalili żywo przymówkę pani Oretty, po czym królowa skinęła na Pampinę, a ta w te słowa zaczęła:

– Kochane przyjaciółki! Próżno siliłam się dotychczas w myślach moich rozstrzygnąć, na kogo więcej narzekać należy, czy na naturę, gdy piękną duszę w niekształtnym ciele zamyka, czy na los, gdy ciało, piękną duszą obdarzone, do podłego zawodu zmusza. Ten ostatni przypadek zaszedł właśnie z jednym z rodaków naszych, piekarzem Cisti³, nie mówiąc o wielu innych. Człekowi temu, obdarzonemu wielkimi przymiotami umysłu, los piekarzem być kazał. W podobnych przypadkach przeklinałabym zarówno los jak i naturę, gdybym nie wiedziała, że natura we wszystkich rzeczach mądrą się okazuje, a los, jakkolwiek głupcy go ślepym nazywają, ma tysiąc oczu. I zdaje mi się nawet, że obaj ci władcy ludzkiej doli w takich razach bardzo mądrze postępują. Ludzie, niepewni przyszłości i obawiający się przypadku, najdroższe rzeczy swoje dla bezpieczeństwa w najbardziej niepozornym miejscu domu swego ukrywają, aby w stosownej chwili nienaruszonymi je znaleźć, bowiem niepozorna kryjówka lepiej ich strzegła, aniżeli to najokazalsza świetlica zdołała była uczynić. Tak samo los i natura największe skarby ukrywają nieraz w cieniu wzgardzonego rzemiosła, ażeby kiedy potrzeba, z tym większą świetnością i blaskiem na jaśnie je podać. Na dowód tego chcę wam opowiedzieć małą powiastkę o piekarzu Cisti, jak oczy otworzył panu Geri. Powiastka ta właśnie przy wspomnieniu o pani Oretcie na myśl mi przyszła, pan Geri bowiem był mężem tej damy.

«Owóż gdy papież Bonifacy⁴ w sprawach bardzo ważkich kilku znacznych panów w poselstwie do Florencji wyprawił, stanęli oni w domu pana Geri Spina⁵, cieszącego się wielkim zaufaniem papieża, i z nim w różnych sprawach, papieża dotyczących, się naradzali. Pan Geri, nie wiem już z jakiego powodu, wyruszał co dzień rano z posłami i przechodził w ich towarzystwie koło kościoła Santa Maria Ughi⁶, obok którego Cisti piekarnię posiadał, sami w niej robotą się zatrudniając. Fortuna dała mu w udziale bardzo skromne rzemiosło, jednakże do wszelkich dostatków dojść mu przez nie pozwoliła. Dlatego też Cisti, nie pragnąc zajęcia

swego na jakiegokolwiek bądź inne zamieniać, na dostatniej, a nawet okazałej żył stopie. Słyszał zwłaszcza z posiadania najlepszych białych i czerwonych win, jakie we Florencji i okolicy znaleźć było można. Otóż cny ten rzemieślnik, widząc codziennie pana Geri, przechodzącego z posłami koło jego piekarni, pomyślał, że przy tak wielkim skwarze nie byłoby od rzeczy białym winem ich uraczyć i że nie powinni by tego źle przyjąć. Wspomniawszy jednak przy tym na różnicę stanu pomiędzy nim a panem Geri zachodzącą, uznał, że rzeczą nieobyčajną będzie zaprosić takiego pana; wymyślił przeto sposób do skłonienia go, ażeby się sam zaprosił. W tym celu rano, o godzinie, w której pana Geri i posłów ujrzyć się spodziewał, zasiadał w śnieżnej białości kaftanie i świeżo wypranym fartuchu (tak że raczej do młynarza niż do piekarza był podobien) przed drzwiami swego sklepu, mając przy sobie nowe wiadro blaszane pełne świeżej wody, a przy nim dzbanuszek boloński swego wybornego białego wina i dwa kielichy tak lśniące, że się srebrnymi być wydawały. Ujrzawszy nadchodzących posłów, płukał dwukrotnie usta, a potem zaczynał pić z takim wyrazem ukontentowania, że w umarłym nawet pragnienie byłby rozbudził. Pan Geri spojrział nań kilka razy, aż wreszcie trzeciego dnia, przechodząc, rzekł w te słowa:

– Cóż, Cisti, jakże smakuje? Czy zacne? Cisti na te słowa podniósł się żwawo i rzekł:

– Że jest dobre, Wasza Miłość, wątpić nie lza, ale do jakiego stopnia, nie mogę wam dać do pojęcia, jeżeli go sami spróbować nie zechcecie.

Słyszając to, pan Geri (w którym czy to upał pragnienie obudził, czy też może większe niż zwyczajnie zmęczenie albo widok pijącego z taką przyjemnością Cistiego) zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł z uśmiechem:

– Mości panowie, przystało nam pokosztować wina u tego czcigodnego człeka; kto wie, może zacnym do tego stopnia się okaże, że próby żałować nie będziemy.

Po czym wszedł do piekarni po społu z posłami. Cisti posadził ich na czystej ławie, przyniesionej z izby, a potem rzekł do pomocników swoich, którzy chcieli się do mycia kielichów zabierać:

– Ostawcie mi nad wszystkim staranie. Rozumiem się równie dobrze na myciu i nalewaniu kielichów, jak na wkładaniu w piec chleba; jeżeli zaś obiecujecie sobie choćby kropelkę tego wina kosztować, mylicie się bardzo.

To rzekłszy, wyplukał i ustawił na stole cztery piękne i nowe kielichy, po czym kazawszy przynieść maleńki dzbanek swego wybornego wina, począł gościnnie i hojnie pana Geri i jego towarzyszy nim częstować.

Wszyscy uznali wino za bardzo zacne, któremu równego od bardzo dawnego czasu pić im się nie zdarzyło, i jęli je wychwalać na wszelkie sposoby. Od tego też dnia poczynając, pan Geri, dopóki posłowie nie odjechali, prawie co rano na wino z nimi do piekarza zachodził. Gdy zaś posłowie, ukończywszy sprawy swoje, odjeżdżać już mieli, wyprawił pan Geri dla nich okazałą ucztę, na którą wielu najznakomitszych obywateli sprosił, a wśród nich także Cistiego, ale ten żadną miarą zaproszenia przyjąć nie chciał.

Pan Geri pragnąc, aby goście jego owego sławnego wina od piekarza spróbowali, wysłał tedy sługę do Cistiego z prośbą o małą butelkę, tak ażeby na każdego gościa po pół szklanki przynajmniej do pierwszego dania wypadło. Sługa, którego może gniewało, że dotąd jeszcze wina tego spróbować nie zdołał, wziął z sobą wielką butlę i przyszedł z nią do piekarza. Ten, spostrzegłszy miarę naczynia, rzekł:

– Pan Geri, mój synku, przysłał cię nie do mnie.

I chociaż sługa zaręczał po kilkakroć, że wie, dokąd go posłano, Cisti upierał się przy swoim. Powrócił tedy sługa do pana Geri i zdał mu z tego, co się zdarzyło, sprawę.

Pan Geri odrzekł:

– Idź raz jeszcze do piekarni i powiedz, że cię w samej rzeczy do Cistiego, a nie gdzie indziej posyłam, a jeżeli ci da tę samą, co pierwej, odpowiedź, to go spytasz, dokąd też myśli, żem cię posyłał?

Sługa, przyszedłszy po raz drugi do piekarza, rzekł:

– Zaprawdę, Cisti, pan Geri do ciebie przyjść mi kazał.

Na co Cisti:

– Wierę, mój synu, być to nie może.

– No – zawołał sługa – gdzież więc, według ciebie, mnie posłał?...

– Do rzeki Arno – odparł Cisti.

Sługa zaniósł ten respons panu Geri, któremu gdy usłyszał słowa Cistiego, nagle w głowie zaświtało i zawołał:

– Pokaż mi butelkę, z którąś chodził! Ujrzawszy ją, rzekł:

– Cisti miał słuszność.

I zgromiwszy sługę, kazał mu wziąć stosowne naczynie i z nim znowu do piekarza się udać. Cisti zmierzył wzrokiem przyniesioną butelkę i rzekł:

– Teraz widzę, że do mnie cię przysłano.

I nie tylko chętnie naczynie to swym wybornym winem nappełnił, ale tegoż samego wieczora kazał beczuleczkę wina natoczyć i ostrożnie panu Geri do domu ją zanieść. Wkrótce potem sam udał się do niego i rzekł:

– Panie, nie chciałbym, ażebyście sądzili, że owa wielka butla dzisiaj rano mnie zastraszyła. Zdawało mi się tylko, żeście zapomnieli o tym, na co wskazywały małe dzbanuszki u mnie, a mianowicie, iż wino to nie jest zwyczajnym cienkuszem stołowym. Dlatego też dziś rano chciałem wam o tym przypomnieć. Teraz zaś, nie chcąc dłużej mieć na pieczy tego, co wam przynależy, odsyłam wam całą resztę tego wina i proszę, abyście rozporządzali nim wedle woli.

Pan Geri przyjął podarek Cistiego z wielkim ukontentowaniem, podziękował mu, jak za podobny dar podziękować należało, i od tego czasu uważał go za człowieka wielce godnego szacunku, a także za swego przyjaciela.»

Opowieść trzecia



FAŁSZYWA MONETA

*Nonna de'Pulci, odpowiedziawszy zręcznie na żart nieskromny florenckiego biskupa, re-
sponsem tym usta mu zamyka.*

Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, wszyscy pochwalili Cistiego za jego respons, jako i za jego hojność. Potem królowa na Laurettę z kolei ręką skinęła. Lauretta z uprzejmym wyrazem oblicza zaczęła w te słowa:

– Wdzięczne przyjaciółki! Jak pierwej Pampinea, tak teraz znów Filomena wielką słuszność miały, zwracając uwagę naszą na brak przytomności umysłu, który dzisiejsze białogłowy cechuje, i wychwalając trafne słówka a dowcipne odpowiedzi. Do ich słów w tej materii nic już dodać nie można, chyba to tylko, że jeśli żart ma ukąsić, to nie jak pies, ale jak jagnię kąsać powinien, w przeciwnym bowiem razie nie żart to będzie, ale grubiaństwo. Cisti i pani Oretta doskonale miarę tę rozumieli. Jeżeli jednak i zjadliwą odpowiedź pochwalić można, to tylko w tym razie, gdy jest odparciem wyraźnej złośliwości i chęci obrażenia, jak pies się odgryza ten, kto psa ukąszenie poczuł na sobie. Zanim bowiem wda się ktoś w żarty, zważyć dobrze powinien, jak, kiedy i z kim to czyni. Pewien prałat z naszego miasta za to, że o tym wszystkim przepomniał, bolesną odebrał naukę, jak to wam zaraz opowiem.

«Za czasów, gdy Imć Antonio d'Orso⁷, mądry i czcigodny książę Kościoła, był biskupem florenckim, przybył do tego miasta pewien szlachcic kataloński nazwiskiem Diego della Ratta⁸, marszałek króla Roberta⁹. Urodziwy ten mąż, będący przy tym wielkim kobiet lubownikiem, szukając sobie pośród pięknych Florentynek zdobyczy, zwrócił oko na urodziwą wielce białogłową¹⁰, wnuczkę biskupiego brata. Mąż tej białogłowy, mimo że był człkiem zacnego rodu, słynął z brudnego skąpstwa i nikczemnego charakteru. Pan Diego, dowiedziawszy się o tym, śmiało przystąpił do niego i rzekł, że da mu pięćset dukatów w zamian za pozwolenie przepędzenia jednej nocy z jego żoną. Zgoda wnet nastąpiła, i pan Diego, wbrew chęciom owej pięknej niewiasty, noc po społu z nią spędził, potem jednakże mężowi jej miast pięćset obiecanych dukatów dał pięćset srebrnych groszy, jakie były wówczas w obiegu, a które zręcznie pozłocić kazał. Wiadomość o tym wnet się po całym mieście rozniosła i podły mąż wstyd i szkodę zarazem ponieść musiał. Biskup, dowiedziawszy się o całej sprawie, jak na roztropnego człeka przystało, nic po sobie nie pokazał i po dawnemu przebywał wiele z panem Diego, z którym go dotąd przyjazne wiązały stosunki.

Otóż zdarzyło się, że gdy w dzień świętego Jana obydwaj przejeżdżali konno przez plac, na którym wyścigi się odbywały, i przyglądali się przytomnym damom, biskup spostrzegł pewną młodą białogłową, którą obecnie morowa zaraza nam wydarła. Była to Nonna de'Pulci, krewniaczka pana Alessio Rinucci, którą wszyscy zapewne znać musieliście. W owym czasie miała ona w sobie całą krasę młodości, a przy tym znana była z żywości umysłu i obrotnego słowa. Przed niedawnym czasem poszła właśnie za męża i mieszkała niedaleko bramy Św. Piotra. Biskup już z daleka ją pokazywał panu Diego, skoro się zaś do niej przybliżył, uderzył po ramieniu swego towarzysza i zwracając się do pani Nonny, rzekł:

– Nonno, cóż myślisz o tym zuchu? Dałabyś mu rady.

Pani Nonna poczuła się urażoną tymi słowami, godzącymi w jej uczciwość, tym więcej że wypowiedziane one zostały w obecności wielu słuchaczy, którzy stąd złe mniemanie o cnotcie jej powziąć by mogli, i w jednej chwili postanowiła nie tylko wszelkie podejrzenie od siebie usunąć, ale i pięknym za nadobne zapłacić, dlatego też żywo odparła:

– Panie, może by mi on nie dał rady, ale i w każdym razie żądałabym dobrej monety.

Marszałek i biskup jednocześnie drgnęli na te słowa i zmieszali się – pierwszy przypomniawszy sobie nieuczciwe postąpienie swoje z krewniaczką biskupa i jej mężem; drugi na wspomnienie hańby, która przez tę krewniaczkę rodzinie jego się stała. Nie patrząc więc na siebie, zawstydzeni, w milczeniu z tego miejsca odjechali, nie mówiąc już tego dnia nic więcej. Młodej damie zaś nikt tego za złe nie miał, że zjadliwym słowem nieprzystojną napaść odparła.»

Opowieść czwarta



JEDNONOGI ŻURAW

Chichibio, kucharz Currada Gianfigliazzi, ratując się bystrym responsem gniew swego pana w wesołość zamienia i przez to grożącej mu kary unika.

Po Lauretcie i jednogłośnych pochwałach pani Nonnie złożonych Neifila na rozkaz królowej głos zabrała:

– Piękne towarzyski – rzekła – nie dziwota, gdy bystry umysł znajdzie natychmiast słówko trafne i celne do okoliczności stosowne; ale czasem zdarza się także, że tępemu i bojaźliwemu człowiekowi ostatnia i ciężka potrzeba podsunie tak doskonały respons, jakiego by w spokojnej chwili nigdy wymyślić nie potrafił. Dam wam zaraz dowód na to.

«Currado Gianfigliazzi¹¹, jak to każdy z was już zapewne słyszał, a może i widział, był jednym z najszczodroblewszych i najgościnniejszych obywateli naszego miasta. Wiecie także, że rycerski wielce żywot pędził i osobliwe upodobanie w psach i ptakach łowczych znajdował – by już o większych jego dziełach nic nie rzec. Otóż pewnego dnia, gdy sokół jego koło Peretoli żurawia upolował, pan Currado, widząc, że ptak jest młody i tłusty, posłał go swemu doskonałemu kucharzowi z rozkazem przyrządzenia tej zdobyczy smakowicie na wieczerzę. Chichibio¹² (tak się nazywał ów kucharz, Wenecjanin, będący wielkim tępakiem z wejrzenia i w rzeczy samej) oskubał żurawia, wsadził go na rożen i jał troskliwie opiekować. Potrawa była już niemal gotowa i wokół siebie silną i apetyczną woń rozsiewała, gdy pewna niewiastka z okolicy, imieniem Brunetta, w której Chichibio był wielce rozkochany, do kuchni weszła, a poczuwszy woń mięsiwa na rożnie i widząc żurawia, najpieszczotliwszymi słowy ją prosić kucharza, ażeby jedno udo dla niej odciął.

Chichibio odrzekł, śpiewając:

Nic z tego, piękna Brunetto, nic z tego, wierzaj mi!

Czym dziewczynę tak rozgniewał, że zawołała:

– Ha! Jeśli tak, to przysięgam ci, że jak Bóg na niebie, i ty nigdy niczego ode mnie nie dostaniesz.

Wówczas Chichibio po krótkim, ale w słowa obfitym sporze, nie chcąc dręczyć niewiasty, odciął żurawiowi jedną nogę i obdarzył nią swoją umiłowaną.

Gdy godzina wieczerzy nadeszła, postawiono przed panem Curradem i gośćmi owego żurawia o jednej nodze. Wówczas gospodarz, zdziwiony, rozkazał przywołać kucharza i zapytał go, co się z drugim udem stało. Chichibio, który jako Wenecjanin, w łgarstwie celował, odrzekł natychmiast:

– Panie, żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę.

Na to pan Currado, rozgniewany, zawołał:

– Jak to, do kroćset, chcesz wmówić we mnie takie głupstwo? Zali to pierwszy żuraw, którego w życiu widzę?

Ale Chichibio, niezmiuszony, rzekł:

– Jest tak, jak powiadam, a jeśli chcecie, panie, to na żywych żurawicach dowodnie wam to pokażę.

Currado przez wzgląd na przytomnych gości pohamował się i rzekł:

– Jeśli obiecujesz pokazać mi to, czegom nigdy sam nie widział ani nie słyszał o tym od innych, jutro obietnicy dotrzymać musisz. Jeżeli jednak nie zdołasz tego uczynić, to przysięgam na ciało Chrystusa, że dam ci taką naukę, iż przez całe życie swoje z trwogą o mnie wspominać będziesz.

Na tym skończyła się tego wieczora ich rozmowa. Nazajutrz zaraz o świcie pan Currado, którego gniew we śnie wcale nie osłabł, podniósł się z łoża, jeszcze jakby napęczniały, kazał wsiąść kucharzowi na koń, a potem wspólnie z nim wyjechał kierując się ku bagnom, położonym przy rzece, nad brzegiem której o wczesnym ranku najczęściej żurawie się trafiały. Po drodze zasię rzekł do Chichibia:

– Obaczymy teraz, kto wczoraj zełgał: ja czy ty.

Chichibio, widząc, że gniew jego pana nie sfolgował i że trzeba dowieść prawdy słów swoich, co rzeczą niemożliwą mu się zdawało, jechał w największym strachu za panem Curradem. Gdyby mógł, byłby chętnie umknął, gdzie pieprz rośnie. Nie mając jednak tej możliwości, spoglądał raz na prawo, to znów na lewo lub przed siebie, a każdy przedmiot, który przed nim zamajaczył, zdał mu się być żurawiem, stojącym na dwóch nogach.

Nareszcie na brzegu rzeki ujrzał pierwszy około dwunastu żurawi, stojących na jednej nodze, jak to jest w obyczaju u tych ptaków, gdy je sen zmorzy.

Na ten widok Chichibio obrócił się żywo do swego pana i rzekł wskazując na ptaki:

– Teraz jawnie przekonać się możecie, że wczoraj wieczorem prawdę powiedziałem twierdząc, iż żurawie mają tylko jedno udo i jedną nogę. Spójrzycie tylko przed siebie.

Currado zawołał:

– Poczekaj chwilę, zaraz ci pokażę, że żurawie mają dwie nogi.

I podjechawszy bliżej nieco, zakrzyknął:

– Ha! Ha!

Na ten krzyk spłoszone żurawie opuściły natychmiast podniesioną w górę nogę i przebiegłszy kilka kroków odleciały z pośpiechem.

Wówczas pan Currado zwrócił się do Chichibia i spytał:

– No! hultaju, jak ci się zdaje, ile nóg mają?

Chichibio ze strachu już prawie zmysły postradał, ratując się zawołał jednak:

– W samej rzeczy, wielmożny panie, w samej rzeczy, ale na wczorajszego żurawia nie krzyknęliście: „ha! ha!”. Gdybyście to byli uczynili, jestem pewien, że i on byłby drugą nogę pokazał, jako i te ptaki przed chwilą.

Niespodziana ta odpowiedź wprawiła pana Currado w tak wielką wesołość, że cały gniew jego stopniał i gwałtownemu śmiechowi miejsca ustąpił. Wreszcie, pohamowawszy się nieco, rzekł:

– Masz słusność, Chichibio, powinienem był tak wczoraj wieczór postąpić. Moja więc to wina, nie twoja.

Takim to sposobem Chichibio, ułagodziwszy szybką i zabawną odpowiedzią swego pana, ciężkiej kary uniknął.»

Opowieść piąta



SZPETNY WYGLĄD

Pan Forese da Rabatta i malarz Giotto jadą razem z Mugello. Jeden z nich pokpiwa ze szpetnego wyglądu drugiego.

Gdy Neifile umilkła i gdy odpowiedź Chichibia wielką uciechą damom sprawiła, na rozkaz królowej głos zabrał Panfilo:

– Często się zdarza, jak już o tym Pampinea wspominała, że los największe nawet cnoty i zdatności w cieniu nędznego rzemiosła chowa, a natura znów zadziwiające przymioty umysłu pod odstraszącą postacią ludzką ukrywa. Jawnie się to pokaże na przykładzie dwóch ziomków naszych, o których wam pokrótce opowiedzieć zamierzam. Jeden z nich, pan Forese da Rabatta¹³, był człekiem tak małego wzrostu i nikczemnej postury, twarz miał tak płaską, a nos tak zadarty, że najszeptniejszy z Baroncich¹⁴ nie chciałby się z nim na powierzchowność mieniać. Jednocześnie tak głęboką wiedzę w kwestiach prawnych celował, że najuczciwsi ludzie prawdziwą studnią mądrości go nazywali.

Drugiemu na imię było Giotto¹⁵. Był to człek tak wysokimi zdolnościami obdarzony, że natura, matka i twórczyni wszystkiego, żadnej rzeczy w kręgu wszechświata tak pięknej wydać nie mogła, której by on rylcem, piórem lub pędzlem odtworzyć nie był zdołał – i to w ten sposób, iż dzieła jego nie tylko zupełne podobieństwo do rzeczy wyobrażonej miały, ale samą naturą być się zdawały i ludziły do tego stopnia wzrok ludzki, że wiele razy za prawdziwe brano, co wymalowane było. Słusznie nazwano go przeto jednym z promieni chwały świetlanej Florencji. On to bowiem sztukę, setki lat krzywdzoną przez tych, którzy więcej dbali o przypodobanie się oczom nieukształconych widzów niż umysłowi ludzi światłych, z upadku podniósł i nowym blaskiem otoczył. Przy tym zasię w nieporównanej skromności swojej (jakkolwiek wszyscy artyści uczniami jego byli) nigdy imienia mistrza przyjąć ani nosić nie chciał. Więcej go jednak zdobiła i podnosiła ta skromność niżli tytuł mistrza, który sobie przywłaszczali chciwie ludzie sto razy mniej w sztuce od niego i od jego uczniów zawołani. Przy całej wielkości jego sztuki, uroda jego i rysy ani na krztynę piękniejsze nie były od urody i rysów pana Forese. Wróćmy jednak do opowieści.

«Forese i Giotto mieli posiadłości w Mugello. Otóż w czasie kanikuły i feryj sądowych pan Forese wybrał się na wieś dla obejrzenia swego gospodarstwa, w drodze powrotnej zasię,

jadąc na niepozornej klaczy, napotkał wspomnianego już malarza, który podobnie, włości swe obejrzwawszy, do Florencji wracał.

Giotto nie miał ani o źdźbło lepszego wierzchowca, a strój jego był równie podły jak strój pana Forese. Zrównali rumaki swoje i jak na dwóch sędziwych ludzi przystało, stępa obok siebie jechać poczęli.

Naraz, jak się to często w lecie przytrafia, nagły deszcz padać zaczął, zmuszając ich do szukania sobie czym prędzej schronienia w domu pewnego kmiotka, który ich obydwu znał dobrze i przyjaźnią darzył. Ponieważ czas mijał i nie można było żywić nadziei, że wypogodzi się wkrótce, a oni tegoż dnia do Florencji powrócić chcieli, pożyczili sobie tedy dwa stare, grube płaszcze, jakie znaleźli pod ręką, oraz dwa kapelusze, całkiem prawie znoszone, i w tym stroju w dalszą drogę się wybrali. Wkrótce deszcz zmoczył ich do nitki, konie obryzgały ich błotem, tak iż godności przydawać im to nie mogło. Jechali obok siebie w milczeniu, gdy się jednak niebo nieco wyjaśniło, wdali się w gawędę. Pan Forese, jadąc i słuchając Giotta, który bardzo pięknie zwykł mówić, począł mierzyć go wzrokiem od stóp do głowy; wreszcie, zważywszy jego mizerny pozór, niepamiętny na to, jak sam wygląda, śmiać się począł i zawołał:

– Giotto, gdyby teraz jakiś obcy, nie znający ciebie człowiek napotkał nas, zali sądzisz, że mógłby uwierzyć, iż widzi przed sobą najbardziej zawołanego na świecie malarza?

– Panie – odparł nie namyślając się Giotto – sądzę, że uwierzyłyby temu, gdyby wraz, tobie się przyjrzwawszy, mógł uwierzyć, że znasz choćby abecadło.

Pan Forese usłyszawszy to spostrzegł swoją winę i poczuł, że mu równą monetą odpłaciłno.»

Opowieść szоста



DOWÓD SZLACHTWA

Michele Scalza dowodzi kilku młodzieńcom, że Baronci są najstarszym rodem na świecie, i w zakładzie wieczerzę wygrywa.

Damy śmiały się jeszcze z trafnej odpowiedzi Giotta, gdy królowa Fiammetcie dalej opowiadać rozkazała. Fiammetta tak rzecz podjęła:

– Panfilo w poprzedniej opowieści wspomniał o Baroncich, których wy, drogie przyjaciółki, nie znacie zapewne tak dobrze jak on; pragnę tedy, nie oddalając się od materii naznaczonej, opowiedzieć wam, jak starodawne jest szlachectwo ich rodu.

«Przed niedawnym czasem żył w mieście naszym młodzieniec, imieniem Michele Scalza, najweselszy na świecie krotochwilnik, znany z daru opowiadania osobliwych powieści, które jak z rękawa wytrząsał. Młodzi Florentczycy, ilekroć przedsiębrali jaką wesołą zabawę, ubiegali się o jego towarzystwo. Otóż gdy młodzieniec ten pewnego dnia wraz z innymi w Montughi¹⁶ się znajdował, zdarzyło się, iż wszczął się spór o to, który z rodów florenckich jest najstarszym i najszlachetniejszym. Jedni twierdzili, że Uberti, drudzy, że Lamberti, ten wymieniał jedno nazwisko, inny drugie, każdy wedle swego rozumienia. Scalza, przez długi czas przysłuchując się w milczeniu, śmiać się naraz począł drwiąco i zawołał:

– O głupcy, głupcy, sami nie wiecie, co powiadacie! Najstarszym i najszlachetniejszym rodem nie tylko we Florencji, ale na całym świecie, a nawet w bagnach Maremmy, są Baronci. Już dawno zgodzili się na to filozofowie oraz wszyscy, równie dobrze jak ja, tę rodzinę znający. Ażebyście jednak nie sądzili, że mówię o kim innym, wiedźcie więc, że myślę o Baroncich z Santa Maria Maggiore, waszych sąsiadach.

Zgromadzona młodzież mniemała dotychczas, że słowa Scalzy odnoszą się do nieznanых Baroncich, aliści usłyszawszy jego wyjaśnienie, wszyscy przytomni roześmieli się w głos i zawołali:

– Cóż to, za dudków nas bierzesz? Czyż nie znamy Baroncich równie dobrze jak ty?

– Klnę się na Ewangelię – zawołał Scalza – że nie chcę żartować. Mówię wam najświętszą prawdę i założyć się nawet gotów jestem o to z każdym z was; stawką niech będzie wieczerza na sześć osób, które wygrywający sam sobie wybierze. Więcej jeszcze, gotów jestem poddać się czyjemu tylko zechcecie wyrokowi w tej sprawie.

Na to jeden z młodzieńców, nazwiskiem Neri Vannini, rzekł:

– Dobrze, przyjmuję zakład ciesząc się zawczasu, że wieczerzę wygrałem.

Po czym umówiwszy się, że Piero di Fiorentino, w którego domu właśnie się znajdowali, rozstrzygnie zakład pomiędzy nimi, natychmiast do niego się udali. Reszta młodzieży pośpieszyła za nimi, ażeby być świadkami, jak Scalza przegra zakład, i aby nadrzeć się potem z niego do syta.

Skoro przybyli do Piera i opowiedzieli mu o szczegółach zakładu, Piero, nader roztropny młodzian, wysłuchał wpierw Neriego, a potem zwrócił się do Scalzy z zapytaniem:

– W jaki sposób zamýślasz dowieść swego twierdzenia?

– W sposób tak przekonywający – odrzekł Scalza – racji mojej dowiodę, że nie tylko ty, ale ten nawet, kto mi obecnie kłam zadaje, słuszność mi przyznać będzie zmuszony. Wiadomo wam, że im ród jaki jest starszy, tym także jest szlachetniejszy. Jeżeli więc wam dokażę, że Baronci należą do najstarszej szlachty, dowiodę zarazem, że i do najlepszej się liczą. Wiedźcie tedy, iż Pan Bóg stworzył Baroncich w owym czasie, kiedy ledwo zaczynał uczyć się lepienia z gliny, wszyscy zaś inni ludzie powstali z jego ręki wtedy, kiedy już w tym kunszcie celować począł. Dla przekonania się, że prawdę mówię, popatrzcie uważnie na Baroncich, a potem na innych śmiertelników. Podczas gdy twarze i postaci innych są foremnie ukształtowane, przyznać musicie, że z Baroncich jeden ma nieskończenie długą i wąską twarz, a drugi znowu bez miary szeroką. U tego nos się nie kończy, u innego nie ma go prawie, tamten znów ma podbródek naprzód podany i zadarty w górę, a szczęki jego i uszy oślim się równają.

Ba, są nawet tacy pomiędzy nimi, którzy mają jedno oko małe, a drugie wielkie albo jedno wyżej od drugiego umieszczone. Słowem, oblicza ich podobne są do malowideł, które dzieci kreślą, gdy rysować się uczą. Jawnie stąd widać, jak to już powiedziałem, że ich Bóg wtedy stworzył, gdy się dopiero z gliny lepić uczył. Z tego wynika, że ród ich jest najdawniejszym ze wszystkich rodów, a więc i najszlachetniejszym.

Ze Baronci w samej rzeczy tak wyglądali, jak ich Scalza opisał, wiadomo było sędziemu Pierowi, Neriemu i wszystkim obecnym. Słyszając tedy żartobliwy argument, jakiego Scalza użył, parsknęli wszyscy śmiechem i oświadczyli jednogłośnie, że słuszność jest po stronie Scalzy, że wieczerza do niego należy, i że Baronci bez najmniejszej wątpliwości są najszlachetniejszym i najstarszym rodem nie tylko we Florencji, ale i na całym świecie, a nawet w Maremmie.

I dlatego też słusznie Panfilo, chcąc dać pojęcie o szpetocie oblicza pana Forese, rzekł, że żaden z Baroncich nie chciałby się z nim pomieniać.»

Opowieść siódma



NIEWIERNĄ ŻONA

Madonnę Filippę zaskoczył mąż w ramionach jej miłośnika. Filippa, stanąwszy przed sądem, szybkim i zręcznym responsem uwalnia się od kary i przyczynia się do zmiany niesprawiedliwego prawa.

Gdy Fiammetta umilkła, wszyscy jeszcze długo się śmieli z powodu niezwykłego argumentu, jakiego użył Scalza, aby dowieść wyższości rodu Baroncich nad wszystkimi innymi. Po chwili królowa obróciła się do Filostrata rozkazując mu opowiadać dalej. Filostrato tak zaczął:

– Wielce szanowne damy! Wielka to jest zawsze zdatność, gdy się dobrze mówić umie, aliści jeszcze większą umiejętnością jest mówić dobrze wówczas, gdy tego konieczność wymaga. Dar ten posiadała pewna szlachetna dama, o której wam teraz opowiedzieć zamierzam. Nie tylko wesołość i śmiech słuchaczy wywoływać nieraz umiała, aliści też haniebnej śmierci ująć potrafiła.

«W mieście Prato istniało ongiś wielce surowe i godne potępienia prawo. Według tego prawa, bez żadnej różnicy, żona, którą mąż na niecnocie z kochankiem przychwycił, spalona na stosie być musiała równie jak i ta, co za pieniądze mężczyznom ciało swoje oddawała i na tym przydybana została. Gdy prawo to jeszcze moc swoją miało, zdarzyło się, że pewna szlachetna i urodziwa dama, zakochana okrutnie, Filippą zwana, została nocą we własnej komnacie zdybana przez męża swego, Rinalda de'Pugliesi¹⁷, w ramionach kochanka, Lazzarina de'Guazzagliotri, urodziwego i szlachetnego młodzieńca, który równie ją miłował jak ona jego. Rinaldo na ów widok w taką wściekłość wpadł, że zaledwie pohamować się zdołał, aby nie rzucić się na nich i obojga nie zabić. Gdyby był wiedział, że za swój czyn odpowiadać nie będzie, ani chybi, uległby pierwszemu gniewu zapędowi i życia by ich pozbawił. Pohamowawszy się nie mógł jednakże odmówić sobie tego, aby obrócić się do miejscowego sądu, dla dopełnienia kary, której sam dopełnić nie mógł. Zebrawszy dostateczne dowody, świadczące o wiarołomstwie żony, rankiem następnego dnia, nikogo uprzednio o radę nie pytając, wniósł do sądu skargę na Filippę. Filippa, białogłowa wielce odważna, tak jak odważnymi pospolicie bywają wszystkie prawdziwie miłujące białogłowy, postanowiła stanąć przed sądem (aczkolwiek krewniacy i przyjaciele odradzali jej to z wszystkich sił swoich), wołac raczej całą swoją

tajemnicę wyjawic i mężnie śmierć spotkać niżli tchórzliwą ucieczką się salwować, żyć wiecznie na wygnaniu i przez to okazać się niegodną kochanka, w którego objęciach ostatnią noc spędziła. Otoczona wielu mężczyznami i białogłowami, którzy błagali ją, aby do winy się nie przyznawała, stanęła przed podestą i spytała go spokojnym głosem, czego od niej żąda. Podesta, spojrzawszy na Filippę i przekonawszy się, że ma przed sobą piękną i układną nad wyraz białogłową, a do tego wielkim męstwem obdarzoną, o czym jej słowa dowodną pozna-kę dawały, uczuł litość dla niej i obawiać się począł, aby jakimś niebacznym słowem się nie zdradziła, co by zmusiło go do wydania wyroku śmierci na nią, jeśli godności swej nie chciał uchybić.

Nie mogąc jednak uniknąć zapytania jej o to, co jej zarzucono, podestą rzekł:

– Jak widzicie, madonno, mąż wasz, Rinaldo, jest tutaj przytomny. Wniósł on na was skargę twierdząc, że was na wiarołomstwie przychwycił, i dlatego też domaga się ode mnie, abym zgodnie z istniejącym prawem, śmiercią was za to ukarał. Nie będę mógł jednakże uczynić tego, dopóki sama do winy się nie przyznacie. Dlatego też pomyślcie wprzód dobrze, nim mi odpowiedź dacie, i powiedzcie mi, zali słuszną jest skarga męża waszego?

Dama wcale się nie zmieszawszy odpowiedziała mu ujmującym głosem:

– To prawda, że Rinaldo jest moim mężem i że zeszłej nocy zastał mnie w objęciach Lazzarina, do którego często należałam dla tej czystej i wielkiej miłości, jaką dla niego żywię. Nigdy temu zaprzeczać nie będę. Aliści mniemam, że wam wiadome jest, iż prawa powinny istnieć dla wszystkich i że ustanawiać je winno się za zgodą tych, co im podlegać mają. W tym jednak wypadku sprawa ma się całkiem inaczej, prawa te srożą się tylko nad biednymi kobietami, które o ileż łatwiej niż mężczyźni zdołałyby zaspokoić wielu, krom tego zważyć trzeba, że ani jedna kobieta nie wyraziła swej zgody na ustanowienie tego prawa, a także o wyrażenie swego mniemania proszona nie była. Dlatego też prawo to niesprawiedliwym nazwać trzeba. Jeśli chcecie je wypełnić na zgubę ciała mego i waszej duszy, czyńcie swoją powinność. Nim jednak do sądenia mnie przystąpicie, proszę, abyście mi małą łaskę okazali i spytali męża mego, zaliżem mu powolna nie była, ile razy chciał tego, i czy kiedykolwiek pragnienia jego całkowicie nie wypełniłam.

Rinaldo, nie czekając na zapytanie sędziego, odparł, że jego żona w samej rzeczy po dobrej woli wszystkie jego pragnienia wypełniać była zwykła.

– A zatem – rzekła dama – spytam jeno, jeśli brał ode mnie zawsze wszystko, czego pragnął i co mu się podobało, cóż miałam i mam czynić z resztą, która pozostała? Miałam ją może psom rzucić? Czyż nie lepiej ugościć nią szlachetnego młodzieńca, miłującego mnie nad życie własne, niż zmarnować ją niegodnie?

Do sądu na sprawę pani Filippy, osoby tak znamienitej, zeszli się prawie wszyscy mieszkańcy Prato. Usłyszawszy jej wdzięczny respons, gromkim śmiechem wybuchnęli i jak jeden mąż zawołali, że słusność jest po jej stronie.

Zanim się rozeszli, uległszy namowom podesty, zmienili tedy niesprawiedliwe prawo i postanowili, aby tyczyło się ono tylko tych kobiet, które dla pieniędzy mężów swych zdradzają. Rinaldo, srodze zawstydzony, wyszedł z sądu, zasię dama wesoło i niefrasobliwie, jakby z płomieni zmartwychwstała, do domu z chwałą powróciła.»

Opowieść ósma



DOBRA RADA

Pan Fresco radzi swej siostrzenicy, aby się w zwierciadle nie przeglądała, jeśli – jak powiadała – odrażającego oblicza obaczyć nie chce.

Historia, opowiedziana przez Filostrata, zawstydziła nieco z początku słuchające go damy, czego żywym dowodem był rumieniec, który okraślił ich lica, później jednak, spojrzawszy jedna na drugą, zaledwo mogąc powstrzymać się od śmiechu słuchały chichotając. Królowa uciszyła tę wesołość i wydała Emilii rozkaz przystąpienia do nowej opowieści. Ta, drgnąwszy, jak gdyby z głębokiego snu zbudzona, tak z westchnieniem zaczęła:

– Drogie przyjaciółki! Chociaż myśli moje daleko stąd odbiegły, przecie chcę być posłuszną rozkazaniu królowej. Poprzestanę jednak na znacznie może krótszej opowieści, niżbym uczyniła, gdyby duch mój stąd się nie oddalał. Opowiem wam tedy o jednej głupiutkiej dziewczynie, która, przez wuja swego jadowitym uszczyptkiem przyganiona, nie miała dosyć rozsądku, ażeby się na tym poznać.

«Szlachcic, nazwiskiem Fersco da Celatico, miał siostrzenicę, którą zwykle Cescą¹⁸ pieszczotliwie nazywano. Dzieweczka ta, jakkolwiek urodziwą postać i wdzięczne oblicze miała, nie mogła się jednak zaliczać do rzędu owych anielskich piękności, jakie się niegdyś na tym świecie trafiały. Ona sama jednak za taką piękność i doskonałość się poczytywała, że w obyczaj jej weszło o innych kobietach z lekceważeniem się odzywać, jako o niegodnych wchodzenia z nią w paragon. Przekorna i kłótniwa, mężczyzn wszystkich miała za nic, a w każdej rzeczy coś złego umiała wynaleźć nie myśląc wcale o tym, ile sama wad i przywar posiada. Gdyby była pochodziła z rodu królów Francji, wierę, nie mogłaby wówczas być dumniejszą i bardziej nieprzystępną. Z powodu jej swarliwości i złościwości nie podobna z nią długo przebywać było. Dosyć ją było zobaczyć na ulicy z krzywą i kapryśną miną, kręcącą nosem na świat cały, jakby śmierdziało jej wszystko, co widziała lub spotykała – ażeby nabrać stosownego pojęcia o różnych jej zaletach.

Otóż zdarzyło się, że pewnego dnia młódka z większymi niż zwyczajnie grymasami do domu powróciła. Usiadłszy obok swojego wuja, prychać i wzdychać zaczęła.

Pan Fresco, spostrzegłszy to, rzekł:

– Cóż to znaczy, Cesco, że dzisiaj, w dzień świąteczny, tak prędko do domu powróciłaś?

Na co młódka, mizdrząc się pociesznie, odparła:

– Wróciłam tak rychło, bo nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze w tym mieście tylu obrzydliwych i odrażających mężczyzn i kobiet na raz spotkać co dzisiaj. Ani jednej istoty znaleźć nie mogłam pomiędzy tłumem przechodniów, która by mi wstrętną nie była. Nie sędzę zaś, aby istniała na świecie druga białogłowa, której by było równie trudno jak mnie patrzeć na nie-miłe oblicza. Aby więc nie spoglądać na nie, wróciłam tak szybko.

Fresco, któremu nedorzeczna próżność siostrzenicy zbytnio już we znaki się dała, odrzekł z powagą:

– Moje dziecko, skoro widok niemiłych osób tak cię drażni, to jeżeli chcesz mieć spokój, unikaj przeglądania się kiedykolwiek w zwierciadle.

Cesca, której się wydawało, że dla swej mądrości z Salomonem w paragon wchodzić by mogła, nie pojęła przymówki swego wuja i z baranym spokojem odparła, że nie widzi przyczyny, dlaczegoby się w zwierciadle, jak inne niewiasty, przeglądać nie miała.

Tak oto, dzięki tępcie swego umysłu, pozostała głupią i próżna na całe życie.»

Opowieść dziewiąta



GUIDO CAVALCANTI

Pan Guido Cavalcanti zręczną przymówką powiada uprzejmie rzecz obelżywą kilku florenckim pankom, którzy go nagle zaskoczyli.

Królowa widząc, że Emilia opowiadanie swoje skończyła i że z wyjątkiem jej, a także uprzywilejowanego do mówienia przy końcu Dionea, wszyscy z obowiązku swego się wywiązali, w te słowa się odezwała:

– Chociaż, miłe moje panie, zabrałyście mi dziś co najmniej dwie opowieści, z których jedną myślałam wam przytoczyć, to przecież jedna mi pozostała, która kończy się zdaniem tak pełnym treści, że o podobnym może jeszcze mowy tu nie było.

«Musicie wiedzieć, że dawnymi czasy w mieście naszym wiele pięknych i chwalebnych panowało zwyczajów, które teraz prawie całkiem w zapomnienie poszły, bowiem rosnące wraz z zamożnością skąpstwo na wstępie im stanęło.

I tak było w obyczaju, że znaczniejsi obywatele z sąsiednich ulic zbierali się często razem w różnych dzielnicach miasta i łączyli w towarzystwa, z pewnej określonej liczby osób się składające. Baczono przy tym na to, ażeby tylko takich ludzi do społeczności przyjmować, którzy by koszta wspólne podjąć mogli. Raz tedy uczta u jednego wypadła, drugi raz u innego, i w ten sposób kolej na wszystkich przychodziła, i każdy w dniu oznaczonym podejmował całą kompanię. Często na takich ucztach goszczono znakomitych cudzoziemców, o ile do Florencji przybywali, albo też spraszano na nie miejscowych obywateli. Przynajmniej raz w rok uczestnicy przywdziewali strój jednakowy i w pochodzie jechali razem przez miasto, to znów urządzali turnieje, szczególnie w dni wielkich świąt, z okazji zwycięstwa, albo też jakiego zdarzenia radosnego dla całego miasta.¹⁹

Na czele jednej takiej kompanii stał pan Betto Brunelleschi²⁰. Tak on, jak i towarzysze jego starali się wszelkimi siłami wciągnąć do swego grona pana Guida z rodu Cavalcante de' Cavalcanti, a to nie bez ważkiego powodu. Pomijając już bowiem to, że pan Guido był jednym z najlepszych myślicieli na świecie i zawołanych przyrodników (o przymioty te towarzystwo niewiele dbało), był on także wielce wesołym, układnym i wymownym człkiem, słowem, łączył w sobie wszystkie przymioty prawdziwego szlachcica. Do czego tylko się wziął, umiał to zrobić lepiej niżli ktokolwiek inny. Przy tym wszystkim zasię ogromny majątek posiadał. Kogo za godnego przyjaźni swej uznał, temu serce i rękę hojnie otwierał. Nie dziwota

tedy, że pan Betto zwabić go chciał na swoje zebrania. Gdy mu się to jednak nie udało, po społu z swymi towarzyszami jął sobie tłumaczyć niechęć Guida tym, że nieraz będąc filozofią zajęty, obcowania z ludźmi unikał.

Ponieważ Guido nieco ku wywodom Epikura²¹ się skłamał, powszechnie mówiono wśród pospólstwa, że celem jego rozmyślań było wynaleźć dowód, że Bóg nie istnieje. Pewnego dnia Guido, idąc do kościoła Sw. Michała i minąwszy ulicę Adimarich, doszedł zwyczajną mu drogą do kościoła Św. Jana i tam zatrzymał się pośród grobowców marmurowych (z których pewna część znajduje się obecnie u Świętej Reparaty, a inne przy Św. Janie). Stał pomiędzy kolumnami porfirowymi²² i nagrobkami a bramą Świętego Jana, wówczas zamkniętą. Pan Betto z towarzystwem swoim właśnie przez plac Świętej Reparaty przejeżdżał. Spostrzegłszy Guida pomiędzy grobowcami żartownisie zawołał:

– Musimy go trochę podrażnić!

Po czym, dodawszy koniom ostrogi, jak gdyby żartobliwą szarżę czyniąc, pędem puścili się ku niemu i nim się mógł spoznać, już się przy nim znaleźli.

– Guido – rzekli – gardzisz towarzystwem naszym, cóż ci jednak przyjdzie z tego, jeżeli dowieść zdołasz, że Bóg nie istnieje?

Guido, widząc się otoczonym, odparł bez namysłu:

– Panowie, w domu waszym możecie mi mówić, co wam się podoba!

To mówiąc oparł się jedną ręką o grobowiec znacznej wysokości, lekkim bardzo skokiem przedostał się na drugą stronę i odłączywszy się od nich, odszedł. Wesołe towarzystwo spoglądało przez chwilę po sobie, aż wreszcie ktoś rzekł:

– Guido nie był widać przy zdrowych zmysłach, bowiem w odpowiedzi jego sensu dopatrzeć się trudno. Nie mamy przecież do tego miejsca ani o źdźbło więcej prawa od innych obywateli, a także od samego Guida.

Na to pan Betto, zwracając się do mówiącego i do reszty towarzyszy, odparł:

– To wy raczej nie jesteście przy zdrowych zmysłach, inaczej bowiem zrozumielibyście, że człek ten w kilku słowach uprzejmie ciężką obelgę wam rzucił. Czymże bowiem są te grobowce? Domami umarłych, jako że w nich grzebani są i spoczywają zmarli. Jeżeli powiedział tedy, że jesteśmy tutaj u siebie, to chciał przez to wyrazić, że my i inne podobne nam nieuki w porównaniu z nim i z ludźmi uczonymi mniej jeszcze znaczymy niż umarli, i dlatego będąc tu, jesteśmy w naszym domu.²³

Teraz dopiero pojęli wszyscy istotne znaczenie słów Guida. Odtąd, srodze zawstydzeni, przestali w drogę mu wchodzić. Pan Betto zaś od tego czasu za bystrego i domyślnego człowieka począł uchodzić.»

Opowieść dziesiąta



BRAT CIPOLLA

Brat Cipolla obiecuje ludowi, że mu pokaże pióro archanioła Gabriela. Znalazłszy w puderku miast pióra węgle, niestropiony, oznajmia, że są to te same węgle, na których spłonął Święty Wawrzyniec.

Skoro wszyscy z kompanii opowieść swą wygłosili, Dioneo wiedział już, że na niego kolej przychodzi. Nie czekając tedy uroczystego wezwania, poprosił o milczenie tych, którzy ciętą odpowiedź Guida jeszcze wychwalali, i tak zaczął:

– Mimo że z rąk waszych, czarujące damy, wzięłem przywilej opowiadania tego, co mi się podoba, nie myślę jednak dzisiaj od naznaczonej przez was materii się oddalić, o której tak trafnie tu mówiono, owszem, wstąpię w ślady wasze i opowiem, jak to pewien mnich od św. Antoniego dzięki zręcznemu i niezwłocznemu wybiegowi uszedł wstydu, który mu dwaj młodzieńcy zgotować chcieli. Nie gniewajcie się jednak, jeżeli cokolwiek nad materią moją szerzyć się będę, bowiem rzecz tego, wymaga; zresztą spojrzycie na słońce i zważcie, że jeszcze wysoko na niebie stoi.

«Jak zapewne słyszałyście o tym, Certaldo jest małym miasteczkiem, należącym do florenckich dziedzin a położonym w dolinie Elsy. Chocia gród to niewielki, kiedyś jednak za-możni i szlachetni obywatele go zamieszkiwali. Co rok zwykł był tutaj przez długi czas kazać mnich z zakonu św. Antoniego, nazwiskiem brat Cipolla²⁴, znajdował tu bowiem zawsze dobrą paszę. Zbierał on hojne od głupców jałmużny i doznawał zawsze dobrego przyjęcia, może nie mniej dla nazwiska swego niż dla pobożności, okolice bowiem Certaldo wydają cebulę sławną na całą Toskanię. Brat Cipolla był człkiem o przysadkowatej posturze, włosy miał barwy czerwonej, a oblicze zawsze wesołością tchnące. Był to najsprytniejszy hultaj pod słońcem. Chociaż nigdy niczego się nie uczył, umiał jednak w lot się odcinać i potoczyście mówić, tak iż każdy, kto go nie znał, nie tylko za wielkiego mówcę go poczytywał, ale gotów był mniemać, że to sam Cicer²⁵, a może Kwintylian. I ze wszystkimi bez mała w całej okolicy żył w przyjaźni, jako kum i doradca wielu.

Otóż pewnego razu obyczajem swoim brat Cipolla w sierpniu do Certaldo ściągnął. Gdy się już w niedzielę wszyscy poczciwcy z okolicznych wiosek po społu z niewiastami na mszę przed kościołem zebrali, mnich poczekawszy na stosowną chwilę w te słowa przemówił:

– Oto nadchodzi pora, nabożni słuchacze, w której wedle pięknego obyczaju, obdarzać zwykliście biedne sługi niebieskiego księcia, świętego Antoniego, ziarnem i mąką; jedni niewiele posyłają, drudzy mnogo, wedle możliwości i pobożności swojej, a to na intencję, ażeby ten możny święty wasze woły, osły, świnie i owce pod płaszcz opieki swojej przyjął. Zwykliście także o tej porze (szczególnie ci z was, którzy się do bractwa naszego zapisali) uiszczać raz na rok pewną małą sumę. Otóż po dary te przez zwierzchność moją, to jest przez Jego Świątobliwość, opata naszego, przysłany tutaj zostałem. Zbierzcie się tedy za błogosławieństwem bożym dzisiaj po południu przed kościołem o godzinie trzeciej, skoro głos dzwonka usłyszycie, z ofiarami waszymi, a zarazem dla wysłuchania kazania i pocałowania krzyża świętego.

Nadto, ponieważ wiadomo mi jest, jak gorących czcicieli szlachetny święty Antoni²⁶ pomiędzy wami posiada, przyniosłem wam ku osobliwemu błogosławieństwu dla całej okolicy piękną relikwię, wielkimi cudami słynącą, którą niegdyś sam z Ziemi Świętej, zza morza przywiozłem. Jest to jedno z piór archanioła Gabriela, zgubione przez niego w komnacie Marii Dziewicy, gdy przybył do niej do Nazaretu ze zwiastowaniem.

Po tej przemowie zamilkł i wrócił pobożnie do kościoła. Pomiedzy wieloma słuchaczami, którzy mowie brata Cipolli się przysłuchiwali, znajdowało się także dwóch młodzieńców, z których jeden zwał się Giovanni del Bragoniera, drugi Biagio Pizzini²⁷. Byli to dwaj na wszystkie boki kuci franci. Ci, uśmiawszy się między sobą z relikwii brata Cipolli i mimo że żyli w przyjaźni z mnichem i często z nim obcowali, postanowili figla mu z tym piórem wypłatać. Wiedzieli, że brat Cipolla tego dnia będzie jadł obiad u jednego ze swoich przyjaciół na zamku; upewniwszy się więc, że już tam poszedł, udali się do gospody, w której braciszek stanął. Po drodze umówili się, że Biagio wda się w pogawędkę ze sługą brata Cipolli, a Giovanni tymczasem w jego rzeczach owego pióra poszuka i że znalazłszy zabierze je z sobą, aby obaczyć, co potem mnich wobec ludu uczyni. Brat Cipolla miał sługę, Guccia²⁸, którego jedni Wielorybem, drudzy Smarowozem, a jeszcze inni Świntuchem nazywali. Brzydal był taki, że szpetniejszego nigdy Lippo Topo²⁹ nie wymalował. Brat Cipolla często żartował sobie z niego i tak się o nim w kompanii odzywał: „Mój sługa ma dziewięć przymiotów, z których każdy, gdyby go Arystoteles, Salomon lub Seneka posiadali, wystarczyłby do zaćmienia i zniszczenia całej ich mądrości, cnoty i szlachetnych zasad życia. Imaginujciez sobie tedy, co to musi być za człowiek, który nie mając mądrości, cnoty ani szlachetnych zasad życia, posiada takich dziewięć przymiotów.”

A gdy się pytano, jakie to są owe przymioty, brat Cipolla odpowiadał następującym wierszem, który sam ułożył:

Łgarz wierutny,
Leniuch, złodziej,
Od stóp do głów
W brudzie chodzi.
Nieodmienny świszczypała
Bez pamięci i posłuchu,
Na spódnicę wszelką łasy,
Czterech szpiegów w każdym uchu.

„A przy tym – zwykł dodawać brat Cipolla – ma on jeszcze kilka innych maluczkich przywar, które jednak płaszczem miłości chrześcijańskiej pokrywam. Najkrotochwilniejsze jest w nim to, że gdy przybędzie do jakiejś wioski lub miasta, zaraz się chce żenić i najmować mieszkanie. Ponieważ ma długą, czarną i plugawą brodę, tedy mu się wydaje, że jest urodziwy wielce i że każda białogłowa, ledwie spojrzy na niego, już go pokochać musi. Gdyby go puścić wolno, uganiałby się za nimi, dopóki by portek nie zgubił. Prawda, że mi jest pomocny

wielce. Gdy z kimś mówię w tajności, zawsze wszystko podsłucha, gdy zasię mnie o cokolwiek ktoś zapyta, zaraz obawiać się zaczyna, że nie będę umiał odpowiedzieć, i respons za mnie daje, mówiąc: tak lub nie, stosownie do okoliczności.”

Ostawiwszy sługę w karczmie, brat Cipolla przykazał mu, aby troskliwie na jego rzeczy baczył i nikomu tykać ich nie pozwolił, zwłaszcza zasię, by miał na pieczy sakwę, w której relikwie święte się zawierały. Aliści hultaj Guccio nie myślał zostawać na czatach, wołał siedzieć w kuchni, gdzie mu było lepiej niżli słowikowi wśród zielonych gałęzi, szczególnie jeśli w niej gładką jakąś dziewczynę obaczył. A właśnie w tej gospodzie spostrzegł krępa, tłustą, przysadziłą i pokraczną białogłową, mającą piersi jak dwie ducki i twarz, która by jej prawo należenia do rodu Baroncich dać mogła. Oblicze to było dymem okopcone, świecące się od potu i tłuszczów. Jak sęp, który na padlinę się rzuca, wypadł Guccio z komnaty, zapominając o rzeczach brata Cipolli i o świecie całym. Wszedłszy do kuchni, siadł koło komina, chociaż był to sierpień, i począł rozprawiać z kucharką, która imię Nuty³⁰ nosiła. Powiedział jej, że ma szlachectwo, dokumentem pergaminowym stwierdzone, a także posiada więcej niż dziewięć tysięcy florenów, nie licząc tych, które ludziom jest winien, a których zebrałoby się niemało, i że wszystko zrobić i wypowiedzieć potrafi, co tylko komu się przyśni. Nie zważając na swój kapelusz, tak brudny i zatłuszczony, że tłuszczu tego starczyłoby na wielki kocioł zupy dla ubogich w klasztorze Altopascio³¹, na swój kaftan podarty, pokryty łatami i przesycony potem pod pachami, kaftan, tyłoma kolorowymi plamami zasiany, iż żadna tatarska lub indyjska materia nigdy by w paragon z nim wchodzić nie mogła, na swoje dziurawe pończochy i zdarte buty, mówił z dziewczyną w ten sposób, jakby był panem na zamku Châtillon³². Obiecywał jej, że ją oporządzi, przystroi i uwolni od przymusu służenia u obcych ludzi. A chociaż ona nic nie posiada, dawał jej nadzieję na znaczną losu poprawę. Mówił jeszcze o wielu rzeczach z wielką w swoje słowa wiarą, aliści wszystkie jego przedstawienia a obietnice na wiatr szły i w nic się obracały, jak to się mu zwykle zresztą zdarzało.

Dwaj młodzi żartownisie zastali tedy Guccia uwijającego się koło Nuty. Niezmiernie ukontentowani z tak pomyślnego obrotu rzeczy, który odejmował im połowę trudu, nie wchodząc z nim w dyskurs, pośpieszyli do komnaty brata Cipolli, stojącej otworem. Pierwszą rzeczą, którą pochwycili, była torba mnicha, podejrzewali bowiem, że w niej cudowne pióro znajdować się może. W samej rzeczy znaleźli je w puzderku owiniętym po kilkakroć w zwój tkaniny. Było to pióro wyrwane z ogona papugi. Lud mógłby być uwierzyć w słowa brata Cipolli, bowiem podówczas różne egipskie zbytki a wymysły, które później na znaczną szkodę naszą w całej Italii się rozpowszechniły, jeszcze głębiej do Toskanii nie przeniknęły. A chociaż nawet tu i ówdzie słabe doszły o nich słuchy, to w tych stronach pozostały prawie że nieznane mieszkańcom. Trwała tam jeszcze zbożna prostota dawnych czasów i ludzie nie tylko nie oglądali nigdy papugi, ale nawet o niej nie zasłyszeli. Dwaj krotochwilnicy, uradowani, że znaleźli pióro, wzięli je ze sobą, a w zamian napełnili puzdro węglami, które w kącie komnaty na ziemi ujrzeni. Po czym zamknęli je, przywieśli wszystko do pierwotnego stanu i nie postrzeżeni przez nikogo, powrócili ze zdobyczą do domu, gdzie jęli czekać niecierpliwie, jak się wykreści brat Cipolla znalazłszy węgle zamiast pióra.

Tymczasem mężczyźni i białogłowy, ludzie prości, dowiedziawszy się w kościele, że o trzeciej po południu pióro archanioła Gabriela zobaczą, powrócili po skończonej mszy do domów i wiadomość o relikwi roznieśli między kumów, kumoszki i sąsiadów.

Na skutek tego po obiedzie zbiegła się do kościoła taka ciżba ludu, że nawa świątyni pomieścić jej nie mogła. Wszyscy gorzeli pragnieniem obaczenia cudownego pióra.

Brat Cipolla, podjadłszy sobie należycie i przespawszy się nieco, podniósł się po godzinie trzeciej z łoża. Na wieść, że wielka ćma ludu wiejskiego już czeka na ujrzanie pióra archanioła Gabriela, posłał po Guccia, żeby przyszedł tam z dzwonekami i przyniósł sakwę. Guccio z wielkim trudem od kuchni i Nuty się oderwał, po czym z dzwonekami i torbą powłókł się w górę ku kościołowi, stękając i sapiąc, bowiem wypita woda brzuch mu rozdymała. Stanąwszy

przed głównymi drzwiami, zgodnie z rozkazem brata Cipolli, jał gwałtownie dzwonić. Po kilku chwilach brat Cipolla, widząc, że już dosyć ludu napłynęło, nie zauważywszy, że ktoś dobrał się do jego tobołków, przystąpił do kazania, w którym wypowiedział wiele rzeczy, stosujących się do mającego nastąpić widowiska. Wreszcie, gdy odpowiednia chwila nastąpiła, odmówił jeszcze z wielkim namaszczeniem *Confiteor*³³, po czym rozkazał dwie świece woskowe zapalić, zdjął kaptur z głowy, odwinął powoli jedwabną tkaninę i wydobyl puzdro. Co uczyniwszy wypowiedział jeszcze kilka słów wychwalających archaniola Gabriela i relikwie świętą, którą trzymał w ręku, wreszcie puzdro otworzył.

Ujrawszy w nim węgle zamiast pióra, brat Cipolla nie pomyślał ani na chwilę, aby to miała być sprawka Guccia, wiedział bowiem dobrze, że nie miałby on dosyć sprytu potrzebnego na wyplatanie podobnego figla. Nie przeklinał go nawet w duszy za to, że tak źle strzegł powierzonych mu rzeczy, natomiast samemu sobie po cichu gorzkie czynił wyrzuty, że znając przymioty Guccia, tak drogocenną rzecz pod straż mu oddał. Cóż było jednak czynić! Brat Cipolla, przytomności umysłu nie tracąc i nie dając najmniejszej poznaki po sobie, że go przykra niespodzianka spotkała, podniósł wzrok i ręce ku niebu i zawołał tak głośno, że go wszyscy przytomni usłyszeć musieli:

– O Boże! Wszechmocy Twojej niechaj chwała będzie na wieki! – Po czym zamknął puzdro i rzekł zwracając się do ludu:

– Trzeba wam wiedzieć, najmilsi, że już dawno temu, jeszcze w latach młodości mojej, byłem wysłany przez zwierzchność moją do krajów, gdzie słońce wschodzi. Zlecono mi tak długo szukać, aż odnajdę nadania dla szpitala Św. Filipa z Porcelany. Dla osiągnięcia tego celu, puściłem się w drogę z Wenecji. Przebyłem przedmieście Grecję i stąd konno przez królestwo Algarbii, Bagdad i Parion dojechałem wreszcie do Sardynii, umierając już prawie z pragnienia. Aliści po cóż mam wam wymieniać wszystkie kraje, które poznałem?³⁴ Dosyć będzie, jeżeli powiem, że minawszy Cieśninę Świętego Jerzego, przejechałem przez Ziemię Kłamliwą i Ziemię Szalbierczą, gęsto zamieszkałe przez liczne narody. Później przebywałem w kraju Łgarzy, gdzie napotkałem wielu zakonnych braci moich, a także mnichów innej reguły, unikających pracy dla miłości Boga i nie troskających się o nic, chyba tylko o korzyść własną. Winniście wiedzieć, że w tych krajach tylko fałszywe pieniądze walor swój mają. Później dotarłem do Abruzzów, krainy górzystej, w której mężczyźni i białogłowy w drewnianych sandałach na skały się wspinają i mają zwyczaj świnie ich własnymi kielbasami stroić. W niewielkiej odległości od tego kraju natrafiłem na ludzi, noszących chleb nadziany na tyczki, a wino w workach. Dalej droga wiodła mnie przez Robacze Góry, gdzie wszystkie wody w górę płyną. Tak daleko w głąb tego kraju się zapuściłem, że wkrótce dotarłem do Indyj Pasternackich, gdzie – przysięgam wam na mój habit – widziałem kozy po powietrzu latające. Rzecz to niepodobna do wiary, a jednakże potwierdzić ją może Maso del Saggio³⁵, kupiec znakomity, którego spotkałem tam tłukącego orzechy i sprzedającego łupiny na łokcie. Nigdzie jednak znaleźć nie mogłem tego, czegom właściwie szukał, a że dalej trzeba już płynąć wodą, więc puściłem się w drogę powrotną i przybyłem do tego błogosławionego kraju, gdzie bochenek czerstwego chleba w lecie cztery szelągi kosztuje, a świeży za darmo daje. Tam napotkałem czcigodnego ojca Dajmipokój Jeżeliłaska, przewielebnego patriarchę jerozolimskiego, który przez cześć osobliwą dla sukienki świętego Antoniego, jaką ujrzał na mnie, pokazał mi wszystkie posiadane przez się relikwie. Było ich tak wiele, że gdybym je chciał wyliczyć, i przez rok bym nie skończył. Abyście jednak w pobożnej ciekawości swojej zawodu nie doznali, wymienię niektóre z nich. Naprzód tedy pokazał mi palec Świętego Ducha, nietknięty całkiem, dalej kędzior Serafina, który to anioł świętemu Franciszkowi się objawił, paznokiec Cherubina, jedno z żeber Słowa Stałosię, kilka strzępów z szaty świętej Wiary, parę promieni z gwiazdy, która trzech Magów do Betleem prowadziła, czarę z potem, wylanym przez św. Michała w czasie walki jego z szatanem, szczękę śmierci, która zmoęła Łazarza, i siła innych jeszcze świętości. Ponieważ wielce uprzejmym się dla niego okazałem

obdarzywszy go kilku stronami Góry Morello w włoskim przekładzie, a także paroma rozdziałami Kaprecjusza, których od dawna już szukał, darował mi tedy w zamian jeden z zębów krzyża świętego, a dalej w małym słoiku zamknięte dźwięki dzwonów świątyni Salomona, pióro archanioła Gabriela, o którym wam już wspomniałem, a także chodak św. Gherarda z Villamagna,³⁶ którą to ostatnią relikwią obdarzyłem niedawno pana Gherarda di Bonsi³⁷ z Florencji przez wzgląd na osobliwą cześć jego dla swego patrona. Na koniec podarował mi jeszcze patriarcha jerozolimski kilka z owych węgli, na których wielki męczennik, św. Wawrzyniec, upieczony został.

Wszystkie te drogocenne szczątki przy sobie noszę, a i teraz mam je tutaj, do kupy zebrane. Jednakże przeor mój nie pozwolił mi pokazywać ich do tej pory, aż się przekona o ich prawdziwości. Obecnie właśnie dostateczne się znalazły dowody, bądź w listach patriarchy, bądź też w cudach sprawionych przez same relikwie, tak iż pozyskałem prawo pokazywania ich nabożnemu ludowi. Przez troskliwość chowam każdą z tych świętości w oddzielnych puzdrach i szkatułach. Dwa z tych puzder, w których się mieszczą węgle św. Wawrzyńca i pióro archanioła Gabriela tak są podobne do siebie, że często jedno za drugie biorę, co nawet i dzisiaj mi się przytrafiło. W przekonaniu, że to puzderko z piórem, przyniosłem puzderko z węglami. Nie uważam tego jednak za dzieło przypadku, ale za zrządzenie Opatrzności boskiej, która mi tym sposobem chce przypomnieć, iż za dwa dni uroczystość św. Wawrzyńca³⁸ przypada. Bóg pragnie, abym widokiem tych węgli, które sos, płynący z pieczonego ciała św. Wawrzyńca, ugasił, gorącą cześć w sercach waszych dla męczennika zapalił.

Odkryjcie tedy głowy, dzieci moje, i przystąpcie bliżej, aby z czcią i z trwogą świętą tym węglom się przyjrzeć. Pierwej jednak dowiedzcie się jeszcze, że kto jednym z tych węgli w kształt krzyża naznaczony zostanie, tego przez cały rok niniejszy żaden ogień nie tknie, by tego nie poczuł.

Rzekłszy te słowa, brat Cipolla zaśpiewał pieśń na cześć św. Wawrzyńca, a potem otworzył puzdro i węgle z niego wyjął. Na ten widok otumaniony tłum zatrzymał się, pobożną czcią zdjęty, wnet jednak wszyscy, depcząc się i dusząc wzajemnie, rzucili się ku mnichowi. Kładąc większą niż zwykle ofiarę, każdy prosił o dotknięcie i naznaczenie węglom świętym. Wówczas brat Cipolla wziął węgiel do rąk i jał kreślić mężczyznom i kobietom na białych kaftanach, sukniach i zasłonach tak wielkie krzyże, jakie się tylko tam pomieścić mogły. Zaręczał przy tym ludowi, że węgle, na kreślenie krzyży użyte, z powrotem w szkatule odrastają.

Takim oto sposobem brat Cipolla mieszkańców Certalda, nie bez wielkiego dla siebie pożytku, w krzyżowych rycerzy zamienił i zakpił z tych, którzy mniemali, że pozbawiając go pióra, zakpić z niego zdołają. Dwaj krotochwilnicy, kazaniu jego przytomni, ujrawszy, jak się dzięki chytrej sztuczce z trudnego położenia wydobył i jak daleko w tym celu słowami okrążyć musiał, tak się śmiać poczęli, że o mały włos ze śmiechu się nie rozpukli. Gdy tłum się rozszedł, podbiegli do brata Cipolli, odkryli mu winę swoją i wśród wybuchów głośniejszej wesołości zabrane pióro mu zwrócili. Po roku przyniosło ono mnichowi nie mniej pożytku niż w tym przypadku węgle świętego Wawrzyńca.»

Opowieść Dionea całemu towarzystwu osobliwe ukontentowanie sprawiła. Wszyscy śmieli się serdecznie z brata Cipolli, osobliwie zasię z jego relikwii i pielgrzymek. Wreszcie królowa ciszę nakazała, podniosła się i zdjawszy ze swej głowy wieniec wawrzynowy, włożyła go z uśmiechem na głowę Dionea:

– Czas już, Dioneo – rzekła – abyś i ty się nauczył, jak ciężko jest białogłowami rządzić i kierować. Bądź więc królem i panuj tak, abyśmy cię przy końcu panowania pochwalić mogły.

Dioneo przyjął koronę śmiejąc się i rzekł:

– Znakomitszych ode mnie królów nieraz już widzieć mogliście, że wspomnę tu tylko o królach szachowych. Gdybyście mi jednak posłuszeństwo przyrzekły, prawdziwemu królowi

należne, obdarzyłbym was takimi rozkoszami, bez których żadna uciecha całkowita nie jest. Ale dajmy temu pokój. Przrzekam, że będę rządził, jak potrafię, najlepiej.

Rzekłszy te słowa, zgodnie z obyczajem poprzedników, rozkazał przywołać marszałka i udzielił mu rozkazów na cały czas trwania swej władzy. Po czym tak się odezwał:

– Wielce czcigodne damy! Na różne sposoby mówiliśmy już o ludzkiej zmyślności i o rozlicznych losu przypadkach, tak że gdyby nie Liciska i nie sprzeczka jej poranna z Tyndarem, która mi nasunęła to, o czym jutro mówić nam przyjdzie, zaiste byłbym w kłopotcie, jaką materię do nowych opowieści wam podać. Jakeście słyssały, twierdziła ona, iż żadna z jej znajomych dziewictwa swego do małżeńskiego łoża nie doniosła; potem dodała, że wie wybornie, jak liczne i sprytne figle żony mężom swoim płatają. Ostawiając na stronie pierwszą część tej materii, która o rzeczach dziecinnych powiada, mniemam, że z drugiej siła ciekawych i krotochwilnych zdarzeń wydobyć będzie można. Wołą moją jest tedy, abyśmy jutro opowiadali o chytrych sztuczkach i fortelach, jakich żony w stosunku do mężów swoich użyły, czy to z miłości, czy dla ratowania siebie samych, i to tak, że oni spostrzegli to albo i nie.

Niektóre z dam rzekły, iż nie wydaje im się rzeczą obyczajną o podobnych historiach rozprawiać, dlatego tedy poprosiły króla, aby inną materię wynalazł. Aliści król odparł:

– Łaskawe damy! Wiem równie dobrze jak wy, jaką materię do opowieści wybrałem, nie zdołacie mnie jednak skłonić do odmienienia jej, to bowiem przekonanie żywię, że w okolicznościach, w jakich obecnie się znajdujemy, możemy dać całkowitą swobodę słowom, bylebyśmy tylko, mężczyźni i kobiety, baczyli na czyny nasze. Zali nie wiecie, że dzięki złu, które się dziś szerzy, sędziowie trybunały opuścili? Boskie i ludzkie prawa milczą i każdemu człowiekowi jest osławiona całkowita swoboda troszczenia się o ochronę własnego życia. Przeto jeżeli dla zabawienia siebie i innych, a nie dlatego bynajmniej, aby od swobodnych słów do swobodnych czynów przechodzić, nieco mniej surowymi się okażecie w wyborze opowieści, któż będzie miał prawo za to was naganiać? Towarzystwo nasze od chwili swego powstania aż dotąd nigdy obrębów najściślejszej przystojności nie przekroczyło, cokolwiek byśmy sobie tu opowiadali. Żywię nadzieję, że w przyszłości także przeciw przykazaniom obyczajności nie zgrzeszymy. Komuż to cnota wasza jest nie znana? Powszechnie wiadomo, że nie zachwieje jej nie tylko swoboda opowieści, ale nawet trwoga przed śmiercią. Powiem wam także, że gdybyście się wzbraniały w takich opowieściach udział przyjąć, mógłby ktoś zacząć podejrzewać, że winnymi podobnych figlów się czujecie, i dlatego słuchać i mówić o nich nie chcecie. Wreszcie wyznam, że niezbyt to zaszczytne dla mnie być wybranym przez was na króla, mieć nadane sobie prawa, wydawać rozkazy i trafiać na opór z waszej strony, gdy ja sam poprzednio byłem wszystkim posłuszny. Dajcie więc pokój obawom, które raczej niższym duszom niż wasze przystoją, i pomyślcie o wynalezieniu najciekawszych na dzień jutrzejszy opowieści, w czym niechaj szczęście wam sprzyja.

Damy uległy wreszcie temu przedstawieniu i zgodziły się na żądanie Dionea. Wówczas król do wieczery dał wszystkim wolę czynienia tego, co się im podobać będzie. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ponieważ opowieści tego dnia krótko trwały. Dioneo z innymi młodzieńcami zasiadł do szachów, a Eliza, odwoławszy damy na stronę, rzekła do nich:

– Dawno już, bo od czasu gdy się tu znajdujemy, chciałam zaprowadzić was w jedno miejsce, niedaleko stąd leżące. Zdaje mi się, że żadna z was dotąd tam nie była. Miejsce to Panieńską Doliną się zowie. Otóż dzisiaj czas i sposobność się nadarza, jak nigdy dotąd. Słońce jeszcze wysoko na niebie stoi. Jeśli zechcecie, udamy się tam, a pewna jestem, że tej przechadzki żałować nie będziecie.

Damy przystały jak najchętniej. Nie mówiąc ni słowa mężczyznom, w towarzystwie jednej tylko służki w drogę się wybrały. Przeszedłszy nie więcej niż milę, dotarły do Panieńskiej Doliny. U wejścia powitał ich szumem swoim jasny strumyk, płynący wzdłuż wąskiej ścieżki. Miejsce wydało im się wielce, pięknym, a o tej porze dnia i przy panującym skwarze przyjemnym nad wyraz. Damy mówiły mi później, że dolina jest tak okrągła, jakby cyrklem ją

wykreślono, chociaż z łatwością poznać można, że jest to twór przyrody, a nie dzieło rąk ludzkich. Okrąg jej wynosił więcej niż pół mili. Wokół wznosiło się sześć pagórków nieznacznej wysokości, każdy z willą na szczycie, pięknemu zamkowi podobną. Spadki tych pagórków tworzyły schody, idące ku dolinie od wierzchołka aż do płaszczyzny, niby w amfiteatrze, tak iż szerokość stopni ku górze coraz się zmniejszała. Stoki pagórków od strony południa porośnięte były winogradem, oliwkami, drzewami migdałowymi, wiśniami, figami i innymi jeszcze drzewami owocowymi, i to tak gęsto, że piędzi pustej ziemi znaleźć by nie można było. Spadki zaś, spoglądające na wielką niedźwiedzicę, zieleniły się młodym zagajem dębów, jesionów i innych drzew wyniosłych. W samej dolinie, do której tylko jedno wejście prowadziło, rosły jodły, cyprysy, laury i kilka pinii w tak malowniczych grupach, jakby je umyślnie dla ozdoby ręka mistrza tu zasadziła. Przez ten dach rozlicznej zieleni słońce przebić się nie mogło, rzucając z trudnością tylko kilka promieni na ziemię, która stanowiła tu jedną łąkę, pokrytą aksamitną trawą i kwiatami purpurowej a także i innej barwy. Niemalże uciechy sprawiał także strumyk, wypływający z dolinki, dwa z tych pagórków rozdzielającej. Rozbijał się on o skały, miły szmer dla ucha sprawując i bryzgając kroplami, które z daleka wyglądały jak żywe srebro z czegoś wyciskane. Ten sam strumyk płynął przez dolinę już równym korytem, tworząc w jej środku staw, nie większy od basenu, jaki mieszkańcy miast pospolicie w ogrodach swych urządają. Głębokość tego stawu nieznaczna była, bowiem woda do piersi dorosłemu człękowi dostawała. Przezroczystość tej wody, niczym nie zamąconej, dozwalała ujrzeć na dnie żwir, złożony z drobnych, różnobarwnych kamyczków, które zadawszy sobie trudu, zliczyć by było można. Patrząc w wodę, widziało się nie tylko dno stawu, ale i ryby przemykające się po kryształowej głębi, że rozkosz łączyła się u widza z zachwytem. Łąka, tym zieleńsza, im bliższa stawu, który jej wilgotności użyczał, pokrywała brzegi strumyka. Wody, które się w stawie pomieścić nie mogły, spływały z dolinki innym korytem w miejsca niżej położone.

Młode damy, rozejrzawszy się dokoła, nie mogły się dość nachwalić piękności tego zakątka. Tymczasem skwar się czynił coraz większy. Damy, skuszone widokiem stawu i nie obawiające się przy tym, aby je ktoś w tym miejscu podpatrzeć zdołał, postanowiły, nie mieszkając, kąpieli zażyć.

Przykazawszy tedy słudze stanąć na drodze, po której przyszły, i patrzeć, aby ich ktoś znieścacka nie zaskoczył, siedem dziewczeczek rozebrało się i do wody wstąpiło. Kryształowa fala osłoniła ich jasne ciała tylko o tyle, o ile kielich szklany różę, zanurzoną w nim, osłania. Czystość stawu ani na chwilę ruchami ciał zamącona nie została. Damy ścigały pluskające rybki i siliły się schwytać je rękami, a one z trudem ukryć się starały. W samej rzeczy udało się im pochwycić kilka, co wywołało głośną radość między nimi. Po długich w wodzie igraszkach wyszły na brzeg i odziały się, po czym, widząc, że czas już do domu powracać, rzeźwe i wesołe, wolnym krokiem w powrotną drogę się udały mówiąc ciągle o piękności tego zakątka, którego nachwalić się nie mogły. Przybywszy do pałacu ujrzały młodzieńców jeszcze ciągle grających w szachy zajętych. Pampinea śmiejąc się rzekła do nich:

– Oszukałyśmy was dzisiaj!

– Jak to! – zawołał Dioneo – zali najpierw poczynacie to robić, o czym opowiadać macie?

– Jako żywo! – odparła Pampinea i zaczęła opowiadać o miejscu, skąd powróciły, i o tym, co tam robiły. Król, usłyszawszy o piękności doliny, zapłonął chęcią obaczenia jej i rozkazał co prędzej wieczerzę podawać. Po wieczerzy, która wszystkim przypadła do smaku, trzech młodzieńcy ze sługami swymi, opuściwszy damy, do Panieńskiej Doliny się udali. Widok doliny, dotychczas im nie znanej, podobne jak i na damach wrażenie na nich wywarł. Jednogłośnie uznali to miejsce za jedno z najpiękniejszych w świecie. Wykapawszy się i odziawszy się z powrotem, wrócili do domu, bowiem pora już późna była. Tu obaczyli damy, w korowodzie pływające pod dźwięk pieśni Fiammetty. Zaczekawszy, aż skończą, zdali pięknym tancerkom sprawę ze swych spostrzeżeń i gorąco dolinę wychwalali. Po czym król przywołał

marszałka i przykazał mu, aby nazajutrz rano zanesiono do doliny tej wszystkie niezbędne rzeczy, a także i pościel, na wypadek, gdyby w południowej porze przyszła komuś ochota snu lub spoczynku tam zażyć. Po odejściu marszałka przyniesiono światła, wino i słodczyce. Król wezwał towarzystwo do pokrzepienia się, a następnie do tańca. Panfilo otrzymał rozkaz zawiedzenia tańca. Król, obróciwszy się do Elizy, rzekł w te słowa:

– Obdarzyłaś mnie dzisiaj koroną, piękna pani, ja zaś w tej chwili przewodnictwo nad pieśniami ci daję. Zaśpiewaj nam więc jakąś, która ci najbardziej do gustu przypada.

Eliza wdzięcznie się uśmiechając odparła, że zaśpiewa z radością. Jakoż w samej rzeczy taką pieśń zaśpiewała:

– Jeśli rozerwę dziś twe sieci zdradne,
Amorze, jestem pewna,
Że już przenigdy w władzę twą nie wpadnę.

Dzieckiem już krew ci oddałam i ciało,
Myśląc, że szczęście rzucisz z hojnej dłoni.
Byłam jak jagnię, które się nie broni,
Z ufnością welnę oddające białą.
Srogoś mi splącił tę ufność zuchwałą!

I w czyją mnie to podałeś niewolę?...
W tyrana władzę, co mych łez niebaczny,
Co dzień jęk ze mnie wydiera rozpaczny
I kłać mi każe nędzną moją dolę.
Próżne łzy jawne, próżne skryte bole!
Cierpienie, które siły moje kruszy,
Nie zdoła zmiękczyć jego twardej duszy.

Na wiatr idą skargi moje mnogie,
On na nie głuchy, jak głąz głuchy na nie!
Już mnie opuszcza siła i wytrwanie,
Życie mi ciąży – a umrzeć nie mogę!
O Panie, wejdźże w życia mego drogę
I daj, co w mocy Twej leży jedynie,
Niech i on dla mnie trawi się i ginie!

Lub jeśli Twojej sprzeciwia się chęci
Złączyć nas słodkiej namiętności siłą,
Chciej wreszcie zerwać tę spółkę niemiłą,
Wydrzej go z mojej myśli i pamięci;
Niech nowy powab duszę moją znęci,
A na mej twarzy z radosną godziną
Róże i lilie wówczas się rozwiną.

Eliza głębokim westchnieniem piosenkę swoją skończyła. Wszyscy dziwili się jej treści i odgadnąć nie mogli, jakie przyczyny Elizę do odśpiewania jej pobudziły. Po czym król, pełen bez troski, polecił Tindarowi przynieść kobzę i dał towarzystwu znak do tańca. Długo trwała taneczna ochota, tak długo, że już późną nocą przykazał, by wszyscy na spoczynek się udali.

Kończy się szósty dzień Dekameronu i zaczyna siódmy, w ciągu którego, pod przewodem Dionea, opowiada się o tym, jak to różne białogłowy figle mężom swoim płatały albo z miłości, albo też chcąc się z opalów wydobyć, oni zasię połapali się na tym lub też nie.



**DZIEŃ
SIÓDMY**

Już ze wschodniego nieba zniknęły wszystkie gwiazdy z wyjątkiem jednej, Lucyferem zwanej, która zza białych obłoków świtu jeszcze wyglądała, gdy marszałek wstał z łoża i z całym taborem wyruszył do Panieńskiej Doliny, aby tam, zgodnie z wolą i wskazówkami króla, wszystko przygotować. Wkrótce i król podniósł się z pościeli, bowiem obudził go szmer kroków przy ładowaniu wozów i tupot koni. Po czym natychmiast całe towarzystwo obudzić przykazał.

Promienie słońca jeszcze słabo ziemię oświetlały, gdy wszyscy już w drogę wyruszyli. Nigdy śpiew słowików i innego ptactwa miłszy jak tego poranku im się nie wydawał. Towarzyszył im przez całą drogę, aż przy wejściu do Panieńskiej Doliny nowa jeszcze liczniejsza kapela ich przywitała. Można by było pomyśleć, że ptaszki radują się z przybycia gości. Wszyscy rozeszli się w krąg po dolinie, aby jej się jeszcze raz przyjrzeć. O wczesnej porze dnia jeszcze piękniejsza im się wydała niżli wczoraj wieczór, gdyż poranek zdawał się bardziej zgodny z jej urodą. Pokrzepiwszy się nieco ciastem i dobrym winem, zaczęli śpiewać, aby ptactwu nad sobą przewagi nie dawać. Pobliskie skały towarzysząc im powtarzały echem tony piosenek, a ptaki, jakby o zakład idąc, wyteżały dźwięczne gardziołka.

Gdy czas obiadu nadszedł, zastawiono stoły pod laurami i innymi drzewami, zgodnie z wolą króla tuż obok pięknego stawu, tak aby uczujący mogli nasycić się widokiem tysiąca igrających rybek, które nie tylko oczy cieszyły, ale i do rozmowy materii jeszcze dostarczały. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, zabrzmiały na nowo jeszcze weselsze śpiewy. Tymczasem marszałek rozkazał tu i tam po małej dolinie łoża porozstawiać, kobiercami je nakryć i baldachimami osłonić, aby ci, których sen morzy, mogli wczasowi się oddać, a kto spać nie chce, mógł wybierać wedle woli wśród zwykłych rozrywek. Gdy zaś po krótkim odpoczynku wszyscy z powrotem się zgromadzili, rozkazał król niedaleko od brzegu stawu kobierce na trawie rozłożyć, na których wszyscy zasiedli, po czym rozpoczęcie opowieści Emilii polecił. Emilia z wesołym uśmiechem w te słowa zaczęła:

Opowieść pierwsza



POKUTUJĄCA DUSZA

Gianni Lotteringhi słyszy, że nocą ktoś do drzwi jego domu kołata. Budzi żonę, a ta przekonywa go, że za drzwiami stoi zjawa. Białogłowa wypowiada zaklęcie, po czym kołatania ustają.

– Milej by mi było, o królu, gdybyś był komu innemu powierzył zaszczyt rozpoczęcia opowieści na tak piękną materię, dzisiaj naznaczoną. Ponieważ chcesz jednak, abym ja wszystkim towarzyszkom moim otuchy dodała, chętnie wolę twoją wypełnić. Pragnę, miłe słuchaczki, abyście z mojej opowieści choćby niewielki pożytek odniosły. Może być, że jesteście równie bojaźliwe jak ja i może równą trwogę żywicie przed zjawami, których jednakże nigdy w życiu nie widziałam, ani nie spotkałam niewiasty, co by z nimi miała do czynienia. Wysłuchajcie mojej noweli, a nauczycie się skutecznej modlitwy i zaklęcia, którym każdą zjawę przepłoszycie.

«Za dawnych czasów we Florencji w dzielnicy św. Pankracego mieszkał pewien tkacz wełny, nazwiskiem Gianni Lotteringhi. Rzemiosło swoje znał nieźle, chociaż poza nim zbytnio mądrością nie grzeszył. To zresztą nie stanęło na przeszkodzie, że nabożna konfraternia kościoła Santa Maria Novella wybrała go na preceptora śpiewaków i powierzyła mu przełożęństwo nad ich ćwiczeniami. Gianni często różne podobne piastował godności, z których wielce się chełpił. Przypadały mu zaś one, gdyż ludzie duchowni sprzyjali mu bardzo, jako że był człowiekiem bogatym i mnichom poczęstunków nie szczędził. Święci ojcowie wyludzali od niego spodnie, opończe lub kaptury, a w zamian za to dostarczali mu ojczenasza po włosku, *Pieśni o świętym Aleksym*, *Żalów świętego Bernarda*, *Hymnu na chwałę błogosławionej Matyldy* i wielu innych jeszcze andronów. Gianni wielce te wszystkie dary sobie cenił i pilnie przechowywał dla zbawienia duszy swojej. Lotteringhi miał piękną, pełną powabu żonę imieniem Tessa, córkę Mannucia z Cuculli, która dzięki sprytowi, jaki posiadała, poznała się prędko na głupocie swego małżonka. Miłowała ona urodziwego i młodego chłopca, nazwiskiem Federigo di Neri Pegolotti, a on także wzajemnością jej odpłacał. Tessa za pośrednictwem służącej wyznaczyła mu na miejsce spotkań należącą do męża piękną winnicę w Camerata³⁹. Przebywała tam zwykle całe lato w samotności, Gianni bowiem przyjeżdżał tylko niekiedy na wieczerzę i na noc, przepędzając resztę czasu w warsztatach lub w towarzystwie swych śpiewaków. Federigo, pragnąc wielce zobaczyć się z, swoją umiłowaną, przybył do niej o zmroku, a że dnia tego Gianni się nie zjawił, więc zjadł z nią wieczerzę. Później w ob-

jęciach młodej białogłowy nauczył się pół tuzina pobożnych pieśni jej męża. Neri ani Tessa nie chcieli, aby ich pierwsze miłosne spotkanie ostatnim było. Pragnąc jednak uniknąć pośrednictwa służki za każdym razem, postanowili na przyszłość inaczej poczynić sobie.

Federigo posiadał dom, znajdujący się nieco dalej od Florencji i wyżej niż willa Tessy. Młoda białogłowa poradziła swemu miłośnikowi, aby codziennie, gdy będzie przechodził koło domu Gianniego, spojrzął w głąb winnicy, a zobaczy osłą głowę, która dla postrachu ptactwa na kiju zatknięta była. Jeżeli ujrzy, że łeb osli jest pyskiem ku Florencji obrócony, będzie to znakiem, że bez obawy tego dnia o zmroku przybyć może do niej. Jeśliby przypadkiem drzwi zamknięte znalazł, ma trzy razy zapukać. Jeżeli pysk osła patrzeć będzie ku Fiesole, niechaj się ma na baczności, bowiem Gianniego w domu zastanie. Tym sposobem niejedną już schadznię do skutku doprowadzili. Pewnego razu jednak, gdy pani Tessa zaprosiła Federiga na wieczerzę i gdy oczekując na niego, dwa tłuste kapłony upiec kazała, zdarzyło się, iż Gianni niespodziewanie do domu późno powrócił. Nie bardzo to pani żoncy na rękę było. Toteż poczęstowała męża swego tylko kawałkiem solonego mięsa a służce kazała wziąć czyste płótno, zawinąć w nie kapłony, butelkę dobrego wina i sporą ilość świeżych jaj, odnieść to wszystko do ogrodu i tam złożyć pod brzoskwinią rosnącą na brzegu małej łączki. Do ogrodu, w którym nieraz już wieczerzę z Federigiem jadała, można się było dostać nie przechodząc przez dom. Pani Tessa, będąc rozdrażniona i srodze gniewna, zapomniała, uprzedzić dziewczynę, aby czekała na Federiga i dała mu znać, że Gianni w domu się znajduje. Niechaj zatem nie stara się z nią zobaczyć, a tylko weźmie spod brzoskwini wszystko, co dla niego przygotowane zostało.

Małżonkowie i służka wkrótce się do łóżek położyli. Po chwili przybył Federigo i lekko zapukał do drzwi, znajdujących się tak blisko sypialnej komnaty, iż Gianni natychmiast to puknięcie usłyszał. Tessa także słyszała je, nie chcąc jednak wzbudzić w mężu podejrzenia, udawała, że śpi. Po chwili Federigo po raz drugi zastukał. Zdziwiło to Gianniego tak, że trącił żonę i zawołał:

– Tesso, czy słyszysz? Wydawało mi się, że ktoś do naszych drzwi zakolał.

Tessa, która to kołatanie lepiej od męża słyszała, udała, że się zbudziła z głębokiego snu, i pyta:

– Co się stało?

– Powiadam – rzekł Gianni – że ktoś do drzwi naszych zapukał.

– Ktoś do drzwi kołata? – szepnęła z trwogą żona. – Ach, miły Gianni, zali nie wiesz, kto to puka? Jest to duch pokutujący, który mnie w ostatnich czasach nieraz nocami śmiertelnego strachu nabawiał. Słyszając to pukanie, chowałam głowę pod poduszkę i nie śmiałam pierwiej wyjrzeć na świat, aż dzień biały się zrobił.

– Uspokój się, żono – odrzekł na to Gianni – i zbądź się wszelkiej trwogi. Nim się spać położyliśmy, odmówiłem *Te lucis*⁴⁰, *Intemerata* jako i tuzin innych najlepszych modlitw, a krom tego pobłogosławiłem łóżko całe od krawędzi do krawędzi w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Uspokój się zatem, bowiem gdyby to był nawet jakiś duch najgorszy, to po takich zabiegach przystąpić do nas się nie ośmieli.

Gdy mąż słowa te mówił, pani Tessie przyszło na myśl, że Federigo może jakieś niesłuszne podejrzenie wobec niej powziąć, co by go do kłótni z nią doprowadzić mogło. Postanowiła tedy wstać i dać mu do poznania, że to Gianni w domu przebywa. Sprytna białogłowa, namyśliwszy się, w te słowa rzekła:

– Wszystkie te modlitwy skuteczne są może – to jednak pewne, że nie zaznam snu ani spokoju, dopóki nie zaklniemy tego ducha.

– Jak się to robi? – zapytał Gianni.

– Niedawno nauczyłam się stosownego sposobu – odparła żona. – Kilka dni temu, bawiąc na odpuszcie w Fiesole, rozmawiałam z jedną z tamtejszych mniszek. Ach, Gianni, jakież to święte istoty! Otóż jedna z nich ulitowała się nade mną i nauczyła mnie pięknego zaklęcia,

którego jak mnie zapewniała, używała nieraz sama, nim jeszcze habit przywdziała, a zawsze z dobrym skutkiem. Dotychczas, póki byłam sama, bałam się przegnać ducha zaklęciem. Teraz jednak ty przy mnie jesteś. Podejdźmy do drzwi!

Gianni oświadczył, że chętnie się na to zgadza. Po czym wstali oboje i przystąpili na palcach do drzwi, za którymi stał ciągle Federigo, mający już niejaki wątpliwości. Pani Tessa, zatrzymawszy się na progu, rzekła do męża:

- Uważaj, abyś splunął, gdy skończę zaklęcie.
- Dobrze – odparł Gianni.

Pani Tessa po chwili milczenia zaczęła w te słowa:

O duchu z zadartym chwostem,
Wróć, skąd idziesz, szlakiem prostym!
Słysz, czuj, słuchaj woli mojej.
Tam, gdzie krzak brzoskwini stoi,
Znajdziesz dla się zapas wszelki:
Owoc kurzy, tłuszcz i mięso,
Jedz – aż uszy się zatrząsą,
Sięgnij także do butelki.
Ale opuść w dobry czas
Mnie i mego Gianni wraz.

Tu urwawszy zawołała:

- Gianni, spluń!
- Gianni splunął.

Federigo, który za drzwiami całą rozmowę słyszał, pozbywszy się wszelkich podejrzeń, mimo smutku, jaki odczuwał, o mało się nie rozpuki ze śmiechu. Gdy Gianni splunął, nie mógł się wstrzymać od mruknięcia:

- Bodajbyś i zęby wypluł zarazem!

Pani Tessa po trzykroć jeszcze powtórzyła potężne zaklęcie, a potem wróciła z mężem do łóżka. Federigo zaś, zrozumiawszy dobrze wskazówki, w tajemniczym zaklęciu zawarte, nie omieszkał pośpieszyć do ogrodu, tym bardziej że dotąd nie wieczerzał oczekując biesiady z ukochaną. Zabrał znalezione pod brzoskwinią kapłony, jaja i wino do domu i tam pożywił się jak należało. Odwiedziwszy po kilku dniach panią Tesę, naśmiać się nie mógł do syta z jej egzorcyzmów.

Według zdania niektórych, pani Tessa łeb ośli pyskiem ku Fiesole obróciła, aliści robotnik jakiś, przez winnicę przechodząc, uderzył weń kijem, tak że łeb ten, obróciwszy się kilkakrotnie, pozostał w postawie ku Florencji wskazującej. Dlatego Federigo, w mniemaniu, iż ten znak go przyzywa, do domu pani Tessy zapukał. Ci, co o tym przypadku opowiadają, twierdzą że pani Tessa takiego wówczas użyła zaklęcia:

Idź precz, o duchu, i zważ moją mowę!
Nie ja skrzyłam mylnie oślą głowę.
Tego, co sprawił to, pokaraj, Boże,
Ja zaś tu z prawym mężem dzielę łożę.

Po czym Federigo miał odejść nie znalazłszy ani wieczerzy, ani ciepłego łoża.

Jednakże jedna z sąsiadek moich, białogłowa w podeszłym już wieku będąca, zaręczała mi, że obie te historie są prawdziwe, jak o tym już w dzieciństwie słyszała. Ostatnia przygoda przytrafiła się jednak nie Gianniemu Lotteringhi, ale niejakiemu Gianniemu di Nello⁴¹, który mieszkał przy bramie Św. Piotra i nie więcej od naszego Gianniego rozumu posiadał. Od was

tedy zależy, czcigodne damy, które z tych zaklęć w pamięci swojej przechować zechcecie. Widziałyście, że oba są wielce skuteczne. Nauczcie się ich, bowiem kto wie, czy się wam przy podobnej okazji bardzo nie przydadzą!»

Opowieść druga



KADŹ I ŻONA

Peronella, gdy mąż powraca, ukrywa swego miłośnika w kadzi. Mąż oznajmia, że kadź sprzedał, na co żona odpowiada, że przed jego przybyciem sprzedała już kadź człękowi, który teraz wewnątrz niej się znajduje, by zobaczyć, czy nie ma w niej braku. Miłośnik Peronelli wyskakuje z kadzi, każe mężowi ją ochędożyć, a potem zanieść do swego domu.

Opowieść Emilii wywołała wiele śmiechu, a zaklęcie wszyscy za skuteczne i zbożne uznali. Po czym na rozkaz króla Filostrato zaczął w te słowa:

– Miłe damy! Mężczyźni, a szczególnie mężowie, tyle figlów wam płatają, że jeśli którejs z was uda się mężczyzną w pole wywieść, możecie mieć słuszną przyczynę nie tylko cieszyć się z tego, ale i same chwalić się tym winnyście przed całym światem. Mężczyźni bowiem przekonają się z tego, że jeśli im na przebiegłości nie zbywa, to i białogłowy dosyć sprytu mają. To tylko pożytek wam, kobietom, przynieść może. Jeżeli bowiem jednemu wiadome jest, że drugi zna się też dobrze na chytrych sztuczkach, nie tak łatwo mu na oszustwo się zdobyć. Dlatego też mężczyźni, wysłuchawszy wszystkiego, co dzisiaj opowiemy, dobrze się namyślą, nim was oszukają. Nieraz im na myśl przyjdzie, że i wy przy sposobności uprzedzić ich będziecie mogły. Któż by zresztą mógł wątpić o tym? Mam tedy zamiar opowiedzieć wam, co uczyniła pewna młoda a prosta niewiasta, niemal w okamgnieniu, aby się przed mężem ocalić.

«Niedawno temu w Neapolu żył pewien ubogi murarz. Pojął on za żonę kształtną i piękną dziewczeczkę, imieniem Peronella. Żona przedzeniem, a mąż swoim rzemiosłem niewiele na życie zarabiali, dając sobie radę, jak mogli. Otóż zdarzyło się, że pewien gładysz zauważywszy Peronellę zakochał się w niej. Nie szczędząc starań i zalotów dla pozyskania jej, zdołał dojść wreszcie do pożądanego celu. Dla zapobieżenia wszelkiemu niebezpieczeństwu, miłośnicy umówili się, że Giannello Scignario (tak się zwał kochanek Peronelli) ma stać gdzieś w pobliżu domu i czekać, aż mąż, zwykle o świcie śpieszący do pracy, wyjdzie z mieszkania. Po czym Giannello miał pośpieszyć bez najmniejszej obawy do Peronelli. Zaulek ten, zwany Avorio, był pusty i od środka miasta oddalony. Gdy mąż do pracy wychodził, miłośnik jego żonę odwiedzał. Przez długi czas kochankom wszystko bezkarnie uchodziło. Pewnego poranka zdarzyło się jednak, że gdy Giannello przybył i Peronellą się cieszył, mąż, który zwykle

przez cały dzień do domu nie wracał, nagle o wczesnej godzinie powrócił, a znalazłszy drzwi od wewnątrz zawarte, pukać począł. Stuknąwszy zaś pomyślał sobie:

„Boże, wieczysty dank Tobie i chwała! Ubóstwem mnie, co prawda, dotknąłeś, aleś za to pobłogosławił mnie zasną i młodą żoną. Patrzenie, od chwili gdy zarygnowała drzwi po moim wyjściu, dotąd dla uniknięcia pokusy ich nie otwarła.”

Peronella tymczasem, poznawszy męża po sposobie pukania, zawołała:

– Biada mi, Giannello! Zginęłam! Mąż mój, którego oby kaduk porwał, stoi przed drzwiami! Zachodzę w głowę, co to ma znaczyć, bowiem nigdy o tej godzinie nie powracał. Może spostrzegł, gdyś wchodził do mnie? Aliści nie ma czasu na namysły! Włóż do tej kadzi, ja zaś tymczasem pójdę mu otworzyć i dowiemy się, co ten jego dzisiejszy tak wczesny powrót ma oznaczać.

Giannello, nie mieszkając, schował się do kadzi. Peronella zasię, otworzywszy mężowi, rzekła z gniewnym wyrazem oblicza:

– Cóż to znów za dziwne obyczaje? Dlaczego tak wczesnie dzisiaj powracasz? Widzę, że wszystkie narzędzia z sobą przynosisz, może więc próżnować zamysłasz? Z czegoż, żyć będziemy, jeśli tą modłą postępować będziesz? Czy sądzisz, że pozwolę, abyś ostatnią sukienkę moją i tę trochę bielizny, jaką jeszcze posiadam, zastawił? Przez dzień i noc nie wstaję od kołowrotka, ciała już prawie pod paznokciami nie czuję, a ledwie mogę zarobić na olej do lampy. Ach, mój mężu, mój mężu, wszystkie sąsiadki cierpliwości mojej nadziwić się nie mogą i drwinki sobie ze mnie stroją! Ty tymczasem powracasz do domu w godzinie, o której przy robocie przecie znajdować się powinieneś...

Rzekłszy te słowa zalała się rzewnymi łzami, a potem, nie dając mu przyjść do słowa, tak ciągnęła dalej:

– Och, ja nieszczęśliwa! W złą przyszłam na świat godzinę i w złą przestąpiłam przez próg domu mego męża. Bodajbym była raczej świata tego nie oglądała! Mogłam wyjść za mąż za szlachetnego i dzielnego młodzieńca, a jednak nie chciałam tego. Kogóż to wybrałam? Próżniaka, który o mnie nie dba wcale! Inne białogłowy mają większy rozum. Używają życia z miłośnikami. „Nie znajdziesz takiej, która by dwóch lub trzech kochanków nie miała. Te białogłowy umieją wmówić w mężów swoich, że w nocy słońce świeci. Ja zasię, głupia, za moją cnotę i odrazę do podobnych rzeczy tylko zgryzotę i troski w nagrodę odbieram. Dalibóg, nie wiem, co mnie wstrzymuje od naśladowania przykładu innych kobiet? Bądź pewien, że gdybym tylko ręką skinęła, stu kochanków bym miała. Wielu urodziwych młodzieńców kocha się we mnie i o mnie zabiega. Obiecują mi pieniądze, klejnoty i piękne stroje, aliści ja zawsze odmownie odpowiadam, bowiem uczciwa matka mnie wychowała. Jakiż jednak mam zysk z tego? Taki, że mąż wraca do domu spać w tej porze, kiedy pracować powinien.

– Ależ, żono – odparł wreszcie mąż – nie zapalaj się tak bardzo! Wiem, jak cię cenić. Wszedłem do pracy o tej porze, co zwykle, jednakże nie było mi wiadome, jako i tobie, że dzisiaj, w dniu świętego Galeone, pracy żadnej nie ma. Dlatego też tak wczesnie powróciłem. Jednakże nie niepokój się, pieniędzy wystarczy nam co najmniej na miesiąc cały. Czy widzisz tego człeka? Przyprowadziłem go tutaj, chce on bowiem kupić naszą wielką kadź, która nam tylko w domu zawadza. Daje za nią pięć złotych florenów.

– Otóż to właśnie! – zawołała Peronella. – Jako mężczyzna, co krąży po świecie, winieneś się znać lepiej ode mnie na cenie różnych rzeczy. Sprzedałbyś naszą kadź za pięć złotych florenów, podczas gdy ja, biedna kobieta, która ledwie za próg głowy wychyłam, znalazłam lepszego kupca, co siedem florenów za kadź daje. Właśnie przed chwilą zgodziliśmy się na tę cenę i teraz człek ten wszedł do kadzi, aby ją wewnątrz obejrzeć, zali jest mocna.

Mąż, nowiną tą nad wyraz uradowany, rzekł do kupca czekającego w sieni:

– Idź z Bogiem, przyjacielu! Żona moja, jak słyszysz, sprzedała kadź za siedem florenów, a ty tylko pięć za nią dać chciałeś.

– Daj Boże szczęście – odparł czekający, po czym odszedł. Peronella rzekła do męża:

– Kiedyś już powrócił, to chodźże i dobij targu. Giannello, który przez cały ten czas, chcąc się dowiedzieć, jak ma postąpić, słuch wyteżał, usłyszawszy ostatnie słowa Peronelli wyskoczył z kadzi i zawołał:

– Gdzie jesteście, gospodyni?

– Czego sobie życzysz? – rzekł mąż podchodząc do niego.

– Kim jesteście? – spytał Giannello. – Chcę mówić z kobietą, z którą przed chwilą kadź tę targowałem.

– Możecie ze mną dobić targu, jestem bowiem jej mężem.

– Mocna jest dosyć ta kadź – rzekł na to Giannello – ale musieliście chyba trzymać w niej drożdże, bowiem wewnątrz pokryła się cała jakimś osadem, tak wysuszonym, że go paznokciami odłupać nie byłem w stanie. Nie kupię, póki ochędżonej jej nie obaczę.

– To przeszkodą do kupna nie będzie – odparła Peronella – bowiem mąż mój oczyści kadź na poczekaniu, jak się należy.

– Oczywiście – rzekł mąż – i zdjawszy zwierzchnią szatę, kazał sobie świecę zapalić. Po czym zsunął się do kadzi i zabrał się do skrobania jej. Peronella zaś, pochyliwszy się i włożywszy do ogromnej kadzi głowę i ramiona, całkowicie sobą otwór zasłoniła, jakby robocie jego przyjrzeć się chciała, po czym co chwila dogadywać ją;

– Skrob tu, skrob tam! Patrzaj, tu jeszcze troszeczkę zostawiłeś!

Podczas gdy Peronella mężowi swemu takie wskazówki dawała, Giannello, który tego dnia z powodu niespodziewanego przybycia męża nie całkiem się jeszcze nasycił, do tej myśli przyszedł, że należy wziąć, co się da i jak się da. Przysunął się tedy do Peronelli, stanął tuż za nią i zadowolił swoją chuć młodzieńczą w ten sam sposób, w jaki na stepach dzikie i rozkiełznane rumaki to czynią. W ciągu tego czasu Peronella zasłaniała sobą otwór kadzi. Gdy Giannello cel swój osiągnął i na stronę odstąpił, jednocześnie i mąż skrobanie kadzi zakończył. Wówczas Peronella wyjęła ręce i głowę z otworu kadzi i wypuściła męża, który wielce z swej pracy ukontentowany, na wierzch się wydobył. Peronella zajrzała do kadzi i rzekła zwracając się do Giannelła:

– Przyjacielu, weźże świecę i obacz sam, czy nie całkiem czysto, jak żądacie.

Giannello spojrział i rzekł, że zupełnie jest zadowolony. Po czym zapłacił siedem florenów i do domu kadź odnieść polecił.»

Opowieść trzecia



W NAGŁYM PRZYPADKU

Mnich Rirealdo często kumę swoją odwiedza. Mąż zastaje go w jej sypialnej komnacie. Wówczas żona oświadcza mu, że mnich odprawiał zaklęcia nad dzieckiem, które robaki gnębiły.

Choć Filostrato niejasno o stepowych rumakach wspomniał, słowa jego wywołały śmiech bystrych słuchaczek. Udawały jednak, że zgola z czego innego się śmieją. Król zasię, wysłuchawszy do końca jego opowieści, zwrócił się do Elizy z rozkazem rozpoczęcia nowej. Eliza w te słowa zaczęła:

– Drogie przyjaciółki! Zaklinanie ducha przywiodło mi na myśl opowieść o innych zaklęciach, a chociaż moja opowieść nie jest tak piękna jak nowela Emilii, przecie wybrałam ją, ponieważ dotyczy ona materii, która nas obecnie zajmuje. Lepszej opowieści na ten czas przypomnieć sobie nie mogę.

«Wiedźcie tedy, że w Sienie żył niegdyś urodziwy młodzieniec, z znacznej pochodzący rodziny, imieniem Rinaldo. Zakochał się on w pięknej damie, sąsiadce swojej, żonie bogatego człowieka. Był prawie pewien, że gdyby mu się udało porozumieć się z nią bez wzbudzenia podejrzeń, osiągnąłby cel swych pragnień, aliści trudność istniała właśnie w znalezieniu po temu sposobu. Przypadkiem dowiedział się, że pani Agnesa jest właśnie ciężarna, dlatego też, lepszej drogi nie widząc, postanowił za kuma jej się ofiarować. Wybrał się tedy do jej męża, w grzecznych słowach prośbę mu swoją wyraził i uzyskał wreszcie jej przyjęcie.

Zostawszy zasię kumem pani Agnesy i pozyskawszy tym sposobem pewien pozór do częstszego obcowania z nią, wypowiedział jej pewnego razu pragnienie swoje, które już dawno ze spojrzeń jego wyczytała. Aliści chociaż wyznania jego przychylnie przyjęte zostały, przecie mało z tego zysku odniósł.

Po jakimś czasie, nie zgadnąć zresztą z jakiej przyczyny, Rinaldo mnichem został i choć nie wiadomo, czy wszystko było mu do smaku, życia zakonnego porzucić nie myślał. Wstąpiwszy do klasztoru, wyrzekł się wszelkich pragnień tego świata, a więc i miłości do pani Agnesy. Wkrótce jednak, nie zdejmując habitu, do dawnych swych upodobań powrócił, począł się w delikatnych szatach lubować, o stroje wymyślne i ozdobne dbać, sonety i ballady układać, piosenki śpiewać i za rozrywkami się uganiać. Po cóż jednak mówić o przemianach,

jakie w duszy brata Rinalda zaszyły? Jestże mnich, który by inaczej postępował? O hańbo naszego wieku, pełnego zepsucia! Nie wstydzą się oni tłustych swych postaci i czerwonych oblicz wszędzie pokazywać i za miękkimi strojami przepadać. Podobni są raczej nie do pokornych gołębi, ale do hardych kogutów z nastawionymi grzebieniami. Cele ich pełne są pudrów ze słodyczami, puszek z maściami kosztownymi, flaszek i butelek napełnionych pachnidłami i olejkami, dzbanów z maźmazją i najprzedniejszymi winami greckimi i innymi, tak iż cele te przybyszowi nie schronem mnicha, ale raczej kramem z wonnościami i składem delikatnych przysmaczków się wydają. Bezwstydnie przyznają się, iż ich podagra trapi. Mniemają, jakoby ludziom wiadome nie było, że ciągle posty, nie częste a pospolite pokarmy i żywot wstrzemięźliwy – czynią chudym i wątłym, ale po większej części w zdrowiu zachowują. Jeżeli zaś ktoś, tak żyjąc, niemocą bywa złożony, to w każdym razie nie podagra go dręczy, dla której uleczenia zalecana jest czystość i wszelkie inne przymioty wyróżniające skromnego braciszka. Mniemają oni, jakoby ludzie nie wiedzieli, że długie czuwanie, modły i biczowania muszą człeka czynić bladym i wyczerpanym, nie mówiąc już nawet o niedostatkach wyżywienia. I że ani święty Dominik, ani święty Franciszek nie mieli po cztery habity na zmianę, że nie odziewali się w barwione i wytworne szaty, ale w grube suknie naturalnej barwy, które im nie za strój, jeno za ochronę od zimna służyły. Oby Bóg wejrzał w te sprawy, jak tego trzeba duszom prostaczków, którym oni karm dają!

Jakżeśmy tedy powiedzieli, w bracie Rinaldo dawne namiętności znów do głosu doszły. Od tego czasu jął postępować z jeszcze większą śmiałością i często kumę swą nawiedzać, nagabując ją usilnie. Piękna Agnesa wiedziała o słabości mnicha. Rinaldo wydał się jej znacznie urodziwszy niż pierwej.

Gdy pewnego dnia mocno na nią nalegał, uciekła się do wybiegu, jaki stosują wszystkie niewiasty chcące uczynić zadość prośbom, do nich zwróconym. Rzekła tedy:

– Bracie Rinaldo, zali mnichowi w ten sposób postępować się godzi?

– Gdy zdejmę habit mniszy, o co nie trudno – odparł Rinaldo – obaczycie, że jestem takim samym człekiem jak i każdy inny.

– Jakże mi przykro! – zawołała białogłowa, składając usta do uśmiechu. – Jestem waszą kumą, miłość do was byłaby wielkim grzechem! Słyszałam bowiem nieraz, że miłość do kuma jest rzeczą występłą wielce. Gdybym się kary nie obawiała, ohotnie bym waszą prośbę spełniła.

– Nie bądźcie taką prostaczką – odparł Rinaldo. – Oczywiście, jest to grzechem, ale ludziom okazującym skruchę Bóg jeszcze cięższe grzechy odpuszcza. Rzeknijcie mi, kto jest bliższy waszemu dziecku, zali ja, który je przy chrzcie na rękach trzymałem, czyli też wasz mąż, który mu dał życie?

– Wiem, że mój mąż – rzekła Agnesa.

– Tak, ani chybi – ciągnął dalej Rinaldo – skoro już byliście nieraz tak łaskawi dla swego męża, który bliższy jest waszemu dziecku niżli ja, dlaczegóż tedy nie chcecie mojej namiętności podzielić?

Agnesa, która logiki nie znała, pragnęła tylko jednego: aby ją ktoś przekonał. Uwierzyła Rinaldowi albo też uczyniła pozór, że mu wierzy, i rzekła:

– Któż by mógł z waszymi mądrymi wywodami się nie zgodzić?

Z tymi słowy, mimo powinowactwa, przystała na prośbę swego kuma. Miłośnicy często się spotykali. Kumostwo ochraniało ich od różnych podejrzeń. Pewnego dnia Rinaldo przyszedł do kumy z swoim towarzyszem. W domu nie było nikogo krom Agnesy, jej dziecka i służki, wdzięcznej i urodziwej wielce. Rinaldo wysłał przyjaciela wraz ze służką do gołębnika, prosząc go, aby dziewczeczkę różnych modlitw nauczył, sam zaś z niewiastą, dziecicę na ręku trzymającą, do sąsiedniej komnaty przeszedł. Wszedłszy do niej, drzwi za sobą zawarł. Usiadłszy na łożu, które stało w tej izbie, igrać z sobą poczęli. W tym czasie powrócił kum brata Rinalda.

Nikt go nie usłyszał. Gdy do drzwi zapukał, wołając swej żony, Agnesa krzyknęła:

– Zginęłam! To mój mąż! Teraz zrozumie już, dlaczego w takiej przyjaźni z sobą żyjemy.

Brat Rinaldo był właśnie bez habitu i szkaplerza, w spodniej odzieży tylko.

– Macie słuszość – rzekł do swej kochanki – gdybym był ubrany, moglibyśmy znaleźć jeszcze jakiś środek ocalenia. Jeżeli jednak wejdzie teraz i zobaczy mnie, wszelki wybieg niemożliwy się okaże.

– Ubierajcie się tylko co prędzej – rzekła pani Agnesa, nagłą myślą oświecona – weźcie chrześniaka na ręce i zważajcie dobrze na moje słowa, którymi się do męża obrócę. Resztę mnie już pozostawcie.

Mąż tymczasem nieustannie do drzwi kołatał, gdy nagle głos żony usłyszał:

– Idę już, idę!

Po chwili pani Agnesa otworzyła mężowi drzwi, ukazała mu wesołe oblicze i rzekła:

– Mój mężu, ach, gdybyś wiedział, jakie to szczęście, że nasz kum, brat Rinaldo, przyszedł! Sam Bóg musiał mi go zesłać, bowiem gdyby nie on, z pewnością stracilibyśmy nasze dziecko!

Na te słowa mąż–pocziwina o mało nie umarł ze strachu.

– Cóż się dziecku zdarzyło? – zapytał po chwili.

– Ach, mój miły! – ciągnęła dalej pani Agnesa – wystaw sobie, że dziecię nagle zemdlało, tak iż je już za umarłe miałam. Nie wiedziałam, co robić, i byłabym sobie nigdy nie poradziła, gdyby nie szczęśliwe przybycie brata Rinalda. Gdy wszedł i zobaczył, co się dzieje, wziął natychmiast naszego chłopca na ręce i rzekł do mnie: „Nie lękajcie się, kumoszko, dziecię ma w ciele robaki, które mu już pod serce podpełzły. Mogłyby go były zadusić, aliści teraz bądźcie spokojni, zamówię je bowiem tak, że wszystkie pomrą. Zanim wyjdę z domu, oddam wam chłopca tak zdrowego, jakim jeszcze nigdy nie był.”

Ciebie, mój mężu, trzeba nam było do odmówienia pewnych modłów, że zaś służka znaleźć cię nigdzie nie mogła, dlatego Rinaldo kazał towarzyszowi swemu udać się na dach naszego domostwa i tam modły na wysokości odprawić, a sam po społu ze mną wszedł do tej komnaty, gdzieśmy się zamknęli, bowiem przy obrzędzie zamawiania robaków nikt obecny być nie może krom matki dziecięcia. Kum Rinaldo jeszcze dotąd trzyma chłopca na ręku, czekając tylko, aż jego towarzysz modlitwy swoje odmówi. Zdaje mi się jednak, że wszystko już się szczęśliwie skończyło, bowiem dziecię ocknęło się z omdlenia i jest całkiem przytomne.

Prostak uwierzył twardo w te wszystkie słowa. Miłość jego do dziecka tak wielka była, że ani na chwilę przez myśl mu nie przeszło, że żona oszukiwać go może. Westchnąwszy ciężko, rzekł:

– Muszę to zobaczyć.

– Na miłość Boską – odparła Agnesa – poczekaj jeszcze chwilę, gdyż wszystko swym pośpiechem zepsujesz. Pozwól, abym ja tam pierwej weszła i zapytała, czy ci już wejść wolno, po czym cię zawołam.

Brat Rinaldo słyszał to wszystko. Przyodziawszy się bez przeszkód i wzięwszy dziecko na ręce, gdy wszystko już po myśli swej uładził, zawołał:

– Kumo! Czy to nie kmotra głos słyszę?

– Tak, ojcze! – odparł pocziwiec.

– Chodźcież tedy tutaj – odezwał się mnich.

Mąż wszedł do komnaty, a wówczas Rinaldo rzekł doń:

– Weźcie na ręce swego synaczka! Łaska Boska do życia go przywiodła. Do niedawna jeszcze pewien byłem, że do wieczora nie doczeka. Radzę wam, abyście kazali zrobić figurę woskową wielkości dziecięcia i ustawili ją przed posągiem świętego Ambrozego, za poplecznictwem którego tego cudu dostąpiliście.

Chłopiec, ujrawszy ojca, począł obyczajem małych dzieciątek wyrywać się doń i przy-
millać. Ojciec objął syna, zalał się radosnymi łzami i począł dziękować mnichowi za to, że
dziecię do życia powrócił.

Towarzysz Rinalda wyuczył tymczasem dziewczeczkę nie jednego, ale kilku pacierzy i poda-
rował jej dla pamięci biały niciany woreczek, który mu wręczyła pewna mniszka, często z
nim po społu pokutę odbywająca. Wielkie też ku swej osobie wzbudził w niej nabożeństwo.
Usłyszawszy zaś w komnacie rozmowę męża z Agnesą, podszedł cicho do drzwi, tak że mógł
popatrzeć i podsłuchać, co działo się wewnątrz. Widząc, że wszystko jak najlepiej poszło,
wszedł do komnaty i rzekł:

– Bracie Rinaldo, odmówiłem już cztery zalecone mi przez was modlitwy.

– Mój bracie – odparł na to Rinaldo – wiesz ci zapału, z jakim nabożne ćwiczenia od-
prawiasz. Co się mnie tyczy, to ledwie dwie modlitwy do czasu przybycia kuma odmówić
zdołałem. Jednakże Bóg nas wysłuchał i trudy nasze razem policzył, bowiem dziecko zdrowe
jest już zupełnie.

Mąż Agnesy kazał przynieść przedniego wina i ciasta i ugościł zacnie Rinalda i jego towa-
rzysza. Pokrzepiające środki bardzo się im przydały. Po czym odprowadził ich do klasztoru,
niebu polecił i bez zwłoki ulepić kazał woskową figurę. Postawił ją, obok innych, przed posą-
giem św. Ambrożego, aliści nie tego z Mediolanu.»

Opowieść czwarta



KAMIEŃ I KOSA

Tofano zamyka w nocy drzwi swego domu i nie zważając na prośby żony, nie wpuszcza jej do wnętrza. Wówczas żona udaje, że się rzuca do studni, ciskając do niej wielki kamień. Tofano wybiega jej na pomoc. Za czym białogłowa wpada do domu, zamyka drzwi i obelgą a drwiną męża swego obrzuca.

Gdy Eliza zamilkła, król zwrócił się natychmiast do Lauretty i wezwał ją do opowiadania. Posłuszna Lauretta, nie mieszkając, w te słowa zaczęła:

– O miłości, jakże wielka i przemożna jest twoja potęga! Jakżeś bogata w różne chytryści, hojna w rady i pomysły! Jakież mędrzec czy artysta wymyślić by zdołał takie fortele, wybiegi i figle, jakie ty ulubieńcom swoim niespodziewanie poddajesz! Zaiste żadnej nauki nie lza równać z twymi naukami. Jawnie to widać z tych opowieści, które już poznaliśmy. Do poprzednich nowel chcę dołączyć swoją i opowiedzieć wam o fortelu pewnej poczciwej prostytutki. Ani chybi, Amor natchnąć ją musiał.

«W Arezzo mieszkał niegdyś bogaty człek, imieniem Tofano⁴², który zostawszy mężem bardzo pięknej białogłowy imieniem Ghita, bez najmniejszego powodu niezmierną zazdrością ją dręczył. Po upływie pewnego czasu te prześladowania poczęły wielce drażnić młodą kobietę. Pytała męża nieraz o przyczynę zazdrości, ale widząc, że zawsze tylko ogólnikowymi lub niedorzecznymi słowami odpowiada, postanowiła dać mu rzeczywisty do zazdrości powód.

Spostrzegłszy tedy poprzednio, że pewien zacny (jak jej się zdało) młodzieniec o łaskę jej zabiega, poczęła z nim po kryjomu w porozumieniu wchodzić. Wnet rzeczy tak daleko zaszły, że słowa tylko na czyn trzeba było przemienić. Wówczas pani Ghita poczęła łamać sobie głowę nad stosownym środkiem ku temu. Wiedziała, że mąż jej, krom wielu innych złych nałogów, ma także wielki pociąg do pijaństwa. Ghita nie tylko przestała go gromić za hołdowanie temu nałogowi, ale i zachęcać podstępnie do picia poczęła. Tofano stał się tak niepowściągliwy, że za jej sprawą, ilekroć tylko było to po jej myśli, w zupełne odurzenie popadał. Wówczas sprytna żona kładła go do łóżka i posyłała co prędzej po kochanka. Zdarzało się to nie raz i nie dziesięć razy. Pani Ghita wnet tak ślepo wierzyć poczęła, iż mąż jej często w nietrzeźwym stanie się znajduje, że nie tylko nie wahała się kochanka u siebie przyjmować, aliści nieraz część nocy spędzała nawet w jego domu, znajdującym się w pobliżu.

Tymczasem Tofano, jakkolwiek winem odurzony, spostrzegł, że żona, zachęcając go do picia, sama nigdy nie pije. Wzbudziło to w nim podejrzenie, że upaja go umyślnie, ażeby podczas snu jego pełnej swobody używać. Postanowił tedy przekonać się, czy tak jest w samej rzeczy. Pewnego wieczora, ani kropli przez cały dzień do ust nie wzięwszy, słowami i zachowaniem udał, że jest pijany okrutnie. Ghita tym razem na hak przywiedziona została. Nie czestując już męża winem, do łóżnicy go czym prędzej zawiodła. Po czym obyczajem swoim pobiegła do domu kochanka i bawiła tam do północy.

Tofano tymczasem, spostrzegłszy, że Ghita wyszła, wstał żywo z łóżka, zaryglował drzwi i usiadł przy oknie, aby czekać na jej przybycie. Chciał pokazać, iż odkrył jej sposób postępowania. Pani Ghita długo nie wracała. Wreszcie ukazała się na placu przed domem i chwyciła za klamkę od drzwi. Widząc jednak, że zamknięte, zmieszała się niezmiernie i poczęła próbować, czy ich siłą nie otworzy.

Tofano, który dość długo tym usiłowaniami się przyglądał, zawołał wreszcie z okna:

– Próżne będą twoje wysiłki, moja żono, bowiem do domu nie wejdiesz. Wracaj tam, gdzieś dotąd była, i bądź przekonana, że nie pierwej przestąpisz przez ten próg, aż w obecności krewnych swoich i sąsiadów wyświadczę ci za to wszystko cześć, na jakąś zasłużyła.

Usłyszawszy te słowa, żona poczęła go zaklinać i błagać, aby jej otworzył, upewniała go, że się myli, posądzając ją, iż go zdradziła, wraca bowiem od sąsiadki, która cierpi na bezsenność i która, bojąc się w samotności długie noce przepędzać, o towarzystwo ją prosiła.

Wszystkie te prośby i przełożenia na nic się nie zdały, bowiem mąż–głuptak postanowił rozgłosić po całym Arezzo hańbę swojej żony, której nikt dotąd ani się nawet domyślał. Żona widząc, że z błagań nic nie wyjdzie, przystąpiła do gróźb i zawołała:

– Jeżeli mi w tej chwili nie otworzysz, uczynię cię najpodlejszym człowiekiem na świecie!

– A to jakim sposobem? – spytał szyderczo Tofano. Żona, której widać sam Amor w tej ciężkiej chwili dowcipu dodał, odrzekła:

– Nim ten srom, którym mi niezasłużenie grozisz, na moją głowę spadnie, rzucę się do studni, którą tu widzisz w pobliżu. A gdy mnie w niej martwą znajdą, każdy przekonany będzie, że to ty po pijanemu mnie w nią wtrąciłeś. Wówczas albo będziesz musiał uciekać, tracąc wszystko, co posiadasz, i żyć na wygnaniu, albo też jako morderca, którym będziesz naprawdę, dasz gardło.

Tofano jednakże i tą groźbą od głupiego zamiaru odwieść się nie dał.

Wówczas Ghita wykrzyknęła:

– Dobrze tedy! Tak dłużej żyć nie podobna! Niech ci Bóg przebaczy! Każ zabrać mój kołowrotek, który tutaj zostawiam.

Rzekłszy te słowa, pobiegła do studni. Ciemność była tak wielka, że o kilka kroków przed sobą nic spostrzec nie można było.

Ghita chwyciła wielki kamień, leżący obok cembrowiny, i krzyknąwszy: „Niech mi Bóg przebaczy!”, rzuciła głaz z całej siły w wodę. Na ten odgłos i plusk Tofano, przekonany, że żona naprawdę do studni wskoczyła, porwał co żywo za kubeł i powróz i popędził ku studni w celu ratowania Ghity. Pani Ghita, która przy drzwiach się zaczęła, ujrawszy męża biegnącego ku studni, wpadła do domu, zaryglowała drzwi i stanąwszy w oknie, zawołała:

– Wody do wina dolewa się w dzień, a nie w nocy!

Na te słowa Tofano pojął, że żona drwi z niego. Wpadłszy w wściekłość, począł się gwałtownie do drzwi dobijać. Wówczas Ghita, podnosząc głos, czego dotychczas starannie unikała, zawołała piskliwym i donośnym tonem:

– Na mękę Pańską, obrzydliwy pijaku, nie wpuszczę cię dzisiaj do domu. Nie będę już dłużej twoich haniebnych nałogów znosiła. Dzisiaj wreszcie każdy dowiedzieć się musi, jakiego to lotra mam za męża i o której godzinie on do domu powraca.

Tofano, pełen wściekłości, odpowiedział na tę przemowę gradem obelg. Żona odpłaciła mu hojnie z swojej strony. Wrzask się podniósł niepomiarowy. Zbudzeni sąsiedzi przystąpili do okien pytając, co się stało. Wówczas Ghita wybuchnęła płaczem i zawołała:

– Spójrzcie na tego bezwstydnego człowieka, który co dzień pijany do domu przychodzi albo nocą w szynkowniach przesypia, nigdy wcześniej, jak o tej porze, nie powracając! Znosiłam to długo, bardzo długo, ale wreszcie cierpliwości mi zabrakło. Ponieważ moje prośby żadnego skutku nie odnosiły, postanowiłam go zawstydzić i drzwi mu przed nosem zawrzeć. Może go to wreszcie poprawi!

Tofano, zamiast zamilczeć, dusząc się ze złości, opowiedział, jak się rzecz istotnie miała, i groził okrutnie swojej żonie. Wówczas Ghita, obróciwszy się do swoich sąsiadek, zawołała:

– Patrzcie, co to za człowiek! Cóż byście powiedziały, gdybym to ja stała na ulicy, a on był w domu? Jak Bóg na niebie, uwierzyłybyście jego oskarżeniom! Teraz jednak same osądzić możecie, jak nikczemny jest ten człowiek, skoro całą winą za to, co sam popełnił, mnie chce obarczyć. Ani chybi w chęci nastraszenia mnie rzucił jakiś przedmiot do studni. Szkoda, że sam do wody nie wskoczył i nie rozcieńczył trochę tego wina, którym się tak upił.

Wysłuchawszy słów białogłowy, sąsiedzi jęli gromić Tofana; ze wszystkich stron posypały się na niego obelgi i wyrzuty. Wnet wieść o tym, co się stało, z ust do ust przechodząc, dobiegła do krewnych pani Ghity. Ci, srodze oburzeni, przybiegli co żywo na miejsce wypadku i o mały włos biednemu Tofanowi wszystkich kości nie połamali. Po czym, wszedłszy do domu, zabrali panią Ghitę i wszystkie rzeczy do niej należące i odeszli obiecując Tofanowi zemstę.

Tofano dopiero teraz poznał, w jaką wpadł biedę i dokąd go zazdrość zawiodła. Pełen skruchy i żalu, miłował bowiem żonę swoją niezmiernie, zwrócił się do kilku przyjaciół, aby byli pośrednikami między nim a Ghitą.

Gdy wreszcie młoda białogłowa na powrót doń się zgodziła, Tofano całą duszą się cieszył. Przyrzekł swej żonie, że nigdy już zazdrosnym nie będzie i że da jej wolność czynienia, co sama zechce, byleby tylko rozumnie postępowała i aby on o niczym nie wiedział. Tak tedy powtórzyła się historia głupiego chłopca, który wówczas szuka zgody, gdy mu kości policzą.»

Opowieść piąta



MAŻ SPOWIEDNIKIEM

Zazdrośnik, za mnicha przebrany, żonę swoją spowiada i dowiaduje się, że miłuje ona pewnego kleryka, który co noc ją odwiedza. Gdy zazdrośnik staje na czatach przed domem, białogłowa każe swemu miłośnikowi dostać się do jej komnaty przez dach i z nim przebywa.

Gdy Lauretta swoje opowiadanie skończyła, wszyscy pochwalili postępowanie pani Ghity i stwierdzili jednogłośnie, że mąż otrzymał to, na co zasłużył. Po czym król, nie mieszkając, zwrócił się uprzejmie do Fiammetty i z kolei jej głosu udzielił.

Fiammetta odezwała się przeto w te słowa:

– Szlachetne damy! Poprzednia historia zachęca mnie do zaczęcia opowieści również o pewnym zazdrośniku. Mężowie, którzy bez przyczyny żony swoje ustawicznie o niecnotliwe rzeczy podejrzewają, ze wszech miar na srogą karę od nich zasługują. Gdyby prawodawcy byli tę rzecz dobrze zważyli, mniemam, że niesrożej by niewierne żony karali, niż karzą ludzi, którzy w obronie własnej drugich zabijają lub ranią. Zazdrośnicy bowiem na życie młodych białogłów się usadzają i czynią, co mogą, aby się stać przyczyną ich śmierci. Białogłowy siedzą przez cały tydzień w domu, zajęte robotą i gospodarstwem. Cóż więc dziwnego, jeżeli żądają przynajmniej w dzień świąteczny trochę wczasu, spokoju i przyjemności, których nie odmawia się nawet wieśniakom pracującym na roli, robotnikom – w mieście i sędziom – w sądach? Sam Bóg tę przyjemność uświęcił, siódmy dzień na odpoczynek własny przeznaczając. Podobnie prawa kościelne i świeckie, mające na względzie cześć bożą i dobro powszechne, wszystkim wspólne, różnicę czynią między dniami pracy a dniami spoczynku. Ale zazdrośnicy pojąć tego i uznać nie chcą, przeciwnie – postępowaniem swoim dni, radosne dla innych, najsmutniejszymi i najcięższymi dla żon swoich czynią. Pilnują ich wówczas sto razy więcej i pod surowszym trzymają je dozorem. Jak okropną i dręczącą jest to rzeczą, osądzić mogą tylko białogłowy, które tego doświadczyły. Raz więc jeszcze oświadczam, że każdy figiel, wyrządzony niesłusznie podejrzewającemu zazdrośnikowi, nie tylko zganionym być nie może, ale nawet na pochwałę zasługuje.

«Żył niegdyś w Rimini bogaty kupiec, który posiadał wielkie dobra i pieniądze. Był on okrutnie zazdrosny o swoją urodziwą żonę, nie mając jednak ku temu żadnego powodu. Miłując ją wielce, znajdując ją piękną i widząc, że wszelkich sił dokłada, aby mu się podobać,

do tej myśli przychodził, że i innych będzie się starała w sobie rozkochać i wszystkim piękną się wyda, budząc w nich miłość. Tylko głupi i zły człek mógł równy powód do zazdrości znaleźć. Strzegł jej i pilnował ściślej niżli dozorca więzienni skazanych na śmierć. Mniejsza już o to, że na żadną zabawę, wesele, a nawet do kościoła wyjść jej nie pozwalał, aliści zabronił jej nawet pod jakimkolwiek pozorem przez próg domu przestępować, a nawet przez okno na ulicę wyglądać. Biedna kobieta wiodła smutne życie, które tym nieznośniejsze dla niej było, im niewinniejszą się czuła. Wreszcie, doprowadzona do ostateczności, postanowiła, o ile tylko zdoła, pociechę sobie znaleźć i jeśli już cierpieć, to cierpieć przynajmniej nie bez winy. Wprawdzie nie wolno jej było wyglądać przez okno, dlatego też żadnemu przechodniowi pokazać nie mogła, że nie pogardziłaby jego miłością.

Inna za to sposobność wkrótce jej się nadarzyła, bowiem w sąsiednim domu mieszkał urodziwy bardzo młodzieniec. Białogłowa nasza poczęła rozmyślać, jakim by tu sposobem w murze dzielącym oba domy otwór uczynić, aby czatować na sposobność i porozumieć się z owym młodzieńcem, miłością swą go darząc, jeśli tylko przyjąć ją zechce. Nie wątpiła bowiem, że później znajdzie już sposób, aby się z sąsiadem widywać i dzięki temu posępny żywot swój nieco rozweselić. Przez długi czas pod nieobecność męża szukała daremnie choćby najmniejszej szparki w murze, wreszcie jednak usiłowania jej pomyślny skutek uwieńczył: odkryła bowiem w nieznacznym miejscu małą szczelinę. Spojrzała przez nią i tyle tylko niewyraźnie dostrzegła, że jakaś komnata po drugiej stronie się znajduje. „Ach, gdyby to była komnata Filipa (tak się nazywał ów młody sąsiad) – rzekła sama do siebie – rzecz byłaby na pół dokonana!”

Trzeba się było jednak przekonać. Pomogła jej w tym służka, która, współczuciem powodowana, wyszła na zwiady i wróciła z oznajmieniem, że istotnie w tej komnacie pewien młodzieniec sam jeden sypia. Białogłowa, dowiedziawszy się o tym, często chodziła w to miejsce i gdy tylko spostrzegła, że Filip jest w komnacie, jęła rzucać piaskiem i patykami przez ową szczelinę dopóty, póki nie zwróciła uwagi młodzieńca na te osobliwe szmery. Zaciekawiony, przystąpił do szpary, a wówczas ona zawołała nań po cichu. On zasię, poznavszy jej głos, odpowiedział, za czym w krótkich słowach całe położenie swoje mu odkryła. Młodzieniec, uradowany nad wyraz, postarał się o powiększenie otworu, o tyle jednak, aby nikt tego nie zauważył. Młodzi ludzie rozmawiali z sobą często, a nawet rękami się dotykali, jednakże na tym wszystko się kończyło, bowiem zazdrosny mąż zbyt dobrze pilnował.

Tymczasem nadeszła Wielkanoc; żona oznajmiła mężowi, że chciałaby pójść w pierwszy dzień świąt rano do kościoła, aby przystąpić do spowiedzi i komunii, jak to wszyscy chrześcijanie czynią.

– A jakież to grzechy popełniłaś – spytał zazdrośnik – że chcesz się spowiadać?

– Jakież? – odparła żona – zali sądzisz, że świętą się stałam, ponieważ mnie w zamknięciu trzymasz? Mam i ja swoje grzechy, jak i każda inna śmiertelna istota, jednakże nie mam obowiązku tobie ich wyznawać, bowiem nie jesteś księdzem.

Słowa te wzbudziły nowe podejrzenia w duszy zazdrosnego męża. Poczuł niezmierną chęć dowiedzenia się, jakie to grzechy żona jego popełniła, i nie przestał łamać sobie głowy, aż wymyślił sposób podsłuchania spowiedzi. Odrzekł jej tedy, że się zgadza, aliści pod warunkiem, aby nie do innego kościoła, tylko do parafialnej kaplicy o rannej godzinie spowiadać się poszła. Spowiednikiem jej ma być proboszcz lub też wskazany przez niego zakonnik. Po czym niezwłocznie do domu powrócić winna. Żonie zdało się, że przeniknęła zamysły zazdrośnika, jednakże nie rzekła ani słowa i na wszystko się zgodziła. Rankiem dnia świątecznego wstała o świcie, przyodziła się i poszła do kościoła wybranego przez męża. Zazdrosny mąż już czekał na nią w kaplicy. Umówiwszy się z proboszczem, wdział na się co prędzej habit zakonny, nasunął sobie wielki kaptur na głowę i zasiadł w stallach. Żona jego weszła tymczasem do kościoła i oświadczyła, że chce się widzieć z proboszczem. Proboszcz przybył i wysłuchawszy jej, odrzekł, że nie ma czasu sam jej spowiadać, ale że przyśle natychmiast

swego zastępcę. W samej rzeczy po chwili przysłał zazdrosnego męża, którego ciężkie chwile teraz czekać miały. Zazdrośnik nasz zbliżył się do niej uroczystym krokiem. Chocia kaptur miał na oczy nasunięty, a w kościele ciemno jeszcze było, żona poznała go od razu i pomyślała sobie: „Olaboga, toż to mój zazdrośnik, w mnicha przemieniony! Oj, dam ja mu ciężki orzech do zgryzienia!” Udała wszakże, że go nie poznaje. Gdy zasiadł w konfesjonale, uklęknęła przed nim. Zazdrośnikowi przez myśl nawet nie przeszło, że mógłby być poznany, sądził bowiem, że suknie dostatecznie go zmieniły; wziął przy tym do ust kilka kamyków, aby i głos swój odmienić.

Wkrótce zaczęła się spowiedź. Białogłowa oświadczyła, że jest zamężna, i wyznała, że kocha się w pewnym księdzu, który ją co noc nawiedza. Słowa te ostrym sztyletem przebiły serce zazdrośnika. Gdyby nie chęć dowiedzenia się bliższych szczegółów, byłby niezawodnie z miejsca się porwał. Pohamował się jednak i spytał:

– Jak to? Więc twój mąż nie sypia z tobą.

– Owszem, ojcie – odparła białogłowa.

– Jakimże tedy sposobem – spytał zazdrośnik – ów ksiądz może sypiać z tobą także?

– Ojcie! – odrzekła kobieta – dzięki jakim czarom on to robi, odgadnąć nie mogę, ale to pewna, że w całym domu nie ma tak mocno zawartych drzwi, które by za jego dotknięciem się nie otwały. Zbliżywszy się do mojej sypialnej komnaty, zanim próg jej przekroczy, szepce pewne tajemnicze słowa, które mają dar sprowadzania niezwłocznie snu na mojego męża. Wówczas, przeświadczywszy się, że mąż śpi głęboko, wchodzi, bawi przy mnie noc całą i nigdy to nie zawodzi.

– Madonno! – zawołał zazdrośnik – źle się z wami bardzo dzieje i powinniście temu kres położyć.

– Ojcie – odrzekła kobieta – wątpię, abym znalazła siłę po temu, bowiem zbyt go kocham.

– W takim razie nie mogę ci dać rozgrzeszenia – rzekł zazdrośnik.

– Martwi mnie to wielce – odparła białogłowa – ale cóż mam czynić? Nie przyszłam tutaj, aby kłamać. Ponieważ nie sądzę, ażebym mogła dotrzymać tego, czego ode mnie żądacie, z góry wam tego nie przyrzekam.

– Zaprawdę, pani – odezwał się na to zazdrośnik – żal mi wielce duszy waszej, której wiekuiste potępienie grozi; dlatego też nie będę szczenił modłów na waszą intencję, a może Bóg mnie wysłucha. Od czasu do czasu przysyłać będę do was młodego braciszka, któremu powiecie, zali modły moje i wstawiennictwo za wami do Boga jakiś skutek odnoszą. A jeśli okażą się skuteczne, dalej rzecz poprowadzimy.

– Ojcie – odrzekła białogłowa – nie przysyłajcie do mnie nikogo, mąż mój bowiem jest zazdrosny wielce. Gdy kogo obcego obaczy, pewien będzie, iż w złych zamiarach przychodzi, i gotów mnie za to przez cały rok gnębić.

– Nie bój się – odparł zazdrośnik – już ja to wszystko uładzę, że najmniejsza przykrość z tego powodu od męża cię nie spotka.

– Jeśli tak, to się zgadzam – rzekła kobieta.

Na tym spowiedź się skończyła. Po czym zazdrośnik naznaczył żonie swojej pokutę i kazał jej mszy świętej jeszcze wysłuchać, sam zaś, dusząc się z wewnętrznej wściekłości, pośpiesznie zrzucił habit i podążył do domu, aby pomyśleć nad sposobem pochwycenia żony i owego księdza na gorącym uczynku i ukarania ich obojga przykładowo.

Żona, powróciwszy z kościoła, poznała doskonale po minie męża, że po jej spowiedzi niewesoła Wielkanoc go czeka, mimo że starał się ukryć przed nią to, co zrobił i czego się dowiedział. On zaś postanowił następnej nocy zasiąść przed bramą domu na czatach i zdybać owego księdza. Dlatego też przed nocą rzekł do żony:

– Zaproszony dzisiaj jestem na wieczerzę w gościnę. Zamkniesz dobrze drzwi od ulicy, od schodów i od swojej sypialnej komnaty i położysz się spać sama, gdy zechcesz.

– Dobrze – odparła żona i znalazłszy odpowiednią chwilę, pobiegła do szczeliny. Na umówiony znak zbliżył się Filippo. Wówczas białogłowa opowiedziała mu o wszystkim, co dzisiaj z rana uczyniła i co mąż jej po obiedzie powiedział.

– Jestem pewna – rzekła – że nie wyjdzie z domu, lecz że zaczai się przy drzwiach i będzie czekał na księdza. Skorzystaj tedy ze sposobności i staraj się przedostać się do mnie przez dach, byśmy mogli być razem.

Młodzieniec, uradowany tymi wieściami, odrzekł:

– Dajcie mi, pani, tylko swobodę działania.

Wkrótce noc nadeszła. Zazdrośnik z bronią w ręku ukrył się po cichu w komórce przytkającej do bramy domu. Żona po jego wyjściu zamknęła wszystkie drzwi, a zwłaszcza te, które były w połowie schodów, aby się zabezpieczyć od niespodziewanego powrotu męża. Po czym dała znak sąsiadowi, który upatrzawszy stosowną chwilę, wkradł się do niej. Podążyli do łoża i przepędzili pełną rozkoszy noc. O świcie młodzieniec powrócił do swego mieszkania. Dzięki dusznym zgryzotom zazdrosny mąż nic na wieczerzę nie jadł. Głodny, szcękający zębami od zimna, całą noc przepędził z bronią przed bramą, czekając na księdza. Gdy jednak dzień się zbliżył, nie mogąc czuwać dłużej, położył się nasz nieszczęsny czatownik w komórce swojej i zasnął twardym snem. Wreszcie otwarto bramę domu. Kupiec wstał wówczas, wyszedł ostrożnie z komórki i udając, że z miasta powraca, wszedł do swojej komnaty, gdzie się śniadaniem pokrzepił. Po upływie kilku godzin zasię wysłał chłopca, któremu polecił nazwać się klerykiem, wysłańcom księdza spowiednika, do swojej żony z zapytaniem, rzekomo od księdza, czy wiadoma osoba nawiedziła ją znowu. Żona, wiedząc dobrze, kto posłańca przysłał, odrzekła, że tej nocy człeka tego u niej nie było i że jeśli przez dłuższy czas on nawiedzać jej nie będzie, to być może, iż uda się jej zapomnieć o nim, czego zresztą bynajmniej nie pragnie.

Cóż więcej mam wam powiedzieć? Zazdrośnik w ciągu wielu nocy czatował u wrót na księdza, a żona jego tymczasem życia z miłośnikiem używała. Mąż jednak wreszcie nie wytrzymał i pewnego poranka spytał żony z gniewną miną, co na ostatniej spowiedzi księdzu wyznała. Białogłowa odrzekła, że nie powtórzy mu tego, nie byłoby to bowiem uczciwą ani przystojną rzeczą. Zazdrośnik, niezdolny dłużej panować nad sobą, zawołał:

– O kobieto bez sumienia! Otóż na złość tobie wiem, coś mi powiedziała, i żądam teraz wyznania, kim jest ten ksiądz, w którym się tak zadurzyłaś i który dzięki swym czarom całe noce z tobą spędza! Mów albo cię uduszę!

Żona odrzekła, że kłamstwem jest, jakoby jakiegoś księdza kochała.

– Co? – wykrzyknął mąż. – Nie wyznałaś tego sama na spowiedzi? – Tu powtórzył własne jej słowa i dodał: – Ośmielisz się temu zaprzeczać?

– Może być, że ksiądz, który mnie spowiadał, opowiedział ci o wszystkim tak dokładnie, jakbyś był przy tym. A więc tak, oświadczyłam mu to!

– Powiedz mi tedy zaraz, jak się zowie twój miłośnik–ksiądz?

Białogłowa odparła z uśmiechem:

– Podobneż to do wiary, aby prosta białogłowa wodziła za nos rozumnego człeka, wiodąc go niby barana na rzeź? Ale to nie dziwota! Od chwili gdy szatan zazdrości bez powodu tobą owdładnął, straciłaś rozum, im zaś głupszy jesteś i bardziej otumaniony, tym mniejsza moja chwała. Myślisz, że oczy moje są tak ślepe jak twoje podejrzenia? Wierzę, tak nie jest! Wiedziałam bowiem i poznałam od razu, kto słuchał mojej spowiedzi. Ponieważ wiedziałam dobrze, żeś mnie chciał podejść tym sposobem, dlatego pozwoliłam ci ludzić się dotąd, że ci się podstęp udał. Gdybyś był istotnie rozumnym człowiekiem, za jakiego się uważasz, nie byłbyś się starał taką drogą dowiedzieć się o tajemnicach swojej uczciwej żony i próżnych nie szukając podejrzeń pojąłbyś od razu, że prawdą jest to, co ci na spowiedzi wyznała, i że winy w tym nie masz nijakiej. Powiedziałam ci, że kocham księdza – czyż jednak nie przebrałaś się ty, którego na moje nieszczęście kocham, w strój duchowny? Powiedziałam, że wszystkie

drzwi przed owym gościem stoją otworem, gdy zechce ze mną iść w łóżko – które były kiedy zamknięte przed tobą? Powiedziałam ci wreszcie, że ksiądz ten co noc mnie odwiedza – kiedyż to nie było cię w nocy przy mnie? W tym czasie, gdy chłopca do mnie przysyłałeś, nie nocowałeś w domu i dlatego odpowiadałam, że „wiadomej osoby nie było”. Tylko twoja głowa, zazdrością odurzona, na tym poznać się nie mogła. Udawałeś, że wychodzisz w gościnę, a stałeś przy wrotach na czatach przez noc całą. Oto stosowna kara! Skorzystaj z niej teraz i popraw się, stań się znowu tym dobrym mężem, którym dawniej byłeś, nie narażaj się na pośmiewisko ludzi znających usposobienie twoje równie dobrze jak ja i daj pokój temu ciągłemu trzymaniu mnie pod strażą. Dowiedz się, że gdybym ci chciała rogi przyprawić, to nie tylko dwoje oczu, które posiadasz, ale sto nawet przeszkodzić by mi w tym nie zdołało.

Zazdrośnik poznał teraz dopiero, że nie on żonę, ale że żona jego na hak przywiodła. Dlatego też, nie odpowiedział jej ani słowa, od tej pory uważał ją za najmądrzejszą i najczystsza z kobiet, wyrzekł się przy tym zazdrości właśnie wówczas, kiedy najwięcej mógł mieć po temu racji, tak jak w nią popadł, gdy żadnej po temu nie miał przyczyny. Sprytnej kobiecie ta ufność męża bardzo na rękę była. Nie potrzebowała już odtąd sprowadzać kochanka swojego szlakiem kocim przez dach; drzwi stały dla niego otworem. Ponieważ zaś ostrożność i rozwaga nie opuszczały jej nigdy, długo więc i spokojnie życia z nim wesołego używała.»

Opowieść szоста



PODWÓJNE OSZUSTWO

Do willi Izabeli, w czasie gdy u niej Leonetto bawi, przyjeżdża niespodzianie miłujący ją rycerz Lambertuccio. Wkrótce powraca także i mąż Izabeli. Wówczas Lambertucciowi każe ona wybiec z domu z mieczem w ręku, po czym mąż Izabeli Leonetta do Florencji odwozi.

Opowieść Fiammetty wszystkim osobliwie się podobała. Każdy twierdził, że młoda białogłowa odplaciła jak należy głupiemu prostakowi. Po czym na rozkaz króla Pampinea w te słowa zaczęła:

– Wielu mniema i głosi, że miłość odbiera rozum i ludzi jakoby w głupców zamienia. Zdaje mi się, że to mniemanie jest mylne. Wszystko, cośmy dotychczas słyszeli, niesłuszności tego sądu dowodzi. Postaram się nadto opowiedzieć historię, która będzie dowodem, że sąd ten jest błędny wielce.

«W mieście naszym, bogato we wszystkie dobra wyposażonym, żyła niegdyś młoda, wielce urodziwa i szlachetna białogłowa, żona dzielnego i szanowanego wielce rycerza. Często widzimy, że człek prędko jedną i tą samą potrawą się przesyca i że zmiana potrzebna mu jest bardzo. Tak się też i z damą ową zdarzyło. Ponieważ mąż niezupełnie ją zadowalał, zakochała się tedy w pewnym młodzieńcu, imieniem Leonetto. Ów młodzian z niezbyt wysokiego szedł rodu, celował jednak wdziękiem i dwornością.

I on również w niej się rozmiłował. Jest rzeczą wiadomą, że jeśli dwoje ludzi czegoś usilnie pragnie, to ich życzenia rzadko do skutku przywiedzione nie zostają. Tak i miłośnicy nasi rychło porozumieli się z sobą. Pod ten czas zdarzyło się, że w tejże damie dla jej urody zakochał się namiętnie pewien rycerz, imieniem Lambertuccio. Miłość jego nie znalazła wzajemności. Wydawał się damie tak odrażającym i wstrętnym, że za żadne skarby świata serca swego ku niemu by nie skłoniła. Rycerza jednak to nie zraziło. Prześladował ją ustawicznie swoimi poselstwami, widząc zasię, że wszystkie starania na nic się nie zdają, jako człek nie małego znaczenia jał jej grozić, iż w razie, gdy będzie żądzom jego dalszy opór stawiała, przed ludźmi ją osławi. Dama, znając jego mściwość i wpływ przemożny, tak się tych gróźb przeraziła, że wreszcie musiała ulec jego woli.

Pewnego dnia Izabela (takie było imię owej damy), znajdując się w wiejskiej willi swojej, do której, zgodnie z powszechnym u nas obyczajem, na lato się przeniosła, posłała do Leonetta z wezwaniem, aby do niej przybył. Leonetto, dowiedziawszy się z listu, że mąż pani

Izabeli odjechał i że w ciągu kilku dni nieobecny będzie, pełen radości pośpieszył niezwłocznie do swojej umiłowanej. Aliści i pan Lambertuccio dowiedział się o odjeździe męża pani Izabeli i postanowił skorzystać z tej sposobności. Wsiadł więc na koń i przybywszy samopas do jej domu, do drzwi zapukał. Służka, ujrawszy go z daleka, pobiegła zawiadomić panią swoją, która właśnie po społu z Leonettem w sypialnej komnacie się znajdowała.

– Pani – zawołała – pan Lambertuccio przyjechał sam jeden i do drzwi kołata.

Na tę wieść dama zawrzała gniewem, tak jednak wielka była jej obawa przed owym rycerzem, iż wymogła na Leonetcie, że ukryje się za kotarą i zaczeka, dopóki ona natręta się nie pozbędzie. Leonetto, który równie jak i dama Lambertuccia się obawiał, ukrył się co prędzej. Tymczasem służąca na rozkaz pani pobiegła otworzyć drzwi rycerzowi: Lambertuccio zeskokczył w podwórzu z rumaka, przywiązał konia obok wrót i wszedł do domu. Dama nader uprzejmie go przyjęła, wysłała do wierzchołka schodów na jego spotkanie, łaskawymi słowy go przywitała i spytała, co go do niej sprowadza?

Rycerz uściskał ją, pocałował i rzekł:

– Dowiedziałem się, najdroższa moja, że męża twego nie ma w domu. Przybywam tedy, aby szczęśliwą chwilę z tobą spędzić.

Po tych słowach weszli oboje do komnaty damy i tam się zamknęli, a pan Lambertuccio przystąpił do dzieła. Gdy tak po społu byli, całkiem nieoczekiwanie mąż pani Izabeli powrócił. Służka obaczywszy, że się do willi zbliża, podbiegła prawie bez tchu do drzwi komnaty swojej pani i zawołała:

– Madonno, pan powrócił i już na dziedzińcu być musi!

Dama na te słowa za zgubioną się poczytała. Wiedziała, iż w domu ma dwóch mężczyzn i że rycerz ukryć się nie zdoła, gdyż rumak jego pozostał na dziedzińcu. Nie tracąc jednakże przytomności umysłu, ułożyła plan ratunku, zeskokczyła z łoża i rzekła do pana Lambertuccia:

– Jeżeli mnie, panie, choć trochę miłujesz i jeśli od śmierci wybawić mnie pragniesz, to uczyn, czego od ciebie zażądam w tej chwili. Wydobądź miecz swój z pochwy i z gniewnym a zapamiętałym obliczem zbiegnij po schodach, wołając: „Biada mu! Na Boga, znajdę go, choćby się pod ziemię zapadł.” Jeżeli mąż mój zechce was zatrzymać albo zapytać o coś, nie odpowiadajcie mu ani słowa, siadajcie jeno na koń i ruszajcie, za żadną cenę z nim nie przystając.

Pan Lambertuccio przyrzekł jak najściślej prośbę damy wypełnić.

Wyjawszy miecz, zaczerwieniony, czy to ze zmęczenia, czy też z gniewu, że wrócił pan domu, uczynił, jak mu kazano.

Tymczasem mąż, stanąwszy na dziedzińcu, zadziwił się wielce na widok obcego rumaka. Wchodził właśnie do domu, gdy obaczył pana Lambertuccia biegnącego na dół z wielce gniewnym wyrazem oblicza i groźnym okrzykiem. Mąż pani Izabeli zawołał w osłupieniu:

– Stójcie, panie! Czegoż szukacie tutaj?

Aliści Lambertuccio włożył nogę w strzemień, wskoczył na siodło i krzyknąwszy tylko: „Na mękę Pańską, potrafię go znaleźć wszędzie!”, pomknął przed siebie jak strzała.

Wówczas mąż pani Izabeli pobiegł w górę i spostrzegł na schodach swoją żonę, bladą z trwogi i całym ciałem drżącą.

– Co się stało? – zapytał. – Kogo szuka rycerz Lambertuccio i komu tak straszliwie grozi?

Dama zbliżyła się do drzwi sypialnej komnaty, tak aby Leonetto mógł ją usłyszeć, i odrzekła:

– Ach, mój mężu! Nigdy w życiu moim większej nie zaznałam trwogi. Jakiś młodzieniec, całkiem mi nie znany, schronił się tutaj, ścigany przez pana Lambertuccia z mieczem w rękę. Nieszczęśliwy wpadł przypadkiem do mojej komnaty, która stała otworem, i ujrawszy mnie, zawołał, drżąc całym ciałem: „Madonno, na miłosierdzie boskie, nie pozwól, aby mnie zamordowano w twojej przytomności!”

Na te słowa zerwałam się z krzesła, nim jednak zapytać zdołałam, kto zacz, wpadł na dziedziniec z dobytym mieczem pan Lambertuccio. Z groźnym okrzykiem: „Gdzie jesteś, zdrajco?”, zbliżył się do drzwi mojej komnaty. Zastąpiłam mu drogę; rycerz, widząc, że go do komnaty wpuścić nie chcę, o tyle był powściągliwy, iż oddalił się, wiele gniewnych słów wypowiedziawszy.

– Żono – odrzekł gospodarz – dobrześ uczyniła. Wielka hańba spadłaby na dom nasz, gdyby w nim kogokolwiek zamordowano. Pan Lambertuccio wielce mnie swoim zuchwalstwem obraził. Jakże się mógł odważyć aż tak daleko tego człeka ścigać? Gdzie jest ów młodzian?

– Nie wiem, gdzie się ukrył – odparła pani Izabela. Wówczas mąż pani Izabeli zawołał gromkim głosem:

– Młodzieńcze, wyjdź bez obawy!

Leonetto, który wszystko wybornie był słyszał, przerażony niemało, jako że strachu zaznał nie na żarty, wyszedł z swojej kryjówki. Ujrzawszy go, gospodarz spytał:

– O co się wadzicie z panem Lambertuccio?

– Nie wiem, panie – odparł Leonetto – o co mu poszło, i dlatego zdaje mi się, że albo musi być niespełna zmysłów, albo też wziął mnie za inną osobę. Spostrzegłszy mnie na gościńcu, niedaleko od willi waszej, natychmiast wy dobył miecz i krzyknął: „Zginąłeś, zdrajco!” Oczywiście, że nie pytałem, w czym rzecz, ale zemknąłem co tchu i wpadłem tutaj, gdzie dzięki Bogu i tej szlachetnej damie ratunek znalazłem.

– Rad jestem z tego niezmiernie – odrzekł mąż pani Izabeli. – Zbądź się teraz wszelkiej obawy, odwiozę cię bowiem cało i zdrowo do domu. A potem ty już staraj się dojść z nim jakoś do ładu.

Po czym mąż pani Izabeli zaprosił Leonetta na wieczerzę, a po wieczerzy do Florencji go odwiózł. Leonetto tegoż jeszcze wieczora, wedle pouczenia chytrej niewiasty, porozumiał się tajnie z rycerzem Lambertuccio. Dzięki tej rozmowie, chociaż wiele o tym później gadano, mąż pani Izabeli nie dowiedział się nigdy, jak z niego żona zadrwiła.»

Opowieść siódma



OBITY I UKONTENTOWANY

Lodovico wyznaje miłość pani Beatryczy. Beatrycze wysyła swego męża, Egano, ubranego w jej niewieście szaty, do ogrodu, sama zaś przez ten czas Lodovico łaskami swymi obdarza, po czym Lodovico udaje się do ogrodu, aby Egana kijem wygrzmocić.

Towarzystwo wyraziło jednogłośnie podziwienie nad pomyslowym figlem pani Izabeli. Po czym Filomena na rozkaz króla zaczęła w te słowa:

– Najmilsze damy! Jeżeli się nie łudzę, to fortel, o którym wam zaraz opowiem, niemniej zręcznym wam się wyda. Posłuchajcie tylko!

«Przed laty żył w Paryżu pewien florencki szlachcic. Ubóstwo zmusiło go do parania się handlem. Fortuna tak mu sprzyjać zaczęła, że wkrótce bardzo znaczny majątek zebrał. Miał on jednego tylko syna, imieniem Lodovico. Nie chciał go na kupca przeznaczyć, ale pragnął, by szlacheckiemu stanowi swego ojca wierności dochował, i dlatego oddał go na dwór króla francuskiego. Młodzian na dworze tym wielu pożytecznych rzeczy i obyczajów układnych się nauczył.

Pewnego dnia Lodovico przebywał w towarzystwie dworzan i rycerzy, którzy właśnie z podróży do Grobu Świętego powrócili. Rozmawiano o urodziwych białogłowach we Francji, Anglii i innych krajach. Jeden z młodzieńców przysłuchiwał się długo tej rozmowie, wreszcie rzekł, że wiele urodziwych wielce kobiet widział wędrując po świecie, ale że nigdzie nie znalazł piękniejszej od pani Beatryczy, żony Egana de' Galluzzi z Bolonii. Wszyscy rycerze, którzy z nim po spółu w Bolonii przebywali, poparli jego zdanie jednogłośnie.

Lodovico, który do tej pory żadnej kobiety jeszcze nie kochał, usłyszawszy o nieporównanej urodzie pani Beatryczy, zapłonął taką żądzą ujrzenia jej, że niezdolny był o niczym innym myśleć. W końcu postanowił wybrać się do Bolonii, poznać panią Beatrycę i jeśli mu się spodoba, pozostać przez dłuższy czas w tym mieście. Od ojca uzyskał z trudem pozwolenie na wyjazd, pod kłamliwym pozorem, że chce udać się do Grobu Zbawiciela. Przybył do Bolonii pod przybranym nazwiskiem Anichina i dzięki szczęśliwej okoliczności, następnego dnia poznał w czasie uczytą panią Beatrycę. Znalazłszy ją stokroć piękniejszą, niż sobie wystawiał, Lodovico zakochał się w niej gorąco i postanowił dopóty Bolonii nie opuszczać, dopóki jej wzajemności nie pozyska. Długo myślał nad środkami wiodącymi do skutecznego

pragnień swoich, wreszcie przyszedł do przekonania, że najlepiej będzie zaciągnąć się na służbę do męża uroczej damy, który wielki dwór utrzymywał.

Dlatego też sprzedał swoje konie, odprawił hojnie służbę z rozkazem, aby udawała, że go nie zna, a następnie zwrócił się do swego oberżysty z zapytaniem, czy nie wie o jakimś dostojnym panie, który by go na dwór swój chciał przyjąć.

– Zdaje mi się, że pan Egano, jeden z najbogatszych szlachciców naszego miasta, chętnie przyjąłby cię na swój dwór, wielu bowiem utrzymuje dworzan, odznaczających się urodziwym pozorem i dwornymi obyczajami. Powinieneś mu do serca przypaść. Pomówię z nim o tobie – odrzekł oberżysta.

Oberżysta wypełnił swoją obietnicę i ku wielkiej radości Anichina, zaprowadził go do Egana, który go dobrotliwie przyjął.

Anichino, dostawszy się do domu umiłowanej i pozyskawszy sposobność częstego widywania jej, tak dobrze służbę swą spełniał, że wkrótce Egano obyć się nie mógł bez niego, przychylnością bezmierną go obdarzył i pieczę nad wszystkimi sprawami swymi mu powierzył.

Tymczasem zdarzyło się, że gdy Egano bawił na łowach, a Anichino w domu pozostawał, pani Beatrycze, dotychczas afektów jego nieświadoma, pełna wszakoż uznania dla jego przymiotów, do szachów z nim zasiadła. Anichino, pragnąc jej ukontentowanie sprawić, zręcznie dał się zwyciężyć, czym piękną białogłową wielce uradował. Pod ten czas dworki pani Beatrycze odeszły i samych ich przy grze zostawiły. Anichino westchnął głęboko. Piękna dama usłyszawszy to westchnienie spojrzała nań i rzekła:

– Co ci się stało, Anichino? Zaliżby ci było smutno z tego powodu, że cię pokonałam?

– Madonno – odpowiedział Anichino – z daleko ważniejszej przyczyny westchnąłem.

– Jeśli masz ufność do mnie – rzekła dama – wyznaj mi tę przyczynę.

Anichino na to wezwanie ze strony tej, którą tak kochał, nie mógł pohamować jeszcze głębszego westchnienia.

Wówczas pani Beatrycze poczęła nalegać na niego silniej, aby jej odkrył przyczynę tych westchnień.

– Madonno – odrzekł Anichino – lękam się mocno, że jeśli wam powiem całą prawdę, w srogi gniew wpaść możecie, a także i innym tajemnicę moją zdradzić.

– Obiecuję, że się gniewać nie będę i że nikomu słów twoich nie powtórzę, chyba że sam tego chcieć będziesz!

– Skoro tak – zawołał Anichino – wszystko wam opowiem!

Wyrzekłszy te słowa, ze łzami opowiadać jej zaczął, kim jest, jakim sposobem dowiedział się o niej, jak się w niej rozmiłował i dlaczego dworzaninem męża jej został. Po czym ją błagać ją kornie, aby miała miłosierdzie dla niego i aby wielką a utajoną jego miłość nagrodzić zechciała. Jeżeli zaś nie chce uczynić tego, to niechaj przynajmniej pozwoli mu, jak dotąd, pozostać przy sobie i kochać ją w milczeniu.

O wspaniała i szlachetna krwi bolońska, jakiejże pochwały jesteś godna! Nigdy nie byłaś nieczuła na łzy i westchnienia. Po wszystkie czasy miękka byłaś na błagania i poddawałaś się chętnie uniesieniom miłości. Gdyby język mój godnie wysławić cię zdołał, nigdy by nie zamilkł w pochwałach dla ciebie!

Przez cały czas mowy Anichina dama wpatrywała się weń. Pełna ufności w prawdę słów jego, słysząc te prośby, zapłonęła naraz tak gwałtowną ku niemu miłością, że sama wzdychać poczęła i wreszcie zawołała:

– Bądź dobrej myśli, mój najdroższy Anichino! Podarki, obietnice i starania wielu panów i rycerzy, którzy zalecali się do mnie, nie mogły wymóc mojej wzajemności, ty natomiast w parę chwil swoimi słowami podbiłeś całkiem serce moje, tak iż teraz należę bardziej do ciebie niż do siebie samej. Uznaję, żeś godzien jest mojej miłości, ofiaruję ci ją i obiecuję, że cię owocami jej obdarzyć nie omieszkam, nim jeszcze dzisiejsza noc upłynie. Aby się to dopeł-

niło, staraj się przyjść o północy do mojej sypialni. Drzwi pozostawię otworem. Wiesz, po której stronie łoża leżę, zbliż się więc do mnie; jeśli bym spała, zbudź mnie dotknięciem, a możesz być pewien, że ci wynagrodzę długi czas tęsknoty i pragnienia. Abyś zaś temu uwierzył, weź ten pocałunek na zadatek – to mówiąc objęła go za szyję i pocałowała drżąc z miłości. Młodzieniec oddał jej pocałunek.

Po czym opuścił damę i krzając się około spraw swoich, jął w najwyższym uniesieniu nadejścia nocy oczekiwać. Egano tymczasem powrócił z polowania i będąc bardzo znużonym, natychmiast po wieczery położył się do łoża. Żona wnet znalazła się obok niego, nie zapomniawszy jednakże zostawić drzwi otworem.

O oznaczonej godzinie Anichino wszedł na palcach do sypialnej komnaty małżonków, zsunął rygiel od drzwi, zbliżył się do krawędzi łoża, na którym dama leżała, i dotknawszy jej piersi, przekonał się, że nie śpi. Beatrycze poznawszy, że to on, chwyciła go obiema rękoma za rękę i poczęła się tak przewracać na łożu, iż Egano, który już zasnął, obudził się i spytał, co ta jej niespokojność znaczy.

– Egano – odrzekła na to dama – wieczorem po powrocie wydawałeś mi się tak znużony, że nie chciałam z tobą w pewnej materii rozmowy wszczynać. Teraz natomiast chciałabym się zapytać, którego z swoich dworzan poczytujesz za najuczciwszego i najbardziej oddanego ci człeka.

– Po cóż mi podobne pytanie zadajesz, moja żono – odparł Egano. – Wiesz przecież, że nie mam dla nikogo tyle zaufania i miłości, ile dla mego drogiego i wiernego Anichina. Więc po co o to pytasz?

Anichino, widząc, że Egano nie śpi, i słysząc podobną o sobie rozmowę, usiłował wyrwać swą rękę z uścisku Beatryczy i uciec, był bowiem pewien, że dama go zdradzi i mężowi wyda. Aliści Beatrycze trzymała go tak mocno, iż żadnym sposobem wydrzeć się jej nie mógł.

Dama ciągnęła dalej na ten kształt:

– Ciekaw jesteś, Egano, co znaczy to moje pytanie. Zaraz się dowiesz. I ja sądziłam to samo o Anichinie i poczytywałam go za najwierniejszego z dworzan twoich. Aliści on sam wywiódł mnie z tego błędu. Dzisiaj bowiem, gdyś na łowach bawił, zdrajca ten został w domu i wybrawszy stosowną chwilę, miał odwagę prosić mnie, bym powolną była jego woli. Dla wyleczenia cię raz na zawsze z ufności, jaką w tym niegodziwcu pokładasz, i naocznego przekonania cię o jego przewrotności, udałam, że się zgadzam, i przyobiecałam, że o północy spotkam się z nim pod pinią w ogrodzie. Oczywiście, że nie myślę tam iść bynajmniej, aliści ty, dla przekonania się o wierności ukochanego sługi, znaleźć się na tym miejscu powinienes. Jeśli chcesz, aby cię poznał, włóż na się moją suknię i zasłoną moją się okryj. Obaczysz, czy przyjdzie; pewna jestem, że czekać nie będziesz na próżno.

Egano, wysłuchawszy słów żony, zawołał:

– Wierę, muszę to uczynić!

Po czym wyskoczył z łoża, po omacku zarzucił na siebie szaty swojej żony, udał się do ogrodu i stanął pod pinią w zamiarze czekania na Anichina.

Dama, usłyszawszy odgłos oddalających się kroków, wyszła z łoża i zarygłowała drzwi.

Anichino, jak nigdy dotąd, przeżył chwile najwyższego strachu w trakcie rozmowy małżonków i wszystkich sił dokładał, aby wyrwać się z rąk damy, i po sto razy wyrzucał sobie, że tak ślepo Beatryczy i jej miłości zawierzył. Widząc jednak, jaki obrót sprawa przybiera, poczuł się najszcześliwszym z ludzi. Ledwo się mógł doczekać na zawarcie drzwi. Ujrzawszy Beatryczę w łożu; zrzucił z siebie szaty i znalazł się obok niej. Po czym oboje najwyższej rozkoszy się oddali. Czas szybko mijał. Dama nie zapomniała o tym i widząc, że już pora się pohamować, kazała Anichinowi wstać, ubrać się i tak doń rzekła:

– Weź, mój najdroższy, tęgi kij i jeźdź teraz do ogrodu. Ujrzawszy Egana, udaj, że go bierzesz za mnie i żeś mnie tylko chciał wypróbować. Łajaj go ile sił i bij, co się zmieści! Będzie to krotochwilnym przydatkiem do rozkoszy, której użyliśmy.

Anichino schwycił gruby kij i udał się do ogrodu. Gdy znalazł się opodal pinii, Egano ujrzawszy go postąpił kilka kroków mu naprzeciw, tak jakby się radował z jego przybycia. Anichino wykrzyknął:

– Ach, wiarołomna, przewrotna białogłowo! Przyszłaś tutaj, uwierzywszy, że będę w stanie memu panu podobną zniewagę wyrządzić? Przeklęta bądź po tysiąc razy!

Egano, słysząc to i widząc kij, nie mówił wiele, lecz rzucił się do ucieczki, ile tchu w piersiach. Anichino biegł za nim nieustannie, wołając:

– Umykaj! Niech cię Bóg skarże! Jutro o wszystkim Eganowi opowiem.

Chociaż mąż Beatryczy żwawo umykał, przecie wiele razy na jego plecy spadło. W komnacie sypialnej spotkała go żona pytając, zali Anichino był w ogrodzie.

– Lepiej by się stało, gdyby był nie przyszedł – rzekł Egano – bowiem, wzięwszy mnie za ciebie, wygrzmocił mnie tego kijem i srodze słowami znieważył. Dziwię się tylko, że śmiał cię podobnym sposobem doświadczać. Ani chybi, nabrał tej śmiałości wobec ciebie, widząc, że ustawicznie się śmiejesz i żartujesz.

– Chwała Bogu – odparła Beatrycze – że mnie tylko słowami, ciebie zaś i czynami doświadczył. Teraz może rzec słusznie, że ja cierpliwiej słów jego słucham, niż ty czyny jego znosisz. Jest ci tak oddany jednakże, że go miłować powinniśmy i cześć mu świadczyć.

– To prawda – rzekł Egano uwierzywszy od tej chwili, że nie ma na świecie cnotliwszej białogłowy niż Beatrycze i wierniejszego od Anichina sługi. Nieraz też w przytomności Beatryczy i Anichina z tego zdarzenia żartował. Anichino i Beatrycze tymczasem, dzięki tej przygodzie, cieszyli się swoją miłością z większą swobodą, niżby to kiedy indziej było możliwe, póki młodzieniec w Bolonii u Egana pozostawał.»

Opowieść ósma



NITKA PANI SISMONDY

Żona zazdrośnika przywiązuje sobie nocą do palca nić, aby dowiedzieć się, kiedy jej miłośnik przed domem staje. Mąż to spostrzega i rzuca się w pogoń za kochankiem. W tym czasie żona kładzie do łóżka swoją służkę. Arriguccio po powrocie bije ją i włosy jej obcina, po czym sprowadza braci żony, którzy przekonawszy się, że im nieprawdę mówił, lżą go srodze.

Fortel pani Beatryczy wydał się towarzystwu aż nadto wobec męża złośliwy. Każdy też wystawiał sobie, ile strachu musiał zaznać Anichino, gdy Beatrycze, nie puszczać jego ręki, opowiadała mężowi o jego miłosnym wyznaniu. Wreszcie jednak król koniec tej rozmowie położył wezwawszy Neifilę do opowiadania z kolei. Ta, uśmiechając się z lekka, tak zaczęła:

– Piękne damy! Trudne, wierę, miałabym zadanie, gdybym chciała uraczyć was równie piękną historią jak te, któreście dotąd słyszały; spróbuję jednak z pomocą bożą z obowiązku swego niezgorzej się wywiązać.

«Wiedźcie tedy, że w mieście naszym żył niegdyś bogaty kupiec, nazwiskiem Arriguccio Berlinghieri. Arriguccio, jak to za naszych czasów często z kupcami się zdarza, wpadł na głupią myśl uszlachcenia się przez żonę. Dlatego też pojął w stadło małżeńskie dziewczkę szlacheckiego rodu, niezbyt dla niego odpowiednią, imieniem Sismonda. Mąż, obyczajem kupców, często wyjeżdżał na długo – nie dziwota tedy, że młoda białogłowa rozkochała się z nudów w młodzieńcu, imieniem Roberta, który przez długi czas starał się o jej względy. W zażyły weszła z nim stosunek i może dla wielkiej przyjemności, jaką w obcowaniu tym znajdowała, nie dość była ostrożną, tak iż Arriguccio, czy to spostrzegłszy coś, czy też domyślając się czegoś, stał się najzazdrośniejszym mężem na świecie. Wyrzekł się podróży, zaniedbał swoje sprawy i niczym prawie innym się nie zajmował, jeno pilnowaniem żony swojej. Nigdy nie zasnął pierwej, póki Sismondy w łóżu nie obaczył. Martwiło to wielce damę, nie mogącą teraz żadnym sposobem ze swoim Robertem się widywać. Długo myślała, jak temu zaradzić, napierana przy tym żywo przez kochanka, aż wreszcie wpadła na następujący pomysł. Komnata jej wychodziła na ulicę. Zauważyła zaś, że mąż późno zasypia, ale że zasnawszy śpi potem jak kamień. Postanowiła tedy uwiadomić Roberta, by o północy przyszedł pod bramę domu, a wtedy mu otworzyć i podczas gdy mąż trwać będzie w śnie głębokim, spędzić z Ro-

bertem kilka szczęśliwych chwil. Chodziło tylko o to, jak dowiedzieć się o jego przybyciu przed dom, bez obudzenia jakiegokolwiek podejrzenia.

Umówiła się tedy z Robertem, że co noc przywiązywać sobie będzie do wielkiego palca u nogi grubą nić, której drugi koniec spuści przez okno, tak aby dostawał do samej ziemi. Za ten koniec miał Roberto lekko pociągnąć oznajmiając o swoim przybyciu; jeśli mąż będzie we śnie pogrążony, ona wypuści nić i zejdzie mu otworzyć; w razie zaś gdyby męczyla męża bezsenność, sama z kolei za nić pociągnie, dzierżąc ją mocno, aby uprzedzić kochanka, że nie ma po co czekać.

Robertowi ten środek porozumienia wielce się podobał. Spróbował tego fortelu i od tej pory często pod dom przybywał. Niekiedy udawało mu się być razem z ukochaną, kiedy indziej znów nie. Pewnego razu jednak zdarzyło się, że pani Sismonda sama niespodzianie zasnęła z nitką przyczepioną do wielkiego palca u nogi. Arriguccio zaczepił nogą o tę nitkę przypadkiem i zaciekawiony, co to być może, pociągnął ją ku sobie. Wówczas spostrzegł, że koniec jej uwiązany jest u palca jego żony. Zwietryzył w tym natychmiast jakiś podstęp i pomyślał: „Wierę, nie będzie to bez kozery!”

Utrwalił się w podejrzeniu, gdy doszedł, że nitka spuszczone jest przez okno na ulicę. Na ten widok, tknięty nagłą myślą, uciął nić przy samym palcu pani Sismondy, przywiązał ją do swojej nogi w ten sam sposób i czekał, co będzie dalej. Po upływie kilku chwil Roberto stanął pod oknem i pociągnął za nitkę, wedle obyczaju. Arriguccio uczuł to pociągnięcie. Nitka przytwierdzona była słabo, Roberto zasię, który silnie ją szarpnął, ujrzał nagle drugi jej koniec w swoich rękach. Kochanek wziął to za znak, że ma czekać. Arriguccio zaś, ujrawszy, jak nić znika, pojął, że tam na dole ktoś czekać musi; uzbroił się więc naprędce i pośpieszył przekonać się, kim jest ów gość nocny, obiecując sobie, że go podobnych fortelów na zawsze oduczy. A choć kupiec, chłop to był na schwał i silny wielce. Tymczasem Roberto, usłyszawszy, że ktoś drzwi gwałtownie otwiera, nie tak, jak to pani Sismonda czyniła, odgadł od razu, co się święci, i nie namyślając się długo, wziął nogi za pas. Arriguccio ścigał go z wszystkich sił. Wreszcie Roberto, czując, że nie ujdzie, ubiegłszy spory kawał drogi stanął, dobył miecza i bronić się przed nacierającym Arrigucciem począł.

Tymczasem pani Sismonda obudziła się na odgłos gwałtownego otwarcia drzwi. Spostrzegłszy, że nitka odcięta, pojęła w lot, że wszystko na jaw wyjść musiało. Wiedząc, że Arriguccio ściga w tej chwili jej kochanka, pomyślała o ratunku. Namysł jej był krótki. Przywołała służkę wtajemniczoną we wszystko, i skłoniła ją do zajęcia swojego miejsca w łożu. Następnie wymogła na niej, że nie dając się poznać znieśnie wszystko, cokolwiek by Arriguccio w pierwszym zapędzie gniewu mógł z nią uczynić – i przyrzekła, że za tę usługę hojnie ją wynagrodzi. Po czym zgasiła światło płonące w sypialnej komnacie i ukryła się w innej części domu, aby czekać, co dalej będzie.

Tymczasem Roberto i Arriguccio, walcząc na ulicy, rozbudzili wszystkich sąsiadów, którzy pokazawszy się w oknach łącać ich srodze poczęli. Arriguccio, przejęty obawą, aby go nie poznano, cofnął się i popędził do domu. Był wściekły okrutnie, że nie mógł poznać ani ukarać przykładowie zuchwałego młodzieńca. Pieniąc się ze złości, wpadł do sypialnej komnaty i zawołał:

– Gdzie jesteś, bezwstydną białogłowo? Zagasiłaś światło, abym cię nie znalazł, aleś chybiła celu!

I z tymi słowy dopadłszy do łoża chwycił za gardło dziewczynę, którą wziął za swoją żonę, i począł ją tak pięściami walić i nogami kopać, że całe jej oblicze pokryło się sińcami. Wreszcie obciął jej włosy, obsypując ją bez przerwy najstraszniejszymi obelgami. Dziewczyna zalewała się łzami, prosząc pokornie: „Na miłość boską, dosyć! Biada mi, litości!” Arriguccio taki gniew zaślepił, iż nie mógł rozeznaczyć, że to nie głos żony, przy tym dziewczynka od szlochów ochrypla.

Pofolgowawszy swemu gniewowi wstrzymał się wreszcie i rzekł:

– Teraz dam ci już spokój, występna białogłowo, ale za to w tej chwili pójde do twoich braci i opowiem im o twoich pięknych sprawkach. Niechaj przyjdą, zabiorą cię i uczynią z tobą, co im cześć i sumienie nakaze. Zabrać cię muszą, bowiem jednej chwili dłużej w tym domu zostać ci nie pozwolę.

Wyrzekłszy te słowa wyszedł z sypialnej komnaty, zaryglował drzwi i wybiegł z domu. Pani Sismonda, która to wszystko słyszała, ujrzawszy męża oddalającego się, otworzyła drzwi od komnaty i zapaliła światło. Srodze pobita służka tonęła w gorzkich łzach. Pani Sismondzie żal jej się zrobiło. Pocieszyła ją więc jak mogła najlepiej i odesłała do alkierza, wydawszy uprzednio rozkaz, aby się nią troskliwie zajęto. Wynagrodziła ją także hojnie pieniędzmi Arriguccia za doznaną krzywdę, po czym pośpieszyła do sypialnej komnaty, doprowadziła łoże swoje do porządku, tak aby się zdawać mogło, że tej nocy nikt jeszcze w nim nie leżał, zapaliła lampkę nocną, ubrała się, uczesała, jakby nie szła jeszcze na spoczynek, i zasiadła z robotą niedaleko schodów, czekając, co będzie dalej.

Tymczasem Arriguccio prawie bez tchu w piersiach przybiegł do domu braci żony swojej i póty się do drzwi dobijał, póki mu ich nie otwarto. Trzej bracia pani Sismondy oraz matka jej, poznawszy, że to Arriguccio przybył, wstali natychmiast, kazali światło zapalić i wyszli mu naprzeciw z zapytaniem, co go o tak późnej godzinie sprowadza? Wówczas Arriguccio opowiedział im wszystko, od chwili gdy na wielkim palcu nogi swej żony nitkę znalazł, i wyznał, co z żoną uczynił. Na dowód prawdy ostatnich słów swoich wręczył im włosy, które jak mniemał, żonie obciął, po czym zażądał, aby przybyli po panią Sismondę i uczynili z nią, co – wedle mniemania – honor im nakazuje, on bowiem ani chwili dłużej w domu swoim niewiernej żony znosić nie chce.

Bracia pani Sismondy, przygnębieni srodze, zapaleni gniewem na nią i pełni wiary w słowa jej męża, rozkazali zapalić pochodnie i pośpieszyli z Arrigucciem do jego domu w zamiarze ukarania winowajczyni. Matka zalewając się łzami biegła za nimi i zaklinała ich, by nie wierzyli pochopnie oskarżeniom Arriguccia i dobrze raz jeszcze całą rzecz zbadali i rozważyli. Przedstawiała im, że mąż, rozgniewany na żonę z innego powodu, mógł ciężko ją pokrzywdzić, a teraz dla usprawiedliwienia siebie podobną potwarz wymyślić. Starucha mówiła także, że nie może jej się w głowie pomieścić, aby białogłowa, którą znała tak dobrze od dziecka i która tak troskliwe wychowanie odebrała, mogła być do podobnego występku zdolna.

Gdy bracia wraz z matką doszli do domu Arriguccia i poczęli wstępować na schody, pani Sismonda, usłyszawszy kroki nadchodzących, spytała przez drzwi:

– Kto tam?

Na to jeden z braci odpowiedział:

– Zaraz się dowiesz, występna białogłowo!

– Co to ma znaczyć? – zawołała pani Sismonda. – Boże, miej nas w opiece! – I otwierając drzwi, dodała: – Witajcie mi, mili bracia! Cóż was wszystkich trzech o tak późnej godzinie tutaj sprowadza?

Bracia widząc ją szcieniem zajęta, spokojną i bez najmniejszych śladów pobicia na twarzy, chocia Arriguccio im twierdził, że oblicze jej jest siniakami pokryte, zdziwili się niepomiernie i od razu zapęd swego gniewu pohamowali. Po czym powtórzyli jej skargi Arriguccia i srogo jej zagrozili w wypadku, jeśli nie wyzna im otwarcie całej winy.

– Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie, o co przed wami mógł mnie oskarżać Arriguccio – odrzekła na to pani Sismonda.

Bracia opowiedzieli pokrótce pani Sismondzie, na co Arriguccio się skarżył, wspominając o nitce i o pobiciu. Usłyszawszy to, pani Sismonda zwróciła się z zadziwioną miną do męża i zawołała:

– Biada mi, cóżem usłyszała? Człeku, po cóż na hańbę własną przedstawiasz mnie jako rozpustną kobietę, którą nie jestem, a siebie samego jako gbura i okrutnika, nie będąc nim

także? Dzisiejszej nocy nie byłeś w domu, nie przestąpiłeś przez próg sypialnej komnaty, przecznie więc twierdzisz, żeś mnie pobił? Opamiętaj się na miłość boską!

– Co? – wrzasnął Arriguccio. – Jeszcze kłamać się ośmielasz, przewrotna kobieto? Czyżemy się nie położyli razem do łóżka? Zalim nie wrócił do domu po daremnej pogoni za twoim miłośnikiem? Zali nie zbiłem cię na kwaśne jabłko i nie obciąłem ci włosów?

– W tym domu przynajmniej – odparła żona – nie kładłeś się spać dzisiaj. Ale mniejsza o ten szczegół, którego prawdy w tej chwili udowodnić nie mogę; przejdźmy do innych rzeczy. Mówisz, żeś mnie bił pięścią i żeś włosy mi obciął. Popatrzcież tedy wszyscy na mnie uważnie i powiedzcie mi, czy na moim obliczu znajduje się choćby najlżejszy ślad uderzenia. Zresztą, gdybyś był o tyle zuchwały, aby rękę na mnie podnieść, klnę się na krzyż Pański, że inaczej byś teraz wyglądał, bowiem oczy bym ci wydrapała. Co się zaś tyczy włosów, to mi ich nie obciąłeś, przynajmniej ja nie widziałam ani nie czułam tego. Możeś jednak uczynił to tak zręcznie, żeś tego nie zauważyła. Przekonajmy się tedy.

To mówiąc zdjęła zasłonę z głowy i pokazała, że włosy jej są starannie uczesane i nie-
tknięte. Na ten widok bracia i matka zwrócili się do Arriguccia i rzekli:

– Cóż ty na to, Arriguccio? Całkiem co innego słyszeliśmy od ciebie. Któż ma tu słuszność? Na czym teraz swoje oskarżenia gruntować będziesz?

Arriguccio stał jak we śnie. Wreszcie ocknął się i chciał odpowiedzieć, aliści nie wiedział, co ma mówić; to, czego był pewny i czego dowieść zamierzył, okazywało się czymś całkiem innym; więc w końcu zamilkł. Wiedział dobrze, ile ciosów jej zadał, dlatego też pojąć nie mógł, dlaczego młoda białogłowa nie ma na twarzy najmniejszych znaków pobicia ani zadrapania.

Wówczas pani Sismonda, korzystając z jego zakłopotania, zawołała:

– Widzę z boleścią, bracia moi, że mąż mój chce mnie przywieść do wyznania, którego nigdy w życiu bym nie uczyniła. Chodzi tu o haniebnny sposób jego życia i postępowania ze mną. Wiedźcie tedy, że upewniona jestem, iż w samej rzeczy zdarzyło mu się to wszystko, o czym wam opowiedział, aliści bynajmniej nie tutaj. Ten zacny człowiek bowiem, za którego na nieszczęście moje mnie wydaliście, chciałby za porządnego kupca uchodzić i powszechnym zaufaniem się cieszyć. Pragnie, aby ludzie poczytywali go za wstrzemięźliwszego od księdza i obyczajniejszego od młodej dziewczeczki. Tymczasem rzadko taki wieczór minie, aby się nie upił w szynkowni, a potem nie wdał z pierwszą lepszą gamratką, podczas gdy ja do północy, a czasem i do świtu samotna siedzę i czekam, jako to widzieliście. Otóż jestem upewniona, że i tym razem, pijany jak bela, położył się z jakąś hultajką do łóża. Zbudziwszy się znalazł nitkę u jej nogi, dokonał owych bohaterskich przewag, o których słyszeliście od niego, potem powrócił raz jeszcze, pobił swoją miłośnicę, ostrzygł jej włosy i nie całkiem jeszcze wytrzeźwiony, wystawił sobie, że wszystko to w moim domu się stało. Wierzy w to pewnie do tej pory. Tak być musi, ani chybi, a na dowód spójrzcie tylko na niego. Jeszcze na pół pijany być musi. Spodziewam się tedy, że wszystkie jego słowa będziecie za bredzenie opoja uważali i że przez wzgląd na nieprzytomność umysłu przebaczycie mu tę całą niedorzeczność, tak jak i ja mu przebaczam.

Na te słowa pani Sismondy matka jej, do tego czasu milcząca, zawołała gniewnym głosem:

– Nie, moje dziecko, na krzyż Chrystusowy, tak dalej być nie może! Tego obrzydliwego i niewdzięcznego człeka należałoby jak psa zabić za to, że nie umie szanować podobnej, jak ty, białogłowy, której całkowicie jest niegodny. Gdybyś to z błota cię wyciągnął! Niech go Bóg pokarze! Miałabyś znosić obelgi od jednego z tych kramarzy, oślim łajnem kupczących, którzy odłączywszy się od jakiejś bandy opryszków, przybywają ze wsi do miasta w zgrzebnejkoszuli i w dziurawych butach, a gdy się kilku groszy dorobią, wyciągają natychmiast ręce po córki dostojnych rodzin, sprawiają sobie herby i mówią: „Pochodzę z wysokiego rodu, przodkowie moi to a to uczynili”? O, bogdajby twoi bracia byli mnie posłuchali i oddali cię grabiemu Guidi! Żyłabyś teraz szczęśliwie, aczkolwiek ubogo, w jego domu. Aliści podobało im

się uczynić inaczej, niechże tedy patrzają teraz, jak ten wybrany przez nich człek siostrę ich o północy rozpustnicą nazywa i życie jej zatruwa, tej najlepszej i najcnotliwszej z florenckich młódek, którą wszyscy tak dobrze znamy. Co się mnie tyczy, to bym mu taką łaźnię sprawiła, żeby mnie przez całe życie wspominał. Po czym zwracając się do synów dodała:

– Dzieci moje, zali wam nie mówiłam, że to wszystko kłamstwem jest wierutnym? Wiecie już chyba, jak wasz szwagier, ten nędzny kupczyk, z waszą siostrą postępuje. Czemu tedy stoicie jak niemi? Czyż mało jeszcze słowem i czynem wobec niej przewinił? Gdybym na waszym miejscu była, nie spoczęłabym pierwej, póki bym tego hultaja leżącego bez tchu na ziemi nie ujrzała. O czemuż mężczyzną nie jestem! Nie pozwoliłabym, by mnie ktoś w tym uprzedził! Jest jednak Bóg nad nami, który skarzę tego nędznego opoja pozbawionego sumienia i wstydu.

Trzej młodzieńcy, tym, co widzieli, i słowami matki swej podburzeni, obsypali Arriguccia gradem obelg, grózb i wyrzutów. W końcu zasię rzekli:

– Na ten raz przebaczymy ci przez wzgląd, żeś pijany, aliści strzeż się, abyśmy na przyszłość o czym podobnym nie usłyszeli, bowiem zapłacisz wówczas od razu za wszystko.

Rzekłszy te słowa wyszli z komnaty.

Po ich odejściu Arriguccio stał jeszcze długo w odurzeniu, nie wiedząc już, co jest złudą, a co prawdą, co uczynił, a czego nie uczynił, przyszedłszy zaś wreszcie do siebie, postanowił żonę w spokoju zostawić i udać, że zapomniał o wszystkim. Pani Sismonda nie tylko dzięki swemu sprytowi wywinęła się z grożącego jej niebezpieczeństwa, ale od tego czasu używała całkowitej swobody i bez najmniejszej trwogi przed mężem czyniła wszystko, co się jej tylko podobało.»

Opowieść dziewiąta



ZACZAROWANA GRUSZA

Lidia, żona Nikostrata, miłuje Pyrrhusa, który na dowód miłości trzech rzeczy od niej się domaga. Lidia życzenia jego wypełnia. Później, w przytomności Nikostrata, z Pyrrhusem miłosnym igraszkom się oddaje wmawiając w męża, że to, co widział, czystym było jeno przywidzeniem.

Opowieść Neifili tak wszystkim do smaku przypadła, że śmiechy i reżimowy o niej wśród niewiast nie ustawały, mimo iż król, kilkakrotnie milczenie nakazawszy, Panfila do rozpoczęcia nowej opowieści wezwał. Wreszcie jednak, gdy wszyscy umilkli, Panfilo tak zaczął:

– Miłe damy! Mniemam, że nie ma na świecie tak niebezpiecznej i trudnej rzeczy, na którą by się prawdziwie kochający człek nie odważył. W poprzednich opowieściach mieliśmy już liczne tego dowody, sądzę jednak, że zdarzenie, o którym zamierzam wam opowiedzieć, lepiej jeszcze tę prawdę na jaśnię podać. Usłyszycie opowieść o białogłowie, której raczej szczęście niż rozum pomogło. Dlatego też nie radziłbym, abyście ją naśladowały, bowiem nie zawsze los w sukurs nam przychodzi i nie wszyscy mężowie tak ślepi i łatwowierni bywają.

«W Argos, wielce starożytnym mieście Achai, bardziej sławnym dzięki dawnym władcom niżli z wielkości swojej, żył niegdyś zacny człek, imieniem Nikostrato, którego w późnym już wieku los młodą małżonką obdarzył, nie mniej śmiałą niż piękną, imieniem Lidia. Ów Nikostrato, jako człek bogaty i szlachcic, trzymał liczną służbę, chował psy i ptaki łowcze i często łowami się z zapałem parał. Spośród dworzan swoich wyróżniał pewnego wdzięcznego młodzieńca, imieniem Pyrrhus. Nikostrato lubił go bardzo tak dla urodziwej postaci jego, jak i dla zręczności, jaką we wszystkim celował, a krom tego bez granic mu ufał.

Po pewnym czasie Lidia zakochała się w młodzieńcu tak gorąco, że dniem i nocą tylko o nim myślała. Nie wiadomo, czy Pyrrhus tej miłości nie spostrzegł, czy też spostrzec nie chciał, dość że obojętny wobec Lidii pozostał.

Obojętność młodzieńca niezmiernie piękną białogłową dręczyła, tak iż w końcu postanowiła pierwsza miłość swoją mu odkryć. W tym celu wezwała zaufaną służkę swoją, imieniem Luska, i tak do niej rzekła:

– Lusko, dobrodziejstwa, których ci nie szczędziłam, powinny były uczynić z ciebie wierną i oddaną mi służkę. Posłuchaj tedy, co ci powiem, i strzeż się, aby nikt o tym nie uznał krom osoby, którą ci wskażę. Widzisz wszak, że jestem piękna, młoda i bogato od losu we wszystko uposażona. Na jedno tylko skarżyć się muszę, a mianowicie na różnicę wieku między mną a moim małżonkiem zachodzącą. Mogę się słusznie żalić na los, iż przyjemności, których inne młode niewiasty mają pod dostatkiem, ja zaznaję niewiele. Ponieważ zaś mam

takie same pragnienia, jak i inne białogłowy, nie od dziś postanowiłam nie być dla siebie wrogiem i na wszelki sposób sobie radzić. Wiem, że w objęciach Pyrrhusa wielkiej szczęśliwości dostąpić bym mogła. Młodzieniec ten z pewnością miłości mojej jest najgodniejszy. Miłuję go, miłuję go tak mocno, że wielce nieszczęśliwa się czuję, gdy go nie widzę przez chwilę; wiem przy tym, że umrę niezadługo, jeżeli do niego należeć nie będę. Jeżeli tedy dbasz o życie moje, odkryj mu w sposób, jaki za najbardziej stosowny uznasz, afekt, którym do niego płonę, i proś go, aby gdy tylko znak przez ciebie otrzyma, co prędzej przybywał do mnie.

Służka zgodziła się ochotnie na to pośrednictwo. Wybrawszy odpowiednią chwilę i stosowne miejsce, odwiodła Pyrrhusa na stronę i jak umiała najlepiej przedstawiła mu uczucia swojej pani. Pyrrhus, wysłuchawszy tych słów, srodze się zadziwił, do tej pory nie wiedział bowiem nic o afekcie Lidii. Przyszło mu na myśl, że małżonka jego pana chce go tylko próbie poddać, i dlatego też odpowiedział szorstko:

– Nie wierzę, Lusko, abyś podobne zlecenie od naszej wspólnej pani otrzymała. Zważ tedy, co mówisz. Gdyby zaś nawet tak w samej rzeczy było, to i w takim razie mniemałbym, że mnie tylko doświadczyć chciała. Jeśliby zaś istotnie mnie miłowała, to i wówczas nie mógłbym wyrządzić podobnej hańby panu memu, który mnie ponad zasługę moją łaskami obdarza. Teraz dosyć na tym! Na przyszłość nie ośmielaj się nigdy z podobnymi poselstwami do mnie przychodzić!

Luska nie dała się zbić z tropu gniewnymi słowy młodzieńca i rzekła:

– Pyrrhusie, ilokrotnie pani moja mówić mi z tobą poleci, będę to czyniła nie zważając na to, czy cię to cieszyć, czy gniewać będzie. Na ten raz zaś oświadczam ci, że głupcem jesteś!

To rzekłszy, w wielkim rozdrażnieniu powróciła do pani swojej i powtórzyła jej odpowiedź Pyrrhusa, co tak zmartwiło młodą białogłową, że w głos śmierci przyzywać poczęła. Po kilku dniach jednak przywołała znowu pani Lidia Luskę i tak rzekła do niej:

– Wiadomo, że jednym cięciem dębu obalić niesposób. Dlatego też myślę, iż dobrze będzie, jeśli udasz się raz jeszcze do tego człeka, którego niebo na zgubę moją takim poczuciem wierności obdarzyło, i spróbujesz wzruszyć go obrazem cierpień, żądz i tęsknoty mojej. Zrób to i za wszelką cenę staraj się rzecz przywieść do skutku, bowiem jeśli stan dzisiejszy dłużej potrwa, czuję, że umrę. Zresztą, kto wie, może Pyrrhus czeka na powtórne poselstwo ode mnie. Gdyby go nie otrzymał, mógłby sądzić, że zdrwiłam z niego, a wówczas znienawidziłby mnie na zawsze.

Luska pokrzepiła swoją panią słowami otuchy i udała się do Pyrrhusa. Znalazła go w wesołym i korzystnym usposobieniu. Nie zwlekając tedy, rzekła do niego:

– Przed kilku dniami oznajmiłam ci, Pyrrhusie, o wielkiej miłości, jaką żywi pani nasza do ciebie, teraz, zaś oświadczam ci jeszcze raz, że jeśli prośbami zmiękczyć się nie dasz i nadal okrutnym pozostaniesz, wkrótce ją na marach ujrzymy. Zaklinam cię tedy, uspokój ją, w przeciwnym razie bowiem będę cię musiała uważać za głupca, a nie za rozumnego człeka, którym mi się dotąd wydawałeś. Powinieneś być dumny z tego, że tak dostojna i piękna dama cię miłuje, powinieneś także gorący dank złożyć swemu losowi, zważywszy na to, czym cię on obdarza i jakie źródło pomocy w ciężkiej potrzebie ci odkrywa spełniając marzenia twojej młodości. Któż by w większe od ciebie opływał rozkosze, gdybyś tylko chciał być rozumnym człkiem? Któż posiadałby piękniejsze rumaki, broń, odzież i trzos pełniejszy niż ty, jeśli tylko miłować ją zechcesz? Posłuchaj tedy słów moich i namyśl się dobrze; pamiętaj przy tym, że szczęście zazwyczaj raz tylko uśmiech i pełny podołek człowiekowi ukazuje, a kto z tego w czas korzystać nie chce lub nie umie, nędzny i opuszczony próżno się potem żali i sam siebie tylko oskarżać może. Zważ także, że sługa tego czy innego pana nie ma wobec niego tej świętej powinności, co wobec krewniaka i przyjaciela. Słudzy winni tylko w miarę możliwości postępować z panami tak, jak oni z nimi postępują. Zali mniemasz, że gdyby twoja matka, córka, żona lub siostra Nikostratowi się podobała, on miałby dla ciebie tyle względów, ile ty

teraz jemu okazujesz? Głupcem jesteś, jeśli tak mniemasz! Przysięgam ci, że gdyby próby i pochlebstwa skutku nie odniosły, Nikostrato, nie zwracając uwagi na ciebie, do gwałtu by się uciekł. Postępujemy tedy z nimi i z ich własnością tak, jak oni z nami i ze wszystkim, co do nas należy, postępować są zwykli. Powtarzam ci raz jeszcze, korzystaj z darów losu, nie odtrącaj ich, ale raczej wyciągnij po nie rękę. W przeciwnym razie bowiem kiedyś tak gorzko będziesz żałował straconej sposobności, że szczeźniesz ze zgryzoty, nie mówiąc już o tym, że sumienie twoje obarczy niezawodnie śmierć naszej pani – nieczułości twojej dzieło.

Pyrrhus już po pierwszym poselstwie Luski rozmyślał długo, co ma zrobić, i postanowił uczynić zadość woli Lidii w wypadku, gdyby ta jeszcze raz, służkę swoją doń przysłała. Chciał jeno upewnić się, że nie jest wystawiany na próbę. Gdy tedy Luska mowę swoją skończyła, rzekł do niej w ta słowa:

– Wszystko to, com od ciebie słyszał, Lusko, za prawdę uznaję. Znam jednak pana mego jako wielce roztropnego i przebiegłego człeka, który ufając mi do tej pory bezgranicznie, teraz, być może, za pośrednictwem żony swojej wierność moją chce wypróbować. Otóż, jeśli pani Lidia chce mnie uspokoić i pozyskać, niechaj naprzód trzy rzeczy wypełni. Potem wolno jej będzie wszystkiego ode mnie żądać. Te trzy życzenia moje takie są: po pierwsze, ma zabić w obecności Nikostrata najulubieńszego z jego sokołów, po drugie, przysłać mi trochę włosów z brody swego męża, a po trzecie, wręczyć mi ząb jego, i to najlepszy z tych, jakie mu jeszcze pozostały.

Warunki te wielce uciążliwymi Lusce się wydały, a jeszcze cięższymi jej pani. Miłość jednak, która ludzi bojaźliwych w zuchów, a dobrodusznym w przebiegłych zamienia, podszepnęła jej, jak te warunki wypełnić. Odpowiedziała tedy pani Lidia przez służkę Pyrrhusowi, że wszystko, czego on żąda, wkrótce spełnione zostanie. Krom tego, ponieważ Pyrrhus uważa Nikostrata za tak mądrego człowieka, tedy ona przyrzeka mu, że w przytomności męża miłosnej igraszki z nim użyje, a w męża swego przy tym wmówi, że to, co widział, przywidzeniem było.

Pyrrhus, taką odpowiedź odebrawszy, czekał z ciekawością, jak dama sobie poradzi. Po upływie kilku dni Nikostrato wydał wielką ucztę, na którą, jak zwykle, wielką ilość różnych panów sprosił. Gdy się biesiada skończyła i gdy stoły uprzątnięto, weszła do komnaty pani Lidia w szacie z zielonego aksamitu, obsypanej klejnotami. Pozdrowiwszy obecnych podeszła do drążka, na którym siedział najmilszy sokół Nikostrata, zdjęła go, jakby chcąc się z nim pobawić, a potem na oczach Pyrrhusa i wszystkich obecnych rzuciła nim o ścianę tak silnie, że upadł martwy na ziemię.

Na ten widok Nikostrato wykrzyknął:

– Dla Boga, coś uczyniła?

Lidia nic nie odpowiedziawszy zwróciła się do przytomnych panów i rzekła:

– Zemściłabym się na królu, gdyby mnie skrzywdził, dla czegożbym tedy nie miała się pomścić z tego samego powodu na sokole? Wiedźcie, że ten ptak pozbawiał mnie od dawna towarzystwa mego męża w porze, kiedy mężczyzna zwykł dbać o zapewnienie przyjemności kobiecie. Gdy tylko świt się uczynił, Nikostrato zrywał się z pościeli, brał sokoła, siadał na koń i pędził przed się po to jedynie, aby napatrzeć się do syta lotowi swego ptaka, ja zaś przez ten czas samotna pozostawałam w łożu. Dlatego też dawno przyrzekłam sobie, że uczynię to, co uczyniłam przed chwilą. Jeśli dotychczas hamowałam się, to jedynie dlatego, aby tej pomsty dokonać w przytomności takich jak wy rycerzy, którzy jak mniemam, całkowitą słusność mi przyznacie.

Przytomni, do których pani Lidia z podobnymi słowy się obróciła, w przekonaniu, że istotnie miłość do Nikostrata do takiego kroku ją pobudziła, roześmieli się serdecznie i rzekli do wielce gniewliwego Nikostrata:

– Powinieneś się cieszyć, że żona twoja za tak wielkie przykrości tylko na sokole twoim zemstę wywarła.

Nikostrato nic na to nie odparł. Aliści gdy pani Lidia komnatę opuściła, wszyscy tak wesolo z tego zdarzenia dworować jęli, że wreszcie i jego gniew miejsca weselości ustąpił. Pyrrhus zaś, który był temu wszystkiemu przytomny, rzekł sam do siebie:

„Zaiste, pięknie z pierwszej obietnicy się wywiązała – dałby Bóg, aby dalej równie dobrze poszło.”

Po upływie kilku dni zdarzyło się, że Nikostrato, bawiąc u swojej żony i żartując z nią pociągnął ją lekko za włosy. Pani Lidia skorzystała w lot z tej sposobności, a chcąc drugiemu żądaniu Pyrrhusa zadość uczynić, wśród śmiechów i żartów, schwyciła za brodę Nikostrata i pociągnęła za nią tak mocno, że garść włosów w rękę jej pozostała.

Nikostrato porwał się gniewny, aliści Lidia rzekła pieszczenie:

– I za cóż to gniewne oblicze mi pokazujesz? Za to, że ci sześć włosków z brody wyrwałam? Mnie daleko więcej bolało, gdyś mnie za włosy ułapił, a przecie ani się nie skrzywiłam.

I obróciwszy wszystko w śmiech, kosmyk zmyślnie ukryła, a pocziwego męża zdołała nieco udobruchać. Po jego odejściu bez zwłoki posłała włosy Pyrrhusowi.

Aliści trzeci warunek młodzieńca wydawał się Lidii najtrudniejszym zadaniem. Jednakoż i tu przyrodzony rozum, któremu miłość jeszcze chytrności dodała, nie opuścił naszej damy, tak iż w końcu obmyśliła skuteczny środek.

Na dworze Nikostrata znajdowało się dwóch otroków, których mu ojcowie pod opiekę oddali, z prośbą, aby im pozwolił w domu swoim nauczyć się dobrych obyczajów i innych rzeczy, stosownych ich szlachtetnemu pochodzeniu. Jeden z tych otroków, gdy Nikostrato przy stole siedział, krajał mu mięso, a drugi wina nalewał. Otóż pani Lidia wezwała ich obu do siebie i w mówiwszy w nich, że oddech niemiły mają, kazała, aby obsługując Nikostrata, twarz o ile możności od niego odwracali. Zabroniła im jednak o tym poleceniu swoim komukolwiek wspominać.

Chłopcy, uwierzywszy jej, jęli od tej pory postępować wedle jej rozkazu. Po pewnym czasie pani Lidia spytała Nikostrata:

– Czyś zauważył, jakie miny ci chłopcy stroją, obsługując cię?

– Tak jest – odparł żywo Nikostrato – i miałem ich się nawet spytać, co znaczy to uparte odwracanie głowy.

– Nie czynь tego – odrzekła pani Lidia – i dowiedz się o jednej rzeczy, którą dotąd zatajałam z obawy urażenia cię. Teraz jednak, przekonawszy się, że i innych to mierzi, powiedzić ci o tym muszę. Wiedz tedy, że masz oddech bardzo niemiły, nie wiedzieć, wierę, z jakiej przyczyny, bowiem nigdy tego dotąd nie bywało. Należy jednak, abyś wiedział o tym i starał się temu zaradzić, rzecz to bowiem przykra wielce, zwłaszcza dla człowieka, który z tak znacznymi ludźmi przebywa. Warto by się tedy przekonać, skąd to zło płynie, i poszukać stosownego na nie środka.

– Cóż to być może – zawołał niespokojnie Nikostrato. – Chyba któryś zęb mi się psuje.

– Bardzo być może – odrzekła pani Lidia.

Po tych słowach podeszli oboje ku oknu. Nikostrato szeroko usta otworzył. Ledwie jednak pani Lidia w głąb ust mu zajrzała, krzyknęła głośno:

– Jakżeś ty mógł tak długo cierpieć, Nikostracie?! Przecie z prawej strony masz zęb nie tylko dziurawy, ale całkiem popsuty. Jeżeli go się nie pozbędziesz, wszystkie sąsiednie psuć ci się zaczną. Radzę ci więc, każ go wyrwać, póki czas jeszcze.

– Słusznie mówisz – odparł Nikostrato – poślij tedy zaraz po cyrulika, aby mi go wyciągnął.

– Niech mnie Bóg broni – żywo zawołała żona – abym tu miała cyrulika sprowadzać. Ci ludzie okrutni są wielce; serce mi mdleje na samą myśl, że mogłabym ujrzeć cię w rękach jednego z nich. Wolę już sama zabrać się do wyjęcia go, co zresztą nie wydaje mi się rzeczą trudną, bowiem zęb ten w dobrym miejscu się znajduje. Krom tego, jeśli cię już zbyt boleć będzie, zęb w spokoju ostawię, czego by cyrulik nigdy nie uczynił.

To rzekłszy, kazała przynieść sobie potrzebne narzędzia, wyprawiała wszystkich oprócz Luski z komnaty, zamknęła drzwi na klucz i wezwawszy Nikostrata, ażeby się na stole położył, przystąpiła do zabiegu. Luska krzepko swego pana trzymała. Lidia w jednej chwili pochwyciła obcęgami ząb Nikostrata i pociągnęła zań tak mocno, iż mimo wrzasku męża i szarpania się z korzeniem ząb mu wyrwała. Nim jęczący i na pół martwy Nikostrato przyszedł do siebie, Lidia zamieniła zdrowy ząb na inny, całkiem popsuty, który umyślnie w tym celu przygotowała, a gdy nieszczęsny mąż oczy otworzył, rzekła podając mu ów kawałek spróchniałej kości:

– Popatrz, coś tak długo w ustach nosił!

Wzdrygnął się Nikostrato na widok zęba, który mu żona pokazała, i pomyślawszy, że się takiej obrzydliwości pozbył, mimo mocnego bólu, którego wciąż jeszcze doznawał, poczuł się jakby uleczony. Pokrzepiwszy się nieco różnymi trunkami, gdy ból złagodniał, radosny prawie wyszedł z komnaty. Pani Lidia zaś czym prędzej posłała ząb męża Pyrrhusowi. Pyrrhus, uwierzywszy w miłość Lidii, gotów był wszystkie jej życzenia wypełnić. Aliści pani Lidia, mimo że każda chwila dzieląca ją od szczęścia wiekiem jej się zdawała, dotrzymać chciała w całości tego, co przyrzekła, i upewnić go całkowicie. Minęło kilka dni. Pewnego razu pani Lidia, gdy Nikostrato w towarzystwie Pyrrhusa po południu ją odwiedził, udała, że czuje się bardzo słabą, i poprosiła ich, aby jej pomogli zejść do ogrodu i świeżym powietrzem odetchnąć. Nikostrato i Pyrrhus, posłuszni temu wezwaniu, wzięli ją pod ręce, powoli znieśli do ogrodu i posadzili na świeżej murawie u stóp pięknej gruszy. Odetchnąwszy chwilę, pani Lidia, która już wprzód porozumiała się szczegółowo z Pyrrhusem, odezwała się do niego:

– Pyrrhusie, czuję niezmierną chęć na te piękne gruszki, wiszące nad moją głową. Wejździe na drzewo i strząśnij ich kilka.

Pyrrhus żywo wdrapał się na gruszę i począł z niej owoce strząsać; nagle jednak zatrzymał się i zawołał:

– Ach, panie, co też wyrabiacie? A tobie, pani, czy nie wstyd na podobne rzeczy w przytomności mojej pozwalać? Czy myślisz, że jestem ślepy? Przed chwilą skarżyłaś się, że jesteś tak bardzo chora, teraz zaś wyzdrowiałaś już, jak widzę, bowiem ci na zapale nie zbywa! Tak się nie godzi! Macie przecie tyle pięknych komnat, w których ukryć się możecie, ile razy wam na podobne rzeczy przyjdzie ochota, w każdym razie byłoby to obyczajniejszą rzeczą, niżli wobec mnie tak figlować.

Na te słowa pani Lidia obróciła się do męża i zawołała ze zdziwieniem:

– Co on plecie? Zaliżby oszalał? – Bynajmniej – odparł Pyrrhus z drzewa. – Anim nie oszalał, ani ślepy nie jestem i nie trzeba było na to liczyć!... Nikostrato, równie zdziwiony, rzekł:

– Wyczuć się ze snu, Pyrrhusie, bredzisz bowiem okrutnie.

– Panie – odparł Pyrrhus – wiem na pewno, że nie śpię, a widzę także, że i wam na sen się nie zbiera, bowiem trzęsiecie się i ruszacie tak zapalczywie, że gdyby to drzewo naśladować was zechciało, ani jeden owoc na nim by nie pozostał.

– Co to znaczyć może? – szepnęła na te słowa pani Lidia do swego męża. – Miałoby mu naprawdę wydawać się to wszystko, o czym mówi? To rzecz osobliwa! Dalibóg, gdybym nie była tak słaba, weszłabym na drzewo, aby się przekonać na własne oczy, czy podobne przywidzenie jest możliwe?

Tymczasem Pyrrhus, siedząc na drzewie, to samo ciągle powtarzał, co tak wreszcie zniecierpliwiło Nikostrata, że zawołał:

– Zleź!

Pyrrhus posłuchał, zsunął się z gruszy i stanął przed Nikostratem.

– Coś widział, jako powiadasz, z drzewa? – zapytał Nikostrato.

– Możecie mnie za głupca lub urzeczzonego poczytać – odparł Pyrrhus – jednakże skoro już wiedzieć chcecie, opowiem o wszystkim, com widział. Nie zaprzeczycie mi chyba, panie, że

pieściliście gorąco swoją żonę, podczas gdy ja siedział na drzewie. Dopiero gdy schodzić zacząłem, zerwaliście się i usiedliście na tym miejscu, gdzie was teraz widzę.

– Zaiste, chybaś zmysły postradał! – zawołał Nikostrato – od chwili jak wszedłeś na to drzewo, ja ani żona nie ruszyliśmy się z miejsca, na którym nas zostawiłeś.

– Dajmy więc temu pokój, com widział, tom widział – odrzekł drwiąco Pyrrhus. – Zresztą używaliście, panie, swojej własności, nikt wam więc tego za złe wziąć nie może!

Nikostrato, zadziwiony coraz bardziej tym, że Pyrrhus tak uparcie przy swoim twierdzeniu obstaje, zawołał:

– Czekaj! Wejdę tedy sam na drzewo i przekonam się, czyś ty oszalał, czy też ta grusza z czarowaniu podlega.

To rzekłszy, na wierzchołek drapać się począł. Dama i Pyrrhus, ujrzawszy go na gałęzi, jęli się pieścić nawzajem. Na ten widok Nikostrato wrzasnął z drzewa:

– Do pioruna, bezecna białogłowo, i ty, Pyrrhusie, któremu tak ufałem, co wyrabiacie?

– Siedzimy spokojnie – odrzekli oboje zapytani. Po chwili, widząc, że Nikostrato schodzić z drzewa poczyna, rozdzielili się co prędzej i na dawnych miejscach usiedli. Tymczasem Nikostrato stanął na ziemi i zwróciwszy się do obojga, lżyć ich począł. Pyrrhus odparł mu w te słowa:

– Wstrzymajcie się, Nikostracie! Teraz dowodnie przekonuję się, że w samej rzeczy, jak to niedawno rzekliście, uległem złudzeniu siedząc na tej osobliwej gruszy. W mniemaniu moim gruntuje mnie to, że i wy podobnej złudzie podlegliście. Cóż wam bowiem do głowy przychodzi? Jak możecie o podobną rzecz posadzać żonę swoją, która jest wielce obyczajną i szlachetną białogłową? Gdyby pani Lidia chciała podobną ujmę wam wyrzucić, pewnie by tego na waszych oczach nie czyniła. Siebie nawet bronić nie myślę, czuję bowiem, że pierwiej na ćwierci dałbym się porąbać, niżbym o czymś podobnym odważył się pomyśleć, a cóż dopiero dokonać tego, i to jeszcze w przytomności waszej! W gruszy tej, wierę, szatańska moc jakaś siedzieć musi, ona to tumanem ludzkie oczy przesłania. Widziałem, jak trzymaliście żonę swoją w ramionach, i nigdybym nie uwierzył, że to nie była prawda, gdybym od was, panie, się nie dowiedział, że i wam się podobne niedorzeczności przywidziały, które mnie ani przez myśl nie przeszły.

Lidia, która przez cały ciąg mowy Pyrrhusa gwałtowne okazywała poruszenie, wstała i zwracając się do Nikostrata, zawołała:

– Niech cię niebo ukarze za to bezecne posadzenie, którym mnie obraziłeś... Zarzuciłeś mi nieuczciwość i głupotę zarazem. Gdybym chciała rogi ci przypawić, z pewnością nie przysłałbym tutaj, aby na oczach twoich rozkoszy używać, jeno bym się z grzechem swoim do brze w komnatach naszych przed tobą zataiła, iżbyś się nigdy o tym nie dowiedział.

Nikostrato, zbity całkiem z tropu słowami Pyrrhusa i gniewem żony, zważył, że istotnie nikt z nich dwojga do czegoś podobnego na jego oczach posunąć by się nie mógł. Zaprzestał więc gniewnych słów, a rozwodzić począł się nad niezwykłością tego czaru, który tak ludzi wzrok osoby siedzącej na gruszy.

Pani Lidia uczyniła jednak pozór, że nadal na męża swego się gniewa i zawołała:

– Przysięgam, że ta przekłeta grusza nigdy już podobnie hańbiącego posadzenia na żadną białogłową nie ściągnie. Biegnij, Pyrrhusie, przynieś siekierę i pomścij mnie i siebie zarazem. Zrąb to obrzydliwe drzewo, chociaż, wierę, raczej by tą siekierą Nikostrata ugodzić należało za to, że tak łąco i bez rozwagi niedorzecznemu złudzeniu dał się ować... Bo choćby nawet oczom twoim wydało się prawdziwym to, o czym mówiłeś, za nic na świecie nie powinieneś być dać temu wiary twym umysłem.

Pyrrhus pobiegł po siekierę i przyniósłszy ją począł z gniewem gruszę podcinać. Po kilku uderzeniach drzewo runęło. Wówczas pani Lidia zwracając się do Nikostrata rzekła:

– Teraz, gdy zginął wróg czci mojej, już się więcej na ciebie gniewać nie będę.

Na te słowa Nikostrato przystąpił do niej i poprosił o przebaczenie, którego mu uprzejmie udzieliła, pod warunkiem jednak, że nigdy już jej, miłującej go nad życie, tak haniebnym posądzeniem nie skrzywdzi. Po czym biedny i sprytnie oszukany małżonek z żoną i Pyrrhusem do pałacu powrócił. Miłośnicy w nim nieraz jeszcze z wielką swobodą rozkoszy używali. Oby i nas niebo podobnym szczęściem obdarzyło!»

Opowieść dziesiąta



GOŚĆ Z TAMTEGO ŚWIATA

Dwóch Sienenczyków miłuje pewną białogłowe, będącą kumą jednego z nich. Kum umiera i zgodnie z obietnicą, pojawia się przyjacielowi, aby opowiedzieć, jak na tamym świecie mu się wiedzie.

Już tylko król w tym dniu miał opowiadać. Gdy damy, żałujące tak niewinnie ukaranej gruszy, nieco się uspokoiły, zaczął w te słowa:

– Zaiste, każdy sprawiedliwy król musi być najtroskliwszym stróżem praw, nadanych przez samego siebie; inaczej bowiem nie królem, ale godnym kary niewolnikiem nazwać by go należało. Obawiam się, że ja, król wasz, jakby z konieczności, na podobną naganę zasłużyłem. Gdy wczoraj podałem wam materię do dzisiejszych opowiadań, uczyniłem to w chęci niekorzystania na ten raz z mojego przywileju i osnucia powieści mojej na tym samym przedmiocie, na którym wy swoje osnuliście. Tymczasem nie tylko to, com opowiedzieć zamyslał, ktoś inny już opowiedział, ale nadto podana przeze mnie materia tak pięknie i tak obficie przez was wyzyskana została, że widzę, iż w tym przedmiocie nic już równie pięknego znaleźć nie potrafię, choćbym nie wiem jak szperał w pamięci. Muszę tedy wybrać inną materię i sam przeciw nadanemu przez siebie prawu zgrzeszyć. Poddaję się z góry wszelkiej karze, jaką mi za to wymierzyć zechcecie, aliści przedtem skorzystam z mego przywileju. Nowela Elizy o kumotrze i kumoszce tak mi się podobała, a głupota Sienenczyków tak mnie pociąga, że ostawiając na stronie figle mądrych białogłów, oszukujących swoich nierozgarnionych mężów, opowiem wam także pewną sienieńską historię. Wiele rzeczy w niej niepodobnymi do wiary wam się wyda, niemniej jednak historia ta wielce zabawną i godną wysłuchania być mi się zdawa.

«W Sienie żyli niegdyś dwaj młodzieńcy z ludu, z których jeden Tingoccio Mini⁴³, a drugi Meuccio di Tura się nazywał. Mieszkali oni przy Porta Salaia; nie przestawali z nikim prawie, tylko z sobą, bowiem jak się zdawało, gorąca przyjaźń ich łączyła. Zdarzyło im się często słyszeć na kazaniach o rozkoszach lub mękach, które na tamym świecie wedle zasługi stają się udziałem zmarłych. Młodzieńcy zapragnęli gorąco dowiedzieć się czegoś pewnego o zagrobowym świecie. Długo myśleli nad tym, aż wreszcie, wedle swego mniemania, stosowny środek wymyślili. Obiecali sobie mianowicie nawzajem, że ten, kto z nich pierwiej umrze, jeśli zdoła, pozostałemu przy życiu przyjacielowi się pojawi i wiadomość o tamym świecie mu przyniesie. Przrzeczenie to obopólną przysięgą później potwierdzone zostało. Po pew-

nym czasie zdarzyło się, że Tingoccio stał się kumem niejakiego Ambrogia Anselmini, zamieszkującego Camporeggi, i jego żony, pani Mity, trzymał im bowiem do chrztu syna. Spostrzegłszy wdzięki kumoszki, która była świeżą i urodziwą białogłową, na przekór powinowactwu rozmiłował się w niej, przy tym tak często przed Meucciem ją wychwalał, że ten zapragnął również tak miłą osobę poznać. Ujrzawszy ją, także się w niej zakochał. Obydwaj afekt swój starannie skrywali, każdy z innej przyczyny. Tingoccio strzegł się miłość swoją Meucciowi wyjawić, sądził bowiem, że grzech popełnia, miłując kumę swoją, i że każdy, kto by się o tym dowiedział, za grzech by mu to poczytał. Meuccio zaś milczał dla tej przyczyny, iż piękna pani Mita Tingocciowi się podobała. „Jeśli mu wyznam, że ją kocham – myślał – poczuje zazdrość względem mnie, a ponieważ, jako kum, ma wszelką łatwość przebywania z nią, ile razy zechce, będzie się starał przy każdej sposobności mi szkodzić. Tym sposobem zagrozi mi raz na zawsze drogę do osiągnięcia moich pragnień.”

Taki stan trwał przez czas pewien. Wreszcie Tingoccio, mający więcej sposobności do objawienia pani Micie afektów swoich, słowami i podarkami tak jej zalecił się potrafił, że do gorących jego pragnień się przychyliła. Meuccio wkrótce ku wielkiej przykrości swojej to zauważył, choć mu to nie w smak było, z obawy jednak, aby Tingoccia sobie nie narazić i przeciwko sobie nie obrócić, w nadziei, że i na niego kiedyś może kolej przyjdzie, udał, że nic nie widzi i nic nie odgaduje. Tak żyli nasi dwaj przyjaciele, jeden szczęśliwy, drugi w oczekiwaniu szczęścia, gdy nagle Tingoccio, który z wielkim zapałem nad uszczęśliwieniem swojej kumoszki pracował, widocznie ze zbytnej gorliwości tak ciężko zachorzał, że po kilku dniach rozstał się z tym światem.

W trzy dni dopiero po śmierci swojej (ani chybi bowiem pierwszej nie mógł), wierny danej przez się obietnicy, pokazał się w nocy Meucciowi, w głębokim śnie pogrążonemu. Na dźwięk jego głosu ocknął się Meuccio i zawołał:

– Kto to?

– To ja, Tingoccio – odrzekł duch – zgodnie z daną obietnicą przynoszę ci wieści z tamtego świata.

Meuccio przeraził się tymi słowami, zebrał się jednak po chwili na odwagę, rzekł:

– Witaj mi, bracie, zali zgubiony jesteś?

– Zgubiony? – odparł Tingoccio – zgubione są tylko rzeczy, których odnaleźć niesposób, a jakżeż ja mógłbym być tutaj, gdybym był zgubiony?

– Złe mnie pojąłeś – przerwał mu Meuccio – pytałem się bowiem, czy znajdujesz się między duszami w trawiącym, ogniu piekielnym?

– Tak źle nie jest – odparł Tingoccio – w każdym razie jednak z powodu popełnionych grzechów wielkie i okrutne męczarnie znoszę.

Meuccio począł wypytywać ducha, jakie kary spotykają umarłych na tamtym świecie za ten lub ów grzech za życia popełniony, a Tingoccio na wszystko szczegółowo odpowiadał.

Po czym Meuccio zapytał, czy nie mógłby w czymkolwiek mu dopomóc, na co Tingoccio odparł, że owszem, a mianowicie, dając na mszę, modląc się i jałmużny sypiąc, to bowiem na tamtym świecie wielką ulgę duszom przynosi. Meuccio przyrzekł mu uroczyście uczynić to dla niego i zamilkł, gdy jednak ujrzał, że Tingoccio już do odejścia się zbiera, przypomniał sobie o kumoszce Micie i zatrzymał ducha, dźwignąwszy głowę nieco w górę.

– Ach, Tingoccio! – zawołał – dobrze, że mi to na myśl przyszło; jaką też karę naznaczono ci za to, żeś na tym świecie sypiał tak często ze swoją kumą?

– Bracie – odparł Tingoccio – przybywszy tam, spotkałem istotę, która zdała się wszystkie grzechy moje na pamięć umieć. Istota ta kazała mi udać się w pewne miejsce, gdzie z ciężką skruchą wśród strasznych mąk winy moje oplakiwać musiałem po społu z wieloma towarzyszami skazanymi na podobną pokutę. Gdy mi kumoszka moja na myśl przyszła, jałem oczekiwać sroższej jeszcze kary od tej, co mnie już spotkała, zadrzałem ze strachu, mimo że wśród żaru piekielnych płomieni się znajdowałem. Wówczas jeden z towarzyszków mojej niedoli, spostrzegłszy stan mój, zapytał:

– Musiałeś chyba popełnić grzech cięższy niż grzechy wszystkich tutaj przytomnych, skoro drzysz pośród płomieni?

– Ach, dobry przyjacielu – odrzekłem – drzę z obawy srogiemu wyroku, który na mnie niezawodnie spadnie za grzech wielki, jaki popełniłem.

Duch zapytał mnie, jaki to grzech mam na sumieniu.

– Sypiałem tak często z kumą moją – odparłem – żem siły swoje zupełnie sterał.

Usłyszawszy to, duch roześmiał mi się w oczy i zawołał:

– Nie bój się, głupcze, bowiem tu o kumoszki nikt nie dba.

Słowa te całkiem mnie uspokoiły.

W tej chwili świt się uczynił. Duch Tingoccia rzekł:

– Bądź zdrow, Meuccio, dłużej pozostawać tutaj nie mogę. Po czym zniknął.

Meuccio zasię usłyszawszy, że na tamtym świecie kumostwa pod uwagę się nie bierze, obiecał sobie żyć zgoła inaczej. Przypomniawszy sobie, ile razy w życiu od stosunków z kumoszkami się wstrzymywał obawiając się za to kary na tamtym świecie, rozśmiał się sam z siebie i postanowił na przyszłość być pod tym względem rozumniejszym. Gdyby bratu Rinaldowi wiadoma była ta okoliczność, nie byłby potrzebował uciekać się do wybiegów logicznych dla skłonienia swojej kumy.»

Już słońce ku zachodowi się pochyliło i lekki wiatr się zbudził, gdy król, ostatni z mówców tego dnia, dokończywszy opowiadania swojego, wstał, zdjął wieniec z głowy, włożył go na skronie Lauretty i rzekł:

– Pani, tym wieńcem, uwitym z liści rośliny, której nazwa twemu imieniu odpowiada, koronuję cię na królowę naszego grona. Jako władczyni, nakazuj wszystko, co za pożyteczne dla uciechy i rozkoszy naszego towarzystwa uznasz.

Lauretta zostawszy królową poleciła natychmiast przywołać do siebie marszałka i rozkazała mu nieco wcześniej niż zwykle w uroczej dolinie stoły zastawić, tak aby towarzystwo po posiłku miało czas bez pośpiechu do pałacu powrócić. Wydała także rozporządzenie co do innych spraw na cały czas swoich rządów, a potem zwróciła się do całego grona i tak rzekła:

– Dioneo kazał nam wczoraj opowiadać o figlach, które żony mężom swoim wypłatały; gdybym się nie obawiała, że zostanę przyrównana do owych złośliwych kundli, które skwapliwie sposobność do zemsty chwytają, poleciłabym, abyście jutro opowiadali, jak to mężowie żony swoje nieraz na hak przywodzili – ostawiając to jednak na stronie, wzywam, aby każdy opowiadał, jak to powszechnie mężczyźni białogłowy, białogłowy mężczyzn albo też mężczyźni mężczyzn oszukują. Mam nadzieję, że dadzą się z tego przedmiotu wydobyć rzeczy równie krotochwilne jak z materii dzisiejszej.

Rzekłszy te słowa, wstała i dała towarzystwu swobodę aż do wieczery. Korzystając z wolności, mężczyźni i białogłowy podnieśli się żywo ze swoich miejsc; kilka osób, zdjawszy obuwie, poczęło brodzić po przejrzystej wodzie, inni zasię jęli się przechadzać po zielonej łące pod cieniem pięknych, wysmukłych drzew.

Dioneo po społu z Fiammettą śpiewali długo pieśń o Architasie i Palemonie⁴⁴. Wśród tych rozrywek czas im mile i szybko do wieczery upłynął. Po czym zasiedli za stołem, ustawionym wzdłuż pięknego stawu. Biesiada była wesoła wielce. Dokoła rozlegał się miły szczebiot tysiąca ptaków; od gór wiał łagodny wieczorny wietrzyk, nie dokuczały muchy.

Towarzystwo, wstawszy od stołu, jeszcze przez chwilę przechadzało się wkoło po uroczej dolinie, a potem gdy wieczór się przybliżył, na wezwanie królowej ruszyło wolnym krokiem w powrotną drogę. Wśród żartów i gawędy o różnych rzeczach – tych, co były przedmiotem opowieści, jako też i innych – doszli do pięknego pałacu już o zmierzchu. Pokrzepiwszy się chłodnym winem i ciastami po trudach niedalekiej przechadzki, towarzystwo zebrało się koło fontanny, aby oddać się tańcom pod wtór dudów Tyndara i innych muzycznych narzędzi. Wreszcie królowa rozkazała Filomenie pieśń zanucić. Ta zaczęła w te słowa:

Kiedyż mnie dola wspaniała
Znów na to miejsce powróci
Szczęśliwe, którem ze łzami zegnała?
W tęsknocie długiej pamięć mnie odbiegła,
Nie wiem, którędy dojść na miejsce ono,
Gdzie mi tak słodko wiosna życia zbiegła;
Więc ty, kochanku, moich snów korono,
Wiedz mnie tam. Kogóż innego o drogę
Śmiałabym pytać albo spytać mogę?!
O, niech twa ręka w piersi moje rzuci
Promień nadziei – a odkwitnę cała.

Jakimiż słowy wypowiem, co czuję –
Ten płomień, co mnie trawi bez pomocy,
Co sercu nie da spocząć w dzień ni w nocy,
Szczęściem napawa, a wraz i morduje.
Cierpienia zmysły moje odrętwiły,
Dłużej już czekać nie starczy mi siły!
Jeżeli dobroć twa męki nie skróci,
Ucieknie dusza moja z kajdan ciała!

Więc powiedz, czy cię ujrzę kiedy jeszcze
Na onym miejscu, gdzie wypila jady
Z ust twych, palące razem i złowieszczę?
Za miłość moją, nie znającą zdrady,
I ból tak długi, pokorny i niemy –
Powiedz mi, kiedyż znów się tam zejdziemy.
Daj krótko czekać, a niech czas się zwróci,
Niech się zatrzyma, gdy cię będę miała!

O, wtedy przeklnę po stokroć tę chwilę,
Gdym pozwoliła odejść ci od siebie;
Już się nie oprę twoich pragnień sile,
Wszystko, ach wszystko uczynię dla ciebie!
Słuchaj – mój okrzyk ciszę nocną kłóci –
Przyjdź, mój najmiłszy, czekam drżąca cała.

Piosenka Filomeny dała całemu towarzystwu poznaną o nowej i szczęśliwej w jej życiu miłości. Ponieważ ze słów jej wnieść można było, że nie tylko oczy swe nasyciła, niektórzy z obecnych zazdrościli jej szczęścia. Gdy wreszcie pieśń przebrzmiała, królowa przypomniawszy sobie, że nazajutrz piątek przypada, powstała i odezwała się uprzejmie:

– Wiadomo wam, szlachetne damy, a także i wam, młodzieńcy, że jutro jest dzień poświęcony rozpamiętywaniu bolesnej męki naszego Zbawiciela, dzień, który jeśli sobie dobrze przypominam, za rządów Neifili pobożnie spędziliśmy oddając się rozmyślaniom. Podobnie postąpiliśmy w sobotę. Pragnąc naśladować dobry przykład Neifili, uważam, że obyczajną będzie rzeczą, gdy jutro i pojutrze opowieściom spokój damy, a natomiast przyzwiemy na pamięć to, co w dniach owych dla zbawienia naszego się dokonało.

Wszystkim podobała się bardzo zbożna przemowa królowej. Tymczasem większa część nocy już przeszła. Co widząc królowa wraz ze wszystkimi na spoczynek się udała.

Tu zamyka się siódmy dzień Dekameronu i zaczyna ósmy, w którym pod przewodem Lauretty rozprawia się o figlach, jakie każdego dnia albo niewiasty mężczyznom, albo mężczyźni niewiastom, albo mężczyźni wzajem sobie płatają.



DZIEŃ ÓSMY

Promienie słońca zabłyśły już na szczytach najwyższych gór w niedzielny ranek, mrok zniknął i najdrobniejszy przedmiot dobrze już rozeznąć można było, gdy królowa z całym towarzystwem ze snu powstawszy odbyła krótką przechadzkę po rośnej trawie, a potem w połowie trzeciej godziny dnia udała się z całym gronem do pobliskiego kościółka. Po wysłuchaniu mszy powrót do domu nakazała. Po wesołym, odświętnym obiedzie trwały przez pewien czas śpiewy i tańce, po czym królowa pozwoliła wszystkim użyć spoczynku lub rozrywki, wedle woli. Gdy zaś słońce połowę swej drogi przebyło, zebrali się wszyscy, zgodnie z rozkazem królowej, koło fontanny, zasiedli w zwykłym porządku i Neifile, której zaczynać wypadło, w te słowa się odezwała:

Opowieść pierwsza



PRZYKRY ZAWÓD

Gulfardo pożycza od Gasparruola pieniądze, po czym umawia się z jego żoną, że zapłaciwszy jej dwieście dukatów noc z nią spędzi. Gulfardo wręcza jej pieniądze. Po kilku dniach w przytomności Gasparruola mówi, że oddał jego żonie cały dług.

– Jeżeli już się tak podobało niebu, abym w dniu dzisiejszym ja początek dała, tedy chętnie się temu poddam i biorąc pochop z owych wybornych figlów, które w opowieściach waszych białogłowy mężczyznom płatały, dla odmiany opowiem, co pewien mężczyzna jednej białogłowie uczynił. Nie myślę jednak owego mężczyzny ganić ani twierdzić, że niesłusznie dostało się owej białogłowie, owszem, postępek jego chcę pochwalić, zganić zaś ową niewiastę, a zarazem pokazać wam, że nie brak mężczyzn, wyprowadzających w pole tych, co im zaufali, tak jak i sami okpiwani są przez tych, w których ufność położyli. Po prawdzie wszakże, nazywając rzecz po imieniu, należałoby tu mówić nie o zakpieniu, ale o zasłużonej karze. Niewiasta bowiem winna być bezwzględnie uczciwą, a czystości swojej strzec jako życia własnego i za nic w świecie do plamy na niej nie dopuścić. Gdy zaś tego, dla słabości płci naszej, nie da się w pełni zachować, jakby należało, twierdząc, że na stos zasługuje taka, co za pieniądze da się przywieść do upadku. Bo jeśli miłość to sprawi dając poznać swą niezmierną potęgę, to sędzia nie nazbyt bezwzględny przebaczyć winnej nie omieszka, jak to niedawno przedstawił Filostrato opowiadając o przygodzie pani Filipy z Prato.

«Żył niegdyś w Mediolanie pewien Niemiec, parający się jako najemnik żołnierką, imieniem Gulfardo⁴⁵. Uchodził on za wielce odważnego człowieka i odznaczał się wielką wiernością wobec pana, któremu służył, co nie jest rzeczą zwykłą u ludzi należących do jego nacji. Ponieważ miał zwyczaj zaciągnięte długi spłacać rzetelnie, znajdował więc bez trudności za skromnym procentem pieniądze, ilekroć mu ich tylko było potrzeba.

Dzielny ten żołnierz zakochał się w pewnej urodziwej damie, imieniem Ambruogia, żonie Gasparruola Cagastraccio, bogatego mediolańskiego kupca, z którym żył w poufanych i przyjaznych stosunkach. Afekt swój tak zręcznie skrywać umiał, że mąż ani nikt w ogóle namiętności jego do pięknej damy nie spostrzegł. Po jakimś czasie odważył się wyrazić jej swoje uczucie i błagać ją o wzajemność, dodając, że dla pozyskania jej łask gotów jest wszystko uczynić. Piękna pani, po długich ceregielach, przychyliła się wreszcie do próśb jego pod warunkiem, że zachowa najgłębszą tajemnicę, a jako człek bogaty da jej dwieście dukatów, których jej właśnie potrzeba.

Niemile dotknęła Gulfarda ta niska chciwość damy, o którą nigdy jej nie podejrzewał. Niewiele już brakowało, aby miłość jego we wstręt się zamieniła; namyślił się jednak, nie dał nic poznać po sobie, a w duchu postanowił damę w pole wywieść.

Dlatego też kazał jej oznajmić, że chętnie na warunki jej przystaje i że wszystkie jej życzenia wypełni, prosi jeno, aby uwiadomiła go, kiedy ma przybyć. Przyniesie wówczas żadaną sumę. Nikt o niczym wiedział nie będzie krom jednego z jego przyjaciół, na którym całkowicie polega i który zawsze mu towarzyszy, dokądkolwiekby się nie udawał.

Niegodziwa dama z wielkim ukontentowaniem te jego słowa przyjęła, po czym przez służkę dała mu znać, że mąż jej, Gasparruolo, wkrótce dla załatwienia kilku ważkich spraw do Genui się udaje, a wtedy ona go uprzedzi i do siebie zawezwle.

Wówczas Gulfardo, wybrawszy stosowną porę, udał się do Gasparruola i rzekł doń:

– Potrzeba mi dwustu złotych dukatów. Mniemam, że pożyczycie mi te pieniądze na takie same procenty, jakie płaciłem wam przy dawniejszych pożyczkach.

Gasparruolo odliczył mu natychmiast żadaną sumę, a po upływie kilku dni do Genui wyjechał. Po jego wyjeździe dama posłała do Gulfarda służkę z uwiadomieniem, że może przybyć dla wręczenia jej dwustu dukatów.

Gulfardo, w towarzystwie przyjaciela, udał się do domu oczekującej go damy. Przede wszystkim w obecności świadka wyliczył jej na rękę dwieście dukatów, po czym rzekł:

– Weźcie, pani, te pieniądze i wręczcie je swemu mężowi po jego powrocie.

Dama przyjęła pieniądze nie domyślając się, dlaczego Gulfardo słowa te wyrzekł. Mniemała, że Gulfardo chce w ten sposób oczy swemu przyjacielowi zamydlić.

– Ochotnie je wręcę – odrzekła – trzeba je tylko przeliczyć. Rzekłszy to położyła pieniądze na stół, przeliczyła je i widząc, że ani jednego dukata nie brak, poszła schować złoto; po czym wprowadziła Gulfarda do sypialnej komnaty. Gulfardo do czasu powrotu Gasparruola niejedną miłą noc z jego żoną spędził.

Gdy Gasparruolo powrócił, Gulfardo odwiedził go i rzekł doń w przytomności damy:

– Nie zużyłem na nic tych pieniędzy, któreś mi niedawno pożyczył. Zaraz po twoim wyjeździe odniosłem je żonie twojej, dlatego też nic ci już winien nie jestem.

Gasparruolo, obróciwszy się do żony, zapytał, zali pieniądze otrzymała? Dama mając w pamięci, że pieniądze przyjęła przy świadku, pojęła, że zaprzeczyć nieposób. Dlatego też odparła:

– Tak jest w samej rzeczy. Pieniądze znajdują się u mnie, zapomniałam ci jeno powiedzieć o tym.

– Dobrze zatem – rzekł Gasparruolo – idź z Bogiem, Gulfardo, a ja skreślę twój rachunek.

Po odejściu Gulfarda wykpiona białogłowa oddała swemu mężowi dwieście dukatów, cenę swej niegodziwości. W ten sposób chytry miłośnik podszedł chciwą damę, nie straciwszy ani grosza.»

Opowieść druga



PRZYPADKI PROBOSZCZA Z VARLUNGO

Proboszcz z Varlungo przespawszy się z żoną kmięcia swój płaszcz w zastaw jej oddaje, po czym pożycza od niej móżdziej i odsyłając go, prosi o zwrot płaszcza, zostawionego jako zastaw. Niewiasta płaszcz oddaje, cięte dorzucając słowo.

Wszyscy jednogłośnie pochwalili chytrą sztuczkę, którą Gulfardo chciwiej mediolańskiej damie wypłatał. Po czym królowa, obróciwszy się z uśmiechem do Panfila, opowiadać mu kazała.

Panfilo zaczął w te słowa:

– Piękne damy! Przychodzi mi na myśl historia, dotycząca owych filutów, którzy raz po raz szkody nam czynią, gdy my odwzajemnić się im tą samą miarą nie możemy. Myślę o księżach. Gromią oni żony nasze i tylko wówczas skłonni są dać odpust za wszystkie grzechy, jeśli uda im się jedną z niewiast naszych powolną sobie uczynić. Wierę, pomyśleć by można, że w Awinionie⁴⁶ nie papież, jeno aleksandryjski sułtan siedzi.

My, ludzie świeccy, nie zdołamy im nigdy równą monetą odpłacić, choćbyśmy z równą ich zapałowi gorliwością starali się mścić na ich matkach, siostrach, córkach i miłośnicach. Na dowód, jak można księżemu słowu wierzyć, chcę wam opowiedzieć ludową historię, niebogatą w fantazję, ale wedle mego zdania, wielce krotochwilną, zwłaszcza w konkluzji.

«W Varlungo, wioseczce, jak wiecie, niedaleko stąd położonej, żył niegdyś proboszcz, tęgi i chwacki mąż, będący wielkim niewiast lubownikiem. W czytaniu i pisaniu niezbyt celował, umiał jednak w dni świąteczne pod cieniem wiązu świętym słowem krzepić gromadkę swoją. Gorliwość jego kapłańska objawiała się szczególnie w stosunku do białogłów, które pod nieobecność ich mężów pilnie odwiedzał przynosząc im zawsze w podarunku jakiś obrazek, wodę święconą, ułamek poświęcanej gromnicy po spożyciu z swoim błogosławieństwem. Między owieczkami, z których wiele już doń należało, wpadła mu w oko szczególnie jedna, imieniem Belcolore, żona gospodarza, zwanego Bentivegna del Mazzo. Była to bardzo wesoła, świeża, czarniutka i jędrna białogłowa, zaprawiona w tarcu na żarnach lepiej niż jakakolwiek inna. Umiała grać na cymbałach i uchodziła we wsi za najlepszą śpiewaczkę, nikt bowiem tak jak ona nie umiał zanucić: „Leci woda, leci na zielone pole”, lub zawieść *ridde*⁴⁷, czy *ballonchio*, wdzięcznie chusteczką powiewając. Dla tych wszystkich przymiotów zadurzył się w niej nasz ojciec duchowny, i to tak zapalczywie, że cały dzień myślał tylko o niej i włączył się po po-

lach, wypatrując, gdzieby ją spotkać można było. Kiedy zaś w niedzielę rano spostrzegł ją w kościele, to natęzał się tak przy śpiewaniu *Kyrie* i *Sanctus*, że przysiąc by było można, iż się słyszy ryczącego osła. Przy tym wszystkim był o tyle ostrożny, że Bentivegna del Mazzo ani żadna z sąsiadek jego niczego się nie domyślali.

Dla pozyskania łask Belcolory proboszcz od czasu do czasu obdarzał ją to wiązką świeżego czosnku ze swego ogrodu, sławnego na całą okolice, który sam uprawiał, to znów pełnym koszem zielonego bobu lub młodych cebulek majowych. A gdy mu się gdzieś na stronie przydybać ją udało, przymilał się do niej, to znów wyrzuty czynić jej zaczynał. Białogłowa udawała, że nic nie rozumie, i zachowywała się względem niego tak obojętnie, iż czcigodny pasterz do rozpacz prawie dochodził. Pewnego dnia zdarzyło się, że proboszcz, przechadzając się z założonymi rękoma po polu, spotkał Bentivegna del Mazzo, pędzącego przed sobą osła objuczonego mnóstwem przedmiotów, i zaczął go pytać, dokąd zmierza.

– A gdzieżby – odpowiedział Bentivegna – jeśli nie do miasta? Wiozę te rzeczy w podarunku panu Bonaccorri da Ginestreto, muszę bowiem szukać u niego poparcia w pewnej sprawie, w której pan prokurator sądu do siebie mnie wzywa i niechybnie stawić się przykaże.

Proboszcz, pełen radości z tak szczęśliwego rzeczy obrotu, zawołał:

– Dobrze robisz, mój synu, radząc sobie w ten sposób! Przyjmij błogosławieństwo moje, ruszaj i wracaj prędko, a jeśli zobaczysz po drodze Lapuccia albo Naldina, nie zapomnij im powiedzieć, żeby mi jak najspieszniej rzemienie do cepów przysłali.

Bentivegna obiecał to uczynić i pojechał dalej. Proboszcz zaś, ujrawszy oddalającego się w stronę Florencji, pomyślał, że teraz sposobna chwila nastąpiła, aby zejść do Belcolory i szczęścia u niej spróbować. Nie zwlekając tedy wziął nogi za pas i co tchu w piersiach popędził do domu swej umiłowanej. Wszedłszy do sieni, zawołał:

– Pokój temu domowi! – Nie usłyszawszy odpowiedzi dodał: – Cóż to, zali nie ma tutaj nikogo?

Belcolore, znajdująca się w tej chwili na stryszkach, odrzekła:

– Ach! To wy, panie, witajcie! Cóż was na taki skwar z domu wygania?

– Ech! na moją duszę – zawołał proboszcz – cóż by innego, jeśli nie chęć przepędzenia z tobą radosnej chwili w czasie nieobecności męża twego, którego spotkałem na drodze do Florencji!

Gdy tych słów domawiał, Belcolore zeszła ze stryszku, usiadła na ławie i poczęła przebieierać konopne nasienie, które mąż jej zebrał przed kilku dniami.

Proboszcz, tą jej obojętnością do żywa dotknięty, zawołał:

– Belcolore, Belcolore, długoż mnie jeszcze w ten sposób zwodzić będziesz?...

– A cóż ja wam złego robię? – spytała śmiejąc się białogłowa.

– Nic mi nie robisz – odrzekł proboszcz – ale i mnie nie pozwalasz robić z tobą tego, czego bym gorąco pragnął i co samo niebo nakazało.

– No, no! – zawołała Belcolore. – Co też powiadacie! Czy i duchowne osoby podobne rzeczy czynią?

– Wiedz, że tak, i to lepiej od innych mężczyzn – odrzekł proboszcz. – Dlaczego by zresztą inaczej być miało? Nie mamyż wszystkiego, co ku temu potrzebne? Sposobniejsi nawet jesteśmy do tej roboty od innych, bo rzadziej się jej imamy. Uwierz mi, że nie wyszłoby ci to na złe, gdybyś mi wstrętów nie czyniła.

– I cóż bym z tego miała? – odrzekła Belcolore. – Wiadoma to rzecz przecie, że wy wszyscy skąpsi jesteście od samego diabła.

– Ja skąpcem nie jestem – odparł proboszcz. – Wkrótce zresztą dowodnie się o tym przekonasz. Czego byś pragnęła. Pary trzewików, przepaski, sztuki pięknej materii? Żądaj tylko, a wszystko dać ci jestem gotów!

– Nie – rzekła Belcolore – to wszystko i ja posiadam, aliści jeżeliście naprawdę tak dla mnie łaskawi, jak powiadacie, uczynicie mi inną przysługę, a ja za to odwdzięczę się wam wedle woli waszej.

– Mów tylko – zawołał proboszcz – a wszystko uczynię!

– Otóż – zaczęła Belcolore – w sobotę muszę jechać do Florencji dla oddania motków, które naprzędłam, i dla naprawy kołowrotka; przy tej sposobności mogłabym wyjąć z zastawu granatowy kaftanik i świąteczny pas skórzany ze sprzączką, który przyniosłam mężowi w posagu. Bez tych rzeczy nie mogę się nigdzie wśród ludzi pokazać ani do kościoła pójść w odpust. Na wykup potrzeba mi tylko pięciu lirów. Pożyczcie mi tych pięć lirów, bo wiem, że je macie, a potem żądajcie, co wam się podoba.

– Przysięgam ci – odrzekł na to proboszcz – że nie mam tyłu pieniędzy przy sobie. Daję ci jednak słowo, że przed sobotą jeszcze będziesz miała pięć lirów.

– Ech! – zawołała Belcolore – obietnica, cacanka!... Znam ja wasze obietnice i wiem, jak dotrzymujecie słowa! Myślicie, że dam się tak na hak przywieść jak Biliuzza, którąście z kwitkiem odprawili, aby się później na nic rozpuściła... Oho, nic z tego, dalipan! Jeżeli nie macie tych pieniędzy przy sobie, tedy idźcie po nie.

– Ach! – rzekł błagalnie proboszcz – nie wysyłaj mnie teraz do domu! Trafiłem na szczęśliwą porę, kiedy tu nikogo nie ma; kto wie, czy za powrotem nie znajdę jakiegoś natręta, który mi ukradnie tę drogą sposobność. A podobna może nieprędko się przydarzyć.

– Dobrze, dobrze – odparła Belcolore – jeśli chcecie, idźcie, jeśli zaś nie chcecie, to zostańcie, ale w tym wypadku niczego ode mnie nie oczekujcie.

Proboszcz, widząc, że nic nie wskóra, i bojąc się, aby białogłowa nie zawołała *salvum me fac*⁴⁸, podczas gdy on pragnął odbyć rzecz całą *sine custodia*, rzekł wreszcie:

– Nie wierzysz mi, że ci pieniądze przyniosę? Ostawię ci zatem w zastaw ten płaszcz niebieski, który mam na sobie. Belcolore podniosła oczy i rzekła:

– A ileż ten płaszcz wart?

– Ile jest wart? – zawołał proboszcz. – Trzeba ci wiedzieć, że skrojony został z bardzo przedniego sukna i że nie ma jeszcze czternastu dni, jak go kupiłem u Lotta za całych siedem lirów. Wart jest przynajmniej pięć soldów więcej, jak mnie zapewniał Buglietto, który jak wiadomo, na takich przedmiotach zna się na schwał.

– Doprawdy? – zawołała Belcolore. – Nigdy bym w to nie uwierzyła. Oddajcie mi go jednak najprzód.

Ojciec duchowny czując, że zbyt napięta cięciwa pęknąć może, zdjął płaszcz z siebie i oddał go białogłowie. Belcolore schowała go starannie, a potem rzekła:

– Chodźmy teraz na spichrz, tam nam nikt nie przeszkodzi.

I poszli.

Wielebny ojciec przez długi czas jej wdziękami się cieszył i wśród najczulszych pieśczot krewniaczką pana Boga ją czynił. Po czym w sutannie tylko, jak gdyby z jakiegoś wesela, do plebani powrócił. Wszedłszy do komnaty zadumał się i obliczył, że wszystkie świeczki, ofiarowane przez wiernych w ciągu całego roku, i połowy sumy pięciu lirów nie wyniosą. Spozstrzegł, że źle uczynił, i tak mu się żal zrobiło płaszcz oddanego w zastaw, że postanowił bez najmniejszej zapłaty go odebrać. Długo się głowił, aż wreszcie stosowny sposób wymyślił.

Następnego dnia, a było to właśnie w niedzielę, posłał chłopca służącego do mszy, syna sąsiada, do domu Bentivegna z prośbą, aby Belcolore była łaskawa pożyczyć mu kamienny mózdzierz, bowiem tego dnia będzie miał na obiedzie u siebie Binguccia del Poggio i Nuta Buglietti, których chciałby słodkimi wetami przyjąć.

Belcolore mózdzierz pożyczyła. Proboszcz poczekał do pory obiadowej. Przewidując, że Belcolore po społu z mężem siedzieć już przy stole musi, zawołał chłopca i rzekł do niego:

– Weź ten móźdierz, odnieś go Belcolore z powrotem i tak powiedz: „Ksiądz proboszcz dziękuje wam bardzo za pożyczenie i prosi o zwrot płaszcz, który tu chłopiec jego jako zastaw za móźdierz wam wręczył.”

Chłopiec udał się do domu Belcolore, którą z mężem przy obiedzie zastał. Postawiwszy przed nią móźdierz powiedział, co mu powiedzieć polecono. Belcolore widząc, jakiego figła chce jej proboszcz wypłatać, chciała odpowiedzieć, ale Bentivegna przerwał jej wołając gniewnie:

– Co takiego? Śmiesz żądać zastawu od naszego czcigodnego proboszcza? Na mękę Chrystusową przysięgam ci, że bierze mnie niezmierna ochota potężnego szcutka ci wymierzyć. Oddaj zaraz ten płaszcz, do stu czartów, i strzeż się w przyszłości coś podobnego uczynić! O cokolwiek by ojciec duchowny, choćby nawet o osła naszego, poprosił, nie waż się mu odmówić.

Belcolore wstała od stołu mrużąc gniewnie, potem otworzyła skrzynię, wyjęła ze złością płaszcz i oddała go chłopcu z tymi słowy:

– Powiedz ode mnie swemu panu, że Belcolore przysięga przed Bogiem, iż nigdy już do brodziejowi nie pozwoli nic tłuc w swoim móźdierzu!...

Bentivegna mniemał, że żona mówi to pod wpływem jego słów gniewnych, i wagi do tego nie przywiązywał.

Chłopiec zaniósł tę odpowiedź proboszczowi. Ten rozśmiał się i rzekł doń:

– Powiedz jej, gdy ją obaczysz, że jeśli ona mi już nigdy móźdierza swego nie użyczy, to ja jej nigdy tłuczka mego nie dam; a jedno wszak warte jest drugiego.

Przez długi czas po tej historii Belcolore na swego pasterza gniewne miny stroiła, gdy jednak w czasie winobrania proboszcz zagroził jej, że ją pošle wprost w samą paszczę Lucypera po śmierci, z wielkiego strachu pogodziła się z nim i w szopie zgodę przypieczętowała przy świeżym moszczu i pieczonych kasztanach. Aby ją zasię całkowicie udobruchać, kazał jej dobry proboszcz dla odwetowania owych pięciu lirów tamburino⁴⁹ nową skórą obciągnąć i dzwonek przy nim zawiesić, czym ją ostatecznie ułagodził.»

Opowieść trzecia



POCZCIWY CALANDRINO

Calandrino, Bruno i Buffalmacco szukają w Mugnone cudownego kamienia. Calandrino mniema, że go znalazł. Powraca tedy do domu z kupą kamieni. Żona łaje go. Calandrino, sro-dze rozdrażniony, bije ją co się zmieści, po czym opowiada towarzyszom swoim o tym, o czym oni lepiej od niego wiedzą.

Skoro opowiadanie Panfila – przy którym damy taki śmiech opanował, że dotąd jeszcze się śmieją – do kresu doprowadzone zostało, królowa z kolei na Elizę skinęła. Ta, wciąż jeszcze się śmiejąc, tak zaczęła:

– Nie spodziewam się, miłe towarzyszki, aby mi się udało moją krótką powieścią, równie krotochwilną, jak prawdziwą, tak was rozśmieszyć, jak Panfilowi przed chwilą. Spróbuję jednak.

«W mieście naszym, zawsze w różne obyczaje i dziwnych ludzi obfitującym, żył przed niedawnym czasem malarz, nazwiskiem Calandrino⁵⁰, człek prosty i dziwak wielki. Obcował on zwykle z dwoma innymi malarzami, z których jeden zwał się Bruno a drugi Buffalmacco. Byli to dwaj zawołani figlarze – zresztą bystrzy i roztropni ludzie. Przebywali oni często z Calandrinem, aby się z jego prostoty naśmiewać i różne sztuczki mu płać. W tym czasie mieszkał także we Florencji pewien przemiły, wesoły i przedsiębiorczy młodzieniec, wielki przygód lubownik, nazwiskiem Maso del Saggio. Ten, zasłyszawszy o głupocie Calandrina, postanowił wyzyskać ją w żartobliwy sposób, wypłacać mu jakiegoś figla albo też wmówić w niego jakąś rzecz niepodobną do wiary. Pewnego dnia przydybał go przypadkiem w kościele Św. Jana, jak stał przed malowidłami i rzeźbami tabernaculum, które niedawno na ołtarzu w tym kościele ustawiono⁵¹, i przypatrywał im się uważnie. Maso uznał tę chwilę za właściwą do urządzenia zamierzonej krotochwili.

Upredziwszy więc towarzysza swego o tym, co mówić zamierza, zbliżył się wraz z nim do Calandrina i udając, że go nie spostrzega, zapuścił się z przyjacielem swoim w gorącą rozprawę o potędze czarodziejskiej pewnych kamieni.

Maso mówił tak wymownie, jak gdyby był wielkim i nieporównanym znawcą kamieni. Calandrino nadstawił ciekawie uszu, a po chwili przystąpił nawet do rozmawiających, spostrzegłszy, że nie idzie im o zachowanie tajemnicy. Maso tylko tego pragnął. Nie pokazawszy

jednak nic po sobie, opowieść o zaczętych dziwach dalej ciągnął. Wreszcie Calandrino spytał, gdzie tak cudowne kamienie znaleźć można. Maso odparł, że największą ich ilość znaleziono dotąd w Berlinzone⁵², w kraju Basków, w okolicy zwanej Bengodi⁵³; kraina ta znana jest stąd, że tam krzewy winne kielbasami podwiązują, a gęś za trojaka z gąsiątkiem w przydatku sprzedają. Na północ od niej znajduje się góra, cała z tartego parmezanu, na której stoją ludzie i niczym innym się nie zajmują, tylko wyrabianiem makaronu i nadziejących pierogów. Gotują je w rosole z kapłonów i rzucają następnie przechodniom, aby je chwyтали, ile kto zdoła. U stóp tej góry zasię płynie strumień wybornego wernackiego wina⁵⁴, bez przymieszki choćby jednej kropli wody.

– O, cóż za cudowny kraj! – zawołał Calandrino – aliści powiedz mi, co robią owi ludzie z tymi kapłonami, z których rosół do gotowania pierogów i makaronu czynią?

– Baskowie je zjadają – odrzekł Maso.

– Zaliś ty tam był kiedyś – spytał znowu Calandrino.

– Czy tam byłem? – zawołał Maso. – Zapytaj, ile tysięcy razy!

– A ileż mil od tego miejsca? – badał Calandrino dalej.

– Mógłbym przysiąc, że więcej niż tysiąc – odparł Maso.

– Ba, to musi być dalej niż do Abruzzów⁵⁵ – zauważył Calandrino.

– Tak, trochę dalej – rzekł Maso.

Głupi Calandrino słysząc o tych dziwach, wypowiedzianych przez Masa z poważną miną i bez śladu uśmiechu na twarzy, uwierzył im w zupełności i rzekł:

– Szkoda, że to dla mnie za daleko. Ach, dalibóg, gdyby choć trochę bliżej było, zaraz bym tam poszedł, choćby dla tej przyczyny, aby zobaczyć, jak makaron z góry leci, i najęść się do sytości. Wracając jednak do owych kamieni, proszę, abys powiedział mi łaskawie, czy nie znajdują się one i w naszych stronach?

– Owszem – odrzekł Maso – na dwa rodzaje ich, niemałą siłą przyrodzoną obdarzone, natrafiono tutaj. Pierwszy gatunek, to kamienie młyńskie z Settignano i Montisci⁵⁶, posiadające tę czarodziejską własność, że młyny, do których są użyte, mielą same bez pomocy wody lub wiatru. Stąd też przysłowie bardzo tam pospolite: „Łaski pochodzą od Boga, a dobre kamienie młyńskie z Montisci.” Kamienie te w takiej obfitości się tam znajdują, że tak mało wszyscy je cenią jak i szmaragdy, których całe góry, wyższe od gór Morello, napotkać w tamtych stronach można. Wydają one z siebie o północy taki blask, że niech Bóg broni i zachowa! Trzeba ci także wiedzieć, iż kto by potrafił takie młyńskie kamienie nanizać w krąg, zanim się je przewierci, i zaniósł je wielkiemu sułtanowi, otrzymałby, czego by tylko zapragnął. Drugim gatunkiem kamienia cudownego, który trafia się w naszych okolicach, jest tak zwany przez nas, złotników, heliotrop⁵⁷, kamień obdarzony potężną i zadziwiającą siłą, kto go bowiem przy sobie nosi, niewidzialny jest dla wszystkich tam, gdzie go nie ma.

– Oto ci kamyczki na schwał! – zawołał Calandrino. – Gdzie, powiadasz, te drugie się znajdują?

– Najczęściej dotychczas trafiały się w Mugnone⁵⁸ – odparł Maso.

– A wielkież są? I jaką barwę mają? – badał dalej Calandrino

– Jeden jest większy, drugi mniejszy – odrzekł Maso – ale co się koloru tyczy, to wszystkie są jednakowe, czarne.

Calandrino zakonotował sobie dobrze wszystkie te nowinki, po czym udał, że mu się śpieszy do jakiejś roboty i pożegnał Masa z twardym zamysłem wybrania się na poszukiwanie owych kamieni. Pierwej jednak postanowił uwiadomić o wszystkim Bruna i Buffalmacca, których szczególnie miłował. Jął więc ich poszukiwać, ażeby nie tracić drogiego czasu po próżnicy i wszystkich wyprzedzić, aliści dopiero w południe znaleźć mu się ich udało w klasztorze mniszek, przy drodze do Faenzy, gdzie jakąś robotą zatrudnieni byli. Zziąjany, bo skwar był ogromny, bez tchu prawie przybiegł do nich, odciągnął ich na bok i rzekł:

– Przyjaciele, jeżeli tylko chcecie, możemy zostać najbogatszymi ludźmi w Florencji. Dowiedziałem się od pewnego wiarogodnego człeka, że w Mugnone znaleźć można pewien kamień, mający moc czynienia niewidzialnym posiadacza swego. Sądzę tedy, że bez odwłoki powinniśmy wybrać się na poszukiwanie tego kamienia; obawiam się ustawicznie, aby nas ktoś nie uprzedził. Ani chybi znajdziemy go, bowiem jego cechy znam wybornie; gdy go już raz będziemy mieli, czegoż nam więcej będzie potrzeba? Włożymy go do mieszka, podejźmy do jednego z owych stołów wekslarskich, które się uginają pod ciężarem dukatów i innej monety, i każdy z nas nabierze tyle srebra i złota, ile tylko zechce. Nie zobaczy nas nikt. Takim sposobem w krótkim czasie wzbogacimy się i nie będziemy musieli już po całych dniach walać się farbą i jak pająki po rusztowaniach łązić.

Bruno i Buffalmacco, słysząc te niedorzeczne słowa, o mało mu w sam nos śmiechem nie parsknęli, pomiarkowali się jednak, spoglądając na siebie udali wielce zadziwionych i jęli głośno jego zamysł wychwalać. Następnie Buffalmacco spytał go, jak się ów kamyk nazywa?

Calandrino, lotnością myśli zgoła nie obdarzony, siłił się przypomnieć sobie, aliści po próżnicy, wreszcie zawołał:

– Ech! co nas tam jego nazwa obchodzić, może, dosyć na tym, że cechy jego i siłę znamy. Radzę zaraz w drogę wyruszać i szukać go.

– Dobrze, ale powiedz mi najpierw, jak on wygląda – rzekł Bruno.

– Kształt miewa rozmaity – odparł Calandrino – aliści prawie zawsze jest czarny. Moim zdaniem tedy, winniśmy zbierać wszystkie kamienie czarne, jakie nam w ręce wpadną, póki na właściwy nie natrafimy. Nie traćmy czasu, powiadam, nie traćmy czasu!

– Jeszcze chwileczkę – rzekł Bruno i zwracając się do Buffalmacca dodał: – Zamysł Calandrino ze wszech miar na pochwałę zasługuje, aliści obecna pora nie wydaje mi się stosowną do urzeczywistnienia go, słońce bowiem stoi wysoko, nad samą doliną Mugnone. Wszystkie kamienie, spieczone skwarem, białymi wydawać się będą, te nawet, które rano, słońcem nie osuszone, czarnymi się zdają. Krom tego dzisiaj jest dzień powszedni, dużo więc ludzi zastaniemy w dolinie. Obaczywszy nas, łatwo odgadną, czego szukamy, i naśladować nas będą gotowi. Cudowny kamień, zamiast w nasze, w ich ręce wpaść gotów i wówczas cała rzecz będzie stracona. Wszystko to zważywszy mniemam, waszego zdania nie przesądzając, że winniśmy wybrać godzinę poranną, w której daleko lepiej czarne kamienie od białych odróżnić można. Udamy się przy tym na miejsce w dzień świąteczny, kiedy w dolinie pusto bywa.

Buffalmacco przyznał słusność rozumowaniu Bruna. Calandrino, chcąc nie chcąc, uczynił to samo. Umówili się tedy, że w najbliższą niedzielę rano wybiorą się wszyscy trzej po społu, aby szukać cudownego kamienia; Calandrino zaklął ich na wszystkie świętości, aby nikomu słówka nie zdradzili z tej tajemnicy, którą mu powierzono w zaufaniu. Przy pożegnaniu opowiedział im jeszcze nowinki, które słyszał o kraju Bengodi, zaklinając się, że to wszystko święta prawda. Wreszcie odszedł. Wówczas dwaj pozostali uknuli między sobą spisek.

Nadeszła wreszcie oczekiwana gorąco przez Calandrino niedziela. O świcie porwał się Calandrino z łoża, przywołał swoich towarzyszy i wyruszył wraz z nimi w drogę. Wyszli z miasta przez bramę San Galio, wstąpili w koryto rzeki i szukając cudownego kamienia szli przed siebie. Niecierpliwy Calandrino wyprzedzał towarzyszy, skakał gwałtownie to tu, to tam, a gdy gdzie jaki czarny kamień zoczył, rzucał się nań, porywał go z ziemi i za pazuchę chciwie pakował. Towarzysze jego szli za nim i także od czasu do czasu kamienie podnosili, aliści nie tak często jak Calandrino. Toteż gdy ledwie kilkadziesiąt kroków przebyli, Calandrino miał już całe piersi kamieniami obłożone, tak że w końcu był zmuszony podgiąć obszerne poły swojego kaftana, końce zatknąć za pas i tym sposobem zrobić sobie z niego rodzaj wora. Ale i ten schowek tak się wkrótce przepełnił, że trzeba było z płaszcz nową sakwę uczynić. Niedługo i w niej miejsca zabrakło.

Tymczasem nadeszła godzina obiadowa. Wówczas Bruno i Buffalmacco, widząc obładowanego Calandrino, tręcili się łokciami. Bruno, zgodnie z umową, zawołał zwracając się do Buffalmacca:

– Gdzie się podział Calandrino? Buffalmacco, mimo że miał go tuż przed nosem, obrócił się, spojrzął na lewo i prawo i wreszcie rzekł:

– Dalibóg, że nie wiem! Przed chwilą jeszcze był tu przed nami.

– To prawda – odrzekł Bruno. – Ani chybi zażartował z nas sobie, wrócił do domu, je teraz spokojnie obiad i śmieje się z nas, że tutaj, jak głupcy, kamienie czarne zbieramy.

– Jeśli tak uczynił – rzekł Buffalmacco – to miał słuszość, bo istotnie trzeba było być dudkiem, aby uwierzyć temu, co nam opowiadał. Komuż by, krom nas, w głowie pomieścić się mogło, że podobnie cudowny kamień znajduje się w dolinie Mugnone?

Calandrino słuchając tych słów topniał z radości, był bowiem upewniony, że pożądanego kamień ma między innymi w kieszeni i że dlatego właśnie towarzysze go nie widzą, chociaż jest tuż obok. Zachwycony tym szczęśliwym wypadkiem, postanowił, nie odpowiadając ani słowa, co żywiej do domu powrócić. Z tym zamysłem cichymi krokami wymykać się począł. Widząc to Buffalmacco rzekł do Bruna:

– Cóż tu dłużej mamy robić? Chodźmy i my do domu.

– Chodźmy – odrzekł Bruno – ale klnę się na Boga, że mi już nigdy Calandrino podobnego figla nie wypłata. Ach, gdybym go teraz miał przed sobą tak blisko, jak niedawno go jeszcze miałem, walnąłbym go tym kamyczkiem w piętę, aby popamiętał na długo, co to znaczy kpić sobie ze mnie.

To mówiąc, trzymany w ręku kamieniem ugodził w nogę Calandrino.

Calandrino poczuwszy ból syknął lekko, pohamował się jednak natychmiast, poskrobał w obolałe miejsce i ruszył dalej w milczeniu.

Tymczasem i Buffalmacco pochwylił jeden z zbieranych kamieni i zawołał do Bruna:

– Spójrz no, jaki śmigły krzemak! Ach, gdybym tak mógł nim trzasnąć Calandrino w zębra.

Rzekłszy te słowa ugodził nader celnie w bok ofiarę swoją.

Słowem, przygadując bez ustanku, rzucali kamieniami w Calandrino od Mugnone aż do bramy San Galio. Przybywszy tam, wysypali wszystkie zbierane kamienie na ziemię i dali umówiony znak strażnikom przy bramie, którzy dusząc się od śmiechu przepuścili Calandrino, jak gdyby był dla nich całkiem niewidzialny.

Calandrino czym prędzej udał się do swego domu na rogu Młyńskiego Kamienia. Los tak krotochwilnikom sprzyjał, że nikt naszego szczęśliwca po drodze nie zaczepił. Zresztą, jako że to pora południowa była, wszyscy w domach przebywali.

Calandrino, objuczony, dopadł wreszcie do swego domu. Przypadek zdarzył, że na progu stała żona jego, imieniem Tessa, urodziwa i rozumna białogłowa. Tessa, zagniewana, że się na obiad spóźnia, przyjęła go okrzykiem:

– No, klejnocie! Wreszcie cię diabli przynoszą! Cały świat się zdąży najęść, zanim ty do stołu zasiądziesz.

Calandrino na te słowa stanął osłupiały i pomyślał, że kamień cudowny wobec żony siłą swą utracić musiał. W pierwszym zapędzie gniewu zawołał tedy z wściekłością:

– Biada mi! Trzebaż było właśnie tej jędzy na progu! Zgubiłaś mnie, hultajko! Ale jak Bóg na niebie, zapłacisz mi za to!

To rzekłszy wpadł do izby, wysypał ową kupę kamieni, którą ze sobą przydzwigał, a następnie rzucił się z wściekłością na żonę, schwycił ją za warkocze, obalił na ziemię i okładać co siłą począł nie zważając na jej błagania i jęki. Bił ją tak, dopóki jej wszystkich kości nie policzył.

Tymczasem Buffalmacco i Bruno strawili chwilę czasu na żarty ze strażnikami przy bramie. Idąc wolnym krokiem za Calandrino, przybyli przed dom jego udając, że dopiero teraz

nadeszli. Słyszając, co się dzieje, zawołali nań. Calandrino, opływający potem, czerwony na twarzy i bez tchu w piersiach, przystąpił do okna i poprosił ich, aby weszli do środka.

Dwaj figlarze przybrawszy obrażone miny weszli na górę, gdzie ujrzeni w jednym kącie izby stos kamieni, a w drugim biedną żonę Calandrino z rozczochranymi włosami, pokrytą sińcami na całym ciele i płaczącą głośno. Na środku stał Calandrino w rozpiętej odzieży, sapiąc i chwiejąc się na nogach. Na ten widok Bruno i Buffalmacco udali z początku mocne zdziwienie, a potem zawołali:

– Cóż to wszystko ma znaczyć, Calandrino? Zali kamieniarzem chcesz zostać? Na co ci ta kupa kamieni? A z panią Tessą co się dzieje? Kto ją tak oporządził? Wytlumacz nam, co się tu stało?

Calandrino chciał odpowiedzieć, aliści znużenie, wściekłość i srogie strapienie z powodu utraconego szczęścia mowę mu odebrały. Płatał się w słowach i oddech z trudnością chwycił. Buffalmacco korzystając z chwili milczenia rzekł w te słowa:

– Jeśliś miał inny powód do gniewu, Calandrino, to przecze na nas niewinnych złość swą wywarłeś? Wierę, tak się nie godziło. Wyprowadziłeś nas na poszukiwanie jakiegoś czarodziejskiego kamienia, a potem, nie powiedziawszy nawet „Zostańcie z Bogiem” lub „Idźcie do kaduka”, odszedłeś i zostawiłeś nas niby durniów w korycie rzeki! Aliści bądź pewny, że pierwszy i ostatni raz podobnego figla spletać ci się nam udało.

Na te słowa Calandrino zebrał wszystkie siły i zawołał:

– Nie gniewajcie się na mnie, towarzysze! Rzecz się ma zgoła inaczej, niżli sądzicie. Jakże jestem nieszczęsny. Wiedząc, że znalazłem ów szacowny wielce kamień. Na dowód prawdy moich słów powiem wam, iż w chwili gdyście się za mną oglądali, znajdowałem się nic dalej jak o dziesięć kroków od was. Przez cały czas drogi, aż do miasta, szedłem tuż przed wami, nie będąc przez was widziany.

I tu jął opowiadać im wszystko od początku aż do końca, pokazał im plecy i pięty, pobite krzemieniami, i tak ciągnął dalej:

– Nie dosyć na tym! Gdy z kupą kamieni, które tutaj widzicie, przechodziłem przez bramę, nikt mi ni słowa nie powiedział, choć dobrze wiadomo wam, jak naprzykrzeni zwykle strażnicy bywają i jak muszą obmacać człeka na wszystkie strony, zanim go przepuszczą. Jawną jest tedy rzeczą, że mnie widzieć nie mogli. Później spotkałem na drodze kilku przyjaciół i towarzyszy, którzy zawsze, ujrawszy mnie, pierwsi do mnie przystępują i zapraszają na poczęstunek; na ten raz nikt z nich pół słówka nie zagadał, z czego wnosić wypada, że mnie nie widzieli. Przybyłem wreszcie do domu. Na progu zaszła mi drogę ta szatańska białogłowa i zobaczyła mnie. Wiecie przecie sami, że na co baba spojrzy, to zaraz moc przyrodzoną strada. Stąd też poszło, że najszczęśliwszy człek we Florencji na najnędźniejszego się zmienił. Cóż dziwnego zatem, że ją łupiłem, dopóki mi sił starczyło. Teraz nawet czuję, iż zbyt się hamowałem i że powinienem jej wszystkie gnaty poprzetrzącać. O, przeklęta niechaj będzie ta godzina, w której ją pierwszy raz ujrzałem i do mego domu wwiódłem!

Rzekłszy te słowa, nowym zapalony gniewem, powstał i chciał skoczyć znowu ku Tessie, aliści Buffalmacco i Bruno, którzy przez cały czas jego mowy najwyższe zadziwienie udawali i potakiwali mu, widząc teraz, że się na nową bójkę zanosi, zastąpili mu drogę i wstrzymali go, po czym jęli go zapewniać, iż w tej sprawie nie żona, ale on sam najwięcej jest winien, wiedząc bowiem, że od kobiecego spojrzenia czarodziejska siła ginie, powinien był ostrzec żonę zawczasu, aby mu się w tym dniu na oczy nie pokazywała. Ponieważ uczynić tego zaniedbał, niechaj sam sobie winę przypisze, a raczej woli boskiej, która albo mu tego szczęścia nie przeznaczyła, albo też w ten sposób ukarać go chciała za to, że pragnął oszukać towarzyszy. Znalazłszy kamień cudowny nie zawiadomił ich przecież o tym.

Po długich staraniach i trudach udało im się wreszcie pogodzić Calandrino z nieszczęśliwą jego żoną; po czym odeszli ostawiając go wpatrującego się z wielką melankolią w stos przyniesionych kamieni.»

Opowieść czwarta



NA GORĄCYM UCZYNKU

Proboszcz z Fiesole miłuje pewną wdowę, która go wzajemnością swą nie darzy. Mniemając, że jest z nią społem, cieszy się wdziękami szpetnej służki. Bracia damy sprowadzają biskupa, który proboszcza na gorącym uczynku chwyta.

Eliza skończyła wreszcie opowieść swoją, wielce nią całe towarzystwo rozweseliwszy. Po czym królowa zwróciła się do Emilii i dała jej znak, że na nią kolej przypada. Emilia, nie namyślając się, w te słowa zaczęła:

– Miłe towarzyszeki moje! O ile sobie przypominam, niejednen już tutaj przytoczono przykład, z którego przekonać się było można, jak mnichy i księża wszelkiego rodzaju o zbawienie dusz naszych się troszczą. Ponieważ jednak, jak mi się zdaje, dotąd tej materii do cna nie wyczerpano, pozwolę sobie tedy opowiedzieć wam jeszcze jedną historię o proboszczu z Fiesole, który na przekór całemu światu chciał doprowadzić do tego, aby pewna szlachetna dama, nawet wbrew swej woli, doń należała. Dama ta, pełna roztropności, obeszła się z nim tak, jak na to zasłużył.

«Jak każdej z was wiadomo, Fiesole, którego wyżyny stąd nawet gołym okiem obaczyć można, jest starym i ongiś znanym miastem. Miasto to, chylące się dzisiaj do upadku, posiadało swoje biskupstwo. Otóż w grodzie tym mieszkała niegdyś w pobliżu katedry pewna wdowa, białogłowa ze znacznego rodu idąca, imieniem pani Piccarda. Nie będąc bogatą, przepędzała większą część roku w skromnym swoim domku po społu z dwoma braćmi, szlachetnymi i obyczajnymi młodzieńcami. Wdowa często w kościele bywała. Proboszcz, spostrzegłszy, że jest młoda i urodziwa, zakochał się w niej na zabój. Po pewnym czasie odważył się wyznać jej swoje afekty, błagając ją, aby je podzielić chciała. Był to człek w podeszłych latach, aliści nader młodzieńczego usposobienia, zuchwały i wyniosły wielce, a przy tym tak mocno w sobie rozmiłowany, tak przykry i nieprzyjemny w obejściu, że nie było w całym mieście nikogo, kto by go przychylnością swą darzył. Ze wszystkich najmocniej nie cierpiała go dama nasza, nienawidząc go bardziej niżli ból głowy. Toteż wysłuchawszy jego miłosnych oświadczeń, jako roztropna białogłowa, w te słowa mu odparła:

– Miłość wasza, która jest dla mnie prawdziwym zaszczytem, zobowiązuje mnie do przychylności. W afekty jednak nasze żadna rzecz nieobyczajna mieszać się nie powinna. Jeste-

ście moim ojcem duchownym, księdzem, a przy tym człkiem w statecznym już wieku. Ze względu na to, powinniście obyczajnie postępować. Z drugiej strony ja także już nie jestem młodą panienką, której miłości by przystawały. We wdowieńskim stanie żyję, a wiecie sami, jakiej surowości obyczajów świat od wdowy wymaga. Wybaczcie mi tedy, że ani ja was w ten sposób, jak pragniecie, miłowała nie będę, ani chcę, abyście wy mnie tak kochali.

Proboszcz, mimo że innej odpowiedzi wydobyć już z ust damy nie zdołał, nie zniechęcił się jednak ani za zwyciężonego we wstępnym boju nie uznał; przeciwnie, wielce natrętnie dręczył ją począł listami i poselstwami swymi: ilekroć zasię ujrzał ją w kościele, prośbami ją atakował. To uporczywe nagabywanie rozdrażniło tak w końcu naszą damę, że myśleć począła nad środkiem pozbycia się prześladowcy, i to w sposób, na jaki zasługiwał.

Przede wszystkim jednak postanowiła naradzić się z braćmi. Wezwała ich do siebie, opowiedziała całą historię z proboszczem, przedstawiła plan, który jej do głowy przyszedł, i spytała, zali nań się godzą? Bracia zgodzili się chętnie.

W kilka dni potem dama, obyczajem swoim, udała się do kościoła. Proboszcz ujrzawszy ją wyszedł na jej spotkanie i jak zwykle, w poufałą z nią wstąpił rozmowę. Dama, uprzejmie nań spojrzawszy, w trakcie rozmowy wielką przychylnością mu okazała. Wysłuchawszy na uboczu wielu słodkich słówek, rzekła z głębokim westchnieniem:

– Słyszałam nieraz, że nie masz tak silnej twierdzy, która by, co dzień szturmowana, nie poddała się wreszcie. Dzisiaj widzę, że zdanie to sprawdza się na mnie samej. Takeście mnie usidlili cukrowanymi słowy, uprzejmościami i ciągłym staraniem się o moje względy, że chcę złamać słowo, które sobie dałam, i należeć do was w nagrodę za tak wytrwałą miłość.

Proboszcz na te słowa w najwyższym uniesieniu zawołał:

– O pani, jakież dank mam ci złożyć? Jeśli mam prawdę powiedzieć, dziwiło mnie to niepomąlu, żeś się tak długo opierała, nigdy mi się to bowiem w stosunku do innych białogłów nie zdarzyło. Dotychczas twierdziłem zawsze, że gdyby kobiety ze srebra były, nie zdałyby się na monetę, bowiem żadna z nich młota by nie wytrzymała. Aliści dajmy temu pokój; a natomiast zechciej mi powiedzieć, kiedy, gdzie i jak zejść byśmy się z sobą mogli?

– Mój miły ojcze – odrzekła na to dama – mogę wam odpowiedzieć, że wtedy, gdy się wam to podobać będzie, nie mam bowiem męża, któremu bym z nocy moich rachunek zdawać musiała. Ale gdzie, tego wymyślić nie potrafię.

– Jak to? – zawołał proboszcz – a w twoim domu?

– Wiecie wszak, ojcze – odparła dama – że mam dwóch młodych braci, którzy często w dzień i w nocy z towarzyszami swymi w domu moim przesiadują. Ponieważ miejsca w nim niewiele, łatwo by więc nas przydybać mogli, chyba żebyśmy się jak niemi bezgłośnie zachowywali i zgodzili się przez cały czas w ciemnościach, niczym ślepcy, pozostawać. W tym tylko razie komnata moja mogłaby istotnie za schron nam posłużyć; bracia moi nigdy do niej nie zachodzą; jednakże ich komnata jest tak blisko mojej, że najcichszy szept słyhać by u nich było.

– Ha! – odrzekł proboszcz – nie chcę chwili mego szczęścia odkładać, zachowamy się tedy, jak potrzeba, i zejdziemy się tymczasem u was. W przyszłości, pomyszę o wynalezieniu stosowniejszego miejsca.

– Zgoda – rzekła dama – ale jeszcze jedno słówko. Błagam was, aby to wszystko w najgłębszej tajności pozostało.

– Nie obawiajcie się niczego, pani – odparł proboszcz. – Postarajcie się tylko, abyśmy już dziś wieczór spotkać się mogli.

– Chętnie – rzekła dama, po czym wskazała mu, jak ma się do jej komnaty przedostać, i pożegnawszy go do domu powróciła.

Wdowa trzymała u siebie służkę, dziewczynę, nie tylko już leciwą, ale i najszeptniejszą pod słońcem. Twarz jej, wierę, wielce szpetna była, nos szeroko rozplaszczony, gęba krzywa, wargi grube, zęby wielkie i nierówne. Oczy miała zawsze kaprawe, a cerę tak zieloną i żółtą,

jak gdyby lato nie w Fiesole, ale w Sinigalii spędziła. Krom tego dziewczeczka ta chromała i prawą nogę miała krótszą od lewej. Na imię jej było Ciuta⁵⁹, aliści dla jej szpetności nazywano ją grubo Ciutazza. Przy całej brzydocie na sprycie jej jednak nie zbywało.

Dama nasza przywołała służkę i tak rzekła do niej:

– Jeśli mi uczynisz, Ciutazzo, tej nocy pewną przysługę, podaruję ci za to nową, piękną koszulę.

Na wzmiankę o koszuli Ciutazza zawołała:

– Pani, dla koszuli rzucić się za ciebie w ogień jestem gotowa, nie mówiąc już o mniejszej rzeczy.

– Dobrze tedy – odparła dama. – Otóż chcę, abyś tej nocy położyła się do mego łóża z pewnym mężem i abyś pieśczoły jego odwzajemniała. Strzeż się jednak choćby słówko szepnąć do niego, bowiem bracia moi, śpiący opodal, mogliby cię posłyszeć. Jeśli prośbę moją spełnisz, koszula do ciebie należeć będzie.

– Co? – zawołała Ciutazza – z sześciu położę się spać, nie tylko z jednym, jeśli o to chodzi!

Tymczasem wieczór zapadł; o zmroku pojawił się przed domem ksiądz proboszcz. Dwaj młodzieńcy, zgodnie z udzieloną im wskazówką damy, znajdowali się w pokoju swoim i głośno rozmawiali.

Nasz miłośnik ostrożnie, wstrzymując oddech, udał się wskazaną mu drogą do sypialni damy i po ciemku, na palcach zbliżył się do łóża. Wówczas Ciutazza, dobrze roli swojej wyuczona, przystąpiła ku niemu. Proboszcz, przekonany, że znajduje się obok ukochanej, nie mówiąc ni słowa całować ją począł. Ciutazza hojnie się odwzajemniała. Za chwilę spoczywali już jedno w objęciach drugiego. Proboszcz mógł się wreszcie cieszyć do woli rozkoszą, na którą tak długo czekać musiał.

Tymczasem dama, widząc księdza wkraczającego do swej sypialnej komnaty, dała znak braciom, aby wiedzieli, że ich rola teraz się zaczyna. Bracia wyszli po cichu z zamiarem udania się na plac katedralny, ale szczęście sprzyjało im nadspodziewanie, biskup bowiem z powodu wielkiego skwaru wybrał się na przechadzkę i do nich chciał się kierować, by wytchnąć nieco i orzeźwić się napojem. Spotkawszy ich w drodze, wyjawiał im swój zamiar. Ruszyli razem. Przybywszy do swego domu, bracia wprowadzili biskupa do rześcicie oświetlonej altany i poczęstowali wyborynym winem.

Po czym, upatrzwszy stosowną chwilę, jeden z nich rzekł w te słowa:

– Panie, ponieważ byłeś tak dobry i zaszczyciłeś nasz skromny domek swoimi odwiedzinami, uprzedzając zaproszenie nasze, to mamy nadzieję, że zechcesz teraz spojrzeć na pewne widowisko, które ci pokazać pragniemy.

Biskup przystał na to z chęcią. Wówczas jeden z młodzieńców wzięwszy w rękę płonąca pochodnię poszedł przodem, brat jego zaś z innymi w ślad za nim biskupa poprowadził. Po chwili weszli do pokoju, w którym proboszcz z Ciutazzą się znajdował. Ponieważ zacny ten mąż, jako dzielny jeździec, ostróg koniowi swemu nie żałował i przebył już dotychczas więcej niż trzy mile, zmęczył się tedy nieco i w tej chwili odpoczywał, mimo skwaru trzymając Ciutazzę w objęciach.

Przy świetle pochodni biskup i wszyscy przytomni ujrzeli to piękne widowisko. Proboszcz, olśniony światłem i strwożony głosami ludzkimi, ocknął się i widząc, co się dzieje, zawstydzony i drżący, schował głowę pod kołdrę. Na nic mu się to jednak nie zdało. Biskup bowiem poznał go, przemówił doń srogimi słowy, kazał mu wyjąć głowę spod kołdry i zobaczyć, z kim łożę dzieli. Wówczas proboszcz pojawiwszy jadowitość figla damy i wystawiwszy sobie, jaki mu z tego wstyd urość musi, stracił całkiem głowę. Z rozpaczliwego położenia wywiódł go dopiero biskup rozkazując mu ubrać się. Gdy to uczynił, odesłano go pod strażą do domu, gdzie w zamknięciu nałożoną nań ciężką pokutę odbywać musiał.

Biskup zapragnął dowiedzieć się, jakim sposobem do tak zażyłych stosunków między proboszczem a Ciutazzą przyszło. Dwaj młodzieńcy uczynili zadość temu życzeniu i opowiedzieli mu szczegółowie rzecz całą. Biskup pochwalił gorąco damę i jej braci za to, że wybrali jeno taki środek ukarania proboszcza i że nie splamili rąk krwią niegodziwego człeka, który jednak sukienkę duchowną nosi.

Przez czterdzieści dni z rozkazu biskupa proboszcz nasz grzech swój oplakiwał, aliści boleść, której doznał z powodu zawodu i urażonej miłości własnej, daleko dłużej łzy mu z oczu wyciskała. W ciągu kilku miesięcy nigdzie pokazać się nie mógł, bowiem zaraz obstępowali go chłopcy i pokazując go palcami, wołali:

– Patrzcie no, patrzcie, to ten, co z Ciutazzą spał!

Proboszcza tak to drażniło, że o mało rozumu z tej przyczyny nie postradał.

Takim to sposobem pozbyła się roztropna dama natrętnego miłośnika, Ciutazza zaś pozyskała nową koszulę.»

Opowieść piąta



SĘDZIA BEZ SPODNI

Trzech florenckich figlarzy ściąga spodnie z sędziego, w czasie gdy ów w trybunale różne sprawy rozważa.

Gdy Emilia opowieść swoją skończyła, wszyscy należne pochwały wdowie oddali. Po czym królowa, spojrzawszy na Filostrata, wezwała go do opowiadania z kolei. Filostrato bez zwłoki zaczął w te słowa:

– Miłe damy! Imię młodzieńca, Maso del Saggio, o którym niedawno Eliza wspomniała, skłoniło mnie k’temu, abym opowieść, jaką poprzednio miałem zamiar wam przytoczyć, inną nowelą zastąpił. Tenże Maso, wraz z kilku jego towarzyszami, gra w niej niepoślednią rolę. Powieść ta jest obyczajną, chociaż zawierają się w niej słowa, do używania których nie przywykłyście. Opowiem wam ją jednak ze względu na to, że jest wielce krotochwilną.

«Jak wam zapewne wiadomo, do naszego grodu przybywają często podestowie z okolic Ankony. Są to przeważnie ludzie ubodzy duchem, nędzarze i brudni chciwcy. Przywodzą oni z sobą podobnych do siebie pomocników, sędziów i jurystów, wyglądających raczej na takich, którzy ze stajni lub szewskiego kramiku wyszli, niżli na wychowañców szkoły prawa. Otóż jeden z takich podestów, przybywszy do naszego miasta, przywiódł z sobą między wielu innymi prawnika, który kazał się nazywać panem Nicola da San Lepidio, mimo że wyglądał raczej na ślusarza niżli na sędziego. Powierzono mu, na równi z innymi sędziami, różne sprawy kryminalne do rozpatrzenia. Pewnego poranku Maso del Saggio, obyczajem wielu mieszczan, którzy często do sali sądowej zachodzą, chociaż sprawy żadnej nie mają, przybył tam w poszukiwaniu jednego z przyjaciół i ujrzał pana Nicola. Wygląd sędziego wydał mu się tak dziwny, że jął się mu przyglądać niby jakiemuś pokraccnemu ptakowi. Było istotnie patrzeć na co! Nasz sędzia miał brudną, okropną myckę na głowie, kałamarz i pióro za pasem, kamizelkę dłuższą od surduta, jednym słowem, wyglądał tak, jak rzadko który stateczny człek na świecie wyglądać może. Szczególną uwagę Masa zwróciły spodnie sędziego. Dzięki odchyłonym połom ciasnego kaftana widać było, gdy siedział, że górna część tych spodni prawie do połowy nóg opada. Na ten widok krotochwilna myśl strzeliła do głowy Masa, przerwał tedy swe poszukiwania, a pospieszył co prędzej do dwóch przyjaciół swoich, imieniem Ribi⁶⁰ i Matteuzzo. Byli oni podobnymi figlarzami co i sam Maso. Spotkawszy ich, Maso rzekł:

– Chodźcie ze mną do sali sądowej, a pokażę wam najuciesznieszszą małą, jaką tylko na świecie obaczyć można.

Po czym, wzięwszy ich z sobą, pokazał im sędziego i jego spodnie. Dwaj młodzieńcy na ten widok poczęli się śmiać jak szaleni. Przystąpiwszy bliżej do podniesienia, na którym pan sędzia królował, spostrzegli, że łatwo się pod nie dostać można i że w deskach, na których pan Nicola nogi opiera, znajduje się dziura tak wielka, że nie trudno będzie przez nią rękę i ramię przesunąć. Wówczas Maso rzekł do swych towarzyszy.

– Należy ściągnąć mu te portki, choćby to nas nie wiem co kosztować miało.

W jednym okamgnieniu porozumieli się z sobą i umówiwszy się odłożyli sprawę do następnego dnia. Nazajutrz zjawili się znów w sali sądowej, która tym razem była pełna ludzi. Matteuzzo, przez nikogo nie spostrzeżony, wśliznął się pod tron sędziego i usadowił się blisko nóg ofiary. Wówczas Ribi i Maso przystąpili do sędziego z dwóch stron. Pierwszy schwycił go za lewą połą od kaftana, drugi za prawą, po czym razem wrzeszczeć poczęli.

– Panie sędzio, o panie łaskawy – krzyczał Maso – zaklinam was na Boga, wysłuchajcie mnie i każcie przytrzymać tego łotra, który się was z przeciwnej strony czepia! Niechaj odda buty, które mi zwędził. Nie wiercie mu, panie sędzio, choćby i zaprzeczał. Sam widziałem, jak przed miesiącem niósł je do szewca do naprawy.

– Panie – wrzeszczał tymczasem Ribi – nie wiercie mu ani słowa, bowiem jest łgarzem wierutnym! Wie, że przybyłem tutaj, aby upomnieć się o tłumoczek, który ukradł. Dlatego też kłamie teraz o butach, które miałem w domu od niepamiętnych czasów.

– Jeśli mi, panie, nie wierzycie, świadków wam przedstawię. Niechaj zaświadczy sąsiadka moja, jarzyniarka, a także ta gruba, co handluje flakami, i śmieciarz, który odpadki w Santa Maria a Verzaia zbiera. Widział je, gdy wracał do miasta.

Z kolei zabrał głos Maso i nie dając dokończyć Ribiemu, jał wrzeszczeć z całego gardła. Ribi nie dał się zwyciężyć. Obaj taki hałas piekielny czynili, że pojąć nie można było, o co im właściwie chodzi. Sędzia, chcąc ich zrozumieć, wstał i nieco ku nim się pochylił. Wówczas Matteuzzo wysunął rękę przez otwór między deskami, schwycił za dół obszernych portek sędziego i silnie je ku sobie pociągnął. W tym mgnieniu oka spodnie opadły obnażając chude i kościste ciało sędziego. Sędzia, spostrzegłszy, co mu się stało, i nie wiedząc, jak to tłumaczyć, chciał się zasłonić połami kaftana i usiąść na krześle, aliści Maso, trzymając go za jedną połą, a Ribi za drugą, krzyczeli jeden przez drugiego:

– Tak się nie godzi, panie sędzio! Widać wysłuchać mnie nie chcecie! Wszak o tak błahą rzecz nie będę skargi na piśmie podawał. Podobnego zwyczaju u nas nie ma.

Wśród takich i tym podobnych wrzasków trzymali tak długo sędziego za poły, aż wydali go na pocieszne widowisko zgromadzonemu ludowi. Wreszcie Matteuzzo porzucił spodnie i wyszedł spod katedry sędziowskiej nie zauważony przez nikogo. Wówczas Ribi zawołał:

– Ha, skoro tak, to pójde na skargę do syndyka!

Rzekłszy te słowa, puścił połą kaftana sędziego. Maso zaś krzyknął z udanym gniewem:

– Co się mnie tyczy, to będę tu tak długo przychodził, aż wreszcie posłuch znajdę, gdy nie będziecie tak zamroczeni jak dziś.

Po czym obydwaj skoczyli żwawo w tłum, każdy w inną stronę, i znikli.

Czcigodny sędzia, pieniać się ze złości, wciągał na oczach wszystkich przytomnych swe spodnie, tak jakby dopiero przed chwilą z łoża wyszedł. Teraz dopiero połapawszy się w rzeczy, pytał dokoła, gdzie się podzieli ci dwaj ludzie, co wszczęli spór o buty i tłumoczek, aliści gdy za odpowiedź tylko gromki śmiech usłyszał, zaklął się na jelita Chrystusa, że się dowie, czy we Florencji leży to w obyczaju, aby sędziom spodnie ściągać, gdy zasiadają w trybunale. Po pewnym czasie w samej rzeczy do podesty się udał. Podesta na wieść o tym uniósł się wielce, gdy mu jednak przyjaciele wytłumaczyli, że figiel ten wypłatany został w tym celu, aby pojął, że do Florencji winien sędziów, a nie baranie głowy sprowadzać, zamilkł i uznał za lepsze sprawie tej rozgłosu nie nadawać.”

Opowieść szоста



UKRADZIONA ŚWINIA

Bruno i Buffalmacco, ukradłszy Calandrinowi świnie, uczą go, w jaki sposób przy pomocy galek imbirowych i wina odnaleźć ją może. Wkładają mu w usta dwie psie pigułki, przyprawione aloesem. Wówczas okazuje się, że Calandrino sam sobie świnie ukradł. Za czym wymuszają na nim okup, jeśli nie chce, by wszystko żonie powiedzieli.

Ledwo opowieść Filostrata, która huczny śmiech wywołała, do kresu dowiedziona została, zabrała z kolei głos Filomena i na rozkaz królowej w te słowa zaczęła:

– Miłe przyjaciółki! Imię Masa przywiodło Filostratowi na pamięć historię, którąście dopiero co słyszały, mnie zaśię nazwisko Calandrino i jego towarzyszy przypomina zdarzenie, również z nimi związane, które jak mniemam, zabawić was powinno.

Jakiej natury to ludzie byli, ów Calandrino, Bruno i Buffalmacco, nie potrzebuję wam tutaj określać, bowiem już o nich dość słyszeliście. Dlatego też zacznę wprost od uświadomienia was, że nasz Calandrino posiadał niedaleko Florencji małą majątność, którą w wianie za żoną otrzymał. Między innym byłem zwykły był na wsi także co roku jedną świnie chować. Około Bożego Narodzenia przybywał do swej majątności wraz z żoną, zarzynał świnie i soleniem jej się zajmował.

«Otóż pewnego razu zdarzyło się, że żona, niedomagając nieco na zdrowiu, pozostała w domu, Calandrino zaśię sam na wieś się wybrał, by zarznąć wieprza. Bruno i Buffalmacco, dowiedziawszy się o nieobecności żony Calandrino, przybyli do pewnego księdza, zaprzyjaźnionego z nimi, a sąsiada Calandrino, i zaprosili się do niego na kilka dni w gościnę. Rankiem w dniu ich przybycia Calandrino zarznął właśnie swoją świnie. Spostrzegłszy przyjaciół w towarzystwie sąsiada-księdza, zawołał wesoło:

– Jak się macie! Chodźcie obaczyć, jaki to gospodarz ze mnie! I wprowadziwszy ich do swego domu zarzniętą świnie im pokazał.

Bruno i Buffalmacco za jednym rzutem oka ocenili okazałe rozmiary zwierzęcia, toteż gdy Calandrino oświadczył im, że zamysła teraz nasolić mięso na użytek rodziny, Bruno odezwał się doń:

– Nie bądź głupcem! Sprzedaj wieprza, tak abyśmy pieniądze przehulać mogli! Żonie powiesz, że cię okradziono!

– O, co to, to nie! – odparł Calandrino. – Nie uwierzyłyby mi i z domu by mnie wyгнаła. Nie, nie, dajcie mi pokój, tego nigdy nie uczynię!

Długo jeszcze go namawiali, aliści wszystko na niczym speliło. Odeszli więc wreszcie, nie chcąc pozostać u niego na wieczerzy, na którą ich półgębkiem zapraszał. Gdy za drzwiami się znaleźli, Bruno rzekł do Buffalmacca:

– Może byśmy mu tę świnie dzisiaj w nocy zwędzili?

– Zgadza się – odrzekł Buffalmacco – ale nie wiem, jakby to zrobić?

– W tym już moja głowa – odrzekł Bruno. – Mam pewny sposób, obawiam się jeno, aby świni w inne miejsce nie przeniósł.

– Dobrze zatem – odparł Buffalmacco – ściagniemy mu ją, a pieniądze przełujemy później razem z ojcem wielebny. Ksiądz przystał na to chętnie.

– Trzeba wielce chytrze sobie poczynić – ciągnął dalej Bruno. – Znasz przecie, Buffalmacco, skąpstwo Calandrino i wiesz, z jakim ukontentowaniem on pije, gdy ktoś inny płaci. Zaprośmy go tedy do gospody i niechaj ksiądz powie, że nas wszystkich za swoje pieniądze ugaszca. Pewien jestem, że Calandrino, byle nic nie płacił, na cudzy koszt niezgorzej się upije. Wówczas nie będziemy już mieli żadnej trudności, jak wiecie bowiem, Calandrino jest sam jeden w całym domu.

Jak Bruno poradził, tak też uczynili. Calandrino widząc, że ksiądz nikomu płacić nie pozwala, począł pić bez odetchnienia i wreszcie tak się uraczył, że ledwie stał na nogach. Noc już była, gdy się rozeszli. Nasz Calandrino, nie myśląc już o wieczerzy, do domu powrócił i nie zważywszy, że drzwi otworem zostawia, padł na łóżko i wnet zasnął. Tymczasem Bruno i Buffalmacco zjedli wraz z księdzem wieczerzę, otrzeźwieli całkiem, po czym opatrzeni w różne narzędzia do otwierania drzwi służące, udali się po cichu do domu Calandrino. Zastawszy drzwi otwarte, bez trudu weszli do wnętrza, zabrali świnie, zanieśli ją do domu księdza, schowali w bezpieczne miejsce, po czym spać się położyli.

Z rana Calandrino, wytrzeźwiony zupełnie, zbudził się ze snu i zszedłszy na dół, od razu spostrzegł, że drzwi stoją otwarte na ścieżaj i że świni nie ma. Jak odurzony począł tu i tam biegać pytając każdego, czy nie widział jego świni, gdy zaś to wszystko na nic się nie przydało, wielki gwałt podniósł żaląc się, że wieprza mu ukradziono.

Bruno i Buffalmacco, wstawszy z łoża, wyszli przed próg domu, aby usłyszeć, co Calandrino o świni mówi. Calandrino przywołał ich z łzami w oczach i rzekł do nich:

– Biada mi, towarzysze, ukradziono mi świnie!

– Widzę, żeś przyszedł wreszcie do rozumu i posłuchał mojej rady – szepnął Bruno podszedłszy do niego.

– Jakiej rady? – jęknął Calandrino. – Mówię prawdę!

– Tak, tak, wybornie – ciągnął dalej Bruno. – Krzycz głośno, jak możesz najgłośniejszy, aby się wszystkim zdawało, że to istotna prawda.

– Na ciało Chrystusowe klnę się, że w samej rzeczy mi ją skradziono! – zawołał jeszcze głośniejszy Calandrino.

– Nie ustawaj ani na chwilę – rzekł Bruno. – Zaklinaj się, przysięgaj, wrzeszcz co sił... a wszyscy ci uwierzą.

– Pęknię chyba ze złości! – krzyknął Calandrino. – Nie chcesz mi uwierzyć! Bodaj mnie powieszono, jeśli kłamię, bodaj mnie piorun zabił...

– He! – rzekł miarkując się Bruno – byłoby to prawdą w samej rzeczy? Przecież wczoraj jeszcze tutaj świnie widziałem. Zali chcesz we mnie wmówić, figlarzu, że na skrzydłach stąd uciekła?

– Ależ jest, jak powiadam! – wrzasnął Calandrino.

– Jestże to możliwe? – rzekł Bruno. – Byłaby to prawdziwa bieda!

– I jaka jeszcze! – jęknął rozpaczliwie Calandrino. – O ja nieszczęśliwy, jakże do domu powrócę! Moja żona mi nie uwierzy, a choćby i uwierzyła, gorzkie za to będę miał życie przez rok cały!

– Ha!... – odezwał się poważnym głosem Bruno. – Pojmuję, że ci przykro być musi, jeśli w istocie tak się stało. Jednakże trudno mi w to uwierzyć, bo wszak sam dawałem ci wczoraj radę, abys odegrał taką rolę, jaką właśnie grasz dzisiaj. Zdaje mi się tedy, że chciałbyś teraz żonę swoją i nas zarazem w pole wywieść.

Calandrino, do ostateczności przywiedziony, zawołał:

– Zali chcesz, abym z rozpaczy Bogu i świętym Pańskim bluźnił? Mówię ci, człeku, najświętszą prawdę, że mi świnie w nocy ukradziono.

– Kiedy tak – rzekł Buffalmacco – to nie ma co rąk zakładać, trzeba jeno poszukać sposobu na odzyskanie twojej straty.

– Otóż to właśnie! – zawołał Calandrino. – Aliści nie widzę żadnego sposobu.

– Powoli, powoli – rzekł Buffalmacco. – Przecież nikt z Indyj po twoją świnie nie przyszedł. Musiał ją ściągnąć któryś z naszych sąsiadów. Dalibóg, gdybyś tylko ich zebrać potrafił, to przy pomocy zaczarowanego chleba i sera⁶¹ zaraz dowiedzielibyśmy się, kto cię obrał.

– Zali mniemasz – przerwał Bruno – że ty tylko jeden wiesz o tym sposobie? Znany on jest niewątpliwie niejednemu z sąsiadów, tak iż nikt już nań się złapać nie da... Możemy natomiast inną próbę uczynić.

– Jaką? – spytał Buffalmacco.

– Postarajmy się o gałki imbirowe i o dobre wino Venaccia – rzekł Bruno. – Można te rzeczy równie dobrze zaczarować, jak chleb i ser. Potem zaprosimy wszystkich sąsiadów na poczęstunek. Wszyscy się zejdą, nikt bowiem nie będzie podejrzewał, o co nam chodzi.

– Masz słuszość – zawołał Buffalmacco. – A ty, Calandrino, co myślisz o tym? Chcesz, abyśmy tego sposobu spróbowali?

– Pragnę tego najgoręcej – odrzekł Calandrino – zaklinam was nawet na ciało Chrystusowe, abyście to uczynili. Gdy będę wiedział, kto mnie okradł, ulgę poczuję, choćbym własności mojej odebrać nawet nie miał.

– Dobrze tedy – odrzekł Bruno. – Dla miłości, jaką dla ciebie żywię, gotów jestem sam wybrać się do Florencji po potrzebne przedmioty. Musisz mi jeno dać pieniądze na zakupy.

Calandrino miał około czterdziestu soldów przy sobie. Oddał je z chęcią Brunowi, który niezwłocznie udał się do Florencji, zaszedł do znajomego aptekarza, kupił funt wybornych gałek imbirowych, przy czym też kazał dwie psie pigułki przyrządzić i nadać je świeżym aloesem; następnie wszystkie jednako cukrową powłoką obciążone zostały. Aby jednak się nie pomylić, naznaczył Bruno owe dwie odmienne pigułki w ten sposób, iż w każdej chwili z łatwością od innych mógł jej odróżnić. Wreszcie kupił butelkę dobrego wina Vernaccia i tak opatrzone, powrócił na wieś. Spotkawszy Calandrino rzekł do niego:

– Staraj się jutro zaprosić na poczęstunek tych wszystkich, co do których choćby najmniejsze podejrzenie żywisz. Mniemam, że ci się to uda, bowiem jutro dzień świąteczny przypada, nikt się więc od przyjscia nie będzie wymawiać. Co do mnie, zajmę się tej nocy wraz z Buffalmacciem zaczarowaniem pigulek, a jutro przyniosę je do ciebie i sam rozdzielę je między zgromadzonych. Będę przy tym czynił i mówił, co potrzeba.

Calandrino uczynił, co mu polecono. Nazajutrz zebrało się liczne towarzystwo, złożone z młodych Florentczyków, bawiących w okolicy, a także z miejscowych rolników. Gdy się już wszyscy pod jesionem przy kościele zgromadzili, pojawił się Bruno i Buffalmacco z pudłem pełnym pigulek i butlą wina. Przytomni otoczyli ich kołem; wówczas Bruno rzekł w te słowa:

– Muszę wam z góry oznajmić przyczynę, dla której was tu zaprosiliśmy, abyście w razie, gdy was jaka niemiła rzecz spotka, do mnie urazy nie żywili. Wiedźcie tedy, że przytomnemu tutaj Calandrino zginęła wczoraj w nocy piękna świnia. Dotychczas nie mógł odkryć, kto mu

ją ukradł. Ponieważ jednak sprawcą kradzieży nie może być ktoś inny, tylko jeden z nas, jego sąsiadów, przeto sprosił tu dzisiaj wszystkich, aby winowajcę odnaleźć. Calandrino chce wpaść na trop złodzieja przy pomocy wina i tych pigułek, które mają tę osobliwą cnotę, iż winowajca, wzięwszy jedną z nich w usta, przełknąć jej nie może, ale zmuszony jest wypluć ją, tak gorzka mu się wyda. Zanim jednak przystąpimy do rzeczy, mniemam, że lepiej by było, aby sprawca nie czekając, aż w przytomności tak wielu osób sromem okryty zostanie, sam do winy księdzu się przyznał. A wtedy ja poniecham tej próby.

Wszyscy na te słowa oświadczyli, że poddadzą się chętnie próbie. Na to oświadczenie Bruno rzędem wszystkich uszykował, Calandrino w środku postawił i jał, od brzegu zaczawszy, pigułki rozdzielać. Stanąwszy przed Calandrinem wręczył mu pigułkę aloesem nadzianą. Calandrino wpakował ją chciwie do ust i żuć począł, gdy jednak do aloesu się dobrał, uczuł gorycz tak niezmierną, że rad nie rad wypluć pigułkę musiał. Wszyscy spoglądali na siebie, czekając, kto swoją pigułkę wypluje. I jeszcze Bruno wszystkich nie obdzielił, niczego po sobie domyślić się nie dając, gdy postyszał za sobą głosy:

– Hola, Calandrino! Cóż to ma znaczyć?!

Wówczas Bruno z najniewinniejszą miną obrócił się żywo i spostrzegłszy, co się z Calandrinem dzieje, zawołał:

– Może Calandrino tylko przypadkiem splunął? Spróbujmy raz jeszcze! Masz drugą pigułkę, Calandrino!

I biorąc drugą, włożył mu ją do ust; po czym oddalił się pospiesznie, aby pozostałych obdzielić.

Tymczasem Calandrino rozgryzł przekłętą gałkę. Jeśli poprzednia gorzka mu się wydała, to ta stokroć gorszą jeszcze. Ponieważ jednak bał się ją wypluć, trzymał ją przez długi czas w ustach. Od goryczy łzy mu z oczu płynąć zaczęły wielkie jak orzeszki.

Aliści natura tego gwałtu dłużej ścierpieć nie mogła. Otworzył usta i wypluł obrzydliwą pigułkę.

Na ten widok towarzystwo całe wraz z Brunem i Buffalmacciem, rozdzielającymi właśnie wino, krzyknęło, że ani chybi, Calandrino sam sobie świnie ukradł. Ze wszech stron posypały się na niego łajania i obelgi. Wreszcie rozeszli się wszyscy krom Bruna i Buffalmacca. Wówczas Buffalmacco zbliżył się do Calandrino i rzekł:

– Byłem aż nadto pewny, że ukrywszy czy sprzedawszy tę świnie, chciałeś w nas wmówić, iż ci ją ukradzono, tylko dlatego, aby nie postawić nam nic za pieniądze, które dostałeś za nią. Calandrino, mając jeszcze usta pełne aloesowej goryczy, zaczął przysięgać i kłąć się, że niczemu winien nie jest.

– Przyznaj się, ile za nią dostałeś? – rzekł Buffalmacco. – Powiedz prawdę, dali ci więcej jak sześć dukatów?

Calandrino w bezsilnym gniewie chwycił się za włosy.

– Daj już pokój temu, Calandrino – rzekł Bruno. – Wiemy przecie dobrze o wszystkim. Jeden z przytomnych tutaj opowiedział nam przed chwilą, że trzymasz na wsi dla własnej przyjemności dziewczynę, którą obdarzasz wszystkim, co tylko przed żoną ukryć zdołasz. Zapewne podarowałeś jej także tę świnie. No, no, nie wypieraj się, wyglądasz nam na to! Nie lada z ciebie filut! Już raz wyprowadziłeś nas w pole w Mugnone, kazawszy nam zbierać czarne kamienie. Potem, wciągnąwszy nas w pułapkę, zostawiłeś nas samych, a na dobitkę wmówiłeś w nas, żeś cudowny kamień znalazł. Tak samo i teraz zapragnałeś, przysięgam, zdurzyć nas, że ci ukradzono świnie, którą sprzedałeś albo też darowałeś komuś. Znamy już dobrze twoje sztuczki, pora była nauczyć się rozumu! A że staraliśmy się, bracie, usilnie dla ciebie, żeśmy pigułki zaczarowali, dawaj nam więc teraz za to po parze kapłonów, bowiem w przeciwnym razie o wszystkim żonie twojej doniesiemy.

Calandrino widząc, że za grosz mu nie wierzą, a nie chcąc białogłowskich wyrzutów zno-
sić, dał im cztery kapłony. Oni zaś nasolili świnie i odwieźli ją do Florencji, ostawiając Ca-
landrina ograbionego i wystrychniętego na dudka.»

Opowieść siódma



ZEMSTA UCZONEGO

Pewien uczony miłuje wdowę, która kochając innego mężczyznę, każe filozofowi całą noc zimową na śniegu spędzić w oczekiwaniu. Uczony, mszcząc się za to, w lipcu trzyma wdowę cały dzień nagą na wieży, w czasie słonecznej spiekoty, wystawioną na ukąszenia gzów i much.

Damy naśmiały się ogromnie z przypadków biednego Calandrina, a śmiałyby się były jeszcze więcej, gdyby nie współczucie ku niemu, jakie poczuły dowiedziawszy się, że do straconej świni kapłony jeszcze dodać musiał. Gdy się nieco uciszyło, królowa wezwała Pampinęę do opowiadania z kolei. Ta niezwłocznie w te słowa zaczęła:

– Drogie przyjaciółki! Często się zdarza, że za jeden figiel drugim gorszym odpłacą. Dlatego też nader nieroztropną jest rzeczą cieszyć się zbyt gorliwie z ośmieszenia bliźniego. Po wielokroć już ubawiliśmy się przednio, słysząc w tych opowieściach o psotach wyrządzonych różnym ludziom, aliści o zemście któregośkolwiek z nich nikt jeszcze dotąd nie wspomniał. Ja tedy biorę przed się opowiedzieć wam o srogim odwecie, który spotkał jedną z rodaczek naszych jako zasłużona kara za złośliwy figiel. O mały włos nie zginęła ona nędznie. Nie będzie bez pożytku dla was wysłuchać tej historii, nauczycie się z niej bowiem, że należy być ostrożnym w wyszydzaniu innych. Jeśli skorzystacie z mej nauki, mądrze uczynicie.

«Przed niedawnym czasem mieszkała we Florencji pewna młoda, wielce urodziwa białogłowa. Odznaczała się wielką hardością umysłu, pochodziła z wysokiego rodu i hojnie we wszystkie dobra tego świata uposażona była. Na imię jej było Helena. Owdowiawszy nie chciała myśleć o powtórny zamążpójściu, miłowała bowiem dzielnego i urodziwego młodzieńca, z którym za pośrednictwem zaufanej służki weszła w porozumienie. Wolna od wszelkiej troski, spędzała nader wesoło czas w jego towarzystwie.

Zdarzyło się podówczas, że powrócił do Florencji pewien młodzieniec szlacheckiego rodu, nazwiskiem Rinieri. W Paryżu długie dni nad księgami trawił starając się zgłębić istotę i przyczynę wszechrzeczy, jak to wyższemu umysłowi przystało. Powrócił do Florencji nie po to, aby kupczyć nabytą wiedzą i na drobne ją rozmieniać, jak to wielu innych robi, lecz by żyć statecznie, ciesząc się powszechnym zachowaniem tak dla głębokiej umiejętności swojej, jak i dla pochodzenia swego.

Często się jednak zdarza, że najmądrzejsi najłatwiej w pęta miłości wpadają. Tak się też z Rinierim stało.

Mianowicie gdy pewnego dnia przybył na zabawę ludową, wzrok jego padł na Helenę, która obyczajem wdów naszych, w czarne szaty ubrana była. Wydała mu się piękną i wdzięczną nad wyraz. „O jakże szczęśliwym – pomyślał sobie – nazwać by należało tego, komu by niebo udzieliło łaski trzymania jej całkiem nagiej w objęciach swoich.”

Spojrząwszy na nią bacznie raz i drugi i pomyślawszy, iż to, co jest wielkie i cenne, bez trudu pozyskać się nie da, postanowił wszelkiego starania i usilności dla podobania się jej użyć, mniemał bowiem, że przypadłszy jej do serca, z czasem także miłość jej pozyska i wdziękami jej cieszyć się pocznie. Młoda wdowa, nie mająca bynajmniej zwyczaju spuszczenia w dół uczu i niemałego będąca o sobie mniemania, rzucała tu i owdzie przemysłne spojrzenia i miarkowała dobrze tych, którzy się jej z zachwytem przyglądali. Zauważywszy Rinieriego, pomyślała ze śmiechem: „Chwała Bogu, nie po próżnicy dzisiaj tutaj przyszłam. Jeśli się nie mylę, oto znów jeden dudek na lep złapany!” Po czym jęła ukradkowe spojrzenia na Rinieriego rzucać i tak się zachowywać, jak gdyby mu chciała dać do poznania, że i on obojętny jej nie jest. Postępując tak, wiedziała, że im więcej serc do niej lgnąć pocznie, tym większą cenę piękność jej zyska, zwłaszcza w oczach tego, komu swoją miłość oddała.

Tymczasem młody uczoney odrzucił precz od siebie wszystkie filozoficzne dociekania i całą duszą ku wdowie się obrócił. Mniemając, że się jej podoba, pod różnymi pozorami często koło jej domu przechadzać się począł. Dama, której to dla wiadomych już przyczyn wielce pochlebiało, udawała, że z przyjemnością go widuje; Rinieri, jeszcze silniej zachęcony, począł szukać środka porozumienia się z nią i wyrażenia jej uczuć swoich. Dlatego też zapoznał się ze służką damy, powiadomił ją o swoich afektach i prosił ją, aby starała się łaski wdowy dla niego pozyskać. Służka przyrzekła mu wszystko, czego tylko chciał, i pobiegła natychmiast z wieścią do swojej pani, która wysłuchawszy jej, wśród wybuchów gwałtownego śmiechu odrzekła w te słowa:

– Ach, czy widzisz, gdzie temu uczeńcowi przyszło postradać mądrość, którą przywiózł z Paryża. Trzeba, aby znalazł to, czego szuka. Gdy go jeszcze raz obaczysz, odpowiedz mu, że go mocniej miłuję niżli on mnie, aliści że baczę pilnie na dobrą sławę i że nie chcę stracić prawa spoglądania na inne białogłowy z podniesionym czołem. Jeżeli jest w samej rzeczy takim mędrcom, za jakiego go wszyscy uważają, to na skutek takiego responsu jeszcze mocniejszym do mnie afektem zapłonąć powinien.

Nieszczęsna, po trzykroć nieszczęsna, nie wiedziała, co to znaczy z uczonymi igrzać!

Służka, spotkawszy młodego filozofa, powtórzyła mu wszystko, co jej pani zaleciła. Uczony z uniesieniem słowa te przyjął i nie mieszkając obrócił się do wdowy z bardziej gorącymi prośbami, począł także listy do niej pisywać i miękczyć jej serce ciągłymi podarunkami. Wszystko to wielce wdzięczny oddźwięk znajdowało, tylko że responsy były niewiele znaczące i że sprawa przez czas długi z miejsca nie postępowała. Wreszcie dama uznała za stosowne odkryć zaloty uczonego kochankowi swemu, który już nieraz podejrzenia żywił i źródło objawiał. Dla przekonania go, że niesłusznie ją posądzał, posłała służkę swoją do uczonego, wciąż na nią nalegającego, i kazała mu powiedzieć, że wprawdzie dotąd nie mogła znaleźć sposobności do sprawienia mu ukontentowania, ale że ma nadzieję, iż w ciągu nadchodzących świąt Bożego Narodzenia będzie mogła bez nijakiego niebezpieczeństwa schadzki mu wyznaczyć. Dlatego też prosi go, aby wieczorem po wigilijnej wieczerzy czekał na nią, jeśli zechce, na dziedzińcu, a wówczas ona, gdy tylko będzie mogła, do niego pośpieszy. Uczony, poczytując się za najszcześniejszego z ludzi, przybył w oznaczonym czasie do domu wdowy. Służka, czekająca na jego przybycie, wpuściła go na podwórze i zamknęła za nim bramę, zalecając, aby się nie niecierpliwił i czekał na damę. Tymczasem dama zaprosiła tegoż wieczora do siebie kochanka swojego i zjadłszy z nim wieczerzę, opowiedziała mu wesoło o tym, co tej nocy uczynić zamyśla.

– Teraz się dopiero przekonasz – dodała przy końcu – jak wielką żywią miłość do tego czelaka, o którego tak głupio zazdrosny byłś.

Miłośnik wysłuchał tych słów z wielkim ukontentowaniem i zapragnął ujrzeć w czynach to, co mu dama w słowach przyobiecała. Śnieg, obficie poprzedniego dnia padający, wszystko pokrył dokoła. Rinieri, czas niejaki na dziedzińcu spędziwszy, począł drzeć całym ciałem, inaczej jednak, niżby tego pragnął. Ale mając nadzieję rozgrzać się, znosił to cierpliwie. Tymczasem piękna dama rzekła do swego kochanka:

– Chodźmy teraz do mojej komnaty. Z małego okienka będziemy mogli widzieć wybornie, co robi przedmiot twojej zazdrości, a zarazem usłyszymy, jaki respons da mojej służce, którą właśnie do niego wysłałam.

Stanęli tedy przy okienku, skąd wszystko można było widzieć, nie będąc widzianym, i usłyszeli, jak płuzka uczonego pociesza.

– Rinieri! Pani moja zmartwiona jest nad wyraz, jak na złość bowiem dzisiaj wieczór właśnie przybył jeden z jej braci; uparł się jeść z nią wieczerzę, rozmawiał długo i dotąd jeszcze siedzi. Mniemam, że wkrótce już się wyniesie. Dla tej przyczyny pani moja do was zejść jeszcze nie mogła, wnet ją jednak obaczycie. Prosi was ona tylko, abyście się na nią nie gniewali za to przykre i długie oczekiwanie.

Rinieri, biorąc te słowa za dobrą monetę, odrzekł:

– Powiedz pani mojej, aby się o mnie nie troskała. Będę czekał cierpliwie. Ale skoro tylko będzie mogła przyjść do mnie, niechaj nie zwleka.

Służka wróciła do domu i spać legła.

Wdowa rzekła wówczas do swego miłośnika:

– Jakże? Czy myślisz, że gdybym go kochała, jak ci się uroiło, pozwoliłabym mu szczekać tam zębami?

To rzekłszy pociągnęła ugłaskanego już miłośnika do sypialnej komnaty. Legli na łożo i długi kęs czasu w uniesieniach miłosnych przepędzili drwiąc i śmiejąc się z nieboraka uczonego.

Rinieri tymczasem biegał po podwórzu tam i z powrotem, czyniąc wywijańce dla rozgrzania się. Szukał po próznicy jakiegoś miejsca, osłoniętego przed wichurą, kłął długi pobyt brata i brał każdy posłyszany szmer za skrzyp drzwi od mieszkania wdowy. Wszystkie jednak jego nadzieje na niczym spełzły. Około północy dama, przerywając igraszki miłosne, rzekła do swego kochanka:

– Jak myślisz, najmilszy, co się tam dzieje z naszym uczoneym? Co większym ci się zdaje: rozum jego czy miłość moja ku niemu? Zali i ten chłód, który z łaski mojej znosić musi, zazdrości z głowy twojej nie wybije?

– Serce moje – odrzekł kochanek – teraz widzę dowodnie, że tak jak ty moim największym skarbem, szczęściem i nadzieją jesteś, tak i ja jestem tym samym dla ciebie.

– Jeśli tak – odparła dama – to pocałuj mnie tysiąc razy na dowód, że mówisz prawdę.

Kochanek przytulił ją mocno do siebie i nie tysiącem, ale stem tysięcy pocałunków ją obyspał. Przepędzili jeszcze czas pewien na podobnych rozmowach i pieszczotach, po czym dama rzekła w te słowa:

– Wstańmy teraz na chwilę i obaczmy, czy ogień, o którym mój wielbiciel co dzień tak wiele pisał, nie przygasł w nim nieco.

Podnieśli się tedy oboje i wyrzawszy przez okienko, ujrzeni na podwórzu nieszczęsnego filozofa, który pod wtór szczekających zębów, ucieszny taniec zawodził. Tak osobliwych podskoków nigdy jeszcze w życiu nie widzieli.

– A co? – rzekła wdowa do swego kochanka. – Nieprawdaż, że znakomicie uczyć tańczyć moich wielbicieli? I to bez muzyki!

– Widzę, mój skarbie – odrzekł śmiejąc się kochanek.

– Zejdźmy teraz w dół do drzwi – ciągnęła dalej dama. – Ty będziesz stał w milczeniu, a ja przemówię do niego. Zobaczymy, jakiego mi responsu udzieli. Kto wie, może jego słowa ubawią nas jeszcze lepiej niżli jego widok.

To rzekłszy wyszła po cichu z sypialnej komnaty, pociągnęła za sobą kochanka i przystąpiła do zamkniętych drzwi. Nie otworzyła ich jednak, tylko przez małą szparę przytłumionym głosem na uczonego zawołała. Usłyszawszy ten głos, zmarznięty biedak gorąco podziękował Bogu za bliskie, jak mu się zdało, wyzwolenie. Pobiegł ku miejscu, skąd go głos dochodził, i zawołał:

– Oto jestem, madonno! Na miłość Boską, otwórzcie, bowiem umieram z zimna.

– Wystawiam sobie – odrzekła dama – jak już zeszytnieć musiałeś. Mróz jest w samej rzeczy okropny, a śnieg sypie nieustannie. Podobno jednak w Paryżu częściej pada niż u nas. Nie mogę jeszcze ci otworzyć, bo mój przeklęty brat, którego lichy wieczorem przyniosło, nie odszedł do tej pory; za chwilę jednak pójść już sobie powinien, a wtedy ja piorunem zbiegnę do ciebie. Z wielką trudnością na tę chwilę wymknąć mi się udało; chciałam cię nieco pocieszyć i trochę cierpliwości ci dodać.

– O madonno – odparł filozof – błagam was na Boga, otwórzcie i pozwólcie mi w jakimś zakątku pod dachem czekać. Śnieżycy bowiem coraz się zwiększa, tak iż niepodobieństwem jest dłużej tutaj pozostawać. W innym miejscu czekał na was będę, dopóki sami zechcecie.

– Niestety, mój miły – odrzekła dama – nie mogę tego uczynić, drzwi te bowiem przy otwieraniu tak mocno skrzypią, że mój brat usłyszałby niewątpliwie, gdybym cię teraz wpuścić chciała. Ale pójdę i postaram się natrętnego gościa jak najprędzej wyprawić. Bądź dobrej myśli, zaraz powracam i otworzę ci.

– Śpieszcie się, pani – zawołał błagalnie uczony – i każcie dobry ogień rozniecić, abym się mógł rozgrzać przy nim, skostniałem bowiem tak na całym ciele, że sam siebie nie czuję.

– Jakże to? – spytała dama – przecie często mi pisałeś, że dzięki miłości swej do mnie w ciągłych płomieniach żyjesz. Mniemam tedy, że ze mnie żartujesz. Aliści muszę się śpieszyć. Poczekaj jeszcze przez chwilę.

Kochanek, który ku wielkiej ucieście swojej całej tej rozmowie się przysłuchiwał, powrócił do łóżka po społu z piękną wdową. Niewiele spali tej nocy, spędzając czas na drwinach i wyszydzeniu uczonego. Rinieri tymczasem jak bocian klekotał zębami. Poznawszy, że go wstrychnięto na dudka, wstrząsnął kilkakrotnie bramą, próbując, czy mu się jej otworzyć nie da. Nie znalazłszy jednak żadnego wyjścia, rzucać się począł, jak w klatce, przeklinając dokuczliwy chłód, niegodziwość damy, długość nocy i własną głupotę. Dzięki głębokiemu upokorzeniu i urazie, długa, płomienna miłość, jaką żywił dla damy, zmieniła się w straszną, gwałtowną nienawiść. Tysiąc zamysłów najwyszukańszej zemsty przemknęło mu przez głowę. O zemście tej marzyć począł równie gorąco, jak do niedawna marzył o owładnięciu wdową.

Wreszcie długa i męcząca noc poczęła zbliżać się ku schyłkowi, świtowi miejsca ustępując. Służka, wyuczona przez damę, zbiegła, otwarła drzwi i czyniąc pozór, że gorąco uczonego współczuje, rzekła:

– Bodajby przepadł ten człek niezbyty, który nam wczoraj tak w drogę wszedł. Całą noc nas męczył, ciebie zaś o mały włos do śmierci z zimna nie przywiódł. Nie zważaj jednak na to wszystko i bądź pewien, że to, co się dzisiejszej nocy nie stało, kiedy indziej do skutku przywiedzione zostanie. Co się zaś mojej pani tyczy, to wyznam ci tylko tyle, że nigdy jej bardziej strapioną nie widziałam.

Uczony, do głębi duszy wzburzony, wiedząc, że groźby są tylko bronią dla tego, komu grożą, zamilczał, zamknął w głębi piersi wszystko, co się z niej gwałtem wydobyć chciało, i nie zdradzając gniewu odrzekł łagodnym głosem:

– W samej rzeczy, spędziłem dzisiaj najgorszą noc w życiu moim, najgłębiej jednak przekonany jestem, że pani twoja nic nie zawiniła. Zbiegła przecie nawet, litością zdjęta, na dół,

aby się usprawiedliwić i pocieszyć mnie; zresztą jak powiadasz, to, co się dzisiaj nie dokonało, kiedy indziej dokonać się może, poleć mnie więc jej względem i zostań z Bogiem.

Rzekłszy te słowa Rinieri, przemarznięty do kości, powlókł się z wysiłkiem do domu. Wszedł do komnaty rzucił się na łożo i zasnął, aliści zbudziwszy się poczuł, że jego ręce i nogi są jakby paralizem tknięte. Posłał tedy co żywo po doktora, opowiedział mu, że o mały włos nie zmarł, i o ratunek poprosił. Doktorzy nie litowali starań i wysiłków, aby go do zdrowia przywrócić i skurczone jego nerwy na nowo rozciągnąć; gdyby jednak nie młodość i nie nastanie cieplej pory, zapewne nigdy by nie ozdrowiał. Wstawszy skrzepiony z łoża boleści, ukrył swoją nienawiść głęboko i począł udawać, że po dawnemu jest w pięknej wdowie rozmiłowany.

Po pewnym czasie los uśmiechnął się młodemu uczonemu, nasuwając mu do zemsty sposobność. Młodzieniec, którego wdowa miłowała, nie bacząc na jej afekt ku niemu zakochał się w innej białogłowie, przestał zważać na dawną kochankę swoją i coraz bardziej ją zaniebdywał. Piękna wdowa usychała we łzach i smutku. Wówczas służka jej, pełna najgłębszego współczucia dla swojej pani, nie wiedząc, jakby jej troskę rozegnać, ujrawszy uczonego, przechadzającego się jak zwykle, wpadła na nedorzeczną myśl, że miłość niewiernego czarodziejskimi środkami powrócić by można było i że uczonego nasz w podobnych sprawach zawołanym mistrzem być musi. Z zamysłem swym zwierzyła się damie, która również zbytnią mądrością nie celowała. W każdym razie nie miała tyle rozsądku, aby rozważyć, że gdyby Rinieri znał się na czarnoksięstwie, byłby go niezawodnie na swoją korzyść użył. Dlatego też z radością przyjęła radę służki i poleciła jej udać się natychmiast do naszego filozofa z zapytaniem, zali zechce jej dopomóc, a także przyobiecać mu, że w nagrodę niechybnie powolną będzie jego pragnieniom.

Służka zęcnie z poselstwa się wywiązała. Rinieri, wysłuchawszy jej, uczuł wielką radość i rzekł sam do siebie: „Bogu Najwyższemu chwała! Przyszedł wreszcie czas, gdy będę mógł sprawiedliwie ukarać tę niegodziwą kobietę, która mi ciężką obrazą za miłość zapłaciła.”

– Powiedz pani swojej – rzekł do służki – aby się tą sprawą zbytnio nie zatrudniała. Gdyby nawet jej kochanek do Indyj wyjechał, potrafię go zmusić do powrotu i błagania jej o przebaczenie. Sposób, którego tu użyć powinna, zwierzę jej w miejscu i w porze, które sama obie-rze. To jej powtórz i pociesz ją w wym imieniu.

Służka zaniósła ten respons swojej pani. Po krótkiej naradzie postanowiły naznaczyć naszemu uczonemu spotkanie w Santa Lucia del Prato. Wdowa, spotkawszy się sam na sam z uczonym, nie pomyślała nawet o tym, jaką mu niegdyś krzywdę wyrządziła, z pełną ufnością zwierzyła mu się z wszystkich spraw swoich zaklinając go, aby jej dopomógł.

– Madonno – odparł uczonego – to prawda, że wśród różnych umiejętności uczyłem się w Paryżu także i nekromancji⁶². Owładnałem nią, o ile to możliwe. Ponieważ jednak umiejętność ta jest rzeczą panu Bogu przeciwną, przysiągłem sobie tedy, że nigdy się do niej nie ucieknę, ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Aliści miłość, którą dla was żywię, taką władzę ma nade mną, że niczego wam odmówić nie jestem w stanie. Dlatego też uczynię wszystko, czego żądacie, choćbym w szpony diabelskie miał za to popaść. Muszę jednak was uprzedzić, że nekromancja jest rzeczą niełatwą wielce; nawet pojęcia mieć nie możecie, z jakimi okropnościami ona się łączy, zwłaszcza jeśli ktoś przy jej pomocy utraconą miłość chce sobie powrócić. Osoba, o którą chodzi, winna sama wypowiedzieć zaklęcia, działając nocą bez świadka w miejscu odosobnionym. Wszystko to wielkiej przytomności umysłu wymaga. Dla tych więc racyj wątpię, abyście wy, pani, podobnego przedsięwzięcia podjąć się chcieli.

Dama, bardziej zakochana niż rozumna, odparła na to:

– Miłość dręczy mnie tak okrutnie, że nie masz rzeczy, na którą bym się nie odważyła, byleby tylko odzyskać tego, co mnie bez powodu opuścił; nie obawiaj się tedy o mnie i powiedz, w czym mam ową siłę umysłu ukazać.

Uczony nasz, przejęty myślą pomsty, rzekł:

– Madonno, uleję dla was figurkę z ołowiu, mającą przedstawiać tego, kogo odzyskać chcecie. Jeśli pragniecie, aby czary skutek swój wzięły, musicie w czasie nowiu, będąc obnażona całkiem, siedem razy bez świadka przed północą w bieżącej wodzie się zanurzyć. Potem, wciąż jeszcze naga, wejdziecie na drzewo albo na dach jakiegoś opuszczonego domu i nie puszczając z rąk posążka z obliczem, ku północy obróconym, siedem razy powtórzycie pewne wyrazy, które wam dla pamięci zapiszę. Gdy je wymówicie, ukażą się wam dwie wielce urodzive dziewice i zapytają was uprzejmie, czego pragniecie. Dziewicom tym musicie szczegółowie pragnienie swe przedstawić, miejcie się jednak na pieczy, aby przypadkiem jednego miast drugiego nie wypowiedzieć. Dzieweczki, wysłuchawszy słów waszych, odejdą, a wówczas i wy będziecie mogli udać się na miejsce, gdzie suknie złożone zostały, ubrać się i do domu powrócić. Wierzę, nie upłynie od tej chwili nawet połowa następnej nocy, a już kochanek wasz powróci z płaczem, błagając o łaskę i litość. Wiedźcie przy tym, że odtąd żadna kobieta na świecie od was go oderwać nie zdoła.

Dama, wysłuchawszy tej przemowy, uwierzyła niezachwianie w słowa uczonego.

Zdało się jej, że kochanka swego już w objęciach trzyma. Dlatego też z radością zawołała:

– Bądź pewien, że wypełnię najściślej wszystko, co mi rozkażesz. Nadspodziewanie dobrze się składa, gdyż posiadam niewielką majątność w dolinie Arno, położoną prawie nad samym brzegiem rzeki. Ponieważ teraz mamy lipiec, z prawdziwą przyjemnością kąpieli żążyję. Przypominam sobie także, że niedaleko od brzegu wznosi się mała wieżyczka, opuszczona całkiem. Czasem tylko wchodzi na nią po drabinie pasterze, aby rozejrzeć się po samotnej okolicy za zbłąkanymi z trzody bydłętami. Miejsce to jest całkowicie na uboczu. Tam się wy spinam i ani wątpię, że tam najlepiej wszystko, co mi przykażesz, wypełnię.

Uczony nasz, który znał od dawna posiadłość damy i wieżyczkę, niezmiernie był ucieszony, że wszystko idzie po jego myśli.

– Madonno – rzekł – nigdy nie byłem w okolicy, którąście wymienili, nie znam tedy ani posiadłości waszej, ani owej wieży. Jeśli jednak rzecz się ma w istocie tak, jak mówicie, lepszego miejsca szukać nam nie trza. Gdy czas stosowny przyjdzie, przyślę wam ów posążek wraz z formułą zaklęcia. Nim jednak odejdę, pozwólcie, abym wam raz jeszcze daną obietnicę przypomniał. Pozyskawszy cel pragnień swoich i przekonawszy się, że wam prawdziwą przysługę oddałem, wspomnijcie o mnie i o przyrzeczonej mi nagrodzie.

Dama potwierdziła swoje przyrzeczenie, po czym pożegnała go i odeszła.

Uczony, radując się tak pomyślnym biegiem sprawy, po powrocie do domu zajął się natychmiast ulaniem czarodziejskiego posążka, który pokrył dziwaczными znakami i napisał zaklęcia, jakie mu na myśl przyszły. W wybranym dniu figurkę wraz z zaklęciem odesłał wdowie, dodając, aby następnej nocy bez zwłoki do dzieła przystąpiła. Po czym wraz ze służącym swoim udał się tajemnie do domu jednego z swoich przyjaciół. Dom ten znajdował się w pobliżu wieżyczki. Prawie jednocześnie wyruszyła w drogę do swej posiadłości nasza wdowa w towarzystwie służki. Gdy nastąpiła noc, Helena udała, że ją sen morzy, i służkę swoją oddaliła, po czym wykradła się cichaczem z domu i podążyła na brzeg rzeki Arno, kierując się ku wieżyczce. Przybywszy na miejsce, rozejrzała się dobrze na wszystkie strony, chcąc się upewnić, czy jej nikt nie widzi. Rozebrawszy się i ukrywając swe suknie pod krzakiem, siedmiokrotnie zanurzyła się w wodę z posążkiem w ręku, a następnie, nie wypuszczając z rąk posążka, skierowała się do wieżyczki. Rinieri po zapadnięciu nocy znalazł się również na brzegu Arno. Ukrywając się wśród krzewów, w pobliżu wieży rosnących, widział wszystko, co wdowa czyniła. Helena przeszła tuż obok niego obnażona całkiem. Uczony obaczył, że białość jej ciała nocne zwycięża ciemności i że kształty jej urodzive są nad wyraz. Pomyślawszy zaś, co to piękne ciało za chwilę przecierpieć będzie musiało, uczuł litość niejaka. Jednocześnie i żądze nękać go poczęły, dzięki czemu ów, co dotąd spokojnie leżał, w górę łeb podniósł. Uczony chciał już wyskoczyć z kryjówki, pochwycić piękną wdowę i nasycić się jej wdzię-

kami. Gdy jednak wspomniał, kim jest i jakiej obelgi doświadczył, zdusił litość i cielesne chęci, zapłonął na nowo oburzeniem, za czym pozostał wierny swemu zamiarowi i przepuścił spokojnie wdowę mimo siebie.

Helena weszła na wieżę i obróciwszy się twarzą ku północy, poczęła zaklęcia odmawiać. Uczony tymczasem podkraść się pod wieżę, zabrał cichaczem drabinę i jął czekać spokojnie na to, co dalej nastąpić miało. Wdowa, powtórzywszy siedem razy tajemnicze zaklęcie, jęła oczekiwać na pojawienie się dwóch zapowiedzianych dziewic; czekała jednak tak długo, aż zziębła okrutnie od nocnego chłodu i zbliżający się świt ujrzała. Zmartwiona wielce tym niepomysłnym skutkiem czarów i niejasnym podejrzeniem tknięta, rzekła półgłosem do siebie: „Kto wie, czy Rinieri nie chciał mi zapłacić za ową noc nieprzyjemną, którą przepędził kiedyś na dziedzińcu mego domu. Jeśli jednak miał ten zamysł, to zły rodzaj zemsty sobie wybrał, bowiem nie tylko ta noc o wiele krótszą była niżli tamta zimowa, ale nadto i chłód dzisiejszy z ówczesnym nawet się porównać nie da.”

Helena, nie chcąc, aby dzień ją zastał na wieży, postanowiła zejść na ziemię, aliści ujrzała, że drabina znikła. Wówczas nogi odmówiły jej posłuszeństwa, tak iż srodze zrozpaczona na taras wieży upadła. Gdy po pewnym czasie nieco do siebie przyszła, poczęła gorzko płakać i wyrzucać sobie, że tak głupio zaufała człowiekowi, któremu ciężką zniewagę wyrządziła i który jej zawziętym wrogiem stać się musiał.

Długi kęs czasu na tych jękach i wyrzekaniach strawiła, po czym znów głowić się poczęła, w jaki sposób z wieży na ziemię się spuścić, aliści nic nie znalazłszy, nowymi jękami wybuchnęła:

„O ja nieszczęsna – rzekła do siebie – cóż powiedzą bracia moi, krewniacy, sąsiedzi i cała Florencja, gdy mnie tu ktoś naga znajdzie! Dobra sława, którą dotychczas posiadałam, pójdzie na marne. Gdybym się nawet wykretami usprawiedliwić umiała, przeklęty filozof, który zna dobrze wszystkie moje sprawy, nie dozwoli mi uczynić tego. O ja nieszczęsna! W tej chwili straciłam bezpowrotnie ukochanego młodzieńca i cześć moją!”

Myśl ta takim bezmiernym bólem ją przejęła, że już była gotowa rzucić się z wieży na ziemię.

Tymczasem słońce wzniosło się ku górze. Helena zbliżyła się do muru wieży, patrząc, czy gdzie w pobliżu nie kręci się z bydłem jakiś pasterz, którego by mogła do służki swej posłać. Miast pasterza spostrzegła filozofa, który właśnie z krótkiej drzemki pod krzewem się ocknął.

– Dzień dobry, madonno – zawołał – zali dziewice jeszcze nie przybyły?

Wdowa, usłyszawszy te słowa, wybuchnęła od nowa głośnym płaczem i zaklinać go jęła, aby zbliżył się ku wieży w celu porozumienia się z nią. Uczony nie dał się długo prosić. Dama położyła się jak długa na dachu wieży i wychyliwszy głowę przez otwór rynny, zawołała ze łzami:

– Wiem, Rinieri, zem cię o bardzo złą noc przyprawiała, aliści zemściłeś się za to dostatecznie, chociaż bowiem lipiec teraz mamy, tej nocy, stojąc naga na wieży, o mało nie skrzepłam z zimna; przy tym krzywdę, którą ci wyrządziłam, i głupotę, która mnie pchnęła do zawierzenia słowom twoim, tak gorzko opłakałam, że dziw, iż mi oczy po społu ze łzami nie wypłynęły. Zaklinam cię tedy, nie na miłość dla mnie, bowiem niepodobną do wiary jest rzeczą, abyś mnie kochał, ale na cześć twoją, jako szlachcica. Niechaj to, coś dotychczas uczynił, będzie dostateczną pomstą za ujmę ci wyrządzoną. Podaj mi suknie i pozwól, abym się stąd oddalić mogła. Nie obdzieraj mnie z tego, czego potem, choćbyś nawet i chciał, oddać mi nie będziesz w stanie, nie obdzieraj mnie z dobrej sławy mojej.

Prawda, że niegdyś pozbawiłam cię rozkoszy, cierpienie ci przyczyniając, aliści obiecuję ci tę jedną noc tysiącem innych wynagrodzić. Poprzestań więc na tym, coś dotąd uczynił, umiej się mścić jako mąż godny. Niechaj ci starczy to, że mogłeś wziąć pomstę i dowodnie mi to okazałeś. Nie nadużywaj przewagi swej nad biedną kobietą, nie ma bowiem w tym sławy dla

orła, że gołębicę pokonał. Jeszcze raz zaklinam się na miłość Boską i w imię czci twojej cię błagam, abys miał litość nade mną.

Filozof, który w hardej duszy swej rozważał krzywdę sobie wyrządzoną, widząc łzy i słyszając błagania wdowy, odczuwał w głębi serca radość i boleść na przemian. Radość ta płynęła z osiągnięcia upragnionej nade wszystko pomsty, boleść zrodziła się z uczucia litości nad nieszczęśliwą. Ludzkość nie zdołała jednak przemóc zawziętości. Dlatego też rzekł w te słowa:

– Madonno Heleno! Gdyby prośby moje (których, wierę, ani tak łzami zwilżyć, ani tak ocukrować jak ty nie umiałem), gdyby prośby moje owej nocy, kiedy na pokrytym śniegiem dziedzińcu z zimna prawie umierałem, tyle mi się były przydały, byś mnie bodaj na chwileczkę pod dach wpuściła, zaiste dzisiaj daleko łatwiej byłoby mi do błagań twoich się przychylić. Zresztą, jeśli ci tak bardzo o dobrą sławę chodzi, bardziej niż w przeszłości, i jeśli tak okropną dla ciebie jest rzeczą stać tam nago na górze, to obróć prośby swoje ku temu, w którego objęciach nie było ci przykro leżeć nago owej pamiętnej nocy, gdym ja zębami szczekał i jak zwierzę miotał się po dziedzińcu śniegiem zasłanym. Jego proś o pomoc, jemu każ podać sobie suknie i drabinę do wieży przystawić, w nim współczucie obudzić się postaraj, dla niego bowiem tysiąc razy cześć swą narażałaś, o którą dbasz tak bardzo. Dlaczegoż jego na ratunek nie wołasz? Któż, jak nie on, pomoc ci nieść powinien? Wszak miłośnicą jego jesteś; komuż zatem pomagać winien, kogo strzec, jeśli nie ciebie? Wołaj go tedy, głupia białogłowo, i przekonaj się, zali miłość, którą dla niego żywisz, a także mądrość jego i twoja własna razem zdołają cię od mojej głupoty ocalić.

Przypomnij sobie dobrze, jak się go wśród karesów pytałaś, co jest większe: moja głupota czy też miłość, którą dla niego żywisz? Nie okazuj mi teraz wielkiej swojej szczodroblewości i nie częstuj mnie hojnie tym, czego już nie pragnę, a czego odmówić mi nie byłabyś w stanie, gdybym tego pragnął!

Zachowaj te rozkoszne noce na później dla twego miłośnika, jeśli oczywista z życiem stąd ujdiesz. Dla siebie i dla niego je przeznacz; ja poprzestanę na tej jednej, którą otrzymałem. Wystarczy raz być wyszydzonym. Jak widzę, dawna chytryść jeszcze ze słów twoich przebijają; silisz się pochwałami wspaniałomyślność moją obudzić, zwiesz mnie człkiem szlachetnym i godnym i spodziewasz się, że dzięki wielkoduszności złość twoją w niepamięć puszczyć. Aliści pochlebstwa twoje nie zdołają już teraz, tak jak niegdyś twe obietnice, zaćmić oczu mojej duszy. Poznałem wreszcie sam siebie. Mój długi pobyt w Paryżu nie nauczył mnie tyle o sobie samym, ile ty w ciągu jednej nocy. Gdybyśmy nawet założyli, że wspaniałomyślny jestem, to ty przecie nie należysz do ludzi, wobec których tę cnotę objawiać należy. Kresem pokuty dla takich dzikich potworów jak ty, a również i kresem pomsty nad nimi śmierć tylko sama być winna. Jeśli ja orłem nie jestem, to i z ciebie bynajmniej nie gołębicą, ale żmija jadowita, którą jako mego zaklętego wroga, z zaciekłością i srogością, równą twojej, dręczyć postanowiłem. To, co z tobą czynię, nie zemstą, ale karą właściwie nazywać się winno, zemsta bowiem zwykle przewyższa obrazę, mój zaś odwet – cokolwiek bym uczynił – nie zdoła nigdy twojej winie dorównać. Gdybym się chciał pomścić, biorąc pod uwagę obecny stan duszy mojej, który tobie zawdzięczam, to życie twoje, co mówię, życie stu tobie podobnych białogłów nie wystarczyłoby mi po temu, bowiem zabiłbym nic więcej, jeno podłą, złą i przewrotną białogłowe. Czymże, do czarta, jesteś lepszą (gdyby ci odjąć urok pięknego oblicza, które za lat kilka czas pomarszczy i do cna popsuje), czymże jesteś lepszą od każdej nędznej dziewczki? A jednak taka nędzna istota jak ty, o mały włos nie przyprawiła o śmierć szlachetnego człowieka, jak mnie nazwałaś przed chwilą, którego życie w ciągu jednego dnia na znacznie więcej przydać się może niżli stu tysięcy tobie podobnych przez cały czas istnienia świata. Chcę ci tedy pokazać, dzięki tej karze, którą znosisz, co to znaczy drwić, abyś jeżeli wyjdiesz stąd żywa, w przyszłości w podobny błąd nie popadła. Jeśli zaś masz już tak nieodpartą i gwałtowną żądzę wydostania się stąd, to dlaczego nie skaczesz na dół? Mniemać

by należało, że przy pomocy bożej kark skrócić powinnaś i tym sposobem uwolnić się od mężczyźni, które jak powiadasz, srodze cię dręczą. Uczyniłaś mnie wówczas najszczęśliwszym na świecie człowiekiem. Więcej ci już nic do powiedzenia nie mam. Kończę tedy i dodam tylko: moim staraniem było, abyś się na tę wieżę dostała, teraz twoją jest już rzeczą wynaleźć środek zejścia z niej, jak swego czasu wynalazłaś środek wydrwienia mnie.

W czasie tej przemowy filozofa nieszczęśliwa wdowa bez przerwy łzami się zalewała. Tymczasem słońce podnosiło się coraz wyżej, Helena, widząc to, rzekła w te słowa:

– Okrutny człeku! Jeżeli owa przeklęta noc tak srogą dla ciebie była, dzięki czemu wina moja tak wielką ci się teraz wydaje, że ani młodzieńcza piękność moja, ani łzy rzewne i błagania pokorne zmiękczyć cię nie są w stanie, to daj się przynajmniej nieco wzruszyć i pozbadź się swej okrutnej surowości przez wzgląd, iżem ci zaufała od nowa i wszystkie tajemnice moje ci odkryła, dając ci tak upragnioną sposobność przekonania mnie o winie mojej. Gdybym ci się bowiem tak ufnie w ręce nie oddała, nigdy byś był nie znalazł środka pomszczenia się w tak skuteczny sposób, czego tak gorąco pożądałeś. Dlatego też przestań być gniewny na mnie i chciej mi na ten raz przebaczyć.

Jeżeli przebaczysz mi i pozwolisz mi stąd odejść, będę gotowa wyrzec się całkiem wiarołomnego młodzieńca, ciebie zaś za jedyne go pana mego i kochanka uznam, mimo że piękność moją lekce sobie ważysz, masz za nietrwałą i nie szacujesz jej wysoko. Jednakże, jakkolwiek by ta piękność, zarówno moja, jak i innych białogłów była, tyle wiem z pewnością, że będzie ona stanowiła przedmiot pożądania i rozkosznych uniesień wielu młodych ludzi, do których i ty się zaliczasz. Nie wątpię, że mnie wysłuchasz, bo chociaż okrutnie ze mną dotąd się obchodziłeś, przecie uwierzyć nie mogę, abyś w samej rzeczy pragnął ujrzeć mnie rzucającą się z tej wieży i ginącą haniebną śmiercią na oczach twoich. Którym to oczom, jeśli nie kłamałeś wówczas, jak dziś kłamiesz, tak bardzo się podobałam. Na Boga, miej litość nade mną! Słońce mocno przypiekać zaczyna i tak jak w nocy chłód mnie dręczył, tak teraz znowu żar mnie trapi okrutnie.

Filozof, znajdujący osobliwą uciechę w tej wymianie słów, odparł:

– To prawda, madonno, że ufność twoja wydała cię w ręce moje. Płynęła ona jednak nie z miłości do mnie, jeno z pragnienia odzyskania tego, kogoś utraciła, na tym większą tedy pomstę zasługujesz. Jeśli zaś przekonana jesteś, że tylko tą drogą mogłem dojść do wywarcia zemsty nad tobą, to ci rzeknę, że głupio mniemasz. Tysiąc innych środków miałem w pogotowiu, tysiącem sieci byłbym cię omotał udając, że cię kocham, tak iż w ten czy w inny sposób w moc moją byś popadła. Każdy z owych środków pomsty pociągnąłby za sobą jeszcze większy twój srom i karę niżli ten, którego obecnie użyłem. Jeśli go wybrałem, to jedynie dlatego, aby się wcześniej pomstą nasycić. Gdyby mnie nawet wszystkie inne plany odwetu zawiodły, to zawsze jeszcze miałem w ręku pióro, którym ciebie i sprawki twoje mógłbym tak opisać, że czytając te słowa, tysiąc razy przeklinałabyś dzień swoich narodzin. Potęgą pióra jest o wiele groźniejsza, niżli sądzą ci, którzy jej na sobie nie wypróbowali. Ja zaś klęczę się na Boga, który oby mi rozkosz obecnej pomsty w takiej sile do końca zachował, jaką mi dał odczuwać z początku, napisałbym o tobie rzeczy takie, że czytając je, nie tylko przed innymi, ale i przed sobą samą rumieńcem wstydu byś się zalewała i oczy sobie pragnęła wydrzeć, aby siebie samej więcej nie widzieć. Nie wyrzucaj więc morzu, że wezbrało wodami małego strumyka! O miłość twoją i o to, żeby cię posiadać, jak już powiedziałem, nie dbam zgoła. Jeśli możesz, oddawaj się temu, do któregoś dotąd należała, a którego ja teraz za to, że tak z tobą postąpił, miłuję tyle, ile go niegdyś nienawidziłem. Wy, białogłowy, pożądacie miłości młodzieńców i durzycie się w nich dlatego, że mają świeżą cerę, czarniejsze brody, że walczą na turniejach lub też wyskakują w tańcu. Wszystkie te same przymioty posiadali mężczyźni dziś nieco bardziej dojrzały, którzy wiedzą to, czego tamtym dopiero uczyć się należy. Tamtych za lepszych jeźdźców uważacie, bo więcej mil na dzień przebyć są zdolni. Młodzież w samej rzeczy mocniej was przetrząść może, alisci przyznać także trzeba, że ludzie żrali

wiedzą lepiej, gdzie raki zimują. Rzecz wiadoma, że smaczna odrobina o wiele więcej jest warta niż obfitość bez smaku. Ostry kłus strzęsie i umęczy prędko każdego, choćby najmłodszego jeźdźca, gdy tymczasem powolniejszy, choć nieco później, ale za to przyjemniej i wygodniej do miejsca spoczynku doprowadzi.

Wy, nieroztropne białogłowy, nie podejrzewacie nawet, ile zła pod tym marnym powabem powierzchowności się kryje. Młodzieńcy nigdy na jednej nie poprzestaną, pożądamy oni bowiem każdej, którą ujrzą. Każdej uważają się godni. Dlatego też miłość ich stała być nie może. Najlepszym świadectwem tego jesteś ty sama. Wydaje im się, że zasługują na szacunek i miłość swych pań, a większej chluby nie znajdują, jak pysznić się łaskami tych, które posiadli. Ten ich błąd wydał tyle kobiet w ręce mnichów, którzy przynajmniej zachowują milczenie. Jeśli mniemasz, że nikt, krom mnie i służącej twojej, miłostek twoich nie jest świadom, grubo się mylisz. Cała ulica, na której mieszkasz, i wszyscy sąsiedzi tylko o tym mówią. Jak to jednak często się zdarza, rzeczy takie najpóźniej dochodzą do uszu osoby, której dotyczą. A wreszcie okradają was oni, gdy mężowie dojrzaali obdarzają was. Skoroś więc już tak zły wybór uczyniła, ostań przy swoim miłośniku, mnie zasię, wzgardzonego, pozostaw innej, znalazłem bowiem kochankę zacniejszą od ciebie, która lepiej niż ty na wartości mojej poznać się umiała. Jeżeli zaś chcesz zabrać na tamten świat prawdziwsze pojęcie o rzeczach, które mimo wyjaśnień moich ciemne dla ciebie pozostały, a także przekonać się dowodnie o tym, czego moje oczy pragną, to zechciej jak najspieszniej z tej wieży na dół się rzucić. Mniemam, że dusza twoja, w pazurach diabelskich już się znajdująca, będzie mogła upewnić się, że oczy moje widokiem upadku twego wcale się nie przerażą. Obawiam się jednak, że nie zechcesz podobną rozkoszą mnie obdarzyć. Dlatego też radzę ci, abyś gdy słońce dopiekać pocznie, wspomniła na ów mróz, na który mnie naraziłaś, i zmieszała go z obecnym skwarem, wówczas ani chybi słoneczny żar łagodnym ci się wyda.

Niepoczyszona wdowa z tych słów uczonego poznała wreszcie wyraźnie jego okrutny zamysł. Wybuchnęła tedy płaczem od nowa i rzekła:

– Jeżeli już nic litości wzbudzić w tobie nie może, to niechaj cię pobudzi do niej chociaż miłość, którą pałasz do owej damy, o tyle rozumniejszej ode mnie i jak sam mówisz, miłującej cię wielce. W imię jej miłości zaklinam cię, przebacz mi, podaj mi suknie i wypuść mnie z tego miejsca udreki.

Uczony na te słowa parsknął śmiechem, po czym, widząc, że trzecia godzina ranna już od dawna minęła, odrzekł:

– Zaiste, teraz gdyś mnie na tę damę zakłęła, odmówić twojej prośbie nie mogę. Powiedz mi więc, gdzie się twoje suknie znajdują, a pójdę po nie i uwolnię cię stąd.

Wdowa uwierzywszy jego słowom uspokoiła się nieco i opisała mu miejsce, gdzie szaty ukryła. Rinieri oddalił się od wieży, poleciwszy swemu słudze, aby się nie ważył odchodzić na krok, ale został w pobliżu i wszelkimi siłami bronił do tego miejsca przystępu, dopóki on sam nie powróci. Wydawszy to zlecenie, pośpieszył do domu swego przyjaciela, gdzie posiłwszy się do woli, na spoczynek się udał.

Wdowa tymczasem, na krótki czas głupią nadzieją nieco skrzepiona, siedziała na wieży w głębokim smutku, tuląc się do muru od strony, gdzie leżał wąski pas cienia. Tysiąc gorzkich myśli ją dręczyło. To wątpiła, to znów wierzyć poczynała, że uczony z sukniami przybędzie, wreszcie myślami błędząc tu i tam, zmożona bólem, ani oka w nocy nie zmrużywszy, teraz wreszcie zasnęła.

Tymczasem słońce wzniosło się wysoko i poczęło piec niemiłosiernie pionowymi promieniami swymi delikatne i niczym nie osłonięte ciało wdowy, które nie tylko opaliło się, ale i w drobną siatkę pękać poczęło. Śpiąca poczuła ból tak wielki, że ocknęła się. Przy pierwszym poruszeniu zdało jej się, że skóra płatami z niej opada niby pergamin spalony, gdy go pociągnać. Głowa bolała ją tak, jakby za chwilę pęknąć miała. Dach wieży był tak rozpalony, że wdowa, na jednym miejscu ustać nie mogąc, z płaczem to w tę, to w tamtą stronę się rzucała.

Na domiar złego zupełna cisza panowała w powietrzu; tysiąc much i bąków usiadło na ranach ciała i tak je kłuło, że każde ukłucie zdawało się nieszczęśnicy ciosem sztyletu. Helena nieustannie machała rękoma, złorzecząc bez przerwy doli swojej, kochankowi i uczonemu. Krom spiekoty, much i owadów dręczył ją głód, a zwłaszcza pragnienie. Nękana na domiar wszystkiego tysiącem natrętnych myśli, do głębi nimi wstrząśnięta, skoczyła na równe nogi, wypatrując, zali nie obaczy w pobliżu kogoś, kto by mógł jej z pomocą pośpieszyć. Cokolwiek by się stać miało, gotowa była ją zawezwać, aliści złowrogi los i tu jej nie sprzyjał. Okoliczni wieśniacy z powodu skwaru z pól zeszedli; nikt tego dnia w całej okolicy do pracy w tę stronę nie wyszedł. Poprzestano na młóceniu zboża w pobliżu domów. Helena nie słyszała nic krom koników polnych i nie widziała niczego prócz fal Arna, które widokiem swoim powiększały jeszcze palące ją pragnienie. Nieszczęsna wdowa patrzyła na krzewy, cieniste gęstwiny i domy, a widok ten męczył ją okrutnie. Cóż mam rzec jeszcze o cierpieniach biednej białogłowy? Słońce z góry, rozpalony dach pod stopami, ukłucia much i bąków, wszystko to tak ją umęczyło, że ciało jej, które niedawno białością swoją cienie nocy zwyciężało, teraz czerwone całe jak szkarłat, przypieczone i zbroczone krwią, czyniło z niej istotę tak szpetną, jak to tylko wystawić sobie można. Utraciwszy wszelką nadzieję, rady żadnej nie widząc, Helena już tylko na śmierć czekała. Tymczasem minęła ósma godzina i nasz uczony się przebudził. Ocknąwszy się, natychmiast pomyślał o wdowie i podążył ku wieży, aby obaczyć, co się z ofiarą jego stało. Sługę swego, który jeszcze nic nie jadł, wysłał, by się posilił. Wdowa, ujrawszy go, chwając się, pełna lęku zbliżyła się do rynnicy, usiadła przy niej i płacząc rzewnie, rzekła:

– Rinieri, pomściłeś się już nad wszelką miarę. Jeślim ja ciebie nocą na dziedzińcu moim o mało nie zamroziła, to ty w dzień upiekłeś mnie na tej wieży, a raczej spaliłeś, dając mi przy tym odczuć mękę głodu i pragnienia. Zaklinam cię na Boga, wejdz tutaj i śmierć mi zadaj, ponieważ ja, słaba białogłowa, zabić się nie mam odwagi. Tego jednego domagam się od ciebie, tak wielka jest bowiem męczarnia, którą znoszę. Jeśli jednak nie chcesz i tej łaski mi wyświadczyć, to podaj mi szklankę wody, abym nią sobie usta zwilżyła. Gorączki, która mi wewnątrz pali, samymi łzami przecie nie ugaszę.

Uczony po głosie mógł poznać mękę Heleny. Gdy obaczył jeszcze część jej ciała, spalonego słonecznym żarem, gdy posłyszał jej pokorne prośby, poczuł krztę litości od nowa. Oparł się jednak raz jeszcze temu wzruszeniu i rzekł:

– Nie umrzesz z moich rąk, przewrotna i zła kobieto, umieraj natomiast z swych własnych, jeśli masz ochotę po temu, szklanki wody zasię ku ugaszeniu gorączki tak się ode mnie spodziewaj, jak ja niegdyś, zmarznięty, spodziewałem się, że mnie w domu swoim ogrzejesz. Żałuję niezmiernie, że gdy moje odmrożenia przy pomocy ciepła śmierdzącego nawozu wyleczono, to ty od zadanych twej piękności szwanków będziesz się mogła uwolnić pachnącą wodą różaną. Mnie groziła utrata życia lub kalectwo, ty zasię po poparzeniu, na kształt węża, który starą skórę zrzucił, piękniejszą jeszcze będziesz.

– O ja nędzna! – zawołała na to białogłowa – oby Bóg wrogów moich tak pozyskaną pięknnością obdarzył.

A ty, okrutniejszy od dzikiego zwierzęcia, powiedz, jak śmiesz mnie w ten sposób zadęczać? Gdybym wśród mąk najokrutniejszych wytepiła twoją rodzinę lub któregokolwiek innego mężczyzny, zaliż srozsza kara spotkać by mnie mogła? Nie wiem, zaiste, jaką srozsza torturę można by wymyślić dla zdrajcy, który całe miasto na zgubę wydał. Mało tego, żeś mnie udęczył słonecznym żarem, wystawił na pożarcie przez muchy i osy, odmówiłeś mi jeszcze kropli wody, chocia morderców, wyrokiem sądu skazanych i na kaźń prowadzonych, często winem poją, gdy tylko tego zażądataj. Widzę teraz, że nic cię od okrutnego zamysłu twego odwieść nie zdoła, żeś głuchy i ślepy na cierpienia moje, dlatego też bez jęku będąc czekała na śmierć, poruczając duszę moją Bogu. Jego wzywam, do Niego się odwołuję i przed Niego cię pozywam na sąd sprawiedliwy!

To rzekłszy, powlokła się z wielkim wysiłkiem na sam środek tarasu, gdzie słońce najmocniej dopiekało, aby się rychłej śmierci doczekać. Tonąc we łzach nieustannych, skarżąc się rzewnie, znosiła tysiąc śmierci miast jednej i z bólu a pragnienia o mało rozumu nie postradała.

Tymczasem zbliżył się wieczór. Uczony pomyślał, że dość już tej kary będzie, dlatego też kazał słudze swemu wziąć suknie wdowy i płaszczem owinąć, po czym udał się do domu nie-szczęśnicy. Na progu siedzącą zastał jej służkę, bezradną, w wielkiej rozpacz i trwodze po-grążoną.

– Gdzie się znajduje twoja pani? – zapytał.

– Panie – odrzekła służąca – nie wiem, co się z nią stało. Dzisiaj rano spodziewałam się, że znajdę ją w łóżku, do którego wczoraj przy mnie się położyła, aliści nie znalazłam jej tam ani gdzie indziej, mimo troskliwych poszukiwań, dlatego też widzicie mnie w ciężkiej obawie i trosce. Może wy, panie, możecie mi dać o niej wieść jakąś?

– Należało cię zaprowadzić na to miejsce, gdzie ona teraz się znajduje, i ukarać cię podobnie za przewinę twoją – odparł uczony. – I tak jednak, dalipan, nie ujdiesz moich rąk, ukarzę cię bowiem tak przykładowie, że nie przyjdzie ci już nigdy ochota na wydwarzanie się z ludzi, byś mnie nie wspomniała.

To rzekłszy zwrócił się do sługi swego:

– Oddaj jej suknie i wskaż, gdzie ma szukać swojej pani.

Służka, poznawszy suknie, okrutnie się przeraziła, sądziła bowiem, że już swoją panią martwą znajdzie.

Pohamowawszy z trudem okrzyk zgrozy, zaraz po odejściu Binieriego pobiegła za jego towarzyszem ku wieży.

Tymczasem zdarzyło się, że jednemu z wiejskich robotników wdowy zabłąkały się gdzieś dwie świnię. Wybrał się na poszukiwanie ich, a zbliżywszy się do wieży, niebawem po odejściu uczonego, usłyszał nagle jęki nieszczęśliwej białogłowy. Zaciekawiony, wydrapał się, jak mógł najwyżej, i zapytał:

– Kto tam tak płacze?

Wdowa poznała swego robotnika po głosie. Zawołałszy nań po imieniu, rzekła:

– Idź po służącą moją i duchem ją tu przyślij.

– O dla Boga, madonno, co was tutaj przywiodło! – zawołał kmieć. – Służka wasza szukała was przez dzień cały. Komuż jednak mogło przyjść na myśl, że się tu znajdujecie.

Rzekłszy te słowa, podniósł drabinę, naprostował i umocnił szczeble. W tej chwili nadbiegła służka. Pocziwa dziewczyna wstąpiwszy na drabinę dała folgę łzom i załamując ręce zawołała:

– Pani moja, gdzie jesteście?

– Jestem tutaj, siostrze moja – odrzekła dama, najgłośniej jak zdołała. – Nie czas teraz na łzy. Podaj mi co prędzej moje suknie.

Dziewczyna, uspokojona nieco jej głosem, z pomocą robotnika, który ukończył już niemal naprawę drabiny, wbiegła na dach. Ujrzawszy jednak swoją panią, nie do boskiego stworzenia, ale do na pół zwęglonego pnia podobną, oszpeconą, pokłutą i nago na ziemi leżącą, rwać sobie włosy poczęła i wylewać łzy jak nad umarłą. Wdowa wezwała ją, aby się uspokoiła i pomogła jej przede wszystkim się ubrać. Dowiedziawszy się zaś od służki, że krom niej i robotnika oraz tych, co suknie przynieśli, nikt o całej sprawie nie wie, pocieszyła się znacznie i zakleła tylko świadków, aby wieczną i głęboką tajemnicę zachowali.

Po długich rozważaniach robotnik wziął na plecy damę, nie mogącą iść o własnych siłach, i zniósł ją szczęśliwie z wieży. Natomiast nieszczęsna służka, która w tyle pozostała, schodząc widać z niniejszą ostrożnością z drabiny, pośliznęła się na jednym z wyższych szczebli, spadła na ziemię i złamała nogę.

Ból, jaki poczuła, był tak wielki, że jak lew zaryczała. Usłyszawszy ten krzyk, robotnik położył damę na trawie i pobiegł zobaczyć, co się stało. Ujrawszy, że służąca ma nogę złamaną, wziął ją również na plecy i zaniósł do pani, obok której ją złożył. Dama na widok tego nowego nieszczęścia i na myśl, że ostatnia istota, która by jej w danej chwili pomóc mogła, leży obok niej bezsilna, strapiła się niezmiernie i wybuchnęła na nowo tak rzewnymi łzami, że robotnik nie tylko uspokoić jej nie mógł, ale i sam zapłakał.

Ponieważ jednak noc się zbliżała, kmięć na prośbę zrozpaczonej damy pobiegł do domu. Wziąwszy z sobą dwóch braci swoich i żonę i zabrawszy deskę przybył na miejsce wypadku. Dziewczynę ułożono na desce i zaniesiono do chaty wieśniaka. Robotnik pokrzepił damę wodą i łagodnymi słowy, wziął ją na plecy i zaniósł do izby sypialnej. Tam żona jego nakarmiła ją podplomykami i rozebrawszy położyła do łóża. W nocy postarał się wieśniak o odwiezienie damy i służki do Florencji.

Wdowa, której nigdy na zręcznych wybiegach nie zbywało, wymyśliła o swojej przygodzie bajkę, nic wspólnego z istotą sprawy nie mającą. Potrafiła wmówić w braci swoich, siostry i we wszystkich znajomych, że po społu ze służką padła pastwą jakiejś sztuczki diabelskiej. Znaleźli się pod ręką doktorzy, którzy wdowę nie bez trudu i wysiłku z gorączki i innych przypadłości wyleczyli, a także nastawili nogę służki. Odcierpiały jednak obydwie za swoje, a wdowa niejedną skórę, przylegającą do prześcieradeł, postradała. Przypadek ten jednak wymazał z jej pamięci niewiernego kochanka i odjął wszelką ochotę równie do drwin z ludzi jak i do nowych afektów.

Uczony zasię, dowiedziawszy się o wypadku służki, osądził, że dostatecznie jest pomszczony. Dlatego też pozwolił się wdowie wedle zręczności i woli wyklamywać.

Tak oto wyszła głupia białogłowa na niewczesnej chęć wyszydzenia drugich, mniemając, że ludzi uczonych tak łatwo nabrać jak innych. Była nieświadoma, że oni (jeśli już nie wszyscy, to większa ich część) dobrze wiedzą, gdzie raki zimują. Dlatego też, miłe damy, wystrzeżajcie się drwin, a zwłaszcza drwin z ludzi uczonych.

Opowieść ósma



ROGI ZA ROGI

Dwaj Sieneńczycy żyją w wielkiej przyjaźni z sobą. Jeden z nich uwodzi żonę drugiego. Ów, dowiedziawszy się o tym, wchodzi w porozumienie z żoną uwodziciela i zamyka go do skrzyni, po czym na wiecu z jego żoną miłosnym igraszkom się oddaje.

Ciężko i boleśnie było damom słuchać o okrutnym ukaraniu Heleny, ponieważ jednak przyznać musiały, że kara ta w części zasłużoną była, pomiarkowały tedy współczucie swoje. W każdym razie uznały uczonego za okrutnego i nieubłaganego człeka. Gdy Pampinea opowieść swoją skończyła, królowa wezwała Fiammettę, która w te słowa ochoczo mówić zaczęła:

– Urocze przyjaciółki! Ponieważ jak mi się zdawa, zbyt żywo odczuliście surowość obrażonego filozofa, sądzę tedy, iż nie od rzeczy będzie czymś weselszym smutne myśli wasze zająć. Dlatego też mam zamiar opowiedzieć wam krótką opowieść o pewnym młodzieńcu, który ze spokojniejszym umysłem obrazę przyjął i w bardziej umiarkowany sposób pomścił się za nią. Z historii tej poznacie, że każdemu wystarczyć powinno, gdy odda tą samą miarką, którą mu odmierzone, i że w pomście przesadzać nie należy, skoro idzie tylko o odwet za doznaną zniewagę.

«Wiedźcie tedy, że wedle tego, co słyszałam, żyli niegdyś w Sienie dwaj młodzieńcy, bogaci i z dobrych rodów mieszczkańskich idący – jeden nazwiskiem Spinelloccio Tavena, drugi Zeppa di Mino. Byli oni właścicielami sąsiednich domów na ulicy Camollia. Przystawali ciągle tylko z sobą, tak iż wedle wszelkich pozorów wydawać się mogło, że miłują się jak bracia, a nawet więcej jeszcze. Każdy z nich miał wielce urodziwą żonę. Owóż zdarzyło się, że Spinelloccio, przebywający często w domu Zeppy, zaprzyjaźnił się tak z jego żoną, że sypiać u niej począł. Działo się to przez długi czas, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnego razu jednak tak się zdarzyło, że Zeppa był w domu, o czym żona jego nie wiedziała. Zjawił się właśnie Spinelloccio wywołując go. Żona odpowiedziała, że męża nie ma w domu.

Wówczas Spinelloccio wbiegł żywo na schody, wpadł do sieni, a widząc, że urodziwa białogłowa sama się w izbie znajduje, chwycił ją w objęcia i począł ją czule całować, nie bez hojnego odwzajemnienia się z jej strony. Zeppa ujrzawszy to, nie mruknął ani słowa, ale ukrył się, pragnął bowiem dowiedzieć się, jak się ta igraszka skończy. Po chwili ujrzał żonę swoją w objęciach przyjaciela, zmierzających do komnaty, a potem usłyszał szcęk klucza. Wzbu-

rzyło go to do głębi. Zważywszy jednak, że wrzaskiem despektu swego nie zmniejszy, tylko go głośniejszym uczyni, pohamował się i począł rozmyślać, jakby się pomścić bez zwrócenia uwagi obcych ludzi, a ku pełnemu ukontentowaniu swojemu. Zeppa, wszystko dobrze rozważywszy, postanowił nie wychodzić z kryjówki swojej, póki przyjaciel jego w domu gościć będzie. Po jego odejściu wszedł do sypialnej komnaty swej żony i zastał ją poprawiającą sobie włosy, które jej Spinelloccio dla figlów rozpuścił.

– Żono – rzekł stanąwszy na progu – co czynisz?

– Czy nie widzisz, co robię? – odrzekła.

– Oczywiście, że widzę – odparł Zeppa – tak jak i wiele innych rzeczy widziałem, których nie pragnąłem wcale oglądać.

Tu zaczął z nią mówić o tym, co zaszło, ona zaś, po długim kołowaniu, w największej trwodze przyznała się do wszystkiego (czemu zresztą żadną miarą już zaprzeczyć nie mogła) i łkając, o przebaczenie błagać go poczęła.

Zeppa wysłuchał jej spokojnie, a potem rzekł:

– Postąpiłaś niegodziwie, występna białogłowo. Jeśli jednak chcesz, abym na ten raz ci przebaczył, musisz wypełnić jak najściślej rozkazy moje, o których w tej chwili usłyszysz. Dasz tedy znać Spinellocciovi, aby jutro o trzeciej godzinie pod jakimś pozorem uwolnił się od mego towarzystwa i przybył do ciebie. Gdy się już tutaj zjawi, wejdę i ja do domu; wówczas ty, słysząc moje kroki, każesz mu się ukryć w tej wielkiej skrzyni i zamkniesz go w niej. Gdy to uczynisz, powiem ci, jak masz dalej sobie poczynać. Przy tym wszystkim nie obawiaj się o nic, przyrzekam ci bowiem, że najmniejszej krzywdy mu nie wyrządę.

Żona, szczęśliwa, że mąż poprzestał na tym, obiecała mu posłuszeństwo i dotrzymała słowa. Nazajutrz o trzeciej godzinie Spinelloccio, znajdujący się właśnie z Zeppą, a pamiętny, że dama czeka na niego, rzekł w te słowa:

– Darujcie, że was opuszczę; zaproszony dziś jestem na obiad do jednego z przyjaciół, który na mnie będzie oczekiwał.

– Do obiadowej pory jeszcze daleko – odparł Zeppa.

– Nic to nie szkodzi – rzekł Spinelloccio. – Muszę z nim pomówić o różnych sprawach, dlatego też wcześniej przybyć wolę.

To rzekłszy pożegnał się, wyszedł i okrężną nieco drogą przybył do domu Zeppy, przez żonę jego oczekiwany. Zaledwie oboje w sypialnej komnacie się znaleźli, dały się słyszeć kroki Zeppy. Na ten odgłos, piękna dama, udając wielce zatrwożoną, wezwała Spinelloccia, aby ukrył się w skrzyni, którą mąż jej wskazał, po czym zamknęła go w niej starannie i wyszła. Zeppa spotkał ją na progu i spytał się jej donośnym głosem:

– Żono, wszak to już czas na obiad?

– Tak jest, w samej rzeczy – odrzekła.

– Spinelloccio – ciągnął Zeppa dalej – zaproszony zostałem dzisiaj do jednego z przyjaciół, żona jego tedy musiałaby sama obiadować. Dobrze będzie zatem, jeśli z okna zawołasz ją i poprosisz, aby do nas na obiad przyszła.

Żona, drżąc ze strachu o swój los i dlatego też ślepo posłuszna, uczyniła, co jej rozkazano. Małżonka Spinelloccia na gorące jej prośby i zapewnienia, że Spinelloccio gdzie indziej dziś obiadować będzie, dała się do odwiedzin nakłonić. Zeppa przyjął ją wielce dwornie, schwycił ją za rękę i dawszy skinieniem znać żonie swojej, aby się do kuchni oddaliła, powiódł damę do sypialnej komnaty. Wszedłszy tam, drzwi od wewnątrz zapaął. Na ten widok żona Spinelloccia zawołała:

– Biada mi! Co to ma znaczyć, Zeppo? Po to tedy tu mnie zwabiłeś? Taką ma być owa miłość i wierna przyjaźń, którą mężowi memu okazujesz?

Zeppa, trzymając ją silnie w ramionach, zbliżył się do skrzyni, w której siedział Spinelloccio, i rzekł w te słowa:

– Zanim dalsze wyrzuty czynić mi poczniesz, wysłuchaj, co ci powiem. Miłowałem Spinelloccia i jeszcze jak brata go miłuję, wczoraj jednak, chociaż o tym nie wie, odkryłem, że ufność, jaką go obdarzałem, tylko taki skutek miała, że począł mnie przy żonie mojej zastępować i obcuje z nią tak jak z tobą.

Właśnie dla tej przyczyny, że go miłuję, nie chcę bynajmniej mścić się na nim, jeno mu równą miarą odplacić. Posiadł moją żonę, tedy i ja postanowiłem ciebie posiąść tak samo. Jeśli się nie zgodzisz należeć do mnie, będę sobie musiał inaczej poradzić. Ponieważ zaś hańby tej płazem puścić nie mogę, wypłatom mu figła, który ani tobie, ani jemu nie będzie miły.

Żona Spinelloccia, usłyszawszy tę wiadomość, uwierzyła w nią, dając posłuch przysięgom i zakłębom Zeppa. Tak tedy rzekła do niego:

– Miły Zeppo, jeśli ci ta zemsta na mnie wywarta wystarczyć może, to już niechaj i tak będzie. Przrzeknij mi jeno, że postarasz się, aby to, co czynić będziemy, nie stało się powodem waśni między mną a żoną twoją, z którą, mimo że przeciwko mnie zawiniła, chciałabym w przyjaźni pozostać.

– Oczywiście, że tak uczynię – odrzekł Zeppa – a krom tego obdarzę cię tak cennym i pięknym klejnotem, jakiego równego nie posiadam.

Rzekłszy te słowa, uścisnął ją, ucałował, a potem ułożył ją na skrzyni, w której mąż zamknięty siedział, i cieszył się nią do woli.

Spinelloccio, który z ukrycia swego całą tę rozmowę słyszał, a potem trewizański taniec nad głową swoją poczuł, z początku o mało się ze złości nie rozpukł. Gdyby nie obawa przed Zeppą byłby ani chybi, mimo zamknięcia, żonie swojej obelgę jakąś rzucił lub groźbami ją zasypał. Zważywszy jednak, że on sam dał wszystkiemu początek, a Zeppa miał prawo postąpić z nim tak, jak postąpił, i że po ludzku jak dobry towarzysz z nim się obszedł, postanowił w duszy zostać jeszcze gorętszym jego przyjacielem, niż był nim dotąd.

Zeppa tymczasem, używszy, ile dusza zapragnęła, zszedł ze skrzyni. Gdy żona Spinelloccia upomniała się o obiecany jej klejnot, otworzył drzwi od sypialnej komnaty i zawołał na żonę swoją. Białogłowa, stanąwszy na progu, to tylko rzekła do swojej przyjaciółki ze śmiechem:

– Madonno, oddałaś mi pięknym za nadobne.

– Otwórz skrzynię – rzekł mąż.

Gdy wieko podniesiono, Spinelloccio ukazał się oczom swojej żony. Długo by się nad tym szerzyć należało, kto z nich większy wstyd odczuł: Spinelloccio, który wiedział, że Zeppie nic tajne nie jest, czyli też żona, która w tej chwili dowiedziała się, że mąż słyszał i czuł wszystko, co nad jego głową wyrabiano. Wreszcie Zeppa rzekł:

– Oto klejnot, który ci daję!

Spinelloccio, wyszedłszy ze skrzyni, rzekł po prostu te słowa:

– Jesteśmy skwitowani należycie, dlatego też dobrze będzie, jeśli na przyszłość przyjaciółmi pozostaniemy, jak przed chwilą oświadczyłeś mej żonie. Wszystko mieliśmy dotąd wspólne krom żon, należy przeto, abyśmy i je wspólnym dobrem uczynili.

Zeppa bardzo się uradował, słowa te usłyszawszy. Po chwili wszyscy czworo w przykładowej zgodzie do stołu zasiedli. Od tej pory każda z tych białogłów miała dwóch mężów, a każdy z obu mężów dwie żony, jednakże z tego powodu nigdy między nimi do waśni i kłótni nie dochodziło.»

Opowieść dziewiąta



PRZYGODA MISTRZA SIMONA

Mistrz Simone, lekarz, błaga Bruna i Buffalmacca, aby wprowadzili go do pewnego towarzystwa, które się korsarstwem para. Nocą schodzą się na oznaczonym miejscu. Buffalmacco wrzuca doktora do smrodliwej jamy i tam go pozostawia.

Po dość długiej rozmowie o wspólnocie żon (pochop do tej gawędy dał damom postępek dwu Sieneńczyków) królowa, nie chcąc czynić ujmy przywilejowi Dionea, jako ostatnia z opowiadających w te słowa zaczęła:

– Jako żywo, miłe przyjaciółki, Spinelloccio zasłużył sobie na figiel, jaki mu wypłatał Zeppe. Dlatego też wbrew temu, czego Pampinea przed chwilą dowieść się starała, nie sędzę, by godzien był ostrej przygany krotochwilnik wyrządzający psotę temu, co szuka jej albo na nią zasłużył. Powtarzam, że zasłużył na nią Spinelloccio. Sama zaś opowiedzieć wam chcę o takim, który sam jej szukał, i mniemam, że nie ganić, ale chwalić należy tych, co z niego zatkpili. Był to lekarz, który powrócił z wszechnicy bolońskiej do Florencji, głupi jak baran, chocia daleko szlachetniejszym od baraniego futrem był od stóp do głowy okryty.

«Co dzień widzimy, że Florentczycy powracają do naszego miasta z Bolonii jako sędziowie, doktorzy, notariusze, w długie, fałdziste szaty szkarłatne, futrem bramowane przyodziani. Wartość ich umysłów mało niestety temu przepychowi stroju odpowiada. Jednym z takich pawłów był niejaki Simone da Villa⁶³, bardziej bogaty w dobra doczesne niż w wiedzę. Powrócił on do nas z Bolonii jako doktor medycyny (wedle własnych zapewnień), ustrojony w szkarłat z ogromną krezą, i zamieszkał przy ulicy, którą dzisiaj Via del Cocomero zowią.

Ów mistrz Simone pośród wielu osobliwych obyczajów swoich miał także i ten, że idąc z kimkolwiek bądź przez ulicę natrętnie wypytywał się o nazwiska spotykanych po drodze ludzi, o ich stan i stosunki, tak jakby te wiadomości o ludziach mogły mu do przyrządzenia leków dopomóc. Zbierał je też bardzo uważnie w pamięci. Szczególnym przedmiotem uwagi jego stali się dwaj malarze, sąsiedzi jego, Bruno i Buffalmacco (o których już dziś dwukrotnie wspomniano), żyjący w wielkiej przyjaźni z sobą. Naszemu doktorowi zdało się, że ci ludzie mniej kłopotów mają i weselej żyją niż ktokolwiek inny w mieście, i dlatego też rozpytywać się o nich szczegółowie począł. Usłyszawszy zasię, że są to ubodzy malarze, wbił sobie do głowy, że w tym wszystkim jakaś tajemnica tkwić musi i że ci dwaj weseli ludzie mają wi-

docznie jakieś ukryte źródło dochodów – tym bardziej że słyszał często o ich przebiegłości i sprycie. Myśl ta wzbudziła w nim niezmierną chęć wejścia w bliższe stosunki bądź to z obydwoma na raz, bądź też z jednym z nich. Po pewnym czasie w samej rzeczy udało mu się zapoznać i zbliżyć się z Brunem. Bruno, pomiarkowawszy po kilku spotkaniach, z jakim to dudkiem ma do czynienia, jał z niego drwić niemiłosiernie i figle niebywałe mu płać, doktor zaś, nie spostrzegając tego, w towarzystwie jego wielkie upodobanie znajdował. Zaprosił go do siebie kilkakrotnie na obiad i gdy osądził wreszcie, że otwarcie już z nim pogadać może, wyznał mu, że podziwem go napęła wesoły, mimo ubóstwa, sposób ich życia. Po czym spytał się, czemu by to przypisać należało?

Bruno, wysłuchawszy tych słów, równie niedorzecznych jak inne, roześmiał się głośno i postanowił odpowiedzieć tak, jak na to barani rozum doktora zasługiwał.

– Mistrzu – rzekł – byle komu nie powiedziałbym o tym, jak sobie poczynamy, wam jednak, o którego przyjaźni i dyskrecji upewniony jestem, nie będę wahał się wypowiedać. W samej rzeczy ja i towarzysz mój wesołe życie prowadzimy, weselsze nawet, niżli się wam wydawać może. Zawdzięczamy to oczywiście nie profitom z kunsztu naszego albo z majątności jakichkolwiek, to by nam bowiem nawet na czystą wodę nie wystarczyło. Abyście nie sądzili jednak, że kradniemy, powiem wam, że chodzimy na korsarskie wyprawy i tam, bez niczyjej szkody, zdobywamy wszystko, cokolwiek do zaspokojenia potrzeb naszych lub dla przyjemności jest nam potrzebne. Stąd też beztroski nasz żywot, który wpadł wam w oko.

Doktor usłyszawszy te słowa zadziwił się i uwierzył, mimo że nie rozumiał, co to znaczyć może. Zapragnawszy gorąco dowiedzieć się, w jaki to sposób korsarstwo się uprawia, począł usilnie Bruna o wyjaśnienie prosić zaręczając mu, że najgłębszą tajemnicę zachowa.

– Dla Boga! – zawołał Bruno – mistrzu, czegoż to wymagacie ode mnie? Zbyt wielka jest ta tajemnica, którą radzi byście poznać, ja zaś za odkrycie jej nie tylko mógłbym być zniszczony i życia pozbawiony, aliści wpaść nawet w paszczę Lucypera z San Galio. Tak wielką jednak jest miłość dla waszej osoby, która mi arbuza z Legnaia⁶⁴ przypomina, i tak niezmierną ufność w was pokładam, że nie czuję się na siłach odmówić żądaniu waszemu. Dlatego też gotów jestem opowiedzieć wam wszystko, pod warunkiem, że przysięgniecie na krzyż z Montesone⁶⁵, iż nigdy tego nikomu nie zdradzicie.

Mistrz nie szczędził zaklęć i przysięg.

– Wiedźcie tedy, o mój słodziutki mistrzu – rzekł Bruno – iż przed niedawnym czasem przebywał w naszym mieście wielki czarodziej i doktor nekromancji, nazwiskiem Michał Scotto⁶⁶, ze Szkocji bowiem się wywodził. Odbierał on dowody głębokiej czci od najznacniejszych w mieście ludzi, z których niewielu jeszcze żyje. Gdy się już do wyjazdu gotował, przychylił się do gorącej prośby swoich przyjaciół i pozostawił tutaj dwóch najznamienszych uczniów swoich z poleceniem, aby czynili zadość najmniejszym zachceniem tych szlachetnych Florentczyków, od których tyle czci i miłości był doznał. Uczniowie, posłuszni mistrzowi, pozostali w mieście, oddając owym panom rozliczne usługi w wielu sprawach miłosnych i innych. Wreszcie, upodobawszy sobie Florencję i obyczaje mieszkańców, postanowili osiąść u nas na stałe. Po pewnym czasie weszli w związki ścisłej przyjaźni z niektórymi obywatelami tutejszymi, nie bacząc na to, czy ten, z kim się zaprzyjaźnią, jest szlachcicem czy nie szlachcicem, ubogim czy bogatym człkiem, byleby tylko do gustu im przypadał. Pozy-skawszy przyjaciół, utworzyli grono, z dwudziestu pięciu może ludzi złożone, które najniżej dwa razy na miesiąc w pewnym, wskazanym przez nich, miejscu się zbiera. Tam każdy wyraża im swoje pragnienia, które tej samej nocy spełniane bywają. Z tymi dwoma czarnoksiężnikami wiąże mnie i Buffalmacca osobliwie poufała przyjaźń. Przyjęto nas do owego towarzystwa na równych prawach z innymi. Ach, gdybyście mogli widzieć przepyszne obicia komnat, po królewsku zastawione stoły, dookoła których krążą roje urodziwej służby płci obojej, owe nieporównane czary, dzbany z winem i butle oraz inne naczynia ze złota i srebra, z których jemy i pijemy! Cóż dopiero mam powiedzieć o dobroci i obfitości potraw? Kto czego tylko

zapragnię, zaraz to ma przed sobą. Nie jestem w stanie wyrazić wam, jakie dziwne dźwięki z rozlicznych instrumentów tam się rozlegają, jakie rozbrzmiewają tam pieśni melodią urzekającą ani jak wielka ilość świec woskowych przy tych biesiadach płonie, ani ile cukrów i win kosztownych na nasze skinienie czeka. Nie sądzicie także, mój miłusi mistrzu, że siadamy do stołów w szatach, w których nas zwykle widujecie. Po stokroć nie! Nie masz między nami takiego, który by cesarzowi podobien me był, w tak pysznych bowiem strojach i ozdobach paradujemy. Nad wszystkie jednak rozkosze wyższa jest rozkosz, którą nas piękne kobiety obdarzają. Sprowadza się je z najdalszych krańców świata w mgnieniu oka, wedle woli każdego z nas i wedle wyboru. Możecie tam ujrzyć królowę Barbaników, władczynię Basków, żonę sułtana, cesarżową Usbeku, panią Klapigębę z Norwegii, Semisantę z Berlinzony i Scalpedrę z Narsji. Ale na cóż się zda tutaj je wyliczać?⁶⁷ Znajdziecie tam wszystkie królowe ziemi całej, wraz z Szinsimurą, żoną księdza Jana⁶⁸. Aliści słuchajcie dalej! Gdy sobie już nieco podpijemy i jadłem się pokrzepimy, zatańczywszy wkoło raz lub dwa razy, udaje się każdy z tą, która się na jego żądanie zjawiała, do osobnej komnaty. Wiedzieć wam należy, że każda z tych komnat to raj prawdziwy, tchnący aromatem, nie mniej wonnym od wnętrza waszych aptek, gdy w nich kminek tłuką. Stoją tam łoża okazalsze od łoża weneckiego doży. Na nich każda para się układa. Zostawiam wam do domysłu, jak każda z tych przątek potem kołowrotek trzyma, jak nitki puszcza, sama w kłębek się zwijając. Najszczęśliwsi z tych szczęśliwców, a także najlepiej uposażonymi jesteśmy, wedle mego zdania, ja i Buffalmacco: on bowiem najczęściej sprowadza sobie królowę francuską, ja zaś angielską. Damy te, jak każdemu wiadomo, są najpiękniejszymi na całym świecie białogłowami. Tak umieliśmy im przypaść do serca, że o nas tylko myślą i z nami jeno przestają. Łatwo wam tedy będzie pojąć teraz, że musimy być najweselszymi i najszczęśliwsi na świecie ludźmi. Posiadamy miłość dwóch tak pięknych królowych, nie mówiąc już o tym, że dosyć nam zażądać od nich dwóch albo trzech tysięcy dukatów, aby je mieć natychmiast. To wszystko pospolicie korsarstwem nazywamy, postępujemy bowiem jak korsarze, którzy każdemu dobytek wydzierają. Różnica tylko na tym się zasadza, że oni nie oddają tego, co raz wzięli, my zaś zwracamy zdobycz po jej użyciu. Wiecie teraz wszystko, rozumiecie, co nazywamy korsarstwem, i widzicie, w jakiej należy to trzymać tajemnicy, przeto więcej nic wam nie powiem, proszę jeno, nie wspominajcie już nigdy o tym.

Doktor, którego cała wiedza polegała na umiejętności leczenia małych dzieci z parchów, uwierzył w słowa Bruna, jak gdyby one Ewangelią były, i zapalił się nie pomiarkowanym pragnieniem wejścia do tego towarzystwa. Odrzekł tedy Brunowi, że zaiste bynajmniej go teraz nie dziwi ich wesoły i pogodny wyraz oblicza, i ledwie pohamować się zdołał od prośby o przyjęcie go natychmiast do tego towarzystwa. Namysłwszy się jednak, odłożył tę prośbę do chwili, aż Bruna lepiej dla siebie pozyskać zdoła. Tymczasem nie rozdzielał się z nim prawie, zapraszał go do siebie z rana, w południe i wieczorem i niezmierną życzliwość mu okazywał.

Wkrótce miłość ta tak się zwiększyła, iż zdało się, że doktor bez Bruna żyć i istnieć nie może. Bruno, któremu to wszystko wielce po myśli było, nie chcąc okazać się niewdzięcznym za tyle przywiązania i czci, wymalował doktorowi w komnacie jadalnej Post Wielki i Agnus Dei⁶⁹, nad bramą zaś wielki nocnik, aby po tym znaku klienci dom doktora od innych odróżniali. Krom tego na werandzie wymalował mu walkę myszy z kotami, którą doktor za arcydzieło uważał. Nie zaniedbywał przy tym od czasu do czasu, gdy nie wieczerzał z doktorem, wspomnieć coś o swoim towarzystwie. Pewnego razu rzekł:

– Dzisiejszą noc spędziłem w towarzystwie naszym. Ponieważ królowa angielska już mi się nieco sprzykrzyła, kazałem sobie tedy na ten raz sprowadzić panią Gumedrę, małżonkę wielkiego chana Tarisu.

– Co to znaczy Gumedra? – spytał doktor. – Dalipan, nie rozumiem tych wszystkich imion.

– O mój najdroższy mistrzu! – odparł Bruno. – Wcale się temu nie dziwię, słyszałem bowiem, że Ipokrad i Aciemiega nic o niej nie wspominają.

– Chciałeś zapewne powiedzieć: Hipokrat i Avicenna⁷⁰ – poprawił doktor.

– Dalipan, powiedziałem, jak wiedziałem – odparł Bruno. – Równie mało rozumiem się na tych waszych nazwiskach, jak wy na moich. Co się zaś tyczy imienia Gumedra, to znaczy ono w mowie wielkiego chana to samo, co u nas cesarzowa. Ach, cóż to za białogłowa! Powiadam wam, że zapomnielibyście przy niej o wszystkich medykamentach, receptach i plastrach waszych!

Podobnymi słowami, nieraz powtarzanymi, tak Bruno doktora podniecił, że ten, pewnego wieczora nieco dłużej w jego towarzystwie pozostawszy, sądząc, że dostatecznie zyskał go sobie swą uprzejmością, postanowił wreszcie wyznać mu najgorętsze pragnienie swoje. Bruno malował właśnie walkę myszy z kotami. Doktor, który światło mu trzymał, zaczął w te słowa:

– Brunonie, Bogu jednemu wiadomo, że nie masz człeka na świecie, dla którego gotów bym tyle uczynić, ile dla ciebie. Gdybyś mi nawet powiedział teraz: „Idź do Peretoli”, ani chybi, poszedłbym tam. Nie dziwuj się tedy, iż z całą ufnością o coś cię poproszę. Przed niedawnym czasem opowiedziałeś mi cuda o rozkoszonym sposobie życia waszego wesołego towarzystwa. Wzbudziło to we mnie taką żądzę należenia do niego, o jakiej dotąd pojęcia nie miałem. Gdy mnie przyjmiecie, przekonasz się, że nie bez ważkiej racji z prośbą tą do ciebie się zwracam. Pozwolę ci nazwać mnie kpem, jeśli natychmiast po przyjęciu nie sprowadzę sobie najpiękniejszej dziewczyny, jakiej zapewne nigdy nie widziałeś. Poznałem ją nie dalej jak w zeszłym roku w Śmierdzącej Wólce i oddałem jej całe serce moje. Na ciało Chrystusowe! Ofiarowałem jej nawet dziesięć bolońskich groszy, aby mi wstretów nie czyniła, aliści to żadnego skutku nie odniosło. Powiedz mi tedy, błagam cię gorąco, co mam uczynić, aby wejść do waszego grona i spraw, abym się doń dostał. Wierzaj mi, że pozyskacie we mnie dzielnego, wiernego i godnego towarzysza. Zresztą dość spojrzeć na mnie. Jestem wszak człkiem urodziwym, a nie żadnym ułomkiem. Oblicze mam świeże jak róża, a przy tym jestem doktorem medycyny, których jak mi się zdaje, niewielu między sobą macie. Znam wiele dykteryjek i pięknych piosenek. Jedną nawet zaraz ci zanucę.

Tu począł ryczeć na całe gardło.

Bruna taki śmiech porwał, że hamując go, o mało się nie rozpukł. Przewyciężył się jednak, a gdy doktor skończył piosenkę i spytał:

– No i cóż, jak ci się zdaje?

– Wierę – odrzekł Bruno – trzeba by było być głuchym jak pień, aby nie ocenić, jak cudownie śpiewacie i wyciągacie.

– Nieprawdą? – zawołał doktor – pewien jestem, że nie uwierzyłbyś, gdybyś sam nie był słyszał!

– Najprawdziwsza prawda – odparł Bruno.

– Ale to nic jeszcze – rzekł doktor – bowiem i piękniejszych rzeczy jestem świadom. Dajmy temu jednak pokój. Musisz wiedzieć, że rodzic mój był szlachcicem, chocia na wsi mieszkał, po kądzieli zasię pochodzę z rodu panów z Vallecchio. Posiadam także, jak się sam o tym przekonać mogłeś, piękniejsze księgi i bogatsze suknie od innych doktorów we Florencji. Klnę się na Boga, że mam dobytek, który przed kilku laty w sumie sto lirów dobrą monetą mnie kosztował. Zaklinam cię tedy raz jeszcze, wprowadź mnie do towarzystwa waszego! Jeśli mi tę przysługę wyświadczysz, nie wezmę od ciebie nigdy trojaka za leczenie, będziesz mógł przeto chorować, ile tylko zechcesz!

Bruno, usłyszawszy te słowa, ugruntował się w mniemaniu swoim, że doktor jest głupi jak baran. Odrzekł mu przeto:

– Mistrzu! Poświećcie mi z tej strony i miejcie trochę cierpliwości, póki tym myszom ogonów nie przyprowadzę. Za chwilę wam odpowiem.

Ogony wkrótce były gotowe. Wówczas Bruno udając zakłopotanie rzekł:

– Najdroższy mistrzu! Zaiste, wielkie to są rzeczy, które gotowi jesteście uczynić dla mnie. To jednak, czego żądacie, a co dla waszego wielkiego umysłu drobiazgiem się być wydawa, jest dla mnie sprawą niezmiernie wagi. Nie znam na całym świecie człeka, dla którego rzecz tę z równą chęcią jak dla was byłbym uczynił. Raz dlatego że miłuję was, jak na to zasługujecie, a po wtóre dla tej przyczyny, że osobliwie cenię mądrość słów waszych, które byłyby zdolne trafić do dewotek, a cóż dopiero mnie przekonać? Im dłużej z wami przestaję, tym mędrszymi mi się być wydajecie. Muszę wam powiedzieć także, że gdybym nie miał innej przyczyny do pokochania was, to starałbym się dogodzić wam choćby dlatego, żeście sobie tak piękny przedmiot miłości wybrali. Winienem wam jednak wyznać, że spełnienie waszego pragnienia jest rzeczą trudniejszą, niżli sądzicie. Dla tej przyczyny nie będę mógł uczynić dla was tyle, ile bym pragnął. Jeśli mi jednak na swoją niezachwianą uczciwość przysięgniecie, że tajemnicy dochowacie, wskażę wam drogę, którą idąc, cel swój osiągnąć będziecie mogli. Pewien jestem, że to się wam, ani chybi, uda, skoro posiadacie tak piękne książki i tyle innych cennych rzeczy.

– Bądź spokojny – odparł doktor. – Widocznie nie znasz mnie jeszcze dobrze, inaczej bowiem wiedziałbyś, że każdą tajemnicę zdzierżyć umiem. Zaliż mało takich spraw i zamiarów miał pan Gasparruolo da Saliceto wówczas, gdy był sędzią podesty w Forlimpopoli? Zwierzał mi się on ze wszystkich zamysłów swoich; mnie pierwszemu oznajmił także o zamierzonym małżeństwie swoim z Bergaminą. Sądzę, że na tym dowodzie poprzestaniesz !

– Na mą duszę! – zawołał Bruno – jeśli on wam tak ufał, to niewątpliwie i ja mogę. Droga tedy, o której wspomniałem, taka jest:

Towarzystwo nasze ma zawsze kapitana i dwóch radców, którzy co sześć miesięcy się zmieniają. Ani chybi w najbliższej przyszłości Buffalmacco zostanie kapitanem, a ja radcą, tak już bowiem od dawna postanowiono. Kapitan taki ma wielką władzę, mogąc przyjmować do towarzystwa, kogo tylko zechce. Otóż, według mego zdania, powinniście pozyskać dla siebie Buffalmacca, uprzejmie i dwornie z nim postępując. Jest to człek, który, poznawszy skarby mądrości, w was się kryjące, pokocha was całą duszą. Zjednawszy go urokiem rozumu waszego i hojności, będziecie mogli prosić go, o co zechcecie, a on nie potrafi wam odmówić. Wspominałem mu już nawet o was i wiem, że jest dla was przychylnie usposobiony. Weźcie się tedy rączo za niego, a resztę ja już sam uładzę.

– Rada twoja – odrzekł na to doktor – wielce mi się podoba. Zapoznam się z Buffalmacciem. Jeśli jest człkiem lubiącym z mądrymi ludźmi przestawać, to zapuściwszy się ze mną choćby raz w gawędę, sam mnie później poszukiwać zacznie. Co się przyrodzonego dowcipu tyczy, to zaiste mam go tyle, że całe miasto mógłbym nim obdzielić i jeszcze by mi go dosyć pozostało.

Bruno tak rzecz postawiwszy zdał z tej rozmowy sprawę Buffalmaccowi. Ów nie mógł doczekać się chwili, w której nie bity w ciemność doktor z nim się zapozna, rad by był bowiem jak najprędzej obdarzyć go tym, czego on tak gorąco pragnął. Doktor nie dał mu długo czekać. Płonąc niezmierną żądzą udania się na korsarską wyprawę, nie spoczął, póki nie zaprzyjaźnił się z Buffalmacciem, co mu bez trudu się udało. Poznawszy go jał wydawać na jego cześć wspaniałe obiady i uczyty, na które i Bruna zapraszał. Dwaj, filuci durzyli go niesłychanymi bredniami i nie żalowali sobie wybornych win, tłustych kapłonów i innych smakowitych rzeczy. Gościli u niego ciągle, przebywając w jego domu nieraz i bez zaprosin, i zawsze go zapewniali, że z nikim innym na świecie tak by im przyjemnie nie było.

Wreszcie doktor, upatrzwszy stosowną zdaniem jego porę, wyznał z kolei pragnienie swoje Buffalmaccowi. Ów udał z początku wielkie pomieszenie, a potem wpadł z wściekłością na Bruna, wołając:

– Na wielkiego Boga z Passignano!⁷¹ Mam niepomierną chęć tak cię w łeb trzasnąć, abyś sto tysięcy świec zobaczył, ty zdrajco obrzydły! Nikt inny krom ciebie nie mógł opowiedzieć o tych wszystkich rzeczach doktorowi.

Doktor słysząc to począł żywo Bruna usprawiedliwiać, kłąć się i zapewniać, że wie o tym wszystkim zgoła z innego źródła, i wreszcie udobruchał rozgniewanego malarza.

Ułagodzony Buffalmarco zwrócił się do doktora i zawołał:

– Drogi mistrzu, widać od razu, że nie na próżno do Bolonii jeździliście, skoro przywieźliście stamtąd zasznurowaną gębę. Od razu poznać można, gdzieście się uczyli. Przy tym, jeśli się nie mylę, w czepku urodzić się musieliście. Bruno mi rzekł, że medycynę studiowaliście, aliści ja mniemam, że była to raczej umiejętność zyskiwania sobie ludzi. Wierę, przy pomocy rozumu waszego i rzadkiego dowcipu zdolni jesteście wymóc, co zechcecie.

Doktor zerwał się na te słowa i przerywając mówcy, rzekł do Bruna:

– Widzisz, co to znaczy, gdy się na roztropnego człeka natrafi. Któż by równie dobrze jak ten dzielny mąż całą odrębność mego umysłu ocenić potrafił? Nawet ty nie dopatrzyłeś się tak prędko moich walorów. Powtórz mu teraz, com rzekł, gdyś mi powiedział, że mu do serca przypadnę?

– Prawda, szczerą prawdą – odrzekł Bruno.

– Jeszcze byś niejedno mógł przydać – ciągnął dalej doktor, zwracając się do Buffalmarca – gdybyś mnie był widział w Bolonii. Tam zarówno doktorzy, jak i scholarzy zachwycali się mną gorąco. Nie było profesora ni studenta, który by mnie nad wszystko w świecie nie miłował i dla siebie pozyskać nie pragnął, tak ich bowiem umiałem dowcipem i wymową swą olśnić. Więcej powiem! Nie mogłem wyrzec jednego słowa, aby ich do gwałtownego śmiechu nie pobudzić, tak bardzo przypadłem im do serca. Gdym odjeżdżał, zalewali się wszyscy gorzkimi łzami i żądali, abym pozostał. Gotowi byli nawet powierzyć mnie jednemu wykład medycyny dla wszystkich studentów, aliści ja nie chciałem tego, śpieszyłem się bowiem do majątności mej tutaj, która jeszcze do pradziadów moich należała.

– No i cóż? Jakże ci się wydaje? – rzekł Bruno do Buffalmarca.

– Nie chciałeś wierzyć, gdym ci o doktorze opowiadał. Na mą duszę, nie ma w całym mieście doktora, który by się tak dobrze znał na ośleju urynie jak nasz medyk. Bądź pewien, że aż do bram Paryża drugiego takiego mędrca nie znajdziesz. Spróbuj mu się teraz oprzeć i postaraj się do jego prośby nie przychylić.

– Bruno – odrzekł na to doktor – szczerą prawdę mówi. Nie poznali się tutaj na mnie, bowiem naród wasz jest nadto gruby. Gdybyście ujrzeli mnie między doktorami, przekonalibyście się lepiej, kto jestem.

– Zaiste, mistrzu – odparł Buffalmarco – wiecie jeszcze więcej, niż sądziłem. Dlatego też odzywam się do was tak, jak do dostojnego męża odzywać się należy, i oświadczam, że wszelkiego starania dołożę, aby was wkrótce przyjęto do towarzystwa naszego.

Po tej rozmowie i otrzymanym od Buffalmarca przyrzeczeniu doktor począł jeszcze częściej dwóch malarzy ugaszczać. Wbijali mu oni do głowy najdziwsze bzdury, obiecując, że sprowadzą dlań grabinę Latrynę, najpiękniejszą istotę na tyłach rodu ludzkiego.

Zaciekawiony doktor zapytał, kto zacz jest owa grabini?

– Ach, moja ty tytko – zawołał Buffalmarco – jest to wielce godna pani i zaiste mało się znajduje na całym świecie takich domów, nad którymi by ona jurysdykcji nie miała, nie mówiąc już o tym, że nawet sami ojcowie minoryci hołdy jej składają i na cześć jej pukają z moździerzy. Ma także i tę własność, że gdy koło jakiegoś miejsca przechodzi, wonią niechybnie się zdradza. Niedawno właśnie w nocy przeszła koło moich drzwi, udając się do rzeki Arno dla obmycia nóg i odetchnięcia świeżym powietrzem. Najbardziej lubi w odosobnionych miejscach przebywać, ale właściwym miejscem jej zamieszkania jest Latryna. Milicja jej kręci się wszędzie; poznacie ją po miotle i sznurze z ołowianą gałką, herbie tej pani. Wasalów jej także na świecie pełno; dość wymienić pana Fajda, Don Kupkę, panią Biegunkę, nie mówiąc już o wielu innych, których znać ani chybi musicie. W objęcia tej dostojnej damy zaprowadzić was chcemy, jeśli piękna podwika z Śmierdzącej Wólki zawód wam sprawi i jeśli, co rzecz główna, zamysły nasze się udadzą.

Doktor, wychowany od dziecka w Bolonii, nie pojął krotochwilnego znaczenia tych słów i objawił gorącą chęć jak najprędszego poznania owej damy.

Wkrótce po tej rozmowie nasi malarze przynieśli doktorowi radosną wieść, że ma być przyjęty do towarzystwa. W dniu oznaczonym na ceremonię, która się nocą odbyć miała, zaprosił doktor obu swoich przyjaciół na obiad. Gdy go spożyli, zażądał bliższych wyjaśnień co do zachowania się przy dopuszczeniu do tego grona.

– Mistrzu – odparł Buffalmacco – przede wszystkim musicie tego się trzymać, bo gdybyście nie dotrzymali placu i stchórzyli, nie tylko cała nasza praca na niczym spełźnie, ale i wielka stąd szkoda dla was powstanie. Zaraz wam powiem, pod jakim względem męstwo owo okazać musicie. Trzeba tedy, abyście wieczorem, gdy wszystkich pierwszy sen zmorzy, znaleźli się na jednym z owych wysokich grobowców, które niedawno koło Santa Maria Novella wystawiono. Musicie się oblec w najpiękniejszy wasz strój dla godnego przedstawienia się po raz pierwszy towarzyszom naszym, a także grabini, która jak nas słuchy doszły, pragnie was, jako szlachcica, którym się mienicie, rycerzem kąpieli mianować. Na grobowcu tym będziecie czekali, póki się po was posłaniec nie zjawi. Abyście zawczasu na wszystko przygotowani być mogli, wiedzcie, że przybędzie po was czarne, niezbyt wielkie, rogate zwierzę, które sko-ki ogromne czynić przed wami pocnie chrapiąc i mrużąc dla przerażenia was.

Gdy się jednak przekona, żeście od trwogi dalecy, zbliży się do was powoli. Wówczas zejdzcie bez strachu z grobowca i siadajcie spokojnie na kark temu zwierzęciu. Warujcie się jeno wzywać Boga lub świętych Pańskich! Usadowiwszy się wygodnie, załóżcie ręce układnie na krzyż i powierzcie się całkiem zwierzęciu, nie tykając go rękoma. Ruszy ono powoli z miejsca i do nas was przywiezie. Raz jednak jeszcze przestrzec was muszę, że jeśli wspomnicie imię Boga, jakiegoś świętego lub też obawę poczujecie, zwierzę to zrzuci was z siebie albo też wpakuje was w jakieś niezbyt wonne miejsce. Jeżeli tedy nie czujecie dosyć męstwa, to lepiej dajcie temu pokój, bowiem, stchórzywszy, sobie tylko szkodę przyniesiecie, a nam despekt sprawicie.

– Nie znacie mnie jeszcze, przyjaciele moi – odparł doktor. – Wątpicie snadź o mnie widząc, że rękawiczki i długie suknie noszę. Gdybyście jednak wiedzieli, com ja niegdyś nocami w Bolonii wyrabiał wyszedłszy z towarzyszami na połów białogłów, osłupielibyście ani chybi. Na honor, pewnej nocy jedna z takich dziewcząt iść z nami nie chciała! Mizeractwo to było prawdziwe, ledwie mi do pasa dostające. Opór jej tak mnie oburzył, że obłożywszy ją naprzód porządnie kułakami, chwyciłem ją za ramiona i pchnąłem tak, iż chcąc nie chcąc iść z nami musiała. Innym znowu razem w towarzystwie sługi przechadzałem się wieczorem, nieco po Ave Maria, koło cmentarza minorytów, właśnie w dniu, gdy tam pewną białogłową pochowano, i nie bałem się niczego. Nie lękajcie się tedy o mnie, bo odwagi mam raczej za wiele niżli za mało. Co się zaś przyzwoitości tyczy, to dla nieuchybnienia jej, włożę na siebie szkarłatną suknię, w której mnie na doktora promowano. Obaczycie, jakie to wrażenie na całym towarzystwie sprawi, i przekonacie się, że wkrótce kapitanem jego zostanę. Wszystko innym trybem u was pójdzie po przyjęciu mnie, zwłaszcza że, jak powiadacie, nie widząc mnie grabini owa tak się już we mnie rozkochała, że mnie kawalerem kąpieli mianować pragnie. A może z tą godnością nie będzie mi do twarzy? Albo może nie dodam jej blasku czy też przeciwnie? Pozwólcie mi tylko działać!

– Dobrze zatem – odparł Buffalmacco – baczcie jeno, abyście nam jakiegoś figła nie wyplatali i abyście na czas we właściwym miejscu się stawili. Wiedząc, że wy, panowie doktorzy, ochraniać swoje cenne zdrowie lubicie, przestrzegam, że noc dziś jest chłodna wielce.

– Niechże mnie Bóg zachowa – zawołał na to doktor. – Nie należę bynajmniej do zmarzluchów i nic sobie z największego zimna nie robię. Gdy mi przyjdzie podnieść się w nocy z łoża dla załatwienia przyrodzonej potrzeby, zarzucam tylko futro na kaftan. Bądźcie tedy spokojni o mnie, stawię się bowiem niezawodnie na miejscu i zaczekam.

Gdy wieczór się zbliżył, doktor, usprawiedliwszy się przed żoną, że tak późno z domu wychodzi, wydobyl ukradkiem odświętną szatę, wdział ją na siebie, a potem, przybywszy na wskazane miejsce, wdrapał się na jeden z grobowców, przycisnął się do marmurowej płyty, bowiem chłodno nie na żarty było, i jął czekać na przybycie rogatej poczwary. Tymczasem Buffalmacco, tęgi i silny człek, postarał się o jedną z owych larw, jakich niegdyś na zabawach, dziś już wyszłych z obyczajów, używano, po czym okrył się cały czarnym futrem, włosami na zewnątrz, tak iż wyglądał jak niedźwiedź. Tylko głowa miała diabelski i rogaty pozór. Tak ustrojony udał się na plac Santa Maria Novella. W niejakiej odległości postępował za nim Bruno, chciał się bowiem przyjrzeć z bliska całej tej historii. Buffalmacco, ujrawszy mistrza na grobowcu, jął dzikie skoki wyprawiać i ogłuszający hałas na placu czynić. Parskał przy tym, wył, sapał i chrapał jak opętany. Doktor widząc to i słysząc poczuł, że mu włosy dębem stają na głowie, w istocie bowiem tchórzliwszy był od pierwszej lepszej białogłowy. W tej chwili siła dałby za to, aby w domu się znajdować. Ponieważ jednak przybył już na to miejsce, więc też krzepił się jak mógł, tak wielka bowiem była w nim żądza oglądania cudów, znanych mu z opowieści.

Tymczasem Buffalmacco, namiotawszy się do syta, udał, że się uspokoił, po czym zbliżył się do grobowca i stanął przy nim. Doktor szczekał zębami ze strachu i nie wiedział, co począć: wskoczyć na grzbiet zwierzęcia czy też na grobowcu pozostać. Bojąc się jednak, aby mu potwór w wypadku, jeśli na grzbiet jego nie wsiądzie, krzywdy jakiej nie wyrządził, nową trwogą dawną obawę przewyciężył i zszedł z grobowca, szepcząc:

– Boże, nie opuszczaj mnie!

Potem wsiadł na tajemniczego wierzchowca, usadowił się wygodnie na nim i drżąc całym ciałem złożył ręce na krzyż na piersiach, jak mu zalecono.

Wówczas Buffalmacco począł się nieznacznie ku Santa Maria della Scala kierować. Niósł doktora, idąc na czworakach, prawie aż do samego klasztoru mniszek z Ripole. Podówczas znajdowały się w tej okolicy doły, w które właściciele sąsiednich gruntów grabinie Latrynę zrzucać kazali, aby nią potem pola swoje użyźnić.

Buffalmacco, zbliżywszy się do tych dołów, przystąpił na brzeg jednego z nich, po czym, wybrawszy stosowną chwilę, schwycił doktora za nogi, strącił go z siebie i wrzucił głowę w dół do jamy, warcząc przy tym, skacząc i wyjąc okrutnie. Po dokonaniu tego bohaterskiego czynu pobiegł na łąkę Wszystkich Świętych. Tam spotkał Bruna, który nie mogąc śmiechu pohamować, aż tutaj się zapędził. Obaj teraz śmiać się poczęli i z udanego figla się cieszyć. Pofolgowawszy sobie nieco, zaczęli się, aby z daleka obaczyć, co doktor uczyni.

Ów poczuwszy, w jak obrzydliwą dostał się jamę, próbował wstać i wydobyć się z niej; dopiero jednak po kilkakrotnym zapadnięciu się to tu, to tam, umazaniu kałem od stóp do głowy i połknięciu sporej jego dawki, obolały, wy dostał się na wierzch, utraciwszy kaptur, jęcząc i wściekając się nie na żarty. Wyszedłszy oskrobał się rękami jak mógł najlepiej, a nie widząc innej rady, do domu powrócił. Kołatał tak długo, aż mu wreszcie otwarto.

Zaledwie drzwi się za nim zawarły, już Bruno z Buffalmacco pod nimi stanęli, chcąc się dowiedzieć, jak cuchnącego doktora przyjmie żona. Naraz usłyszeli grad najstraszliwszych obelg i przekleństw, jakich zapewne największy hultaj na świecie nie był nigdy słyszał.

– Ha! – wrzeszczała żona doktora – ha, na mą duszę, jakże się dobrze stało! Zapewne wybrałaś się do jakiegoś nierządniczy, a chcąc się jej przypodobać w szkarłatną suknię się przybrałaś. Nie wystarczam ci już tedy, mój skarbie! Całemu ludowi bym wystarczyła, a cóż dopiero tobie!

O, czemuż cię nie utopili, wrzuciwszy tam, gdzie już zostać powinieneś! Oto mi doktor na schwał! Ma swoją własną żonę, a nocami za cudzymi żonami się ugania.

Podobnymi przymówkami nie przestawała go dręczyć aż do północy, w czasie mycia, skrobania i czyszczenia, które doktor troskliwie odbywał.

Nazajutrz rano Bruno i Buffalmacco stawili się w domu doktora, pomalowawszy sobie uprzednio skórę pod odzieżą w sinawe pręgi, które na ślady pięści i kija wyglądały. Zastali mistrza już na nogach. Gdy weszli do komnaty, obrzydliwa woń silnie ich w nozdra uderzyła, dotąd bowiem niesposób było jeszcze wszystkiego całkiem oczyścić. Doktor, ujrawszy ich, postąpił ku nim i pozdrowił ich uprzejmie. Aliści Bruno i Buffalmacco, zgodnie z uprzednią umową swoją, odpowiedzieli mu na to pozdrowienie z gniewliwą miną:

– Bynajmniej nie życzymy wam dobrego dnia, owszem, błagamy niebo, aby na was, jako na wiarołomnego i obrzydliwego zdrajcę, zesłało tysiąc klęsk i śmierć haniebną. Z waszej to winy, wówczas, gdyśmy się starali o zaszczyty dla was, o mało nas jak psów nie zabito. Dzięki zdradzie popełnionej przez was otrzymaliśmy tej nocy tyle kijów, że mniejszą znacznie ilością razów najbardziej upartego osła do Rzymu zagnać by można było. Nie dosyć na tym! Groziło nam niebezpieczeństwo wygnania z towarzystwa, do którego wprowadzić was chcieliśmy. Jeśli nie wierzycie, przyjrzyjcie się, jak wygląda nasza skóra.

To rzekłszy, rozchylili na piersiach szaty i pokazali posiniaczone farbą piersi swoje, nie dając jednak doktorowi zbyt usilnie się w nie wpatrywać.

Doktor na ten widok chciał się usprawiedliwić i opowiedzieć o swoich przypadkach. Zaledwie jednak wspomniał o wrzuceniu go do jamy, Buffalmacco zawołał:

– Na mą duszę, pragnąłbym, aby was było zrzuciło z mostu do rzeki Arno. Po cóż przyzywaliście Boga i świętych Pańskich? Nie ostrzegałemże was?

– Klnę się na Boga żywego, żem ich nie przyzywał – odparł doktor.

– Niewątpliwie nie przypominacie sobie tego, boście drżeli całym ciałem jak osika i nie wiedzieli, gdzie się znajdujecie. Nasz poseł opowiadał nam o tym szczegółowie. Co się stało, już się nie odstanie, ale od tej pory nikt nam nigdy podobnego figla nie spleta. Was zasię uczymy tak, jak na to zasłużyliście.

Na te słowa doktor uderzył w prośby o przebaczenie i zaklął ich na Boga, aby mu wstydu i przykrości nie czynili. Wreszcie udało mu się udobruchać ich potulnymi słowy. Ze strachu, aby wieść o tej przygodzie dalej się przez nich nie rozniosła, począł jeszcze gościnniej obu malarzy przyjmować i różne usługi im wyświadczać.

Oto jak się do rozumu przywodzi tych, co go nie nabyli w Bolonii!»

Opowieść dziesiąta



OSZUSTKA NA HAK PRZYWIEDZIONA

Pewna Sycylijka z nieporównaną zręcznością zawładnęła towarami kupca, przywiezionymi do Palermo. Kupiec ów udaje, że powrócił do Palermo z jeszcze większym zapasem towarów, po czym pożycza od niej pieniądze, aby ją później na lodzie osadzić.

Nie trza nawet mówić, jaki śmiech wzbudziła wśród dam opowieść królowej. Nie było takiej słuchaczki, której by od nadmiernego śmiechu nie pokazały się z dziesięć razy łzy w oczach. Gdy królowa skończyła, Dioneo, wiedząc, że na niego teraz kolej przychodzi, rzekł w te słowa:

– Wiadomą jest rzeczą, miłe damy, że żart tym bardziej ludziom do smaku przypada, im bardziej sprytnym jest ten, kogo wystrychnięto na dudka. Dlatego też, chociaż każda z was już piękną historię opowiedziała, ja jeszcze jedną na zakończenie tego dnia przytoczyć pragnę. Powinna się wam podobać bardziej niż każda inna na tej materii osnuta, dlatego że oszukana osoba była sama większą mistrzynią w oszukiwaniu innych niż ktokolwiek z tych, o których była tu mowa.

«We wszystkich miastach nadbrzeżnych, porty posiadających, istniał kiedyś, a może i dziś jeszcze istnieje, obyczaj, zgodnie z którym wszyscy kupcy przybywający z towarami, wylądowawszy je z okrętu, składali swój dobytek do składów. W wielu miejscach taki schów, zwany doganą⁷², należał do gminy albo do pana tych ziem. Oddawszy spis towarów ludziom zawiadującym tymi sprawami i oznaczywszy ceny, kupcy zamykali otrzymane składy na klucz. Celnik, mający zwierzchni nadzór nad portem, wpisywał wówczas do księgi wszystkie towary kupca i żądał później zapłaty w miarę ich odbierania. Dzięki tym księgom faktorzy nierzadko dowiadawali się o ilości towarów, a także jacy kupcy je przywieźli, po czym już targu dobijano lub zamiany czyniono.

Obyczaj ten istniał też w Palermo na Sycylii, w mieście, co po dziś dzień słynie z wielu białogłów odznaczających się pięknym ciałem, ale nie cnotą. Człek, który ich nie zna, skłonny jest je poczytywać za wielce obyczajne istoty. Białogłowy te gotowe są zedrzeć skórę z każdego mężczyzny. Gdy tylko przybędą cudzoziemscy kupcy, zaraz dowiadują się one z portowej księgi, kto co przywiózł i za ile towar sprzedać może, po czym łaskawymi słowami i płochym obejściem starają się obrócić na siebie uwagę, a wreszcie usidlić kupców swoją mi-

łością. Już wielu ludzi sprowadziły w ten sposób na bezdroża i cały towar z rąk im wyrwały. Zdarzali się i tacy, co zostawili w Palermo nie tylko swoje towary i okręty, ale także i kości, tak zrecznie bowiem te balwierki brzytwą władały.

Przed niedawnym tedy czasem przybył do Palermo pewien młodzieniec florencki, Niccolo da Cignano, Salabaettem przewany. Na polecenie swoich zwierzchników przywiózł z sobą tak wiele sukna, danego mu na kredyt na jarmarku w Salerno, że mógłby za nie pięćset złotych florenów otrzymać. Zapłaciwszy w porcie za przechowanie, złożył towar do składów i nie śpiesząc się zbytnio ze sprzedażą, jał się po mieście przechadzać. Salabaetto był młodzieńcem jasnym, płowym, kształtnym i urodziwym, aliści i letko myślącym, ponieważ życie mu się uśmiechało. Zdarzyło się, że jedna z tych balwerek, o których wyżej wspomnieliśmy, imieniem Jancofiore, usłyszawszy o nim, obróciła nań uwagę swoją. Salabaetto spostrzegł to i imaginując sobie, że ma do czynienia z jakąś znaczną damą, postanowił ją olśnić urodą swoją i grę miłosną chytrze przeprowadzić.

Nikomu nic o damie nie mówiąc począł się przechadzać pod jej oknami. Zalotnica spostrzegła to wkrótce. Przez kilka dni zapalała go oczyma, czyniąc pozór, że schnie z miłości doń, po czym posłała do niego tajnie jedną ze swych służek, wytrawną rajfurkę. Służka niemal ze łzami w oczach po długim kołowaniu wyznała Salabaettowi, że pani jej nie może znaleźć spokoju we dnie ani w nocy, ponieważ za jego sprawą w miłosną niewolę popadła. Dlatego też niczego tak na świecie nie pragnie, jak zejść się z nim tajnie w pewnej łaźni. Po czym wyjąwszy z zawiniątka piękny pierścień wręczyła go Salabaettowi w imieniu swej pani. Młodzieniec wysłuchawszy tych słów niezmiernie się uradował, schwycił pierścień, a nasyciwszy nim oczy i ucałowawszy go, nasunął go na swój palec i odparł służce, że madonna Jancofiore jego wzajemność posiada, ponieważ on, Salabaetto, miłuje ją nad życie. Gotów będzie pójść za nią wszędzie, gdzie tylko mu rozkaże, i o każdej porze.

Służka zniosła ten respons swej pani. Salabaetto wkrótce dowiedział się, że następnego popołudnia ma czekać na swoją damę w łaźni. Nic nikomu nie mówiąc przybył tam w oznaczonym czasie. Łaźnia była już przez damę zamówiona. Po chwili zjawily się dwie służki. Jedna z nich niosła na głowie materac, puchem nabity, druga wielki kosz z różnymi rzeczami. Położywszy materac na ozdobnym łożu, stojącym w jednej z komnat łaziebnych, rozesały na nim najcieńsze prześcieradła z jedwabną obszywką i śnieżnobiałe pokrycie z tkaniny cypryjskiej, na które rzuciły dwie haftowane misternie poduszeczki. Po czym rozebrawszy się weszły do łaźni, oporządziły ją i pięknie wymyły. Po pewnym czasie zjawila się sama Jancofiore, otoczona przez dwie inne służebne.

Obaczywszy Salabaetta rzuciła się ku niemu z oznakami niepohamowanej radości. Objęła go, ucałowała i wzdychając ciężko, wreszcie rzekła:

– Nie wiem, kto by mnie mógł przywieść do tego stanu krom ciebie. Rozgorzałam całą duszą dla cię, srogi mój Toskańczyku!

Po czym zgodnie z jej życzeniem nago weszli do łaźni, a wraz z nimi dwie służki. Tam, nie pozwalając służkom dotknąć się Salabaetta, wymyła go mydłem goździkowym, a następnie sama kazała się wymyć służkom. Służki przyniosły dwa cienkie, białe prześcieradła, od których biła tak silna woń jak od świeżych róż. Jedna ze służek zawinęła w prześcieradło Salabaetta, druga damę; po czym zanosły ich na przygotowane łoże. A gdy osuszyli się, po zdjęciu wilgotnych prześcieradeł przez służki, spoczywali nago na posłaniu. Po chwili służki wydoły z kosza wspaniałe srebrne flakony, napełnione wodą różaną, pachnidłem jaśminowym i pomarańczową esencją. Spryskały ich tymi pachnidłami, a potem przyniosły pudła ze słodyczami i butle najprzedniejszego wina, którym miłośnicy się pokrzepili. Salabaettowi zdawało się, że się w raju znajduje. Tysiąc razy spoglądał na damę, która była dlań w tej chwili najpiękniejszą na świecie białogłową. Każda godzina oczekiwania była dlań dłuższą od stu lat. Pragnął, aby służki oddaliły się jak najprędzej i aby mógł się wreszcie znaleźć w objęciach damy. Wreszcie, zgodnie z wolą damy, służki oddaliły się, ostawiając w komnacie zapaloną

pochodnię. Salabaetto porwał damę w ramiona i nie wątpiąc ani chwili, że rozgorzała ku niemu miłością bezmierną, zapamiętał się długo w rozkoszy. Po pewnym czasie zalotnica oznajmiła, że już pora wstawać; wezwała przeto służki, które ich ubrały. Pokrzepiwszy się nieco słodyczami oraz winem i umywszy ręce pachnącą wodą, miłośnicy jęli się do drogi zbierać. Przy pożegnaniu dama rzekła:

– Jeślibyś zechciał przyjść do mnie dziś wieczorem na wieczerzę i na nocleg, byłabym szczęśliwa niezmiernie.

Salabaetto, zachwycony urodą damy, jej udaną przymilnością ujęty, a przy tym twardo przekonany, że ona go miłuje nad wszystko w świecie, rzekł:

– Każde twoje życzenie jest świętością dla mnie. Dlatego też dzisiaj, jak zawsze, gotów jestem wypełnić wszystko, czego zapragniesz.

Dama po powrocie do domu kazała przybrać godnie swoją komnatę i przygotować wspaniałą wieczerzę. Po czym zaczęła oczekiwać na Salabaetta, który nadszedł o zmroku i został powitany z radością. Po spożyciu dobrze zastawionej wieczerzy przeszli do sypialnej komnaty. Tutaj Salabaetto poczuł rozkoszną woń drzewa aloesowego i różnych pachnidła i obaczył wspaniałe łoże, a także bogate tkaniny na ścianach wiszące. Widząc te szczegóły, do tej myśli przyszedł, że ma do czynienia z bogatą i znamienitą damą.

Chociaż więc doszło już do uszu jego kilka niepoehlebnych o niej posłuchów, przecie żadną miarą wiary dać im nie chciał. Gdyby nawet i był zdolny uwierzyć, że tego lub innego w pole wywiodła, co do siebie nie wątpił, że z nim tak nie postąpi. Spędził tedy tę noc przy niej, pełen radości, i mocniejszym jeszcze płomieniem rozgorzał. Gdy świt zabłysnął, dama opasała go na pożegnanie pięknym i wielce misternym pasem srebrzystym, przedziwną sakiewką na pieniądze opatrzonym, i rzekła:

– Mój najdroższy Salabaetto, zachowaj wiecznie miłość do mnie i wiedz, że w każdej chwili jestem na twoje usługi i że wszystko, co tutaj widzisz i co tylko osiągnąć mogę, jest do twego rozporządzenia.

Salabaetto uściskał ją, rozczulony, ucałował i pożegnawszy się z nią, pośpieszył tam, gdzie się kupcy zbierali.

Młodzieniec nieraz jeszcze z wdzięków damy korzystał, nie wydając na te miłosne igraszki ani złamanego szeląga i coraz gorętszym afektem dla niej się przejmując. Tymczasem udało mu się zbyć za pieniądze towar przywieziony i znacznie przy tym zarobić. Zalotnica wnet dowiedziała się o tym od trzecich osób. Pewnego tedy wieczora, gdy Salabaetto przybył do niej na dłużej, zręczna białogłowa jęła wysilać całą przebiegłość swoją. Szczebotała do niego, żartowała, okrywała go nieustannie pocałunkami i nie puszczając go z objęć swoich, czyniła pozór tak zakochanej, iż przysięgłbyś, że z nadmiaru miłości skona w jego objęciach. Wśród tych pieszczot chciała go zmusić do przyjęcia w podarunku dwóch srebrnych pucharów, aliści Salabaetto nakłonić się do tego nie dał, zrachowawszy bowiem wartość podarunków dotychczas otrzymanych, poznał, że przenoszą one sumę trzydziestu dukatów, gdy tymczasem ona od niego nawet drobnostki wartości grosza przyjąć dotychczas nigdy nie chciała. Gdy zalotnica dowodami miłości i szczodroblewości naszego młodzieńca w uniesienie wprawiła, weszła jedna z jej służek, dobrze poprzednio wyuczona, i pod pokrywką jakiejś sprawy damę z komnaty wywołała. Za chwilę powróciła dama do kochanka, ale w jakże odmienionym stanie! Tonąc w gorzkich łzach i jęcząc, rzuciła się twarzą na łoże i najboleńsze skargi, jakie kiedykolwiek z kobiecej piersi wyszły, rozwodzić poczęła. Salabaetto, wzruszony i zdziwiony srodze, porwał ją w ramiona zmieszał swoje łzy z jej łzami i zawołał:

– Biada mi! O serce mojego serca, co ci tak nagle dokuczać poczęło? Jakiż być może powód twej boleści? Powiedz mi, duszo moja!

Zalotnica długo prosić się dała, wreszcie rzekła:

– O mój najdroższy panie, nie wiem, wierę, co czynić ani co mówić. W tej chwili właśnie otrzymałam list z Mesyny, w którym brat mój pisze, że za tydzień najdalej muszę mu tysiąc

dukatów przysłać, choćbym miała sprzedać i zastawić w tym celu wszystko, co posiadam, inaczej bowiem da gardło. Nie wiem, co począć. Skądże ja tak prędko podobną sumę wezmę? Gdybym miała choć czternaście dni czasu, to potrafiłabym wydostać te pieniądze od człeka, który mi jest znacznie więcej winien, albo też sprzedałabym jedną z posiadłości naszych. Cóż pocznę jednak teraz, gdy mnie czas nagli? Och, bogdajbym umarła pierwej, nim ta smutna wiadomość do rąk moich doszła.

To rzekłszy, od nowa głośnym płaczem wybuchnęła, jak gdyby całkiem ją ta troska przybiła.

Salabaetto, którego namiętność przyrodzonej rozwagi pozbawiła, biorąc łzy i słowa kochanki swojej za rzetelne, zawołał:

– Madonno, tysiącem, zaiste, służyć wam nie mogę, ale pięćset dukatów w każdej chwili pożyczyc wam gotów jestem, zwłaszcza że, jak powiadacie, będziecie mi je mogli oddać po dniach czternastu. Prawdziwe to szczęście dla was, że właśnie wczoraj towar mój sprzedałem. Gdyby nie ten szczęśny przypadek, ani grosza nie byłbym wam mógł pożyczyć.

– O ja nieszczęśliwa! – wykrzyknęła zalotnica na to – więc brakowało ci pieniędzy? Przeczże nic o tym nie mówiłeś i nie żądałeś ich ode mnie? Nie tysiąc wprawdzie, ale sto lub dwieście dukatów byłabym ci natychmiast pożyczyla. Postępkiem swoim odjąłeś mi niestety możliwość przyjęcia przysługi, z jaką się ofiarujesz.

Salabaetto, tym nowym dowodem tkliwości jeszcze bardziej otumaniony, odparł:

– Nie bierzcie stąd pochopu do dalszego oporu, madonno! Gdybym się znalazł w tak ciężkiej potrzebie, jak wy dzisiaj, niewątpliwie udałbym się do was o pomoc.

– O mój Salabaetto – rzekła zalotnica – teraz dopiero dowodnie przekonuję się, iż miłość twoja do mnie prawdziwą jest i szczerą, skoro nie czekając, aż cię sama poproszę, tak wielką sumą pieniędzy chcesz mnie w ciężkiej potrzebie wspomóc. Wierę, i bez tego cała do ciebie należałam, teraz jednak, po tym postępku, tym bardziej twoją własnością się staję. Nie zapomnę także nigdy, że ci życie brata mego zawdzięczam. Bóg jeden wie, z jaką niechęcią te pieniądze biorę, zwłaszcza gdy pomyślę, że kupcem jesteś i że kupcy ciągle pieniądze do prowadzenia różnych spraw potrzebują. Jedynie dla tej racji, że potrzeba mnie uciska i że mam nadzieję nieomylną, iż w krótkim czasie dług mój uiszczę, pomoc twoją przyjmuję i zabezpieczam ją na wszystkim, co tutaj widzisz.

Rzekłszy te słowa, rzewliwymi łzami się zalała i rzuciła mu się w ramiona. Salabaetto, widząc ją tak rozrzewnioną, ze wszystkich sił pocieszyć ją się starał. Przepędziwszy noc w jej domu, rankiem następnego dnia, na dalsze wezwania nie czekając, przyniósł jej pięćset błyszczących dukatów, które ona z śmiejącym się sercem i łzawymi oczyma przyjęła. Rzecz oczywista, że nie było mowy o wekslu lub o jakimkolwiek obligu. Salabaetto poprzestał na prostej obietnicy.

Aliści ledwie zalotnica pieniądze do rąk pochwyciła, inne dla Salabaetta czasy się zaczęły. Dawniej miał wolny przystęp do jej domu, ile razy mu się to tylko podobało, teraz zaczęły się pojawiać jakieś nieustanne przeszkody, wskutek których ledwie raz na siedem razy dostać mu się do niej udawało, ale i wtedy nawet nie witano go z takim uniesieniem i nie przyjmowano z podobną radością jak pierwej. Tymczasem czas oznaczony na zwrócenie pieniędzy nie tylko się przybliżył, ale nawet miesiąc, a potem i drugi po terminie upłynął. Ilekroć Salabaetto ośmielił się skromnie o dług napomknąć, piękne słówka miast pieniędzy otrzymywał. Wówczas dopiero przejrzał chytry zamysł białogłowy i o swojej łatwowierności się przekonał, a zarazem pojął, że w tej całej sprawie nic nie wskóra, nie mając kwitu ani świadków. Zresztą płonął wstydem na samą myśl uzalenia się przed kimkolwiek dla tej przyczyny, że go wówczas przestrzegano, a poza tym i dlatego, że spodziewał się jedynie drwin zasłużonych.

Niepomiernie przygnębiony opłakiwał w samotności swoją nierozwagę. Tymczasem, na domiar nieszczęścia, przełożeni pisali list za listem, aby im pieniądze za sprzedane towary przysłał, bowiem ich koniecznie potrzebują.

W tym stanie rzeczy, nie mogąc ich prośbie zadość uczynić, postanowił Salabaetto błęd swój przynajmniej jak najprędzej ukryć i spiesznie odjechać. Wsiadł tedy na mały okręt i popłynął na nim nie do Pizy, jak był powinien, ale do Neapolu.

W Neapolu żył podówczas jeden z ziomków naszych, Pietro del Canigiano⁷³, będący skarbnikiem cesarzowej Konstantynopola⁷⁴, mąż wielkiej bystrości i rozwagi, a przy tym ścisły Salabaetta i jego rodziny przyjaciel. Jemu więc, jako człowiekowi ze wszech miar zaufania godnemu, zwierzył się po upływie kilku dni Salabaetto. Jęcząc i lamentując, rozpowiedział szczegółowie o wszystkim, co był uczynił, i o tym, jakie go nieszczęście spotkało, oraz błagał o radę i pomoc. Oświadczył przy tym, że do Florencji już nigdy powrócić nie zamierza. Canigiano, wielce nierad temu, co usłyszał, odparł:

– Żleś uczynił, źleś postąpił, źleś przełożonym swoim wierności dochował! Zbyt wiele pieniędzy na raz dla swojej przyjemności wydałeś. Ale po co tu dłużej gadać po próżnicy! Co się stało, już się nie odstanie, a teraz radźmy, jakby zło naprawić.

Zaczęli się tedy naradzać i wkrótce Piętro, jako człek nie w ciemni bity, wpadł na myśl, jakby nieszczęściu zapobiec, po czym odkrył swój zamysł Salabaettowi, któremu tak się on podobał, że nie mieszkając urzeczywistnić go postanowił. Miał jeszcze trochę pieniędzy przy sobie: resztę pożyczył mu Canigiano. Zebrało się tyle grosza, że Salabaetto mógł zakupić wiele dobrze związanych worów i dwadzieścia beczulek na oliwę, które napelnić; po czym z całym ładunkiem do Palermo powrócił. Wjeżdżając do miasta, podał celnikom spis worów i beczek oraz ich cenę; kazał je wszystkie na swój rachunek zapisać, złożył cały ładunek w porcie i oświadczył, że nie ruszy nic z tych towarów, póki inne, na które czeka, nie nadejdą.

Wiść o przybyciu Salabaetta doszła od razu do madonny Jancofiore, która usłyszawszy, że towary, które Salabaetto przywiózł, dwa tysiące dukatów a może i więcej wartają, nie licząc tych, co dopiero są w drodze, a które na z górą trzy tysiące ceniono, do tej myśli przyszła, że jeszcze lepiej obłowić się będzie mogła i większą część pięciu tysięcy zagarnie, jeśli mu teraz owych pięćset dukatów zwróci. Z tą myślą poszła po niego. Salabaetto, którego już nie darmo raz na hak przywiedziono, przybył spiesznie. Zalotnica ujrzawszy go, udała, że nie wie bynajmniej, co przywiózł ze sobą, i okazując wielkie ukontentowanie zawołała:

– Ach, jesteś wreszcie! Jakżeś musiał gniewać się na mnie, że ci pieniędzy w oznaczonym czasie nie oddałam!

Salabaetto miast odpowiedzi śmiać się począł, a po chwili rzekł:

– W samej rzeczy, madonno, trochę mnie to dotknęło, bo wyjąłem sobie te pieniądze spod serca, aby się wam przysłużyć, wy zasię tymczasem... Aliści zaraz się przekonacie, czy na was gniewać się potrafię. Miłość moja do was była tak wielka i silna, iż skłoniła mnie do sprzedania większej części moich posiadłości i zakupienia za te pieniądze towarów, których dotąd przywiozłem więcej niż za dwa tysiące dukatów. Obecnie czekam jeszcze na przesyłkę wartości trzech tysięcy dukatów. Mając taki zasób towarów, otworzę tutaj sklep, aby już nigdy od was oddalać się nie potrzebować, miłość wasza bowiem droższa jest mi nad życie, a tak niezbędna, jak powietrze do oddychania.

– Salabaetto – odrzekła na to dama – to wszystko, czego ty pragniesz i co uczynisz, zawsze mi jest miłe i ja bowiem kocham cię nad życie. Najmilszą jednak jest mi wieść, żeś powrócił, aby się tutaj osiedlić, gdyż będę mogła niejedną jeszcze uroczą godzinę z tobą spędzić. Przede wszystkim muszę jednak usprawiedliwić się przed tobą, że przed odjazdem nie przyjechałam cię kilka razy w swym domu lub że przyjąwszy, nie tak jak zazwyczaj uprzejmą i tkliwą dla ciebie się okazałam. Także chcę ci wyjaśnić, dlaczego ci pieniądze w oznaczonym nie oddałam terminie. Otóż trzeba ci wiedzieć, że podówczas byłam pogrążona w wielkiej boleści i zmartwieniu głębokim. Kto w takim stanie się znajduje, mimo całej miłości do kochanka, nie zawsze może mieć dlań uśmiechnięte oblicze i tyle mu uwagi okazywać, ile by mu się słusznie należało. Co się zaś owych pieniędzy tyczy, to łatwo chyba pojmiesz, że z trudnością przychodzi białogłowie oddać pięćset dukatów, jeśli ci, którym pożyczyła, słowa

jej nie dotrzymują. Oszukali mnie różni ludzie i tym sposobem kłamczynię ze mnie uczynili. Dopiero wkrótce po odjeździe twoim odebrałam pieniądze, gdybym była wiedziała, gdzie je odesłać, bądź pewien, że nie byłabym zwlekała ani chwili dłużej. Aliści nie znałam miejsca twego pobytu i dlatego też u siebie pieniądze przechowałam.

To rzekłszy, kazała przynieść woreczek, ten sam, który Salabaetto kiedyś jej wręczył, i oddając mu go rzekła:

– Policz, czy jest pięćset.

Salabaetto nigdy w życiu nie doznał większej radości jak w tej chwili. Pohamował się jednak, przeliczył spokojnie dukaty, przekonał się, że jest ich pięćset, schował kieskę i rzekł:

– Madonno, wierzę najświęciej w słowa wasze. Jestem całkiem ukontentowany, bowiem wiem, że uczyniliście wszystko, co uczynić byliście obowiązani. Bądźcie upewnieni zatem, że dlatego i dla miłości, jaką dla was żywię, gotów będę służyć wam taką sumą, jaką rozporządzać mogę, na jakikolwiek cel będziecie jej ode mnie zażądali. Zechciejcie mnie tylko na próbę wystawić.

W taki sposób dawna ich miłość, w słowach przynajmniej, na nowo zawiązana została i Salabaetto rozpoczął znów z zalotnicą poufały i tkliwy stosunek, doznając od niej ciągłych objawów czci i miłości najgorętszej. To go jednakże nie mogło skłonić do porzucenia myśli o odwecie. Owszem, postanowił równą miarką damie zapłacić. Pewnego tedy dnia, gdy zalotnica posłała po niego, zapraszając go na wieczerzę i nocleg, zjawił się, aliści tak zrozpaczony i pomieszany, iż zdawało się, że przytomność utracił. Jancofiore uścisnęła go i tkliwie badać poczęła, co ten smutek oznacza. Salabaetto długo dał się prosić, wreszcie, jakby był jej czułością zwyciężony, rzekł w te słowa:

– Jestem zgubiony! Okręt, którego czekałem, a na którym znajdowały się towary, wpadł w ręce korsarzy z Monaco. Oddadzą je za wykupem dziesięciu tysięcy dukatów, z czego na mnie tysiąc przypada. Tymczasem nie mam ani złamanego szeląga przy duszy, te bowiem pięćset dukatów, które mi oddaliście, posłałem natychmiast do Neapolu, aby za nie materii lnianej zakupiono. Gdybym chciał w tej chwili sprzedać towary, znajdujące się w porcie, dostałbym za nie zaledwie pół ceny, jeszcze bowiem na sprzedaż ich stosowna pora nie nadeszła. Pozostaje mi więc tylko pożyczyć. Nie jestem tutaj jednakże jeszcze dość znanym członkiem, abym mógł znaleźć kogoś, co by mnie w potrzebie poratował. Nie wiem tedy, jak złu zaradzić ani gdzie się obrócić. Jeżeli nie wyślę zaraz tych pieniędzy, towary moje dostaną się do Monaco i wówczas już nic z nich nie obaczę.

Wiadomość ta dotknęła zalotnicę nader niemile, bowiem dzięki niej wszystkie jej zamysły w niwecz się obracały. Dama poczęła rozważać, jakiego by w danym razie użyć środka dla zaradzenia złu, i rzekła:

– Bóg wie, jak cierpię, widząc twoje zmartwienie. Na cóż jednak zda się tu rozpacz? Trzeba radzić. Gdybym miała pieniądze, klnę się na mą duszę, że pożyczylabym ci je natychmiast, aliści tak wielkiej sumy nie posiadam. Znam jednakże pewnego człeka, który mi niedawno pożyczył kilkaset dukatów, do owego tysiąca brakujących, ale ten lichwiarz żąda ogromnego procentu, nie mniej niż trzydzieści od sta. Jeślibyś chciał pożyczyć od niego, to musisz mu dać jakiś dobry zastaw. Co się mnie tyczy, to gotowa jestem dać mu jako porękę wszystko, co posiadam, wraz z sobą na przydatek, o ile tylko pożyczyć zechce. Aliści w razie, gdy to nie wystarczy, na czym mu resztę zabezpieczysz?

Salabaetto odgadł od razu, jaka pobudka skłania ją do uczynienia mu tej przysługi. Młodzieniec nie wątpił ani na chwilę, że owym tajemniczym lichwiarzem jest ona sama. Była to właśnie woda na jego młyn. Dlatego też naprzód korny dank jej złożył, a następnie rzekł, że w tak ciężkiej jak obecna potrzebie największy procent zapłacić jest gotów. Co się rękojmi tyczy, to oświadczył, że towary złożone w porcie każe przenieść na nazwisko tego, kto mu pieniędzy pożyczy, i tylko klucz od schowu przy sobie zostawi, aby w razie wezwania mógł kupcom towary pokazać i aby mu niczego nie poruszono lub nie przemieniono przypadkiem.

Zalotnica odparła, że ta rękojmia całkiem wystarczająca jej się wydaje; po czym rozstali się z sobą. Nazajutrz sprytna nasza dama posłała rankiem po zaufanego człeka, opowiedziała mu rzecz całą i wręczyła tysiąc dukatów, które on natychmiast Salabaettowi zaniósł. Salabaetto zasię ze swej strony wszystek towar, złożony w porcie, na jego imię przenieść kazał. Zamieniwszy rewersa rozstali się w zgodzie i każdy z nich za swymi sprawami się udał. Aliści Salabaetto niedługo już w mieście bawił. W kilka godzin potem wsiadł na mały statek z tysiącem pięćset dukatów w kieszeni i powrócił do Neapolu do Pietra del Canigiano, skąd ścisły rachunek za sprzedany towar odesłał do Florencji na ręce przełożonych, którzy go z sukmem wyprawili.

Zwróciwszy Pietrowi i innym wierzycielom ich należności, za resztę pieniędzy, podstępnie od chytrej Sycylianki wyłudzonych, niejedyn jeszcze wesoły dzień z Canigianem spędził. Po czym odrzekłszy się kupiectwa, do Ferrary odjechał. Tymczasem w Palermo Jancofiore, nie mogąc Salabaetta odnaleźć, dziwić i niepokoić się poczęła. Gdy dwa miesiące minęły, a jego wciąż jeszcze; widać nie było, kazała za pośrednictwem swego zaufanego człeka drzwi, wiodące do składów, wyłamać. Naprzód otworzono beczułki, rzekomo oliwą napelnione, i znaleziono je pełne wody morskiej, nad którą około garnca oliwy pływało. Po czym rozpruto wory i przekonano się, że wszystkie – za wyjątkiem dwóch, zawierających w sobie nędzne gatunki materii – pakułami nabite były.

Słowem, wszystkie towary wartości dwustu dukatów nie prznosiły. Teraz dopiero poznała Jancofiore, że ją na hak przywiedziono, i długo nie mogła utulić żalu za pięciuset dukatami, które oddała, a także za tysiącem, który pożyczyła. Wzdychając ciężko, powtarzała nieraz: „Kto z Toskanem sprawę toczy – niech otwiera dobrze oczy.”

Tak oto przebiegła oszustka odniosła od razu wstyd i szkodę, przekonawszy się pierwej, że trafia czasem kosa na kamień.»

Gdy Dioneo opowiadanie swoje zakończył, Lauretta widząc, że czas jej rządów minął, pochwaliła wielce skuteczną radę Pietra del Canigiano oraz niemniejszy spryt Salabaetta, po czym, zdjawszy z głowy swojej laurowy wieniec, włożyła go na skronie Emilii i w te słowa rzekła:

– Nie wiemy jeszcze, madonno, czy łaskawą królowę w tobie mieć będziemy, że piękną jednak, o tym wątpić nam nie lza. Staraj się przeto, aby czyny twoje z wdziękami twymi zrównać można było. Rzekłszy te słowa, na dawnym swym miejscu zasiadła.

Emilia, nie dla tej racji, że ją na królowę wyniesiono, ale dlatego że wobec wszystkich pochwalono w niej to, co kobiety szczególnie posiadać pragną, spłonęła rumieńcem i stała się podobna do wczesnych róż, promieniami świtu zalanych. Trzymała oczy tak długo spuszczone, aż rumieniec nie zniknął, po czym wezwała marszałka, wydała mu potrzebne zarządzenia i wreszcie rzekła w te słowa:

– Wiemy wszyscy, urocze towarzyski, że wołom, które w jarzmie przez znaczną część dnia chodzą, wieczorem daje się pełną swobodę, tak aby się dowoli na błoniach paść mogły. Widzimy także, że ogrody, gdzie różne rośliny kwitną, nie mniej są piękne, owszem piękniejsze nawet od borów, w których same tylko dęby rosną. Dla tych to przyczyn sądzę, że i nam, tak długo już w nakreślonych prawem granicach snuć nasze opowiadania zmuszonym, a również i pokrzepienia potrzebującym, nim nowego jarzma na się nie weźmiemy, pewna swoboda dla nabrania sił nie tylko pożyteczna, ale i pożądana będzie. Jestem tedy zdania, że jutro, przyjemne opowieści nasze dalej prowadząc, do jednej materii ograniczać się nie powinniśmy. Niechaj każdy opowiada, o czym mu się podoba. Żywią tę pewność niezachwianą, że różnorodność materii, którą opowiadający się zajmą, nie mniej sprawi nam ukontentowania od opowiadań jednej tylko sprawie poświęconych. Na ten raz spróbujmy tego, a potem następcą mój, który po mnie władzę sprawować zacznie, z tym większą surowością będzie nas mógł zwyczajnymi ograniczyć prawami.

To rzekłszy rozpuściła wszystkich aż do obiadowej pory. Wszyscy pochwalili mowę królowej, jako mądrą, po czym powstawszy z miejsc, oddali się ulubionym rozrywkom swoim. Damy zajęły się wiciem wieńców i różnymi igraszkami, młodzieńcy zaś grą i śpiewem. Gdy na wieczerzę wezwano, zasiedli wszyscy dokoła fontanny, po czym zaczęli z wielką wesołością potrawę spożywać. Po wieczerzy, jak zwykle, śpiewem i płasami się bawili.

Królowa, chcąc pozostać wierną obyczajowi poprzedników swoich, nie bacząc na pieśni, które bez jej nakazu już odśpiewali, wezwała Panfila, aby jakąś piosenkę zanucił. Ten, pełen prawdziwej ochoty, w te słowa zaczął:

Ponieważ cały należę do ciebie,
Więc mnie tak hojnie obdarzasz, Amorze,
Że ledwie serce to wytrzymać może.
Ten zbytek szczęścia, co mnie pieści,
Rozkoszy, którą czuję w duchu,
Rzeczywistości wraz z nadzieją
Ledwie się w piersiach mych pomieści,
Zdradza się w każdym moim ruchu,
W licach, co się słonecznie śmieją
I chociaż milczą, rzec umieją,
Że nad miłości technienie boże
Więszszego szczęścia ziemia dać nie może!

Daremnie pragną moje pieśni
Wyrzucić pełnię uczuć całą;
Wyśpiewać, zwierzyć ich nie mogę,
Skrywać je muszę w serca cieśni,
Bo gdyby się to jawnym stało,
Rozkosz się zmieni w męki srogie –
A dziś zachwyty me tak mnogie,
Że sto języków w ciągłym rozhovorze
Nigdy ich wszystkich wyliczyć nie może.

Któż by pomyślał, że tą dłonią
Tuliłem ją do serca drżący,
Ją, która wszystkim mi na ziemi;
Że usta do ust, skroń ze skronią,
Na wszystko w świecie głusi, niemi,
W uścisk spłynęliśmy gorący,
Szalony, długi, słodki, wrzący?
Nikt nie uwierzy – w tym mój triumf, Amorze,
Nikt mi więc szczęścia zamącić nie może!

Piosnka Panfila skończyła się. Wszyscy, którzy jej wtórowali, z największą uwagą słuchali jej treści i bardziej może, niż przystało, starali się odgadnąć to, co śpiewak – jak zaręczał – tak starannie ukryć się starał. Mimo licznych domysłów, nikt jednak prawdy nie odgadł. Wkrótce potem królowa, widząc, że wszystkim przytomnym już sen oczy skleja, całe towarzystwo do sypialnych komnat odpuściła.

Tu zamyka się ósmy dzień Dekameronu i zaczyna dziewiąty, w którym pod przewodem Emilii każdy opowiada o tym, co najbardziej mu się podoba i szczególnie przypada do smaku.



**DZIEŃ
DZIEWIĄTY**

Światło, przed którego blaskiem noc ucieka, zamieniło właśnie ciemny błękit ósmego nieba⁷⁵ na jasny, a kwiaty na łąkach podnosić się zaczynały, gdy Emilia powstała ze snu i towarzyski swoje oraz młodzieńców zbudzić kazała. Gdy się wszyscy zebrali, królowa wolnym krokiem idąc pociągnęła ich za sobą do małego lasu, w pobliżu zamku rosnącego. W lesie napotkali zwierzynę rozliczną, jak sarny i jelenie, które przy trwającej wciąż zarazie morowej, czując się bezpiecznymi od strzelca, pozwoliły im ufnie zbliżyć się do siebie, jak gdyby pozbyły się wszelkiej obawy i całkiem oswojonymi się stały.

Damy i młodzieńcy zbliżali się do zwierząt i udając, że je schwytać pragną, pobudzali je do skoków i ucieczki. Stąd wynikła dla towarzystwa wielce przyjemna rozrywka. Gdy jednak słońce wzniosło się wyżej, uznali wszyscy, że czas do domu powracać. Każde z nich uwieńczone było dębowymi gałęziami i niosło w rękę pełno pachnących kwiatów lub ziół, iż kto by ich w drodze napotkał, nie mógłby powiedzieć nic innego, jak jeno to: „O, tych śmierć nie zwycięży – albo zginą z uśmiechem na ustach!” Tak krok za krokiem idąc, śpiewając, gawędząc i przekomarzając się z sobą, doszli wreszcie do pałacu, gdzie już wszystko przygotowane znaleźli. Służba przywitała ich nader wesołym obliczem. Nieco wczasu zażywszy, zasiedli do stołu wysłuchawszy uprzednio sześciu piosenek, jednej weselszej od drugiej, po czym podano wodę do umycia rąk. Marszałek, zgodnie z wolą królowej, wskazał wszystkim miejsca za stołem. Po obiedzie zabawiano się przez czas niejaki śpiewem i tańcem, po czym królowa pozwoliła odpocząć tym, którzy wczasu łaknęli. Gdy oznaczona pora nadeszła, zebrali się wszyscy na umówionym miejscu, by opowieści dalej ciągnąć. Królowa, spojrzawszy na Filomenę, jej dnia tego rozpocząć kazała. Ta zaczęła z uśmiechem w te słowa:

Opowieść pierwsza



CIEŻKIE PRÓBY

Rinuccio i Alessandro miłują Franceskę, która wzajemnością im nie odpłaca. Dlatego też chytrze się od nich uwalnia, każe bowiem jednemu z nich jako zmarłemu położyć się do grobu, a drugiemu dźwigać go jako trupa. Obaj jednak nie mogą zadania swego wypełnić do końca.

– Nader mi miło, madonno, że waszemu rozkazowi zadość czyniąc, na tym nieograniczonym i otwartym polu, które wspaniałomyślności waszej zawdzięczamy, będę mogła pierwsza stanąć do biegu. Jeśli mi się to powiedzie, to nie wątpię, że moi następcy równie dobrze albo i lepiej nawet ode mnie ze swego zadania się wywiążą.

Nieraz już, wdzięczne towarzyszki moje, w opowieściach naszych wielka potęga miłości na jaśnie podana została. Nie sądzę jednak, abyśmy materię tę wyczerpali ani też aby to w ogólności możebne było, choćbyśmy nawet od dziś przez rok cały tylko o miłości mówili. Ponieważ potęga miłości bardzo często kochanków nie tylko na rozliczne niebezpieczeństwa śmiercią grożące wystawia, ale nieraz k'temu ich przywodzi, że niby umarli do grobowców schodzą, umyśliłam przeto, aby do tych opowieści, które dotychczas słyszeliśmy, dodać jeszcze jedną. Poznacie z niej dowodnie potęgę miłości, a zarazem ocenicie roztropność pewnej zacnej niewiasty, co pozbyła się dwóch kochanków, którzy ją, ku jej utrapieniu, miłością swoją prześladowali.

«Żyła niegdyś w Pistoii wielce urodziwa wdowa, którą dwaj Florentczycy, mieszkający tam na wygnaniu, Rinuccio Palermini⁷⁶ i Alessandro Chiarmontesi namiętnie miłowali. Nie wiedząc nawzajem nic o afektach swoich, starali się ukradkiem wszelkich możliwych starań dołożyć, aby przedmiot swojej miłości pozyskać. Szlachetna dama, zowiąca się Francesca de'Lazzari, opędzić się nie mogła od natrętnych listów, nagabywań i oświadczeń obydwu młodzieńców. Ponieważ kilkakrotnie użyczała im nierozważnie ucha, gdy zapragnęła kres temu położyć, nie wiedziała, jakiego środka się chwycić.

Rozważywszy wszystko dobrze, wpadła na sposób pozbycia się nieznośnego ciężaru; postanowiła mianowicie od każdego z miłośników zażądać takiej przysługi, której jak mniemała, nie będzie mógł jej wyświadczyć, chociaż niemożliwą ona wcale nie była. Jeśli zalotnicy tej

przysługi jej nie wyświadczą, będzie to dostatecznym i uzasadnionym powodem do pozbycia się ich na zawsze. Zamyśl jej na tym się zasadzał:

Umarł właśnie w Pistoii pewien człek, który aczkolwiek ze znacznego szedł rodu, za najgorszą istotę nie tylko w Pistoii, lecz i na świecie całym był poczytywany. Wiedzieć i to należy, że za życia był tak niekształtnego i odrażającego pozoru, iż każdy, kto go nie znał, a po raz pierwszy obaczył, łatwo by mógł się przerazić. Człeka tego złożono w grobowcu przed kościołem minorytów.⁷⁷ Na tej to właśnie okoliczności cały zamyśl wdowy polegał. Rzekła tedy do jednej ze służebnic swoich:

– Wiesz dobrze, jak mnie ci dwaj Florentczycy prośbami swymi co dzień zadręczają. Wiesz także, że nie mam zamiaru do ich pragnień się skłonić, przeciwnie całkiem, pragnąc ich jak najprędzej się pozbyć, postanowiłam dla przekonania się o sile ich afektów, o których mi tyle plotą, wystawić ich na próbę. Upewniona jestem, że podołać jej nie będą w stanie. W ten sposób pozbędę się ich natarczywości. Posłuchaj teraz, w czym rzecz. Wiadomo ci, że właśnie dzisiaj rano na cmentarzu minorytów pochowany został Scannadio⁷⁸ (tak się zwał ów zły człek, wyżej wspomniany), do którego póki żył, a cóż dopiero po śmierci, najmężniejsi ludzie bez odrazy i strachu zbliżyć się nie mogli. Otóż udasz się tajemnie naprzód do Alessandra i rzekniesz doń w te słowa: „Madonna Francesca przysłała mnie do was z oznajmieniem, że nadszedł wreszcie czas, gdy już będziecie mogli pozyskać jej miłość, tak gorąco przez was pożądaną. Jeśli tego pragniecie, następującym sposobem do widzenia, się z nią na osobności dojdźcie będziecie mogli. Oto dla przyczyny, o której się dowiecie, jeden z jej krewniaków postanowił tej nocy ciało pochowanego rano Scannadia do jej domu przenieść. Pani moja stracha się owego potwora, mimo że już umarł, i siła by za to dała, byleby go tylko u siebie w domu nie mieć. Prosi was tedy o wyświadczenie jej wielkiej przysługi, która na tym się zasadza, abyście dziś wieczorem udali się na cmentarz minorytów, położyli się do grobowca Scannadia, przyodziali w jego suknie i tak długo milczenie zmarłego człeka zachowali, póki nie przybędą po was jej krewniacy mniemając, że po Scannadia przychodzą. Gdy się krewniacy zjawią, nie zdradzając życia najmniejszym ruchem, dacie się wyjąć z grobowca i przenieść do jej domu. Tam moja pani sama was powita i pozwoli wam bawić u siebie, póki tylko zechcecie. W jaki sposób całą tę rzecz uładzi, nie pytajcie, wszystko jej sprytowi pozostawiając.” Jeśli Alessandro będzie gotów moją prośbę wypełnić, tedy dobrze, jeśli zaś odpowie, że nie może się tego podjąć, wówczas oświadczysz mu ode mnie, aby nie pokazywał mi się więcej na oczy i jeśli życie mu miłe, nie ośmielał się przysyłać mi posłańców i podarunków. Po czym udasz się do Rinuccia Palermi i tak mu powiesz: „Madonna Francesca oznajmia wam, że gotowa jest wszelkie wasze życzenia wypełnić pod tą kondycją, że uczynicie jej wielką przysługę. Udacie się mianowicie dziś o północy do grobowca, do którego dziś rano ciało Scannadia złożono. Nie mówiąc ani słowa, choćbyście i rzeczy najgorsze obaczyć lub usłyszeć mieli, delikatnie z grobowca jego zewłok wydobędziecie i przyniesiecie go do jej domu. Tam dowiecie się, dla jakiej przyczyny prosiła was o to, i uzyskacie od niej wszystko, czego tak pragniecie. Jeśli jednak nie macie odwagi podjąć się tego, nie ważcie się już nigdy posłańców ani listów jej przysyłać.”

Służka, zgodnie z danym jej poleceniem, udała się do każdego z zalotników po kolei i powtórzyła im szczegółowie słowa swojej pani. Obaj odparli, że nie do grobu, ale do samego piekła zstąpić są gotowi, dla przypodobania się pięknej wdowie. Służka odniosła respons ten swojej pani. Dama poczęła czekać, pytając się samej siebie, czy dwaj zalotnicy będą na tyle szaleni, aby jej prośbę wypełnić.

Gdy noc zapadła i ludzie w pierwszym śnie się pogrążyli, Alessandro Chiarmontesi zrzucił z siebie zwierchnie szaty i wyszedł z domu, aby na miejscu Scannadia się położyć. Po drodze przyszła mu do głowy jedna myśl straszliwa. Począł mówić do siebie na ten kształt: „Cóż za głupiec ze mnie! Zali wiem, po co w drogę się wybrałem? Czyż mogę być pewien, że to nie sprawka jej krewniaków, którzy spostrzegłszy mój afekt ku niej, wnioski snując fałszywe,

umyślnie mi tę dziewczynę przysłali, aby mnie w grobowcu łatwo życia pozbawić. W tym wypadku zginąłbym ani chybi, a że nikt nie dowiedziałby się o tym, sprawcy niewykryci by pozostali. Któż zresztą wiedzieć może, czy inny zalotnik, któremu ona z miłości doń dopomaga, wszystkiego tego tak nie uładził?”

Chwilę pomyślał, a potem tak dalej rozmawiał ze sobą: „Przypuścimy jednak, że płonne to są obawy i że w samej rzeczy krewniacy do domu jej mnie zanosą. W tym wypadku nie podobna przecie przypuścić, aby chcieli trupa Scannadia z grobowca wydobyć jedynie dla uściśnienia go lub rzucenia w ramiona Franceski.

Przeciwnie wcale, trzeba mniemać, że chcą znieważać ciało człeka, który niewątpliwie ciężko ich obraził. Prosiła mnie, abym głosu z siebie nie wydobył. Cóż jednak pocznę, gdy mi zechcą oczy wykluwać, zęby wyrywać, ręce odrąbywać i tym podobne igraszki ze mną czynić? Zali i wtedy milczeć będę? Jeśli się odezwę, to albo poznają mnie i krzywdę mi jakąś wyrządzą, albo też nic złego mi nie uczynią. W tym wypadku jednak cała moja wyprawa nie zda się na nic, bowiem poznawszy, ktom zacz, nie dopuszczą mnie do niej. Wówczas Francesca będzie miała rację po temu, aby twierdzić, że rozkaz jej przestąpiłem i pragnień mych nie spełni.”

Podobne myśli o mało go do powrotu do domu nie skłoniły. Jednakże potęga miłości odmiennymi racjami wciąż go gnała naprzód, aż wreszcie zwycięstwo odniosła.

Stanąwszy przed grobowcem, otworzył go, po czym wszedł do wnętrza, rozebrał trupa Scannadia, pchnął go gdzieś w głąb, przebrał się w jego suknie, zamknął nad sobą płytę, wreszcie położył się na miejscu nieboszczyka. Leżąc począł rozważać, jakim to niecnym człkiem był ów Scannadio. Gdy mu przyszły na myśl obyczaje nieboszczyka i nieraz słyszane opowieści o zdarzeniach z umarłymi, jakie nocą nie tylko w grobowcach, ale i gdzie indziej miejsce miały, uczuł, że włosy mu się na głowie podnoszą. Zdało mu się, że Scannadio musi dzwignąć się lada chwila i że nieproszonemu swemu zastępcy kark skręci. Jednakże płomienna miłość pomogła mu i te straszliwe myśli przezwyciężyć. Leżał bez ruchu, jakby był umarłym w samej rzeczy, i czekał cierpliwie, co się z nim stanie.

Okolo północy Rinuccio także dom swój opuścił, aby polecenie lady wypełnić. Po drodze owładało nim tysiąc różnorodnych myśli o tym, co przydarzyć mu się może. Imaginował sobie na ten przykład, że z ciałem Scannadia na barkach może wpaść w ręce władzy i jako czarownik na stos zostać skazany lub też ściągnąć na siebie nienawiść krewniaków nieboszczyka. Podobne rozważania o mało go od tego azardu nie odwiodły. Po chwili wahania rzekł jednak do siebie: „Jakże to? Miałbym nie odpowiedzieć na pierwsze żądanie tej szlachetnej lady, którą tak miłowałem i jeszcze miłuję? I to właśnie teraz, gdy w nagrodę zdobycie jej wzajemności mnie czeka? Choćbym miał zginąć bez ratunku, nie wolno mi się wahać. Muszę dokonać tego, co jej przyrzekłem.” Ugruntowawszy się w zamiarze swoim, podążył żwawo naprzód. Ujrawszy oznaczony grobowiec, zbliżył się doń i bez trudności go otworzył. Alessandro usłyszawszy skrzyp dech w sobie zapał, mimo że wielka trwoga go przenikała. Rinuccio zszedł do grobowca i pochwywszy rzekomego trupa za nogi wyciągnął Alessandra, wziął go na barki i skierował się ze swym ciężarem ku domowi pięknej wdowy. Idąc pośpiesznie, nie zwracał uwagi na ciało, którym raz o ten, to znów o tamten węgiel domu uderzał. Noc była głęboka i ciemna tak, że na dwa kroki przed sobą nic obaczyć nie można było.

Rinuccio doszedł przed dom wdowy, która stojąc w oknie po społu ze służką pilnie wyglądała, zali zjawi się jej zalotnik z Alessandrem na plecach. Już była gotowa dać im obu stosowną odprawę, gdy nagle straż Signorii, na jakiegoś ladaca w tej dzielnicy cichcem czatującego, usłyszawszy odgłos ciężkich kroków Rinuccia, żywo skierowała w jego stronę latarnie dla upewnienia się, kto idzie, i uderzając lancami o tarcze zawołała:

– Kto zacz?

Rinuccio na ten okrzyk poznał, co się święci. Ponieważ nie było chwili czasu do stracenia, rzucił na ziemię Alessandra i co tchu w piersiach pomknął przed siebie. Alessandro natych-

miast poszedł za jego przykładem i mimo długich sukien nieboszczyka, które mu bieg utrudniały, umykać począł, co sił starczyło.

Tymczasem wdowa, przy świetle latarni straży miejskiej poznawszy Rinuccia, niosącego na barkach Alessandra przyodzianego w suknie Scannadia, zadziwiła się niepomiernie wielkiej odwadze obydwu kochanków. Jednocześnie, mimo całego podziwu, parsknąc śmiechem musiała widząc, jak Rinuccio Alessandra na ziemię rzuca i jak potem obydwaj uciekają. Ukontentowana wielce z takiego obrotu rzeczy, złożyła dank niebiosom za to, że ją z tak ciężkiej opresji wybawiły. Po czym wróciła do siebie na spoczynek, rozważając ze służką, że obydwaj młodzieńcy wielką miłością przeniknięci być muszą, skoro tak trudne zadanie wypełnili. Tymczasem srodze zmartwiony Rinuccio, klnąc swoją złą dolę, nie wrócił jednak do domu. Po oddaleniu się straży zbliżył się do miejsca, gdzie był rzucił Alessandra i po omacku rękoma szukać począł ciała, aby dokonać tego, co zaczął. Nie znalazłszy trupa, do tej myśli przyszedł, że go straż zabrać musiała, i pełen ciężkiej troski do domu wreszcie powrócił. Alessandro nie wiedział również, co mu do czynienia pozostaje. Nie poznawszy nawet tego, kto go tak długo na grzbiecie dźwigał, gniewny i zbolący do domu się udał. Gdy nazajutrz grobowiec Scannadia otwarty zastano i zwłok jego nie znaleziono, Alessandro bowiem zepchnął je w głąb, po całej Pistoii różne słuchy chodzić poczęły. Wszyscy głupcy mniemali, że to czart Scannadia porwał. Dwaj miłośnicy nie zaniedbali donieść wdowie, co każdy z nich uczynił i co mu do spełnienia życzeń pięknej damy na wstępie stało. W nagrodę za odwagę i gotowość swoją dopominali się o łaskę i miłość wdowy. Madonna Francesca jednocześnie uczyniła pozór, że tłumaczeniom tym nie wierzy, i odparła twardo, że nic dla nich uczynić nie może dla tej prostej racji, że prośby jej nie spełnili. Tym sposobem raz na zawsze od ich nagabywań się uwolniła.»

Opowieść druga



BELKA I SŁOMKA

Pewna przeorysza zrywa się z łoża nocą, aby – posłuch dając oskarżeniu – zaskoczyć mniszkę, u której znajduje się jej miłośnik. Tymczasem u przeoryszy bawił ksiądz. Przeorysza mniemając, że chwytając welon, zarzuciła na głowę spodnie ojcaszka. Oskarżona, obaczywszy to, zwróciła uwagę przeoryszy, dzięki czemu kary uniknęła i mogła bez przeszkód pozostać ze swym kochankiem.

Gdy Filomena zamilkła, wszyscy pochwalili fortel, dzięki któremu dama pozbyła się dwóch młodzieńców, nie posiadających jej wzajemności. Czyn nieopatrzny obydwóch zalotników nie dowodem miłości, lecz głupoty nazwany został. Po czym królowa, obróciwszy się do Elizy, rzekła:

– Na ciebie teraz kolej przypada.

Eliza nie namyślając się długo w ten sposób zaczęła:

– Z wielką zręcznością, jak o tym przed chwilą słyszeliśmy, pozbyła się natrętnych zalotników madonna Francesca. Pewna młoda zakonnica jednakże niemniej zręczna była. Skorzystawszy ze szczęśliwego przypadku, jedną żartobliwą uwagą zażegnała groźne dla siebie niebezpieczeństwo. Wiadomo wam, że często najwięksi głupcy innych uczyć i gromić mają osobliwą ochotę. Jak się z historii mojej przekonacie, los karze ich czasem w zasłużony sposób. Tak właśnie stało się z przeoryszą mającą pod swoim nadzorem młodą zakonnice, o której teraz chcę wam opowiedzieć.

«W Lombardii znajduje się pewien klasztor, słynący z pobożności i surowości obyczajów. W murach jego pośród wielu mniszek przebywało też pewne wielce urodziwe dziewczę, w którego żyłach szlachetna krew płynęła. Dzieweczka ta zwała się Isabetta. Isabetta, stanąwszy pewnego dnia przed kratą, aby pomówić z krewniakiem, zakochała się w urodziwym młodzieńcu, który mu towarzyszył. Młodzieniec, ujrzawszy jej piękność i z wzroku jej skryte pragnienie wyczytawszy, równie gorącym afektem do niej zapłonął. Cierpiąc wielkie męki, długo tę miłość skrywali, wreszcie jednak młodzian przy pomocy mniszeczki znalazł sposób, dzięki któremu do klasztoru przeniknąć zdołał. Gdy zaś jej przypadło to do smaku, tajemne odwiedziny powtarzały się potem często, ku niewysłowionej szczęśliwości obojga.

Pewnego dnia, gdy młodzieniec odchodząc żegnał się z Isabetą, żadne z nich nie zauważyło, że spostrzegła ich jedna z zakonnice, która oczywista zaraz o tym innym mniszkom opowiedziała. Z początku zamierzały oskarżyć Isabettę przed przeoryszą, zwaną madonną Usimbaldą. W mniemaniu wszystkich mniszek i każdego człeka, co ją znał, była to nader stateczna i nabożna białogłowa. Potem jednak pomyślały, że lepiej będzie wraz z przeoryszą na gorącym uczynku Isabettę przydybać, tak aby się zaprzec nie mogła. Pokrywszy tedy wszystko milczeniem, jęły w tajemnicy czatować przez kilka nocy, aby miłośników przychwycić. Isabetta, której nikt o tym szkaradnym zamiśle nie ostrzegł i która nie domyślała się niczego, pewnego wieczora wpuściła do celi swego miłośnika. Zakonnice, stojące na czatach, natychmiast młodzieńca spostrzegły. Gdy im się zdało, że stosowna pora nadeszła, bowiem większa część nocy już była minęła, podzieliły się na dwa oddziały. Jeden pozostał na straży przed drzwiami Isabetty, drugi podążył do sypialnej komnaty przeoryszy. Mniszki zapukały do drzwi, a gdy przeorysza się odezwała, zawołały:

– Wstawajcie, matko wielebna, prędko wstawajcie! Schwytaliśmy Isabettę w jej celi na gorącym uczynku z jakimś młodzieńcem.

Przeorysza tej nocy przebywała właśnie w towarzystwie pewnego księdza, którego często w wielkiej skrzyni do siebie wnosić kazała. Usłyszawszy wrzawę i bojąc się, aby zakonnice z nadmiernej gorliwości drzwi zbyt silnie nie pchnęły i nie rozwarły, wstała pośpiesznie i po omacku odziewać się poczęła. Mniemając, że bierze do rąk fałdzistą zasłonę, którą mniszki tamtejsze „psalterzem” nazywają, pochwyciła spodnie ojcaszka. Nie dostrzegłszy w pośpiechu pomyłki, zarzuciła tę wymyślną zasłonę na głowę i wypadła z celi, zamykając gorliwie drzwi za sobą.

– Gdzież jest ta grzesznica przez Boga przeklęta? – zawołała.

Mniszki pały taką żądzą przydybania Isabetty, że nie zwróciły uwagi na strój przeoryszy. Wielebna matka stanęła przed drzwiami celi. Gdy zakonnice wspólnymi siłami drzwi wyłamały, weszła do środka po społu z nimi i ujrzała kochanków, którzy ciasno obłapieni w łożu spoczywali. Nieboracy, osłupiali z powodu tego zaskoczenia, nie wiedzieli, co czynić mają, i leżeli bez ruchu. Siostry w mgnieniu oka pochwyciły młodą zakonnicę i na rozkaz przeoryszy do kapituły ją zawiiodły. Młodzieniec, pozostawszy w celi, ubrał się i ją oczekiwać, jaki obrót cała sprawa przybierze. Był gotów rozprawić się twardo z każdym, kto by jego umiłowanej najmniejszą krzywdę chciał wyrządzić, i myślał uprowadzić ją z sobą.

Przeorysza tymczasem, zajmwszy w kapitule poczesne miejsce swoje, poczęła w przytomności zakonnice, patrzących tylko na winowajczynię, obsypywać ją najsroższymi obelgami za to, że świątobliwość i dobrą sławę zakonu swym haniebnym postępkim na szwank przywiódła. Cóż by to było, gdyby rzecz podobna poza mury klasztoru przedostać się miała! Po obelgach nastąpiły straszliwe groźby. Strwożona i zawstydzona Isabetta, nie znajdując nic na usprawiedliwienie swoje, milczała, tak iż przytomne towarzyszyki niejakię współczucie dla niej poczuły.

Jednakże gdy przeorysza nie ustawała w srogim gniewie swoim, dziewczę ośmieliło się wreszcie błagalnie oczy podnieść i wówczas spostrzegło, że przełożona ma na głowie spodnie, których tasiemki z obu stron na skronie jej spadają. Pojawszy, w czym rzecz, rzekła śmiało:

– Matko przeoryszo, na miłosierdzie boskie, zawiążcie sobie wprzód czepec, a potem powiedzcie mi jasno, czego chcecie ode mnie?

Przeorysza, nie pojmując do czego te słowa się odnoszą, jeszcze surowszym głosem zawołała:

– Co ty mi tu o czepcu prawisz, niegodziwa grzesznico? Jak śmiesz! drwinki sobie ze mnie stroić? Myślisz, że pora ci na żarty? Isabetta odrzekła, niestropiona całkiem:

– Proszę was jeno, madonno, abyście sobie czepec poprawili. Potem będę gotowa słów waszych wysłuchać.

Na te dziwne i uporczywe nalegania wszystkie mniszki obróciły wzrok na głowę przeoryszy, która ręce do góry podniosła. I naraz stało się im jasne, dlaczego Isabetta z takim uporem o czepcu napomykała.

Przeorysza poznała omyłkę swoją, a widząc, że rzeczy tak jawnej zaprzecić się nie będzie mogła, zmieniła natychmiast ton surowy i zgoła inaczej przemawiać zaczęła. Oświadczywszy, że nie podobna pokusie cielesnej się oprzeć, pozwoliła, jak dotąd było, każdej mniszce w tajności się pocieszać, o ile tylko zdoła. Po czym, zwolniwszy młódkę, powróciła do swego księdza. Isabetta zaś udą się do swego młodzieńca, którego długo jeszcze, ku wielkiej zgryzocie tych, co jej zazdrościły, do siebie sprowadzała. Za jej przykładem poszły inne mniszki, nie mające jeszcze miłośników, które w ukryciu próbowały szczęścia, jak umiały.»

Opowieść trzecia



CALANDRINO PRZY NADZIEI

Doktor Simone, z podniety Bruna, Buffalmacca i Nella, wmawia w Calandrina, że jest w stanie odmiennym. Calandrino, chcąc się uleczyć, ugoszcza swych towarzyszy kapłonami, daje im pieniądze, a potem wstaje z łoża słabości, nie wydawszy potomka na świat.

Gdy Eliza opowieść swoją skończyła, wszyscy złożyli dziękczynienie Bogu, że młodą zakonnice od prześladowania zawistnych sióstr klasztornych ocalić zechciał, po czym królowa wezwała z kolei Filostrata, który nie czekając, aż rozkaz powtórzony zostanie, w te słowa zaczął:

– Piękne damy! Nieobyty sędzia z marchii ankońskiej, o którym wam wczoraj opowiedziałem, nie pozwolił mi ucieszyć was jeszcze jedną opowieścią o Calandrinie, którą już miałem na ustach. Ponieważ wszystko, co o nim powszechnie opowiadają, jest w najwyższym stopniu krotocwilne, tedy opowiem wam historię o nim, którą już wczoraj opowiedzieć zamierzałem, mimo to, iż wiem dobrze, żeśmy o nim i o jego towarzyszach siła anegdotek już przytoczyli.

«Dobrze już wiecie, kim był Calandrino, a także i inni ludzie, o których teraz mówić zamierzam. Dlatego też nad wiadomymi rzeczami się nie szerząc, zacznę od tego, że umarła jedna z ciotek Calandrina, zostawiając mu w spadku dwieście srebrnych dukatów drobnych oszczędności. Odebrawszy te pieniądze Calandrino jął rozpowiadać, że zamierza za nie większą posiadłość nabyć, przy czym wszedł w porozumienie ze wszystkimi stręczycielami i pośrednikami we Florencji, jakby co najmniej sumą dziesięciu tysięcy dukatów rozporządzał. Ilekroć przychodziło jednak do ceny sprzedażnej posiadłości, targ zawsze na niczym się kończył.

Bruno i Buffalmacco, wiedząc o tym, przedstawiali mu nieraz, że lepiej by uczynił, przehulawszy te pieniądze w ich kompanii niż kupiwszy ziemię, z której chyba, na podobieństwo dzieci, galki dla zabawy będzie lepił. Wszystkie te dobre rady odbijały się od niego jak groch od ściany. Nawet na skromną wieczerę namówić go nie zdołali. Drażniło to ich niezmiernie. Pewnego dnia, gdy o uporze Calandrina rozmawiali, nadszedł właśnie jeden z ich towarzyszy, malarz, imieniem Nello⁷⁹. Wszyscy trzej jęli się głowić nad tym, co by tu przedsięwziąć dla uraczenia się choćby raz jeden kosztem Calandrina. Wkrótce stosowny sposób do głowy im

przyszedł. Umówili się szczegółowo, co każdemu z nich uczynić wypadnie, i nazajutrz rano, w godzinie, kiedy Calandrino zwykł był z domu wychodzić, za ledwie kilka kroków postąpił, zaszedł mu drogę Nello witając go:

– Dzień dobry, Calandrino!

Calandrino odparł na to życzeniem, aby Bóg Nella dobrym dniem i dobrym rokiem obdarzył. W trakcie rozmowy Nello przystanął i jał się pilnie Calandriniowi przyglądać.

– Dlaczego mi się tak przypatrujesz? – zapytał zdziwiony Calandrino.

– Czy ci się dzisiaj coś w nocy nie przytrafiło? – rzekł Nello – Całkiem niepodobny jesteś do siebie. Calandrino przeraził się i zawołał:

– Biada mi! Cóż by to być mogło? Jakież to zmiany dostrzegasz we mnie?

– Wydajesz mi się wielce zmienionym – odparł Nello. – Może to zresztą coś innego...

Rzekłszy te słowa, odszedł żywo. Calandrino ruszył dalej mocno zaniepokojony, choć najmniejszej dolegliwości nie czuł. Wtem nawinął mu się Buffalmacco, który w trakcie całej rozmowy trzymał się nieco opodal i widział, jak się Nello oddalał. Buffalmacco pozdrowił uprzejmie Calandrino, po czym spytał się go z wielką troskliwością, zali nie jest chory.

– Nie wiem – odparł coraz bardziej zatroskany Calandrino – oto właśnie przed chwilą powiedział mi także Nello, że wygląd mój jest całkiem, inny niż zazwyczaj. Czy możliwe, by mi naprawdę coś było?

– Oby to nic nie było – odparł Buffalmacco – aliści wyglądasz mi na półtrupa.

Na te słowa Calandrino w całym ciele gorączkę poczuł. Nieborak jeszcze się opamiętać nie zdołał, gdy naraz ukazał się Bruno, odskoczył od Calandrino i zawołał:

– Jak ty wyglądasz, Calandrino? Masz minę raczej trupa niż żywego człowieka. Co ci się stało?

Calandrino dzięki tym trzem powitaniom najmocniej przeświadczony, że chorym być musi, począł się trząść całym ciałem i zapytał:

– Co robić?

– Ha – rzekł Bruno – wydaje mi się, że najlepiej byś zrobił wracając zaraz do domu. Kładź się do łóżka i każ się dobrze przykryć, a potem nie mieszkając poślij wodę swoją do mistrza Simona, który jak ci wiadomo, wszystkim nam bardzo sprzyja. On ci powie zaraz, jak masz złą zaradzić, my zaś będziemy ci towarzyszyli i pomożemy, w czym będzie potrzeba.

Po drodze spotkali Nella, który się do nich przyłączył, i w tej to kompanii powrócił Calandrino do domu. Pełen dusznej niespokojności wszedł do swej sypialnej komnaty i zawołał na żonę:

– Chodź tu i przykryj mnie dobrze, gdyż czuję się bardzo chory.

Gdy go do łóżka położono, posłał natychmiast wodę swoją przez małą dziewczynkę do mistrza Simona, który się właśnie w sklepie swoim „Pod Melonem” na Meroato Vecchio⁸⁰ znajdował. Gdy dziewczyna odchodziła, Bruno odezwał się do swoich towarzyszy:

– Zostańcie tutaj przy nim, a ja skoczę do doktora, aby jego orzeczenia wysłuchać. Jeżeli zajdzie potrzeba, wnet go tutaj z sobą przyprowadzę.

– O tak, uczyn to dla mnie, zacny mój drużo – rzekł do niego Calandrino – idź i przynieś mi jak najspieszniej wiadomość o stanie moim, czuję bowiem w całym ciele jakąś słabość, której nazwać nie umiem.

Bruno wyszedł pośpiesznie i przybywszy do mistrza Simona jeszcze przed dziewczyną niosącą wodę, uprzedził go o całym stanie rzeczy. Gdy dziewczyna stanęła na progu, doktor przyjrzał się wodzie i rzekł:

– Biegnij z powrotem i rzeknij Calandriniowi, aby się jak najcieplej trzymał. Ja wkrótce tam przybędę, powiem, co mu jest, i poradzę mu coś na jego dolegliwość.

Dziewczyna powtórzyła te słowa swemu panu. Po chwili przybył Bruno wraz z doktorem, który usiadłszy poważnie na brzegu łóżka, począł Calandriniowi puls macać. Dokonawszy tego, rzekł doń w przytomności żony Calandrino:

– Słuchaj, Calandrino, jeśli chcesz, abym ci wszystko szczerze, jak na przyjaciela przystało, powiedział, to rzeknę, że nic ci nie grozi, tylko jesteś brzemienny.

Calandrino, usłyszawszy te słowa, zaczął jęczeć żałośliwie, po czym zawołał do żony swojej:

– Biada mi, Tesso, to tyś mi tego zła narobiła, bowiem zawsze chcesz być na wierzchu! Przecież nieraz cię przestrzegałem.

Pani Tessa, białogłowa nader obyczajna, spłonęła rumieńcem, spuściła oczy i nie rzekłszy ni słowa wyszła z komnaty.

Calandrino ani na chwilę nie przestawał jęczeć i wołać:

– Biada mi, nieszczęsnemu! Cóż ja teraz pocznę; jak to dziecię i którądy na świat wydam? Ach, widzę dobrze, że ta przewrotność żony mojej życia mnie pozbawi. Bodajby ją Bóg zatracił! Gdybym był zdrow, pobiegłbym za nią i wszystkie kości jej pogruchotał. Ale dobrze mi tak, gdyż nie powinienem być jej nigdy na wierzch puszczać. Jeżeli wyjdę cało z tej biedy, to umrze pierwej z żądy, nim jej na coś podobnego pozwolę.

Bruno, Buffalmacco i Nello, słysząc te brednie Calandrino, o mało się ze śmiechu nie zadusili, pohamowali się jednak i poważne miny zachowali. Mistrz Barania Głowa śmiał się za to z całego gardła, tak iż wszystkie zęby można mu było policzyć. Po chwili Calandrino począł zaklinać doktora najśłodszyimi słowy, aby mu w tym nieszczęściu pomocą i radą służyć zechciał.

– Nie dręcz się i nie lękaj, Calandrino – odparł na to doktor – poznaliśmy się bowiem, dzięki Bogu, od razu na twojej chorobie. Mam nadzieję, że bez wielkich trudności w ciągu kilku dni uwolnię cię od niej zdołam. Radzę ci jeno, abys nie wzdragał się z wydaniem pieniędzy na różne leki przeznaczonych.

– Ach, oczywista, że je wydam, drogi mistrzu – odparł Calandrino – tylko ratuj mnie, na miłość Boską. Posiadam dwieście dukatów, za które majątność sobie kupić chciałem. Jeśli potrzeba, zabierz je wszystkie, ale nie dopuść, abym zległ, nie pojmuję bowiem, jakbym to nawet uczynić zdołał. Słyszałem, jak wrzeszczą białogłowy przy porodzie. Jeżeli one tak cierpią, aczkolwiek wszelką możność rodzenia mają, cóż dopiero ja znosić bym musiał? Jestem upewniony, że umarłbym pierwej, nim bym dziecię na świat wydał.

– Uspokój się – rzekł doktor – każę ci przyrzadzić niezwykle skuteczny i smakowity napój, który w ciągu trzech dni usunie twoją niemoc bez śladu, tak iż będziesz znowu zdrow jak ryba. Zważ jeno, abys na przyszłość do podobnych niedorzeczności żonie swojej nakłonić się nie dał. Co się zaś owego trunku tyczy, to do przyrzadzenia go trzeba trzech par tęgich i tłustych kapłonów. Na inne jeszcze ingrediencje daj jednemu z obecnych tutaj pięć dukatów. Wszystko niech mi przyniosą do sklepu, ja zaś przyślę ci jutro napój, który natychmiast po jednym kielichu przyjmować zaczniesz.

Calandrino, wysłuchawszy tych słów, zawołał:

– Zgadzam się, oczywiście! Zajmijcie się mną tylko szczerze, mój drogi mistrzu!

I wydobywszy natychmiast pięć dukatów oraz sumę potrzebną na kupno kapłonów, wręczył te pieniądze Brunowi, zaklinając go, aby w imię miłości i przyjaźni dla niego podjął się załatwienia tych wszystkich spraw.

Doktor wróciwszy do domu kazał wina z korzeniami przygotować, po czym posłał je Calandrinowi. Bruno tymczasem, w towarzystwie doktora i dwóch pozostałych kompanów, zjadł tłuste kapłony i inne przysmaki kupione za pieniądze Calandrino.

Calandrino pił przez trzy dni wino z korzeniami. Wreszcie czwartego dnia doktor przyszedł do niego z towarzyszymi i macając mu puls rzekł w te słowa:

– Jesteś już całkiem zdrow, mój Calandrino, tak iż jeszcze dzisiaj możesz wyjść na miasto za swymi sprawami.

Calandrino, pełen niewysłowionej radości, podniósł się natychmiast z łoża i wyszedłszy na miasto wysławiał przed każdym, kogo tylko napotkał, troskliwą opiekę mistrza Simona, który

go w ciągu trzech dni bez najmniejszej boleści od płodu uwolnił. Bruno, Buffalmacco i Nello cieszyli się tymczasem niezmiernie, że skapego Calandrina w pole wyprowadzić zdołali. Tylko pani Tessa, zmiarkowawszy figiel przyjaciół męża, długo mu jego głupoty darować nie mogła.»

Opowieść czwarta



PRZYGODA CECCA ANGIULIERI

Cecco, syn Fortarriga, przegrywa w Buonconvento cały swój dobytek i pieniądze Cecca, syna Angiulieriego. W jednej tylko koszuli na gołym cielsku biegnie za nim i krzyczy, że go ograbił. Kmiecie chwytają i rozdzielają pierwszego Cecca; drugi tymczasem ubiera się w jego suknie i wsiada na jego rumaka, pozostawiając tamtego w koszuli na drodze.

Wybuchy gromkiego śmiechu towarzyszyły opowieści o wyrzutach Calandrina, czynionych żonie. Gdy Filostrato umilkł, na rozkaz królowej Neifile z kolei głos zabrała.

– Zaczne damy – rzekła – gdyby ludziom nie trudniej przychodziło okazać innym rozsądek własny i cnotę niż głupotę i grzech, niepotrzebnie sililiby się niektórzy, by ująć w karby swe słowa. Tego dowiodła nam dobitnie głupota Calandrina, nic bowiem nie zmuszało go do tego, by – chcąc uleczyć się z choroby, w którą uwierzył dzięki miałości swojego rozumu – miał dobywać na jaw tajemne zachcianki własnej żony. Ta opowieść przywiodła mi na myśl historię całkiem innego rodzaju, a mianowicie, jak przewrotność jednego człeka zwyciężyła rozum drugiego i na wstyd i znaczną szkodę go naraziła. O tym pragnę wam opowiedzieć.

«Niewiele tedy lat temu żyli w Sienie dwaj dorośli młodzieńcy, imieniem Cecco⁸¹ zwani. Jeden z nich był synem Angiulieriego, a drugi Fortarriga. Byli to ludzie całkiem odmiennych natur i obyczajów, łączyła ich tylko nienawiść do własnych rodziców. Ta wspólna nienawiść tak ich zbliżyła, że wkrótce stali się przyjaciółmi i wszędzie razem pokazywać się poczęli.

Angiulieri, człek urodziwy i bywały, zbrzydził sobie życie w Sienie z zasiłków, które mu ojciec wyznaczał. Dowiedziawszy się, że pewien wielce mu przychylny kardynał, jako legat papieski do Ankony przybył, postanowił udać się do niego w nadziei, że swój los poprawi. Z zamysłem tym zdradził się swemu ojcu, uzyskując od niego sumę równającą się temu, co w ciągu sześciu miesięcy miał otrzymać. Za otrzymane pieniądze mógł się stosownie przybrać, a także kupić rumaka, ryszstunek i wszystko, co do przyzwoitej wyprawy należało. Odjeżdżając ze Sieny, począł się oglądać za kimś, kogo by mógł z sobą jako sługę zabrać. Fortarrigo dowiedziawszy się o tym pośpieszył do niego natychmiast i jął go usilnie prosić, aby go z sobą zabrał. Zapewniał, że chce mu być oddanym sługą, zapłaty żadnej nie żądając. Angiulieri odparł Fortarrigowi, że uczynić tego nie może, jakkolwiek bowiem wiadomo mu dobrze, że do wszelkiej posługi jest zdatny, aliści i to wie, że Fortarrigo jest nieposkromionym pijanicą i

graczem. Fortarrigo zapewnił go uroczyście, że nałogów swoich będzie się wystrzegał i zapewnienie swe poparł zaraz tak wieloma zaklęciami i prośbami, że Angiulieri uległ wreszcie i na prośbę jego przystał.

Wyruszywszy pewnego ranka w drogę, skierowali się ku Buonconvento,⁸² gdzie się na obiad zatrzymali. Po spożyciu obiadu (skwar tego dnia okrutnie dokuczał) Angiulieri kazał przygotować sobie posłanie w gospodzie, po czym rozebrał się przy pomocy Fortarriga i legł spać przykazawszy towarzyszowi, aby go o dziewiątej obudził.

Fortarrigo, skoro zasnął Angiulieri, wymknął się do pobliskiej karczmy i podpiwszy sobie nieco, wdał się w grę z obecnymi tam szulerami. W krótkim czasie przegrał pieniądze, jakie miał przy sobie, a także i wszystkie szaty, jakie miał na grzbiecie. Wówczas, żądny odegrania się, pobiegł w koszuli do gospody, gdzie spał Angiulieri, wyjął mu, pogrążonemu w śnie głębokim, wszystkie pieniądze z trzosa, powrócił do graczy i wkrótce znów całą sumę przegrał.

Angiulieri, wypawszy się należycie, obudził się. Wstał, ubrał się i spytał o Fortarriga. Nie mogąc go nigdzie znaleźć, do tej myśli przyszedł, że spic się musiał obyczajem swoim i że teraz gdzieś się w kącie wysypia. Za karę postanowił zostawić go jego losowi. Kazał tedy osiodłać swego rumaka, aby udać się w drogę i w Corsignano innego sługę znaleźć. Gdy jednak, mając już wyruszyć, chciał gospodarzowi zapłacić, spostrzegł, że mu pieniądze zginęły. Wszczął wówczas wielki zgiełk, tak iż zbiegli się wszyscy w gospodzie przytomni. Angiulieri krzychał, że go tu niecnie okradziono i że wszystkich do więzienia w Sienie wtrąci. W tej chwili zjawił się Fortarrigo ubrany w koszulę. Przybył po suknie Angiulieriego, które chciał zabrać, jak uprzednio zabrał był pieniądze. Ujrawszy, że Angiulieri już na koniu siedzi, rzekł niewinnym głosem:

– Co to ma znaczyć, Angiulieri? Zali już w drogę wyruszamy? Zaczekaj jeszcze chwilę. Zaraz tu nadejdzie pewien hultaj, który za trzydzieści osiem soldów ma mój kaftan w zastawie. Pewien jestem, że zwróci go nam za trzydzieści pięć, jeżeli mu je zaraz zapłacimy.

Ledwo słowa te wyrzekł, nadszedł jeden z tych, którzy przy grze obecni byli, i podał sumę przegraną przez Fortarriga. Wówczas Angiulieri przekonał się, że to sługa pieniądze mu zabrał. Gwałtownym gniewem tknięty, obsypał Fortarriga najszeptniejszymi obelgami. Gdyby nie obawa przed Bogiem i ludźmi byłby się z nim jeszcze gorzej obszedł. Zagroziwszy, że go na szubienicę zawiedzie albo o wygnanie z Sieny pod karą gardła przyprawi, wsiadł na koń, gotując się do odjazdu. Aliści Fortarrigo wciąż takim głosem, jak gdyby to nie o niego chodziło, zatrzymał go, wołając:

– Angiulieri! Na miłosierdzie boże, dajmy pokój tym pustym gawędom. Zważ, proszę, że jeśli teraz kaftan mój wykupimy, to zwrócą go nam za trzydzieści pięć soldów, jeśli zaśię choćby do jutra sprawę odłożysz, to ów hultaj nie odstąpi od trzydziestu ośmiu. Prawdę rzekłszy, grzeczność mi wyświadcza, bo cenę zostawiłem jego uznaniu. Dlaczegoż nie mielibyśmy tych trzech soldów oszczędzić?

Angiulieri, usłyszawszy te bezczelne słowa, wpadł w wściekłość, zwłaszcza gdy ujrzał, że wszyscy przytomni patrzą na niego, zdając się mniemać, iż to nie Fortarrigo bynajmniej przegrał jego pieniądze, ale że to on, Angiulieri, Fortarriga własność zatrzymuje.

– Co mnie twój kaftan dotyczyć może? – wykrzyknął. – Bogdajby cię obwiesili, niecnoto, za to, żeś nie tylko pieniądze mi ukradł, ale że teraz jeszcze zatrzymujesz mnie w drodze i dworujesz sobie ze mnie.

Aliści Fortarrigo nie dał się zbić z tropu; owszem, czyniąc pozór, że wszystko to nie do niego się ściąga, ciągnął dalej na ten kształt:

– Dlaczegożbym nie miał dbać o te trzy soldy? Sądziś, że nie pożyczę ci ich znowu? Uczyń to, o co cię proszę, dla przyjaźni naszej. Przecież ci się nie śpieszy. Do Torrenieri⁸³ zdążymy jeszcze dzisiaj. Nie ociągaj się zatem i doładź mieszka. Niepowetowana szkoda byłaby tego kaftana! Gdybym nawet całą Sienę przeszukał, nie znalazłbym drugiego, który by

na mnie tak wybornie leżał. I pomyśleć tylko, że za trzydzieści soldów zastawiłem rzecz wartą więcej niż czterdzieści. Dalibóg, chcesz mnie, widać, na podwójną stratę narazić.

Angiulieri, srogim gniewem na dźwięk tych przewrotnych i bezczelnych słów zdjęty, nie odrzekł już nic, zawrócił jeno rumaka i ruszył ku Torrenieri. Aliści Fortarrigo, postanowiwszy złośliwy swój fortel do skutku doprowadzić, puścił się za nim, tak jak stał, w jednej tylko koszuli. Angiulieri już o dwie mile drogi od Buonconvento się oddalił. Fortarrigo biegł za nim ciągle, wołając o swój kaftan. Angiulieri, pragnąc uwolnić się od tej plagi, poganiał konia ile sil. Nagle Fortarrigo, ujrawszy kmieci pracujących na polu przy drodze, wrzeszczeć począł.

– Trzymajcie, trzymajcie!

Chłopi na to wołanie poskoczyli z motykami i widłami ku Angiulieriemu. Mniemając, że musiał obrabować tego, kto za nim pędzi w koszuli, zastąpili mu drogę i przytrzymali go.

Na nic się nie przydały przełożenia, kim jest i jak się sprawy w samej rzeczy mają. Wnet bowiem nadbiegł Fortarrigo i z udanym gniewem zawołał:

– Dalipan, nie wiem, co powstrzymuje mnie od pozbawienia cię życia, ty wiarołomny hultaju, grabieżco mojej własności! Po czym, zwracając się do wieśniaków, dodał:

– Spójrzcie, moi mili, w jakim stroju mnie w gospodzie zostawił przegrawszy uprzednio ostatni swój szeląg i wszystkie moje suknie. Na honor, mogę powiedzieć, że wam tylko i Bogu zawdzięczam, że tę resztę własności mojej odzyskałem. Wiecznie wam za to wdzięczny będę.

Angiulieri silił się rzecz wyjaśnić, aliści nikt go słuchać nie chciał. Włóścianie przy pomocy Fortarriga ściągnęli go z rumaka, po czym Fortarrigo rozebrał go, przyodział się w jego suknie i wsiadł na koń. Angiulieri został na drodze w koszuli i bez butów. Fortarrigo, powróciwszy do Sieny, rozgłaszał wszędzie, iż od Angiulieriego ubranie i rumaka wygrał. Angiulieri, który wyjechał w nadziei z bogacenia się przy pomocy kardynała w Ankonie, bez grosza i w koszuli powrócił do Buonconvento. Wstydząc się swej klęski, nie śmiał się w tym stanie w Sienie pokazać. Wreszcie tyle wskórał, że mu suknie pożyczono. Dosiadłszy szkapę, na której pierwaj Fortarrigo mu towarzyszył, udał się do Corsignano do krewnych, gdzie przebywał, dopóki pieniędzy od rodzica swego nie uzyskał.

Tak oto złośliwy fortel Fortarriga zniweczył roztropne zamysły Angiulieriego, co jednak w swoim czasie i w stosownym miejscu pomszczone zostało.»

Opowieść piąta



MIŁOSNA PRZYGODA CALANDRINA

Calandrino rozkochuje się w dzierlatce. Gdy jej dotknął talizmanem, którego mu dostarczył Bruno, dziewczyna idzie z nim. Ale przychwycony przez żonę, ciężką ma z nią przeprawę.

Gdy Neifile swoje niezbyt długie opowiadanie skończyła i gdy towarzystwo, bez wielkiego śmiechu i zastanawiania się nad nim, wyraziło chęć usłyszenia czegoś nowego, królowa na Fiammettę skinęła. Fiammetta z radością w te słowa zaczęła:

– Wiadomo wam, jak miemam, wdzięczne towarzyszeki moje, że nie masz takiej materii, którą by do dna wyczerpać można było, i że dobry opowiadacz, jeśli właściwy czas i okoliczność zważy, zawsze, choćby najbardziej znaną już rzeczą, zabawić potrafi. Z drugiej strony, ilokrotnie przypomnę sobie cel, dla którego tutaj się zebraliśmy (była nim chęć godziwego rozweselenia się), do tego wniosku przychodzę, że wszystko, co raduje i bawi, po stokroć jest tu na miejscu i że gdybyśmy nawet tysiąc razy jakąś materię omówili, usłyszeć o niej jeszcze coś nowego miłą dla nas powinno być rzeczą. Jakkolwiek tedy naopowiadano się już co niemiara o przygodach Calandrina, ja jednak z powyższych względów i z uwagi, jaką słusznie niedawno Filostrato uczynił, że wszystko, co się tego malarza tyczy, jest niezmiernie wesołe – ośmielę się jeszcze jedną krotchwilę o nim opowiedzieć, którą gdybym się z prawdą minąć chciała, łatwo bym wam pod zmyślonymi nazwiskami podać mogła. Ponieważ jednak odstąpienie od prawdy wszystkim rozumiejącym się na rzeczy urok opowiadań znacznie pomniejsza, zachowam tedy wielką szczerłość i opowiem, o tej rzeczy tak, jak się miała.

«Niccolò Cornacchini,⁸⁴ jeden z ziomeków naszych, człek bogaty, posiadający piękną posiadłość w Camerata, gdzie ozdobny dom postawił, umówił się z Brunem i Buffalmacciem o wykonanie malowideł do tego domu. Ponieważ robota znaczna była, malarze przybrali sobie do pomocy Nella i Calandrina i dziarsko wzięli się do dzieła. W domu w Camerata kilka komnat było już gotowych i opatrzonych w łóżka oraz w sprzęty potrzebne. Ze służby nikogo jeszcze tam nie było krom pewnej staruchy, służącej i dozorczyńi domu zarazem. Korzystając z tej okoliczności, syn wspomnianego już Niccolò, imieniem Filippo, człek młody, a przy tym żoną nie obarczony, niekiedy sprowadzał do siebie jakąś białogłową i zatrzymawszy ją u siebie przez dzień lub dwa, z powrotem odsyłał.

Zdarzyło się tedy, że pewnego razu przywiódł z sobą dziewczynę, zwaną Niccolosa, którą pewien łotrzyk, Mangione, w domu swoim na przedmieściu utrzymywał, czasem i innym odstępując. Była to dziewczka kształtna, strojna, dość polerownych obyczajów, a przy tym wymowna. Pewnego dnia koło południa Niccolosa wyszła ze swej komnaty w białej sukni, z włosami zawiązanymi niedbale, i zbliżyła się do studni, znajdującej się na dziedzińcu, dla umycia sobie rąk i twarzy. Calandrino, wyszedłszy także trafunkiem po wodę, spostrzegł ją i uprzejmie powitał. Dziewczyna pozdrowiła go również i jeła mu się uważnie przyglądać, bardziej z powodu jego osobliwie uciesznej postawy niżli z jakiegokolwiek innej przyczyny. Calandrino przyglądał jej się takóŜ, a znalazłszy ją piękną, stał na miejscu jak wryty, nie śpiesząc bynajmniej z wodą do towarzyszy. PoniewaŜ jednak nie znaną mu była, nie śmiał przemówić do niej. Dziewczyna, spostrzegłszy jego zachwycony wyraz oblicza, dla zadrwienia sobie z niego, rzuciła mu kilka zalotnych spojrzeń i kilka razy westchnęła. Następstwem tego było, że Calandrino w mgnieniu oka w niej się zadurzył i nie odszedł pierwej z dziedzińca, póki Niccolosa, przywołana przez Filippa, nie oddaliła się do swej komnaty. Wówczas i on powrócił do pracy, ale opamiętać się już nie mógł i wciąż wzdychał. Bruno, nie spuszczaający go nigdy z oka (łaknął bowiem zawsze zabawy jego kosztem), wkrótce ten osobliwy stan jego spostrzegł i zawołał:

– Co ci się, u diabła, stało, towarzyszu Calandrino? Chuchasz, dmuchasz i wzdychasz ustawicznie!

– Ach, przyjacielu – odrzekł mu na to Calandrino – gdybym miał kogoś, kto by mi dopomóc zdołał, jakże byłbym szczęśliwy!

– Do czego ci ta pomoc potrzebna? – zapytał Bruno.

– Ach – westchnął raz jeszcze Calandrino – powiem ci, ale nie wyjawiaj tego, broń BoŜe! OtóŜ wiedz, że w tym domu przebywa dziewczyna, piękniejsza niżli wszystkie czarodziejki razem wzięte, a tak we mnie rozmiłowana, że zadziwiłbyś się prawdziwie, gdybyś się o tym przekonał! Ja sam dopiero dzisiaj upewniłem się o tym przy studni.

– To źle – zawołał Bruno – proś Boga, aby to nie była żona Filippa.

– Wiesz, wydaje mi się, że tak jest w samej, rzeczy – odparł Calandrino – bo przywołał ją, a ona weszła do jego komnaty. ZaliŜ to jednak moŜe być przeszkodą? Gdy o sprawy miłości chodzi, gotów jestem drwić sobie z samego Pana Jezusa, a cóŜ dopiero z Filippa. Wierę, towarzyszu, okrutnie mi ta dzierlatka do gustu przypadła.

– Calandrino – rzekł po chwili namysłu Bruno – gotów jestem z przyjaźni do ciebie dowiedzieć się, kto ona zacz. Jeżeli jest istotnie żoną Filippa, to załatwimy sprawę bez próżnego gadania, znam bowiem doskonale tę białogłową. Jakby tu jednak zrobić, aby Buffalmacco nic nie spostrzegł? Nie podobna prawie mówić z nią na osobności.

– Z Buffalmacca nic sobie nie robię – odrzekł Calandrino – strzeŜmy się natomiast Nella, gdyż ten, jako krewny Tessy, glutów nam wszystkie szyki pomieszać.

– Masz słuszność – odparł Bruno.

Bruno nie potrzebował się pytać, kto była ta dziewczyna, widział bowiem, jak przychodziła, i słyszał od samego Filippa bliŝsze o niej szczegóły. Gdy Calandrino robotę na chwilę opuścił i wyszedł pragnąc ją ujrzeć, opowiedział Bruno Buffalmaccowi i Nellowi całą historię i uknuł z nimi spisek – aby dzięki tym amatorom Calandrino zadrwić sobie z nieboraka. Gdy tedy Calandrino powrócił, Bruno spytał go szeptem:

– Widziałeś ją?

– Rozumie się, że widziałem – odparł Calandrino – i na ten raz stanowczo już z miłości nie żyję.

– Pójdę tedy – rzekł Bruno – i upewnię się, czy to ta sama, o której myślałem. Jeżeli ta, reszta już moją rzeczą będzie.

To rzekłszy wyszedł, udał się do Filippa, który właśnie w towarzystwie swej miłośnicy przebywał, opowiedział im, kto jest Calandrino i co mu wyznał przed chwilą, a następnie

umówił się z nimi, co każde ma mówić i czynić, jeśli się tym afektem Calandrino nieco rozweselić pragnie. Po czym powrócił do malarza i rzekł:

– Tak jest, to ona; dlatego też bardzo misternie do rzeczy wziąć się musimy. Gdyby Filippo coś zmiarkował, cała woda z Arno z tego by nas nie obmyła. Powiedz mi jednak wprzód, co mam jej od ciebie oświadczyć, jeśli przypadkiem na uboczu przydybać mi się ją uda.

– Dalipan – odrzekł Calandrino – powiedz jej na początek początku, że czuję w sobie dla niej tysiąc ćwierci tego boskiego soku, który zaokrągliła niewiasty, dalej powiedz jej także, że jestem jej sługą, i zapytaj, czy niczego ode mnie nie pragnie. Zrozumiałeś mnie dobrze?

– Wybornie – odparł Bruno – a teraz spuść się całkiem na mnie.

Gdy nadeszła godzina wieczery, malarze przerwali pracę i zeszedłszy na dziedziniec, gdzie Filippo z Niccolosą siedział, przystanęli obok nich, aby Calandrino dogodzić. Calandrino, korzystając z tego, zaczął stroić rozkochane miny, ale tak ukradkiem, że ślepy byłby je zauważył. Dziewczyna ze swojej strony nie zaniedbała niczego, co by go odpowiednio rozplomienić mogło, czym Filippo, udający jednakże wedle wskazówek Bruna, że nic nie widzi i że jest zajęty rozmową z pozostałymi malarzami, wyśmienicie się bawił. Po jakimś czasie malarze pożegnali młodą parę i odeszli, ku wielkiej żałości Calandrino.

Po drodze do Florencji rzekł Bruno do Calandrino:

– Powiadam ci, że ona topnieje z miłości do ciebie jak śnieg na słońcu! Klnę się na ciało Chrystusowe, że gdybyś przyniósł gitarę swoją i zaśpiewał przy jej dźwięku jedną ze znanych ci miłosnych piosenek, ani chybi wyskoczyłaby z okna, aby ci się w objęcia rzucić.

– Tak ci się wydaje, towarzyszu? – spytał Calandrino – czy w samej rzeczy myślisz, że dobrze by było, gdybym moją gitarę⁸⁵ sprowadził?

– Niewątpliwie! – odrzekł Bruno.

– No widzisz – dodał Calandrino – a nie chciałeś mi wierzyć, gdym ci mówił o sile jej miłości do mnie. Dalipan, przyjacielu, widzę, że nikt lepiej ode mnie białogłowy usidlić nie potrafi. Któż by krom mnie mógł w sercu takiej damy podobny afekt wzbudzić? Zaiste, ani jeden z tych głądyszów, którzy o swoim każdym tryumfie na cztery strony świata trąbią, po całych dniach za podwikami się uganiają, a jednak i przez tysiąc lat nie potrafią trzech garści smacznych orzeszków wyluszczyć. Cóż dopiero, gdy mnie usłyszysz grającego na gitarze! Zdziwisz się prawdziwie! Przyznaj się, że uważałeś mnie za niemrawca, ona tymczasem poznała się od razu na mojej wartości. Nie jestem tak stary, jakby się wydawało. Gdy ją tylko raz do rąk dostanę, dam jej dowody, co potrafię. Na jądra świętych młodzianków, już ją tak zaczaruję, że będzie biegła za mną jak cielę za krową!

– Ach! – zawołał Bruno – dopiero sobie dogodzisz! Zdaje mi się, że już cię widzę kęsającego twymi spiczastymi zębami jej purpurowe jagody i wargi, do świeżych róż podobne, co mówię, kęsającego!... pożerającego ją całą!

Calandrino słysząc te słowa sądził, że już jest u celu, i szedł śmiejąc się i podskakując tak raźnie, jakby mu we własnej skórze za ciasno było.

Nazajutrz przyniósł z sobą gitarę i odśpiewał przy jej wtórze wiele pieśni, ku wielkiej ucieście całego towarzystwa.

Słowem, takim żarem zapłonął mając sposobność widywania często Niccolosy, że jednej kreski już nie namalował, jeno po tysiąc razy dziennie od drzwi do okien lub na dziedziniec wychodził, aby tylko dziewczynę obaczyć, ku czemu ta, działając wedle wskazówek Bruna, sposobności mu nie skąpiła. Bruno ze swej strony przynosił jej od Calandrino gorące wyznania miłości, a później odnosił mu niekiedy odpowiedzi, rzekomo od niej pochodzące. Gdy wyjeżdżała, co dość często się zdarzało, Bruno wręczał Calandrino listy, w których jak najpiękniejsze czyniła mu nadzieje, przydając, że obecnie bawi w domu rodziców i że tam widywać się z nią nie można.

Bruno i Buffalmacco bawili się w ten sposób głupotą Calandrino i nie poprzestając na tym, od czasu do czasu wyłudzały od niego na rzekomy podarunek dla kochanki to grzebień ze słoniowej kości, to sakiewkę, a to znów nożyk lub inne drobiazgi, przynosząc mu w zamian pierścionki bez żadnej wartości, którymi jednak Calandrino nad wyraz się cieszył. Przez wdzięczność podejmował też przyjaciół smaczными ucztami i rozmaite niespodzianki im gotował, aby ich zachęcić tylko do tym gorętszego popierania jego sprawy.

Przez dwa miesiące durzyli go w ten sposób, nie posuwając sprawy naprzód, aż wreszcie Calandrino, widząc, że robota się kończy i obawiając się, że jeśli celu swej miłości w czasie pobytu w tym miejscu nie osiągnie, gdzie indziej z pewnością mu się to nie uda, począł Bruna do muru przypierać.

Tymczasem Niccolosa przybyła znów do Cameraty. Bruno umówił się naprzód z nią i z Filippem, a potem rzekł do Calandrino:

– Słuchaj, przyjacielu! Dziewczyna ta nie raz, ale tysiąc razy już obiecała mi spełnić wszystko, czego pragniesz; mimo tych przyrzeczeń nic jednakże nie uczyniła, i dlatego zdaje mi się, że cię zwodzi. Przyszło mi tedy na myśl, że za twoją zgodą winniśmy ją zmusić do dotrzymania obietnicy wolą lub niewolą.

– Tak, tak, na żywy Bóg! – zawołał Calandrino – tylko nie zwlekajmy ani chwili!

– Czy sądzisz – rzekł na to Bruno – że zdobędziesz się na dotknięcie jej talizmanem, który ci wręczę?

– Dlaczegożby nie? – odparł Calandrino.

– Postaraj się tedy o kawałek nietkniętego pergaminu, o żywego nietoperza, trzy ziarna mirry i poświęcaną gromnicę, a resztę mnie już pozostaw.

Calandrino przez cały następny wieczór stał przed domem z różnymi siatkami, czatując na nietoperza. Gdy wreszcie pochwycić mu się go udało, przyniósł go wraz z innymi żądanymi przedmiotami Brunowi. Malarz zamknął się w swojej komnacie, wypisał na pergaminie rozmaite androny, nakreślił kilka liter, po czym wręczył pergamin Calandrino z tymi słowy:

– Wiedz, że skoro ją tylko dotkniesz tym pismem, pójdzie natychmiast za tobą i, uczyni wszystko, czego tylko zechcesz. Gdy tedy Filippo dzisiaj się oddali, zbliż się do niej pod jakimkolwiek pozorem, dotknij ją tym talizmanem i ruszaj prosto tu obok do stodoły, w której będziecie się czuli bezpiecznie, nikt bowiem do niej nie zagląda. Przekonasz się, że pójdzie za tobą! Gdy się już znajdziecie razem, sam będziesz wiedział dobrze, co ci czynić wypada.

Calandrino, usłyszawszy te słowa, uczuł się najszczęśliwszym w świecie człowiekiem, schwytał pergamin i zawołał:

– Dziękuję ci serdecznie, przyjacielu! Reszta już do mnie należy!

Nello, przed którym Calandrino chciał wszystko ukryć, wiedząc doskonale o całej tej sprawie, bawił się na równi z innymi i pomagał im wedle możliwości. Obecnie zatem na polecenie Bruna pośpieszył tajnie do Florencji, do żony Calandrino i rzekł do niej:

– Nie zapomniałaś jeszcze zapewne, Tesso, jak cię sponiewierał Calandrino w owym dniu, gdy powrócił z kamieniami z doliny Mugnone. Owóż chcę ci dzisiaj dać sposobność do zemsty. Albo z niej skorzystasz, albo też przestaniesz uważać mnie za swego krewniaka i przyjaciela. Wiedz tedy, że Calandrino w tej wiosce, gdzie pracujemy, zakochał się w pewnej błaznicy, która jest na tyle głupia, że często się z nim w tajności schodzi. Właśnie niedawno umówili się na nowe spotkanie. Musisz tedy wybrać się ze mną razem do Cameraty i schwytawszy Calandrino na gorącym uczynku, przykładnie go ukarać.

Żona Calandrino słysząc to w srogi gniew popadła i zrywając się z miejsca, zawołała:

– Biada mi! A to hultaj! Takie to twoje sprawy, niecnoto! Aliści poczekaj, łotrze, nie ujdzie ci to na sucho! Policzymy się od razu za wszystko!

To rzekłszy zarzuciła na się zwierzchnie szaty, przybrała sobie do towarzystwa jedną z sąsiadek i pobiegła za Nellem.

Bruno, ujrawszy ją z daleka nadchodzącą, rzekł do Filippa:

– Patrzaj, oto nasza pomocnica!

Filippo, ani chwili nie zwlekając, pośpieszył na miejsce, gdzie Calandrino po społu z innymi pracował, i rzekł do nich:

– Pracujcie pilnie, mistrzowie mili! Ja muszę teraz pośpieszyć do Florencji.

Po czym, pożegnawszy się z nimi, ukrył się w takim miejscu, skąd, sam niewidziany, mógł przypatrywać się do woli, co Calandrino czynić będzie.

Calandrino mniemając, że Filippo już się oddalił, wyszedł na dziedziniec, gdzie spotkawszy Niccolosę wdał się z nią w rozmowę. Chytra dziewczyna, wiedząc dobrze, co ma czynić, zbliżyła się do niego z większą niż zwykle uprzejmością. Korzystając z tego Calandrino dotknął ją talizmanem i natychmiast, nie mówiąc ni słowa, ruszył w stronę stodoły. Niccolosa poszła za nim. Gdy oboje wewnątrz się znaleźli, dziewczyna zamknęła drzwi, rzuciła się Calandrinowi na szyję, przewróciła go na słomę, rozesała na ziemi, i usiadłszy na nim wierzchem, przytrzymała mu ręce, tak aby się do niej zbliżyć nie mógł. Po czym jęła się weń wpatrywać, jakby najgorętszą żądzą trawiona, wreszcie zawołała:

– O mój najśłodszy Calandrino, o serce mojego serca, duszo moja, jedyne szczęście moje i kresie mych pragnień, jakże długo pragnęłam cię posiadać i tak jak teraz z całą swobodą trzymać cię w objęciach. Uprzejmość twoja w zachwyt mnie wprowadziła, a dźwięki twojej lutni odurzyły moje serce. Prawdaż to, że cię mam nareszcie?

Calandrino nie mogąc się poruszyć odparł:

– Prawda, moja duszo najśłodsza, ale daj mi się pocałować.

– Tak ci się śpieszy? – spytała z tkliwym uśmiechem Niccolosa – pozwól mi się pierwej na siebie napatrzeć, pozwól, niech oczy widokiem twego drogiego oblicza nasycę.

Tymczasem Bruno i Buffalmacco znaleźli się obok Filippa w kryjówce, skąd wszystko widzieć i słyszeć mogli.

Gdy wreszcie Calandrino miał już Niccolosę pocałować, zjawili się na dziedzińcu pani Tessa i Nello. Ów, spojrzawszy ku stodołę, rzekł:

– Przysięgłbym na Boga, że znajdziemy ich teraz razem.

I podążył ku stodołę, a gdy u drzwi stanęli, pani Tessa, nie panując już nad sobą dłużej, pchnęła je tak mocno, że z zawias wypadły, po czym wpadła do środka i ujrzała Calandrina z piękną amazonką na sobie. Niccolosa, spostrzegłszy panią Tessę, zerwała się i ile tchu w piersiach do kryjówki Filippa umknęła. Aliści Calandrinowi nie udało się tak gładko wywinąć, nim bowiem się poruszyć zdążył, już jego żona była przy nim. Rzuciwszy się nań, najpierw mu pazurami twarz rozorała, a potem schwyciła go za włosy i czochrać go potężnie zaczęła krzycząc:

– Ty stary, niedołączny psie! także to sobie teraz ze mną poczynasz? Niech będzie przeklęta miłość, którą dla ciebie, łotrze, żywiłam. Zali nie dosyć masz do czynienia w domu, że się gdzie indziej za miłośkami uganiaasz? A to mi miłośnik na schwał! Czy nie znasz siebie, nędzniku? Nie znasz siebie, niedołego? Przecie gdyby cię ktoś wziął pod prasę, ani kropelki soku z całego ciebie by nie wycisnął. Na Boga! Na ten raz nie przeze mnie zajdziesz w ciążę, ale przez tę hultajkę, którą niechaj Bóg ciężko pokarze! Musi to być niezłe ladaco, skoro takiego klejnotu jak ty zapragnęła.

Calandrino, ujrzawszy swoją żonę, nie wiedział, czy żyw jest, czyli też umarły, i dlatego też najmniejszego oporu nie stawiał. Podrapany, z rozczochranymi włosami, wstał wreszcie, okrył się płaszczem i jał prosić pokornie żonę, aby nie krzyczała tak głośno, jeżeli nie chce go widzieć w tej chwili posiekanego na ćwierci, białogłowa bowiem, która przed nią uciekła, była żoną samego pana tych włosów.

– A mnie co tam do tego! – zawołała pani Tessa. – Niechże ją wraz z tobą jasny piorun strzeli!

Bruno i Buffalmacco, którzy w ukryciu swoim po społu z Filippem i Niccolosą setnie z tego wszystkiego się naśmieli, zjawili się wreszcie, jak gdyby hałasem zwabieni. Uspokoiwszy

panią Tesę, poradzili Calandrinowi, aby się co prędzej do Florencji wybierał i w tym miejscu więcej się nie pokazywał, bowiem Filippo, dowiedziawszy się o całym zajściu, diabłą kurtę skroić mu może. Powrócił tedy biedny, niepoczyszony i srodze na gębie podrapany Calandrino do Florencji i nigdy już w tych miejscach pokazywać się nie ważył. Nie na tym jednak jego utrapienia się skończyły. Mimo iż wyrzekł się swych gorących afektów dla Niccolosy, które tak ubawiły tę dziewczynę, Filippa i malarzy, jego towarzyszy, przez długi czas ni w dzień, ni w nocy nie miał spokoju od gniewnej żony, która go nieustannymi wyrzutami prześladowała.»

Opowieść szоста



NOCNE POMYŁKI

Dwaj młodzieńcy nocują w izbie wieśniaka. Jeden z nich wchodzi do łóża córki gospodarza, którego żona przypadkiem kładzie się przy boku drugiego młodzieńca. Ów, który spał z dziewczęciem, wędruje potem do łóża wieśniaka i opowiada o rozkosznej nocy, myśląc, że z towarzyszem rozmawia. Żona gospodarza poznawszy swój błąd kładzie się obok córki i wszystkich sprytnymi słowami uspokaja.

Calandrino, tylekroć już towarzystwo zabawiwszy, i na ten raz niepomąłu je rozweselił. Gdy wreszcie jego przygodę rozważać przestano, królowa wezwała do opowiadania Panfila, który w te słowa zaczął:

– Imię Niccolosy, kochanki Calandrina, przywiodło mi na pamięć zdarzenie z inną Niccolosą, o którym wam obecnie opowiedzieć pragnę. Poznacie z niego, jakie to czasem burze przytomność umysłu zażęgnąć może.

«Przed niedawnym czasem mieszkał w dolinie Mugnone pewien poczciwy człek, który podróżnym za pieniądze jadła i napoju, a także i noclegu udzielał. Tę ostatnią przysługę wyrażał jednakże tylko dobrym znajomym, chałupę bowiem miał bardzo małą i żył w ubóstwie. Żona jego, bardzo urodziwa białogłowa, obdarzyła go dwojgiem dzieci. Córka, ładne i powabne dziewczę, liczyła około szesnastu lat, syn był jednorocznym zaledwie chłopczykiem, którego matka sama karmiła. Dziewczę wpadło w oko pewnemu urodziwemu młodzieńcowi, który ze znacznych ludzi w naszym mieście ród swój prowadził. Przebywając często w dolinie Mugnone, gorącym afektem do dziewczęcia zapalał.

Dziewczyna, wielce dumna z pozyskania takiego kochanka, starała się miłymi spojrzeniami uczucia jego podtrzymać i żywą wzajemnością mu odpłacała. Miłość ta już dawno lubym skutkiem została by uwieńczona, gdyby nie to, że Pinuccio (tak się zwał ów młodzian) nie chciał sromotą okryć dziewczyny i siebie. Jednakowoż namiętność, która z dnia na dzień silniejszą się stawała, zwyciężyła wreszcie wszystkie jego skrupuły. Pinuccio postanowił zejść się tajnie z ukochaną i dlatego też ją się głowić nad tym, jaki by tu powód noclegu w chacie wieśniaka wynaleźć. Znając dobrze izbę, w której cała rodzina mieszkała, nie wątpił, że znalazłszy się pod dachem dziewczęcia, łatwo i bez zwrócenia niczyjej uwagi cel swoich pragnień osiągnie. Po tym postanowieniu bez zwłoki do dzieła przystąpił. Pewnego wieczora

zaprząwszy dwa konie, w towarzystwie jednego z przyjaciół swoich, imieniem Adriano, któremu ze wszystkiego się zwierzył, załadowawszy na wóz dwa kufry, może tylko słomą wypełnione, wyjechał z Florencji i okrążył całą dolinę Mugnone, tak miarkując, aby późno nocą do niej dotrzeć. Gdy tedy zmrok całkiem zapadł, dwaj przyjaciele udając, że od strony Romarii przybywają, podjechali pod dom zacnego wieśniaka i zapukali do drzwi, które im natychmiast, jako dobrym znajomym, sam gospodarz otworzył.

– Gospodarzu – rzekł Pinuccio pozdrowiwszy go dwornie – czyńcie, co chcecie, jednakowoż będziecie musieli na tę noc do siebie nas przyjąć. Chcieliśmy zdążyć na czas do Florencji, ale oto noc nas w podróży zaskoczyła.

– Pinuccio – odparł gospodarz – sam wiesz dobrze, że nie jest w mojej mocy takich panów jak wy godnie przyjąć, ponieważ jednak już do Florencji nie zdążycie, a innego schronu w okolicy nie znajdziecie, dam wam tedy dzisiaj nocleg, o ile można, jak najlepszy.

Po tych słowach młodzieńcy wysiedli, zaprowadzili konie pod szepę, a potem, wszedłszy do małej gospody, wyjęli przywiezione z sobą zapasy i powieczerali w towarzystwie gospodarza.

Z noclegiem był kłopot prawdziwy. Całe mieszkanie składało się z jednej izby, w której cudem tylko trzy łoża pomieszczono. Dwa z nich stały przy jednej ścianie, trzecie zaś naprzeciw. Wolnego miejsca pozostawało ledwie tyle, że jako tako przejść można było. Najlepsze łoże kazał gospodarz posłać dla swych gości. Ci, pogawędziwszy jeszcze chwilę, udali się na spoczynek.

Gdy obydwaj już zasnęli, a raczej udawali, że śpią, gospodarz kazał się córce położyć do jednego z dwóch pozostałych łóżek, a sam z żoną zajął trzecie. Żona jego postawiła obok swego łoża kołyskę, w której leżał mały ich synek. Pinuccio, dobrze sobie to wszystko zakonotowawszy, po jakimś czasie, gdy mu się zdało, że już wszyscy posnęli, wstał po cichu, przysunął się do łóżeczka, na którym jego ukochane dziewczę spoczywało, pozdrowił ją i przyjęty równie lekko, jak i radośnie, położył się obok niej, aby oddać się uniesieniom rozkoszy, tak pożądanej dla nich obojga.

W tym czasie przypadkiem kocisko domowe przewróciło coś w sieni. Na łoskot stąd powstała zbudziła się gospodyni i niespokojna, co to być może, podniosła się z łoża po ciemku i tak, jak stała, skierowała się ku stronie, skąd rumor pochodził. Jeszcze wrócić nie zdążyła, gdy Adriano, o niczym nie wiedząc, zbudził się także i wstał dla zaspokojenia przyrodzonej potrzeby. Idąc przed siebie po omacku, natknął się na kołyskę, stojącą obok łóżka gospodarzy i nie mogąc znaleźć przejścia, odsunął ją i postawił obok swojego posłania. Za chwilę powrócił i zapomniawszy o przesunięciu kołyski na dawne miejsce, położył się z powrotem do swego łoża. Ledwie to uczynił, gdy gospodyni, przekonawszy się w sieni, że żadna szkoda się nie stała, nie zapalała nawet światła, lecz krzyknawszy na kota, weszła z powrotem do izby, kierując się po omacku ku małżeńskiemu łożu. Nie znalazłszy jednak przed nim kołyski, rzekła sama do siebie z wielką trwogą:

– O ja nieszczęśliwa! Pięknie byłabym się spisała! Jako żywo weszłabym była do łoża naszych gości!

Postąpiła kilka kroków dalej, gdzie namacawszy kołyskę stojącą obok łoża Adriana, położyła się przy nim w przekonaniu, że to jej mąż. Adriano, który nie spał jeszcze, zmiarkował w jednej chwili rzecz całą, i nie mówiąc ni słowa, pochwycił ten dar bogów w objęcia i ku niewysłowionej uciechu żwawej białogłowy nie na żarty zabrał się do niej.

Tymczasem, gdy tak dobrze czas przepędzali, Pinuccio, bojąc się, aby go sen w łóżnicy kochanki nie zaskoczył, i używszy zresztą, ile dusza zapragnęła, pożegnał ją i wstał, aby do łoża swego powrócić. Aliści stanąwszy przed nim, namacał zaraz kołyskę. Sądząc, że to łóżko gospodarzy, postąpił kilka kroków dalej i położył się obok gospodarza. Ów za dotknięciem jego obudził się. Pinuccio mniemając, że obok niego Adriano spoczywa, rzekł z uniesieniem:

– O Adriano, powiadam ci, że nie ma na świecie białogłowy rozkoszniejszej od Niccolosy. Klnę się na ciało Chrystusowe, że żadna kobieta nie upoiła mnie tak, jak ona, dlatego też w czasie mojej bytności w jej łożu co najmniej sześć razy do portu dobiłem.

Gospodarz, usłyszawszy te słowa, niezbyt się z nich ucieszył. W pierwszej chwili pomyślał: „A ten co tu przy mnie robi, u diabła”, a potem, bardziej gniewem niż roztropnością powodowany, zawołał:

– To, coś uczynił, Pinuccio, jest rzeczą wielce niegodziwą! Nigdy bym się nie spodziewał, że do podobnego plugastwa zdolny będziesz. Na krew Chrystusa, drogo mi za to zapłacisz!

Pinuccio, młodzieniec nieco lekkomyślny, spostrzegłszy swój błąd, a nie wiedząc, jak się wywikłać, odparł w pomieszeniu:

– Za cóż mam ci zapłacić? Co ty mi zrobić możesz? Gospodyni, słysząc tę sprzeczkę i będąc pewna, że obok męża w łożu spoczywa, szepnęła:

– O dla Boga! Słyszysz, jak nasi goście o coś się ze sobą kłócą?

– A niech im tam kat świeci! – odrzekł tym samym tonem Adriano. – Musieli wczoraj zbyt wiele wypić.

Ledwie jednak te słowa wyrzekł, gospodyni poznała po głosie, że to nie jej mąż. Nie krzyknęła jednak ani nie zawahała się, ale jak na roztropną białogłową przystało, podniosła się co prędzej, pochwyciła kołyskę swego synka i szczęśliwym trafem wiedziona, przysunęła ją w pomroku do łóżka swojej córki, obok której się położyła. Po czym dopiero, jakby przebudzona hałasem, jaki mąż jej uczynił, spytała, z kim się tak i o co kłóci?

– Zali nie słyszałaś – odrzekł mąż – jak się Pinuccio chwalił, że tę noc z Niccolosą przepędził?

– Co? – zawołała żona – łże jak pies! Wcale nie był u Niccolosy. Wczoraj wieczorem jeszcze położyłam się przy niej i od tej pory oka nie zmrużyłam. Kłamie tedy albo oszalał, jeszcze raz powtarzam. A ty głupcem jesteś, jeśli mu uwierzyłeś. Aliści czemu się tu dziwować? Wy, mężczyźni, opijecie się tak zawsze na noc, że potem śnią się wam różne androny; tłuczecie się przy tym po komnacie jak Marek po piekle i Bóg wie, co wyprawiacie! Szkoda tylko, że przy tej sposobności nie złamiecie sobie karku. Aliści co robi Pinuccio przy tobie? Dlaczego nie leży w swoim łożu?

Adriano usłyszawszy, jak mądrze gospodyni sromotę swoją i swojej córki pokryła, postanowił do rozmowy się wmieszać:

– Przestrzegalem cię już sto razy, Pinuccio, abyś przez sen nie chodził. Ta haniebna wada błąkania się po nocy i opowiadania baśni, które ci się przyśniły, jako rzeczy prawdziwych, jeszcze cię kiedy o nieszczęście przyprawi. Chodź tu, do stu szatanów, i pozwól spać tym zacnym ludziom.

Gospodarz, usłyszawszy słowa żony swojej i Adriana, uwierzył święcie, że Pinuccio przez sen bredzi, chwycił go tedy za ramiona, potrząsnął nim i krzyknął silnym głosem:

– Obudź się, Pinuccio, i wracaj do swego łoża!

Pinuccio, który przez tę krótką chwilę oprzytomnieć i wszystko zrozumieć zdołał, począł naprzód bredzić coś bez związku, tak że gospodarz serdecznie śmiać się począł, a potem udając, że się budzi, mruknął coś niewyraźnie i wreszcie rzekł rozspanym głosem:

– Daj mi spokój, Adriano! Cóż to, zaliż już dzień, że umie budzisz?

– Tak – odparł Adriano. – Chodź tutaj!

Pinuccio, dalej swoją sztukę prowadząc, wstał wreszcie zaspany i niby pół-nieprzytomny powrócił do Adriana.

Gdy rozedniało i wszyscy z łożek powstawali, gospodarz zaczął drwić dobrodusznie z Pinuccia i jego snów.

Wszyscy mu w tych żartach sekundowali, nawet i sarn Pinuccio. Następnie po krótkiej pogawędce młodzieńcy zaprzęgli konie swoje, zabrali tłumoki, przepili do gospodarza i pożegnawszy się z nim, odjechali wielce ukontentowani z tak szczęśliwego obrotu rzeczy.

W biegu czasu Pinuccio wynalazł inne sposoby częstego widywania się z Niccolosą, która zaręczała matce przy każdym wspomnieniu o owej nocnej przygodzie, że Pinucciowi śniło się to wszystko niewątpliwie. A gospodyni, dobrze pamiętna uścisków Adriana, myślała sobie w duszy, że tylko ona jedna tej nocy przeżyła coś na jawie.»

Opowieść siódma



SEN TALANA

Talano d'Imolese widzi we śnie wilka, który rozszarpuje żonę jego. Talano radzi żonie, aby się z domu nie wydalala, aliści białogłowa nie słuchała tej rady. Nazajutrz sen się sprawdza.

Gdy Panfilo opowiadanie swoje zakończył i gdy wszyscy żonie oberżysty za przytomność jej umysłu gorące pochwały oddali, królowa Pampinei opowiadać kazała. Wdzięczna młódka w te słowa zaczęła:

– Drogie przyjaciółki! Już zastanawialiśmy się nad prawdziwością snów, z których tak wielu się wyśmiewa. Do przytoczonych przez nas dowodów chcę przydać jeszcze jeden i dlatego pokrótce opowiem wam, co się niedawno przydarzyło pewnej z moich sąsiadek, która snowi swego męża wiary dać nie chciała. Nie wiem, czyście znały niejakiego Talana⁸⁶ d'Imolese wielce czcigodnego człeka. Pojął on za żonę młodą i niezwykle piękną dziewczynę, imieniem Margarita, która jednak przy całej krasie wdzięków swoich tak upartą, szorstką i przekorną była, iż ani sama nigdy niczego wedle woli innych uczynić nie chciała, ani nikt jej nie mógł nigdy w niczym dogodzić. Talano cierpiał srodze z powodu tych wad żony swojej, aliści nie mogąc jej przerobić, znosił, co musiał.

«Zdarzyło się, że pewnej nocy, gdy z nią razem w jednej z swoich posiadłości wiejskich przebywał, ujrzał we śnie żonę swoją przechadzającą się po pięknym gaju, znajdującym się w pobliżu ich domu. Wodząc za nią wzrokiem, ujrzał nagle wychodzącego z lasu ogromnego i strasznego wilka, który rzucił się na żonę, chwycił ją za gardło, przewrócił na ziemię i usiłował ją porwać, mimo jej rozpaczliwego wołania o pomoc. Wreszcie białogłowa wydarła się z lutyh pazurów, aliści ze srodze pokrwawioną twarzą i szyją. O świcie, gdy Margarita zbudziła się, Talano rzekł do niej:

– Żono, jakkolwiek przekora twoja wszystkie dni pożycia z tobą mi zatruwa, bolałoby mnie jednak, gdybyś jakiemuś nieszczęściu podległa. Posłuchaj tedy mojej rady i dzisiaj wcale z domu nie wychodź.

Gdy Margarita spytała go o przyczynę tej rady, opowiedział jej szczegółowie o śnie swoim. Żona, wysłuchawszy go, potrząsnęła głową i rzekła:

– Kto komu źle życzy, ten miewa niedobre sny! Udajesz wielką troskliwość o mnie, a śni ci się to, czego byś dla mnie pragnął. Aliści bądź spokojny! Będę się strzegła tak dzisiaj, jak i zawsze i postaram się, abyś z nieszczęścia mego cieszyć się nie mógł.

– Wiedziałem z góry – odparł na to Talano – że taką usłyszę od ciebie odpowiedź i że jak zwykle za dobro złem mi zapłacisz, jednakże powtarzam ci raz jeszcze: nie wychodź dzisiaj z domu, a przynajmniej nie chodź do gaju!

– Dobrze, dobrze – odrzekła żona. – Możesz być pewien, że cię posłucham.

W duszy zaś rzekła do siebie: „Rozumiemy się dobrze, łotrzyku! Chciałeś mnie zręcznie nastraszyć i odwieść od dzisiejszej przechadzki po gaju. Pewna jestem, że masz tam w gąszczu leśnym jakąś hultajkę i że nie chcesz, abym się z nią spotkała. Przyjemnie by mu było żyć pośród ślepych, znam go dobrze! Głupia byłabym, gdybym mu uwierzyła. Pójdę i przekonam się, co on tam knuje, przekonam się, choćbym cały dzień czatować miała.”

Gdy tedy mąż wyszedł, bez zwłoki pobiegła do lasu, ukryła się w najciemniejszej gęstwini i wyteżyła wzrok czekając, zali kto nie nadejdzie. Gdy tale tedy stała na czatach, nie myśląc o grożącym jej niebezpieczeństwie, nagle z gęstwiny pobliskiej wypadł olbrzymi, straszny wilk, który rzucił się na nią, uchwycił ją za gardło i usiłował porwać jak małe jagnię. Biedna białogłowa zdołała tylko krzyknąć „Boże, ratuj mnie!” Drapieżne zwierzę tak silnie ją trzymało, że o obronie ani o wzywaniu pomocy żadnej mowy być nie mogło i niechybnie życie by postradała, gdyby nie nadejście kilku pasterzy, którzy wielki wrzask podniósłszy, wilka od niej odegnali.

Odniesiono ją do domu, gdzie dzięki usilnemu staraniu medyków zdrowie odzyskała. Po zostało po tym wypadku na szyi jej i twarzy blizny tak ją jednakże oszpeciły, iż ta piękna ongiś białogłowa teraz odrażającą się stała. Od tej pory w samotności żyła wstydząc się pokazać oczom ludzkim i oplakiwała nieraz gorzko przekorę swoją, która nie pozwoliła jej uwierzyć w proroczy sen męża, chociaż nie wymagało to od niej żadnej ofiary.»

Opowieść ósma



WINO ZA RYBY

Biondello drwi z Ciacca prosząc go na wystawną rzekomo ucztę. Ciacco mści się na Biondellu, którego sromotnie obić każe.

Powszechnym zdaniem słuchaczy było, że sen Talana nie snem, lecz wizją nazwać by należało, tak bowiem ściśle i szczegółowie w rzeczywistości się sprawdził. Gdy skończyły się uwagi nad tą materią, królowa skinęła na Laurettę, która w te słowa zaczęła:

– Miłe przyjaciółki! Wszyscy niemal, którzy dzisiaj przede mną opowiadali, mówili pod wpływem już uprzednio zasłyszanych opowieści. Podobnie i ja, przypominając sobie opowieść Pampinei o okrutnej zemście uczonego, chcę wam opowiedzieć o tym, jak jeden człek drugiemu zapłacił. Chociaż zemsta ta mniej sroga była, przecie temu, co się stał jej ofiarą, wielce ciężką się wydała.

«Wiedźcie tedy, że we Florencji żył pewien człek, straszliwy obżartuch, zwany przez wszystkich Ciacco.⁸⁷ Był to człek wielce polerownych obyczajów, miał cięty język i umiał gładko mówić; nie tylko pieczeniarski, ale kpiarz nade wszystko. Ponieważ majątność Ciacca nie wystarczała mu na zaspokojenie żądz podniebienia, bywał tedy u ludzi bogatych, którzy smacznie jeść lubili. Ciacco zjawiał się często na obiad lub na wieczerzę nawet bez zaproszenia.

We Florencji mieszkał też w tym czasie niejaki Biondello, człek o małej posturze, ale zgrabny i czyściutki jak muszka. Jego płowe, długie włosy tak starannie zawsze przyczesane były, że nawet jeden włoszek nie odstawał. Czapeczka na czubku głowy siedziała. Biondello wiódł tryb życia podobny do Ciacca.

Pewnego roku, w czasie postu Biondello, znajdując się na rynku, gdzie ryby sprzedawano, i kupując właśnie dwie wielkie minogi dla pana Vieri de' Cerchi⁸⁸, spostrzeżony został przez Ciacca, który też natychmiast zbliżył się doń i spytał:

– A to dla kogo?

– Wczoraj wieczorem – odparł mu na to Biondello – nadesłano panu Corso Donati⁸⁹ trzy jeszcze piękniejsze minogi i jednego jesiotra. Ponieważ jednak zdawało się mu, że ryb tych nie wystarczy dla kilku zacnych panów, których dzisiaj u siebie gościć pragnie, poprosił mnie tedy, abym mu jeszcze dwie minogi dokupił. Może i ty zjawisz się dzisiaj na tej uczcie?

– Wiesz sam dobrze, że nie omieszkać tego uczynić – odparł Ciacco.

W samej rzeczy, gdy tylko pora wieczerzy nadeszła, udał się Ciacco do domu pana Corsa i zastał go w towarzystwie kilku sąsiadów, z którymi jeszcze nie zasiadł do stołu. Ciacco, pozdrowiwszy go dwornie, rzekł:

– Panie, zapraszam się dziś na wieczerzę z wami i waszą kompanią.

– Bardzo mi miło – odparł pan Corso. – Trafiliście w samą porę. Siadajmy tedy!

Zajęli miejsca i wnet wieczerzę podano. Składała się ona z grochu, solonych tuńczyków, kilku smażonych ryb z Arno pośledniejszego gatunku, i na tym koniec. Ciacco poznał, że Biondello zadrwił zeń sobie i do żywego urażony, poprzysiągł, że mu hojnie za to zapłaci.

Przeszło kilka dni. Biondello wszystkim powszędy opowiadał, jak to Ciacca na hak przywieść mu się udało. Wreszcie spotkawszy Ciacca pozdrowił go szyderczo i spytał z uśmiechem, jak mu smakowały minogi u pana Corso?

– Nim tydzień upłynie – odparł mu na, to Ciacco – będziesz o tym lepiej wiedział ode mnie!

I odszedłszy od niego, bez zwłoki wyszukał pewnego łazika, kutego na cztery nogi hultaja, obiecał mu stosowną nagrodę, a potem dał mu do rąk pustą butlę od wina i zaprowadził do galerii Cavicciuli. Tam pokazał mu rycerza, niejakegoi Filippa Argenti⁹⁰, człeka potężnej postury, a przy tym zapalczego nad wyraz i pobudliwego wielce, i rzekł:

– Idź do tego rycerza z tą butlą w ręku i rzeknij doń w te słowa: „Panie, przysłała mnie do was Biondello z prośbą, abyście byli łaskawi tę butlę zarubinić nieco waszym wybornym winem czerwonym, którym pragnąłby siebie i kilku braci łykaczy uraczyć.” Powiedziawszy to, waruj się, aby cię nie pochwycił, mógłbyś bowiem źle wyjść na tym i mnie cały zamysł poprosować.

– Czy trzeba jeszcze coś więcej powiedzieć? – spytał hultaj.

– Nie – odparł Ciacco – a skoro się z poselstwa wywiążesz, zmykaj i przychodź z tym gąsiorem do mnie po zapłatę.

Hultaj, otrzymawszy takie polecenie, zbliżył się do pana Filippa i z poselstwa swego się sprawił. Pan Filippo, który niewiele potrzebował, aby gniewem wybuchnąć, słysząc żądanie Biondella, którego znał, i przekonany będąc, że są to drwiny, spurpurowiał na obliczu i wrzasnął:

– Co mi tam szczerzasz o rubinowaniu i braciach łykaczach! Bogdajbyś przepadł wraz z tym, kto cię tu przysłał.

Po czym rzucił się chcąc pochwycić hultaja za ręce, aliści ten, mając się na ostrożności i uprzedzając ruch jego, wziął nogi za pas i przebiegłszy inną stroną, zatrzymał się dopiero obok Ciacca, który temu wszystkiemu z oddali się przyglądał.

Ciacco, wysłuchawszy słów hultaja, wielce ukontentowany, wypłacił mu umówioną sumę i puścił się na poszukiwanie Biondella. Spotkawszy go wreszcie, rzekł:

– Dawno już nie byłeś w galerii Cavicciuli?

– Dawno, aliści czemu pytasz mnie o to? – odrzekł Biondello.

– Bo chciałem ci powiedzieć – rzekł Ciacco – że pan Filippo szuka cię na wszystkie strony, nie wiem już w jakiej sprawie.

– Dobrze – odparł na to Biondello – właśnie idę w tę stronę, będę więc mógł z nim pomówić.

I pożegnawszy się podążył w tym kierunku. Ciacco, niezmiernie ciekaw, co się stanie, udał się w jego tropy.

Tymczasem pan Filippo, wściekły, że posłańca pochwycić nie zdołał, sapał i trząsał się z gniewu, a nie mogąc nic innego z słów hultaja wymiarkować krom tego, że Biondello chciał sobie z niego zadrwić, coraz srożej się na niego zacinał. W tej chwili właśnie Biondello podszedł do niego. Ujrzawszy go, rycerz rzucił się naprzód i na pierwsze przywitanie ugodził biednego Biondella potężnie pięścią w gębę.

– Gwałtu, panie! – zawołał Biondello – a to co ma znaczyć?

Zanim jednak zdążył przydać coś więcej, pan Filippo porwał go za włosy, rozdarł mu czapkę na głowie, rzucił kaptur na ziemię i nie przestając bić, wrzeszczał:

– Zaraz obaczysz, zdrajco, co to znaczy! Przysyłasz do mnie z prośbą o zarubinowanie wi-
na i poczęstunek dla braci łykaczy? Myślisz, że ze mną jak z dzieckiem figle stroić można?

Tak przygadując walił go żelaznym kułakiem po pysku i garściami włosy zmierzwiłone wrywał. Potem, wytarzawszy go w kurzu, rozdarł na nim suknie. Wszystko to stało się tak sprawnie i prędko, że biedny Biondello nie był w stanie spytać, co zawinił, ani słowa prośby wypowiedzieć. Słyszał wprawdzie o rubinowaniu i braciach łykaczach, aliści nie rozumiał, co to znaczy.

Wreszcie zbiegła się ćma ludu. Przytomni wyrwali z trudem Biondella, zbitego na kwaśne jabłko, z rąk pana Filippa, wytłumaczyli mu, za co rycerz tak się z nim obszedł, i naganili go za to, że ośmielił się wysłać posłańca z podobną prośbą do pana Filippa, który przecie nigdy nie był człkiem do żartów, jak o tym mu wiedzieć należy. Biondello uniewinniał się płacząc rzewnie i powtarzał po tysiąc razy, że nigdy mu na myśl nie przyszło z podobną prośbą kogoś do pana Filippa posyłać. Aliści co się stało, odstać się już nie mogło!

Przyszedłszy tedy nieco do siebie, Biondello jęcząc i stękając do domu się powlókł. Nie wątpił ani na chwilę, że to sprawka Ciacca. Wkrótce upewnił się o słuszności swego domysłu. Po wielu dniach, gdy mu już siniaki z oblicza zeszyły, wyszedł z domu i zaraz prawie na progu spotkał Ciacca, który pozdrowiwszy go z szyderym uśmiechem, rzekł:

– Cóż, Biondello, jakże ci smakowało wino pana Filippa?

– Bodajby ci minogi pana Corso równie dobrze były smakowały – odparł Biondello.

– Wiedz – dodał Ciacco – że jeśli mnie zechcesz kiedyś znowu podobnie dobrą wieczerzą ugościć, to ja ze swej strony uczęstuję cię znowu tak przednim winem, jak to, którego pokosztowałeś.

Biondello przekonawszy się, że Ciaccowi więcej złego życzyć może aniżeli mu go wyrządzić, prosił Boga, by go w swej łasce zachował, i strzegł się odtąd drzwi z przeciwnika o tak bystrym przyrodzeniu.»

Opowieść dziewiąta



RADY SALOMONA

Dwaj młodzieńcy proszą Salomona o radę. Jeden – jak pozyskać miłość, drugi – jak ukarać żonę za jej przekorę. Pierwszemu radzi król kochać, drugiemu pójść na Gęsi Most.

Królowa postanowiła zachować w mocy przywilej Dionea i dlatego też na nią teraz kolej nadeszła. Gdy damy naśmiały się już do woli z przygody Biondella, królowa wesoło w te słowa zaczęła:

– Miłe damy! Jeśli zdrowym rozsądkiem rozważymy porządek wszechrzeczy, spostrzeżemy z łatwością, że natura, obyczaj i prawo poddają wszystkie białogłowy pod władzę mężczyzn i nakazują im wedle woli męskiej postępować. Każda białogłowa, pragnąca w małżeńskim stadle znaleźć spokój, szczęście i wytchnienie, winna nie tylko cześć swoją ochraniać (cześć ta stanowi najwyższy drogocenny skarb białogłowski), ale i być uległą, cierpliwą i powolną wobec tego mężczyzny, do którego należy. Gdyby nawet prawo, ogólne dobro zawsze mające na celu, ani czcigodny obyczaj, przyjęty od wieków, o prawdzie powyższej nas nie przekonywały, to dostateczną miałybyśmy wskazówkę w naturze samej, która obdarzyła nas kruchymi i wiotkimi ciałami, bojaźliwymi i niepewnymi siebie duszami, głosowi naszemu dała miękkość powabną, członczkom ruchy łagodne, a ciału sił niewiele. Zaliż z tego wszystkiego nie widać jasno, że ktoś nami kierować musi? Kto zasię pomocy i kierunku potrzebuje, temu rozsądek nakazuje, aby był posłuszny, uległy i powolny przewodnikowi swemu. A któż inny może nam udzielić opieki i w życiu prowadzić, jak nie mężczyzna? Obowiązkiem naszym jest tedy wysoko czcić i słuchać mężczyzn. Białogłowa, która tego przykazania przestrzegać nie chce, jest, według mnie, nie tylko nagany, ale i ciężkiej kary godna. Tę uwagę, którą zresztą nieraz już czyniono, obecnie nasunęła mi na pamięć opowiedziana przed chwilą przez Pampinę historią przekornej żony Talana i kary, jaką niebo na nią zesłało, wyręczając jej męża, co się z tym uporać nie umiał. Historia ta utwierdziła mnie jeszcze w przekonaniu już wypowiedzianym powyżej, że białogłowy, nie starając się być uprzejme, przychylnie i uległe, jak tego słusznie natura, prawo i obyczaj wymaga, godne są bez wyjątku przykładnej i surowej kary.

Biorąc z tego wszystkiego pochop, chcę wam tedy opowiedzieć o radzie udzielonej pewnego razu przez Salomona, a zawierającej w sobie wyborny środek na białogłowy nie rozu-

miejące swego powołania. Niechaj jednak żadna z tych, które poprawy nie potrzebują, nie bierze tej historii do siebie, chocia i mężczyźni zwykli są powtarzać przysłowie: „Dobry jak i zły koń potrzebuje ostrogi, zła jak i dobra białogłowa kija.” Ludzie, którzy do tych słów żartobliwie się odnoszą, powiedzą ze śmiechem, że do każdej białogłowy sentencja ta się stosuje. Ale nawet jej sens moralny mając na oku, zaprzeczyć nie lza, że nie pozbawiona jest słuszności. Wszystkie białogłowy z przyrodzenia swego są ułomne, i dlatego też trzeba korbacza na te, co z właściwych sobie obrębów zbytńo występują. Z drugiej strony potrzeba również kija dla odstraszenia i ukrzepienia cnoty tych, które jeszcze z drogi cnoty nie zoczyły.

«Dajmy jednak pokój tym kazaniom i do samej powieści się zwróćmy. Powiem wam tedy, że w czasie, gdy cały świat napełniała sława osobliwej mądrości Salomona, której jak zaręczano, nikomu we wskazaniach swych nie skąpił, mnóstwo ludzi z rozmaitych stron świata napływać doń poczęło po radę w ciężkich życia terminach. Owóz tedy zdarzyło się, że między wielu pielgrzymami znalazł się także pewien młodzian, nazwiskiem Melissus, szlachetny i bogaty pan z Lajazzo, gdzie się urodził i gdzie zamieszkiwał. Młodzieniec ten, wyjechawszy z Antiochii, spotkał w drodze do Jeruzalem drugiego wędrowca, równego mu wiekiem, a imieniem Józef. Ponieważ w tę samą drogę zdążali, przyłączył się do niego i jak to wśród podróżnych jest w obyczaju, wdał się z nim w rozmowę. Wywiedziawszy się od Józefa o stanie jego i miejscu urodzenia, spytał go potem, dokąd i w jakim celu jedzie? Józef odparł mu, że dąży do Salomona, aby go prosić o radę, jak ma poczynać z żoną, najprzekorniejszą i najbardziej złośliwą na świecie kobietą, której błaganiem, pochlebstwem ani żadnym innym środkiem złości i uporu oduczyć nie może. Po czym nawzajem spytał Melissusa, dokąd on jedzie, na co Melissus taki respons dał:

– Pochodzę z Lajazzo, gdzie równie jak i ciebie gnębi mnie niedola. Bogactw mi nie brak; obracam, je na okazałe życie i ugaszczanie ziomków moich. Mimo to jednak, aczkolwiek osobliwą i dziwną to jest rzeczą, nie mogę znaleźć wśród nich ani jednego, który by mnie miłował i sprzyjał mi prawdziwie. Dążę tedy do Salomona po radę, co mam czynić, aby mnie kochano.

Wędrowali tedy razem dwaj towarzysze i przybywszy wreszcie do Jeruzalem zostali przez jednego z dostojników wprowadzeni przed oblicze Salomona. Melissus w krótkich słowach wyjaśnił królowi, po co przybywa, a Salomon za całą odpowiedź odrzekł: „Kochaj”, i natychmiast odejść mu kazał. Z kolei przed Salomonem stanął Józef i powiedział, po co przybywa. Salomon odparł mu tylko: „Uważaj na Gęsi Most”, i kazał go wyprowadzić. Józef, ujrawszy czekającego nań Melissusa, opowiedział mu, jaki respons otrzymał. Obydwaj zastanawiali się długo nad znaczeniem słów usłyszanych, nie mogąc jednak jakiegokolwiek wskazówki dla siebie w nich się dopatrzeć, do tej myśli przyszli, że mędrzec chyba zdrwił z nich sobie, i w powrotną drogę ruszyli.

Po kilku dniach podróży przybyli nad małą rzeczkę, nad którą wznosił się piękny most. Ponieważ właśnie w tej chwili ciągnęła przezeń wielka karawana z objuczonymi mułami i pociągowymi końmi, musieli tedy zatrzymać się i czekać, aż przejdzie. Stojąc na brzegu ujrżeli, że jeden z mułów – jak to zresztą często u tych zwierząt się zdarza – nie chce ani kroku naprzód postąpić, aczkolwiek wszystkie pozostałe muły już znalazły się na moście. Mulnik spostrzegłszy to chwycił za bica i począł lekko okładać uparte zwierzę. Wszystko to na nic się nie zdało! Muł skakał to w prawo, to w lewo, kręcił się w jedną i drugą stronę, cofał się nawet, jeno naprzód postąpić nie chciał. Wówczas mulnik wpadłszy w gniew porwał kij w obie ręce i zaczął bez litości zwierzę okładać, nie bacząc nawet, gdzie bok i gdzie grzbiet. Muł nadal stał na miejscu jak wryty.

Melissus i Józef, przyglądający się temu wszystkiemu, krzyknęli na mulnika:

– Okrutny człecze, co czynisz? Chceszże zatłuc na śmierć to zwierzę? Dlaczego nie starasz się go łagodnie przeprowadzić? Tym sposobem ani chybi łatwiej coś wskórasz niżli katując go tak niemilosiernie!

Mulnik na te słowa obrócił się i rzekł:

– Wy, panowie, znacie przyrodzenie waszych koni, ja zaś mojego muła, pozwólcie mi tedy radzić z nim sobie, jak umiem.

To rzekłszy, sygnął znów gradem ciosów na grzbiet zwierzęcia i bił je tak długo i zapamiętał, że na swoim postawił: muł wreszcie ruszył naprzód za resztą karawany.

Dwaj podróżni mieli już zamiar odjechać, gdy Józefowi przyszło nagle na myśl zapytać starca siedzącego u skraju mostu, jak się ten most zowie?

– Nazywa się Gęsi Most, panie – odparł starzec. Usłyszawszy tę nazwę, Józef przypomniał sobie radę Salomona i rzekł do Melissusa:

– Wiesz, przyjacielu, rada Salomona nie była tak niedorzeczna, jak nam się zdawało, teraz bowiem pojmuję dopiero, że całym moim błędem w postępowaniu z żoną było to, że nie umiałem jej obić, jak należało. Aliści, dzięki Bogu, mulnik rozumu mnie nauczył.

Po kilku dniach dojechali do Antiochii. Józef, stanąwszy w swoim domu, poprosił Melissusa, aby kilka dni u niego odpoczął. Żona Józefa przyjęła męża i gościa niezbyt czule. Józef polecił jej przyrządzić wieczerzę według smaku Melissusa. Ten, spełniając życzenie gospodarza, w kilku słowach wyraził, na co miałby ochotę. Jak się można było spodziewać, niewiasta nie odstępowała od swego zwyczaju: wieczerza składała się z całkiem innych potraw niż te, których gość sobie życzył. Józef, spostrzegłszy to, spytał się z gniewem:

– Zali nie słyszałaś, co miało być na wieczerzę? Żona spojrzała nań hardo i odparła:

– Co znaczą te grymasy? Jedz, co jest, jeśli masz apetyt, a jeśli go nie masz, nie jedz. Co się przyrządzenia wieczerzy tyczy, zrobiłam ją, jak mi się podobało, a nie wedle twojej woli. Jeśliś rad z tego, to dobrze, a jeśli nie, niewiele dbam o to!

Melissus zadziwił się ogromnie tej odpowiedzi gospodyni domu i żywo ganić białogłową począł. Józef zaś rzekł do niej:

– Jak widzę, nie zmieniłaś się ani na włoskę, aliści wierzaj mi, że cię wnet całkiem przerobie.

Po czym, zwracając się do Melissusa, przydał:

– Owóż i nadeszła pora, aby przekonać się o skuteczności Salomonowej rady. Proszę cię tylko, abyś zbyt do serca nie brał tego, co obaczysz, i za żart poczytał to, co czynię. A gdybyś chciał przeszkodzić mi, wspomnij na odpowiedź mulnika, gdyśmy się nad jego bydłkiem litowali.

– Jestem w twoim domu – odparł na to Melissus – słuszna rzecz zatem, abym się do twojej woli stosował.

Usłyszawszy ten respons, Józef ujął krągły kij z młodej dębiny, po czym wszedł do komnaty, do której żona jego, powstawszy w rozdrażnieniu od stołu, się udała – schwycił ją za włosy, rzucił na ziemię i jął bić ile wlaźło. Z początku wrzeszczała jak opętana, potem przeszła do gróźb, aliści widząc, że na to wszystko Józef głuchy pozostaje, poczęła go na miłosierdzie boże zaklinać, aby jej nie zabijał, i przysięgać, że już do końca swego życia nie wbrew jego woli nie uczyni.

Aliści Józef i wtedy jeszcze nie przestał, jeno bił zapamiętał po plecach i po udach, gdzie trafił, jakby chciał jej zebra policzyć, bił, póki z sił nie opadł, tak iż po tych zabiegach biedna białogłowa jednej zdrowej kosteczki w całym ciele nie czuła. Gdy zaś skończył nareszcie, powrócił do Melissusa i rzekł:

– Jutro się przekonamy, czy Salomonowe słowa: „Uważaj na Gęsi Most”, skuteczne się okażą.

Po czym odetchnął nieco, umył ręce i zasiadł do wieczerzy z Melissusem. Po spożyciu jej, gdy nadeszła pora, na spoczynek się udali.

Tymczasem złośliwa małżonka Józefa podniosła się z trudem i rzuciła na łożo, z którego po krótkim i przerywanym bólem śnie zerwała się o świcie, aby posłać do Józefa z zapytaniem, co sobie na śniadanie życzy. Józef naśmiał się co niemiara wspólnie z Melissusem z tak

niezwykłej uprzejmości, po czym wydał stosowne rozporządzenie i wyszedł z przyjacielem na przechadzkę. Po powrocie do domu zastali śniadanie podane na czas i zgodnie z rozkazem. Za czym poczęli wysławiać gorąco radę Salomona, którą z początku tak letko sobie brali.

Po kilku dniach Melissus rozstał się z Józefem. Przybywszy do rodzinnego miasta, powtórzył o udzielonej mu radzie pewnemu mądrym człowiekowi, którego wielką ufnością obdarzył. Ów, wysłuchawszy słów Melissusa, rzekł:

– Nie mogło być prawdziwszej i lepszej rady! Wiesz przecie sam dobrze, że nikogo nie kochasz i że przysługi, które znajomym i przyjaciołom wyświadczasz, źródło swoje mają nie w przywiązaniu twoim do nich, lecz w twojej jeno próżności. Kochaj tedy, tak jak Salomon ci poradził, a będziesz kochany.

Tak oto przekorna żona pozbyła się wad, a młodzieniec zdobył miłość miłością.»

Opowieść dziesiąta



GDYBY NIE OGON

*Gianni, ulegajcie prośbom kuma Pietro, czyni czary, by przemienić jego żonę w konia.
Gdy zaczyna się mowa o przyprawieniu ogona, Piętro oznajmia, że nie chce, aby klacz miała
ogon i tym odezwaniem się niszczy całe rozpoczęte dzieło.*

Opowieść królowej wzbudziła lekki szmer nieukontentowania między damami, a wesoły śmiech w gronie młodzieńców. Gdy wszyscy wreszcie się uciszyli, Dioneo zaczął w te słowa:

– Urocze damy! Czarny kruk, znalazłszy się między wieloma białymi gołębicami, mniej ujmy ich piękności przynosi niż śnieżny łabędź, takż gdy wśród ludzi rozsądnych znajdzie się człek mniej na rozsądku uposażony, nie tylko powagi ich rozumu zaćmić nie może, ale owszem, blask jego podnosi i wszystkim tym ludziom krotoczwilę wesołą zgotować może. Wszyscy przytomni tutaj są ludźmi roztroprnymi i statecznymi, ja zaś mam w sobie nieco z natury wesołka. Ponieważ wadami mymi przyrodzonymi doskonałość waszą tym lepiej na jaśnię podaję, przeto muszę wam być o wiele miłszym, niżli gdybym przymioty wasze moimi zaćmiewał. Jeśli zaś tak się rzeczy mają, waszą powinno być rzeczą zostawić mi jak największej swobody, bym prawdziwą moją naturę mógł wam swobodnie objawić. Nadto musicie cierpliwie wysłuchać tego, co wam opowiedzieć zamierzam, pamiętając, że nie z rozsądnym człekiem tutaj do czynienia macie. Posłuchajcie tedy wesołej, a niezbyt długiej krotoczwili, z której nauczyć się będziecie mogli, jak ściśle wypełniać trzeba nakazy tych, którzy siłą czarów czegoś dokonać mogą, i jak najmniejszy błąd, tutaj popełniony, niweczy wszelkie wysiłki czarodzieja.

«Przed niewielu laty żył w Barletta⁹¹ pewien ksiądz, imieniem Don Gianni di Barolo, który mając nader ubogą parafię, dla zdobycia potrzebnych do życia środków zajmował się rozwożeniem towarów na wozie, zaprzężonym w jedną klacz, jaką posiadał, oraz kupnem i sprzedażą różnych przedmiotów na jarmarkach i targach w całej Apulii. W czasie tych wędrówek zaprzyjaźnił się ściśle z pewnym człekiem, nazwiskiem Pietro da Tresanti, który znów podobnie utrzymywał się przy pomocy jedyne go swego osła. Ksiądz polubił bardzo tego Pietra, którego, wedle apulijskiego obyczaju, kumem Pietrem nazywał. Ilekroć go w Barletcie obaczył, zapraszał go natychmiast na plebanię do siebie, karmił go, nocleg mu u siebie dawał, słowem, tyle mu uprzejmości świadczył, ile mógł tylko.

Kum Pietro, chcąc nawzajem okazać wdzięczność za gościnę doznawaną w Barletcie, za przybyciem Don Gianniego do Tresanti, zapraszał go pod swój dach i przyjmował go serdecznie, aczkolwiek posiadał ubogi i mały domek, ledwie wystarczający na pomieszczenie dla niego, jego młodej pięknej żony i osła.

Co się noclegu tyczy, to kum Pietro, mimo chęci, nie mógł gościowi zbyt wygodnie zapewnić, posiadał bowiem tylko jedno małe łóżko, na którym sypiał po społu ze swą urodziwą żoną. Zazwyczaj więc Don Gianni, postawiwszy klacz swoją obok osła w stajni, musiał poprzestawać na posłaniu ze słomy, rozłożonym tuż obok kopyt konia. Żona Pietra, która wiedziała dobrze, z jaką gościnnością ksiądz męża jej w Barletcie przyjmuje, nieraz już, po przybyciu Don Gianniego do Tresanti, chciała pójść na nocleg do sąsiadki swojej, a księdzu miejsca obok męża ustąpić, aliści Don Gianni nigdy przystać na to nie chciał. Pewnego razu, chcąc ją tej uprzejmości na zawsze oduczyć, rzekł do niej z uśmiechem:

– Nie troszczcie się o mnie, kumo Gemmato! Lepiej ja noce przepędzam, niżli myślicie! Musicie wiedzieć, że ilekroć tylko zechcę, zamieniam klacz moją w nadobną dziewczeczkę, przy której później się kładę. Potem, gdy zapragnę, przywracam jej znów pierwotną postać. Dla tej racji nigdy z klaczą rozstawać się nie lubię.

Młoda białogłowa wielce się zadziwiła, usłyszawszy te słowa, uwierzyła w nie święcie i powtórzyła wszystko mężowi, przydając od siebie:

– Jeśli Don Gianni jest ci tak przychylnym człkiem, jak twierdzisz, to dlaczegożby nie miał nauczyć cię tego zaklęcia, którego przy tej przemianie zwykły jest używać? Mógłbyś wówczas mnie w klacz zamieniać i tym sposobem przy mojej i osła naszego pomocy podwójne zyski ciągnąć. Po powrocie do domu zaś za każdym razem przywracałbyś mi moją białogłowską postać.

Kum Pietro, trochę w ciemność bity, uwierzył również w żart księdza, przyjął radę żony i nie mieszkając, ją prosić Don Gianniego, aby go nauczył, jak taką przemianę wywołać można. Ksiądz wszelkimi siłami starał się mu wybić z głowy tę myśl niedorzeczną, widząc jednak, że mu się to nie uda, rzekł wreszcie:

– Jeśli już tak koniecznie oboje tego pragniecie, tedy jutro rano, wstawszy o świcie jak zwykle, nauczę was mojej tajemnicy. Wiedz jednak, że najtrudniejszą przy tej przemianie rzeczą jest przyprawienie ogona. Sam zresztą wkrótce o tym się przekonasz.

Kum Pietro i kuma Gemmata z niecierpliwości przez noc całą oka zmrużyć nie mogli. Wstali skoro świt i zbudzili księdza, który w koszuli podniósł się z posłania, wszedł do izby i rzekł:

– Krom was dwojga nie ma na całym świecie ludzi, dla których bym coś podobnego mógł uczynić. Ponieważ jednak tak uparcie nalegacie na mnie, niechaj się stanie wedle woli waszej. Przestrzegam was jeno, że ślepo mi posłuszni być musicie, jeśli chcecie, aby przemiana się udała.

Oboje małżonkowie przyrzekli stosować się ściśle do rozkazów księdza.

Don Gianni wziął do rąk lichtarz ze świecą, wręczył go Pietrowi i rzekł:

– Uważaj dobrze, co robić będę, wbij sobie w pamięć słowa, jakie wypowiem, ale waruj się wymówić najmniejsze słówko, choćbyś i nie wiem co usłyszał albo obaczył, jeśli nie chcesz wszystkiego popsować. I proś Boga, aby ogon udało się dobrze przytwierdzić!

Kum Pietro wziął lichtarz i przyrzekł uroczyście, że pary z gęby nie puści. Wówczas Don Gianni rozkazał kumie Gemmacie całkiem się obnażyć i na czworakach na podobieństwo klaczy stanąć, przy czym równie surowo jej zalecił, aby nie ważyła się słówka wymówić.

Za czym dotknął ręką jej twarzy i głowy i rzekł: „To niechaj się stanie pięknym łbem klaczy!” Potem w ten sam sposób dotknął włosów, mówiąc: „A to niech będzie bujną grzywą.” Dalej położył dłoń na jej ramionach i wyrzekł: „Stąd niech wyrosną silne nogi i kopyta.” Aliści gdy idąc w ten sposób dalej, dotknął jej piersi i uczuł, że ma pod ręką dwa krągłe i jędrne jabłuszka, ktoś niespodzianie zbudził się i wyprostował pod koszulą.

Mimo to Don Gianni dalej praktyki swoje prowadził. Rzekłszy: „To niechaj będzie silną pierśią klaczy”, obmacywał boki, brzuch, plecy, biodra i nogi białogłowy, powtarzając swoje zaklęcia.

Gdy mu wreszcie nic do zrobienia krom ogona nie pozostało, podniósł koszulę, wyjął kółek, którego do sadzenia ludzkich latorośli używają, i wraził go żywo w przeznaczoną ku temu bruzdę, wołając: „To zaś niech będzie pięknym ogonem klaczy!”

Pietro, który się dotychczas wszystkiemu bardzo uważnie i spokojnie przypatrywał, widząc to zakończenie nagle obruszył się i zawołał:

– Don Gianni!... Ja nie chcę ogona bynajmniej, dziękuję za ogon w tym miejscu!

Już wilgoć przyrodzona, łącząca z glebą rośliny, okryła korzeń, gdy Gianni wyjął go i rzekł:

– Cóżeś uczynił, nieszczęśniku? Zaliż nie przestrzegałem cię, że ci nie wolno pary z gęby puszczać bez względu na to, co byś i ujrzał? Przemiana już by prawie dokonana była, gdyby nie twoja porywczosć i gadulstwo. Teraz wszystko już przepadło, a co gorsza, że na nowo zaraz zaczynać nie podobna!

– Cóż kiedy mi się ogon w tym miejscu nie podobał – odparł kum Pietro. – Zresztą, dlaczego żeście mi nie powiedzieli: „Ogon zrób ty.” Przy tym, jak mi się zdawa, za głębokoście go nawet wrazili.

– Tak było trzeba – odparł Don Gianni – a tego ty byś za pierwszym razem nie potrafił zrobić jak ja!

Tymczasem młoda białogłowa podniosła się i rzekła w najlepszej wierze do męża:

– Głupcze jeden! Dlaczego żeś popsuł całą sprawę? Zali widziałeś kiedy klacz bez ogona? Biedakiem jesteś, ale na mą duszę, na jeszcze większą nędzę zasłużyłeś.

Cóż jednak było robić? Gadatliwość Pietra zniszczyła wszelką możność zamienienia w klacz jego żony. Toteż biedna białogłowa, wielce rozżalona i nie ukontentowana, wdziała na się suknię z powrotem. Kum Pietro zarabiał dalej na życie przy pomocy jedyne go osła i wspólnie z Don Giannim na jarmark do Bitonta jeździł, aliści nigdy już powtórzenia nieudanych czarów od księdza nie żądał.»

Damy zrozumiały tę opowieść lepiej, niżliby sam Dioneo tego sobie mógł życzyć. Ile śmiechu słowa Dionea wywołały, niech się domyśli ten, kto opowieść niniejszą czytając, równie śmiać się z niej będzie. Po skończeniu opowieści, jako że tego dnia nikt już opowiadać nie miał, a słońce się ku zachodowi chyliło, królowa, widząc koniec swoich rządów, powstała, wieniec wawrzynowy z głowy zdjęła, włożyła go na skronie Panfilowi i rzekła w te słowa:

– Mój władco! Wielkie brzemię na cię czeka, bowiem ostatnim będąc, winieneś zarówno moje błędy, jak i poprzedników moich zatrzeć i naprawić. Niechaj cię tedy Bóg w łasce swojej na siłach skrzepi, jak i mnie dopomagał, abyś był w stanie zadaniu swemu sprostać.

Panfilo, z radosnym obliczem słowa te przyjąwszy, odparł:

– Przymioty twoje, piękna moja poprzedniczko, jako też i innych moich poddanych sprawią, iż śladem waszym idąc, równie zasłużonych pochwał się doczekam.

Po czym wedle obyczaju poprzedników swoich porozumiał się z marszałkiem co do spraw gospodarskich, a następnie zwrócił się znowu do oczekujących nań dam i rzekł:

– Trafna myśl Emilii, która dzisiaj naszą królową była, dała nam prawo wybierania materii wedle woli, tak abyśmy naszym upodobaniom pofolgować mogli. Ponieważ nacieszyliśmy się już dość swobodą, wydaje mi się tedy, że winniśmy się do naszych dawnych praw nagiąć i dlatego też taką materię do opowieści na jutro przedkładam: O ludziach, którzy w sprawach miłosnych lub innych wielkość duszy i osobliwą szlachetność okazali.

Piękne czyny, o których z tej materii usłyszymy, zapalą niewątpliwie dusze, wasze, z natury już do dobrego skłonne, wzniosłą żądzą naśladownictwa, tym bardziej gdy wspomnicie, że życie nasze, ułomnością i słabością naszego ciała na krótki tu jeno pobyt skazane, jedynie sławą pięknych czynów uwiecznić się może.

Ten, kto na podobieństwo zwierząt jedynie swemu brzuchowi służyć nie chce, nie tylko tej sławy pragnąć winien, ale i wszelkimi siłami czynem do niej dążyć.

Wskazana materia zyskała aplauz całego towarzystwa. Otrzymawszy zezwolenie nowego króla, podnieśli się wszyscy z miejsc swoich i w oczekiwaniu na godzinę wieczery oddali się zwykłym rozrywkom, każdy wedle upodobania swojego.

W oznaczonym czasie, zebrawszy się przy stole, po obfitej i składnie idącej uczcie zawiedli tańce, przy których pieśni zabrzmiały, bardziej przemawiające urokiem słów niż doskonałością śpiewu. Gdy już ich wiele odśpiewano, rozkazał król Neifili, aby jakąś pieśń przez siebie ułożoną, zanuciła. Neifile, temu wezwaniu posłuszna, czystym i wesołym głosem na ten kształt niezwłocznie śpiewać poczęła:

Młodością kwitnę i wiosną żywota
Z piosnka, na ustach w świat idę wesołą,
Bo w piersiach moich nić miłości złota!...

Dokoła wiosna, łąki strojne majem,
Tysiące kwiatów błyszczą wśród zieleni,
Lilia się śnieży, róża się rumieni,
On mi tę ziemię dwakroć czyni rajem!
Wszędzie go widzę, wciąż z sobą przestajem,
Gdziekolwiek spojrzę, błyska jego czoło,
Sieć jego spojrzeń duszę moją mota!

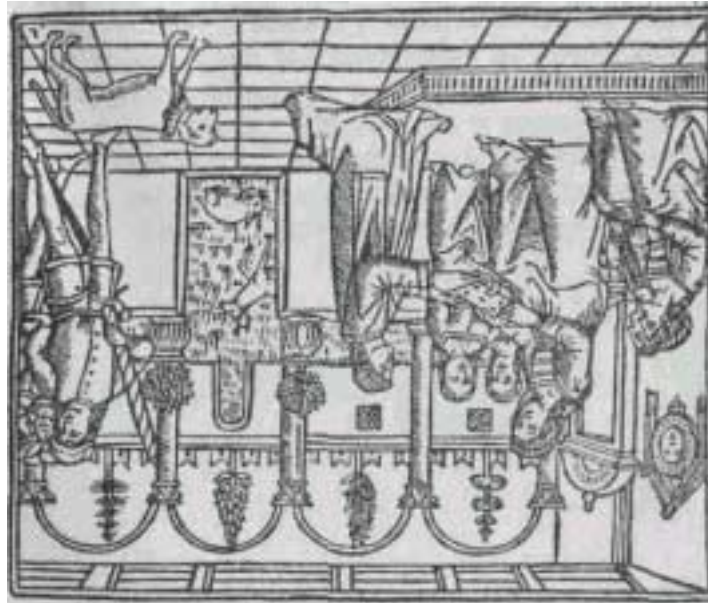
Jeśli wśród kwiatów tęczowego grona
Znajdę kwiat, który zaćmiewa swych braci,
Podobny jemu z wdzięku i postaci,
Do ust go przytknę, miłością szalona,
Zwierzę najskrytsze czucia mego łona,
Wplotę go dumna na bukietu czoło
Wiążąc mym włosiem miękkim jak pieszczota!

A wtedy, błogim przejęta złudzeniem,
Pomyślę szczęśna, że go mam przy sobie,
Że przygarniają go me ręce obie;
Który mej duszy życiem i płomieniem,
Że ten liść – usta, ta woń – jego tchnieniem,
I wpadnę w marzeń tak radosnych koło,
Że nie wysławi ich ludzka istota!

Westchnienia tylko czucia me tłumaczą
Rwące się z głębi piersi przepełnione,
O, nie drżą one żalem ni rozpaczą,
Lecz lekko rój ich wzlata uskrzydłony
I mknie z wezwaniem w najdroższego strony.
On, gdy usłyszysz, zbiegnie tu wesoło,
I wraz w raj moja zmieni się tęsknota.

Gorącymi pochwałami okrył król i wszystkie damy piosenkę Neifili. Po czym, ponieważ już późna noc była, rozkazał król, by wszyscy udali się na spoczynek aż do świtu.

Tu zamyka się dziewiąty dzień Dekameronu, a zaczyna dziesiąty i ostatni, w którym pod przewodem Panfila rozprawia się o tych, co dokonali jakiegoś czynu wspaniałego lub wielkodusznego w sprawach miłości albo też innej natury.



**DZIEŃ
DZIESIĄTY**

Jeszcze kilka obłoczków na zachodzie rumieńca nie straciło, a rąbki chmur płynących od wschodu zalśniły już jak złoto od słonecznych promieni, które godziły w nie z bliska, gdy Panfilo powstał z łóżka i rozkazał zwołać damy i kawalerów. Wkrótce zebrali się wszyscy, a wówczas król, złożwszy naradę z towarzystwem, gdzie dzisiaj na przechadzkę się udać, zwolna ruszył naprzód drogą, mając przy sobie Filomenę i Fiammettę. Reszta towarzystwa szła za nimi, tocząc ożywione rozmowy o zamysłach na przyszłość, śmiejąc się i zabawiając mile. Gdy po długiej przechadzce słońce zbyt mocno dopiekać poczęło, powrócili wszyscy do zameczku i tutaj, stanąwszy przy przezroczystym źródle, kto chciał, napił się chłodnej wody z czystej jak kryształ czary. Po czym rozproszyli się wszyscy po cienistych ścieżkach ogrodu i zabawiali się wedle upodobania aż do obiadowej pory. Po obiedzie i po zażyciu południowego wczasu zebrało się całe grono, jak zazwyczaj, w miejscu wskazanym przez króla i Neifile na jego rozkaz pierwsza z kolei w te słowa wesoło zaczęła:

Opowieść pierwsza



WSPANIAŁY KRÓL

Pewien rycerz służy królowi hiszpańskiemu i do tej myśli przychodzi, że król dostatecznie go nie wynagrodził. Wówczas król wykazuje dowodnie rycerzowi, że stało się to nie z jego winy, lecz z winy przeciwnego losu, i szczerze później rycerza nagradza.

– Za znak szczególnej łaski króla, miłe damy, poczytywać t muszę, że mnie dziś pierwszej o wielkoduszności opowiadać każą. Przecież ów przymiot przydaje piękności i blasku wszystkim pozostałym cnotom, na podobieństwo słońca oświetlającego niebo. Nie wychodząc przeto poza obręby materii na dziś naznaczonej opowiem wam piękną i krótką nowelę, którą nieraz, ani chybi, z pożytkiem dla siebie wspominąć będziecie.

«Do grona mężnych i sławnych rycerzy naszego miasta zaliczał się Ruggieri de' Figiovan-⁹², którego można było nazwać najszlachetniejszym i najodważniejszym z tych, co od wieków wojenną profesją się parali.

Opływał on we wszelkie dostatki, płonął męstwem i chciwie pragnął sławy. Ruggieri, spostrzegłszy, że w Toskanii trudno mu będzie zasłynąć, jako że życie i obyczaje tamtejsze pola po temu nie dawały, postanowił wstąpić na służbę do króla hiszpańskiego, Alfonsa.⁹³ Słuchy o królu zagłuszyły gadki o cnotach wszystkich innych władców. Ruggieri, opatrzywszy się godnie w broń i rumaki, z liczną świtą do Hiszpanii wyruszył.

Krół przyjął go z wielką łaskawością. Ruggieri wiódł wystawny żywot, z męstwem godnym podziwienia odbył kilka wojennych wypraw i rychło zyskał sławę nieustraszonego rycerza. Żyjąc na dworze króla Alfonsa czas dłuższy, spostrzegł, że król dość kapryśnie łaskami swymi szafuje. Podczas gdy niejeden z rycerzy, nie zawsze tego godny, otrzymał zamek, gród lub tytuł, sam Ruggieri, znający wartość swą, nie dostawszy od Alfonsa żadnej znaczniejszej nagrody, osądził, że taki brak pamięci ze strony króla jest ujmą dla jego czci, dlatego też odjechać postanowił. Przeto pożegnał się z królem, który mu swój dwór opuścić pozwolił. Na pożegnanie Alfons podarował Ruggieriemu muła tak wspaniałego, że rycerz nasz lepszego do długiej podróży zapragnąć by nie mógł, po czym rozkazał jednemu ze sług swoich, aby tym albo innym sposobem stał się w czasie drogi towarzyszem Ruggieriego, tak jednak, aby Toskańczyk nie spostrzegł, że król go śledzić każe. Alfons przykazał słudze, by sobie dobrze w pamięć wbił wszystkie słowa rycerza i aby nazajutrz wraz z Ruggierim na dwór powrócił. Sługa, śledząc rycerza, wybrał stosowną chwilę, dogonił go i rzekł, że do Włoch zmierza.

Ruggieri jechał na mule, którym go król obdarzył. Podróżni wszczęli rozmowę o różnych materiach, wreszcie gdy zbliżało się południe, rycerz rzeki:

– Zdaje mi się, że trza dać wypocząć naszym bydłom. Ruggieri i sługa weszli do oberży, a konie i muła do stajni odwiedli. Zwierzęta, krom muła, dały folgę przyrodzonej swej potrzebie. Wkrótce w dalszą drogę wyruszyli. Sługa pilnie słuchał każdego słowa rycerza. Gdy dotarli do rzeki, postanowili zwierzęta napoić. Muł wszedłszy do wody uczynił wreszcie to, co rumaki zdążyły zrobić już w stajni. Ruggieri, widząc to, zawołał:

– Przekłęte zwierzę, podobne jesteś do tego, kto mi cię podarował!

Sługa zapamiętał dobrze ten okrzyk. Chocia później i zważał bacznie na każde słowo rycerza, przecie nic krom wielkich pochwał króla już od niego usłyszeć nie zdołał. Nazajutrz, gdy na koń wsiedli, Toskańczyk chciał dalszą drogę do Florencji podjąć, aliści towarzysz podróży oznajmił mu wolę króla, za czym Ruggieri niezwłocznie z drogi zawrócił. Alfons, gdy już usłyszał, co Ruggieri o mule powiedział, wezwał go do siebie, spojrzał nań wesoło przy powitaniu i zapytał, dlaczego rycerz do muła go przyrównał, a raczej, jakie podobieństwo między nim a bydłem znalazł?

Rycerz spojrzał w oczy królowi i rzekł:

– Dlatego, panie mój, do muła was przyrównałem, że rozdajecie łaski swoje ludziom niegodnym, skapiąc ich natomiast tym, którzy na nie zasługują. Podobnie i muł wasz nie umiał wykorzystać ani odpoczynku w stajni, ani pojenia w rzece.

– Rycerzu – odrzekł król – prawda, że łaskami mymi was nie obsypałem, tak jak to uczyniłem z wieloma, którzy wobec was są i byli niczym, aliści nie znaczy to wcale, abym zasług waszych jako męża najwaleczniejszego cenić nie miał i abym nie poczytywał was za człeka godnego nagrody jak największej. Wasz los przeciwny nie dozwolił mi jednak nagrodzić was tak, jak tego w głębi duszy chciałem. Winę zatem ponosi on, a nie ja, czego wam zaraz jasno dowieść się postaram.

– Królu miłościwy – odparł rycerz – nie to mnie uraziło, żeście mi żadnej nagrody dać nie chcieli, nie pragnę bowiem bogactw moich powiększać. Nękała mnie tylko myśl, że niczym nie daliście świadectwa wartości mojej. Tym niemniej oświadczenie wasze za dostateczne i uczciwe poczytuję i czekam tego, coi okazać mi zechcecie, chociaż wierzę wam, żadnych dowodów nie pragnąc.

Król zaprowadził Ruggieriego do wielkiej sali, w której na rozkaz jego ustawiono przedtem dwie ogromne, zamczyste skrzynie. W przytomności wielu dworzan Alfons rzekł w te słowa:

– Rycerzu! W jednej z tych skrzyń leży moja korona, szeptum królewskie, jabłko, siła drogocennych pasów, pierścieni, klejnotów i innych rzeczy, ogromnego szacunku. Druga natomiast skrzynia pełna jest ziemi. Wybierzcie skrzynię, która się wam bardziej podoba, a wraz waszą się stanie. Eksperyencja pokaże wam, kto był wobec was niesprawiedliwy: ja czyli też los!

Ruggieri usłuchał króla i wybrał jedną ze skrzyń. Gdy na rozkaz władcy wieka uchylono, skrzynia okazała się pełną ziemi. Król roześmiał się i rzekł:

– Teraz, rycerzu Ruggieri, widzicie chyba sami, że to, co rzekłem o waszym losie przeciwnym, najszczerzą prawdą było. Jednakoż wasze przymioty i zasługi każą mi siłom przeznaczeń na wstręcie stanąć. Wiedząc, że nie chcecie stać się Hiszpanem, nie podaruję wam tu zamku ani miasta, obdarzę was natomiast tamtą skrzynią, na przekór zawistnemu losowi, który chciał was jej pozbawić. Zabierzcie ją do swej ojczyzny! Niechaj wasi rodacy ujrzą te dary, z których dumni być możecie, bowiem otrzymaliście je za swoje wielkie zasługi.

Ruggieri przyjął podarunek, złożył stosowny dank królowi i z wesołym obliczem do Toskanii odjechał.»

Opowieść druga



GHINO DI TACCO

Ghino di Tacco wziął do niewoli opata z Cluny. Wyleczywszy go z choroby żołądka, zwrócił mu wolność. Opat, wróciwszy do Rzymu, pogodził papieża Bonifacego z Ghinem, czyniąc go rycerzem zakonu szpitalników.

Wielkoduszny czyn króla Alfonsa wobec florenckiego rycerza wiele pochwał wywołał. Królowi Panfilowi opowieść także wielce do smaku przypadła. Wreszcie gdy gwar umilkł, król Elizie dalej opowiadać przykazał. Eliza, nie mieszkając, w te słowa zaczęła:

– Wytworne damy! Nikt nie zaprzeczy, że rzeczą chwalebną i niepospolitą była wspaniałość królewska okazana mężowi, który mu godnie służył. Jednakże jak nazwiemy uczynek pewnego opata, co wielką wspaniałość okazał wobec człowieka, z którym, nie obawiając się czyjejkolwiek nagany, jak z wrogiem mógł postąpić? Mniemamy, że czyn króla przypisać należy jego cnocie, postępek zaś opata przyjdzie wprost cudem nazwać, zważywszy na to, że dzisiejsi księża skąpsi są od białogłów i że wszelkiej szczodroblewości nienawidzą. Wszyscy ludzie pragną zemsty za obrazę, jaka ich spotkała, i tylko duchowni nakazują cierpieć pokornie i krzywdy w niepamięć puszczać. Mimo to często widzimy, że księża większym płomieniem zemsty gorzej niż inni ludzie. Z mojej opowieści jednak obaczycie, jak wspaniałością pewien opat postąpił.

«Ghino di Tacco⁹⁴ zasłynął z nieustraszonego męstwa i rozbójniczych wypraw. Grabiowie di Santa Fiore po krwawej rozprawie wygnali go ze Sieny. Wówczas Ghino podburzył przeciw rzymskiej władzy miasteczko Radicofani, osiedlił się w nim i przy pomocy swej uzbrojonej szajki jął grabić podróżnych.

Papieżem był wówczas Bonifacy VIII. Zdarzyło się, że na dwór jego przybył opat z Cluny, który za najbogatszego z prałatów na świecie uchodził. Przebywszy niejaki czas na dworze, opat całkiem sobie żołądek popsował, tak iż medycy musieli zalecić mu niezawodne kąpiele w sienneńskich wodach⁹⁵. Otrzymałszy pozwolenie papieża, opat, nie myśląc wcale o Ghino di Tacco, wyruszył w drogę z, wspaniałą świtą, z mnóstwem juczych bydła i wielkim obozem. Ghino di Tacco, usłyszawszy o jego przyjeździe, rozstawił misternie sieci i w pewnym górskim wąwozie pochwycił opata wraz z całym orszakiem, tak iż ani jeden pacholek nie wymknął się z rąk rozbójników. Co uczyniwszy, do opata wysłał jednego z wielce chytrych i zręcznych swych towarzyszy ze znacznym zastępem. Wysłannik Ghina w imieniu swego pa-

na wielce przyjaźnie zaprosił opata na zamek. Opat, srodze rozgniewany, odparł, że ani myśli, gdyż do Ghina żadnej sprawy nie ma, że chce w dalszą drogę ruszać, a także, iż pragnie dowiedzieć się, kto mu w tej podróży ośmieli się wstępną czynić. Posłaniec Ghina odparł pokornym głosem:

– Znajdujecie się tam, mój ojczy, gdzie żadnej władzy, krom władzy Boga, się nie szanuje, gdzie żadne klątwy i zakazy nijakiej wartości nie mają. Dlatego też radzę wam, abyście panu Ghinowi ustąpili.

Gdy opat z wysłannikiem rozmawiał, grono uzbrojonych rozbójników otoczyło opata i jego świętą i zmusiło go do tego, aby się ku zamkowi skierował. Opat, mając duszę pełną wzgardy i gniewu, ruszył za umyślnym Ghina. Wkrótce cały orszak zatrzymał się u wrót zamku. Zgodnie z rozkazem Ghina, wprowadzono opata samego do małej i ciemnej komnaty, towarzyszy jego rozmieszczono przyzwoicie w komnatach zamkowych, zależnie od godności każdego z nich, rzeczy zaś niepokojące pozostawiono. Rumaki do stajni odprowadzone zostały. Wydawszy rozporządzenia i upewniwszy się, że wszystkie wypełnione zostały, Ghino udał się do opata i rzekł:

– Świętobliwy ojczy! Ghino, u którego obecnie w gościnie bawicie, przysłał mnie do was, abym się was spytał, dokąd to i w jakim celu jechaliście?

Rozumny opat, pojawiwszy od razu, że zbyt dumna nie na miejscu by tu była, odpowiedział szczegółowo na wszystkie postawione mu pytania.

Ghino opuścił opata z twardym zamysłem wyleczenia go bez pomocy kąpieli w sienneńskich wodach. Kazał dobrze ogrzać komnatę opata i pilnować jej jak oka w głowie, sam zaś dopiero nazajutrz rankiem znów opata odwiedził. Przyniósł z sobą na białym płótnie dwie przyrumienione kromki chleba oraz kubek pełen kornilijskiego wina,⁹⁶ wziętego z zapasów opata, i rzekł:

– Ghino, który za czasów swej młodości uczył się medycyny, twierdzi, że w przypadku chorób żołądka nie masz lepszego leku jak ten oto, który wy, ojczy, za jego idąc wskazaniem, teraz wypróbować powinniście. To, co wam przyniosłem, stanowi początek kuracji, dlatego też zażyjcie tę dawkę i pokrzepcie siły wasze!

Opatowi, którego głód nękał, rozmowy wcale po myśli nie były. Duchowny zjadł chleb i wypił wino, chociaż na jego obliczu malował się głęboki wyraz pogardy. Potem wyniośle zadał kilka pytań, kilku rad udzielił i wyraził zwłaszcza chęć ujrzenia Ghina.

Do niektórych uwag opata odniósł się Ghino jak do pustych słów i mimo uszu je puścił, na inne odpowiedział wielce dwornie, wreszcie na zakończenie rzekł, że Ghino, gdy tylko chwilę czasu znajdzie, z wielką chęcią go odwiedzi. Po czym wyszedł i powrócił dopiero nazajutrz rano, przynosząc znowu tyleż chleba i kubek wina. Na podobnej strawie trzymał Ghino opata dotąd, aż nie spostrzegł, że duchowny zjadł suchy bób, który pan zamku przynosił skrycie do jego komnaty, ostawiając go w niej jakby przypadkiem. Obaczywszy, że bób zniknął, Ghino rzekł do opata, iż jego pan pyta o zdrowie gościa. Opat odparł:

– Byłbym całkiem zdrowy, gdybym się mógł wyrwać z jego rąk. Poza tym niczego mi nie trzeba prócz obfitszego jedzenia, tak dobrze uleczyły mnie jego zabiegi.

Ghino kazał przygotować wspaniałą komnatę, którą służy opata przybrali własnymi jego kobiercami.

Następnego dnia Ghino wyprawił bogatą ucztę, na którą zaprosił licznych towarzyszy swoich i całą świętą opata, sam zaś wszedł rankiem do komnaty swego gościa i rzekł:

– Czujecie się już dobrze, świętobliwy ojczy, dlatego też pora wam szpital opuścić.

Wziąwszy opata za rękę, Ghino zaprowadził go do przygotowanej dla niego komnaty. Opat obaczył tam z przyjemnością całą swoją świętą. Ghino odszedł, aby wydać rozporządzenia co do obiadu. Opat, tymczasem pokrzepiwszy się nieco, opowiedział swoim towarzyszom, jakie życie przez ten cały czas prowadzić musiał. Oni natomiast oświadczyli mu zgodnie, że Ghino z podziwu godną hojnością ich podejmował.

Gdy pora obiadowa nadeszła, Ghino ugościł swych jeńców znakomitymi winami i wspaniałymi potrawami, jednakże imienia swego opatowi nie odkrył. Przez kilka jeszcze dni podejmował Ghino z wielką okazałością gości swoich. Wreszcie pewnego rana kazał wnieść do jednej komnaty wszystkie rzeczy opata, a na dziedzińcu, na który okna komnaty wychodziły, ustawić wszystkie rumaki swego gościa, aż do najniższej szkapki. Po czym odwiedziwszy opata zapytał go, zali już jest zdrów i czy czuje się na siłach, aby na koniu dalszą drogę, podjąć? Opat odparł, że się znacznie na zdrowiu poprawił i wyleczył się z dolegliwości żołądka, aliści czułby się jeszcze lepiej, gdyby mu się z rąk Ghina wyrwać udało. Miał odpowiedzi Ghino zaprowadził opata do komnaty, w której zebrani byli wszyscy jego towarzysze i wszystkie rzeczy zostały zgromadzone, podszedł z nim do okna, skąd było widać wszystkie konie i rzekł w te słowa:

– Świątobliwy ojcze, nie złe przyrodzenie uczyniło z Ghina di Tacco rozbójnika grabiącego podróżnych oraz wroga papieskiego dworu. Ghino jest szlachcicem, który, cierpiąc nędzę, musiał porzucić swój dom, aby bronić życia i szlachectwa przed mnogimi a potężnymi wrogami. Oto co przedzierzgnęło Ghina, czyli mnie, w hardego i samowolnego człeka. Wy, ojcze, zdajecie mi się być wielce godnym człkiem, dlatego też wyleczywszy was z waszej słabości, nie wezmę dla siebie nic z waszego mienia, tak jakbym to uczynił z mieniem każdego, kto by mi do rąk wpadł. Nagrodę dla mnie za usługę, jaką wam oddałem, ostawiam wam samym: możecie, zważywszy na moje potrzeby, oddać mi taką część bogactw waszych, jaka się wam podoba. Wszystkie rzeczy wasze tutaj się znajdują, a konie możecie obaczyć z tego okna. Czy mi coś dacie, czyli też nie dacie niczego – to tylko od was zależy. Możecie także odjechać albo w zamku pozostać, od tej chwili bowiem panem swojej woli jesteście.

Opat zadziwił się, że człek grabiący podróżnych może na ten kształt przemawiać. Słowa Ghina podobały mu się do tego stopnia, że gniew i złość zamieniły się w przyjaźń do pana zamku. Opat uściśnął Ghina i rzekł:

– Zdawało mi się do tej chwili, żeś mnie poniżał, starając się na wszelki sposób o dotknięcie godności mojej, aliści klnę się na wszystkie świętości, że gotów byłbym nawet srożej cierpieć, byleby tylko zdobyć przyjaźń takiego jak ty człowieka. Niech będzie przeklęty los, który cię zmusza do parania się tak niegodziwą profesją!

Opat wziął z sobą tylko najbardziej niezbędne mu rzeczy, niewielką ilość koni i udał się w drogę powrotną do Rzymu. Resztę swego mienia ostawił Ghinowi.

Do papieża już doszły były słuchy o tym, że opat został w jeństwo wzięty. Wieści te wielkiego strapienia ojcu świętemu przyczyniły. Teraz, obaczywszy opata, zapytał go, jak podziałały na niego sieneńskie wody i kąpiele.

– Wasza Świątobliwość – rzekł opat z uśmiechem – nie dojechawszy do Sieny spotkałem znakomitego medyka, który mnie całkiem wyleczył.

Po czym opowiedział papieżowi, na czym leczenie Ghina się zasadzało.

Papież słuchając tej opowieści śmiał się serdecznie. Opat, mający serce wielkoduszne, poprosił wówczas papieża o wyświadczenie mu pewnej łaski. Papież, nie wiedząc, na czym ta prośba polegać będzie, obiecał, że ją wypełni.

– Ojcze święty – rzekł opat – ośmielani się prosić was usilnie, abyście medyka mego, Ghina di Tacco, do łask swych powrócić raczyli. Jest to spośród niepospolitych i szlachetnych ludzi, których mi się w życiu spotkać udało, ani chybi jeden z najgodniejszych. Jeśli zaś postępuje źle, to winę za to ponosi raczej jego los przeciwny niż on sam. Dopomóżcie tedy Fortunie i dajcie mu możliwość żyć stosownie do jego godności, a rychło obaczycie, że prawda była w słowach moich.

Wspaniałomyślny papież, który lubił szlachetnych i odważnych ludzi, odparł, że chętnie to uczyni i jeśli Ghino jest takim człkiem, jakim go tu opat wystawia, tedy nic nie stoi na wstręcie, aby do Rzymu przybył.

Ghino istotnie po kilku dniach bez obawy przyjechał. Wkrótce papież przekonał się do-
wodnie o jego przymiotach, pogodził się z nim i uczynił go rycerzem, a następnie mistrzem
zakonu szpitalników.

Ghino do śmierci zachował to stanowisko, będąc wiernym i oddanym sługą rzymskiego
Kościoła i opata z Cluny.»

Opowieść trzecia



MITRYDAN I NATAN

Mitrydan zazdrości Natanowi dobrej sławy i pragnie go życia pozbawić. Nie znając Natana z wyglądu, zwierza mu się z zamysłu swego. Otrzymawszy od Natana wskazówkę, spotyka go w lesie, aliści poznawszy w nim człeka, z którym uprzednio był rozmawiał, odstępuje ze wstydem od zamysłu swego i przyjacielem Natana zostaje.

Postępek opata wszyscy jednogłośnie cudem istnym nazwali, jako że mnich wielkodusznym się okazał, po czym król, gdy gwar kobiecych głosów się uciszył, rozkazał Filostratowi, aby dalej opowiadał. Filostrat nie mieszkając zaczął w te słowa:

– Szlachetne damy! Wielka była szczerobliwość króla Hiszpanii, aliści uczynek opata z Cluny wprost niewiarogodnym nazwać można. Jednocześnie nie mniej dziwnym wyda się wam postępek pewnego człeka, który w szczodrobliwości nieposzedniej był gotów oddać swoje życie drugiemu, łaknącemu krwi jego, a raczej jego życia. Ani chybi byłby swój zamysł wypełnił, gdyby tamten od swego okrutnego pragnienia nie odstąpił.

«Jeśli mamy dać wiarę Genuńczykom i innym podróżnikom, którzy od wschodnich krain jeżdżą, to żył w Kitaju⁹⁷ ongiś wielki bogacz, z szlacheckiego rodu idący, imieniem Natan. Majętność jego leżała obok drogi, którą przejeżdżali wszyscy, kierując się ze Wschodu na Zachód lub z Zachodu na Wschód.

Natan odznaczał się wielkoduszością i szczodrobliwością. Chcąc czynami sławę u ludzi zyskać, najął wielu znakomitych majstrów i począł wznosić ogromny i wspaniały pałac, nie widzianym dotąd przepychem olśniewający. Gdy dom już stanął, Natan kazał przybrać wspaniale i wyposażyc wszystkie komnaty, w których pragnął przyjmować godnie wszystkich szlachetnie urodzonych podróżnych ciągnących tą drogą. Miał zaś liczną i wierną służbę, tak iż bez trudu mógł swój zamysł w czyn wprowadzić. Po niejakiem czasie z takim zapałem i usilnością do dzieła przystąpił, że nie tylko na Wschodzie, ale i na całym niemal Zachodzie poczęły słuchy o nim chodzić. Z biegiem lat Natan zestarzał się, aliści rozpoczęte dzieło dalej prowadził.

Mitrydan, żyjący w państwie sąsiadującym z ojczyzną Natana, usłyszał o dobrodziejstwach, jakie starzec ludziom wyświadczał. Będąc panem równych bogactw co Natan, począł zazdrościć starcowi jego zasłużonej sławy, i dlatego też postanowił jeszcze większą szczo-

drobliwością go zaćmić. Mitrydan zbudował sobie pałac na wzór domu Natana. Przyjmując z nieumiarkowaną rozrzutnością i ugaszczając u siebie podróżnych, wkrótce wielki rozgłos zyskał.

Pewnego dnia, gdy młody bogacz sam jeden na dziedzińcu domu swego się znajdował, weszła żebraczka prosząc go o jałmużnę. Otrzymawszy pieniądze odeszła z podziękowaniem. Po chwili staruszka powróciła, wchodząc przez inne drzwi, i znów datek otrzymała. Powtórzyło się to dwanaście razy. Gdy żebraczka weszła po raz trzynasty, Mitrydan rzekł do niej:

– Zbyt często przychodzisz, miła moja! Mimo to dał jej jednak jałmużnę.

Usłyszawszy jego słowa staruszka rzekła:

– Niech będzie po tysiąckroć wysławiona szczodroliwość Natana! Do domu jego prowadzi trzydzieści dwoje drzwi; przez każde wchodziłam do środka, o jałmużnę prosząc. Natan, czyniąc pozór, że mnie nie poznaje, nie odmówił mi ani razu pomocy. Tutaj weszłam tylko trzynaste raz i już mnie poznano, już mi wymówkę uczyniono!

Rzekłszy te słowa starucha wyszła i nie powróciła więcej. Mitrydan rozgniewał się srodze, wysłuchawszy opowieści żebraczki, bowiem do tej myśli przyszedł, że sława Natana jego sławę zaćmiewa. „Kiedyż moja szczodrość zrówna się z szczodrością Natana – rzekł do siebie – chyba nigdy go już w wielkich sprawach nie prześcignę, tak jak to dawniej myślałem. Nawet w rzeczach drobnych nie umiem postąpić tak wielkodusznie jak on. Widać już do końca swego życia będzie brał przede mną przodek, a ja na próżno się trudzę. Chocia jest już starcem szedziwym, przecie wcale umierać nie chce, nie pozostaje mi zatem nic innego, jak własnymi rękoma go zgładzić.

W zapędzie gniewu Mitrydan, nikogo o radę nie pytając, wskoczył na konia i po trzech dniach podróży z niewielkim orszakiem znalazł się już w pobliżu domu Natana. Wówczas rozkazał swym sługom, aby uczynili pozór, że go całkiem nie znają, nie towarzyszą mu w drodze, i aby zatrzymawszy się w gospodzie, czekali na dalsze jego polecenia. Był już późny wieczór. Mitrydan, rozstawszy się z swoją świtą, jechał sam drogą i niedaleko od pięknego pałacu spotkał Natana, który przechadzał się samotnie, wspaniałością stroju nie wyróżniając się zgoła, i którego zapytał, gdzie bogacz przebywa.

– Mój synu – odparł wesoło Natan – nikt lepiej ode mnie drogi ci nie pokaże, dlatego też, jeśli chcesz, do samego domu cię zawiodę.

Młodzian odrzekł, że byłoby to bardzo po jego myśli, nie chciałby jednak, o ile to możliwe, by Natan zobaczył go i poznał. Na co oświadczył Natan:

– I to również sprawię, jeśli taka twoja wola.

Zsiadł tedy Mitrydan z konia i ruszył z Natanem, który niezwłocznie wszczął z nim bardzo miłą rozmowę. Rychło dotarli do pięknego pałacu.

Po przybyciu na miejsce, rozkazał Natan jednemu ze swych sług odebrać od Mitrydana konia i wydał mu po cichu polecenie, aby nikt w zamku nie ważył się zdradzić, że on jest Natanem. Po czym wprowadził swego gościa do pałacu i wskazał mu wspaniałą komnatę, w której przydana mu służba miała dbać o jego wygody, poza nią jednak nikt go nie widział. Natan okazywał swemu gościowi wszelkie względy i sam mu dotrzymywał towarzystwa, Mitrydan zaś ze swej strony odnosił się do starca z prawdziwie synowską czcią, zapytał jednak, co w tym domu porabia.

– Jestem jednym z niższych sług mego pana. Wziął mnie on do siebie wówczas, gdy byłem dzieckiem, nigdy jednak nie powierzył mi niczego innego krom tych posług, które przy tobie spełniam. Dlatego też, chociaż go wszyscy chwala, ja niejedno miałbym mu do zarzucenia.

Te słowa rzekomego sługi napełniły nadzieją serce Mitrydana, bowiem do tej myśli przyszedł, że przy jego pomocy swój plugawy zamysł łatwiej i pewniej w czyn wprowadzi. Natan z kolei zapytał Mitrydana z wielką dwornością, kto on zacz i co go tu sprowadza, i ofiarował mu się ze swą radą i pomocą.

Mitrydan zawahał się przez chwilę, wreszcie jednak postanowił wyjawić starcowi zamiary swoje. Zaczął od długich omówień, chcąc sobie zapewnić dochowanie tajemnicy, po czym odkrył mu, kim jest, powiedział, co go tu sprowadziło, i poprosił o radę i pomoc. Natan wysłuchawszy opowiadania osłupiał, nie dawszy jednak najmniejszej o swym stanie poznaki odparł ze spokojem:

– Mitrydanie! Rodzic twój odznaczał się wielką szlachetnością duszy, ty zaś widać naśladować go pragniesz, skoro szczodropliwość okazując wszystkim, takie sobie wzniosłe wobec bliźnich stawiasz zadania. Dlatego też pochwalam szlachetną zazdrość, jaką w tobie budzi wyższość Natana. Gdyby na ziemi żyło więcej ludzi podobnych, mniej by było zła i nędzy na świecie. Możesz być upewniony, że tajemnicy dochowam; co się jednak tyczy wykonania zamysłów twoich, to więcej radą niż pomocą będę ci mógł służyć. Widzisz ten mały gaj, o pół mili stąd rosnący? Natan zwykle co rano samotnie się po nim przechadza, łatwo ci będzie tedy przydybać go i życia pozbawić. Gdy ci się go zabić uda, nie wracaj drogą, którą tu przybyłeś, jeśli chcesz bez przeszkód do domu powrócić, ale udaj się przed siebie ścieżką, którą znajdziesz po lewej ręce. Zaprowadzi cię ona do lasów, a tam już możliwej pogoni ujdziesz.

Mitrydan, otrzymawszy taką radę, po odejściu Natana dał potajemnie znać swoim ludziom, którzy znaleźli się tam również, gdzie nań następnego dnia oczekiwać mają. Natan zaś, nie odmieniwszy zamysłu swego, przygotowany na śmierć, udał się nazajutrz rano samotnie do gaju. W chwilę potem Mitrydan zerwał się z pościeli, pochwyił miecz i łuk, dosiadł rumaka i ruszył w stronę gaju, w którym już z daleka ujrzał przechadzającego się Natana. Młodzieniec postanowił naprzód poznać Natana, pomówić z nim, a później dopiero życia go pozbawić. Dlatego też poskoczył ku niemu, schwycił go za przepaskę, którą Natan na czole nosił, i zawołał:

– Zginiesz, starcze!

– Snadź zasłużyłem na to – odparł spokojnie Natan. Mitrydan, usłyszawszy ten głos i spojrzawszy w oblicze mówiącego, poznał natychmiast wczorajszego sługę gospodarza, życzliwego towarzysza i doradcę. Na ten widok w jednej chwili znikła cała jego zapalczliwość ustępując miejsca głębokiemu wstydomi. Z pośpiechem odrzucił od siebie miecz obnażony, zeskoczył z rumaka i ze łzami w oczach rzucił się do nóg Natana, wołając:

– Teraz dopiero, najdroższy ojcze, poznaję twoją nieporównaną wielkoduszość! Powiedziałem ci, że pragnę cię bez przyczyny życia pozbawić, a ty przybyłeś tu, aby oddać mi życie jedynie dlatego że tego chciałem. Aliści dobry Bóg, troszczący się więcej o cześć i dobrą sławę moją niż ja sam, otworzył mi oczy, nędną przyćmioną zawiścią, w chwili gdy najbardziej tego potrzebowałem. Jeszcze bardziej winnym się czuję, gdy uprzytamniam sobie, jak ochotnie chciałeś moim podłym zamysłem zadość uczynić. Stoję teraz przed tobą błagając, abyś wziął pomstę na mnie, stosownie do mojej winy.

Natan miast odpowiedzi podniósł Mitrydana, uściskał go, ucałował tkliwie i rzekł doń:

– Mój synu, postępek twój, choćbyśmy go złym nazwali, nie zasługuje na pomstę, nie nienawiść bowiem ku niemu cię popchnęła, jeno szczytne pragnienie przewyższenia innych w cnocie. Bądź upewniony, że nikt cię tak jak ja na świecie całym nie miłuje. Mniemam, że duszę musisz mieć szlachetną wielce, nie idziesz bowiem śladem skąpców i nie naśladujesz ich w nienasyconym zbieraniu skarbów, a jeno pragniesz innym bogactwa zgromadzone szczodropliwie rozdać. Niechaj cię też nie wstydzi to, że mnie zabić chciałeś, aby się stać sławniejszym ode mnie. Wierzaj, że się temu pragnieniu twemu nie dziwię. Najznamienitsi królowie i cesarze nie inną zazwyczaj sztuką, tylko zabijaniem, i to nie jednego człowieka, jak ty zamierzyłeś, ale tysiący ludzi, paleniem miast i obracaniem krajów w perzynę rozszerzali państwa swoje i chwałę zdobywali. Jeśli tedy, pożerany żądzą sławy, mnie jednego tylko zabić chciałeś, nic w tym osobliwego nie znajduję, owszem, rzecz tę za nader pospolitą uważać jestem skłonny.

Mitrydan, który bynajmniej usprawiedliwiony ze swego szkaradnego zamysłu się nie czuł, wdzięczny jednak za usprawiedliwienie, jakie Natan znalazł dla jego postępków, podnieść nie omieszkał, że największym zdejmuje go podziwieniem, iż Natan zdobył się na to, by mu doradzać i wskazać najpewniejszy sposób własnej zagłady.

– Mitrydanie – odrzekł na to Natan – nie dziw się mojej radzie i postępkowi, od czasu bowiem, gdy się stałem samowładnym mych spraw panem i powziąłem myśl praktykowania cnót, które i tobie obce nie są, uczyniłem ślub, że nikt nie przestąpi progę mego domu bez tego, abym wszystkich jego życzeń nie zaspokoił. Przyszedłeś do mnie żądając mego życia, postanowiłem tedy bez zwłoki osiągnięcie tego celu ci ułatwić, abyś nie był jedynym, który stąd odszedł nieukontentowany, dlatego też dałem ci radę, która mi się najlepszą wydała. Nie chciałem również, abyś, odjąwszy mi życie, zaraz swoje miał utracić. Jeżeli nadal jeszcze zabić mnie pragniesz, uczyn to, proszę, gdyż jestem gotów zadość ci uczynić. Wierzę, nie znam lepszego sposobu zakończenia dni moich.

Osiemdziesiąt lat spędziłem wśród uciech i rozkoszy i wiem, że wedle praw przyrodzenia, którym wszyscy ludzie i wszelkie rzeczy podlegają, już długo na ziemi pozostawać nie będę; lepszą mi się tedy wydaje rzeczą podarować życie moje, tak jak zawsze skarby me wszystkie rozdarowywałem, niżli chcieć je zatrzymać tak długo, aż mimo woli mojej pozbawi mnie go natura.

Zawstydzony Mitrydan odparł w te słowa:

– Niech Bóg mnie na drugi raz od podobnie grzesznych myśli zachowa. Nie tylko nie pragnę życia was pozbawiać, ale nawet chętnie oddałbym część życia własnego, gdybym mógł dni wasze na ziemi przedłużyć.

Wówczas Natan rzekł:

– Jeśli chcesz mi dać część życia twego, czyż mam postąpić wobec ciebie, jak nie postąpiłem wobec nikogo innego, i wziąć coś, co twoją własność stanowi?

– Uczyn to – odparł bez namysłu Mitrydan.

– A więc – rzekł Natan – spełnij mą wolę. Pozostań w domu moim, pełen sił młodości, i przybierz imię Natana, ja zaś udam się do twojej siedziby i odtąd każę się zawsze nazywać Mitrydanem.

– Gdybym umiał postępować tak jak wy – odparł Mitrydan – niewiele myśląc przystałbym na to. Alści czyny moje pomniejsząłyby z pewnością sławę Natana, ja zaś nie chciałbym w cudzym dziele niszczyć tego, czego sam niezdolny jestem dokonać. Dla tych racyj nie mogę więc przyjąć waszego imienia.

Natan długo jeszcze z Mitrydanem rozmawiał, po czym powrócili do domu, w którym Mitrydan jeszcze kilka dni spędził. Natan nie szczędził swemu młodemu przyjacielowi łask i radą swą umacniał go w mierzącym wysoko przedsięwzięciu. Gdy wreszcie młodzieniec wraz ze swymi przyjaciółmi do drogi zbierać się począł, Natan pożegnał ich dowiódłszy mu niezbitcie, że go nigdy w szczodrobliwości i wielkoduszności nie prześcignie.»

Opowieść czwarta



WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ MIŁOŚNIKA

Gentile de'Carisendi, wróciwszy z Modeny, wyjmując z grobowca ukochaną białogłową, którą, jako zmarłą, w nim pochowano. Niewiasta, do życia powrócona, wydaje na świat synka. Gentile oddaje umiłowaną i dziecię jej mężowi, Niccolucciowi Caccianimico.

Głębokim podziwem przejęło wszystkich to szcudroblive szafowanie krwią własną. Jednogłośnie uznano, iż Natan przewyższył wspaniałością opata z Cluny i króla hiszpańskiego. Po czym, gdy już materię opowieści omówiono szczegółowie, król wzrokiem wezwał Laurettę, a ta zaczęła w te słowa:

– Młode przyjaciółki! Wierę, wspaniałe i piękne są rzeczy, o których dotychczas słyszeliśmy, i zdaje mi się, że nic już nam prawie w tej materii do opowiedzenia nie pozostało, tak dalece zdumiewamy się wyżynie, na jaką wspaniałością wznieść się tu zdołała. Powinniśmy się zatem zwrócić do opowieści o trafunkach miłosnych, tak bogatą zawsze materię przedstawiających. Sam wiek nasz młody ku temu nas nęci i pociąga. Nie dziwcie się zatem, że chcę wam opowiedzieć o wspaniałości pewnego kochanka. Mniemam, że rozważwszy jego postępek, niemniej niż poprzednie szlachetnym go znajdziecie, zwłaszcza że dla owdzięcia przedmiotem miłości człek jest gotów życie swoje na niebezpieczeństwa wystawić, gardzić bogactwami, zemsty niechać i honor swój nawet na osławę przywozić.

«W Bolonii, znakomitym mieście lombardzkim, żył niegdyś młody rycerz, wyróżniający się zarówno męstwem, jak i szlachetnością krwi swojej, Gentile Carisendi⁹⁸ zwany. Zakochał się on w pewnej dostojnej damie, imieniem madonna Catalina, żonie niejakiego Niccoluccia Caccianimico. Nie mogąc jednak jej wzajemności pozyskać odjechał, zwątpiwszy niemal w swą sprawę, do Modeny, gdzie go podestą mianowano.

Wkrótce po jego odjeździe, gdy Niccoluccia także w Bolonii nie było, żona jego, spodziewająca się właśnie potomka, przebywała w jednej ze swoich posiadłości wiejskich, o trzy może mile od miasta oddalanej. Pewnego dnia zachorowała nagle, i to tak gwałtownie, iż wkrótce wszelkie oznaki życia w niej wygasły i nawet doktorzy za zmarłą ją uznali. Ponieważ zaś, wedle obliczenia krewniaczek powołujących się na jej słowa, dziecię, które w swym żywocie nosiła, nieprędko jeszcze na świat przyjść miało, nie zastanawiano się wiele i złożono ją wśród oznak powszechnego żalu w grobowcu, w pobliskim kościele się znajdującym.

Pan Gentile szybko dowiedział się o tym wszystkim od jednego ze swoich przyjaciół. Mimo iż zmarła zbyt łaskawą dlań nie była, odczuł wielki ból z powodu jej zgonu i rzekł:

– Nie ma cię już wśród żywych, madonno Catalino! Dopókiś żyła, ani jednego przychylnego spojrzenia od ciebie uzyskać nie mogłem. Teraz jednak, gdy już oporu stawiać nie możesz, pójdę i będę się starał złożyć choć kilka pocałunków na twoim czole.

Po czym wydał rozkaz, aby o jego odjeździe zamilczano, i wsiadłszy nocą na koń, w towarzystwie jednego zaufanego sługi dotarł wreszcie, jadąc bez popasu, do miejsca, gdzie spoczywały śmiertelne szczątki damy. Po przybyciu otworzył grobowiec, wszedł doń ostrożnie, położył się obok zmarłej, zbliżył twarz swoją do jej oblicza i obsypał je pocałunkami, rzewliwie łzy wylewając.

Ponieważ jednak ludzie, zwłaszcza zakochani, w pragnieniach swoich na byle czym nie zwykli są poprzestawać, ale zawsze chcą czegoś więcej, tedy i pan Gentile, mając się już ku odejściu, pomyślał sobie: „A dlaczegożbym, skoro już tu jestem, nie miał dotknąć się jej piersi? Wszak stanie się to po raz pierwszy i ostatni w życiu.”

Ulegając temu pragnieniu wyciągnął rękę i położył ją na piersiach zmarłej. Po chwili zdało mu się, że czuje lekkie bicie jej serca. Z początku wielce się zatrwożył, opamiętawszy się jednak i wyteżywszy całą uwagę, stwierdził, że dama nie umarła i że życie jeszcze się w jej piersi kołacza. Podniósł tedy umarłą z największą ostrożnością. Wydobył ją przy pomocy sługi swego z grobowca, wziął przed siebie na koń i przez nikogo nie dostrzeżony, dowiózł ją do domu swego w Bolonii.

Matka jego, roztropna i szlachetna białogłowa, dowiedziawszy się szczegółowie od syna o całym przebiegu sprawy, szczerym współczuciem zdjeta, kazała przygotować gorącą kąpiel, po czym różnymi zabiegami do życia powróciła rzekomo zmarłą. Młoda białogłowa zawołała, westchnawszy głęboko:

– O Boże, gdzie jestem?

Zacna dama odrzekła jej:

– Bądź dobrej myśli. Jesteś w bezpiecznym miejscu.

Gdy pani Catalina przysła już całkiem do siebie, obejrzała się dokoła, a ujrawszy pana Gentilego stojącego w pobliżu, zdumiona, błagać poczęła matkę jego o wyjaśnienie, jakim sposobem tu się dostała. Wówczas pan Gentile opowiedział jej o całym zdarzeniu. Madonna Catalina z początku wielce się rozgniewała, potem jednak podziękowała mu gorąco za to, co dla niej uczynił, i poczęła go zaklinać na miłość, jaką dla niej żywił, i na dworność jego, aby goszcząc ją w swym domu, nie uczynił jej nic takiego, co by ją na poczywości drasnąć mogło, i aby gdy tylko dzień się uczyni, odprowadził ją do jej domu.

– Madonno – odrzekł na to pan Gentile – jakiegokolwiek były kiedyś pragnienia moje względem ciebie, obecnie, gdy Bóg był tyle łaskaw dla mnie, iż przez wzgląd na miłość, jaką dla ciebie żywiłem, pozwolił mi od śmierci cię uratować, postanowiłem, tak teraz, jak i nadal, tu i na każdym innym miejscu obchodzić się z tobą jak z najdroższą siostrą. Jednakże przysługa, jaką tej nocy ci wyświadczyłem, zasługuje chyba na pewną nagrodę, dlatego też proszę cię, abyś nie odmawiała mi łaski, której od ciebie chcę zażądać.

Na te słowa dama odrzekła dobrotliwie, że gotowa jest uczynić dla niego wszystko, co tylko w jej mocy będzie leżało i co ze statecznością jej się zgodzi.

– Madonno – ciągnął dalej pan Gentile – wszyscy krewni twoi jako też cała Bolonia mają cię już za umarłą; nikt w twoim domu nie spodziewa się ujrzeć ciebie przy życiu. Nie będzie to więc z krzywdą niczyją, jeśli po kryjomu pozostaniesz tu łaskawie przy matce mojej, dopóki nie powrócę z Modeny, co wkrótce nastąpi. Oto łaska, o którą proszę, ponieważ mam zamiar w obliczu najdosłojniejszych obywateli tego miasta oddać was małżonkowi waszemu jako uroczysty i wspólny dar.

Dama, czując wagę swoich zobowiązań względem rycerza i nie widząc, aby w tej prośbie coś niecnotliwego kryć się mogło, mimo pragnienia szybkiego ucieszenia krewnych pojawie-

niem się swoim, przystała na życzenie pana Gentilego i słowem się związała. Zaledwie jednak ostatnich słów domówiła, poczuła, że czas rozwiązania nastał, i w kilka chwil potem przy pomocy matki Gentilego pięknego synka na świat wydała.

Okoliczność ta podwoiła jeszcze radość tak jej, jak i rycerza, który wydawszy polecenia, aby damie nie zbrakło na staraniach stosownych jej stanowi i aby jej służyło, jak jego własnej żonie, w tajemnicy do Modeny odjechał.

Zakończywszy w tym mieście urządowanie swoje, jął się do powrotu gotować. Na dzień przedtem wysłał polecenie do domu, aby w dniu jego powrotu wydano wielką i wspaniałą ucztę, prosząc na nią najdostojniejszych obywateli bolońskich, a przede wszystkim Niccoluccia Caccianimico. Po przybyciu do domu zsiadł z rumaka i powitał damę, którą znalazł piękniejszą niż kiedykolwiek. Tak ona, jak i jej synek doskonałym się cieszyli zdrowiem. Po czym udał się do swoich gości i z radosnym wyrazem oblicza zaprosił ich, aby do stołu zasiadli. Zaczęła się ucztą z licznych i wybornych potraw złożona. Gdy wieczerza już ku końcowi się miała, pan Gentile, który się pierwiej szczegółowie z damą porozumiał, w te słowa do swoich gości przemówił:

– Przypominam sobie, że słyszałem kiedyś, iż w Persji istnieje wielce chwalebny, jak sądzę, obyczaj. Zasadza się on na tym, że każdy, kto pragnie najwyższą cześć swemu przyjacielowi okazać, zaprasza go do domu swego i pokazuje, co w nim ma najdroższego: żonę, kochankę lub córkę, zaręczając jednocześnie, że gdyby mógł, serce swoje również by mu pokazał. Ten obyczaj pragnę i ja tutaj w Bolonii naśladować. Zaszczyciliście łaskawie mój dom, a ja, chcąc się wam odwdziaczyć, pokażę wam, zgodnie z perskim obyczajem, co mam najdroższego na świecie. Pierwej jednak proszę was, abyście mi rozwiązali pewną wątpliwość, którą wam zaraz wy łuszczę. Otóż założmy, że istnieje człek posiadający dobrego i wiernego sługę, który zapada nagle na ciężką chorobę. Ów człek nie czekając nawet, aż wierny sługa jego żywot zakończy, rozkazuje wynieść go na środek ulicy i całkiem już o niego troszczyć się przestaje. Wtem nadchodzi człek obcy i współczuciem dla chorego zdjęty, zabiera go do swego domu, gdzie usilnych starań i kosztów nie litując, do zdrowia go przywraca. Chciałbym tedy wiedzieć, czy dawniejszy pan tego sługi miałby słuszne prawo żalenia się albo wyrzekania na obcego człeka, gdyby ten sługę przy sobie zatrzymał, z usług jego korzystał i na wezwanie oddać go nie chciał.

Dostojni goście poczęli szeroko tę sprawę omawiać, aż wreszcie zgodziwszy się na jedno, poprosili Niccoluccia Caccianimica, który za miodopłynnego mówcę w Bolonii uchodził, o odpowiedź. Niccoluccio, pochwaliwszy naprzód obyczaj perski, oświadczył, iż w tej materii sądzi wraz z wszystkimi pozostałymi, że dawniejszy pan nie ma żadnego prawa do owego sługi dla tej racji, że go w tak ciężkiej opresji nie tylko opuścił, ale nawet wyrzucił go od siebie kazał i że sługa, obsypany dobrodziejstwami przez owego obcego człeka, słusznie staje się jego pacholkiem, przez co jego dawniejszemu panu żadna ujma ani krzywda się nie dzieje. Wszyscy zgromadzeni przy stole (wśród których wielu rozumnych ludzi się znajdowało) oświadczyli, że są tego samego co Niccoluccio zdania. Pan Gentile, ukontentowany wielce zarówno z responsu, jak i z tego, że go z ust Niccoluccia otrzymał, odrzekł, że i on myślał tak samo, i tymi słowy mowę swoją zakończył:

– Nadszedł czas, abym was uczcił zgodnie z uczynioną obietnicą.

I przywoławszy dwóch służących, posłał ich do damy z prośbą, aby raczyła się zjawić i obecnością swoją ucztę uświetniła. Po chwili dama, bogato przybrana, weszła do sali, niosąc na ręku pięknego synka swego i zgodnie z wskazówką pana Gentilego, obok jednego z dostojnych gości zasiadła. Pan Gentile, wskazując na nią, rzekł:

– Oto mój skarb, który zawsze za najdroższy w świecie uważać będę. Przyjrzyjcie się, a upewnicie się łatwie, że mam słuszność.

Szlachetni panowie poczęli się przesadzać w oznakach czci i pochwał dla pięknej damy i zapewniali rycerza, iż podobnego skarbu nigdy nadto ocenić nie można. Gdy się zaś bliżej

wyglądowi jej przyjrzeni, z wielkim zdziwieniem odkryli w niej podobieństwo do znanej im osoby, i to tak dalece, że przysięgliby, iż to ona sama, gdyby nie to, że najmocniej o jej śmierci przekonani byli. Niccoluccio wpatrywał się w nią najbaczniej, pałając żądzą dowiedzenia się, kto ona zacz. Nie był już zdolny dłużej się pohamować i gdy Gentile nieco się oddalił, zapytał damy, czy jest mieszkanką Bolonii. Usłyszawszy głos swego męża, dama o mały włos się nie zdradziła, pohamowała się jednak w ostatniej chwili i milczała dochowując danej rycerzowi obietnicy. Po chwili inny z gości zwrócił się do niej z zapytaniem, czy chłopiątko, które na rękach trzyma, do niej należy, a wkrótce trzeci zapytał, zali jest żoną Gentilego czy też krewną jego tylko. Na wszystkie te pytania nikt odpowiedzi nie otrzymał. Gdy pan Gentile pojawił się znów na sali, jeden z gości rzekł do niego:

– Zaiste, piękna jest ta białogłowa, ale niema się nam być wydaje. Czyżby tak w samej rzeczy było?

– Jej milczenie, które tak ściśle dotychczas zachowuje – odrzekł Gentile – jest jeno nie-małym jej cnoty dowodem.

– Powiedzcie nam tedy wy, kim ona jest – zapytał jeden z gości.

– Chętnie to uczynię – odparł rycerz – jeśli mi tylko przyrzekniecie, że nikt z was nie ruszy się z miejsca, póki opowiadania swego nie skończę, cokolwiek bym rzekł.

Gdy przyrzeczenie dane zostało i gdy stoły usunięto, Gentile usiadł obok Cataliny i rzekł w te słowa:

– Dama ta jest owym wiernym i dobrym sługą, o którego was przed chwilą pytałem. Krewniacy wyrzucili ją na ulicę, jako rzecz lichą i nieużyteczną, ja zaś zabrałem ją do swego domu i do życia ją troskliwie przywróciłem. Bóg miał wzgląd na moje godziwe uczucie i odstraszonego trupa przemienił w piękną istotę, którą tu teraz przed sobą widzicie. Abyście jednak lepiej pojąć mogli, jak się to wszystko stało, pokrótce rzecz całą wam opowiem.

Tu Gentile, poczynając od miłości swojej dla damy, opowiedział szczegółowie o wszystkim, co się dotychczas zdarzyło, i w końcu dodał:

– Jeżeliście zdania swego po społu z Niccolucciem w tak krótkim czasie nie zmienili, to dama ta winna z prawa należeć do mnie i nikt żadnych do niej roszczeń żywić nie może.

Nikt ani słowa nie odparł i wszyscy czekali, co pan Gentile dalej powie. Niccoluccio, żona jego i przytomni płakali rzewliwie. Pan Gentile podniósł się wreszcie, pochwycił chłopczyka w ramiona, ujął damę za rękę i zbliżywszy się do Niccoluccia rzekł:

– Powstań, przyjacielu! Nie żonę twoją ci oddaję, którą jej i twoi krewniacy z domu wyrzucili, ale daruję ci tę damę, kumę moją, wraz z jej maleńkim dzieciątkiem. Synek ten niewątpliwie ma w żyłach krew twoją. Nadałem mu przy chrzcie imię Gentile. Proszę cię, nie szacuj jej przez to lżej, iż w moim domu około trzech miesięcy przebywała, klnę się bowiem na Boga (który, być może, natchnął mnie miłością do niej dlatego, aby ta miłość narzędziem jej ocalenia się stała), klnę się, powtarzam, na Boga, iż dama ta nigdy przy ojcu swoim, przy matce ani przy tobie uczciwiej nie żyła jak przez ten czas przy matce mojej w tym domu.

Po czym zwracając się do damy rzekł:

– Madonno, uwalniam cię teraz od wszelkiej danej mi obietnicy i oddaję cię wolną w ręce Niccoluccia.

I rzuciwszy damę wraz z dziecięciem w ramiona uszczęśliwionego męża i ojca, na swoje miejsce powrócił.

Niccoluccio przyjął z uniesieniem żonę swoją i syna. Radość jego tym większa była, że ich przecież nigdy już ujrzeć się nie spodziewał. Brakło mu słów do wyrażenia podziękii Gentilemu. Całe towarzystwo, wzruszone do łez, wynosiło pod niebiosa szlachetność rycerza. Dama powróciła do swego domu, gdzie ją z niewymowną radością przyjęto. Przez długi czas jeszcze uważano ją za zmartwychwstałą, tak iż dla całej Bolonii przedmiotem podziwu była. Pan Gentile żył długo w ścisłej przyjaźni z Niccolucciem, z jego krewniakami i z krewnymi jego żony.»

Cóż powiecie teraz na to, szlachetne przyjaciółki moje? Zaliż mniemacie, że króla darującego berło i koronę, opata, który nie ponosząc ofiary, złoczyńcę z papieżem godzi, lub wreszcie starca nadstawiającego szyję pod nóż wroga można porównać z panem Gentile, jeżeli o szlachetność i wspaniałomyślność chodzi? Młody kochanek, aczkolwiek czuł, że ma pełne prawo do białogłowy, którą inni porzucili, on zaś szczęśliwie przygarnął, nie tylko w uczciwy sposób namiętność swoją pohamował, ale mając już w rękach to, czego od tylu lat daremnie pragnął i co gotów był sobie przywłaszczyć, odrzekł się swego szczęścia i ukochaną kobietę innemu oddał.

Wierę, rycerz Gentile wielkodusznością swoją zaćmił wielkoduszność tych wszystkich, o których dotychczas słyszeliśmy.»

Opowieść piąta



CUDOWNY OGRÓD

Dianora prosi Ansaldo o stworzenie ogrodu, który by w styczniu kwitnął podobnie jak w maju. Ansaldo przy pomocy czarodzieja życzenie jej spełnia. Mąż Dianory pozwala jej być powolną woli Ansaldo, jednakże rycerz, usłyszawszy o wspaniałomyślności Gilberta, młodą białogłową od obietnicy uwalnia, a czarodziej, niczego nie żądając dla siebie, zwalnia ze słowa Ansaldo.

Wszyscy wystawiali pod niebiosa szlachetność pana Gentilego. Po czym król wezwał z kolei Emilię, która jakby na ten znak czekając, w te słowa rezolutnie zaczęła:

– Nikt zaiste, drogie przyjaciółki, zaprzeczyć nie może, że pan Gentile prawdziwie wspaniałomyślnie postąpił. Gdyby ktoś jednak twierdził, że przewyższyć go pod względem szlachetności nie podobna, może by nie trudno było go przekonać, że się myli. Tego chcę wam dowieść w mojej opowieści.

«Friulania⁹⁹ leży w stronie zimnej, tym niemniej piękne góry, liczne rzeki i przezrocze źródła wiele uroku i piękności krajowi temu przydają. Znajduje się tam miasto Udine, w którym żyła niegdyś piękna i szlachetna dama, madonna Dianora, będąca żoną bogacza statecznego i dwornego człeka, nazwiskiem Gilberto. Wysokie zalety tej damy zjednały jej gorącą miłość szlachetnego i dostojnego barona, pana Ansaldo z Grado, męża wysokiego rodu, słynącego szeroko z męstwa i wytwornych obyczajów. Pan Ansaldo czynił wszystko, co w jego mocy leżało, aby wzajemność swej ukochanej pozyskać, zabiegał koło niej, ciągle poselstwa do niej wyprawiał, aliści wszystkie te wysiłki próżne były. Madonna Dianora pojęła, że Ansaldo, na wszystko się ważący, mimo jej ciągłych odmów nie przestanie jej nigdy miłować i nagabywać prośbami swymi. Chcąc się od nieznośnego natrętnika uwolnić, postanowiła obrócić się doń z jakimś osobliwym i jak sądziła, niemożliwym do wypełnienia żądaniem. Dlatego też pewnego dnia rzekła do białogłowy przysłanej do niej przez barona:

– Zapewniałaś mnie trzykrotnie, dobra niewiasto, że pan Ansaldo miłuje mnie nade wszystko, a także ofiarowywałaś mi w jego imieniu bezcenne podarunki. Dary te niechaj zatrzyma dla siebie, dla nich bowiem ani go nie pokocham, ani powolną mu nie będę. Gdybym była upewniona, że mnie w samej rzeczy tak miłuje, jak o tym powiadasz, kto wie, może by-

łabym gotowa wzajemnością mu za afekt zapłacić i pragnienia jego spełnić. Niechaj mnie zatem o miłości swej przekona czyniąc zadość życzeniu memu, a ja posłuch mu okażę.

– Jakież to życzenie, madonno? – spytała posłanka – powiedzcie, co pan Ansaldo ma dla was uczynić?

– Oto czego pożądam – odparła Dianora. – Pragnę, aby w ciągu nadchodzącego stycznia w pobliżu Udine powstał ogród pełen zielonej trawy, ziół świeżych i drzew kwitnących, mówiąc węzłowacie, ogród taki, jaki zwykliśmy w maju oglądać. Jeśli pan Ansaldo takiego sadu stworzyć nie potrafi, niechaj nie waży się ciebie ani kogokolwiek innego do mnie przysyłać, gdy mnie bowiem nadal nagabywać będzie, poskarżę się na niego memu mężowi i krewniakom, wobec których dotąd ścisłą tajemnicę zachowywałam, i nareszcie się go pozbędę.

Rycerz, dowiedziawszy się o żądaniu damy, pojął, że Dianora zapragnęła ucieszyć się w styczniu widokiem majowego ogrodu tylko dlatego, aby się od jego miłosnych prześladowań uwolnić. Chociaż żądanie damy prawie niemożliwym do wykonania mu się wydało, postanowił przecie spróbować, czy mu się zadania wypełnić nie uda. W tym celu rozesłał po wszystkich krajach posłańców, aby odnaleźli kogoś, kto by mu w tej okoliczności radą i pomocą mógł służyć. Wreszcie znalazł się człek, który za dobrą zapłatą obiecywał sztuką czarodziejską dziw taki wywołać. Rycerz zgodził się zapłacić mu wysoką sumę, po czym, pełen otuchy, jął czekać z niecierpliwością na czas oznaczony. Wkrótce nastąpiła bardzo ostra zima. Ziemia pokryła się śniegiem i lodem. W ostatnią noc grudnia czarodziej przy pomocy sztuki swojej stworzył na łące obok miasta jeden z najpiękniejszych ogrodów, jakie kiedykolwiek na świecie widziano, wedle zapewnień tych, co go oglądali, pełen ziół i drzew okrytych zarówno kwiatami majowymi, jak i jesiennymi owocami. Pan Ansaldo, ujrawszy to, pełen uniesienia kazał pozrywać najpiękniejsze kwiaty i soczyste owoce i posłał je tajemnie madonnie Dianorze, prosząc ją, aby zechciała zachwycić swe oczy widokiem tego upragnionego przez nią ogrodu, który miał się stać dowodem i miarą jego afektów dla niej. Zarazem Ansaldo przypomniał Dianorze o danym mu i przysięgą utwierdzonym przyrzeczeniu, którego dopełnienie uczciwość niewieścia jej nakazuje.

Dama, ujrawszy kwiaty i owoce i wiele nowinek o cudownym ogrodzie usłyszawszy, jęła gorzko żałować danej Ansaldo obietnicy.

Mimo to jednak, zdjęta ciekawością, wybrała się w towarzystwie wielu dam z miasta na obejrzenie tej wielkiej osobliwości. Przejęta szczerym podziwem, wróciła potem do domu z głębokim smutkiem na dnie serca; nękała ją bowiem myśl o niebacznie danym przyrzeczeniu. Smutek jej i zgryzota z dnia na dzień rosły, tak iż mąż zwrócił wreszcie uwagę na stan żony. Szlachetna dama milczała długo, wstydząc się przyznać do tego, co zaszło, wreszcie jednak nie wytrzymała i opowiedziała o wszystkim.

Gilberto z początku gniewem się zapalił, potem jednak przekonawszy się, że zamysły jego żony szlachetne były, powściągnął swój gniew i rzekł:

– Dianoro, stateczna i cnotliwa białogłowa nie powinna żadną miarą przyjmować poselstw miłosnych i w tajne układy z kimś się wdawać. Słowa, wchodząc przez uszy, do serca się dostają, przeto daleko większą moc mają, niż wielu ludzi sądzi, dla tego zasię, kto kocha, niepodobieństwa żadnego na świecie nie masz. Żeś postąpiła tedy, Dianoro, dając posłuch słowom miłości i podobną umowę zawierając. Ponieważ jednak uznaję czystość twoich intencji i chcę cię od więzów obietnicy oswobodzić, pozwolę ci tedy uczynić to, na co by nikt inny zapewne nie pozwolił. Muszę ci wyznać także, że obawiam się czarnoksiężnika. Gdybyś pana Ansaldo zwiodła, ani chybi mógłby on przy pomocy czarodziejskich praktyk krzywdę i szkodę nam wyrządzić. Idź zatem do Ansaldo, postaraj się, aby cię od obietnicy uwolnił bez uszczerbku dla twej uczciwości, a jeśli te wysiłki na niczym spełzną, oddaj mu się ciałem, ale nie duszą.

Dama, usłyszawszy te słowa, rozplakała się i rzekła:

– Nie chcę od ciebie tej łaski!

Gilberto jednak nie dał się zachwiać w raz powziętym postanowieniu.

Nazajutrz raniem udała się tedy Dianora, w skromne szaty przybrana, w towarzystwie dwóch sług i pokojowej do domu pana Ansalda. Rycerz, usłyszawszy o przybyciu damy, zdziwił się wielce, powstał, kazał przywołać do siebie czarnoksiężnika i rzekł:

– Pójdź i zobacz, jaki skarb sztuce twojej zawdzięczam.

Po czym pośpieszył na spotkanie damy, przyjął ją z godnością i z oznakami wielkiej czci, nie dając poznaki po sobie, że go grzeszne żądze pała. Po chwili wprowadził gości do wspaniałej komnaty, w której żywy ogień płonął. Gdy usiedli, pan Ansaldo rzekł:

– Madonno, jeśli tak wytrwała miłość, jak ta, którą dla was żywię, na jakąś nagrodę zasługuje, to zechciejcie mi powiedzieć, co was do mnie o tej porze i w tym towarzystwie sprowadza?

Dama, srogim wstydem zdjeta, odparła niemal ze łzami w oczach:

– Ani miłość moja do was, ani dane wam przeze mnie słowo tutaj mnie nie przywiodły. Stałam się w waszym domu, spełniając rozkaz małżonka mego, który mając większy wzgląd na waszą grzeszną miłość niżli na cześć moją i własną, pójść mi tutaj polecił. Zadosyć jego woli czyniąc, gotowana jest pragnienie wasze tym razem wypełnić.

Jeśli przybycie damy zadziwiło pana Ansalda, to słowa jej jeszcze większym podziwem go przejęły, tak iż żądze jego ustąpiły miejsca współczuciu i uwielbieniu dla wspaniałomyślności Gilberta. Wzruszony, odparł w te słowa:

– Jeżeli tak jest, madonno, jak powiadacie, to niech Bóg broni, abym się miał stać krzywdzicielem czci człowieka, który tyle współczucia dla miłości mojej okazał. Pozostańcie, pani, w domu moim tak długo, jak chcecie; będę się obchodził z wami jak z najdroższą siostrą. Gdy będziecie pragnęli odejść, nikt wam na wstępie nie stanie. Pamiętajcie jeno złożyć stosowne dzięki małżonkowi swemu za tyle szlachetności, dzisiaj względem mnie okazanej, i zechciejcie uważać mnie odtąd za swego brata i sługę.

Dama, usłyszawszy te słowa, zawołała z najżywszą radością:

– Spodziewałam się, znając szlachetność waszą, że ze mną właśnie tak, a nie inaczej postąpiacie. Bądźcie upewnieni, że wdzięczność dla was wiecznie w sercu zachowam.

Po czym Dianora pożegnała się i ze czcią przez rycerza odprowadzona, powróciła do domu swego małżonka, któremu opowiedziała o wszystkim, co zaszło. Odtąd wierna i ścisła przyjaźń połączyła Gilberta z panem Ansaldem.

Czarnoksiężnik, przekonawszy się o wielkoduszności obu rycerzy, rzekł do pana Ansalda, gdy ten umówioną sumę wypłacić mu pragnął:

– Strzeż mnie, Boże, abym, obaczywszy, jak Gilberto czcią swoją, a wy miłością szczerze szafujecie, chciał niższym od was się okazać. Pieniądze, które mi przyrzekliście, znajdują się w dobrych rękach, dlatego też niechaj w nich dalej pozostaną.

Rycerz, zakłopotany, próbował skłonić czarnoksiężnika do przyjęcia należnej mu sumy w całości lub w części przynajmniej, nie udało mu się to jednak. W trzy dni potem czarodziej zniszczył cudowny ogród i odjechał, serdecznie przez pana Ansalda pożegnany. Pan Ansaldo, wygnawszy z serca nieczystą miłość dla damy, uczciwą przyjaźń dla niej przez całe życie zachował.»

Cóż o tym powiedzieć, drogie panie? Czyż miałybyśmy na poły umarłą niewiastę i miłość, która ochłódła postradawszy nadzieję, sławić ponad tę wspaniałomyślność pana Ansalda, gorętszą niż kiedykolwiek przejętego miłością, pełnego najwyższych nadziei i mającego już w ręku zdobycz, za którą ubiegał się tak długo? Mniemam, że głupiec jeno mógłby wspaniałomyślność jego porównać z tą, o której słyszeliśmy poprzednio.

Opowieść szоста



RYBACZKI

Zwycięski król Karol Stary zakochał się w młodej dziewczeczce, jednakże zawstydzony się swego szaleństwa, ją i jej siostrę godziwie za mąż wydał:

Zbyt długo szerzyć by się nam wypadło nad różnymi argumentami dam w tej materii, kto w odniesieniu się do pani Dianory wspaniałomyślniejszym się okazał: Gilberto, pan Ansaldo czy też czarnoksiężnik. Król pozwolił im dysputować nieco, po czym spojrzawszy na Fiammettę, wezwał ją do rozpoczęcia nowej opowieści i przerwania sporu. Fiammetta niezwłocznie w te słowa zaczęła:

– Szlachetne przyjaciółki! Zawsze tego mniemania byłam, że w towarzystwach, do naszego podobnych, w toku opowieści nie należy zbytnią zwężłością grzeszyć, bowiem zwężłość taka może się stać niejednokrotnie przyczyną sporów i nieporozumień. Dysputy zaś bardziej są na miejscu w szkołach, wśród uczniów i uczonych, niżli między nami, które nadajemy się zaledwie do kołowrotka. Dlatego widząc was sprzecające się o to, co usłyszeliśmy, ponieważ opowieści o zdarzeniach nową wątpliwość budzących, chociaż takie właśnie może mi na myśl przychodziły, i opowiem wam o postępku nie człeka prostego stanu, lecz rycerskiego króla, który postąpił dwornie, na żaden uszczerbek czci swojej nie narażając.

«Zapewne słyszałyście już nieraz o królu Karolu Starym¹⁰⁰, czyli Pierwszym. Wyruszywszy na wojenną wyprawę, pogromił on króla Manfreda, przez co wygnał z Florencji Gibellinów¹⁰¹ i Gwelfom bramy miasta otworzył. Pewien rycerz, imieniem Neri degli Uberti, musiał wówczas wraz z całą swoją rodziną i mnogim groszem Florencję opuścić. Oddał samego siebie i wszystko, co posiadał, pod poruczeństwo króla Karola i zmęczony życiem udał się w odosobnione miejsce do Castellamare di Stabia,¹⁰² aby tam w spokoju reszty dni swoich dokonać.

Przybywszy tam nabył majątność oddaloną na strzał z łuku od miasta, a ukrytą w cieniu drzew oliwnych, orzechów i kasztanów, których nie brak w tej okolicy, i zbudował sobie piękny i przestronny dom, koło którego wkrótce uroczy ogród powstał. Pośrodku ogrodu, w którym źródłek nie brakło, obyczajem naszym, założył bez trudu staw rybny, zawsze w przezroczą i czystą wodę obfitujący. Rycerz nasz myślał tylko o tym, jakby co dzień jeszcze swój ogród upiększyć i przyozdobić. Pewnego dnia król Karol, szukając chłodu przed skwa-

rem letnim, przybył do Castellamare. Usłyszawszy o piękności ogrodu pana Neri, zapragnął go zobaczyć, zasięgnąwszy zasię wiadomości o właścicielu, dowiedział się, że należy on do wrogiego mu stronnictwa. Król postanowił tedy okazać rycerzowi jak największą uprzejmość i polecił oznajmić mu, że następnego wieczora z czterema towarzyszami w ogrodzie jego z nim wieczerzać pragnie.

Pan Neri przyjął tę wieść z prawdziwą radością, wielkie przygotowania zarządził i porozumiał się z rodziną co do szczegółów przyjęcia króla. Ujrzawszy go nadchodzącego, wyszedł na jego spotkanie i z oznakami wielkiej czci do swego pięknego ogrodu go wprowadził.

Król, obejrzawszy ogród i dom, nie szczędził pochwał panu Neri, po czym umył ręce i zasiadł do stołu, ustawionego w cieniu drzew nad stawem. Grabia Guido z Monfortu,¹⁰³ jeden z dworzan, wziął miejsce przy nim z jednej strony, a pan Neri z drugiej. Król rozkazał trzem pozostałym swym towarzyszom, aby usiedli tam, gdzie im pan Neri wskaże. Wniesiono wyborne potrawy i doskonałe wina; uczta świadczyła chlubnie o smaku i troskliwości gospodarza, odbywała się swobodnie a cicho i nowe pochwały z ust króla wywołała. Wesoło spożywał on potrawy, zachwycając się pięknnością zacisznego ogrodu, gdy nagle pojawiły się w sadzie dwie dziewczeczki, około piętnastu lat liczące. Włosy ich, do złotych nici podobne, wily się w bogatych pierścieniach, ozdobionych lekkimi wiankami z pierwsnów. Piękne i wdzięczne te dziewczynki raczej do aniołów niż do śmiertelnych istot podobne były. Odzież ich stanowiła tunika z białośnieżnego i cieniutkiego lnu, na nagie ciało włożona; od pasa w górę strój ten ściśle do ciała przylegał, ku dołowi zasię rozszerzał się i swobodnie aż do samych stóp spływał. Dzieweczka, idąca przodem, niosła na ramionach dwie siatki, przytrzymując je lewą ręką, a w prawej długą laskę dzierżąc, druga, podążająca za nią, niosła na lewym ramieniu metalową patelnię, trzymając w jednej ręce wiązkę chrustu i trójnog, a w drugiej czarę z oliwą i płonącą pochodnię. Widok tych dziewic szczerym podziwem króla przejął. Nie wiedząc, co ich pojawienie oznaczać miało, z ciekawością im się przyglądał.

Tymczasem dziewczeczki z czcią i bo jaźnią podeszły ku niemu, skłoniły się głęboko i postąpiły ku miejscu, skąd schodziło się do stawu. Dzieweczka niosąca patelnię złożyła ją wraz z innymi przyrządami na ziemi i pochwyciła za laskę, którą jej towarzyszka w rękę trzymała; po czym obie weszły do stawu, zanurzając się po piersi w wodzie. Tymczasem jeden ze sług pana Neri rozpałił żywo ogień, ustawił patelnię na trójnogu, wlał w nią oliwę i począł oczekiwac na ryby, które dziewice rzucać mu miały. Jedna z dziewczeczek poczęła macić laską wodę w stawie, tu i owdzie, gdzie wiedziała, że ryby się ukrywają, druga zasię nastawiła sieci. Król z przyjemnością patrzył na to rybołówstwo. Dzieweczki rychło wiele ryb uловиły i rzucały je na brzeg, a sługa podnosił je i kładł żywcem niemal na patelni. Najpiękniejsze okazy ciskały, jak je nauczone, na stół przed króla, grabiego Guida i pana Neri. Ryby trzepotały się na stole, co tak bawiło króla, iż chwycił niektóre i odrzucał je żartobliwie dziewicom.

Tak figlowali przez chwilę, dopóki sługa nie przyrządził z podanych mu ryb potrawy, którą nie jako szczególnie smakowite danie, ale jako osobliwość, zgodnie z rozkazem pana Neri, królowi podano.

Dzieweczki zakończywszy połów, widząc, że ryby już usmażone, wyszły wreszcie z wody na brzeg. Białe i cienkie ich szaty, wodą zmoczone, tak ściśle do ciał przylegały, iż z uroczych ich kształtów ciekawemu oku nic tajnym nie było.

Rybaczki zabrały przyniesione przedmioty i wstydliwie przeszedłszy obok króla, do domu powróciły.

Król, grabia Guido i posługujący przy stole nie mogli oczu oderwać od dziewic. Każdy uznał je w duszy nie tylko za piękne i kształtowne wielce, aliści też oddał należną pochwałę ich wdziękowi i skromności. Najmocniej jednak królowi się podobały. Gdy wyszły z wody, począł chłonać zachwyconym wzrokiem każdy szczegół ich ciała i tak się zapatrzył, że gdyby go ktoś w tej chwili ukłuł, ani chybi, nie poczułby tego. Gdy zasię dziewczeczki zniknęły, nie przestał myśleć o nich.

Nie wiedząc jeszcze, kto one zacz i skąd pochodzą, poczuł nagle ogromne pragnienie przypodobania się im i wraz poznał, że w sercu jego miłość rodzić się pocznie, jeżeli nie będzie miał się na baczności.

Król nie mógł sobie nawet zdać sprawy, która z dziewczeczek bardziej mu do gustu przypada, tak bowiem uderzająco podobne do siebie były. Długo siedział w milczeniu, pogrążony w myślach, aż wreszcie zwrócił się do pana Neri i spytał, kim są te dziewczeczki.

– Najjaśniejszy panie – rzekł Neri – są to moje córki bliźniaczki.

Jedna nazywa się Ginevra Piękna, druga Isotta Jasnowłosa.

Król od nowa począł wysławiać urodę dziewczeczek i radził panu Neri, aby prędko za mąż je wydał. Pan Neri odparł, że na razie myśleć o tym mu nie lza. Uczta dobiegała końca i jeszcze tylko owoców nie dostawało. Do stołu zbliżyły się znowu dziewczeczki, tym razem w inne, jedwabne szaty przybrane, niosąc w rękach wielkie srebrne półmiski, pełne rozmaitych owoców, i postawiły je przed królem, po czym, usunąwszy się nieco na stronę, zanuciły pieśń, poczynając się od słów następujących:

Gdzie mnie zawiodłeś, Amorze zdradliwy,
Nie zdołam tego wyrazić słowami.

Śpiewały tak wdzięcznie i czarująco, iż królowi, przysłuchującemu się i spoglądającemu na nie w zachwycie, zdało się, że to chóry anielskie zeszyły na ziemię. Gdy pieśń przebrzmiała, obie dziewice klęły ze czcią przed królem, i prosiły, aby im odejść pozwolił. Chocia królowi niesporo było się z nimi rozstawać, przecie odpuścił je czyniąc wesołości pozor.

Wkrótce potem, po skończonej wieczerzy, król siadł na koń wraz z towarzyszami swymi i pożegnawszy pana Neri, wśród rozmów o różnych sprawach, powrócił do swego pałacu.

Król ukrywał starannie przed wszystkimi skłonność swoją, aliści nawet ważne sprawy państwowe nie pozwoliły mu zapomnieć o urodzie i wdzięku Ginevry Pięknej. Karol uwikłał się w pęta miłości. Isotta była mu także droga, przez swoje podobieństwo do Ginevry. Afekt jego z dnia na dzień się wzmacniał, tak iż już niemal myśleć o czymś innym zdolny nie był. Pod różnymi pozorami począł ściśle stosunki z panem Neri utrzymywać i odwiedzał często piękny ogród jego, jedynie dla obaczenia dziewczeczki ukochanej.

W końcu jednak hamowana ta miłość istną katuszą dla niego się stała. Nie wiedząc, jakiego się środka chwycić, postanowił porwać nie jedną, ale obie dziewice. Król zwierzył się ze swego zamysłu grabiemu Guido.

Grabia, człek rycerski i mądry, odrzekł monarsze w te słowa:

– Najjaśniejszy Panie! Słowa twoje niezmiernym zdziwieniem mnie przejęły, tym większym, że znając cię od dzieciństwa prawie lepiej niż ktokolwiek inny mogłem poznać przyrodzenie i skłonności twoje.

Nigdy przecie za czasów twojej młodości, gdy miłość przemożniejszą władzę nad tobą mieć była powinna, podobnej namiętności w tobie nie dostrzegłem. Dlatego też dowiedziawszy się przed chwilą, że dziś, gdy już do starości się zbliżasz, uczuciem miłości zapłonąłeś, wierę, prawdziwym cudem mi się to być zdawa.

Gdyby mi się godziło nauki ci dawać, powiedziałbym, że w obecnych okolicznościach, gdy się znajdujesz pod bronią w państwie niedawno zdobytym, wśród ludności obcej i zawsze do fałszu i zdrady skłonnej, mając do ukończenia sprawy ważkie i zwłoki nie cierpiące, winieneś nie zaniebować ich dla płochy miłości, zważ bowiem, że postępujesz jak słaby i nierozważny młodzieniec, a nie jak wielki i roztropany król.

Nie dosyć na tym!

Powiadasz mi, żeś postanowił wydrzeć obie córki biednemu rycerzowi, który cię w domu swoim ugościł nad możność swoją i dla tym większego uczczenia cię dziewice te nagimi prawie ci pokazał, dając przez to poznać, jak wielką ufność w tobie pokłada. Mniemał, że

jestes królem, a nie wilkiem drapieżnym. Jakże to? Zaliżes już zapomniał, że właśnie gwałty, popełnione na niewiastach przez Manfreda, otwarły ci wejście do tego królestwa? Jakaż to zdrada na gorszą by karę zasługiwała od tej, której byś ty się dopuścił, wydzierając biednemu, oddanemu ci człękowi jego cześć, nadzieję i pociechę?

Cóż by powiedziano o tobie, gdybyś to uczynił? Może wystarczającym usprawiedliwieniem ci się to wyda, gdy powiesz sobie: „To Gibellin!”

Zaliż tak się zmieniło pojęcie o sprawiedliwości królów i zali w ten sposób postępować oni powinni z tymi, którzy u nich opieki szukają, kimkolwiek by byli? Bacz, królu, że jeżeli zwycięstwo nad Manfredem wielką cię okryło chwałą, to zwycięstwo nad samym sobą jeszcze większą sławę ci przyniesie.

Przemóż tedy naprzód samego siebie, ty, któremu Bóg kazał innych prowadzić i karać, okiełznaj żądze swoje i nie chciej podobnie szkaradną plamą lśniącego blasku swoich czynów zaćmiewać.

Słowa te mocno zabolaly i głęboko przejęły króla, który słuszności grabiemu zaprzecić nie mógł. Dlatego też, westchnąwszy po kilkakroć, rzekł:

– Grabio! Zaiste, poznaję teraz, że wszelki wróg, w porównaniu do własnej namiętności, doświadczonemu wojownikowi słabym i łatwym do zwyciężenia się wydaje. Jakkolwiek wielka jest boleść moja i mimo że nadprzyrodzonej siły w tej chwili mi potrzeba, słowa twoje takiego bodźca mi dodają, że nim kilka dni upłynie, dowiodę ci czynem, że nie tylko innych zwyciężać umiem, ale i nad samym sobą zapanować.

Po kilku dniach król do Neapolu powrócił. Tak dla odjęcia sobie możności szkaradnego postępków, jak i dla wynagrodzenia rycerza za gościnność u niego doznana, chociaż ciężko mu przychodziło oddawać w ręce innemu to, czego najbardziej pragnął dla siebie, postanowił wydać obie dziewice za mąż i takie wesele im wyprawić, jakby jego rodzonymi córkami były. Za zgodą tedy pana Neri wyposażył je świetnie i dał Ginevrze Pięknej za męża pana Maffeo da Palizzi, Isocie Jasnowłosej pana Wilhelma delia Magna, obydwu znakomitych rycerzy, z wysokich rodów idących. To uczyniwszy, sam w niewymownej boleści pogrążony, do Apulii się udał i tam dzięki nieustannym usiłowaniom i trudom z pęt nieszczęsnej miłości się wyrwał, aby już do końca życia od podobnych namiętności wolnym pozostać.»

Powie ktoś może, iż niewielka to rzecz dla króla wydać za mąż dwie dziewczeczki. Nie przeczę: ale o ileż większą i zgoła bardzo wielką się okaże, jeżeli dodać, że uczynił to król zakochany, a wydał za mąż tę, którą miłował, nie uszczknąwszy z drzewa swej miłości ani listka, ani kwiatka, ani żadnego owocu. Czyn to więc króla zaiste wspaniałego, który szlachetnemu rycerzowi wysoką dał nagrodę, miłym sobie dziewczętom chwalebnie cześć okazał, a siebie samego niezłomnie zwyciężył.

Opowieść siódma



KRÓL RYCERZ

Król Piotr, usnąwszy o miłości, jaką don żywi chora Liza, pociesza ją, a potem wydaje za mąż za młodzieńca szlachetnego rodu, i ucałował ją w czoło, zawsze odtąd nazywa siebie jej rycerzem.

Gdy Fiammetta opowieść swoją skończyła, wszyscy poczęli wysławiać męską wielkoduszność króla Karola. Tylko jedna z dam, jako stronniczka Gibellinów, chwalić go nie chciała. Wreszcie Pampinea na wezwanie króla w te słowa zaczęła:

– Nikt rozumny, zacne damy, nie będzie się mógł odnieść do osoby dobrego króla inaczej, niżliście wy się odniosły, chyba że będzie doń z innej przyczyny żywił jakiś rankor lub urazę. Przywiodło mi to na pamięć, jak się niemniej chwalebnie zachował jeden z jego przeciwników względem pewnej młodej Florentynki; opowiem wam tedy o tym.

«W czasie gdy już Francuzów z Sycylii wypędzono¹⁰⁴, żył w Palermo pewien Florentczyk, nazwiskiem Bernardo Puccini, handlem korzennym się zajmujący. Był to człek bogaty. Żona obdarzyła go jedną tylko córką, będącą w wieku już do zameścia zdolnym. Król Piotr Aragoński¹⁰⁵, stawszy się panem wyspy, wydał w Palermo wspaniały turniej, w którym wziął udział po spoleu ze swymi baronami katalońskimi bawiąc się gonitwami. Córka Bernarda, Liza, przyglądająca się grom rycerskim z okna wraz z innymi niewiastami, ujrzała króla kruszącego kopie i takie doń upodobanie poczuła, że wkrótce gorąca miłość do jej serca się zakradła. Gdy turniej dobiegł do końca i znalazła się w domu rodzica, o niczym innym już myśleć nie była w stanie, jak tylko o swej zuchwałej miłości. Dręczyła ją niezmiernie świadomość pomiernego stanu, który stał na wstręcie spełnieniu jej życzeń. Jednakże mimo to afektów swoich zwalczyć nie mogła. Trzymała miłość swoją w głębokiej tajemnicy, aby przy wyznaniu srogiego zawodu nie doznać. Król oczywiście o niczym nie wiedział i niczego się nie domyślał; biedna dziewczyna zносиła tedy w cichości najstraszniejszą boleść, jaka jest na ziemi. Nieszczęśliwa miłość z dnia na dzień w sercu jej rosła, aż wreszcie w głęboką się przemieniła melancholię. Niezdolna dłużej wytrzymać w tym stanie zachorowała i poczęła z dnia na dzień topnieć jak śnieg na słońcu.

Ojciec i matka, stroskani tą chorobą, silili się dopomóc córce na wszelki możliwy sposób; przywoływali różnych doktorów, dostarczali leków, pokrzepiali serdecznymi słowami,

wszystko to jednak nic nie pomagało, ponieważ dziewczeczka udęczona swoją nieszczęśliwą miłością straciła wszelką do życia ochotę. Rodzic przyrzekł wszystkie życzenia jej wypełniać. Pewnego dnia przyszło jej tedy na myśl, że przed śmiercią powinna spróbować, zali nie uda się jakimś stosownym sposobem powiadomić króla o swej miłości dla niego. Poprosiła więc ojca, aby wezwał do niej niejakiego Minuccia z Arezzo. Ów Minuccio za znakomitego lutnistę i pieśniarza wówczas uchodził, a ciesząc się wielkimi łaskami samego króla Piotra, często na jego dworze był przyjmowany. Bernardo, przekonany, że jego córka chce się grą i śpiewem rozweselić, poprosił lutnistę o odwiedzenie swego domu; Minuccio, człek wielce dworny, przybył nie mieszkając.

Wprowadzony do komnaty chorej, obrócił się do niej z kilkoma serdecznymi słowami, rozweselił ją trochę i przy wtórze lutni kilka tkliwych piosenek miłosnych jej zaśpiewał. Piosenki te miast serce dziewczynki ukoić, stały się dla niej ogniem i płomieniem. Gdy lutnista skończył, dziewczeczka rzekła, że chciałaby z nim pomówić w cztery oczy. Wszyscy opuścili komnatę, a wówczas Liza w te słowa zaczęła:

– Wybrałam cię, Minuccio, na powiernika pewnej mojej tajemnicy i spodziewam się, że nigdy jej nikomu nie zdradzisz; krom osoby, której imię ci wymienię. Mniemam także, że w miarę sił nie odmówisz mi pomocy, o którą teraz cię błagam. Wiedz tedy, szlachetny mój Minuccio, że w tym dniu, gdy król Piotr z racji objęcia władzy nad Sycylią wielki turniej urządzał, ja obaczywszy go w zbroi rycerskiej, taką doń miłością zapłonęłam, że miłość ta dowiodła mnie wkrótce do dzisiejszego, nieszczęśliwego stanu. Pojmuję dobrze, że miłość moja tak wysokiego kochanka godna nie jest, jednakże nie mogąc jej z serca wyrwać ani nawet siły jej osłabić, wybrałam mniejsze zło i postanowiłam umrzeć, aby kres okrutnym moim cierpieniom położyć. Tak też uczynię. Zaprawdę jednak odeszłabym z tego świata bez żadnej pociechy, gdyby król nie dowiedział się przedtem o miłości mojej. Któż jednak mógłby mi donieść o tym? Mniemam, że krom ciebie nikt by się tego nie podjął, dlatego też błagam cię, abys to zadanie wziął na się. Gdy zaś go dokonasz, donieś mi, abym się od tych cierpień wyzwoliła i mogła umrzeć spokojnie.

Co rzekłszy zamilkła i rzewliwymi łzami się zalała. Minuccio zadziwił się wielkoduszności jej serca i srogiemu postanowieniu, które go wzruszyło głęboko. Pomyślawszy kęs czasu nad tym, w jaki by sposób jej życzenie bez uszczerbku dla czci wypełnić, rzekł:

– Klnę się na mą duszę, Lizo, że cię nigdy nie zdradzę. Pochwalam wysokie twoje uczucia i nie dziwię się, że serce tak wielkiemu królowi oddałaś. Ochotnie przyrzekam ci pomoc moją, tę nadzieję żywiąc, iż nim miną trzy dni, jeżeli tylko uspokoić się zechcesz, przyniosę ci wiadomość, która cię ukontentuje. Teraz zasię, nie chcąc chwili czasu tracić, opuszczam cię, aby do dzieła przystąpić.

Liza raz jeszcze powtórzyła swoje prośby, obiecała mu, że będzie dbała o siebie i czekała cierpliwie, po czym pożegnała go, poleciwszy go Bogu. Minuccio po rozstaniu z nią udał się natychmiast do niejakiego Mica ze Sieny¹⁰⁶, który wówczas jako znakomity wierszopis sły-
nał, i prośbami swymi do ułożenia następującej pieśni go skłonił:

Miłości boże, leć do mego pana
Z wieścią, w jak wielkim tu cierpieniu mdleję,
Że śmierć mi tylko jedna pożądana,
Bom w sobie zabić musiała nadzieję!
O, błagam ciebie rzewnych łez potokiem,
Idź go poszukać w zamkach, gdzie przebywa,
Powiedz, że za nim tylko błądzę wzrokiem
Umierająca przezeń, przezeń żywa,
Płomieniom takim jakże się obronię?

Śmierć mnie wyzwolić jedna od nich zdoła,
Lecz próżno tęsknie czekam jej anioła,
By wstyd i żądzę zgasił w moim łonie;
Serce mi pęka, głowa żarem płonie,
A bóg wciąż jeszcze nie woła!

Miłości boże, wlałeś do mej duszy,
Uczucia nadto, odwagi zbyt mało,
Serce me nigdy wyznać mu nie śmiało
Najmniejszym drgnieniem wewnętrznych katuszy.
Gdy o tym kiedyś pomyślę zuchwała,
Wszystka krew w żyłach stygnie mi z obawy,
A jednak czuję, że gdybym umiała
Dzieje boleści mej opisać krwawej,
On by mnie słuchał, słodki i łaskawy,
I twarz by jego jaśniała!

Lecz nigdy, nigdy siebie nie przemogę,
Nie zgłuszę trwogi, co mi duszę kowa,
Umrą wraz ze mną mej miłości słowa,
Wraz ze mną pójdą w tajemniczą drogę,
Więc za tę krzywdę, o miłości boże,
O jedną łaskę proszę cię na ziemi,
Wspomnij mu dzień ten, kiedy w panów zborze
Kopije kruszył dłońmi rycerskimi,
Od tego czasu myślami wszystkimi:
On pan mój – wołam w pokorze!

Do słów tych Minuccio natychmiast melodię dorobił stosowną do treści piosenki, tęskną i tkliwą, a trzeciego dnia udał się na dwór, w porze, gdy król, Piotr jeszcze przy stole siedział. Monarcha, ujrawszy go, rozkazał mu zaśpiewać coś przy wtórze lutni. Minuccio, posłuszny rozkazowi króla, zanucił natychmiast powyższą piosenkę. Śpiewał z takim kunsztem i takim w głosie wzruszeniem, że wszyscy przytomni w królewskiej komnacie chłonęli w milczeniu słowa pieśni, głęboko przejęci, a król niemal bardziej od innych.

Gdy Minuccio skończył, król zapytał go, skąd nauczył się tej piosenki, której nigdy jeszcze dotąd nie śpiewał.

– Miłościwy panie – rzekł Minuccio – nie minęły jeszcze trzy dni, odkąd ułożono słowa i melodię tej pieśni.

Król zapragnął dowiedzieć się, kto jest twórcą słów i melodii.

Wówczas Minuccio odparł:

– Mogę to odkryć tylko samej Waszej Królewskiej Miłości!

Król, wielce ciekawy, wstawszy od stołu, wezwał Minuccia do swoich komnat. Lutnista opowiedział mu z kolei o wszystkich okolicznościach wiążących się z usłyszaną przed chwilą piosenką. Król, mile zdziwiony, pochwalił dziewczeczkę i rzekł, że dla tak godnej istoty współczucie mieć należy. Poleciał przeto Minucciowi udać się do niej, dodać jej otuchy i oświadczyć, iż król tegoż dnia jeszcze nad wieczorem niechybnie ją odwiedzi.

Minuccio, uszczęśliwiony, że tak radosną wieść będzie mógł dziewczycy zanieść, opuścił nie mieszkając komnaty królewskie, udał się do Lizy, opowiedział jej bez świadków o wszystkim i zaśpiewał piosenkę przy wtórze lutni.

Dzieweczka tak się uradowała, że niezwłocznie wracać jej poczęły utracone siły. Pełna tęsknoty oczekiwała wieczora i odwiedzin swego pana, nie uprzedziwszy o niczym domowników.

Tymczasem, król, pan wielce łaskawy i dobrotliwy, szczegółowie całą sprawę rozważył. Znając piękność dziewicy, coraz większym współczuciem dla niej się przejmował. Gdy wieczór zapadł, siadł na koń i pod pokrywką, że na przechadzkę wyrusza, udał się do domu kupca. Po przybyciu kazał powiedzieć gospodarzowi, że pragnie obejrzeć, jego piękny ogród. Bernardo z radością wprowadził króla do ogrodu. Po chwili monarcha zapytał Bernarda, czy córka jego jeszcze za mąż nie wyszła?

– Miłościwy panie – odparł Bernardo – córka moja jeszcze zamężna nie jest, co, się zaś jej zdrowia tyczy, to chorzeje mi ciężko od pewnego czasu. Dzisiaj jednak od rana stan jej cudownie się polepszył.

Król odgadł od razu, jaka jest tej poprawy przyczyna, i rzekł:

– Nieopłakana byłaby to szkoda, gdyby tak piękną istotę przedwczesna śmierć miała wydrzeć światu. Pozwól, Bernardo, że córkę twoją odwiedzę.

Uszczęśliwiony Bernardo wprowadził króla i dwóch towarzyszy jego do komnaty dziewicy. Po chwili król zbliżył się do łoża, na którym z lekka uniesiona ku górze, leżała oczekująca nań Liza.

– Co to ma znaczyć, madonno – rzekł król ujmując jej rękę. – Młodzi jesteście, przeznaczeni k' temu, aby innym życie osładzać, przeczcie tedy poddajecie się tak chorobie? Prosimy, abyście przez miłość dla nas lepszej myśli nabrali i starali się wyzdrowieć jak najprędzej.

Dziewica, dotknięta ręką człeka ukochanego nad wszystko w świecie, uczuła w głębi duszy taką rozkosz, jakby ją do raju przeniesiono. Po chwili, pokonawszy zmieszanie i zawstydzenie, rzekła w te słowa:

– Najdostojniejszy Panice! Przyczyną mojej choroby jest, że mymi nikczemnymi siłami zbyt wielki ciężar podjąć chciałam. Teraz czuję jednak, że dzięki łaskawości waszej zdrowie mi już powracać zaczyna.

Król tylko pojął ukryte, znaczenie słów dziewicy i coraz większy czuł dla niej szacunek, a nawet uzalać się począł na los, że tak szlachetną istotę uczynił córką człeka nikczemnego stanu. Po czym, pogawędziwszy nieco i pokrzepiwszy ją jeszcze łagodnymi słowami, odjechał.

Ta łaskawość wiele pochwał dla króla wywołała. Odwiedziny monarchy Bernardowi i jego córce wielki zaszczyt przyniosły. Liza łaską królewską tak była uszczęśliwiona, jakby ją kochanek najczulszymi obsypywał pieścotami. Mając duszę pełną nadziei, wkrótce do zdrowia przyszła i piękniejszą niż kiedykolwiek się stała.

Król, uznawszy o jej, powrocie do zdrowia, naradził się z królową nad tym, jakiej nagrody podobna miłość jest godna, po czym siadł na koń i w otoczeniu wielu baronów swoich udał się do domu Bernarda. Wszedłszy do ogrodu, polecił jego i córkę przywołać. Wkrótce przybyła także królowa z kilkoma damami, które, wzięwszy dziewczeczkę między siebie, mnóstwem serdeczności ją obsypały. Król, stanąwszy przy boku królowej, rzekł do Lizy w te słowa:

– Szlachetne dziewczę! Niezmierna miłość, jakąś dla nas żywiła, dała i ci prawo do otrzymania wielce zaszczytnej nagrody. Pragniemy gorąco, abyś z ukontentowaniem z rąk naszych ją przyjęła.

Nagroda ta na tym się zasadza, iż chcemy ci dać za małżonka człeka naszego wyboru, a mimo to imię twojego rycerza dla siebie zatrzymać. Za miłość zasię nie chcemy innego zadośćuczynienia krom jednego pocałunku.

Dziewica na te słowa spłonęła ze wstydu, po czym poddając się woli królewskiej odrzekła z cicha:

– Miłościwy Panie! Wiem, iż gdyby dowiedziano się, że was pokochała, większość ludzi na świecie za szaloną by mnie poczytała, nie pojmującą może tej różnicy, jaka między wa-

szym a mym stanem zachodzi. Bóg jednak, który serca ludzkie przenika, wie dobrze, że w chwili, gdy wam serce moje oddawała, wiedziałam przecie, iż jesteście panem i królem moim, ja zaś córką korzennego kupca. Rozumiałam także, jak zuchwałą jest rzeczą pragnienia serca ku tak wysokiemu celowi kierować.

Miłość jednak nie z rozmysłu, lecz nieodpartego rodzi się pociągu, jak to wiecie lepiej ode mnie. Długo i daremnie walczyłam z nią wszelkimi siłami, wreszcie uległam, pokochałam was i już wiecznie miłować was będę.

Ponieważ w chwili gdy wam się poczuła własnością waszą, postanowiłam nie mieć innej woli krom waszej, nie tylko tedy przyjmuję tego, kogo za małżonka mi dajecie, i za miłego sobie mieć go będę, skoro cześć mi i stan należny zapewni, ale przysięgam, że gdybyście w ogień skoczyli mi kazali, uczyniłabym to z radością, szczęśliwa, że się wam przez to spodoba.

Mało mi przystoi, o królu, mieć was za rycerza swego; sami przecie dobrze o tym wiedzieć powinniście, dlatego więcej o tym mówić nie będę. Co się zaś tyczy pocałunku, którego jedynie od miłości mojej żądacie, to bez pozwolenia królowej udzielić go wam nie mogę.

Za łaskę, jaką mi teraz po społu z królową wyrządzacie, niechaj wam Bóg zapłaci, ja bowiem stosownej nagrody dać wam nie umiem.

To rzekłszy zamilkła. Królowej odpowiedź ta podobała się wielce, a dziewica wydała się jej tak rozumna, jak król ją przedstawił.

Król polecił przywołać matkę i ojca dziewczeczki, a widząc, że zamiarom jego na wstępie nie stają, przyzwał pewnego ubogiego młodzieńca, szlachetnego rodu, imieniem Perdicone¹⁰⁷, i wręczywszy mu dwa pierścienie wezwał go do zaręczenia się z Lizą, na co młodzieniec z radością przystał. Po czym król obdarował ich wielu drogimi klejnotami oraz dwoma pięknymi i urodzajnymi majątkościami, Ceffalu i Calatabellotta¹⁰⁸, a następnie rzekł w te słowa do Perdicona:

– Dajemy ci to w podarku jako wiano twej narzeczonej. W przyszłości dowiesz się, co jeszcze dla ciebie uczynić zamierzam. Po czym zwracając się do Lizy rzekł:

– A teraz uszczknijmy owoc, który się nam od miłości twojej należy.

I wzięwszy Lizę za głowę oburącz, w czoło ją pocałował.

Perdicone i rodziciele Lizy, uszczęśliwieni na równi z nią, wspaniałą ucztę wydali i świetne wyprawili wesele.

Jak wielu za rzecz pewną podaje, król wiernie dotrzymał przyrzeczenia danego dziewczeczce; przez cały bowiem ciąg życia swego mienił się zawsze jej rycerzem i nie wyruszał nigdy na jakąkolwiek rycerską wyprawę z inną przepaską, jak z jej rąk otrzymaną.

Takimi oto czynami jedna się sobie serca poddanych, innych do wzniosłego naśladownictwa się zachęca i nieśmiertelną pozyskuje sławę. Do czynów takich jednak mało są nakłonieni dzisiejsi władcy, którzy okrucieństwu i tyranii coraz bardziej hołdują.»

Opowieść ósma



DWAJ PRZYJACIELE

Sofronia, sądząc, że za Gisippa za mąż wychodzi, oddaje rękę swoją Tytusowi Quinctiusowi Fulviusowi i wraz z nim do Rzymu się udaje. Po pewnym czasie przybywa do Rzymu Gisippus, w wielkiej biedzie żyjący. Myśląc, że Fulvius znać go nie chce, przyjmuje na się winę morderstwa, pragnąc śmierć ponieść. Tytus, pozwawszy przyjaciela, aby go ocalić, bierze na siebie winę morderstwa, co widząc, przyznaje się prawdziwy jego sprawca. Cesarz Oktawian uwalnia wszystkich. Wówczas Tytus oddaje Gisippowi w zamęcie siostrę swoją i majątnością z nim się dzieli.

Gdy Pampinea opowiadanie swoje skończyła, wszyscy, a zwłaszcza stronniczka Gibellinów, żywymi pochwałami króla Piotra obsypali, po czym Filomena, królewskiemu rozkazowi posłuszna, w te słowa zaczęła:

– Szlachetne przyjaciółki! Komuż z nas nie jest wiadome, że królom, gdy tylko zechcą, największych rzeczy dokonać jest łatwo, a więc i od nich nade wszystko oczekuje się wspaniałości.

Czy jednakże zasługują oni przez to na podziw największy? Kto mając po temu możność, czyni, co czynić powinien, jest sprawiedliwym człkiem; na większy podziw i pochwałę zasługuje jedyńko ten, co mniejszą możność mając i mniej pozwalając się spodziewać, podobnie chwalebnie zwykł postępować.

Chwalicie postęпки królów i za piękne je uważacie, ja zaś nie wątpię, iż podobny królewskiemu albo i przewyższający go czyn człowieka, równego nam stanem swoim, więcej jeszcze się wam spodoba i gorętsze z ust waszych wywoła pochwały. Postanowiłam dlatego przedstawić wam w opowieści mojej wspaniałości i chluby postępek dwóch prostych obywateli, przyjaźnią związanych.

«Za czasów tedy, gdy Cezar Oktawian nie nosił jeszcze przydomku Augusta¹⁰⁹, ale jako członek triumwiratu państwem rzymskim zarządzał, żył w Rzymie pewien szlachetny obywatel, nazwiskiem Publius Quinctius Fulvius. Syn jego, imieniem Tytus, młodzian wielkich zdolności, został wysłany do Aten dla dopełnienia nauk swoich. Ojciec polecił go najgoręcej staremu przyjacielowi swemu, szlachetnemu człkowi, imieniem Chremes. Chremes przyjął Tytusa do domu swego i swemu synowi imieniem Gisippus, za towarzysza go przydał, obydwoh zaś oddał pod poruczeństwo mędrca Aristippa, aby ich po równi wykształcił.

Młodzieńcy, ciągle razem przebywający, podobni do się obyczajami i skłonnościami, tak ściśle między sobą przyjaźń zawiązali, że chyba jeno śmierć rozdzielić ich byłaby zdolna. Nie znajdowali przyjemności i wytchnienia, jak tylko we wzajemnym obcowaniu.

Nauki swoje rozpoczęli wspólnie i jednakimi zdolnościami obdarzeni, równo dosięgli, ku wielkiej chlubie swojej, wyniosłych szczytów mądrości.

Ku wielkiej radości Chremesa, który sam nie wiedział niemal, kogo z nich bardziej po ojcowsku miłuje, młodzieńcy nasi przez trzy lata wspólne nauki pobierali. Gdy okres ten upłynął, Chremes, już w wieku szedziwym będący, nieuchronną rzeczą kolejną z życiem się rozstał.

Strata ta obu przyjaciół równą boleścią przejęła. Jęli nosić po zmarłym jednaką żałobę, ni by po wspólnym ojcu, tak że przyjaciele i krewniacy Chremesa nie wiedzieli, który z nich w nieszczęściu większej potrzebuje pociechy.

Gdy kilka miesięcy minęło, przyjaciele Gisippa i jego krewniacy poczęli go wspólnie z Tytusem do ożenku nakłaniać. Swatali mu dziewczeczkę wielkiej piękności, z bardzo szlachetnego rodu idącą. Zwała się Sofronia, pochodziła z Aten i zaledwie szesnastą wiosną życia liczyła.

Przed umówionym dniem zaślubin Gisippus poprosił Tytusa, aby poszedł z nim odwiedzić jego narzeczoną, której do tej pory nie był jeszcze widział. Gdy weszli do jej komnaty, a ona zasiadła między nimi, Tytus chcąc ocenić piękność oblubienicy począł się jej uważnie przypatrywać. Wdzięk jej i uroda tak mu niezmiernie do gustu przypadła, iż w duchu od gorących pochwał wstrzymać się nie mógł i wkrótce zapłonął do niej szaloną miłością, nie dając jednak poznać po sobie, co się w jego duszy dzieje.

Zabawiwszy kęs czasu w domu dziewczęcia, dwaj przyjaciele pożegnali Sofronię i do domu powrócili. Tytus, ujrzawszy się samotnym w swojej komnacie, oddał się myślom o pięknej dziewczycy. Im szczegółowiej wdzięki jej rozważał, tym silniejszym żarem się zapalał. Spozstrzegł wreszcie, co się z nim dzieje, i wzdychając głęboko zawołał do siebie: „Biada ci, Tytusie! Dokądże to i ku czemu obracasz myśli twoje, miłość twą i nadzieję? Jakże to? Zali nie wiesz, że tak dla wyświadczonej ci przez Chremesa i jego rodzinę gościnności, jako też dla ściślejszej przyjaźni, z Gisippem cię wiążącej, powinieneś patrzeć na tę dziewczę ze czcią przynależną siostrze?

Dlaczego pozwalasz porywać się żądzy; jakiejże to zdradzieckiej poddajesz się nadziei? Otwórz oczy rozumu swego i opamiętaj się, nieszczęśniku. Daj do siebie przystęp rozwadze i żar swoich zmysłów pohamuj, okiełznaj szaloną żądzę, myśli swoje zwróć ku innej stronie, oprzej się zrodzonej co dopiero pokusie i przemóż się, póki czas jeszcze.

Nie przystoi ci, abyś miał pożądać tego, co z czcią twoją pogodzić się nie da, abyś gonił za tym, przed czym uciekać powinieneś, uciekać nawet wówczas, gdybyś był pewien osiągnięcia swego celu. To nakazuje ci przyjaźń prawdziwa.

Cóż tedy uczynisz, Tytusie! Wyrwiesz, ani chybi, tę nieszczęsną miłość z serca, jeżeli resztką czci jeszcze ci w duszy pozostała!”

Po chwili myśl jego zwróciła się znowu ku Sofronii. Odwracając wszystkie poprzednie argumenta, jął tak rozumować: „Prawo miłości – rzekł do siebie – potężniejsze jest od wszystkich innych. Łamie ono nie tylko przyjaźń, ale nawet zakon boży. Ileż to razy się zdarzało, że ojciec zakochał się we własnej córce, brat w siostrze, macocha w pasierbie? Takie uczucia stokroć trudniejsze są do pojęcia niżli afekt do narzeczonej lub żony przyjaciela, co tysiąc razy już się przydarzyło. Młody przecie jestem, a młodość całkiem prawu miłości podlega. Co się przeto Amorowi podoba, to i mnie podobać się musi. Czyny szlachetne i ofiary są latom bardziej dojrzałym właściwe. Pragnąć mogę tylko tego, czego chce miłość. Piękność Sofronii na afekt i podziw każdego zasługuje; jeżeli tedy kocham ją w moim wieku, któż mnie za to ganić może? Przecie nie dlatego ją kocham, że do Gisippa należy, kochałbym ją bez względu na to, czyjąkolwiek by była. Los zawinił, że ją Gisippowi, przyjacielowi memu, miast komuś

innemu przeznaczył. Jeśli ona kochana być musi, a musi nią być ze względu na wdzięki swoje, to Gisippus powinien się cieszyć, że właśnie ja, a nie kto inny ją miłuje.”

Od tych rozmowań przeszedł znowu, szydząc sam z siebie, do myśli wprost przeciwnych. Tak z jednego przeciwieństwa w drugie wpadając, nie tylko tę dobę, ale kilka dni i nocy spędził, aż wreszcie, dzięki tej walce sen i apetyt postradał i znękany legł na łożu w niemocy ciężkiej.

Gisippus, który go w ciągu kilku dni w melancholii pogrążonego widział, a teraz chorym obaczył, zasmucił się wielce z powodu stanu jego i nie odstępując go ani na krok, wszelkimi sposobami pokrzepić go się starał. Błagał go przy tym usilnie i bez ustanku, aby powody swej zgryzoty i choroby mu wyznał. Tytus rozmaitymi baśniami go zbywał. Jednakoż Gisippus poznał się na tych wykrętach i nie przestał nań nalegać. Wreszcie Tytus, płacząc i wzdychając, w ten sposób mu odparł:

– Bogdajby podobało się bogom rychłą śmierć mi zesłać! Milsza mi byłaby ona niżli te-
rażniejsze życie. Fortuna zechciała tak ciężką próbą cnotę moją doświadczyć, że uległem, i
dzisiaj z wstydem niepomiernym cnotę moją zwyciężoną widzę. Zaprawdę jednak, niedługo
już czekał będę na śmierć, jako na należną mi zapłatę. Drozsza mi ona będzie od życia ze
wspomnieniem sromu, którego powodu ukryć przed tobą nie mogę. Zaraz ci tedy wszystko
wyznam ze szkarłatnym na licu rumieńcem.

I tu począł mu opowiadać od początku o wszystkim. Przedstawił mu walkę myśli swoich, wyznał, że umiera z miłości do Sofronii, wreszcie dodał, iż mając świadomość swojej winy, umrzeć postanowił, co się ani chybi już wkrótce stanie, jak mniema.

Usłyszawszy tę spowiedź przyjaciela i widząc jego łzy, Gisippus trwał przez chwilę w zamysleniu. Zachwycił się i on Sofronią, jednakoż mniej płomiennie od Tytusa. Pojawszy w lot, że życie przyjaciela droższe mu jest od Sofronii, widokiem płaczącego druha do płaczu doprowadzony, tak mu ze łzami w oczach odpowiedział:

– Gdybyś nie potrzebował tyle pociechy, Tytusie, zacząłbym się przed tobą na ciebie samego użalać za to, żeś obraził przyjaźń naszą, tak długo namiętność swoją przede mną ukrywając.

Gdyby nawet niegodziwą żądzą ta ci się wydawała, to zważ, że przed przyjacielem nie lza ukrywać zarówno godziwej, jak i niegodziwej rzeczy, bowiem przyjaciel prawdziwy równie szlachetną myślą druha swego się cieszy, jak niegodną z duszy jego wyrwać się stara. Zamilczę jednak na ten raz o tym, przechodząc do rzeczy która w tej chwili bardziej stosowna mi się być wydaje. Nie dziwuję się wcale, że miłujesz tak narzeczoną moją, Sofronię, owszem, dziwiłbym się raczej, gdyby tak nie było, znam bowiem zarówno jej wdzięki, jak i wzniosłość duszy twojej, tym zdolniejszej do gwałtownej namiętności, im ukochana istota więcej doskonałości w sobie zawiera. Jak wiele tedy masz słuszności, Sofronię miłując, tak znów zbyt masz jej mało, żaląc się na los – chociaż o tym nie mówisz – iż mnie nią obdarzył, zdaje ci się bowiem, że miłość twoja całkiem zgodna z honorem twym by była, gdyby dziewica ta do kogoś innego należała. Jeżeli cię rozsądek twój nie opuścił, to powiedz mi, zali los mógł ją komuś powierzyć, by z większą to było dla ciebie korzyścią, niż kiedy powierzył ją mnie? Ktokolwiek inny, któremu by się w udziale dostała, miłowałby ją więcej dla siebie niżli dla ciebie, choćby miłość twoja była najuczciwsza.

Jeśli zaś o mnie chodzi i jeśli w samej rzeczy masz mnie za przyjaciela swego, jak nim jestem w istocie, to obawiać się tego nie potrzebujesz, nie przypominam sobie bowiem, abyśmy przez ciąg przyjaźni naszej coś posiadali, co by nam wspólnym nie było. I teraz stałoby się podobnie, gdyby rzeczy zaszły tak daleko, że innego by już nie było sposobu; na szczęście jednak, sprawa tak się przedstawia, że mogę cię uczynić jedynym posiadaczem Sofronii.

Cóż by moja przyjaźń dla ciebie warta była, gdybym w podobnym przypadku, honorowi swemu uszczerbku nie czyniąc, nie starał się ciebie zadowolnić?

Prawda, że Sofronia jest narzeczoną moją, prawda, że ją kochał gorąco i że z wielką radością dnia naszych zaślubin oczekiwałem.

Widząc jednakże, że ty, człek znacznie ode mnie rozumniejszy, z taką siłą jej pragniesz, oddaję ci ją. Bądź tedy upewniony, że Sofronia wejdzie do komnat moich jako twoja, a nie moja żona. Precz zatem ze zgryzotą, precz ze smutkiem, niechaj ci powróci zdrowie, dawna wesołość i myśl dobra. Czekać od tej chwili nagrody, na którą miłość twoja o wiele więcej od mojej zasługuje.

Tytus, słysząc te słowa z ust Gisippa, odczuwał na przemian radość wzbudzoną przez pełną ponęt nadzieję i słuszny wstyd na myśl, że im większa jest wspaniałomyślność przyjaciela, tym większą niegodziwością byłoby z niej skorzystać. Nie przestając płakać, odparł z wysiłkiem przyjacielowi:

– Twoja wielkoduszna i prawdziwa przyjaźń wskazuje mi, Gisippie, jasno, com uczynić powinien. Nie dopuść, Boże, abym istotę, którą ci los jako godniejszemu ode mnie przeznaczył, miał z rąk twoich wydzierać. Gdyby mi była przeznaczona, byłaby mi się od razu dostała. Używaj tedy w szczęściu owocu twego wyboru, nie pogardzaj zrządzeniem mądrym Opatrzności i łaską bożą, mnie zasię pozwól umrzeć pośród łez, które mi Bóg, jako niegodnemu takiego skarbu, przelewać kazał. Jeśli przemożę tę boleść, będziesz się mógł zwycięstwem moim cieszyć, jeśli zaś ona mnie przemoże, wtedy stanę się wolny od męczarni okrutnej.

– Tytusie – odrzekł na to Gisippus – jeśli przyjaźń nasza daje mi władzę do tego, abym cię przymusił do spełnienia jednego z życzeń moich, to władzy tej w tym wypadku użyć jestem gotów.

Jeśli prośby mojej po dobrej woli nie spełnisz, to mocą gwałtu, jakim dla dobra przyjaciela posłużyć się godzi, sprawię, że Sofronia będzie twoją. Znam potęgę miłości i wiem, że nie raz i nie tysiąc razy kochanków do żalosnej śmierci przywodziła. Widzę przecie, że ani wyleczyć się, ani boleści uspokoić nie możesz, przeciwnie, w końcu z pewnością jej ulegniesz, a to i mnie rychło w grób wtrąci. Gdybym innych powodów do ratowania cię nie znalazł, wzgląd na moje własne życie by wystarczył. Sofronia tedy będzie twoją, nie łatwo bowiem znalazłbyś drugą, która by ci się równie podobała, ja zasię bez trudności mogę zwrócić swe uczucie ku innej i tym sposobem nas obydwu zarazem uszczęśliwić.

Nie byłbym zapewne tak hojny pod tym względem, gdyby dobrą żonę równie trudno było znaleźć, jak dobrego przyjaciela.. Dlatego też mogąc łatwo inną żonę, ale nie innego zyskać przyjaciela, wolę Sofronię na inną białogłową zamienić (zamienić, mówię, a nie utracić, nie tracę jej bowiem, oddając ją tobie), wolę, powtarzam, narzeczoną moją ci oddać niżli ciebie na zawsze postradać.

Jeżeli tedy prośby moje jakikolwiek skutek odnieść mogą, zaklinam cię, ratuj mnie, a i siebie zarazem i pełen dobrej myśli, gotuj się na przyjęcie tej miłości, której tak gorąco serce twoje zapragnęło.

Tytus długo jeszcze, wstydem kierowany, opierał się przyjąć Sofronię z rąk Gisippa i racjom jego się sprzeciwiał. Pobudzany jednakże z jednej strony miłością, a z drugiej serdecznymi słowami przyjaciela, uległ wreszcie i rzekł:

– O Gisippie! Zaiste, nie wiem już teraz, czy przychylając się do tego, co wedle zaręczeń twoich miłym ci będzie, ulegam więcej moim czy też twoim pragnieniom. Ponieważ jednak wspaniałomyślność twoja nawet przyrodzony wstyd we mnie zwycięża, tedy poddaję się jej całkowicie. Bądź jednak upewniony, że czynię to nie bez świadomości, iż nie tylko kochankę, ale i życie winien ci będę. Oby bogowie dali mi kiedyś możliwość godnego odplacenia ci za to i dania dowodu, jaką cenę ma u mnie łaska, którą ty, miłsierniejszy dla mnie niżli ja sam dla siebie, dziś mi wyładzasz.

– Tytusie – odparł na to Gisippus – jeśli pragniemy, aby zamiar nasz się urzeczywistnił, to jedyna droga do tego następująca będzie: jak wiesz, Sofronia, po długich umowach między jej

a mymi krewniakami, narzeczoną moją została. Gdybym więc teraz z nagłą oświadczył, że jej za żonę nie biorę, wywołałbym wzburzenie niepomierne i wielką wrogość między dwiema rodzinami powstać by stąd mogła. Nie robiłbym sobie wiele z tego, gdybym był upewniony, że tym sposobem Sofronię twoją uczynię, obawiam się jednak, że gdybym ją teraz opuścił, krewniacy co prędzej innemu by ją oddali, a tym nie byłbyś może ty, tak tedy ja bym ją stracił, a ty byś jej nie zyskał. Uważam przeto za najlepsze, jeśli i ty będziesz tego zdania, dalej całą rzecz prowadzić, to znaczy zabrać Sofronię jako moją żonę do mego domu, wesele wyprawić, a potem tak po kryjomu wszystko uładzić, abyś ty z nią noc poślubną jako z małżonką swoją spędził. Później w stosownym miejscu i czasie całą rzecz odkryjemy. Jeżeli się to krewniakom podoba, dobrze tedy, jeżeli nie, sprawa już dokonana będzie, tak że w końcu zgodzić się będą musieli.

Tytusowi zamysł ten bardzo do smaku przypadł. Gisippus przyjął Sofronię jako żonę w swoim domu w tym dniu, gdy Tytus całkiem już do sił i do zdrowia przyszedł. Wesele odbyło się z wielką wystawnością, a gdy noc nadeszła, niewiasty pozostawiły młodo zaślubioną w łóżnicy małżeńskiej i odeszły. Komnata Tytusa przylegała do komnaty Gisippa, tak że z jednej do drugiej przejść było łatwo. Gdy tedy światła pogaszono, Gisippus zakradł się do komnaty Tytusa i wezwał go, aby zajął miejsce w łożu przy ukochanej swojej. Zawstydzony Tytus poczuł skrpuły i opierał się, ale Gisippus, który nie tylko w słowach chciał mu tę przysługę wyświadczyć, po długiej walce skłonił go wreszcie do wejścia do małżeńskiej komnaty.

Tytus leżał obok dziewicy, uściskał ją i spytał cichutko, zali jego żoną zostać pragnie? Sofronia, biorąc go za Gisippa, odparła, że tak. Wówczas Tytus, wsuwając jej na palec piękny i kosztowny pierścień, rzekł: „A więc i ja chcę być twoim mężem.” Po czym dopełnił z nią istoty małżeńskiego związku i długo jej miłością się rozkoszował. Oczywista ani jej, ani nikomu do głowy nie przyszło, że ktoś inny w ten sposób Gisippa wyręczył.

W ten sposób dokonał się związek Tytusa z Sofronią. Właśnie w tym czasie umarł ojciec Tytusa, Publius. Doniesiono mu o tym z Rzymu, wzywając, aby niezwłocznie przybył i mąjności we władanie objął. Tytus powiadomił o tym Gisippa i ułożył się z nim, iż Sofronię z sobą zabierze. Aliści niemożliwym się to okazało bez odkrycia jej właściwego stanu rzeczy. Przyzwali ją tedy obydwaj pewnego dnia do komnaty swojej i całą prawdę jej odkryli.

Tytus dla lepszego przekonania Sofronii napomknął o kilku drobnych okolicznościach, które tylko jej mężowi znane być mogły. Sofronia, popatrzawszy z lekkim gniewem na Tytusa i Gisippa, jęła płakać rzewnie i gorzkie wyrzuty Gisippowi czynić. Po czym nie dotykając już tej sprawy w domu Gisippa, udała się do rodziców swoich i opowiedziała ojcu i matce, jak Gisippus ich oszukał, dzięki czemu nie jest, jak dotąd mniemała, jego żoną, jeno małżonką Tytusa.

Rodzic jej, dowiedziawszy się o tym, głęboko urażony się poczuł i odtąd między rodziną Sofronii a krewniakami Gisippa zaczęły się długie kłótnie, niesnaski i swary.

Gisippus stał się przedmiotem nienawiści obu rodzin. Wszyscy twierdzili zgodnie, że nie tylko na naganę, ale i na surową karę zasługuje. On jednak odpowiadał na to, że przeciwnie wcale, postępek jego jest uczciwy nad wyraz i że krewni Sofronii wdzięczni mu za to być powinni, że połączył ją z lepszym niż on sam człowiekiem.

Tytus, który był jeszcze nie wyjechał, wiedział o tych udrękach przyjaciela i wielce się nimi martwił. Znając jednak przyrodzenie Greków, iż dotąd grożą i wrzask podnoszą, póki nie znajdą kogoś, kto im godnie odpowie, a gdy to nastąpi, pokorniejają i nawet tchórzliwymi się stają, postanowił raz temu koniec położyć. Tytus był człkiem, w którym odwaga rzymska z ateńską się łączyła mądrością. Pewnego dnia zgromadził zręcznie w świątyni krewniaków swoich i Sofronii, po czym stanąwszy wśród nich w towarzystwie Gisippa, rzekł w te słowa:

– Wielu mędrców mniema, iż wszystko, co śmiertelni czynią, jest dziełem opatrności i wyroku bogów. Jedni wnoszą stąd, że wszystko, co się tu dzieje lub dzieć będzie, jest koniecznym, inni zaś sądzą, że odnosi się to tylko do rzeczy, które już się stały. Kto zada so-

bie trud wnikięcia w te różne mniemania, ten łatwie zrozumie, że ganić to, czego już odrobić nie lza, jest to to samo, co chceć być mądrzejszym od bogów, którzy przecież zawsze a wielką przezornością i bez błędu naszymi sprawami kierują, jak nam wierzyć przystało. Tylko zuchwały i zarozumiały głupiec ośmiela się wyroki bogów osądzać. Ci, co na podobną rzecz się ważą, wielkiej kary są godni. Do nich, wedle mego zdania, należycie wy wszyscy, jeśli prawdą jest, co słyszę ciągle naokół, że oburzacie się na to, iż Sofronia moją żoną została, chociaż ją Gisippowi przeznaczycie. Zważcie, iż tak od wieków postanowione być musiało, skoro tak się stało.

Przestańmy mówić jednakże o tajemnych wyrokach i zamierzeniach bogów; rzeczy te dla wielu ciemne i trudne do pojęcia się zdają. Przypuśćmy nawet, iż bogowie nie troszczą się bynajmniej o nasze sprawy. Do pojęć tedy czysto ziemskich się zwrócę, chocia dzięki temu uczynić będę musiał dwie rzeczy naturze mojej zgoła przeciwne, a mianowicie siebie pochwalić i innych zganić. Ponieważ jednak od prawdy oddalać się nie myślę, a sprawa tego wymaga, nie cofnę się przed samochwalstwem.

Bo gniewem bardziej niżli poczuciem słuszności wiedzeni, gwałt i hałas czyniąc, oczerniacie i potępiacie Gisippa, ponieważ wola jego oddała mi tę, którą wola wasza jemu przeznaczyła. Tymczasem mniemam, że powinniście wychwalać go za to gorąco, a to z następujących powodów: naprzód, że obowiązek przyjaciela wypełnił, a po drugie, ponieważ, w ten sposób postąpiwszy, więcej niżli wy rozsądku okazał.

Jakie obowiązki nakładają święte prawa przyjaźni, nie będę wam tutaj przedstawiał. Dosyć na tym, że węzeł przyjaźni ściślej łączy ludzi niżli związki pokrewieństwa i powinowactwa. Przyjaciół wybieramy sobie, krewnych zasię musimy przyjąć takich, jakich nam los daje. Jeżeli tedy Gisippowi droższym było życie moje niżli wasza przychylność, nikt się temu dziwić nie powinien.

Przejdźmy teraz do drugiego dowodu, dzięki któremu wyraźniej dowiodę wam, że Gisippus mądrzejszy był od was. Widzę bowiem, że mniej jeszcze pojmujecie prawa przyjaźni niżli tajnie boskich wyroków. Po głębokiej rozwadze i z nieprzymuszonej woli daliście Sofronię za żonę Gisippowi, młodzieńcowi i filozofowi. Gisippus oddał ją również młodzieńcowi i filozofowi. Wasza wola oddała ją Ateńczykowi, wola Gisippa Rzymianinowi. Wybraлиście jej za męża człeka szlachetnego rodu, a Gisippus dał jej męża jeszcze znaczniejszej krwi. Wy daliście ją młodzieńcowi bogatemu, on zaś panu ogromnych majątności. Przeznaczycie ją człowiekowi, który ją zaledwie znał i nie kochał jej zgoła, Gisippus zasię oddał ją człekowi, miłującemu ją nad życie i szczęście własne.

Rozpatrzmy teraz szczegółowie, czy to, com powiedział o sobie, jest prawdą i czy istotnie Gisippowi pochwała się należy. Żem jest młodzieńcem i filozofem, o tym dowodnie świadczy zarówno mój wygląd, jak i ukończone nauki. Szkoda więc nad tym długo się rozwodzić.

W równym jesteście obydwaj wieku i jednakie w naukach postępy czyniliście. Prawda, że on jest Ateńczykiem, a ja Rzymianinem, gdyby jednak chodziło o wykazanie wyższości mojej ojczyzny, to wspomniałbym, że pochodzę z wolnego miasta, podczas gdy on z hołdowniczego. Ja z miasta, które włada światem, on z podwładnego mojemu; ja z miasta wsławionego czynami wojennymi, prawodawstwem i naukami, on zaś z wsławionego naukami jeno.

Chocia znacie mnie tutaj tylko jako skromnego ucznia, nie pochodzę przecie bynajmniej z pospólstwa rzymskiego. Place Rzymu pełne są posagów przodków moich, a roczniki rzymskie przepełnione są opisami triumfalnych pochodów Quinctiusów na Kapitol¹¹⁰. Imienia naszego rdza wieków nie pokryła, ale błyszczą ono jeszcze świetniej jak ongiś. Zamilczę przez wstydlivość o bogactwach moich, pomnąc, że uczciwe ubóstwo może być również starożytną i świetną spuścizną dla szlachetnego obywatela Rzymu. Gdybym jednak chciał zniżyć się w tej mierze do pojęć tłumu, tłumu, który skarby tylko ceni, mógłbym powiedzieć, że posiadam je w obfitości, i to nie chciwością nabyte, ale fortuny łaską. Pojmuję, iż bardzo wam na rękę było mieć tu Gisippa jako sojusznika, ale i ja w Rzymie wartość dla was nie mniejszą mieć

mogę, jeśli zważycie, że w domu moim znajdziecie zawsze gościnę, we mnie samym zasię możnego i gorliwego opiekuna nie tylko w sprawach publicznych, ale i prywatnej natury.

I tak zapytuję teraz po tym wszystkim, co już powiedziałem, kto odrzuciwszy zapalczywość, a idąc za głosem rozumu ośmieli się źle osądzić postępek Gisippa? Zaiste, nikt. Sofronia trafiła szczęśliwie, dostawszy za męża Tytusa Quinctiusa Fulviusa, młodzieńca szlachetnego rodu, bogatego obywatela Rzymu, a do tego przyjaciela waszego Gisippa. Kto na to oburza się i narzeka – źle czyni, lub też nie wie, co czyni. Może jednak niektórzy z was uważają, iż Sofronia skarży się nie na to, iż jest żoną Tytusa, jeno na ów zdradziecki sposób, dzięki któremu nią została. Nie powiadomiono nikogo z jej krewniaków i przyjaciół, jednakże nie ma w tym nic osobliwego ani po raz pierwszy się przytrafiającego.

Ileż to dziewczę wbrew woli rodziców za mąż poszło, ileż z kochankami swymi uciekło i nim miano małżonek zyskało, już należało do nich, ileż wreszcie brzemiennością swoją wymusiło zgodę rodziców na swój związek.

Z Sofronią tymczasem żadna z tych rzeczy się nie stała.

Owszem, w uczciwy, należyty i rozważny sposób oddana ona została przez Gisippa Tytusowi.

Tu znów inni pewnie mi zarzucą, że wydał ją za mąż ten, który prawa po temu nie miał. Odpowiem na to, że podobne babskie zarzuty są owocem braku wszelkiej rozwagi. Zali los nie posługuje się różnymi i niezwykłymi drogami, aby rzeczy do przeznaczonych im celów doprowadzić? Zali także nie wszystko jedno, czy szewc, czyli też filozof jawnie lub skrycie jakąś sprawę prowadzi, byleby ją tylko do końca szczęśliwie dowieść?

Skoro tedy Gisippus dobrze Sofronię za mąż wydał, to nie trza się żalić na sposoby, jakich ku temu celowi użył. Jeśli nie dowierzacie jego rozsądkowi, baccie w przyszłości, aby córek waszych za mąż nie wydawał, teraz jednakże dank stosowny mu złożcie.

Nadto dowiedzcie się, iż ja, używszy fortelu, nie miałem zamiaru najłżejszą plamą pohańbić krwi waszej w osobie Sofronii i że jakkolwiek w głębokiej tajności ją za żonę pojąłem, nie dybałem gwałtem na jej niewinność ani nie chciałem pojąć jej w niegodziwy sposób, gardząc trwałym z nią związkiem i pokrewieństwem z wami. Inny był mój cel i inna podstęp mego przyczyna. Oto, rozplamieniony jej wdziękami i przymiotami, przewidziałem, iż gdybym się o nią starał w sposób, który się wam zapewne przyzwoity wydaje, nie byłbym tej ukochanej przez was dziewczicy dostał, bałibyście się bowiem, że ją z sobą do Rzymu zabiorę. Użyłem tedy tej zręcznej sztuczki, która dziś już tajemnicą dla was być przestała. Skłoniłem Gisippa, aby uczynił dla mnie to, czego dla siebie uczynić nie zamierzał. Potem zaś, mimo całej mojej miłości do niej, nie jako kochanek, ale jako mąż jej uściski przyjąłem, nie pierwszej bowiem do niej się zbliżyłem, jak to sama potwierdzić może, aż po wsunięciu jej pierścienia na palec i zapytaniu, czy mnie za męża mieć pragnie. Na co ona odparła twierdząco.

Jeżeli mimo to mniema się być oszukaną, nie moja w tym wina, ale jej, że mnie nie zapytała, kim jestem.

Oto jest owa wielka krzywda i niezmierna zniewaga przez Gisippa, jako dobrego przyjaciela, i przeze mnie, rozkochanego, wam wyrządzona! Za to grozicie mu, oczerniacie go i prześladujecie! Cóż byście poczęli, gdyby ją jakimś łotrowi, włóczędze lub niewolnikowi oddał? Jakież łańcuchy, więzienia i jakie męki dostatecznymi by się wam wówczas wydały? Ale dajmy już temu; obecnie pokój. Zaszła niestety okoliczność, której się nie spodziewałem: ojciec mój umarł i oto do Rzymu wracać muszę, zabierając Sofronię ze sobą. Dlatego też odkryłem wam to, co by może dotychczas jeszcze tajemnicą było. Jeśli ludźmi roztroprnymi jesteście, to prawdę tę z radością przyjmiecie. Gdybym was chciał oszukać lub znieważyć, ostawiłbym tu teraz Sofronię okrytą sromem.

Ale na Boga, nigdy podobnie nędzna myśl w rzymskiej nie powstała piersi. Sofronia za przyzwoleniem bogów, na skutek chwalebnej mądrości mego przyjaciela Gisippa i wedle praw ludzkich, a wreszcie dzięki podstępowi moją żoną się stała. Oburzacie się na to, pocz-

tując się za mądrzejszych od bogów oraz innych ludzi, i obrażacie mnie niesprawiedliwie, chcąc zatrzymać przy sobie Sofronię, do której nie macie żadnych praw, chyba te, które bym wam przyznać zamierzył, a po wtóre, obchodząc się z Gisippem, któremu głęboką wdzięczność winniście, jak z nieprzyjacielem. Nie będę wam tu obecnie dłużej wykladał, jak niedorzecznie sobie poczynacie, dam wam tylko przyjazną radę, abyście gniew od serca oddalili, wszystkich niechęci swoich się zbyli i Sofronię mi oddali, abym mógł w zgodzie was pożegnać i życzliwym krewnym dla was pozostać. Tego bowiem bądźcie pewni, że bez względu na to, czy wam przypada do smaku to, co się stało, jeśli byście inaczej postąpić zamýślali, zabiorę z sobą Gisippa i po przybyciu do Rzymu wbrew waszej woli odzyskam tę, która prawie do mnie należy. Wówczas poznacie, do czego jest zdolna dusza prawego Rzymianina, gniewem zapalona!

Tutaj zawarł mowę Tytus, wstał i z pałającym od gniewu obliczem pochwycił za rękę Gisippa, po czym wyszedł z świątyni z dumnie podniesioną głową i groźnym na licach wyrazem, dając po sobie poznać, że niewiele dba o całe zgromadzenie.

Przytomni po części wymową Tytusa do niego nakłonieni, a w części nastraszeni jego ostatnimi słowami, zgodnie uznali, że lepiej będzie przyjąć go za szwagra niżli sobie z niego wroga uczynić. Udali się więc pośpiesznie za Tytusem dla oświadczenia mu, że nic temu na wstrecie nie stoi, aby Sofronia przy nim pozostała, i że chcą w nim widzieć miłego krewniaka, a w Gisippie przyjaciela. Po czym pozdrowili się serdecznie, jak na krewniaków i przyjaciół przystało. Krewni Sofroni, powróciwszy do domu, natychmiast ją do męża odesłali. Sofronia, jako roztropna białogłowa, pogodziła się rychło z swym losem, przeniosła miłość, jaką do Gisippa czuła, na Tytusa, udała się z nim do Rzymu i tam z wielką czcią przyjęta została.

Tymczasem Gisippus, który pozostał w Atenach, powszechnej bez mała niechęci doznawał. Wkrótce wskutek kłótni politycznych w mieście wraz z wszystkimi krewniakami swymi został wypędzony z Aten i na wieczne wygnanie skazany. W nędznym stanie żebraka powlókł się, jak mógł, do Rzymu, aby spróbować, zali Tytus go sobie nie przypomni.

Przybywszy do miasta, dowiedział się, że Tytus żyje i u obywateli Rzymu powszechnej czci używa. Stał tedy przed bramą jego domu i czekał, aż wyjdzie. Nie miał odwagi zaczepić go, zważywszy na swoje nędzne szaty, postanowił tylko ukazać się mu i czekać, aż Tytus, poznawszy, przywołać go każe. Aliści Tytus przeszedł, nie zwracając nań uwagi. Wówczas Gisippus, przekonany, że dawny przyjaciel przecie go dojrzał, lecz że się go wstydzi, wspomniawszy, co niegdyś dla tego przyjaciela uczynił, pełen żalu i rozpachy poszedł błąkać się po ulicach. Tymczasem noc zapadła. Gisippus głodny, grosza pozbawion, niepewny, gdzie się obrócić, i już tylko śmierci pragnący, zaszedł w opuszczoną wielce dzielnicę miasta. Spostrzegłszy obszerną grootę wszedł do niej z zamýsłem spędzenia w niej nocy. Rzucił się na gołą ziemię i wkrótce, znękany myślami i płaczem zmęczony, zasnął twardo.

Nad ranem weszło do groty dwóch ludzi, wracających po nocy z złodziejskim łupem. Gdy przyszło do podziału, pokłócili się, a potem jeden z nich, silniejszy, zabił drugiego i uciekł. Gisippus widział i słyszał to wszystko. Zdało mu się, że los tym razem podaje mu znakomitą sposobność do znalezienia śmierci bez popełnienia samobójstwa. Pozostał tedy na tym miejscu tak długo, aż zbiry sądowe, na wieść o dokonanej zbrodni poszukujący złoczyńców, zaszli do groty i znalazłszy go pod zarzutem morderstwa uwięzili. Gisippus zeznał, że istotnie tego człeka zamordował i że z groty uciec nie zdążył. Pretor¹¹¹, nazwiskiem Marcus Varro, wedle owczesnego obyczaju skazał go na śmierć na krzyżu.

W chwili gdy wyrok zapadał, wszedł Tytus przypadkiem do pretorium. Dowiedział się o przebiegu sprawy, a spojrzawszy na nieszczęsnego skazańca i poznawszy w nim natychmiast Gisippa, zadziwił się zarówno nędznej doli jego, jak i temu, że go w Rzymie widzi. Zapragnął wszelkimi siłami przyjaciela ratować. Nie widząc jednakże innej, drogi po temu, jak samego siebie o zbrodnię oskarżyć, przystąpił do pretora i rzekł głośno:

– Marku Varro, każ powstrzymać wykonanie kary na biednym człeku, któregoś dopiero co osądził, nie ponosi on bowiem żadnej winy. Jam jest prawdziwym winowajcą, który już dostatecznie bogów obraził przez zamordowanie ofiary znalezionej dziś przez zbirów twoich, abym chciał jeszcze powiększać winę swoją przez milczące przyzwolenie na śmierć niewinnego.

Varro osłupiał z podziwu. Ponieważ jednak całe pretorium zeznanie to słyszało, a sędzia nie mógł uchylić się od obowiązku przepisanego w tym wypadku przez prawo, kazał Gisippa na nowo przed siebie przywołać, po czym rzekł do niego w przytomności Tytusa:

– Jak mogłeś być tak szalonym, aby bez najmniejszego przymusu przyznać się do zbrodni, której nie popełniłeś, a która karą śmierci grozi? Upewniłeś mnie, iżes to ty zabił zeszłej nocy owego człeka, a oto staje przede mną inny, który twierdzi, że to on uczynił.

Gisippus podniósł oczy, poznał Tytusa i pojął od razu, że uczynił on to w celu ratowania go i przez wdzięczność za doznaną niegdyś przysługę. Płacząc tedy ze wzruszenia, odparł pretorowi:

– Varrusie – zaiste ja jestem prawdziwym mordercą. Tytus przez współczucie chciał mi przyjść z ratunkiem, niestety, za późno już na to.

Tytus, przerywając mu, zawołał:

– Pretorze, jak widzisz, człek ten jest cudzoziemcem. Znaleziono go obok zamordowanego, bez broni w rękę. Nędza widać skłonić go musiała do poszukiwania w ten sposób śmierci. Puść go tedy na wolność, a mnie ukarż, bowiem na to zasłużyłem.

Varro zadziwił się naleganiu tych dwóch ludzi, a potem do tej myśli przyszedł, że obaj niewinni być muszą. Rozwahał tedy, jakby ich uwolnić. Nagle przed obliczem pretora stanął młodzieniec, Publius Ambustus, człek stracony i w całym Rzymie najgorszą cieszący się sławą. On to był owo morderstwo popełnił. Słyszając, jak Gisippus i Tytus oskarżają się o dokonanie zbrodni nie zawinionej przez żadnego, wielkim dla nich współczuciem zdjęty, rzekł w te słowa:

– Pretorze, los mój widać tego ode mnie wymaga, abym ten trudny spór rozwiązał. Nie znany mi głos Boga pobudza mnie i zmusza do wyznania mej zbrodni. Dowiedz się, iż żaden z tych dwóch ludzi nie jest winien tego, o co się oskarża. Jam to zabił dzisiaj rano człeka, którego zwłoki ci przyniesiono. Nim uciekłem z groty, ujrzałem w niej tego oto biedaka pogrążonego w głębokim śnie. Tytus mego usprawiedliwienia nie potrzebuje. Wielka cześć, jaką u ludzi się cieszy, dowodzi aż nadto, że byłby niezdolny do podobnego czynu. Puść tedy tych obu wolno, a mnie ukarż wedle całej surowości prawa.

Do cesarza Oktawiana dotarł słuch o tej całej sprawie. Wezwał wszystkich trzech przed siebie i spytał o przyczynę, dla której każdy z nich skazany być pragnął. Wyznali mu wszystko szczegółowie, a wówczas on uwolnić ich kazał, pierwszych dwóch jako niewinnych, trzeciego zaś przez wzgląd na tamtych.

Gdy ich uwolniono, Tytus objął Gisippa i zgromiwszy go wprzód za nieufność, dał folgę radości niewymownej, po czym powiódł go do domu swego, gdzie Sofronia, płacząc rzewnie, jak brata go przyjęła. Tytus, skrzepiwszy nieco jego siły i odziawszy go, stosownie do jego zasługi i godności, podzielił się a nim wszelkimi skarbami i posiadłościami swymi, a potem dał mu za żonę siostrę swoją, młodą dziewczeczkę Fulwię, i rzekł w te słowa:

– Gisippie, od ciebie teraz zależy, czy chcesz u mnie na zawsze pozostać, czy też ze wszystkim, co ci oddałem, do Grecji powrócić.

Gisippus, wspomniawszy z jednej strony na wygnanie swoje z Aten, a z drugiej strony miłością dla wdzięcznego Tytusa przejęty, postanowił w Rzymie na zawsze osiaść.

Żyli razem weseli w jednym domu przez długie, długie lata po społu z żonami swymi, coraz ściślej zmięzłymi węzłami przyjaźni się łącząc.

Świętą tedy rzeczą jest przyjaźń, godną nie tylko czci osobliwej, ale i pochwał wieczystych, jako najświatlejsza matka wspaniałomyślności i uczciwości, siostra wdzięczności i mi-

łości bliźniego, a nieprzyjaciółka nienawiści i skąpstwa. Ona to gotowa jest zawsze nie czekając na prośby uczynić dla drugich to, czego pragnie, aby i dla niej czyniono. Za to że święte jej ogniwa tak rzadko teraz ludzi wiąza, winę ponosi nędzna chciwość współczesnych, którzy własną tylko korzyść na oku mając, skazali słodkie związki przyjaźni na wygnanie na najdalszy ziemi koniec. Jakaż miłość, jakie skarby, jakież pokrewieństwa zdołałyby tak zmiękczyć serce Gisippa wobec łez i westchnień Tytusa, aby dla nich swoją młodą, piękną i kochaną narzeczoną mu oddał – jeśli nie przyjaźń?

Jakież prawa, jakie groźby i trwogi zdołałyby z dala od świadków, w mroku ciemności, we własnym łóżu powstrzymać młodzieńcze ramiona Gisippa od uścisków pięknej dziewczyny, może pociągającej go ku sobie – jeśli nie przyjaźń właśnie?

Jakaż świetność, jaka nagroda i korzyść mogłyby skłonić Gisippa do wyrzeczenia się życzliwości krewniaków własnych i rodziny Sofronii, do znoszenia szyderstw i pogardy najbliższych – jeśli nie to boskie uczucie? A z drugiej strony, cóż pobudziło Tytusa do narażania się bez chwili namysłu na śmierć pewną, jedynie aby Gisippa od męki na krzyżu uchronić, gdy łatwo przecież mógł udać, że nic nie zauważył – jeżeli także nie przyjaźń? Cóż by wreszcie Tytusa tak hojnym uczynić zdołało, iż ogromnym dziedzictwem swoim podzielił się z Gisippem, któremu los całe mienie zabrał – jeżeli nie ona – i co by go pchnąć mogło do oddania bez wahań nędznemu i opuszczonemu od wszystkich Gisippowi siostry – jeżeli znowu nie przyjaźń? Niechaj więc ludzie pragną wielkiej gromady rodzeństwa i krewnych i jak największej liczby dzieci, niech za pieniądze czeredę służby swojej powiększają, nie bacząc, iż bracia, dzieci, słudzy więcej zwykli mieć na uwadze najmniejszą szkodę własną niż największe niebezpieczeństwo krewniaka, ojca lub pana – gdy przyjaciel zgoła inaczej postępuje.»

Opowieść dziewiąta



PRZYTRAFIENIA SALADYNA I TORELLA

Saladyn, podając się za kupca, korzysta z gościny u pana Torella. Po pewnym czasie pan Torello wyrusza na wyprawę krzyżową i naznacza swej żonie czas do powtórnego zamążpójścia. Wzięty do niewoli, na dworze sultana sokoły do polowania układa. Sultán, poznawszy go, wielką czią go otacza. Pewnego dnia pan Torello, niemocą złożony, dzięki sztuce czarodziejkiej zostaje przeniesiony do Pawii, gdzie bierze udział w uczcie ślubnej swojej żony. Żona, poznawszy go, wraca z nim razem do dawnego domu.

Gdy Filomena opowieść swoją skończyła, wszyscy przytomni zgodnie pochwalili Tytusa za jego podziwu godną wdzięczność. Zachowując ostatnie miejsce dla Dionea, król zaczął w te słowa:

– Piękne damy! Filomena w swoich sądach o przyjaźni niewątpliwie całkowitą słuszność miała, a także bardzo słusznie pod koniec żaliła się, że w dzisiejszych czasach ludzie lekce sobie przyjaźń ważą. Gdybyśmy się tu byli zebrali, aby ludzi za ich wady naganiać i do poprawy wzywać, to bym się w tej materii sam szerzyć zaczął. Ponieważ jednak cel nasz jest całkiem inny, przeto przychodzi mi na myśl opowiedzieć w nieco przydługiej może noweli o jednym z wielkodusznych czynów Saladyna. Ze zdarzeń, o których usłyszycie, wypłynie dla was ta nauka, że gdybyśmy nawet dla błędów naszych pełnej wzajemności w przyjaźni nie uzyskali, winniśmy jednak chętnie innym radą i pomocą służyć, mając nadzieję, że usługi te wcześniej czy później stosowną nagrodą uwieńczone zostaną.

«Powieм wam tedy, iż – jak zapewniają niektórzy – za czasów cesarza Fryderyka I¹¹² wszystkie narody chrześcijańskie podjęły wyprawę krzyżową w celu odebrania Ziemi Świętej. Usłyszał o tym zawczasu Saladyn, podówczas sultán Babilonu, wielce dzielny wojownik, i postanowił przygotowaniu wojennym panów chrześcijańskich własnymi oczyma się przyrzec, aby potem wrogom tym skuteczniej czoło stawić. Uporządkowawszy tedy wszystkie sprawy swoje w Egipcie, udał, iż wybiera się w pielgrzymkę, i wyruszył w drogę w towarzystwie dwóch roztropnych doradców swoich i trzech sług, wszędzie w drodze za kupca się podając.

Gdy już w ten sposób wiele chrześcijańskich dzierżaw przemierzył i gdy, jadąc przez Lombardię, miał zamiar na drugą stronę gór się przepawić, pod wieczór spotkał w drodze z Mediolanu do Pawii pewnego szlachcica, nazwiskiem Torello di Stra da Pavia¹¹³.

Szlachcic ów w otoczeniu sług swoich z psami i sokołami dążył do pięknej posiadłości swojej, nad brzegami Tesino się znajdujące, aby tam lato przepędzić.

Pan Torello, spostrzegłszy Saladyna i jego orszak, poznał od razu, że to jacyś dostojni ludzie i cudzoziemcy być muszą, i uczcić ich zapragnął. Gdy tedy Saladyn zapytał jednego z dworzan Torella, jak daleko jeszcze do Pawii i czy podobna zdążyć tam przed zamknięciem bram miasta, pan Torello odparł za sługę:

– Nie, panie! Przyjedziecie do Pawii zbyt późną nocą, aby dostać się do grodu.

– Poradźcie nam tedy łaskawie – odparł Saladyn – co uczynić mamy, całkiem bowiem obcy tutaj jesteśmy.

– Jak najchętniej – rzekł pan Torello – rzecz się dobrze składa, bowiem przed chwilą właśnie zamierzałem posłać jednego z ludzi moich dla załatwienia pewnej sprawy pod Pawie. Będzie on waszym przewodnikiem i zawiedzie was do pewnego domu, gdzie znajdziecie wszystko, czego wam potrzeba.

Rzekłszy te słowa, zbliżył się do najobrotniejszego ze sług swoich, stosowne polecenie mu wydał i z cudzoziemcami w drogę odprawił, sam zaś podążył co tchu do swojej posiadłości, rozkazał przygotować wspaniałą wieczerzę i stoły w ogrodzie zastawić, po czym wyszedł przed bramę i począł na gości oczekiwać.

Tymczasem sługa pana Torella, chcąc zyskać trochę czasu, wśród pogawędki o różnych sprawach wiódł cudzoziemców okrężnymi drogami, aby wreszcie niepostrzeżenie do willi pana Torella ich przyprowadzić. Pan Torello, ujrawszy zbliżających się gości, postąpił ku nim i zawołał, śmiejąc się serdecznie:

– Witam was, panowie!

Saladyn, człek wielce przenikliwy, zrozumiał od razu, iż rycerz obawiał się, że ludzie na drodze spotkani mogą jego zaprosin nie przyjąć, i użył podstępny, aby ich móc w swoim domu ugościć, nie narażając się na odmowę.

Odpowiedziawszy tedy na powitanie gospodarza, rzekł:

– Panie, gdyby się zaliczyć można było na tak uprzejmych jak wy ludzi, nie mówiąc już o tym, że opóźnicie nieco naszą podróż, skarżylibyśmy się, że nas, którzyśmy niczym – chyba samym powitaniem – na dobroć waszą nie zasłużyli, do przyjęcia tak zaszczytnej gościny u was przymuszacie.

Na to rycerz, jako człek wielce polerowny, tak odparł:

– Grzeczność, którą wam świadczę, panowie, żadną jest prawie w porównaniu z tą, jaka się wam należeć powinna. Poznają to dowodnie z wyglądu waszego. Ponieważ jednak poza Pawią nie znaleźlibyście teraz żadnej austerii¹¹⁴, która by wam znośny schron dać mogła, ośmieliłem się tedy przerwać nieco podróż waszą, abyście pokrzepić się i odpocząć u mnie mogli.

Tymczasem zbliżyła się służba i do stajni konie odwiodła. Pan Torello zaprowadził trzech szlachetnych gości do komnat dla nich przeznaczonych. Tam skłonił ich do zdjęcia obuwia, pokrzepił winem mrożonym i do samej wieczerzy ożywioną bawił rozmową.

Saladyn, towarzysze i słudzy jego biegle łaciną władali, rozmowa tedy szła z łatwością. Wszyscy doszli do przekonania, że gospodarz jest jednym z najmiłszych, najlepiej ułożonych i najbardziej oświeconych ludzi, jakich dotychczas im się napotkać udało. Pan Torello osądził ze swej strony, iż cudzoziemcy ci są ludźmi wielce znamienitymi i że stan ich jest znaczniejszy, niżli początkowo mniemał.

Przykro mu było niezmiernie, że nie może ich uczcić bardziej uroczystą biesiadą i lepszą kompanią, dlatego też dnia następnego wynagrodzić ich postanowił. Uwiadomiwszy jednego

ze sług o zamiarach swoich, wysłał go do swej małżonki, wielce rozumnej i szlachetnej damy. Przebywała ona właśnie w pobliskiej Pawii, gdzie nie miano zwyczaju bram na noc zamykać.

Po czym pan Torello zawiódł gości swoich do ogrodu i spytał się ich uprzejmie, jaką profesją się parają.

– Jesteśmy – odrzekł mu na to Saladyn – cypryjskimi kupcami. Przybywamy z Cypru, a dążymy w swych sprawach do Paryża.

– Dałby Bóg – odparł na to pan Torello – aby kraj nasz wydawał tak godnych rycerzy, jak Cypr kupców.

Wśród podobnych rozmów nadeszła godzina wieczery. Pan Torello poprosił gości swoich, aby zasiedli do stołu, i chociaż była to wieczerza nieprzygotowana, podejmował ich godnie. Wkrótce potem uprzątnięto stoły i pan Torello przypuszczając, że goście znużeni być muszą, zawiódł ich do pięknych łożnic na spoczynek, a w chwilę potem sam się też położył.

Tymczasem, sługa, wysłany do Pawii, sprawił się ze swego poselstwa przed małżonką pana Torella. Dama ta, iście niepowszedniego umysłu, przyzwała niezwłocznie przyjaciół i służbę męża, wydała polecenia do przygotowania wspaniałej uczy i przy świetle pochodni udała się z zaproszeniem na biesiadę do wielu dostojnych obywateli miasta. Po czym kazała przynieść różne kobierce, skóry i dywany, wypełniając jak najściślej zlecenia swego dostojnego małżonka.

Gdy dzień nastał, szlachetni goście pana Torella z łożnic się podnieśli. Gospodarz wsiadł na koń, zabrał sokoły i zawiódł gości na pobliskie bagna, gdzie im zręczność i siłę ptaków swych pokazał.

Gdy Saladyn spytał go, czy nie ma kogoś pod ręką, aby ich do dobrej austerii w Pawii zaprowadził, pan Torello rzekł:

– Ja sam to uczynię, ponieważ mam kilka spraw do załatwienia w mieście.

Cudzoziemcy, wierząc tym słowom, z radością wyruszyli w drogę w jego towarzystwie. Stanęli w Pawii około południa. Pewni, że pan Torello prowadzi ich do najlepszej w mieście gospody, zbliżyli się do jego domu, przed którym około pięćdziesięciu najznacniejszych obywateli na ich przyjęcie czekało. Wyszli na ich spotkanie, wyjęli im cugle z rąk i przy trzymali strzemiona.

Saladyn i jego towarzysze pojęli dobrze, co to oznacza, i rzekli:

– Nie godzi się tak, panie Torello, wszakżeśmy nie o to wcale prosili. Tej nocy dosyć nam już uczynności okazałeś, więcej nawet, niż się należało, pozwól nam tedy dzisiaj spokojnie w dalszą drogę wyruszyć.

– Panowie – odparł na to Torello – za to, co mi się wczoraj przytrafiło, winien jestem o wiele więcej wdzięczności szczęsnemu losowi niż wam. Los bowiem sprawił, że zaskoczeni w drodze późną godziną z konieczności nawiedziliście skromny mój dom. Dzisiaj natomiast chcę być już nie losowi, jeno wam samym obowiązany, po społu z tymi szlachetnymi a przytomnymi tutaj mężami. Jeśli tedy nie chcecie mnie i im ciężkiej krzywdy wyrządzić, pozostaniecie i pozwólcie się ugościć.

Saladyn i towarzysze jego dali za wygraną na te słowa i zsiadli z koni. Wśród radosnych okrzyków wszystkich przytomnych cudzoziemcy wprowadzeni zostali do komnat, nad wyraz suto przystrojonych. Odłożywszy sprzęt podróżny i odświeżywszy się nieco, weszli do jadalni, gdzie stół wspaniale zastawiono. Wkrótce zaczęto roznosić wodę do rąk umycia. Potem wszyscy w kolejności zasiedli do stołu, aby uraczyć się tak wybornymi potrawami i winami, że gdyby i sam cesarz się pojawił, lepszymi uczcić by go niesposób.

Uczta była tak świetna, że aczkolwiek Saladyn i jego towarzysze byli wielkimi panami, przywykłymi do okazałości, zadziwili się jednak niepomąłu przepychowi, który zdawał się im przewyższać to, co dotąd widzieli, nie tajne im było bowiem, że rycerz nie należał do panów udzielnych. Skoro biesiada się skończyła i stoły uprzątnięto, po rozmowie o sprawach róż-

nych szlachetni obywatele Pawii udali się na spoczynek, ponieważ żar letni wielce dokuczliwy się stawał, pan Torello zaś ze swymi trzema gośćmi sam w jadalni pozostał.

Wkrótce powiódł ich do innej komnaty; chcąc, by obaczyli wszystko, co ma najdroższego, tam kazał przywołać swą żonę. Białogłowa stanęła na progu w całej krasie piękności swojej – wyniosła, bogato przystrojona, trzymająca za ręce dwóch synków, podobnych do aniołów, i dwornie cudzoziemców pozdrowiła.

Ci, ujrawszy ją, podnieśli się z czią z ław, a skoro miejsce między nimi zajęła, nacieszyć się dostatecznie jej pięknymi dziećmi nie mogli.

W ciągu ożywionej rozmowy, gdy pan Torello oddalił się na chwilę, dama spytała gości, kto są zac i dokąd dążą, na co otrzymała tę samą odpowiedź, co pierwszej jej małż. Dowiedziawszy się, jak daleką jeszcze przed sobą drogę mają, z wesołym wyrazem oblicza w te słowa rzekła:

– Z radością się dowiaduję, że moja białogłowska pomoc na coś się wam przydać może. Proszę was tedy, okażcie mi ten osobliwy wzgląd i nie odrzucajcie tych małych podarków, które wam ofiarować pragnę. Zważcie, że białogłowy niewiele dać mogą, ale że ze szczerego serca dają; bardziej tedy na dobre ich intencje niżli na wartości ich darów zważać należy.

Po czym poleciła przynieść dla każdego z nich po parze szat. Jedne z nich były jedwabiem podbite, drugie futrem bramowane, nie wedle obyczajów mieszczan czy też kupców, ale jako się godzi możnym panom. Wskazując na trzy kaftany i bieliznę, dama rzekła:

– Przyjmijcie je. Takie same szaty kazałam sporządzić dla męża mego. Sądzę, że ten dar powinien być wam przydatny, chociaż niewielką ma wartość, oddaleni bowiem jesteście od żon waszych i macie jeszcze długą przed sobą drogę. Wiem przecie, że jako kupcy do czystości i wygody przyzwyczajeni być musicie.

Uprzejmość damy nowym podziwieniem gości przejęła. Widzieli, że pan Torello żadnej uprzejmości w stosunku do nich pominąć nie chce. Przypatrując się okazałym strojom, poczeli się obawiać, że gospodarz odgadł, kim są. Dlatego też jeden z nich rzekł w te słowa do małżonki pana Torella:

– Nie przystoją nam, madonno, tak okazałe stroje i zaiste, gdyby nie wielce uprzejma prośba wasza, nigdy byśmy ich nie przyjęli.

Wkrótce potem powrócił pan Torello. Żona jego, pożegnawszy gości i poleciwszy ich Bogu, odeszła, aby służbę ich w podobnie niezbędne rzeczy zaopatrzyć.

Pan Torello wielokrotnymi prośbami skłonił cudzoziemców do pozostania u niego w domu przez cały ten dzień.

Zażywszy nieco wczasu i przyodziawszy się w podarowane im szaty, wyjechali z gospodarzem swym na małą przejażdżkę po mieście. Gdy godzina wieczery nadeszła, w towarzystwie wielu dostojnych obywateli do świetnej uczyty zasiedli.

Nazajutrzy, podniósłszy się o świcie, ujrzeni na miejscu swoich zmęczonych rumaków trzy piękne i silne konie, a obok tyleż dobrych podjezdków dla służby. Saladyn na ten widok zwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

– Przysięgam na Boga, że nigdy doskonalszego i bardziej dwornego rycerza nie spotkał. Gdyby królowie chrześcijańscy umieli tak po królewsku postępować, jak ten rycerz po rycersku, zaiste sułtan Babilonu ani jednemu z nich oprzeć by się nie był w stanie, nie mówiąc już o tylu innych, gotujących się właśnie, by społem napaść na niego.

Widzieli, że odmowa na nic by się nie zdała. Za czym wsiedli wszyscy na koń i ruszyli po serdecznym podziękowaniu. Aliści gospodarz wraz z liczną kompanią za miasto ich odprowadził. Saladyn, aczkolwiek ciężko mu było z tak zacnym mężem się rozstawać, przynaglany czekającą go drogą, poprosił pana Torella, aby już do domu powracał. Torello odparł:

– Jeśli życzycie sobie, panowie, tego, abyśmy się już rozstali, gotów jestem do woli waszej się zastosować. Pierwej jednak powiem wam jedną rzecz: Nie wiem, kim jesteście, i wbrew

waszej woli nigdy nie będę próbował dowiedzieć się o tym. Nie wmówicie we mnie jednakże tego, że kupcami jesteście. A teraz Bogu was polecam!

Saladyn, który właśnie z całą kompanią pana Torella się pożegnał, rzekł zwracając się do niego:

– Kto to może wiedzieć, panie! Może zdołamy pokazać wam kiedyś nieco naszego towaru i przekonać was o prawdzie słów naszych; teraz zaśię żegnamy was i również Panu Bogu polecamy.

Saladyn po tym pożegnaniu ruszył wraz z towarzyszami swymi w dalszą drogę. Sułtan uczynił w duszy ślub, że jeśli w zbliżającej się wojnie nie zginie, będzie się starał uczcić pana Torella niemniej godnie, jak przez niego był uczczony.

Długo rozmawiał jeszcze ze swoimi towarzyszami o panu Torello i jego żonie, o wszystkich jego sprawach i postępkach i ustawicznie najgorętsze pochwały jego gościnności oddawał. Następnie zaśię, wszystkie ziemie zachodnie w niemałym utrudzeniu zjeździwszy, powrócił z towarzyszami swymi do Aleksandrii i sił nieprzyjacielskich dostatecznie świadomy, do obrony swego kraju gotować się począł. Pan Torello, powróciwszy do Pawii, myślał jeszcze długo nad tym, kim mogli być ci trzej cudzoziemcy, nic jednakże odgadnąć nie mógł.

Tymczasem nadszedł czas wyprawy krzyżowej. Z każdego kraju wyruszyły zbrojne orszaki. Pan Torello, mimo błagań i łez swojej żony, postanowił wraz z innymi na wojnę pociągnąć. Po ukończeniu wszystkich przygotowań, gdy już na koń siadać miał, rzekł do swej nad wszystko ukochanej małżonki:

– Jak widzisz, udaję się na wyprawę krzyżową tak dla pozyskania nieśmiertelnej sławy, jak i dla zbawienia duszy mojej. Powierzam ci wszystkie sprawy nasze i cześć imienia naszego.

Ponieważ jednak odjazdu pewien jestem, a powrotu zważywszy na tysiąc przygód, jakie mnie spotkać mogą, żadną miarą przewidzieć nie zdołam, chcę cię tedy o jedną łaskę prosić. Cokolwiek ze mną się stanie, jeśli nie otrzymasz pewnej o mnie wiadomości, czekaj na mnie rok, miesiąc i dzień jeden, licząc od dnia naszego pożegnania, i do tego czasu nie wchodź w nowe związki małżeńskie.

Żona, zalewając się łzami, odrzekła:

– Zaiste, panie, nie wiem, jak zniosę boleść, w którą mnie rozłąka z tobą pograży. Jeżeli jednak życie moje silniejsze od cierpienia się okaże, a tobie przydarzyłoby się co złego, to żyj i umieraj a tym przeświadczeniem, że jako małżonka twoja, wierna twojej pamięci będę do śmierci.

– Żono – odparł na to pan Torello – najmocniej przekonany jestem, że o ile to od ciebie zależeć będzie, dotrzymasz, danej mi obietnicy. Jednakże jesteś przecie młodą, piękną i z wysokiego idącą rodu białogłową, a do tego masz wiele chwalebnych powszędy znanych przymiotów. Nie wątpię tedy, że wielu znacznych i dostojnych panów wówczas, gdy słuch już o mnie zaginie, siarać się poczną o zdobycie ręki twojej i wraz pomocy braci twoich i krewniaków wzywać. Otóż, choćbyś się wzbraniała, namowom twej rodziny oprzeć się na pewno nie zdołasz i zmuszona będziesz uczynić to, co oni zechcą. Z tej więc oto przyczyny powyższy, a nie odleglejszy termin ci naznaczam.

– Zrobię wszystko, co będzie leżało w mej mocy, aby ci do mej śmierci wierną pozostać – odparła żona. – Jeżeli jednak zmuszą mnie do tego, abym od postanowienia mego odstąpiła, to w każdym razie uczynię to nie prędzej, aż upłynie termin wyznaczony mi przez ciebie. Tuszę jednakże, że modły moje wszelką złą przygodę od nas obojga odwrócą.

Rzekłszy to, z głośnym płaczem rzuciła się na szyję pana Torella, po czym zdjęła pierścień z palca i wręczyła mu go mówiąc:

– Jeślibym umarła, nim się znów ujrzemy, niechaj ten pierścień, ilekroć nań spojrzysz, przypomina ci o mnie.

Pan Torello przyjął pierścień, wsiadł na rumaka i pożegnawszy raz jeszcze wszystkich domowników swoich, w drogę wyruszył. Przybywszy z całym swym orszakiem do Genui,

wsiadł natychmiast na galere, wypłynął na pełne morze i w krótkim czasie dobił do Acri¹¹⁵, gdzie połączył się z resztą chrześcijańskiego wojska.

Wkrótce wśród rycerstwa zaczęła się szerzyć okrutna zaraza, tak iż straszliwa śmiertelność zapanowała.

Saladyn, korzystając z tego, dzięki chytrych swojej i szczęściu, które mu sprzyjało, prawie bez dobytka miecza pochwycił do niewoli resztę, oszczędzonych przez chorobę, chrześcijan. Rozdzielił ich i w różnych więzieniach pozamykał. Jednym z takich więźniów był i pan Torello. Zawiedziono go do więzienia w Aleksandrii.

Nikt go tam nie znał, on zasię z swojej strony bał się wymienić swojego nazwiska. Przymuszony nędzą, zabrał się do układania sokołów, w której to sztuce był mistrzem znamienitym. Wieść o jego biegłości doszła wreszcie do uszu Saladyna. Sultana uwolnić go kazał i jako sokolnika na swój dwór go przyjął. Pan Torello, którego nie inaczej jak tylko Chrześcijaninem Saladyna nazywano, nie poznał sultana ani ten jego. Służył tedy rycerz sultanowi, duszą jednak w Pawii przebywał. Próbował się kilkakrotnie ucieczką salwować, aliści nigdy mu się to nie udawało. Wreszcie zdarzyło się, iż na dwór sultana przybyło kilku posłów genueńskich w zamiarze wykupienia z niewoli rodaków swoich. Pan Torello wiedząc, że wkrótce odjechać mają, postanowił z tej okazji skorzystać i napisać przez nich list do żony. Doniósł w nim, że żyje i że będzie się starał jak najprędzej do niej powrócić, aby więc na niego czekała. Oddał pismo do rąk jednego z posłów, prosząc go gorąco, aby je doręczył opatowi z San Pietro in Ciel d'Oro¹¹⁶, wujowi jego, który już je do żony odesłał.

Pewnego dnia zdarzyło się, iż w czasie rozmowy z sultanem o sokołach, pan Torello uśmiechnął się z lekka, przy czym skrzywił usta w sposób jemu właściwy, który Saladyn w czasie pobytu u niego w Pawii wybornie zauważył. Począł mu się tedy bacznie przyglądać. Wydało mu się, że go poznaje. Chcąc jednak jeszcze lepiej się upewnić, zmienił materię rozmowy i rzekł:

– Powiedz mi, chrześcijaninie, z jakiej krainy Zachodu pochodzisz?

– Mój władco – odparł pan Torello – jestem Lombardczykiem, rodem z miasta zwanego Pawią, a do tego człekiem ubogim i z niskiego rodu idącym.

Saladyn, usłyszawszy to, niemal pewien już, z kim ma do czynienia, pomyślał z radością:

– Bóg nadarza mi sposobność okazania temu mężowi, jak dobrze jego gościnność pamiętam.

Po czym, nie mówiąc już ani słowa, polecił znieść mnóstwo szat swoich do jednej komnaty. Wprowadził do niej pana Torella i rzekł:

– Zobacz, chrześcijaninie, czy nie masz między tymi sukniami takiej, której byś już gdzieś nie widział?

Pan Torello ją przeglądać i spostrzegł te, które żona jego kiedyś Saladynowi ofiarowała. Nie wierząc jednak, aby to te same być mogły, odparł:

– Wszystkie te suknie są mi nie znane. Tylko dwie podobne są do szat, w które niegdyś odziany byłem wraz z trzema kupcami, goszczącymi wówczas w moim domu.

Usłyszawszy te słowa, Saladyn nie zdołał się już dłużej powstrzymać, jeno rzucił mu się w objęcia, wołając:

– Jesteś tedy panem Torello di Stra. Czyli nie widzisz we mnie jednego z trzech kupców, których żona twoja szatami tymi obdarowała? Teraz nadszedł czas, abyś uwierzył w towary moje. Obiecywałem ci to przy rozstaniu i na Boga, obecnie obietnicy dotrzymać pragnę.

Usłyszawszy te słowa, pan Torello uradował się niezmiernie, a równocześnie i zawstydził się nieco. Uradował się, że miał zaszczyt tak potężnego gościa przyjmować, a zawstydził się zważywszy, jak ubogim było to przyjęcie w stosunku do godności sultana.

Aliści Saladyn, przerywając bieg jego myśli, rzekł:

– Ponieważ Bóg mi was zesłał, panie Torello, wiedzcie tedy, iż nie ja, ale wy tutaj panem jesteście.

Rzekłszy te słowa, wśród objawów radości najwyższej kazał go w królewskie szaty przybrać, dał mu przodek przed wszystkimi wasalami swymi, obsypał go w przytomności innych

gorącymi pochwałami i oznajmił, iż każdy pod grozą utraty łaski sułtańskiej ma czcić pana Torella nie mniej niż jego osobę.

Wszyscy byli temu rozkazowi posłuszni. Najgorliwiej jednak czcili pana Torella owi dwaj panowie, których niegdyś rycerz lombardzki wraz z Saladynem w domu swoim gościł.

Świetność nagłego powodzenia oderwała nieco na pewien czas myśli pana Torella od Lombardii, tym bardziej iż szlachcic był prawie upewniony, że listy jego do celu dojść miały. Tymczasem zaszła wielce niespodziewana okoliczność. W obozie, a raczej w wojsku chrześcijańskim znajdował się pewien małoznaczny rycerz prowansalski, imieniem Torello de Dignes¹¹⁷, który umarł i pogrzebiony został właśnie w dniu, gdy Saladyn krzyżowców otoczył. Podobieństwo nazwiska wszystkich w błąd wprowadziło, tak iż ktokolwiek usłyszał słowa: „umarł pan Torello”, przekonany był święcie, że idzie o pana Torella di Stra, jako że ten daleko więcej był znany niżli pan Torello de Dignes. Dostanie się znakomitego rycerza do niewoli uniemożliwiło rozproszenie pomyłki.

Wielu Włochów z wieścią tą do kraju powróciło. Niektórzy śmieli twierdzić nawet, że widzieli jego ciało i na pogrzebie byli.

Wieść ta dotarła do żony pana Torella i jego krewniaków i wszystkich, ktokolwiek go znał, niewymowną boleścią przejęła.

Zbyt długo szerzyć by się tu nad tym wypadło, jak wielką była boleść, żaloba i rozpacz żony jego. Przez kilka miesięcy żyła ona, nieustannie jęcząc i gorzkie łzy przelewając. Gdy po pewnym czasie nieco się uspokoiła, wielu dostojnych i znacznych z Lombardii ludzi ruszyło w zaloty do niej, a krewniacy i bracia poczęli ją nakłaniać k'temu, aby w powtórne związki małżeńskie wstąpiła.

Na próżno, zalewając się łzami, po wiele razy opór stawiała, daremnie uciekała się do prósb i wybiegów, musiała wreszcie ustąpić, co też uczyniła pod tą jednakże kondycją, że ją ostawią w wdowieńskim stanie aż do upływu oznaczonego przez pana Torella terminu.

Tymczasem gdy w Pawii tak sprawy stały i gdy już tylko osiem dni brakowało do chwili, w której pod władzę nowego małżonka przejść miała, zdarzyło się, iż pan Torello spotkał w Aleksandrii człowieka, którego widział niegdyś, gdy wsiadał z posłami na pokład okrętu dążącego do Genui. Rozkazał go tedy przysłać i spytał, jaką mieli podróż i kiedy do Genui powrócili?

– Panie – odrzekł mu na to ów człowiek – nieszczęsną wielce podróż ta galera miała. Dowiedziałem się o tym na Krecie, gdzie się zatrzymał. W pobliżu Sycylii zaskoczyła ją burza rozbijając ją o brzegi berberyjskie¹¹⁸, tak że żywa dusza z niej nie uszła. Między innymi zginęli także moi dwaj bracia.

Pan Torello uwierzył jego słowom, które zresztą całkiem prawdziwe były. Wspomniawszy, iż termin wyznaczony małżonce za kilka dni upływa, za rzecz pewną to uznał, iż o losach jego nic w Pawii nie wiadomo, a żona jego albo już komuś innemu przyrzeczona została, albo też z zamysłem powtórnego małżeństwa się nosi. Myśl ta tak głębokim smutkiem go przejęła, iż stracił sen i apetyt, aż wreszcie zachorzał i umrzeć postanowił.

Saladyn, niezmiernie go miłujący, na wieść o tym przybył pośpiesznie do niego i po wielu prósbach i naleganiach dowiedziawszy się od pana Torella o przyczynie jego choroby zganił go naprzód, że wcześniej mu o tym wszystkim nie powiedział, po czym zaklął go, aby się uspokoić raczył i zaręczył, że jeśli to uczyni, to on, sułtan, na oznaczony termin do Pawii go dostawi. Za czym wyjawiał mu, jak to sprawi.

Pan Torello zaufał słowom Saladyna. Wiedząc, że podobne czarodziejskie sztuczki już nieraz się zdarzały, pokrzepił się na duchu i jął nalegać na sułtana, aby mu co rychlej słowa dotrzymał. Saladyn rozkazał jednemu ze swych czarowników, którego sztukę już nieraz wypróbował, znaleźć środek przeniesienia pana Torella na łożu do Pawii w ciągu jednej nocy.

Czarownik odparł, że chętnie to uczyni, ale że przedtem musi uspić pana Torella dla jego własnego dobra.

Saladyn takie przyrzeczenie otrzymawszy powrócił do pana Torella i znalazł go gotowym na wszystko, rycerz nasz bowiem postanowił albo do Pawii przed upływem oznaczonego czasu przybyć, albo też zejść z tego świata.

Saladyn, uspokoiwszy go nieco, rzekł w te słowa:

– Widzę, panie Torello, że miłujecie czule żonę swoją i obawiacie się, aby jej ktoś w stadło nie pojął. Bóg widzi, że nie mogę was ganić za to, że wszystkich bowiem kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, ona wydaje mi się największej pochwały godną ze względu na przyrodzenie swoje i obyczaje, że już nie wspomnę o piękności, która nietrwałym jest kwiatem.

Wierę, o wiele milej by mi było, gdybyście, skoro was los tu już przywiódł, czas, jaki wam i mnie jeszcze do życia pozostaje w moim państwie, wspólnie ze mną i w stanie równym memu stanowi przeżyli. Skoro mi jednak Bóg tej łaski dozwolić nie chciał i skoro postanowiliście umrzeć albo też w oznaczonym terminie w Pawii stanąć, to pragnąłbym był przynajmniej wcześniej uznać o tym. Byłbym wówczas w możności odesłania was do ojczyzny z czcią osobie waszej przyzwoitą. Aliści dzisiaj nie ma już po temu sposobu ani czasu, skoro wy pragniecie znaleźć się tam jak najprędzej, odeślę was zatem tak, jak na to okoliczności pozwalają.

– Mój władco – odparł na to pan Torello – słowa wasze są tutaj całkiem zbyteczne, bowiem czyny wasze dowiodły mi już dostatecznie waszej dla mnie życzliwości, na którą przecie w tak wielkiej mierze nie zasłużyłem.

Choćbyście mnie tedy o łasce waszej nie zapewniali, będę o niej wiedział i pamiętał aż do kresu ziemskich dni moich. Teraz zasię, skoro już tak postanowiłem, gorąco was proszę i błagam, abyście raczyli pośpieszyć się z odesłaniem mnie do Pawii, jutro bowiem przypada ostatni dzień oznaczonego przeze mnie żonie mej terminu.

Saladyn upewnił go, że najmniejsza zwłoka nie zajdzie. Następnego dnia, jako poprzedzającego noc odjazdu, rozkazał sułtan ustawić w swej obszernej komnacie wspaniałe łoże, na które rzucono materace wedle tamtejszego obyczaju aksamitem i złotą lamą pokryte. Na łoże rzucono przykrycie wyhaftowane w misterne skręty najdroższymi kamieniami i wielkimi jak groch perłami. Za skarb niebywałej ceny uznano je później w naszym kraju. Dwie cudnej roboty poduszki na wezłowniu umieszczono. Po czym sułtan polecił ubrać pana Torello, który tymczasem prawie całkiem do sił przyszedł, w saraceńską szatę, tak bogatą i piękną, iż drugiej takiej chyba na całym świecie nie masa, a na głowę, wschodnim zwyczajem, włożyć mu jeden z najświetniejszych zawojów swoich.

Tymczasem noc nastała. Wówczas Saladyn z wieloma dostojnymi panami wszedł do komnaty pana Torella, usiadł przy nim i ze łzami niemal w te słowa przemówił:

– Panie Torello! Oto zbliża się godzina rozłąki naszej. Ponieważ ze względu na sposób podróży waszej nie mogę wam ani sam towarzyszyć, ani nikogo do kampanii wam przydać, muszę tedy na tym miejscu z wami się pożegnać. Po to tu właśnie teraz przyszedłem.

Zanim jednak Bogu was polecę, zaklinam was na miłość i przyjaźń, jaka nas łączy, abyście o mnie pamiętali i abyście po ukończeniu różnych spraw w Lombardii, jeśli to możliwe, przed śmiercią moją jeszcze choćby raz przybyć tu raczyli. Dacie mi możliwość nie tylko ujrzenia was znowu, co mnie najżywszą napełni radością, ale co więcej, naprawienia winy, w którą z powodu tak wielkiego pośpiechu waszego obecnie popaść muszę. Nim się to jednak stanie, zechciejcie jak najczęściej obdarzać mnie listami i żądać ode mnie, czego tylko chcecie, naprawdę bowiem nikomu na świecie równie użytecznym być nie pragnę jak wam.

Pan Torello na te słowa nie mógł się od płaczu powstrzymać i dlatego też odpowiedział krótko głosem od łez przerywanym. Rzekł, iż niemożliwą to jest rzeczą, aby kiedykolwiek o dobrodziejstwach Saladyna i wielkoduszności jego zapomniał i że do wszystkich jego życzeń się zastosuje, jeśli mu Bóg tylko jeszcze życia udzieli.

Saladyn uściskał go tkliwie, ucałował i rzekł:

– A więc Bogu cię polecam!

Po czym pożegnał go raz jeszcze. Po chwili wszyscy udali się do komnaty, w której stało łoże dla pana Torella przygotowane.

Tymczasem noc posunęła się bardzo. Zjawił się niecierpliwy czarodziej, a z nim lekarz, niosąc w ręku czarę z napojem. Zapewniwszy pana Torella, że jest to trunek wzmacniający, podał mu tę czarę z prośbą, aby ją wychylił. Pan Torello uczynił to i niezwłocznie zapadł w sen głęboki. Na rozkaz Saladyna przeniesiono śpiącego rycerza na przygotowane łoże, na którym sam sułtan położył diadem wielkiej ceny i taki znak na nim umieścił, że nie było później wątpliwości, iż dar ten przesyła Saladyn małżonce pana Torella. Następnie włożył sułtan panu Torello na palec pierścień z tak lśniącem karbunkulem¹¹⁹, iż do płonącej pochodni był podobny. Prócz tego kazał mu przypasać do boku ozdobny miecz, którego wartość trudno było oznaczyć. Pas zapięto na klamrę wysadzoną perłami, które na całym świecie nie miały sobie równych, oraz mnóstwem innych klejnotów. Na rozkaz sułtana postawiono u boku śpiącego dwie wielkie misy złote, pełne dukatów, a u nóg jego moc pereł, pierścieni, pasów i innych kosztownych rzeczy, które by tutaj za długo wyliczać było.

Gdy już tego wszystkiego dokonano, ucałował Saladyn raz jeszcze pana Torella, po czym, na polecenie sułtana, dzięki sztuce czarnoksiężnika, łoże z rycerzem, śpiącym na nim, podniosło się ku górze, znikając po chwili. Sułtan pozostał długo jeszcze na tym miejscu, rozmawiając ze swymi wasalami o panu Torello.

Tymczasem uśpiony pan Torello wraz ze wszystkimi kosztownościami i ozdobami złożony został w kościele San–Pietro in Ciel d’Oro w Pawii, tak jak tego był pragnął.

Spał jeszcze, gdy dzwon uderzył na jutrznię i zakrystian ze światłem w ręku wszedł do kościoła. Ujrawszy niespodzianie tak bogate łoże, naprzód osłupiał z podziwu, a potem, gwałtowną trwogą zdjęty, rzucił się do ucieczki. Opat i mnisi zapytali go zdumieni, co się stało. Zakrystian opowiedział, co widział.

– Zaprawdę – zawołał opat, wysłuchawszy go – coś niecotliwego w tym się kryć musi. Nie jeden raz zakrystian ten już w tym kościele bywał i dzieckiem nie jest, lada czym tedy by się nie wystraszył. Pójdźmy przeto i obaczmy, co go tak zatrwożyło.

Opat kazał zapalić pochodnie, po czym wszedł z wszystkimi mnichami do kościoła. Ujrawszy wspaniałe łoże i uśpionego na nim rycerza, stanęli na miejscu i na świetne klejnoty spoglądali, nie śmiąc się zbliżyć. Tymczasem napój, panu Torello zadany, moc swoją utracił i rycerz, nasz zbudził się ze snu a głębokim westchnieniem. Mnisi, przerażeni tym widokiem, rzucili się do ucieczki z krzykiem: „Boże, ratuj!”

Pan Torello na ten okrzyk otworzył oczy, obejrzał się i poznał od razu, że znajduje się tam, gdzie być pragnął. Wielce rad temu, podniósł się z łoża i patrzeć począł na skarby rozsiane wokół siebie. Chociaż wspaniałomyślność Saladyna znał już dobrze przedtem, jednakoż teraz dopiero cały jej ogrom pojął. Widząc uciekających mnichów, odgadł przyczynę ich trwogi i jął wołać po imieniu na opata, aby się nie bał, ma bowiem swego siostrzeńca, Torella, przed sobą.

Opat jeszcze bardziej tymi słowy się przeraził, uważał bowiem Torella już od wielu miesięcy za umarłego. Opamiętawszy się jednakoż, na dźwięk swego imienia, uczynił znak krzyża świętego i przybliżył się do rycerza.

– O mój ojcie! – rzekł pan Torello – czegoż się tak lękacie? Ja to jestem, żywy i zdrowy. Dzięki łasce boskiej z za morza szczęśliwie wróciłem.

Jakkolwiek pan Torello miał długą brodę, a na sobie strój arabski, opat poznał go, wpatrzywszy się weń baczniej nieco. Po czym, uspokojony, wziął go za rękę i rzekł:

– Witaj mi z całego serca, mój synu!

Potem dodał:

– Nie masz się co trwodzi naszej dziwować, nie znajdziesz bowiem w całym mieście człowieka, który by cię za umarłego nie poczytywał. Powiem nawet więcej jeszcze. Oto madonna Adalieta¹²⁰, małżonka twoja, uległszy groźbom i namowom krewniaków twoich,

wbrew woli swojej, ma wejść w nowe związki. Dzisiaj rano ma się udać do domu małżonka swego, gdzie wszystko już przygotowano, by odprawić wesele.

Pan Torello na te słowa podniósł się żywo z łoża i pozdrowiwszy serdecznie mnichów, poprosił zarówno ich, jak opata, aby nikomu o jego powrocie nie wspominali, dopóki on pewnej ważnej sprawy nie załatwi. Po czym, rozkazawszy przenieść przywiezione skarby w bezpieczne miejsce, opowiedział opatowi o wszystkich swoich dotychczasowych przygodach. Opat, uszczęśliwiony pomysłem jego lasów obrotem, złożył wraz z nim gorące dzięki Bogu, po czym pan Torello zapytał, kto ma się stać mężem jego żony.

Opat wymienił imię oblubieńca, a wówczas pan Torello rzekł:

– Nim o powrocie moim się dowiedzą, chcę obaczyć, jak na tym weselu żona moja się zachowa. Dlatego też proszę was – jakkolwiek nie jest we zwyczaju, aby duchowni w takich biesiadach udział brali – abyście udali się tam ze mną.

Opat odrzekł, iż chętnie to uczyni. Gdy rozedniało, posłał tedy do oblubieńca z oznajmieniem, że wraz z towarzyszem swoim na wesele przybyć pragnie. Oblubieniec z chęcią przystał na to. Skoro tedy pora stosowna nastąpiła, pan Torello w stroju, w którym do Pawii przybył, udał się wraz z opatem do domu narzeczonego. Wszyscy spoglądali na niego ze zdumieniem, nikt go jednak nie poznał.

Tym, którzy się pytali, opat opowiadał, że jest to Saracen, wysłany w poselstwie przez sułtana do króla Francji. Posadzono tedy pana Torella przy stole naprzeciwko małżonki. Rycerz nasz przyglądał się z rozkoszą licom damy, na których ciężkie strapienie czytać się zdawało.

I ona także spojrzała na niego kilkakrotnie, nie poznając go jednak, bowiem długa broda, strój obcy całkiem jego pozór zmieniły, a do tego przekonana była przecież o jego śmierci.

Pan Torello pomyślał, że nastał czas poddania żony próbie, czy zachowała go w pamięci. Zdjął tedy pierścień, dany mu przez nią przy pożegnaniu, przywołał usługującego jej pafia i rzekł:

– Oświadczyć oblubienicy ode mnie, iż w ojczyźnie mojej leży to w obyczaju, że gdy jakiś cudzoziemiec w ślubnej uczcie udział bierze, jako ja tutaj, narzeczona na dowód, że przytomność jego jest jej miła, przysyła mu swój puchar pełny wina. Cudzoziemiec wypija nieco wina, nakrywa puchar i odsyła go narzeczonej, która resztę wychyla.

Paż powtórzył te słowa oblubienicy, ta zaś, jako niewiasta roztropna i dobrze ułożona, nie wątpiąc, że ma przed sobą osobę znakomitą, chcąc okazać, jak miłą jest jej obecność gościa, kazała obmyć wielki złoty puchar, który stał przed nią, i wypełniwszy go winem, podać szlachetnemu przybyszowi. Tak też zrobiono.

Wówczas pan Torello, wzięwszy pierścień swej żony do ust, niepostrzeżenie, w trakcie picia wina, wpuścił go do pucharu, który potem, nakrywszy, znów damie odesłał.

Dama, chcąc cudzoziemskiemu obyczajowi zadość uczynić, odkryła puchar, podniosła go do ust i wówczas na dnie pierścień ujrzała. Nie mówiąc ni słowa, przyglądać mu się poczęła. Wreszcie poznała, iż jest to pierścień mężowi przy pożegnaniu dany. Chwyciła go tedy w rękę, spojrzała bystro na rzekomego cudzoziemca i poznawszy go nagle, porwała się z miejsca, jakby obłędem rażona, przewróciła stół stojący przed nią i krzyknęła:

– To on, to mój mąż, na Boga, to pan Torello!

Po czym rzuciła się ku niemu, nie bacząc na nic ani na nikogo. Padła mu w ramiona i tak silnie chwyciła go w objęcia, że ani słowami, ani siłą oderwać jej od niego nie można było, dopóki sam pan Torello nie począł błagać, aby się nieco pomiarkowała, gdyż na uściski czasu im jeszcze nie zbraknie.

Wesele było już zamącone całkowicie, ale po części bardziej radosne, niż oczekiwano, z powodu odzyskania tak znamienitego rycerza. Pan Torello poprosił przytomnych, aby się uciszeli. Uczyniono tej prośbie zadość. Wówczas nasz rycerz opowiedział obecnym o wszystkim, co mu się od dnia odjazdu przytrafiło, i zakończył prośbą, zwróconą do oblubień-

ca, aby mu tego nie wziął za złe, iż damę, którą on chciał za żonę pojąć, biorąc go za umarłego, teraz jako żonę swoją odbierze. Oblubieniec, jakkolwiek trochę skonfundowany, przemógł się i odrzekł przyjaźnie, że pan Torello ma do własności swojej całkowite prawo.

Dama zwróciła pierścień i diadem otrzymany od oblubieńca, a włożyła na palec pierścień wydobyty z pucharu i diadem, przesłany jej przez sułtana. Po czym małżonkowie opuścili dom, w którym się znajdowali, i wraz z całym orszakiem weselnym do swego domu pociągnęli. Zbiegli się tam wkrótce krewniacy, przyjaciele i obywatele miasta, niepocieszeni po rzekomej śmierci pana Torella, i patrząc na niego jak na cudem zmartwychwstałego, weselili się długo i hucznie.

Pan Torello podarował część swoich klejnotów narzeczonemu, chcąc go za koszty wesela wynagrodzić, a także obdarzył opata i goszczących w domu jego.

Wkrótce przez niejedno posłanie dał znać Saladynowi o szczęśliwym przybyciu swoim. Uważając się zawsze za przyjaciela i sługę sułtana, żył długie lata wespół z cnotliwą małżonką.

Taki był koniec przygód pana Torella, taki kres cierpień jego umiłowanej małżonki i taka nagroda ich serdecznej, nie ociągającej się gościnności. Podobną gościnność wiele osób naśladować się stara, a chociaż mają po temu warunki, czynią to jednakowoż tak źle, że każą płacić za nią o wiele więcej, niż jest warta, i to zanim jeszcze dadzą jej dowody. Jeśli tedy takich ludzi żadna nagroda nie spotyka ani oni sami, ani nikt inny dziwić się temu nie powinien.»

Opowieść dziesiąta



GRYZELDA

Margrabia z Saluzzo, czyniąc zadość prośbom swoich podwładnych, postanawia żonę sobie wybrać. By jednak uczynić to na swój sposób, poślubia córkę prostego kmięcia, która mu dwoje dzieci na świat wydaje. Margrabia udaje, że je zabić kazał, a potem okazuje żonie, że już jej dłużej ścierpieć nie może i że w powtórne związki wstąpił. Pewnego dnia sprowadza do domu z powrotem własną córkę i za żonę ją podaje, wypędziwszy Gryzeldę w jednej tylko koszuli. Widząc, że Gryzelda wszystkie udreki cierpliwie znosi, przywołuje ją z powrotem do domu swego, większą niż kiedykolwiek miłością ją otaczając, pokazuje jej duże już dzieci i wszystkim każe złożyć jej hołd, jako margrabinie.

Długa opowieść króla przez całe towarzystwo z jawną przychylnością przyjęta została. Dioneo, śmiejąc się, rzekł w te słowa:

– Ów poczciwy oblubieniec, któremu sądzone było nader smutnie ślubną noc przepędzić, nie dałby, jak mi się zdawa, złamanego szeląga za te wszystkie pochwały, których panu Torello nie szczędzicie.

Po czym, wiedząc, że na niego, jako ostatniego kolej opowiadania przypada, w te słowa mówić począł:

– Najmilsze damy! Dzień dzisiejszy, jak widzę, samym królom, sułtanom i innym równie dostojnym ludziom poświęcony został. Aby od moich poprzedników zbytnio się nie różnić, opowiem wam o pewnym margrabim. Nie o wspaniałomyślnym czynie będę jednak mówił, lecz o okrucieństwie szaleńczym, chociaż w końcu na dobre się obróciło. Nikomu nie radzę, aby przykład ten naśladował, zaprawdę bowiem żalować należy, że ów człek nie został za postępek swój tak ukarany, jak na to zasłużył.

«Wiele już lat zbiegło od tej pory, gdy przodek w rodzinie margrabiów z Saluzzo¹²¹ dzierżył młody człek, imieniem Gualtieri. Nie mając żony ani dzieci, trawił cały czas na zaprawianiu do łowów swoich sokołów. Nie myślał wcale o ożenku i potomstwie, co zresztą dobrze o mądrości jego świadczyło.

Podwładni jego, wielce z tego nieukontentowani, prosili go nieraz, aby sobie żonę wybrał i postarał się o dziedzica dla swego imienia i majątności, a dla nich o przyszłego pana. Ofiaro-

wali się nawet sami, że znajdą mu stosowną dziewicę, z szlchetnego rodu idącą i tak pięknymi przymiotami obdarzoną, że w niej szczęście swoje znajdzie.

Gualtieri odrzekł im na ten kształt:

– Zmuszacie mnie, przyjaciele moi, abym uczynił to, czego nigdy zrobić nie chciałem. Wiedziałem zawsze, że trudno jest znaleźć żonę, której natura i obyczaje do natury i obyczajów męża podobne by były. Wielu ludziom natomiast źle dobrane żony prawdziwie smutne życie zgotowały. Powiadacie, że znajdziecie mi stosowną małżonkę w ten sposób, że przy jej wyborze będziecie baczliwi na naturę i skłonności jej rodziców. Wszystko to jest prawdziwą niedorzecznością. Jakże dowiecie się wszystkiego, czego trza, o ojcach, jak przenikniecie tajemnice matek? Poza tym zaliż nie wiemy, że córki są częstokroć do rodziców swych niepodobne. Ponieważ jednak koniecznie chcecie mnie w te łańcuchy zakuć, niechaj się więc według waszej woli stanie. Abym się jednak na samego siebie mógł tylko skarżyć, w przypadku gdy jakoweś zło z tego się urodzi, tedy sam sobie chcę żony poszukać. Wam zaś oświadczam, że jeśli tej, którą wybiorę, nie będziecie czcili jako pani waszej, bez względu na jej stan poprzedni, to wkrótce na własnej skórze przekonacie się, jak wdzięczny jestem wam za to, żeście mnie wbrew woli mojej ożenili.

Poczcivi poddani odrzekli, że zgadzają się na wszystko, byleby on na swój ożenek przystał.

Gualtieri już dawno zwrócił uwagę na obyczaje pewnej ubogiej dziewczeczki, pochodzącej z włoski, która w pobliżu zamku leżała. A że i wielce urodziwą mu się wydała, więc sądził, że przy niej będzie mógł pędzić życie bez troski. Nie namyślając się tedy dłużej, za żonę pojąć ją postanowił. Pewnego dnia kazał przywołać ojca jej, człeka podłego wielce stanu, i rzekł, że córkę jego w stadło chce pojąć. Po czym, zgromadziwszy wszystkich przyjaciół swoich z okolicy, tak rzekł do nich:

– Pragniecie, moi przyjaciele, abym się ożenił! Zgodziłem się na to raczej, aby waszej prośbie zadość uczynić niżli sobie przyjemność sprawić. Obiecaliście mi, że tej, którą pojmem za żonę, kimkolwiek by ona była, okazywać będziecie cześć, należną pani waszej. Teraz nadszedł czas, aby obopólne przyrzeczenia wypełnione zostały. Znalazłem w pobliżu dziewicę, która mi do serca przypadła i którą mam zamiar za kilka dni do domu mego, jako żonę wprowadzić. Zajmijcie się tedy przygotowaniem świetnej uczyty weselnej i przyjmijcie godnie moją narzeczoną, abym mógł być z was ukontentowany, tak jak wy ze mnie już być dzisiaj możecie.

Wszyscy przytomni odparli, że wiadomość ta ucieszyła ich niezmiernie i że ktokolwiek by to był, będą wybraną przez niego dziewicę czcili i za swoją panią uważali.

Po czym zarówno Gualtieri, jak i wszyscy inni jęli przygotowywać wspaniałą i świetną ucztę weselną, na którą margrabia sprosił krewniaków swoich, przyjaciół i okolicznych sąsiadów. Po czym kazał uszyć mnóstwo bogatych i ozdobnych szat na miarę pewnej dziewczyny, której wzrost wydał mu się podobny do wzrostu przyszłej jego żony. Postarał się także o przepaski, pierścienie i o piękny, bogaty wieniec dla oblubienicy, jako też o wszystko, czego potrzebować mogła.

Gdy zbliżył się dzień na wesele oznaczony, Gualdieri wsiadł z rana na rumaka, wydał wszystkie niezbędne zarządzenia i wyruszył z zamku w towarzystwie wszystkich gości swoich, rzekłszy do nich uprzednio:

– Nastął czas, abyśmy narzeczoną moją tu sprowadzili. Wszyscy ruszyli za nim drogą ku owej wiosce i wnet stanęli przed domem ojca owej dziewczycy, którą spotkali, jak wracała właśnie co tchu z wodą od studni, by następnie po społu, z innymi białogłowami obaczyć narzeczoną pana Gualtieriego.

Gualtieri, ujrawszy ją, zawołał na nią po imieniu (dzieweczka zwała się Gryzeldą) i spytał, gdzie się jej ojciec znajduje.

– Jest w domu, dostojny panie – odrzekła dziewczeczka, srodze zawstydzona.

Wówczas Gualtieri zsiadł z rumaka, polecił wszystkim, aby czekali na niego, a sam wszedł do nędznej lepianki. Zastawszy ojca dziewczeczki, zwanego Giannucolo, rzekł doń:

– Przybyłem, żeby zaślubić Gryzeldę. Pierwej jednak muszę ją o coś w przytomności waszej zapytać.

I tutaj zapytał ją, czy gdy ją pojmie za żonę, będzie się starała zawsze wedle jego upodobań postępować, nie obruszać się nań ani nie gniewać, cokolwiek by czynił lub mówił, czy posłuszeństwa mu dochowa, a także wiele innych podobnych zapytań jej zadał, na które Gryzelda odpowiedziała twierdząco. Gualtieri wziął ją wówczas za rękę, wywiódł z domu i kazał ją w przytomności całej świty swojej oraz wszystkich obecnych rozebrać do naga, aby ją potem szybko obuć i odziać w szaty dla niej przygotowane i na włosy jej, w wielkim nieładzie będące, wieniec włożyć.

Potem, obracając się do zadziwionych srodze świadków, rzekł w te słowa:

– Panowie, oto dziewica, którą pojmem za żonę, jeżeli tylko wyjść za mnie zechce.

I obróciwszy się do niej, stojącej w pomieszeniu i zawstydzony, zapytał:

– Gryzeldo, chcesz mnie wziąć za męża?

– Tak, panie! – odparła.

– Ja zaśię – rzekł Gualtieri – chcę cię pojąć za żonę.

Wyrzekłszy te słowa, poślubił ją w przytomności całego zgromadzenia, po czym wsadził ją na rumaka i w otoczeniu dworzan powiódł do swego domu. Nazajutrz odbyło się wesele tak okazałe, jakby z córką króla francuskiego się żenił. Co do narzeczonej, to mogło się zdawać, że wraz z sukniami swoją naturę i obyczaje przemieniła.

Była ona, jak już o tym wspominaliśmy, piękną z kształtów i rysów dziewczeczką, teraz zaś stała się także miłą, uprzejmą i obyczajną nad wyraz, tak iż wkrótce nikt by już nie uwierzył, że to córka Giannucola i że kiedyś pasterką owiec była.

Owszem, dzieckiem szlachejnych rodziców być się zdawała, i to do tego stopnia, że zdziwieniem przejmowała każdego, kto ją był znalazł uprzednio.

A przy tym wszystkim okazywała mężowi swemu takie posłuszeństwo i tak usłużną mu była, iż poczytywał się on za najszcześliwszego na świecie człowieka. Do poddanych swego małżonka Gryzelda z taką uprzejmością i dobrotliwością się obracała, iż nie było między nimi ani jednego, kto by jej więcej niż samego siebie nie kochał i najgłębszej czci jej nie okazywał. Wszyscy modlili się za jej zdrowie i szczęście, ci zaśię, którzy wkrótce po weselu twierdzili, że Gualtieri nierozważnie postąpił, za żonę ją biorąc, teraz zapewniali, że jest to najprzenikliwszy i najroztropniejszy na świecie człowiek, nikt bowiem, krom niego, nie mógłby odgadnąć tak wielkiej cnoty, ukrytej pod nędznymi łachmanami i wieśniaczym przyodziewkiem. Wkrótce młoda margrabina zasłynęła dzięki swym przymiotom i dobrym uczynom nie tylko w całej okolicy, ale wszędzie, tak iż wszyscy zmienili przekonanie o lekkomyślnym wyborze Gualtieriego.

W niedługi czas po ślubie Gryzelda zaszła w ciążę i gdy nadeszła pora, wydała na świat córkę, czym Gualtieri nad wyraz się uradował.

Niebawem przyszła mu do głowy osobliwa myśl, aby długim doświadczeniem i okrutnymi cierpieniami żonę swoją wypróbować. Naprzód tedy ją dręczył słowami, udając wielce strapionego i napomykając, że podwładni jego niezadowoleni są z jej nikczemnego stanu, a zwłaszcza z tego, że nie syna, lecz córkę na świat wydała, tak że szemrają nieustannie.

Gryzelda, wysłuchawszy tych słów, nie pokazała po sobie najmniejszego gniewu i rzekła łagodnym głosem:

– Uczyni ze mną, panie mój, co ci się zdaje właściwym dla honoru i spokoju twego. Zgadzę się na wszystko, wiem bowiem, że znaczę mniej od nich i niegodną jestem zaszczytów, którymi dobroć twoja mnie obsypała.

Respons ten wielkie ukontentowanie panu Gualtieriemu sprawił, okazało się bowiem jawnie, że wszystkie honory i zaszczyty najmniejszej pychy w Gryzeldzie nie rozbudziły.

Mimo to wkrótce potem, oświadczywszy jej raz jeszcze, że podwładni córki z niej zrodzonej ścierpieć nie mogą, wysłał do niej jednego z zaufanych sług swoich, który stanąwszy przed nią rzekł z bolesnym wyrazem twarzy:

– Madonno, pod grozą śmierci wykonać muszę rozkaz mego pana. Kazał mi zabrać córeczkę waszą, abym ją...

Nie dodał nic więcej.

Niewiasta, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na jego twarz, przypomniała sobie, co jej małżonek przed kilkoma dniami mówił, i pojęła, iż sługa ma rozkaz zabicia dziecięcia.

Wyjęła tedy szybko córeczkę swoją z kołyski, ucałowała ją, pobłogosławiła i mimo bezmiaru bólesci, jaką w sercu czuła, nie drgnąwszy na twarzy, oddała dziecę w ręce sługi z tymi słowy:

– Weź dziecko i spełnij dokładnie, co twój i mój pan ci rozkazał. Proszę cię jeno, abyś nie rzucał dziecka na rozszarpanie drapieżnym zwierzętom lub ptakom, jeśli to się woli mego męża nie sprzeciwi.

Sługa wziął dziecę i powrócił do pana Gualtieriego, który, usłyszawszy o zachowaniu się małżonki swojej, oniemiał z podziwu nad siłą jej duszy. Niemniej jednak wysłał sługę z dziećciem do Bolonii, do jednej ze swych krewniaczek, prosząc ją, aby dziecku staranne wychowanie dała, nie odkrywając, czyją jest córką. W niejaki czas potem Gryzelda urodziła syna, którego pan Gualtieri tak gorąco pragnął. Ponieważ jednak dotychczasowe próby nie wydały mu się jeszcze dostatecznymi, odezwał się do żony pewnego dnia z pełnym niepokojem wyrazem twarzy, aby ją jeszcze głębszą boleścią przejąć:

– Żono, od czasu, jak urodziłaś tego chłopca, nie mogę żadną miarą z podwładnymi mymi trafić do ładu, tak szemrzą na to, iż wnuk Giannucola ma po mnie nad nimi panować. Obawiam się tedy, że mnie wypędzą, jeśli z tym dzieckiem nie postąpię jak z tamtym i jeśli na koniec nie porzucę cię i innej żony nie pojmę.

Niewiasta wysłuchiwała tych słów cierpliwie i odrzekła tylko:

– Panie mój, dbaj jeno o to, abyś był spokojnym i szczęśliwym, a o mnie nie troszcz się bynajmniej. Nie ma dla mnie nic na świecie krom tego, co ci jest miłe.

Po kilku dniach Gualtieri postąpił z synem w ten sposób, jak pierwej z córką, ostawiając Gryzeldę w przekonaniu, że dziecę zabite zostało. I tym razem dama ani jednym słowem nie zdradziła ciężkiej bólesci swojej, co Gualtieriego w najwyższy wprowadziło podziw. W głębi duszy przyznawał, iż żadna inna kobieta nie zdolna by była czegoś podobnego dokonać. Gdyby nie był twardo przekonany o wrodzonej miłości, jaką do swych dzieci żywiła, o ile tylko on nie był temu przeciwny, byłby sądził, że postępuje tak z obojętności w stosunku do nich, gdy tymczasem poznał, że kieruje nią tylko rozwaga. Podwładni jego, mniemając, że istotnie swoje dzieci pozabijać kazał, groźnie szemrać poczęli. Im okrutniejszym człowiekiem im się zdawał, tym żywszym współczuciem dla biednej Gryzeldy się przejmowali. Ona jednakże innym niewiastom na wszystkie słowa pociechy odpowiadała jeno, że godzi się z wszystkim, co postanowił ten, kto je do życia powołał.

Gdy niemało lat od urodzenia córki upłynęło, panu Gualtieriemu wydało się, iż przyszła pora, aby cierpliwość swojej małżonki na ostatnią i najcięższą wystawić próbę. Oświadczył tedy w przytomności wielu osób, że żony swojej żadną miarą dłużej już ścierpieć nie może i że teraz dopiero widzi, jak źle i nieopatrznie postąpił, do swego domu ją wprowadzając. Dlatego też postanowił zwrócić się do papieża z prośbą o rozwiązanie małżeństwa swego, tak aby mógł po raz wtóry się ożenić.

Wielu uczciwych ludzi ostro mu ten zamiar zganiło, Gualtieri odparł jednak, że tak być musi.

Gryzelda, usłyszawszy o tym postanowieniu, wiedziała, że będzie musiała powrócić do ojcowskiej chaty, może owce pasać, jak dawniej, a także znosić to, że inna białogłowa będzie

posiadała jej męża ukochanego nad wszystko. Cierpiąc najsrozsze męczarnie, zbierała siły, aby z pogodą przyjąć ten nowy dopust losu, tak jak i poprzednie.

Po kilku dniach pan Gualtieri wręczyć sobie kazał zmyślane listy, niby to z Rzymu nadesłane, i wmówił w swoich poddanych, iż papież udziela mu dyspensy na powtórne ożenienie się i porzucenie Gryzeldy. Gualtieri wezwał Gryzeldę i w przytomności podwładnych rzekł do niej w te słowa:

– Żono, na mocy pozwolenia papieskiego mam prawo pojąć inną małżonkę a ciebie opuścić.

Przodkowie moi byli wielce szlchetnego rodu i władcami tego kraju, twoi zasię szli z chłopskiego stanu, dlatego też nie chcę cię już za żonę i rozkazuję ci, abys do swego ojca powróciła wraz z wianem, któreś mi wniosła, ja zasię wprowadzę tu inną, którą uznałem za stosowną dla siebie.

Niewiasta wysłuchała tych słów przezwyyczajając swoją mdłą białogłowską naturę i powstrzymawszy łzy rzekła:

– Panie mój, nie zapomniałam o tym nigdy, że mój nikczemny stan twemu dostojnemu rodowi nie odpowiada. To, że twoją żoną się stałam, uważałam zawsze za dar twojej i bożej łaski. Nigdy nie sądziłam, że ten zaszczyt z prawa i na zawsze mi się należy: za pożyczony go tylko poczytywałam. Obecnie, ponieważ podoba ci się żądać zwrotu darów twoich, muszę ci je oddać. Oto twój pierścień, którym się ze mną zaręczyłeś, przyjm go z powrotem. Rozkazujesz mi, abym zabrała wniesione ci wiano. Nie potrzebuję na to skrzyń ani jucznego bydłęcia, nie zapomniałam bowiem, iż nagą mnie wzięłeś. I jeśli godziwą ci się wyda rzeczą, aby to łono, które dzieci twoje nosiło, na pośmiewisiko tłumy wystawione zostało – odejdę stąd naga. Proszę cię jednak, abym w zamian za moje dziewictwo, które ci przyniosłam, a którego z sobą na powrót zabrać nie mogę, odeszła stąd choćby w jednej koszuli.

Gualtieri, bliski płaczu, zachował niewzruszony, surowy wyraz oblicza i rzekł:

– Dobrze, weź jedną koszulę.

Wszyscy przytomni prosili go, aby jej przynajmniej jedną sukienkę podarował, jakże by bowiem znieść to mógł, aby kobieta, która przez kilkanaście lat jego żoną była, tak haniebnie i nędznie w jednej koszuli tylko z jego domu wyjść miała. Wszystkie prośby na nic się jednak nie zdały i Gryzelda boso, w koszuli i z odkrytą głową, gorąco wszystkich Bogu poleciwszy, opuściła dom małżonka swego, wracając do ojca wśród rzewnego płaczu wszystkich przytomnych. Giannucolo, który nigdy nie mógł uwierzyć, że jego córka naprawdę żoną Gualtieriego się stanie i który z dnia na dzień czekał na to, do czego teraz przyszło, zachował stare jej suknie, które zdjęła z siebie owego poranku, gdy Gualtieri przybył po nią. Stary wieśniak wy dobył teraz szatki te, a Gryzelda, odziewszy się w nie, zajęła się powszednią domową pracą, którą ongiś wykonywała, znosząc z niezłomnym duchem okrutny cios wrogiej doli.

Gualtieri tymczasem udał przed swymi ludźmi, że wybrał sobie za żonę córkę hrabiego Panago i zarządziwszy okazałe przygotowania do wesela, po Gryzeldę posłał. Gdy się zjawiła, rzekł do niej w te słowa:

– Mam zamiar sprowadzić białogłową, którą niedawno sobie wybrałem. Chciałbym ją na powitanie godnie przyjąć. Nie ma w domu moim niewiast, które by umiały przysposobić komnaty i przygotować wszystko, czego taka uroczysta okazja wymaga. Nikt zaś lepiej od ciebie na tych rzeczach się nie zna. Urządź więc wszystko jak należy, sproś damy wedle swego wyboru i przyjmij je, jakbyś panią tego domu była. Po weselu będziesz mogła znów do ojca powrócić.

Jakkolwiek każde z tych słów było ciosem sztyletu dla serca Gryzeldy, która miłości do Gualtieriego razem z pomyślnością wyrzec się nie mogła, odrzekła jednak spokojnie:

– Jestem gotowa uczynić, mój panie, wszystko, co tylko każesz.

I powróciwszy w grubych szatach z sukna romańskiego do tego samego domu, który niedawno w koszuli opuściła, jęła komnaty czyścić i porządkować, tkaniny po izbach rozwie-

szać, kuchnią się zajmować, słowem, jak prosta służebna do wszystkiego rękę przykładac. Spoczęła nie pierwej, aż wszystko urządziła tak jak należało. Wówczas, zaprosiwszy jeszcze w imieniu Gualtieriego wszystkie damy z okolicy, czekała dnia uroczystości. Gdy dzień zaślubin nadszedł, Gryzelda, w nędzne szaty odziana, z godnością, układnością i wesołym obliczem przyjęła damy na wesele przybyłe.

Gualtieri oddał dzieci swoje na staranne wychowanie do pewnej krewniaczki, zamężnej za grabią Panago. Córka jego, tak urodziwa, że piękniejszej trudno by było na całym świecie znaleźć, liczyła dwanaście lat, syn zaś był sześciolatnim chłopcem. Gualtieri wyprawił poselstwo do krewniaka w Bolonii z prośbą, aby przybył do Saluzzo wraz z dziećmi, w otoczeniu dobranego orszaku i aby po drodze mówił wszystkim, iż panu Gualtieremu narzeczoną wiezie, nie zdradzając nikomu kim ona jest naprawdę.

Krewniak spełnił wolę markiza i wyruszywszy w drogę, po kilku dniach przybył w porze obiadu do Saluzzo wraz z młodą dziewczką, bratem jej i świetnym orszakiem. Znalazł tam już wielu obywateli miasta, a także mieszkańców okolic, oczekujących nowej małżonki Gualtieriego. Młodą narzeczoną powitały wszystkie damy, wprowadzając ją do sali, w której stoły nakryto. Tutaj Gryzelda wyszła jej naprzeciw tak jak stała i rzekła radośnie zwracając się do dziewicy:

– Witaj, pani moja!

Damy daremnie błagały Gualtieriego, aby Gryzeldę w jej komnacie w spokoju zostawił albo też przyodział ją w jakieś jej dawne szaty, tak aby przed obcymi w tak nędznym stroju nie była zmuszona się pokazywać, jednakże wszystkie te prośby na niczym spełzły. Wkrótce goście zasiedli do stołu i ucza się rozpoczęła. Oczy wszystkich zwrócone były na dziewicę; powszechnie się zgadzano, że Gualtieri dobrą zamianę uczynił. Gryzelda najbardziej się dziewczką i braciszkiem jej zachwycała.

Gualtieri, któremu wreszcie się wydało, że dość ma już dowodów cierpliwości żony swojej, i widząc, że niestatek losu w niczym jej nie zmienił (wiedział przy tym, że nie płynie to wcale z tępego przyrodzenia, poznał bowiem wielką jej mądrość), osądził, że nadszedł czas, aby uwolnić ją od gorzkich doświadczeń i położyć kres jej męce, którą skrywała pod spokojnym oblicza pozorem.

W przytomności całego zgromadzenia przywołał ją przeto do siebie i rzekł z uśmiechem:

– No, jakże ci się podoba moja nowa małżonka?

– Panie mój – odparła Gryzelda – siła dobrego o niej powiedzieć bym mogła. Jeżeli, jak mniemam, ma, tyle rozsądku, ile piękności, to nie wątpię bynajmniej, że najszczęśliwszym na świecie człowiekiem was uczyni. Zaklinam was jeno i błagam, abyście oszczędzali sercu jej tych doświadczeń, których inna białogłowa, niegdyś do was należąca, tak wiele znosić musiała. Ledwie bowiem uwierzyć mogę, aby ta dziewica, tak młoda i w takich dostatkach wzrosła, mogła przenieść to, co ścierpiała tamta, przywykła od dziecka do ciągłych trudów.

Gualtieri, widząc, że Gryzelda najmocniej przekonana, iż dziewica ta ma jego żoną zostać, jednak jak najlepiej o niej mówi, wezwał ją, aby obok niego usiadła i rzekł:

– Gryzeldo, nadszedł czas, abys wreszcie zakosztowała owoców twojej długiej cierpliwości i aby ci, którzy mnie za okrutnika, tyrana i szaleńca poczytywali, przekonali się, że wszystko, co czyniłem, do jednego, z góry przewidzianego celu zmierzało. Poddanych moich chciałem nauczyć, jak im żony wybierać i zachować należy, ciebie dobrą żoną uczynić, a samemu sobie zapewnić spokój na cały czas pożycia z tobą. Żeniąc się, obawiałem się, że nie szczęście sobie gotuję, dlatego też postanowiłem doświadczać cię i ranić na różne sposoby. Ponieważ jednak przez cały ten czas słowem ani czynem woli mojej się nie sprzeciwiłaś, pojąłem, że znalazłem w tobie to szczęście, jakiegom pragnał. Teraz, zasię chcę ci od razu powrócić wszystko, com ci częściowo zabierał, i najżywszą radością zagoić rany serca, jakie ci zadałem. Przyjmij z wesołym obliczem tę, którą za narzeczoną moją poczytywałaś i jej brata; są to twoje i moje dzieci, które wszyscy od dawna poczytywali już za okrutnie przeze mnie

pomordowane. Ja sam jestem małżonkiem twoim miłującym cię nad wszystko i to przekonanie żywiącym, że na całym świecie nie masz drugiego męża, który by z żoną swoją podobnie był szczęśliwy.

Po tych słowach uściskał ją, ucałował i wstawszy od stołu wraz z Gryzeldą, zalaną z radości łzami, skierował się ku córce swojej, nie pojmującej niczego z tego, co zaszło. Rodzice uścisnęli czule dzieci swoje i wszystkich przytomnych z błędu wywiedli.

Damy uradowane podniosły się z miejsc swoich i udały się po społu z Gryzeldą do jednej z komnat, gdzie wśród życzeń najlepszych zdjęły z niej lichy przyodziewek i w jedną z jej godnych szat ją przybrały, po czym wprowadziły ją znów do sali jako panią, którą i w swoich łachmanach zdawać się nie przestała. Tam dziećmi cieszyli się wszyscy nad podziw i radość zapanowała powszechna. Zaczęła się uczta, która przez kilka dni trwała. Gualtieriego poczęto uważać od tej chwili powszechnie za wielce mądrego człeka, chociaż próby, którym poddał swoją żonę, wszystkim zbyt dotkliwymi i okrutnymi się zdawały. Osobnymi pochwałami mądrość Gryzeldy wysławiano.

Grabia da Panago po kilku dniach do Bolonii powrócił. Gualtieri teścia swego Giannucola od ciężkiej pracy oswobodził, dostatek mu zapewnił i w szczęściu i spokoju na starość żyć mu pozwolił. Później margrabia wydał swą córkę za męża za wysoce szlachetnego młodzieńca, sam zaś żył długo i szczęśliwie z Gryzeldą, w osobnym zachowaniu i czci ją mając.

Cóż możecie powiedzieć o tej materii? Chyba jeno to, że i do chat ubogich duch boży z niebios zstępuje, a w pysznych pałacach można znaleźć takich, którzy winni raczej trzody pasać niż ludami rządzić. Któż krom Gryzeldy zdolny byłby znieść z spokojnym, a nawet wesołym obliczem twarde i niebywałe próby, jakim ją Gualtieri poddał? Jego zaś należna spotkałaby odplata, gdyby trafił na niewiastę, która, wygnana z domu w jednej koszuli, pozwoliłaby innemu przetrząść swe futro, tak żeby godziwe okrycie zyskała.»¹²²

Gdy Dioneo opowiadanie swoje zakończył, damy ożywioną rozmowę zaczęły, różne przeciwnie sądy wypowiadając, chwalać i ganiać na przemian niejedno w materii opowieści. Rozprawiano o tym długo. Wreszcie król, spojrzawszy na niebo i obaczywszy, że słońce już się ku zachodowi chyli, nie powstając z miejsca, rzekł w te słowa:

Piękne damy, jak wiecie, trud rozumu śmiertelników nie tylko na tym się zasadza, aby w pamięci przeszłość zachowywać i znać terażniejszość, ale dzięki jednej i drugiej przewidywać przyszłość. Najroztropniejsi ludzie za szczyt mądrości to poczytują. Jak wam wiadomo, jutro upływa czternaście dni od czasu, gdyśmy Florencję opuścili, aby swoje życie i zdrowie ochronić, a także rozproszyć owe troski i smutki, jakie nas w mieście rodzinnym ustawnie dręczyły, odkąd morowa zaraza w nim wybuchła.

Wydaje mi się, że wszystko, cośmy zamierzali, godziwie spełnione zostało. Bawiliśmy się wprawdzie opowieściami wesołymi i budzącymi może pożądlivość, jedliśmy i pili do syta, grali i śpiewali, co wszystko do rzeczy nie zawsze przystojnych pobudzać zwykło słabe umysły. A jednak w czasie pobytu tutaj żadne słowo ani uczynek żaden tak z waszej, jak i naszej strony na naganę nie zasłużył. Panowały wśród nas niezmiernie dobre obyczaje, zgoda i rodzinna zażyłość. Oto, o czym się przekonałem, jeśli tylko dobrze patrzyć umiałem. Niewątpliwie ze względu na waszą i moją cześć, a także wspólny nasz pożytek, przekonanie takie miłe wam być musi. Aby jednak przez długie obcowanie z sobą nie doprowadzić do niczego, co by przykrości za sobą pociągnąć mogło, i przez pozostawanie tu nazbyt się przewlekające nie dać powodu do dotkliwych dla naszej czci pogłosek, uważam, że – jeśli wasza taka wola – powinniśmy powrócić tam, skąd przybyliśmy, zwłaszcza że każdy już miał swój dzień, miał udział w zaszczycie królowania, który teraz ja piastuję. Dodam do tego jeszcze tę okoliczność, że o naszym pobycie tutaj wieści się szeroko rozniosły, tak iż inni uchodźcy mogliby się do nas dołączyć, co by zapewne wiele uroku dniom naszym, tutaj spędzanym, odebrało. Jeżeli tedy rada moja wam się podoba, to zatrzymam powierzona mi koronę aż do chwili naszego

powrotu, który jak mniemam, jutro rano nastąpić powinien. Jeśli jednak inną uchwałę po-
weźmiecie, to mam już na myśli kogoś, którego na dzień jutrzejszy ukoronujemy.

Młode damy i kawalerowie długo naradzali się między sobą, wreszcie jednak radę króla za
dobrą i słuszną uznali i postanowili do niej się zastosować. Król tedy kazał przywołać mar-
szałka, omówił z nim wszystko, co nazajutrz uczynić należało, a potem powstał dając towa-
rzystwu swobodę aż do wieczora. Wszyscy, jak to w zwyczaju leżało, różnym rozrywkom się
oddali. Potem, gdy pora wieczerzy nastąpiła, zasiedli z najwyższą przyjemnością do stołu. Po
wieczerzy rozpoczęły się śpiewy z muzyką i tańce, którym Lauretta przewodziła. Fiammetta
na rozkaz króla taką piosenkę wdzięcznie zanuciła:

Gdyby się zazdrość zbytnio nie łączyła
Z miłości kwiatem,
Szczęśliwszą któraż by ode mnie była?

W kochanku moim młodości uroki
Wiosny świeżością błyszczą i nadzieją,
Cześć oraz godność wiedzie jego kroki,
W uczynkach dzielność i dobroć jaśnieją;
Z mądrością łączy wymowy słodyczne,
Kształty posągu z ruchy szlachetnymi,
Któraż dziewica na szerokiej ziemi
Piękniejsze kiedy kochanka oblicze,
Piękniejszą duszę wyśniła?

Lecz właśnie wszystkich tych przymiotów całość
O niego lękać się i drzeć mi każe:
I inne widzą jego doskonałość
I z nim by siebie chciały ujrzeć w parze!
Kto wie, z jakimi myślami się noszą,
Jakie zasadzki, jakie stawia sieci!
Więc wdzięki jego są dla mnie rozkoszą,
Która zarazem wieczną troskę nieci,
Drzę, że rywalki mój sen szczęścia spłoszą,
Że mi go porwie ich siła!

Och, gdybym mogła mieć tyle ufności,
Ile miłości mam dla niego w duszy,
Byłabym wolna od srogich katuszy,
Które sprowadza zazdrość z sobą w gości.
Lecz mężczyzn plemię, w kochaniu niestałe,
Za każdą nową idzie kusicielką,
Więc nie bez racji życie moje całe
Jest ciągle trwogą i męczarnią wielką,
Umieram w chwili, gdy oko zuchwałę
Któraś na niego zwróciła!

I błagam Boga, by od siostr mej duszy
Oddalał wiecznie zdrady myśl złośliwą,
Skarbu mojego żadna z was nie ruszy,
Lecz gdyby która miną pieszczotliwą,

Pochlebny słowem lub choćby skinieniem
Ku sobie kiedy przywabić go chciała,
Przed gniewem moim niechaj drży, zuchwała!
Stanę się zemsty trawiącym płomieniem.
Nie będzie ciszy ni spoczynku miała,
Aż zginie ta, co zdradziła.

Gdy Fiammetta pieśń swoją skończyła, Dioneo, stojący obok niej, rzekł z uśmiechem:

– Madonno, dobrze uczynicie, mówiąc wszystkim, kim jest wasz kochanek, tak aby żadna z dam przez nieświadomość nim nie owładnęła, skoro tak srogim mielibyście zapłonąć wówczas gniewem.

Potem wiele jeszcze pieśni odśpiewano, a gdy niemal połowa nocy upłynęła, wszyscy, wolę króla wypełniając, na spoczynek się udali.

O świcie podnieśli się i pod światłym przewodnictwem króla powrócili do Florencji, dokąd marszałek wszystkie ich rzeczy już był odesłał. Przybywszy do miasta, pożegnali się trzej młodzieńcy z siedmioma damami w kościele Santa Maria Novella, skąd z nimi niegdyś wyruszyli, po czym oddali się innym przyjemnościom. One zaś odeszły niebawem do domów swoich.

POSŁOWIE

Szlachetne dziewczeczki! Chcąc wam uciechę zgotować, poświęciłem się tej długiej pracy. Raczej modlitwy wasze i pomoc boża, jak sadzę, niż zasługi moje to sprawiły, że w zupełności dokonałem tego, com no wstępie mojego dzieła dokonać obiecał. Korny dank naprzód Bogu, a następnie wam złożywszy, mogę teraz dać spocząć pióru i utrudzonej ręce. Nim jednak to uczynię, zamierzam wpierw odpowiedzieć pokrótce na pewne zarzuty, jakie któraś z was albo i ktoś inny postawić by mi mógł. Nie czynię tego bez racji, wydaje mi się bowiem rzeczą pewną, że praca ta – w porównaniu z innymi – nie zaznaje szczególnych względów, a nawet, jest ich całkiem pozbawiona. Pomnę, że wykazałem to we wstępie do czwartego dnia opowieści. Obecnie chcę dać respons na pytania, jakby w myśli zadane.

Niektóre z was powiedzą ani chybi, że pisząc te opowieści na zbytnią swobodę sobie pozwoliłem niekiedy, wkładając damom w usta słowo plugawe lub każąc im często słuchać rzeczy, których uczciwym niewiastom ani mówić, ani słuchać się nie godzi. Jednakże przeczę temu, gdyż nie masz tak nieprzystojnej rzeczy, co by – przystojnymi wyrażona słowami – bez ujmy czci słuchać się nie dała. Zdaje mi się, że tego sposobu wypowiedzania się z powodzeniem tutaj używałem. Założmy jednak, że macie rację – nie będę z wami o to sporu toczył, wiem bowiem, że mnie zwyciężycie. Zapewniam was jednak, że chcąc odrzec, dlaczego tak postąpiłem, bez trudu znajdę uzasadnień w bród. Jeśli w tej czy innej opowieści coś niecnotliwego się trafiło, widać istota jej tego wymagała. Każdy człek rozsądny i rzeczy świadom uzna, że inaczej nie mogłem opowieści prowadzić, o ile właściwej swej formy nie miała postradać. Z drugiej strony, jeśli w nowelach moich tu i ówdzie znajdzie się jakiś szczegół lub jakieś słówko bardziej swobodne, a świętoszkom w spódnicy nie przypadające do smaku, dlatego że więcej zwykły baczyć na słowa niżli na czyny i jeno pozór cnót wszelkich brać na się, to twierdzą, że przez napisanie tych słów nie popełniłem nic bardziej nieprzystojnego od mnóstwa białogłów i mężczyzn, mówiących co chwila o mózdzierzu i tłuczku lub o szczelinach i klinie. Nadto pióro moje powinno przynajmniej tyle mieć wolności, co pędzel malarza, który żadnej, a przynajmniej słusznej, nagany na siebie nie ściągał. Świętego Michała mieczem i kopiją godzącego w węża, a świętego Jerzego na smoku wyobraża, Adama w męskiej, a Ewę w żeńskiej przedstawia postaci i nawet Temu, który dla zbawienia ludzkości śmierć męczeńską na krzyżu ponieść raczył, nogi to jednym, to dwoma gwoździemi przebija.

Wziąć także i to pod uwagę należy, że o wszystkich tych rzeczach opowiada się nie w kościele, o którego sprawach jeno z czcią najwyższą i słowami nieskalanymi mówić wolno (choć w historii świętej znalazłoby się pod dostatkiem kart, z którymi ani równać się moim!) – nie toczy się tu dysput w szkole filozofów, gdzie przystojność w niemniejszej mierze jest wskazana, ani w kole mędrców i uczonych, ale w ogrodach, w miejscu wytechnienia rozmawia grono osób wprawdzie młodych, lecz dojrzałych i nie ulegających zbyt łatwo pokusom, a dzieje się to w czasie, gdy najbardziej stateczni brali nogi za pas, aby jeno życie ocalić.

Jakiegokolwiek zaś są opowieści moje – jak wszystko inne – mogą szkodliwymi lub pożytecznymi się okazać, zależnie od natury słuchacza. Któż nie wie, że wino – jak opój po spożyciu z pijanicą obok wielu innych zaręczają – jest rzeczą dla zdrowych zbawienną, szkodliwą zaś dla ludzi gorączką trawionych? Mamyż więc dlatego, że gorączkującemu szkodzi, powiedzieć, iż jest zabójcze? Komuż nie wiadomo także, iż ogień jest niezbędny dla śmiertelników? Zali widząc, jak domy i miasta pożera, szkodliwym go nazwać możemy? Broń służy również dla ochrony ludzi spokojnych jak i dla popełniania wielu morderstw: wina spada wówczas na tych, którzy jej na złe użyli. Umysł spaczony żadnego słowa w jego prawdziwym nie weźmie znaczeniu. Najszlachetniejsze słowa pożytku mu nie przyniosą, równie jak mniej przystojne nie zdołają znów splamić duszy czystej, kurz bowiem nie ima się promieni słonecznych, a brud ziemski czystości niebios. Jakież to słowa i jakie księgi świętsze, czcigodniejsze i

wznioślejsze są od Pisma świętego? A jednak wielu ludzi, fałszywie je tłumacząc, isobie i innym zgubę zgotowało. Każda rzecz sama w sobie na coś przydatną być może, źle natomiast użyta, znaczne wyrządza szkody. To samo mówię o mych opowieściach. Kto zechce z nich złej rady i podniety do złego czynu zaczerpnąć, temu nie odmówią ich, jeśli je może w sobie mieszczą albo – odpowiednio naciągnięte – w sobie odnaleźć pozwolą. Kto jednak korzyści i nauki będzie pragnął, ten się na nich nie zawiedzie. Jeśli księgi te będą czytane w stosownych okolicznościach, a przy tym przez osoby, dla których je napisano – pożytecznymi i przyzwolonymi się okażą. Kto przekłada nad nie trzepanie ojczenaszków albo gniecienie kiszek czy placków dla spowiednika, ten niechaj ich nie rusza. Nie uganiają one za nikim, nie proszą, aby je czytano. Czego zaś nie mówią i nie robią dziś pobożnisie!

Niektóre z was powiedzą zapewne, że tę czy inną opowieść opuścić mi należało. Zgadzam się i na to, aliści powiem, że mogłem i winienem być spisać tylko te, które opowiedziane zostały. Tym, co je wygłaszali, zważać należało, by były piękne, a wówczas pięknymi wyszłyby również i spod mego pióra. Gdyby ktoś jednak przypuścił, że sam jestem zarówno ich wynalazcą, jak i pisarzem – czym w istocie nie jestem – to powiem, że nie wstydzilibym się, jeśliby nie wszystkie okazały się piękne. Prócz Boga bowiem nie masz mistrza, który by zawsze coś dobrego i doskonałego stwarzał. Nawet Karol Wielki, pierwszy twórca rycerzy–paladynów, nie mógł ich tylu do życia powołać, by z nich całe wojsko powstało. W zbiorze rzeczy mnogich trafiać się muszą różnej jakości przedmioty. Nie było pola tak dobrze uprawionego, aby na nim oset, kąkol lub inne zielsko między najlepsze zboże się nie wmieszały. Zresztą do czynienia mając z prostodusznymi dziewczeczkami, jakimi po największej części jesteście, moje czytelniczki, głupotą byłoby silić się na wyszukiwanie materij nader osobliwych i troskać się szczególnie o wielki umiar w słowach. W każdym razie, kto opowieści te do rąk weźmie, niechaj opuści te, co go razić będą, a czyta inne, w których znajdzie przyjemność. Aby zaś nikogo w błąd nie wprowadzać, przed każdą opowieścią wymieniłem, co chowa się w jej łonie.

Niektóre z was powiedzą zapewne, że ta czy inna opowieść jest zbyt długa. Takim odrzekę, że głupio czyni ów, co inne mając zatrudnienie, zabiera się do czytania gadek, choćby były jak najkrótsze. Jakkolwiek bowiem wiele czasu upłynęło od dnia, gdy zacząłem pisać tę książkę, do chwili gdy staję u końca mego trudu, to przecież nie zapomniałem, że pracę tę ofiarowałem niewiastom zażywającym wczasów, a nie innym. Dla tego, co chce czas zabić, nie ma opowieści zbyt długich, byleby tylko cel swój spełniały. Krótkie opowieści stosowniejsze są dla ludzi nauce oddanych, którzy dokładają sił, by czas pożytecznie wyzyskać, a nie tylko spędzić go mile, gdy wy, niewiasty, niezbyt dobrze wiecie, co robić z czasem pozostającym wam od uciech miłości. Prócz tego ani jedno z was nie udaje się na studia do Aten, Bolonii czy Paryża, dlatego też godzi się do was mówić obszerniej niż do ludzi, których umysł nauka wyostrzyła.

Nie wątpię, że znajdują się i takie, co powiedzą, że opowieści moje roją się od żartów i krotochwil i że nie przystoi człękowi statecznemu, mężowi pewnej wagi, pisać rzeczy podobne. Winienem im wdzięczność i dziękuję gorąco, że chlubną gorliwością powodowane, o moją sławę tak się troszczą. Na ich zarzuty to jedno odpowiem: godzę się, że jestem człękem pewnej wagi i że mnie nieraz w życiu moim ważono, dlatego też ci, którzy mnie na wagę nie kładli, wiedzieć winni, że ważę niewiele, przeciwnie, jestem tak lekki, że na powierzchni wody unosić się mogę. Z drugiej strony mniemam, że skoro kazania mnichów, karcących ludzkie wady i grzechy, pełne są dziś różnych fraszek, figlików i conceptów, to podobne krotochwile nie przyniosą ujmy moim opowieściom, pisanim, by odpędzić od niewiast melancholię. Gdyby jednak zbyt nimi rozweseliły, to przecie lamenty Jeremiasza, rozmyślenia pasyjne i żale świętej Magdaleny łatwo złu zaradzą.

Kto zaręczy, czy niektóre nie nagania mnie także za złośliwość i jadowitość języka, dlatego że tu i ówdzie prawdę o mnichach powiedziałem? Tym, co tak rzeką, przebaczyć należy,

gdyż nie godzi się sądzić, by mną tu działała podnieta, jak tylko słuszność sprawy. Mnisi są bowiem ludźmi zacnymi, unikającymi kłopotów i trosk gwoli służeniu Bogu, a przy tym miałą zawzięcie, nie rozgłaszając tego przed światem, i gdyby wszyscy nie śmierdzieli po trosze kozłem, za jeszcze miłszych kompanów poczytać by ich było można.

Tym niemniej wyznaję, że rzeczy tego świata żadnej nie mają stałości, ale zawsze podległe są zmianom – i to samo językowi memu przydarzyć się mogło. Chociaż, nie ufając własnemu zdaniu, którym staram się nie kierować, ilekroć o mnie idzie, stwierdzić muszę, że niedawno jedna z moich sąsiadek orzekła, że od mego języka nie ma nic na świecie słodsze­go i smakowitszego. Kiedy się zaś to przytrafiło, niewiele już z tych opowieści do napisania mi pozostało.

I choćby najzawzięciej dowodziły moje przeciwniczki, niech to, co powiedziałem, za odpowiedź im starczy. Pozwalając już każdej z nich mówić i myśleć, co zechce, sądzę, że czas zawrzeć moją mowę. Dziękuję pokornie Temu, który po tylu trudach pomocą swą do upragnionego celu mnie doprowadził. Wy zaś, miłe damy, ostawajcie z łaską Bożą w pokoju, wspominając mnie, gdy którejs z was w opowieściach moich to lub owo może do gustu przy­padnie.

Tu zamyka się dziesiąty i ostatni dzień książki, zwanej Dekameron.

SPIS TREŚCI

DZIEŃ SZÓSTY

Opowieść pierwsza ZRĘCZNA ODPOWIEDŹ
Opowieść druga PIEKARZ
Opowieść trzecia FAŁSZYWA MONETA
Opowieść czwarta JEDNONOGI ŻURAW
Opowieść piąta SZPETNY WYGLĄD
Opowieść szósta DOWÓD SZLACHECKTWA
Opowieść siódma NIEWIERNA ŻONA
Opowieść ósma DOBRA RADA
Opowieść dziewiąta GUIDO CAVALCANTI
Opowieść dziesiąta BRAT CIPOLLA

DZIEŃ SIÓDMY

Opowieść pierwsza POKUTUJĄCA DUSZA
Opowieść druga KADŹ I ŻONA
Opowieść trzecia W NAGŁYM PRZYPADKU
Opowieść czwarta KAMIENŃ I KOSA
Opowieść piąta MAŹ SPOWIEDNIKIEM
Opowieść szósta PODWÓJNE OSZUSTWO
Opowieść siódma OBITY I UKONTENTOWANY
Opowieść ósma WITKA PANI SISMONDY
Opowieść dziewiąta ZACZAROWANA GRUSZA
Opowieść dziesiąta GOŚĆ Z TAMTEGO ŚWIATA

DZIEŃ ÓSMY

Opowieść pierwsza PRZYKRY ZAWÓD
Opowieść druga PRZYPADKI PROBOSZCZA Z VARLUNGO
Opowieść trzecia POCZCIWY CALANDRINO
Opowieść czwarta NA GORĄCYM UCZYNKU
Opowieść piąta SĘDZIA BEZ SPODNI
Opowieść szósta UKRADZIONA ŚWINIA
Opowieść siódma ZEMSTA UCZONEGO
Opowieść ósma ROGI ZA ROGI
Opowieść dziewiąta PRZYGODA MISTRZA SIMONA
Opowieść dziesiąta OSZUSTKA NA HAK PRZYWIEDZIONA

DZIEŃ DZIEWIĄTY

Opowieść pierwsza CIĘŻKIE PRÓBY

Opowieść druga BELKA I SŁOMKA
Opowieść trzecia CALANDRINO PRZY NADZIEI
Opowieść czwarta PRZYGODA CECCA ANGIULIERI
Opowieść piąta MIŁOSNA PRZYGODA CALANDRINA
Opowieść szósta NOCNE POMYŁKI
Opowieść siódma SEN TALANA
Opowieść ósma WINO ZA RYBY
Opowieść dziewiąta RADY SALOMONA
Opowieść dziesiąta GDYBY NIE OGON

DZIEŃ DZIESIĄTY

Opowieść pierwsza WSPANIAŁY KRÓL
Opowieść druga GHINO DI TACCO
Opowieść trzecia MITRYDAN I NATAN
Opowieść czwarta WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ MIŁOŚNIKA
Opowieść piąta CUDOWNY OGRÓD
Opowieść szósta RYBACZKI
Opowieść siódma KRÓL RYCERZ
Opowieść ósma DWAJ PRZYJACIELE
Opowieść dziewiąta PRZYTRAFIENIA SALADYNA I TORELLA
Opowieść dziesiąta GRYZELDA

POSŁOWIE

¹ Troilus – syn Priama, władcy Troi. Chryzejda – córka Chryzesa, kapłana Apollina, postacie związane z legendą trojańską. Są one bohaterami poematu Boccaccia *Filostrato*.

² Oretta – to: Lauretta.

³ Piekarz Cisti pojawia się w dokumentach florenckich pod rokiem 1300. Cisti jest skrótem imienia Bencivenisti (odpowiednik Benwenuta).

⁴ Bonifacy VIII z rzymskiego rodu Gaetanich, na tronie papieskim od 1294 do 1303, usiłował przywrócić świecką potęgę Kościołowi. Słynny z zatargu z królem francuskim, Filipem Pięknym. Dante nie szczędził mu namiętnych wyrazów potępienia. Epizod, opowiedziany przez Boccaccia, rozgrywa się w czerwcu r. 1300, gdy poselstwo pod kierunkiem kard. Acquasparta usiłowało – na próżno – doprowadzić w imieniu papieża do zgody między Białymi i Czarnymi.

⁵ Geri (Ruggeri) Spina – jeden z przywódców stronnictwa Czarnych we Florencji około r. 1300.

⁶ Santa Maria Ughi – kościółek florencki, nazwany tak od założycieli rodziny Ughi.

⁷ Antonio d'Orso był biskupem florenckim w latach 1309–1322. Kronikarz Compagni twierdzi, że uprawiał symonię i „nie był człowiekiem świętego życia”, zarazem jednak wiadomo, iż wykazywał dużą kulturę prehumanistyczną, a w czasie oblężenia Florencji przez Henryka VII uzbroił duchowieństwo i sam stanął na jego czele.

⁸ Diego de la Rath (della Ratta) z Barcelony był dowódcą sił zbrojnych i „namiestnikiem” króla Roberta we Florencji (1305, 1310, 1317–1318).

⁹ Robert Andegaweński (1309–1343) – król Neapolu, przyjaciel Petrarcki, który mówił z podziwem o jego kulturze umysłowej.

¹⁰ ...urodziwą... białogłową... – jest nią Nonna de' Pucci, która występuje również w dokumentach ówczesnych.

¹¹ Currado Gianfigliuzzi żył na przełomie XIII i XIV w. i należał do głośnej rodziny bankierów z obozu gwelfów Czarnych.

¹² Chichibio – imię zapewne z weneckiego przezwiska (onomatopeicznego) cicibio: zięba.

¹³ Forese da Rabatta – współczesny Boccacciowi wybitny prawnik, piastował we Florencji różne godności, był też profesorem w Pizie.

¹⁴ Baronci – ośmieszona mieszczańska rodzina brzydali, o których Boccaccio pisze szerzej w noweli następnej.

¹⁵ Giotto (1266–1336) – jeden z największych malarzy na przełomie średniowiecza i ery nowożytnej. Twórczość jego rozpoczyna nowy okres w dziejach sztuki włoskiej. Autor słynnych fresków w Asyżu, Florencji i Padwie (te ostatnie zniszczone w drugiej wojnie światowej).

¹⁶ Montughi – dzielnica willowa pod Florencją.

¹⁷ Pugliesi i Guazzagliotri – wpływowe rodziny w Prato, których nieprzyjaźń była tradycyjna.

¹⁸ Cesca – Francesca.

¹⁹ O hucznych zabawach grup florenckiej młodzieży wspominają ówcześni kronikarze (Compagni, Villani), a także Dante (Piekło, XXIX).

²⁰ Betto Brunelleschi – znany z wymowy przyjaciel Cavalcantiego i Dantego (który zwraca się do niego w jednym z sonetów), po r. 1301 należał do przywódców gwelfów Czarnych; zamordowany zdradziecko w r. 1311.

²¹ Epikur (341–270 p. n. e.) – filozof grecki, nauczał, że rozkosz jest najwyższym dobrem człowieka, ale sam, będąc przykładem wstrzeźliwości, nie sprowadzał jej do uciech zmysłowych. Tym niemniej poglądy jego ujmowane były nieraz bardzo jednostronnie, a epikurej-

czykami nazywano często tych wszystkich, którzy odbiegali od nakazanej przez Kościół prawowierności, a także gibellinów przeciwstawiających się polityce kurii rzymskiej.

²² Kolumny porfirowe, ofiarowane Florentczykom w r. 1117 przez Pizę, były wyrazem wdzięczności za ochronę miasta przed zakusami Lukki, gdy Pizańczycy wyruszyli na podbój Balearów.

²³ Podobną anegdotę opowiada Petrarca (*Rerum memorandarum* II, 3). Młody Florentczyk, Dini del Garbo, zaczepiony wśród grobowców przez starców, miał im odrzec, że są tak pewni siebie, bo znajdują się we własnym domu.

²⁴ Cipolla – po włosku: cebula.

²⁵ Cicerio i Kwintyliano wymienieni jako przedstawiciele rzymskiej wymowy w praktyce i teorii. Retoryka Kwintyliana stała się wówczas głośna, znalazłszy się w ręku Petrarce.

²⁶ Św. Antoni Opat, pustelnik egipski, przedstawiany był z prosiakiem, symbolem ujarzmionego szatana (według innych – jako patron, chroniący przed chorobami zwierzęta).

²⁷ Pizzini byli dobrymi sąsiadami rodziny Boccaccia w Certaldo.

²⁸ Guccio – skrót od zdrobnienia Arriguccio (Arrigo – Henryk). Guccio Aghinetti albo Guccio Porcellana, dozorca w szpitalu Św. Filipa, pojawia się w dokumentach z lat 1318–1335 w dzielnicy zamieszkałej przez Boccaccia.

²⁹ Lippo (Filippo) Topo – współczesny lichi malarz i facecjonista.

³⁰ Nuta – skrót od Benvenuta.

³¹ Altopascio – przysłowiowe opactwo w okolicach Lukki. Dwa razy w tygodniu rozdzielano tam strawę ubogim.

³² Chatillon – dawny zamek feudalny we Francji.

³³ Confiteor – Wierzę.

³⁴ Fantastyczna geografia, którą bawi się sam mistyfikator, kpiąc ze swych słuchaczy prostaczków, jest w znacznym stopniu oparta na grze słów; posługuje się on nazwami ulic i dzielnic ówczesnej Florencji, udając, że idzie o poznane w podróży kraje. Przekład nie zdoła oddać dwuznaczników oryginału, wymagających zresztą komentarza i we włoskim brzmieniu.

³⁵ Maso del Saggio – głośny kawalarz, o którym opowiada Boccaccio w trzeciej i piątej noweli ósmego dnia.

³⁶ Św. Gerard z Villamagna (l 1174–1267) – jeden z pierwszych franciszkanów.

³⁷ Gherard di Bonsi – wybitny przedstawiciel handlowej Florencji, prior miasta w r. 1317, na cześć swego patrona założył szpital im Św. Gerarda.

³⁸ ...uroczystość ś w. Wawrzyńca – 10 sierpnia.

³⁹ Camerata – osada na południowym stoku wzgórza Fiesole. Także nazwiska postaci tej opowieści występują w dokumentach współczesnych. Pegolotti należeli do agentów domu bankowego Bardich.

⁴⁰ *Te lucis ante terminum...* („Ciebie przed końcem dnia...”) – krótki hymn, przypisywany św. Ambrożemu. *Intemerata* – popularna antyfona do Matki Boskiej.

⁴¹ Gianni (Giovanni) di Nello (zm. 1347) – aptekarz florencki. Jego sumptem wzniesiono kaplicę w kościele S. Maria Noyella.

⁴² Tofano – skrócone Cristofano.

⁴³ Mini, Tura i Anselmini są istotnie ludowymi nazwiskami sieneńskimi.

⁴⁴ Architas i Palemon – dwaj bohaterowie *Tezeidy* Boccaccia.

⁴⁵ Gulfardo – może zwłoszczona forma germańskiego imienia Wolfard.

⁴⁶ ...w Awinionie... – są to czasy „awiniońskiej niewoli” papieżstwa (por. t. I, przyp. do str. 399).

⁴⁷ Ridda – taniec wiejski, w którym uczestnicy trzymając się za ręce poruszają się w krąg i śpiewają (riddare – kręcić się w koło). Ballonchio – taniec wiejski z podskokami.

⁴⁸ *Salvum me fac* (łac.) – wybaw mnie, na ratunek! *Sine custodia* (łac.) – bez straży, bez świadka.

⁴⁹ Tamburino – mały instrument muzyczny używany w tańcu, krążki obciągnięte skórą.

⁵⁰ Calandrino – poczciwiec powracający w kilku nowelach Boccaccia (VIII, 3 i 6; IX, 3 i 5), jeden z najdawniejszych malarzy florenckich XIV wieku jest postacią historyczną (właściwe nazwisko: Nozzo – Giovannozzo – Perini), podobnie jak jego towarzysze – malarze Buffalmacco (Buonamico Cristofani) i Bruno (di Giovanni d'Olivieri). Rozgłos dany mu przez Boccaccia sprawił, że wyrażenie: *far calandrino qualcuno*, przybrało znaczenie: wystrychnąć kogoś na dudka.

⁵¹ ...niedawno... ustawiono... – przyozdobienie tabernaculum powierzono Filipowi di Benivieni w r. 1313.

⁵² Berlinzone – nazwa fantazyjna, związana zapewne z berlingaccio: tłusty czwartek. Por. absurdalnie humorystyczną geografiją w kazaniu brata Cipolli (VI, 10).

⁵³ Bengodi – legendarny kraj mlekiem i miodem płynący, gdzie można wszystkiego używać za darmo lub za bezcen, zwany też *paese di cuccagna* (francuskie *pays de cocagne*).

⁵⁴ Wernackie wino – słodkie wino białe.

⁵⁵ Abruzze – najwyższa i najdziksza część Apeninów we Włoszech środkowych, ówczesnym Toskańczykom wydająca się szczególnie odległym, zapadłym kątem kraju.

⁵⁶ Settignano, Montisci – wzgórza pod Florencją.

⁵⁷ Heliotrop (*Heliotropium*) – dosłownie: słonecznik, kamień zielony z żyłkami purpurowymi, zmieniający barwę zależnie od światła słonecznego. Już w starożytności Pliniusz znał legendę o jego rzekomej właściwości czynienia niewidzialnym.

⁵⁸ Mugnone – rzeczka pod Florencją.

⁵⁹ Ciuta – Benvenuta.

⁶⁰ Ribì – błazen pochodzący z Florencji, wędrował po dworach lombardzkich i innych.

⁶¹ ...przy pomocy chleba i sera... – chleb i ser, przyrządzone specjalnie, po odmówieniu pewnych modłów, według dawnego przesądu, wydawały złodzieja, który nie mógł ich przełknąć.

⁶² Nekromancja – czarodziejska sztuka przyzywania zmarłych dla poznania przyszłości, wiedza tajemna.

⁶³ Akta świadczą, że mistrz Simone da Villa, lekarz, pogrzebany został w połowie XIV wieku we florenckim kościele Sw. Krzyża.

⁶⁴ Legnaia – osada pod Florencją, słynna z hodowli melonów.

⁶⁵ Montesone – klasztor w pobliżu Florencji, ze sławnym krucyfiksem.

⁶⁶ Michał Szkot (Scotto) – astrolog Fryderyka II, pisał dzieła filozoficzne, astrologiczne, alchemiczne. Sławiony przez współczesnych, m. in. przez Dantego.

⁶⁷ Litania fantastycznych imion utrzymana jest w tym samym stylu, co groteskowe wyliczenia brata Cipolla (VI, 10).

⁶⁸ Książdz Jan (franc. *Prestre Jean*) – legendarny cesarz Etiopii, któremu przypisywano bajeczne skarby i nadprzyrodzone umiejętności.

⁶⁹ *Agnus Dei* – Baranek Boży.

⁷⁰ Hipokrat (*Hipokrates*) – najslawniejszy lekarz starożytności (V w. p.n.e.). Awicenna – znakomity lekarz arabski o wszechstronnej wiedzy (X–XI wiek).

⁷¹ Pasignano – miejscowość w Umbrii, gdzie znajduje się opactwo Sw. Michała.

⁷² Dogana – urząd celny.

⁷³ Pietro del Canigiano (zm. 1381) – rówieśnik Boccaccia, który mówił o nim serdecznie i w testamencie wyznaczył go opiekunem swych spadkobierców.

⁷⁴ Cesarzowa Konstantynopola – Katarzyna Valois–Courtenay (1301–1346) używała tego tytułu powołując się na swe pochodzenie od Baldwina II (cesarza Konstantynopola w latach 1228–1261). Była żoną Filipa, syna Karola II Kulawego.

⁷⁵ Ósme niebo – według rachuby w systemie największego astronoma starożytności, Ptolemeusza (II w.), którego poglądy obalił Kopernik. Były też one podstawą dla wyobraźni Dantego w Boskiej Komedii.

⁷⁶ Palermini i Chiarmontesi – rodziny gibellińskie wygnane z Florencji. Lazzari – wpływo-
wa rodzina gwelficka w Pistoii.

⁷⁷ Kościół minorytów – kościół Św. Franciszka, jeden z najwspanialszych w Pistoii. Budo-
wa jego rozpoczęła się w r. 1295.

⁷⁸ Scannadio – przezwisko związane z czasownikiem scannare: zarzynać.

⁷⁹ Nello di Dino – malarz, występuje w dokumentach pod rokiem 1306.

⁸⁰ Mercato Vecchio – Stary Rynek, Stara Targowica.

⁸¹ Cecco Angiolieri (ur. ok. 1258, zmarł zapewne 1313) – głośny jako poeta realistyczny, uprawiający burleskę. Podobnie jak Villon pędził życie w kompanii mętów społecznych i dawał jaskrawy wyraz odrazie do własnej rodziny. Cecco di Fortarrigo ze znanej rodziny to-
skańskiej Piccolominich, skazany w r. 1293 za zabójstwo. Cecco jest skrótem imienia France-
sco.

⁸² Buonconvento – o 40 km na płd. od Sieny, na rozstaju dróg. Corsignano – o 20 km od
Buonconvento.

⁸³ Torrenieri – osada ok. 10 km od Buonconvento, na drodze do Corsignano.

⁸⁴ Cornacchini – znana rodzina kupiecka we Florencji XIII i XIV wieku, miała swe od-
działy handlowe we Francji i w Anglii. Niccolosa Cornacchini pogrzebana została w kościele
S. Maria Novella w czerwcu 1341.

⁸⁵ Gitara – wł. *ribeba* (lub *ribeca*) – właściwie rodzaj wioli o jednej lub dwu strunach, po
których przeciągało się smyczkiem.

⁸⁶ Talano – skrót od Catalano, imię nierzadkie w ówczesnej Florencji.

⁸⁷ Ciacco – przezwisko: prosiak, pieczeniarsz (w tym znaczeniu u Dantego, *Piektło*, VI, 52–
3; tu może idzie o tego samego żarłoka).

⁸⁸ Vieri de' Cerchi – przywódca gwelfów Białych, którego wielkoduszność chwałą kroni-
karze. Doprowadził do szczytu polityczne i handlowe znaczenie swego rodu. Zmarł na wy-
gnaniu (ok. 1305).

⁸⁹ Corso Donati – dumny przywódca gwelfów Czarnych, wygnany w r. 1300, powrócił w
1301 i zamordowany został przez przeciwników w r. 1308, gdy zmierzał do jedynowładztwa.

⁹⁰ Filip Argenti – bogaty rycerz, każący srebrem podkuwać konie, człowiek gwałtowny i
ogromnej siły, wprowadzony przez Dantego (*Piektło*, VIII).

⁹¹ Barletta (w Apulii) posiadała filie „kompanij” Bardich i Peruzzich. Tresanti (Trzech
świętych) – miejscowość na północ od Barletty.

⁹² Figiovanni – szlachecka rodzina florencka. Miała posiadłości w Certaldo i żyła w przy-
jaźni z domem Boccaccia.

⁹³ ...króla... Alfonsa – Alfons VIII Kastylijski (1155–1214), sławiony przez poetów dla
swej hojności i męstwa w walce z Saracenami, lub Alfons X Mądry (1221–1284), na którego
dworze był posłem Brunetto Latini, mistrz Dantego.

⁹⁴ Ghino di Taco, wspomniany przez Dantego (*Czyściciec*, VI, 13–14), nie był zwykłym
opryszkiem, lecz raczej zbuntowanym przeciwko papieżstwu rycerzem, śmiałym i hojnie roz-
dającym swą zdobycz.

⁹⁵ ...kąpiele w sieneńskich wodach – w San Casciano, opodal Radicofani.

⁹⁶ Kornilijskie wino – francuskie, z Corneuil, wysoko cenione naówczas przez znawców.

⁹⁷ Kitaj – płn. Chiny, kraj bogactw i legendarnych dziwów, zwłaszcza od czasu ogłoszenia relacji z podróży Marka Polo.

⁹⁸ Carisendi – znana rodzina szlachecka, od której wzięła nazwę słynna wieża pochyła w Bolonii. Catalina – Katarzyna. Caccianimico – głośna rodzina bolońskich gwelfów.

⁹⁹ Friulania (wł. Friuli) – podalpejska prowincja Włoch.

¹⁰⁰ Karol Stary, Andegaweński (1226–1285) – król Neapolu, rozgromił Manfreda, syna cesarza Fryderyka II i króla Obojga Sycylii w bitwie pod Benevento (1266).

¹⁰¹ Gibellini i Gwelfowie – te dwa wielkie wrogie sobie obozy polityczne, które przez długi okres średniowiecza stanowiły zasadniczą linię podziału we Włoszech, reprezentując w zasadzie zwolenników cesarza lub papieża, przybierały różne odcienie lokalne. Tak np. Florencji nadają piętno rządy gwelfów, a opozycjonistów nazywa się gibelliniami, nawet gdy są gwelfami.

¹⁰² Castellamare di Stabia – nadmorska miejscowość pod Neapolem, miejsce letniego pobytu dworu.

¹⁰³ Guido z Monfortu – dworzanin Karola I, jego namiestnik w Toskanii 1270 r. Dante wymienia go wśród gwałtowników (*Piekieło*, XII).

¹⁰⁴ ...gdy już Francuzów z Sycylii wypędzono... – mowa tu o niezwykle krwawym powstaniu za panowania Karola Andegaweńskiego, w poniedziałek wielkanocny 31 marca 1282 r., tzw. Nieszporach Sycylijskich (por. aluzje w II 5 i 6).

¹⁰⁵ Król Piotr III Aragoński – (1276–1285) podniecał Sycylijszyków do wypędzenia francuskich najeźdźców. Wylądował na Sycylii w sierpniu 1282.

¹⁰⁶ Mico ze Sieny – postać nieznana. Jest to może mistyfikacja Boccaccia przytaczającego własny utwór wierszowany.

¹⁰⁷ Perdicone – imię pochodzenia prowansalskiego.

¹⁰⁸ Ceffalu i Calatabelotta – miejscowości na Sycylii.

¹⁰⁹ ...nie nosił... przydomku Augusta – August (Cezar Oktawian) otwiera poczet cesarzy rzymskich (zm. 14 r. n.e.).

¹¹⁰ Kapitol – główne ze wzgórz starożytnego Rzymu, jego państwowe sanktuarium.

¹¹¹ Pretor – naczelnny urzędnik wymierzający sprawiedliwość w Rzymie starożytnym; pretorium – trybunał sądowy.

¹¹² Fryderyk I Barbarossa (1152–1190) – cesarz niemiecki. W grę tu wchodzi trzecia wyprawa krzyżowa (1189–1192).

¹¹³ Torello di Stra da Pavia w pierwszej połowie XIII wieku sprawował w imieniu Fryderyka II władzę w różnych częściach Włoch północnych; brał udział w poetyckiej polemice trubadurów.

¹¹⁴ Austeria – gospoda.

¹¹⁵ Acri – S. Giovanni d’Acri (por. II, 9). Wydarzenia historyczne związane ze zwycięstwem Arabów opowiedziane zostały nieściśle.

¹¹⁶ San Pietro in Ciel d’Oro (dosłownie: Św. Piotr w złotych niebiosach) – bazylika w Pawii.

¹¹⁷ Torello de Dignes – Digne, miasto w Dolnych Alpach francuskich.

¹¹⁸ Brzegi berberyjskie – północno-afrykańskie (od nazwy pierwotnych mieszkańców).

¹¹⁹ Karbunkuł – rubin, czerwony kamień szlachetny.

¹²⁰ Adalieta – zdrobnienie od Adelajdy.

¹²¹ Od roku 1142 przez cztery wieki Saluzzo było stolicą margrabstwa (markizatu).

¹²² *Gryzelda* – końcowa opowieść Dekameronu, przez parę wieków zaznawała niezwyklej popularności i była może najbardziej rozpowszechnioną i naśladowaną nowelą Boccaccia poza granicami Włoch. Przyczynił się do tego w dużej mierze łaciński przekład Petrarcki (*De oboedientia ac fide uxoris* – O posłuszeństwie i wierności żony), którym poeta chciał uczcić

przyjaciela, chociaż uprawiany przez niego rodzaj literacki mało sobie cenił. Całe pokolenia krytyków, włoskich i obcych, zgodne były, uznając *Gryzeldę* za utwór artystycznie chybiony, przede wszystkim z powodu nieludzkiej bierności bohaterki. Próbę rehabilitacji noweli podjął V. Pernicone (1930), punkt ciężkości opowiadania przenosząc z Gryzeldy na jej męża, który w swej pysze i bezwzględności despotycznego pana feudalnego idzie bez skrpułów za własnym najdzikszym kaprysem.